

ABC



Krzysztof Beśka
ORNAT Z KRWI

Oficynka

Krzysztof Beśka

Ornat z krwi

Copyright © Oficynka & Krzysztof Beśka, Gdańsk 2013

Wydanie pierwsze w języku polskim,
Gdańsk 2013

Opracowanie edytorskie książki:

kaziki.pl

Projekt okładki:

Anna Maria Damasiewicz

www.damasiewicz.idesigner.pl

Zdjęcie na okładce

© Nomad_Soul | Shutterstock.com

Skład: dialoog.pl;

biuro@dialoog.pl

ISBN 978-83-62465-99-6

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Confiteor](#)

[Księga pierwsza Cygnus](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[XXI](#)

[XXII](#)

[XXIII](#)

[XXIV](#)

[XXV](#)

[XXVI](#)

[XXVII](#)

[XXVIII](#)

[XXIX](#)

[XXX](#)

[XXXI](#)

[XXXII](#)

[XXXIII](#)

[XXXIV](#)

[XXXV](#)

[XXXVI](#)

[XXXVII](#)

[XXXVIII](#)

[XXXIX](#)

[XL](#)

[Mysterium Fidei](#)

[Księga druga Sanctus](#)

[XLI](#)

[XLII](#)

[XLIII](#)

[XLIV](#)

[XLV](#)

[XLVI](#)

[XLVII](#)

[XLVIII](#)

[XLIX](#)

[L](#)

[LI](#)

[LII](#)

[LIII](#)

[LIV](#)

[LV](#)

[LVI](#)

[LVII](#)

[LVIII](#)

[LIX](#)

[LX](#)

[LXI](#)

[LXII](#)

[LXIII](#)

[LXIV](#)
[LXV](#)
[LXVI](#)
[LXVII](#)
[LXVIII](#)
[LXIX](#)
[LXX](#)
[LXXI](#)
[LXXII](#)
[LXXIII](#)
[LXXIV](#)
[LXXV](#)
[LXXVI](#)
[LXXVII](#)
[LXXVIII](#)
[LXXIX](#)
[LXXX](#)
[LXXXI](#)
[LXXXII](#)
[LXXXIII](#)
[LXXXIV](#)
[LXXXV](#)
[LXXXVI](#)
[LXXXVII](#)

[Amen](#)

CONFITEOR

Królewo k. Malborka, nazajutrz po dniu Wniebowzięcia NMP

Stuknęła odsuwana przesłona okienka. Popołudniowe światło, przefiltrowane przez witraże kościoła i drewnianą kratkę umieszczoną z boku konfesjonału, rozsypało się na jego tylnej, ciemnej ścianie i twarzy siedzącego w środku człowieka.

Ksiądz Henryk, proboszcz kościoła, przymrużył oczy. Penitent siedzący po drugiej stronie drewnianej ścianki, jakby w odpowiedzi, poruszył się niespokojnie. Jego oddech był nierówny, głośny, odrobinę świszczący.

– Na wieki wieków, amen – przywitał się kapłan. – Bóg niech będzie w twoim sercu, abyś skruszony w duchu wyznał swoje grzechy – wypowiedział zwyczajową formułę. Następnie uczynił znak krzyża nad kratką, zniekształcającą twarz wiernego i chroniącą jego imię, podparł brodę i policzek na zwiniętych palcach prawej dłoni, jak robił zawsze dla wygody, i jeszcze bardziej zbliżył ucho do okienka.

Odpowiedziało mu milczenie. Spowiednik tylko westchnął głęboko.

– No, nie trzeba się bać, nie trzeba... – rzekł najłagodniej, jak tylko potrafił.

Z oddalonej części świątyni doszedł jego uszu stukot obcasów.

Staruszki na sumę – skatalogował duchowny, odwróciwszy na chwilę wzrok od kratki. W tym samym momencie na przywierającym niemal do drewna policzku poczuł chłodny powiew. Oddalający się szybko odgłos kroków bardziej jednak księdza Henryka zasmucił i zdziwił, niż zaniepokoił.

– Pan odpuścił tobie grzechy. Idź w pokoju – szepnął mimo wszystko, uczynił ponownie znak krzyża, po czym rozsunał fioletową zasłonę i wstał z miejsca.

Chwilę potem przyklęknął przed ołtarzem, na dłużej zatrzymując na nim swój wzrok: lampka oliwna paliła się jak zwykle, w stojących po bokach

wazonach kobiety umieściły świeże kwiaty. Nie, niczego nie brakowało. A przecież kilka dni temu ktoś włamał się w nocy do świątyni w niedalekiej miejscowości. Łupem złodziei, którzy weszli do środka przez okno, padły elementy tamtejszego ołtarza – cztery szesnastowieczne, polichromowane płaskorzeźby z bocznego Tryptyku Świętej Agnieszki. I tylko ją zostawili, bo pewnie była za duża...

Ludzie mówili, a policja potwierdzała, że była to kradzież na zamówienie, gdyż oprócz rzeźb z tamtejszego kościoła nie zginęło nic więcej. Nic też nie zdemolowano, nie licząc drzwi, bo komu by się chciało męczyć wychodzeniem przez okno. A potem to już droga wolna, na Zachód, gdzie na cenną przesyłkę czekał jakiś kolekcjoner lub pośrednik.

Proboszcz jeszcze raz ogarnął wzrokiem cały ołtarz, po czym wstał i niezbyt szybkim krokiem ruszył w stronę zakrystii.

Czuł się źle. I wyglądać też musiał nie za dobrze, bo gospodyni imieniem Waleria, ujrzawszy go, tylko pokręciła głową.

– Może ziółek księdzu zaparzę? – zapytała. – Na problemy z żołądkiem najlepsze...

Duchowny pokręcił głową, a ponieważ zawsze odczuwał potrzebę podzielenia się z kimś wszystkim, co go niepokoiło, opowiedział swojej gospodyni o dziwnym penitencie.

– Pewnie wariat jakiś – spekulowała Waleria. – Puszczają ich coraz częściej samopas.

W istocie: w okolicy znajdował się dom pomocy społecznej, w którym mieszkali również ludzie chorzy umysłowo. Często spotykało się ich także w kościele. Najgłośniej było swego czasu o jednym takim, który wielkim jak głowa człowieka kamieniem zamierzył się na ołtarz. I to podczas mszy! Już się kilku parafian z pierwszych rzędów rzuciło, by powstrzymać szaleńca, ten jednak tylko położył kamień przed tabernakulum i wybiegł z kościoła.

– Albo turysta – dorzuciła, wycierając mokre dłonie w ścierkę. – Nazjeżdża się tego, zdjęcia robią, a jak przyjdzie co do czego, to ani be, ani me. Aż czasami ręce bolą gadać z takimi!

Ksiądz zwykle słuchał, czasami potakiwał głową, ale nic nie mówił. Tak było i tym razem.

Gdańsk, w tym samym czasie

Gabinet wyglądał jak jedna wielka graciarnia: półki uginające się pod ciężarem książek, segregatorów i powciskanych luzem starych czasopism, gdzieś poustawiane archeologiczne trofea, pośród których uwagę zwracał wykonany z brązu, niewielki, bo ledwo trzydziestocentymetrowej wysokości, posążek wojownika w czubatym hełmie z włócznią w prawej ręce i okrągłą tarczą w lewej.

Na ścianach, które od dawna nie widziały świeżej farby, wisały mapy Egiptu, starożytnej Palestyny, tudzież patera z brązu, a także kalendarz, o dziwo, aktualny, przedstawiający stare pałace Prus Wschodnich; sierpień zachęcał do wyprawy do Kamieńca Suskiego, gdzie przebywali swego czasu sam Napoleon Bonaparte i Maria Walewska.

– Błogosławiona Dorota z Mątówów – rzekł profesor Zbigniew Krasieński uroczyście, jakby w rękę trzymał kopertę z nazwiskiem zdobywcy Oskara.

Czteroosobowe towarzystwo siedzące na rozchybotanych krzeselkach i starej kanapie (którą można było bardzo łatwo pomylić z archeologicznym eksponatem) popatrzyło na siebie bez słowa.

– Jednak – bąknął niewyraźnie doktor Kazimierz Reich, oglądając sobie z zainteresowaniem paznokcie.

– Wszystko według harmonogramu, moi panowie. – Profesor wzruszył ramionami.

– I panie – dorzuciła wyraźnym głosem, choć bez złości, Ewa Rimmel, jedyna kobieta w zespole archeologów.

– Oczywiście. I panie – zreflektował się Krasieński, posyłając uśmiech swojej najładniejszej podwładnej.

– Jakżeby nie! – Odchrząknął, poprawiając przy tym krawat, trzeci z panów, doktor Andrzej Kozłowski. – W końcu będziemy szukać kobiety...

Ewa nic na to nie odpowiedziała. Nie tylko jako jedyna nosiła w tym towarzystwie spódnicę, ale była też najmłodsza stażem w zespole profesora Krasieńskiego, co nadal było przyczyną nieporozumień: choćby w tak

banalnych sprawach, jak zakwaterowanie podczas wykopalisk czy też kwestia porannej i wieczornej toalety. To znaczy ona wielkiego kłopotu nigdy w tym nie widziała; to raczej panowie archeolodzy mieli z tym jakiś problem.

Tak, była jedyną kobietą w grupie archeologów, co często było przyczyną żartów i docinków, choć żaden z nich nie był nigdy nieprzyzwoity czy złośliwy.

Ta dwudziestosiedmioletnia ładna brunetka od zawsze wiedziała, że zostanie archeologiem. Gdyby zapytać ją, co spowodowało taki, a nie inny wybór, miałyby problem z odpowiedzią. Nie pamiętała tego pierwszego impulsu. Czy było to zielone szkiełko, które podczas zabawy zasypywało się w piasku, by za chwilę odsłonić tajemnicze oko? A może widok czerwonych cegieł fundamentów starych kamienic, odsłoniętych podczas remontu ulicy albo sieci ciepłowniczej?

W Warszawie skończyła studia, o których każdy spotkany znajomy czy nieznajomy mówił, że to tylko fanaberia i chleba z tego nie będzie. Zaliczyła kilka studenckich wyjazdów na wykopaliska, zdała egzaminy, napisała pracę magisterską. Potem wróciła do rodzinnego Gdańska, gdzie wkrótce nawiązała kontakt z profesorem Zbigniewem Krasińskim.

Wszystkie jej rówieśniczki zaczynały robić kariery w zachodnich korporacjach, czemu potrafiły poświęcić nawet swój wyuczony zawód i większe ambicje. Absolwentka dwóch filologii zostawała sekretarką, zdolna lekarka handlowała plastrami na odciski. Ewentualnie rozglądały się za bogatym mężem.

Ewa Rimmel, mimo że nie była ani brzydka, ani głupia, znów postanowiła iść pod prąd. I pod górkę. Na początku była to góra Synaj – jej pierwszy i ostatni wyjazd zagraniczny.

– Wracając do tematu, moi państwo... – Szef zespołu archeologów zaszeleścił papierami rozrzuconymi na biurku.

– No właśnie, błogosławiona czy święta? – dopytywał się Reich.

– W Polsce błogosławiona, w Niemczech święta – wyjaśnił rzeczowo profesor, nie podnosząc wzroku znad papierów.

– Cóż, tam zawsze lepiej płacą – zaśmiał się Kozłowski.

Przez następną, dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Cała ekipa zamarła w niemym wyczekiwaniu, spoglądając na swojego szefa, zastygłego jak posąg nad górą dokumentów.

– Dobrze. – Krasiński zatarł ręce i sapnął. – Jak wiemy, nasza błogosławiona czy też, jak chcą niektórzy, święta Dorota została pochowana w tym samym miejscu, gdzie spędziła ostatnie lata życia. A jej życie było tyleż niezwykle, co bardzo, przynajmniej na dzisiejszą miarę, nieszczęśliwe. Urodziła się we wsi Mątowy Wielkie, niedaleko Malborka, jako Dorota Schwarze. Jej ojcem był holenderski osadnik, jeden z wielu, którzy w owym czasie wybrali Żuławy Wiślane na swój nowy dom. Dość wcześnie Dorota została wydana za mąż za gdańskiego rzemieślnika, płatnerza Slichtinga...

Profesor zamilkł, znów sprawdził coś w dokumentach. Kilka z nich zsunęło się z blatu i upadło na podłogę, jednak nikt z obecnych nie schylił się, by je podnieść. Widać w tym szaleństwie była jakaś metoda.

– ...za gdańskiego rzemieślnika, płatnerza Slichtinga – powtórzył profesor nieco ciszej, jakby dziwił się wypowiedzianym przez siebie słowom.

Kazimierz Reich i Andrzej Kozłowski niemal jednocześnie spojrzeli na zegarki. W tej samej chwili przez szparę w otwartym oknie, poprzez szum miasta, przedarł się dźwięk karylionu kościoła św. Katarzyny.

Świetna ilustracja wykładu, przeszło przez myśl Ewie, która bardzo lubiła swojego szefa.

– Slichting nie był dobrym mężem, ponieważ wszczynał częste awantury i bił żonę – ciągnął po chwili Krasiński, wybudziwszy się z letargu. – Małżonkowie doczekali się dziewięciorga dzieci, z których jednak po urodzeniu bądź w dzieciństwie, w wyniku epidemii, zmarło ośmioro. Wkrótce w Gdańsku na Dorotę zaczęto patrzeć jak na osobę niespełna rozumu...

– Dlaczego? – zainteresował się Reich.

– Mówiło się, że zbierała do słoików ropiejące wrzody trędowatych. Albo dosypywała do jedzenia popiół ze spalonych, spróchniałych trumien.

– No, nie przed obiadem, na Boga... – skrzywił się Kozłowski.

Krasiński puścił tę uwagę mimo uszu. Po chwili dowiedzieli się, że dziwne zachowanie Doroty ściągnęło na jej głowę uwagę ówczesnych władz

kościelnych. Nigdy jednak nie udowodniono jej praktyk czarnoksiężskich. Po śmierci męża, w 1390 roku, Dorota wyjechała do Kwidzyna, gdzie jej spowiednikiem został Johannes Marienwerder, były dziekan wydziału teologicznego uniwersytetu praskiego.

– To właśnie on dostrzegł w tej kobiecie mistyczkę, podobną do świętej Brygidy. Zezwolił jej na częstą komunię świętą, wkrótce też Dorota została, na własną prośbę, co jednak nie pozostawało bez znaczenia dla polityki zakonu krzyżackiego, zamurowana żywcem w celi przylegającej do prezbiterium kościoła w Kwidzynie.

Krasiński znów przerwał, by po sekundzie zaprezentować obecnym jakiś plan.

– Oto rzut celi, w której zamieszkiwała Dorota – powiedział. – Pomieszczenie przylegało do prezbiterium i miało dwa niewielkie okienka: zewnętrzne i wewnętrzne, przez które rekluza otrzymywała komunię i skromne posiłki. Tam też zmarła 25 czerwca

1394 roku. Na ołtarze wyniósł Dorotę papież Paweł VI w 1976 roku. Na terenie diecezji elbląskiej jest patronką kobiet – zakończył profesor.

– Ot co! – dorzucił Reich, mrugając znacząco w stronę Ewy.

Tym razem to ona spojrzała wymownie na zegarek i głośno westchnęła.

– To w zasadzie wszystko, moi państwo – podsumował profesor Krasiński, kładąc obie dłonie na papierach, jakby chciał je uchronić przed nagłym powiewem. – Zabieramy georadar, łopaty, pędzelki, a przede wszystkim dużo cierpliwości. Jutro punktualnie o ósmej rano wyjeżdżamy do Kwidzyna.

Królewo k. Malborka, wieczór tego samego dnia

Ostatnia msza odbyła się zgodnie z planem. Dwie godziny po jej zakończeniu proboszcz z Królewa siedział za biurkiem w kancelarii i przewracał strony ksiąg. Bardzo lubił te chwile samotności i ciszy, której nie zakłócało podzwanianie naczyń w kuchni ani hałasy, które powodowali

ministranci.

Nagle jego uszu dobiegł niepokojący dźwięk: coś stuknęło, a raczej zadzwoniło...

Zatrzymał wzrok na górze strony, na której jego poprzednicy skrzętnie zapisywali narodziny parafian w roku 1965, po czym uniósł spojrzenie. Powoli wstał z fotela i podszedł do drzwi.

– Waleria! – zawołał. – To ty?!

Czegoś zapomniała? – pomyślał, choć od wyjścia gospodyni minęło już ponad pół godziny.

Choć chrobotanie nie powtórzyło się, kapłan, wiedziony złym przeczuciem, w niedopiętej sutannie ruszył w stronę kościoła. Chciał sprawdzić, czy nic złego się nie dzieje. Drogę znał na pamięć; wiele razy zdarzało się, że wstawał w środku nocy i nie zapalając świeca, szedł się modlić.

W ciemności dostrzegł tylko światełko oliwnej lampki na ołtarzu. Promienie ulicznych latarni z trudnością przedzierały się przez szkiełka okiennych witraży.

– Jest tu kto? – rzucił w półmrok i chłód. – Halo! Jest tu kto?!

W pewnej chwili ujrzał przed sobą... drugie światełko oliwnej lampki. Prócz bicia własnego serca wyraźnie słyszał teraz świszczący oddech intruza; dźwięk ów zdawał się współgrać ze światełkiem, które rytmicznie pulsowało. Zapach dymu z papierosa rozwił się wreszcie tę tajemnicę.

– Kim jesteś? – zapytał znów ksiądz nie swoim głosem.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, na które przed chwilą zdążył narzucić sutannę. Wytężał wzrok, jednak nic więcej i nikogo nie zdołał dostrzec.

Nagle ogieniek papierosa zniknął. Ksiądz odruchowo zaczął się cofać.

– Przyniosłem pozdrowienia od Wiktora – rzekł intruz głosem, jakby sztucznie zniekształconym, takim, jakie często słyszy się w telewizji.

– Co takiego? – jęknął duchowny ledwo słyszalnie, robiąc kolejny krok do tyłu.

Nagle potężne uderzenie w sam środek klatki piersiowej pozbawiło go tchu. Zamachał rękami w powietrzu, ale nie upadł. Tępy ból ścisnął płuca.

– Wiktor cię pozdrawia – powtórzył nieznajomy.
– Nie znam żadnego Wiktora – sapnął proboszcz, by zaraz dodać: – Nie mam pieniędzy!
– Nie chcę twoich pieniędzy.
– To czego chcesz? Zbecześcić i nasz ołtarz? Nigdzie nie sprzedasz ani jednej rzeźby...
– Nie interesuje mnie twój ołtarz. Chcę tylko informacji.
Na szyi księdza zacisnęła się miękka obręcz, ale nie były to dłonie intruza. Te Henryk poczuł na swoim przedramieniu. Po chwili usta napastnika zbliżyły się do ucha proboszcza.
– Nigdy! – odpowiedział po chwili ksiądz, a w jego głosie obudziła się moc i hardość.
W tej samej chwili poczuł krótkie ukłucie w bok. Boleśnie precyzyjne. Po nim następne, już nieco wyżej. Jego ciało wyprężyło się, by zaraz zwiotczeć. Zgiął kolana i opuścił głowę.
– Mów – syknął napastnik.
Odpowiedziały mu już tylko słowa wypowiedziane szeptem, po grecku tuż nad marmurową posadzką.
– Kyrie eleison... – zdołał jeszcze wydobyć z siebie ksiądz Henryk, ale nikt chyba nie zrozumiałby z tego nic prócz nieartykułowanego, rozpaczliwego charkotu.
– Mów! – Zabójca nie odpuszczał, choć jemu właśnie odpuszczono najcięższą z win.
W ostatniej chwili świadomości uszy umierającego pochwyciły odgłos miętego papieru.

Krynica Morska, dwa tygodnie później

Wiatr huknął o płachtę namiotu w pomarańczowo-niebieskie pasy. Niesiony przez bryzę piasek z cichym szmerem rozsypał się po kartach książki.

Tomasz otworzył oczy, uniósł głowę i zdmuchnął drobiny.

– Gotowana kukurydza! – zawołał ktoś całkiem blisko; hasło to, dobrze już znane, było wykrzykiwane głośno (wszak trzeba było przekrzyczeć kilka setek plażowiczów i morskie fale) i ze specyficzną, kaprałską manierą, polegającą na podkręceniu ostatniej sylaby. – Kukurydza przysmak boski! Nawet łysym rosną włoski! Moja babcia chorowała, kolbę zjadła, wyzdrowiała!

Chudy mężczyzna, dźwigający dwa plastikowe pojemniki, przeciskał się między kolorowymi parawanami, parasolami i plażowymi namiocikami. Przystanął, pojemniki postawił na piasku. Podeszło do niego kilkoro dzieci.

Ledwo sprzedawca kukurydzy poszedł dalej, pojawili się inni, nie mniej głośni.

– Orzeszki w karmelu!

– Zimne lody dla ochłody!

– Zdjęcia z węzem!

Tomasz uniósł głowę. Chyba się przesłyszał. Wiejący od kilku dni silny wiatr nie tylko nie pozwalał na kąpiel pod okiem ratownika (czerwona flaga), porywał parasole i wyrывał z piasku szpilki plażowych, chińskich namiocików. Teraz jeszcze robił sobie żarty!

Owszem, można było sobie zafundować odpłatnie fotografię z Myszką Miki, Kaczorem Donaldem albo Shrekiem; przebrani za postacie z bajek ludzie, pewnie z braku lepszego pomysłu na zarabianie na życie, snuli się po plaży w kosmatych kostiumach nawet w największe upały.

Nikt jednak nie paradował w stroju węża.

– Zdjęcia z węzem! – zachęcał ktoś za pomocą szczekaczki.

Tomasz Horn, dziennikarz ogólnopolskiej gazety, dobiegający powoli czterdziestki blondyn, dzieckiem – choć często słyszał co innego – przestał być już dawno. Nie potrafił jednak odmówić sobie przyjemności osobistego sprawdzenia, w jaki to nowy sposób można wyciągnąć pieniądze od i tak otumanionych już słońcem, łupionych na każdym kroku plażowiczów.

Pośród gęstniejącej cizby stał mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, a u jego stóp identyczny jak u sprzedawców gotowanej kukurydzy, plastikowy pojemnik z pokrywką. I już po chwili było jasne, że wszystkie te

wyświechtane substytuty bajkowych bohaterów mogły się schować przy takiej atrakcji.

Człowiek w kapeluszu trzymał bowiem w rękach ogromnych rozmiarów węża.

Czy był prawdziwy? Chyba tak. Jego wilgotna skóra lśniła w słońcu; opiekun zapewniał mu w plastikowym pojemniku odpowiednie warunki do pracy i podróżowania. Z początku nie było co prawda za bardzo wiadomo, gdzie atrakcja owa ma koniec, a gdzie przód, sprawa jednak szybko wyjaśniła się, gdy zwierzę znalazło się na szyi i rozłożonych ramionach pierwszego śmiałka.

– Spokojnie, spokojnie – mówił właściciel węża do nastolatka, bo ten miał minę, jakby stał przed tablicą w szkole, nie zaś na plaży, w beztronski czas kanikuły.

Na szczęście zdjęcia szybko zostały zrobione, a opłata zainkasowana. Wąż zniknął na powrót w plastikowym pojemniku, a facet w kapeluszu już objaśniał kolejnemu chętnemu, jak fachowo trzymać jego pupila, żeby dobrze wyjść na fotografii. No i przeżyć...

Horn skrył się w cieniu namiotu, leniwym ruchem sięgnął po książkę, przeczytał kilka akapitów, jednak szybko go to znużyło. Nie tylko zresztą to. Tak naprawdę tęsknił już bowiem za swoją pracą. Za biurkiem, komputerem, codziennym redakcyjnym szumem. Być może nie potrafił po prostu wypoczywać, być może też, aby zregenerować organizm, potrzebował mniej czasu niż inni. Może gdyby miał rodzinę, dzieci, czas spędzony nad morzem wyglądałby zupełnie inaczej... Problem w tym, że wszystkie te marzenia właśnie bardzo się oddaliły. Jakiś czas temu żona Horna wyprowadziła się z domu, z czym on nie potrafił i nie chciał się pogodzić. Tygodniowy urlop nad Bałtykiem miał przynieść ukojenie nerwom.

Horn roztarł na lewym ramieniu nierozprowadzoną należycie resztkę kremu z filtrem, po czym znów wstał i rozejrzał się po plaży.

– Czas wracać – mruknął sam do siebie.

Naraz jakaś zabłąkana kolorowa piłka miękko uderzyła go w nogę. Odwrócił się i zobaczył kilkuletniego chłopca, który zbliżał się do niego po piasku, omijając koce, namiociki i parawany, by odzyskać zgubę. Horn

kopnął piłkę, chcąc ułatwić życie dziecku, ale zrobił to na tyle nieumiejętnie, że poleciała w zupełnie innym kierunku... Nawet tego nie potrafisz, zganił sam siebie w myślach.

W tej samej chwili kilkanaście metrów dalej rozległo się kilka trzaśnieć migawki aparatu fotograficznego. Na serii zdjęć nie uwieczniono jednak ani żadnego śmiałka z wężem, ani Myszki Miki, Kaczora Donalda czy Shreka.

Uwieczniono samotnego mężczyznę stojącego na tle plażowego namiotu w pomarańczowo-niebieskie pasy...

KSIĘGA PIERWSZA
CYGNUS

I

54°22'N, 19°26'E, nazajutrz, dzień pierwszy

Od samej Krynicy włókł się za autobusem. Zakręt za zakrętem, w dodatku z przeciwka sznur samochodów. Szybko musiał też zamknąć okno, bo stary grat, najpewniej sprowadzony z Niemiec, smrodził niemilosiernie.

Kilkanaście minut wcześniej Tomasz Horn spakował się, oddał klucz od pokoju i podziękował za gościnę. Pokój miał co prawda wynajęty do niedzielnego ranka, wiedział jednak, że powrót do Warszawy w niedzielę będzie oznaczał stanie w korku na E77 lub, w najlepszym przypadku, jazdę żółtym tempem w kawalkadzie samochodów.

Wolał wyruszyć w drogę w sobotę przed południem, ale za to zahaczając o Gdańsk, który bardzo lubił i w którym dawno już nie był.

Krynice Morską, którą zostawił za plecami i którą wybrał na tygodniowy samotny urlop, również bardzo lubił. Kurort położony malowniczo na Mierzei Wiślanej, rozrzucony na kilku porośniętych lasem wzgórzach, jak zwykle przeżywał wakacyjne obłożenie wczasowiczów.

Było jednak coś, co rzucało cień na tę atmosferę wakacyjnej bez troski. Tym czymś była bliskość granicy państwa, a niedaleko za nią dwa punkty na mapie Europy, na które patrzono z powagą: Bałtyjsk i Kaliningrad. Do niedawna te dwie nazwy, jak i poprzednie, przedwojenne – Pilawa i Królewiec, po niemiecku zaś Pillau i Königsberg – znali chyba tylko historycy, miejscowi biznesmeni i... zbieracze złomu. Wielkim złomowiskiem, nie bez złości, ale i nie bez racji, nazywano poradziecki port wojenny w Bałtyjsku.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Enklawę Moskwa postanowiła dozbroidzić, zapewne w reakcji na plany budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej w innym miejscu polskiego wybrzeża. Mówiło się o planach ulokowania w obwodzie kaliningradzkim broni jądrowej, także na okrętach. Zrobiło się

gorąco, mimo że sierpień był, jak zawsze, dość kapryśny. Atmosferę podgrzewały dodatkowo gazety, z zamieszczanymi w nich sugestywnymi mapkami, i dyskusje gadających głów we wszystkich kanałach telewizyjnych. Pewne było jedno: na mapie świata przybyło jeszcze jedno miejsce, które można było oznaczyć stylizowanym ogieńkiem czy bombką. Punkt zapalny albo beczka prochu. Dawne Prusy Wschodnie...

Gdyby ktoś powiedział mu, że już niedługo będzie mu dane poznać zapach tego prochu, pewnie roześmiałby się temu komuś w twarz.

– Nareszcie – mruknął Horn z zadowoleniem, przed nimi ukazał się bowiem prosty i pusty odcinek drogi.

Zredukował bieg, wcisnął gaz i wyprzedził autobus. Uspokoił jazdę, uspokoił się sam. Powietrze zafurkotało w opuszczonej szybie. Po chwili mignęła w niej biała tablica z napisem Kąty Rybackie.

Minął wieś i znów mocniej nacisnął na pedał gazu. Ruch jakby nieco zmałał. Po kilku kolejnych minutach dojechał do Sztutowa. Po prawej stronie mignęła wysoka tablica, zachęcająca do zwiedzenia muzeum byłego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Horn nie był nigdy w podobnym muzeum; w szkolnych czasach jakoś oszczędzono mu odwiedzin w Oświęcimiu czy Majdanku, więc nie zamierzał i teraz nadrabiać zaległości. Po co psuć sobie humor podczas urlopu?

Także i tutaj rządziło lato. Tłumy wczasowiczów ciągnęły na plażę chodnikami, ale i ulicą. Trzeba było uważać, a kilka razy wręcz zatrzymywać się, nawet nie przed przejściem dla pieszych. Horn robił to już jednak bez złości. Uspokoił się. Wrócił mu humor. Muzyka w radiu znów stała się nieco bardziej znośna.

W kilka chwil potem wjechał do Stegny.

– Mimo podjętych rozmów, stanowisko Rosji w sprawie obwodu kaliningradzkiego nie zmieniło się – rozgadało się radio głosem jakiegoś mądrali, ale i to nie pogorszyło samopoczucia Horna.

Potaął prawą dłonią policzek. Rozległ się cichy chrobot. Był to kolejny, ostatni powód, dla którego musiał opuścić Krynice: w całym kurorcie nie mógł bowiem dostać nożyków do golenia z trzema ostrzami pewnej marki, a tylko takimi się golił. Przez tydzień zdążył zarosnąć jak przysłowiowy dziki

agrest. W Gdańsku z pewnością je dostanie. I od razu, choćby w jakiejś łazience w centrum handlowym, zrobi z nich użytek.

Dojeżdżając do ronda, zaczął się zastanawiać, którą wybrać drogę. Jadąc prosto, po kilku kilometrach dotarłby do przeprawy promowej przez Wisłę i po paru minutach znalazłby się w Gdańsku. Jednak on odczuwał niejasny lęk przed rejsem promem, szczególnie takim, na który może wjechać nie więcej niż pięć aut. Wolał nadrobić drogi i pokonać rzekę jak cywilizowany człowiek, czyli po moście.

Zatoczył łuk, po czym skręcił w kierunku Nowego Dworu Gdańskiego i trasy E77.

Nie wiedział, że właśnie skusił los...

II

Kwidzyn, dzień pierwszy

Profesor Zbigniew Krasiński poprawił stojak. Halogenowa lampa zakołysała się. Świetlne refleksy zapełgały na bladoczerwonych ceglach prezbiterium.

– Teraz lepiej, prawda? – zapytał odrobinę schrypniętym, ale donośnym głosem, który bez wątpienia mógł należał do kogoś, kto prowadzi wykłady i kogo słucha się z zainteresowaniem.

Pytanie skierowane było w dół, jakby pod nogi profesora. Nikt tam jednak nie siedział ani nie leżał. Była tam za to solidna dziura, z której doszedł inny głos:

– Lepiej, Zbychu! Dużo lepiej.

Odtąd słyhać było jedynie sporadyczne stukanie, wymieniane półgłosem uwagi i inne zagadkowe dla przypadkowego obserwatora dźwięki. Ten sam przypadkowy obserwator pokręciłby pewnie tylko głową z politowaniem, patrząc na tę całą archeologiczną kopaninę, nazywaną szumnie i dumnie nauką, z której jednak pożytek dla współczesnych był niewielki lub wręcz żaden. No bo po co komu takie grzebanie w piasku za pomocą kilofa i łopaty,

a potem zabawek podobnych do tych, którymi dzieci bawią się w piaskownicach? Żeby to jeszcze gdzieś za granicą, najlepiej w Egipcie... Ale co ciekawego można znaleźć w małym mieście na północy Polski? W dodatku miejsca świętego uszanować nie potrafią, bo kto to widział w użytkowanym kościele i to za samym ołtarzem zamieszanie robić...

Z początku ekipie archeologów pod kierownictwem profesora Krasieńskiego szło dość opornie. Nastroje w furgonetce, którą dwa tygodnie temu jechali z Gdańska wraz z całym sprzętem, były minorowe. Nawet doktor Andrzej Kozłowski, niestrudzony figlarz i opowiadacz dowcipów, którymi okraszał każdy dotychczasowy wspólny wyjazd ekipy, siedział milcząco i patrzył tępo na przesuwający się za oknami krajobraz doliny Wisły.

Proboszcz kwidzyńskiej katedry przyjął ich bardzo serdecznie, podejmując pierwszego dnia wystawnym obiadem, po którym osobiście oprowadził ekipę po świątyni. Problem był jednak z innym duchownym, księdzem Emilianem, dobiegającym chyba setki rezydentem plebanii. Staruszek, choć zapraszany, nie wziął udziału w posiłku. A mijany po wielekroć, wciąż był bowiem dość ruchliwym starcem, pohukiwał nieprzyjaźnie i patrzył na archeologów wilkiem. O co mogło mu chodzić? Nie wiedział tego nawet ksiądz proboszcz.

– Ma już swoje lata i swoje przeżył. Był więziony w Oświęcimiu, za komuny też nie miał lekko – tłumaczył za każdym razem.

Potem archeolodzy przystąpili do badań. Mapy, wykresy, notatki. W ruch poszedł także najnowocześniejszy sprzęt – georadary i wykrywacze metali, dzięki którym bez trudu można było ustalić, gdzie pod podłogą kościoła znajdują się krypty, i przy okazji wzbudzić zainteresowanie odwiedzających świątynię od rana do wieczora zastępów dewotek. Wszystkie znalezione w ten sposób krypty, według późniejszych specjalistycznych obliczeń, okazywały się jednak „zbyt młode”, aby mogły posłużyć za miejsce spoczynku średniowiecznej mistyczki, Doroty z Mątówów.

Kiedy jednak przed tygodniem, wieczorem, georadar w najstarszej części prezbiterium, tuż za głównym ołtarzem, wskazał miejsce, które mogłoby odpowiadać kryteriom, praca archeologów wreszcie nabrała tempa.

W pierwszej z murowanych komór grobowych, które powstały w XIV wieku i wielkością odpowiadały rozmiarowi człowieka, nie znaleźli jednak niczego. Niezniechęceni, szybko zabrali się na drugą. Powoli, ostrożnie, cegła po cegle, wymieniając między sobą wyłącznie zdawkowe uwagi, archeolodzy, schodząc coraz niżej pod podłogę prezbiterium, cofali się też do zamierzchłych czasów średniowiecza...

Halogenowa lampa na stojaku znów się przekręciła. Krasiński, który dotąd klęczał na krawędzi dziury w posadzce, wstał i ponownie poprawił konstrukcję.

– Dobrze? – rzucił w dół.

– Dobrze, Zbychu – odpowiedział mu głos, ale dużo ciszej niż przed paroma chwilami.

W tym samym momencie zazgrzytały otwierane drzwi katedry. Echo poniosło po jej wnętrzu odgłos kroków. Po chwili w kręgu światła stanęli doktor Kazimierz Reich i proboszcz katedry. Obaj ukłękli obok profesora, na krawędzi otworu, choć każdy chyba z innego powodu, i zajrzeli z zaciekawieniem do środka.

– Co jest? – zapytał półgłosem pierwszy z nich.

Odpowiedzią było głucho stuknięcie.

– Wieko trumny – z dołu dobiegł głos Kozłowskiego. – Chyba to jest to.

Wtem huknęły ciężkie drzwi kościoła. Podmuch powietrza zgasił płomynek znicza palącego się pod portretem polskiego papieża w bocznej nawie świątyni. Echo długo niosło złowróżbny dźwięk, który to oddalał się, to znów jakby przybliżał, ale jeszcze długo wibrował w uszach archeologów...

– Szkoda, że Ewa nie może tego zobaczyć – westchnął Kozłowski.

– No właśnie, gdzie ona właściwie się podziewa, co? – zdenerwował się profesor.

– A skąd ja mogę wiedzieć? Może męża szuka...

– Niech któryś do niej zadzwoni.

Doktor wzruszył ramionami, po czym prychnął, pokazując swoją komórkę:

– A co ja innego robię od rana?

III

okolice Czarlina, dzień pierwszy

Droga krajowa numer 22 to pozostałość po słynnej Berlinie, autostradzie, która miała połączyć Królewiec z Berlinem i której Niemcy nie zdążyli nigdy dokończyć. Mimo to miejscami jest dość szeroka i wygodna. Aż żał zwalniać.

Jednak Tomasz Horn, chcąc nie chcąc, nacisnął na hamulec i włączył prawy kierunkowskaz. Po chwili zgasił silnik, wysiadł z auta i rozprostował plecy. Wymięta, mokra koszula nie chciała się odkleić od pleców. Zresztą cały czuł się wymięty i wczorajszy.

Wszystkie ambitne plany wzięły w łeb. Owszem, w Kiezmarku pokonał Wisłę. Aż się zdziwił, że sztuka ta udała się tak szybko i prosto. Radość trwała jednak krótko, bowiem zaraz za mostem zaczął się gigantyczny korek – i to w obie strony! Kolumna w stronę Trójmiasta poruszała w iście żółwym tempie, a zator nie miał zamiaru się rozładować. W ostatniej chwili przed ugrzęźnięciem w korku zdecydował się szukać objazdu. Bocznymi drogami, od czasu do czasu zerkając tylko ambitnie na starą mapę samochodową, usiłował ominąć feralny punkt. W ten sposób dotarł do Tczewa. Ale kilka kilometrów dalej zaświeciła się lampka rezerwy paliwa.

– Do pełna? – stwierdził raczej, niż zapytał znudzony pracownik stacji benzynowej w zielonych ogrodniczkach, zdejmując pistolet z dystrybutora.

Po kilku minutach Tomasz ponownie uruchomił silnik. Już miał wjechać na szosę, gdy nagle rozległ się huk, czemu towarzyszyło krótkie szarpnięcie.

– Tego jeszcze brakowało.... – jęknął.

Wyłączył silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki, wysiadł z samochodu i zbliżył się do stojącego za nim pechowca. W myślach już układał słowa, które zaraz wypowie. Zastanawiał się nad wyborem między „no toś pan sobie narobił” a „była sobie zniżka, była...” . Na pewno nie zamierzał być wulgarny.

Problem w tym, że za kółkiem zamiast spodziewanego safandudy, niedzielnego kierowcy siedziała... piękna dziewczyna. To znaczy jeszcze

przed chwilą z pewnością była piękna, teraz bowiem, z wiadomych powodów, jej twarz wykrzywił grymas.

– Za wszystko zapłacę, niech mi pan wierzy... – powiedziała, również wychodząc z auta.

Miała długie, ciemne włosy, upięte w koński ogon. Ubrana była w szorty w kolorze khaki, wysokie, sznurowane buty na protektorze, zielony podkoszulek na ramiączkach. W ręku trzymała telefon i to najprawdopodobniej była przyczyna stłuczki.

– Wierzę. Oczywiście, że pani wierzę – odparł z krzywym uśmiechem Horn.

Obejrzeni pobieżnie zniszczenia. W volkswagenie passacie Horna było to jedynie ukośne pęknięcie zderzaka. Trochę gorzej było w przypadku starego forda brunetki. Zgniecione blachy błotników zablokowały jedno koło; wóz raczej nie nadawał się do jazdy.

– Boże, co ja teraz zrobię?! – Dziewczyna złapała się za głowę.

– Spiesz się pani dokądś czy pożyczyła auto od taty? – próbował zgadywać Horn.

Nie wiadomo, czy sprawił to kpiący ton Horna, czy sama stłuczka – ale dziewczyna zapłakała. Tak mu się przynajmniej wydało, bo odwróciła głowę. Trwało to krótko.

– Tak jak powiedziałam, za wszystko zapłacę – rzekła dobitnie. – Ale... musi mnie pan podrzucić tam, dokąd jechałam.

– Co? – prychnął.

Jednak nieznajoma najwyraźniej nie żartowała.

– To dla mnie bardzo ważne. Naprawdę niedaleko. Proszę...

Podrapał się po głowie, spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze dwunastej. Co innego mam do roboty, pomyślał.

– Jeśli to naprawdę niedaleko – bąknął.

Nie bez trudu zepchnęli na bok forda, zabezpieczyli go i już po chwili byli w drodze. W chwili gdy Horn wrzucał czwarty bieg, nadeszła refleksja: może każe się zawieźć na jakieś odludzie, gdzie czekają jej kompani z kijami do baseballu – przeszło mu przez myśl. Jednak mimo to docisnął pedał gazu.

– Już może pani zadzwonić – powiedział, dziewczyna wciąż bowiem

ściskała w dłoni komórkę.

Patrzyła w przednią szybę i sprawiała wrażenie nieobecnej. A on nie zamierzał być wcale złośliwy. Bardziej zależało mu na tym, żeby jakoś zacząć rozmowę. Z drugiej strony, nie chciał się narzucać. To przecież on robił tu komuś grzeczność... Prawda była taka, że nigdy nie potrafił odmówić nikomu pomocy. I nie zareagować, gdy komuś działo się coś złego. Taki wymierający gatunek.

Zaraz za Wisłą, na prośbę nieznajomej, odbił w prawo. Szosa była tu wąska i o wiele gorzej utrzymana, w dodatku wiodła przez gęsty szpaler drzew. Chwila nieuwagi mogłaby skończyć się tragicznie, więc mocno chwycił za kółko i starał się nie przekraczać setki.

Pół godziny później wjechali do jakiejś większej miejscowości. Horn, zawsze czujny i zorientowany, tym razem jakoś nie zauważył tablicy z nazwą. Gdzie, do cholery, jestem? – pomyślał. Wtedy dziewczyna oświadczyła, zupełnie jakby była przewodniczką wycieczek:

– Jesteśmy na miejscu. To Kwidzyn. Na następnym skrzyżowaniu proszę skręcić w lewo.

Nic nie powiedział. Zrobił, jak chciała. Po kilku chwilach zatrzymali się w miejscu, które wskazała: na dość dużym placu w pobliżu monumentalnej gotyckiej budowli.

– Dziękuję – rzekła z uśmiechem, jakby nigdy nic uwalniając się z pasów bezpieczeństwa.

Nie miał zamiaru wypuszczać sprawczyni stłuczki bez podpisania oświadczenia albo przynajmniej spisania danych. Ale i nie musiał o to prosić. Dziewczyna sama wyciągnęła z torebki dokumenty swojego samochodu, a także prawo jazdy i dowód osobisty.

- Zostawię panu to wszystko, dobrze?
- Co?! – Horn nie wierzył własnym uszom.
- Naprawdę muszę już iść.
- Spiesz się pani na ślub czy jak?
- Coś w tym rodzaju.

Choć wiele razy przywoływał później w myślach tę scenę, nie potrafił uwierzyć, że wydarzyła się ona naprawdę.

– Jakby co, to jestem w katedrze – rzuciła jeszcze przez ramię.

Spojrzał na pozostawione mu dokumenty. Wyglądały na prawdziwe, a zdjęcie w dowodzie osobistym w istocie przedstawiało szaloną brunetkę.

– Ewa Rimmel – przeczytał na głos.

IV

Kwidzyn, dzień pierwszy

Przed bocznym wejściem do konkatedry św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie stał zaparkowany wóz transmisyjny jednej ze stacji telewizyjnych, z okrągłym talerzem satelitarnym na dachu. Reporter z mikrofonem w ręku wykonywał właśnie ćwiczenia twarzy.

Wreszcie operator kamery podniósł rękę, by po chwili gwałtownie ją opuścić.

– Dzień dobry państwu. Znajdujemy się przed konkatedrą Świętego Jana – reporter zaczął mówić do mikrofonu, utkwivszy wzrok w oku kamery. – To właśnie tutaj dokonano dziś odkrycia na miarę światową. Jest z nami kierownik ekipy archeologów, profesor Zbigniew Krasiński.

– Dzień dobry. – Mężczyzna był wyraźnie speszony obecnością tak kamery, jak i gapiów.

– Co znaleźliście? – zapytał dziennikarz, podsuwając rozmówcy mikrofon z kolorowym logiem stacji pod sam nos.

– Rozpoczynając poszukiwania, chcieliśmy ustalić miejsce spoczynku średniowiecznej mistyczki, błogosławionej Doroty z Mątowów, która w 1394 roku dała się żywcem zamurować w celi – rozpoczął z lekką sapką profesor. – Tymczasem w krypcie natrafiliśmy aż na dwie trumny, położone bardzo blisko siebie, z kompletnymi szkieletami...

– Wiadomo, że w katedrze grzebano wielkich mistrzów krzyżackich – wszedł mu w słowo dziennikarz, mrużąc przy tym oczy.

– W istocie, w trumnach znaleźliśmy zapinki zakonnych płaszczy i fragmenty skórzanych pasów rycerskich. Teraz nastąpią badania

antropologiczne szkieletów, a także ekspertyza dendrochronologiczna, która z dokładnością do jednego roku pozwoli określić datę ścięcia drzew, z których wykonano trumny.

– Czy już wiadomo, kim byli pochowani? – zapytał dziennikarz z takim dramatyзмом, jakby znaleziono tu zwłoki ofiar seryjnego mordercy i gwałciciela, nie zaś średniowieczne truchła.

– Po wstępnych konsultacjach z historykami możemy domniemywać, iż są to szczątki wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego: Wenera von Orselna i Ludolfa Königa von Wattzau. To pierwsze tego typu odkrycie na tych terenach... – zakończył profesor.

Horn minął tłumek gapiów gromadzący się przy wejściu do świątyni i niezatrzymywany przez nikogo wszedł do katedry. Było tu chłodno i cicho.

Przystanął przed dużym freskiem. Kolorowe, odrobinę naiwne malowidło przedstawiało kilku mężczyzn o brodatych, srogich twarzach, stojących na tle okien jakiejś warowni. Wszyscy dzierżyli w dłoniach miecze i ubrani byli w zbroje przykryte białymi płaszczami z czarnym krzyżem. Taki sam symbol, dodatkowo z tarczą herbową z czarnym orłem pośrodku, widniał zarówno na piersiach rycerzy, jak i na tarczach, które nieznanemu malarz umieścił u ich stóp.

– Oto oni – usłyszał za plecami kobiety głos.

Odwrócił się. To była ona: ciemne włosy, piękny uśmiech i... kiepski refleks kierowcy.

– Właściwie to chyba jeszcze nie poznaliśmy się oficjalnie. Nazywam Ewa Rimmel – wyciągnęła dłoń.

– Wiem – chrząknął. – Tomasz Horn – przedstawił się, ściskając smukłą dłoń dziewczyny.

– Przepraszam za kłopoty – powiedziała po chwili. – Naprawdę musiałam jak najszybciej tutaj dotrzeć. Zaraz podpiszę oświadczenie.

– Nie ma pośpiechu – uśmiechnął się Tomasz. – Właściwie mógłbym na ten temat coś napisać. Jestem dziennikarzem.

– Naprawdę? To może chce pan obejrzeć nasze stanowiska? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę głównego ołtarza. – Dla pana kolegów z telewizji to chyba kiepski temat, co? – rzuciła przez ramię. –

Kości stare, mało krwi. Zresztą na razie i tak nie pozwalamy filmować szkieletów...

Podeszli do ogrodzonej prowizorycznym płótkiem dziury w podłodze. Dziewczyna włączyła lampę, przysunęła bliżej stojak. Oboje przyklękli na krawędzi otworu. Przez charakterystyczną dla polskich kościołów silną woń kadzidła i stęchliznę starych sztandarów Horn poczuł zapach delikatnych perfum.

– I jak? – zapytała szeptem.

– Co ma pani na myśli?

– Piękni, prawda?

Bez słowa skinął głową, choć tak naprawdę znalezisko niezbyt przypominało ludzi: kupa żółto-brązowych gnatów różnej grubości i kształtu, porzrzucanych beładnie w długiej, wąskiej skrzynce. Obok to samo. Wszystko jakby przyprószone rdzawym proszkiem.

– Któryś z nich to Werner von Orseln – powiedziała Ewa.

– To, zdaje się – podjął Horn – jeden z tych nielicznych wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego, którzy chcieli pokoju z Polską.

– Zgadza się. Został zasztyletowany pod Złotą Bramą Wysokiego Zamku w Malborku...

V

Marienburg, 18 listopada 1330 roku

Przez całą noc męczyły go koszmarne sny. Widział w nich rozległe, zielone, falujące łąki. Był dzień – jasny, letni, upalny. Słońce wznosiło się od wschodniej strony, znad ciemniejszej na horyzoncie, grubej, choć nierównej kreski lasu, a w tym swoim śnie złym człowiek ów widział jego ruch niezwykle wyraźnie, przyspieszony, jakby nie słońcem było, a wielką, doskonałą w swoim kształcie kulą płonących ptaków – gołębi, może wron. Słyszał trzepot ich skrzydeł.

Nie, to nie skrzydła! To wiatr targał chorągwiami, zginał pierzaste czuby

na lśniących hełmach z przyłbicami. I to wiatr przecież marszczył zuchwale płaszcze białe jak śnieg, niweczając kształt na nich – czarny krzyż, przed którym klękają całe narody z miłością lub jednako silną bojaźnią.

Mrowie ich prawdziwe, tysiące! Jak okiem sięgnąć, mrowie ich, Jezu...

Brakło mu tchu. Wiatr zamarł nagle. Teraz żadnej, choćby najmniejszej fałdki na sztandarze czy rycerskim płaszczu. Tylko słońce, coraz wyżej, coraz bardziej palące. Zamknąć oczy, zacisnąć jak najsilniej, do bólu gałek. Ale i to nie zdołało go obudzić i przerwać koszmaru.

Gdy na powrót je otworzył albo raczej śnił, że je otwiera, słońca nie było już na niebie. Zielone łany przybrały kolor popiołu. Kiedy jednak spojrzął niżej, omal nie krzyknął z przerażenia.

Wszędzie, jak okiem sięgnął, leżały ciała... Jedno obok drugiego, równo, głowa w głowę, jakby to byli śpiący w karnym szyku rycerze, gotowi w każdej chwili jednak zerwać się na rozkaz i w takim samym szyku stanąć, bronią zadzwonić na chwałę i potęgę zakonu, a na trwogę wrogom jego i całego chrześcijaństwa.

Ale oni wciąż tam leżeli na trawie, nieruchomi, dziwnie spokojni, z zamkniętymi oczami, którym już powieki podbiegały sinością ostateczną, a czarnymi krzyżami na piersiach leżących śmierć ułatwiała sobie ostateczny rachunek.

Naraz poczuł na czole pierwszą zimną kroplę, po niej drugą. I następną. Zaszumiało tedy, jakby tysiąc cięciw zwolniono nagle i tysiąc strzał szło gorące powietrze. Już woda ostatniego marsza grała na żelaznych zbrojach, tarczach i przyłbicach hełmów, złachmaniając do cna ich dumne pawie czuby.

Pomiędzy leżącymi pokotem ciałami wzbierać zaczęła spieniona woda, a barwa jej była czerwona jak krew każdego żywego stworzenia i jak wino, które wypełnić miało te same ciała po zwycięstwie, ku chwale Pana. Już kipiela sięgała ciemniejących otworów po uszach obciętych nieludzko, już do nosów jucha na powrót się wdzierała, już oczy okrutnie wyklute wypełniała. A nad tym wszystkim, jak ciężka chmura burzowa, ciemniał również z krwi utkany sztandar z ptakiem drapieżnym pośrodku – orłem białym...

– Boże! – krzyknął, zrywając się z mokrego posłania i dysząc ciężko, by

po chwili przez ściśnięte jeszcze dusznym przerażeniem gardło wyrzucił cicho dwa tylko słowa, jakże bolesne: – Kowal... Brześć...

Był już dzień. Zza uchylonego okna dobiegło rzenie koni i stukot kopyt na bruku wewnętrznego dziedzińca. Nieco dalej, na podzamczu, ktoś pokrzykiwał miarowo, a ostro. Pewnie jeńców zamkowych pędzili już do pracy przy umacnianiu warowni.

Brat Werner długo leżał na łóżku. Policzki miał zapadnięte, a wrażenie złe dodatkowo potęgowała broda – odstająca, długa, zmierzwiona nieco. Włosy, również długie, rozsypane na poduszce, pozlepiane. Z jego bladej, porosłej rzadkimi, rudymi kępkami i pokrytej bliznami skóry klatki piersiowej, ciemniejącej pomiędzy białym płótnem koszuli, powoli znikwały kropelki potu. Pierś pięćdziesięcioletniego rycerza-zakonnika poruszała się miarowo, coraz spokojniej.

Koszmarne sen odchodził w zapomnienie. Był snem tylko, siedzącą na piersi zmorą, ale czy tyczył się nieodległej przeszłości, jak leżący na niedźwiedziej skórze mężczyzna pomyślał najpierw, czy zdarzeń przyszłych – tego już nie wiedział, a może i wiedzieć nie chciał...

Odwrócił głowę i spojrzał na krucyfiks, zajmujący całą niemal jedną ze ścian zamkowej alkowy. Ten drobny ruch okazał się jednak bolesnym wysiłkiem i spowodował, że ściany zawirowały mu przed oczami. W bladym świetle poranka, filtrowanym przez szklaną gomólkę (którą niedawno dopiero, na światową modłę, w miejsce błony ze zwierzęcego pęcherza wprawiono), ciało rozpiętego na krzyżu zdawało się przerażać jeszcze bardziej niż na przykład w ruchomym świetle świec, wieczorem.

Odezwała się sygnaturka na wieżyczce kościoła. Kilka spłoszonych ptaków, gnieźdzących się w wieżach, zafurkotało skrzydłami nad dachami Wysokiego Zamku. Pierwsza tego dnia msza niebawem miała się rozpocząć.

Brat Werner ciężko dźwignął się ze swojego łóża. W tej samej chwili drzwi alkowy skrzypnęły i ukazał się w nich sługa, garbus, w dodatku bezzębny, któremu było na imię Klaus. Trzymał w rękach dzban z ciepłą wodą i lniany ręcznik.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się, przesadnie cedząc słowa i zginając zniekształcony tułów bardzo nisko.

– Na wieki wieków – odpowiedział na pozdrowienie rycerz, po czym jednym ruchem ściągnął z siebie przepoconą koszulę.

Gorąca woda zapluskiała na dnie metalowej miski. Werner pochylił się nad nią. W uspokajającej się powoli tafli odbijały się zmęczone oczy starego człowieka.

W kilka pacierzy później wielki mistrz zakonu Najświętszej Marii Panny, Werner von Orseln, wyprostowany, choć czemuś smutny, w szpalerze braci szedł zamkowymi kruzgankami.

Dzień był szary i brzydki za sprawą ciężkich chmur wiszących nisko nad zamkiem i miastem, ale był też wietrzny. Blaszący kogutek na dachu baszty Dietricha obracał się jak nakręcony, a dym z kominów zamkowej kuchni i piekarni ulatywał niemal poziomo. Wszystko to rodziło nadzieję, że tego dnia słońce jednak się pojawi...

Orszak przekroczył próg kościoła. Mistrz w kilkunastu krokach przemierzył odległość do głównego ołtarza, przyklęknął przed nim, by po chwili zająć należne sobie miejsce w stallach nawy głównej. Ozwały się pierwsze dzwonki, po nich pieśń na wejście zaintonował chór braci. Rozpocząła się poranna msza święta.

Werner splótł przed sobą palce rąk, opuścił głowę, tak że broda łączyła się teraz w jeden kształt z czarno-złotym krzyżem na piersiach mistrza. Szybko stracił rachubę czasu, myśli jego uleciały z kościoła i poszybowały daleko ze stołecznej warowni, ponad okoliczne łąki, pola, lasy, mokradła i rozlewiska Nogatu i Wisły.

Daj mi, Jezu, jak i całemu zakonowi, pokój z Koroną – myśli rycerza układały się mimowolnie w słowa żarliwej modlitwy. – Niech Bóg oszczędzi krwi chrześcijańskiej, której przez lata tyle zostało przelane. Pozwól braciom moim, którzy krzyż na płaszczach noszą, dusze czyste zachować, ciała od występku i grzechu uchronić, zgodnie z przykazaniami bożymi żyć i pracować.

– Od chciwości ustrzeż, Panie... – modlitwa w myślach co raz układała się w słowa wypowiedziane, choć nie przez wszystkich jednakowo słyszalne. – Od krzywoprzysięstwa i pychy, od nieczystości...

Mijał szósty rok, od kiedy Werner von Orseln decyzją kapituły generalnej

wybrany został wielkim mistrzem zakonu, w miejsce zmarłego Karola z Trewiru, po którego stronie stanął siedem lat wcześniej, w czas zamachu stanu w państwie krzyżackim. W jego wyniku wraz z Karolem zmuszony był udać się na wygnanie, aż do Niemiec, skąd obaj wrócili dopiero w 1319 roku. Od tamtej pory pełnił brat Werner rolę rezydenta wielkiego mistrza. Już jako wielki mistrz wydał wiele aktów, które stały się podstawą ustroju państwa zakonnego, a także, mimo wciąż prowadzonej wojny z Koroną, zwołał kilka zjazdów całego pruskiego duchowieństwa. Był też mistrz Werner zapalonym budowniczym, nie tylko dusz i potęgi zakonu. Jako że od 1314 roku przewodził komandorii malborskiej, warownia, mieszcząca przeniesioną z Wenecji stolicę państwa zakonnego, bliska była jego sercu. Rozbudował przeto zamek i uczynił z niego stolicę na europejską miarę, a jednocześnie twierdzę nie do zdobycia.

Bracia zakonni odśpiewali kolejną pieśń, którą, jak i każdą inną pieśń chorału, Werner widział oczami duszy jako spadające dostojnie, powoli płonące skrawki. Materiał był to, a może włosie – tego nie wiedział. Tylko ogień, on był najważniejszy.

Ozwały się dzwonki. Przez barwne witraże w wąskich i wysokich oknach kościoła wpadły pierwsze promienie jesiennego słońca, by wraz z dymem z kadzidła podzielić zamkowy kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny na dwie nierówne części.

Wielki mistrz przyjął komunię świętą, by po chwili na powrót opuścić nisko głowę, przymknąć powieki, pod którymi wciąż sen chyba gościł, i zatopić się w rozmyślaniach. A te wciąż gorzkie były niczym piołun.

Bo zepsuci są, rozpustni są i karności im brak! – wyrzekał w myślach, zaciskając pięści niemal do białości. Cóż z tego, że ich w Niemczech i na zachodzie Europy widzą jako prawych, dzielnych, najprzedniejszych rycerzy, kiedy okrutni są i nieubłagani. Czymże ich lwie męstwo, upór, siła i wola walki wobec nieprawości, jakiej w Prusiech i na Litwie się dopuszczają, gwałcą, rabując, mordując i paląc wsie i miasta całe?! Nie! Niegodni są krzyża, który na sercu i na płaszczach swych noszą!

– *Oremus!*

– *Pater noster qui es in coelis, sanctificetur nomen tuum...*

Po porannej mszy świętej, której końca za bardzo nie pamiętał, skierował Werner von Orseln swoje kroki w stronę wielkiego refektarza, gdzie na niego i innych braci zakonnych czekało już śniadanie.

Zajął należne mu miejsce za szeroką drewnianą ławą, wraz z braćmi zakonnymi zmówił kolejną modlitwę. W podanej mu akwamanili opłukał ręce, po czym wytarł je w lniany ręcznik. Bracia służebni poczęli wnosić wiktuały. Na srebrnych tacach i misach parowało mięso kurcząt i dziczyzny z ostatniego polowania, wciągnięte tu wprost z kuchni za pomocą specjalnej windy.

Na długich stołach pojawiła się rychło kasza, ryby, wielkie bochny chleba i świeże owoce. Po całym refektarzu rozniósł się smakowity zapach smażonych grzybów – jednego z najhojniejszych darów jesieni. Zadzwończyły też gąsiorzy z winem i srebrne kielichy. Już trefniś jakiś roześmiał się głośno i jadownicie.

– *Ruhe!* – zgasił go z miejsca jakiś głos mocny, choć i on nie był w stanie wymusić w refektarzu zupełnej ciszy.

Wielki mistrz podniósł na chwilę zmęczone oczy, po czym wbił wzrok w fałdkę na białym obrusie i rzucany przez nią cień. Mimo niespokojnej nocy i chłodnej pory jesiennej wcale nie chciało mu się jeść. Tłuszcz z kurczęcego skrzydełka, leżącego na grubej pajdzie pszennego chleba, zdążył już przesiąknąć przez ciasto i rozlać się po palcach kilkoma strużkami. Przez dziesięć okien wielkiego refektarza sączyło się coraz jaśniejsze światło dnia, ale i ono nie potrafiło rozjaśnić duszy Wernerowej...

W tym samym czasie przed główną bramą Średniego Zamku, na krawędzi głębokiej fosy, ozwał się głos rogu i zatrzymał się jeździec zbrojny. Koń, pokryty siwym kurzem drogi pomieszany z potem, nisko zwiesił łeb, w poszukiwaniu najlichszej choćby kępki trawy.

Widać było, że zdrożony jest bardzo. Zaś szarpany podmuchami wiatru, biały ongiś płaszcz rycerza bardziej przypominał niebo nad Malborkiem i całymi Żuławami, znów zasnuwane przez ciężkie, listopadowe chmury.

– Kim jesteś? – dobiegło z niewielkiego, okratowanego okienka w bramie.

– Brat Johannes von Endorf – odpowiedział rycerz schrypniętym głosem, bo i pewnie od dłuższego czasu z nikim nie dane mu było zamienić słowa. – Przyjechałem z konwentu w Kłajpedzie, by wielkiego mistrza o posłuchanie prosić.

Niecały pacierz później zazgrzytały łańcuchy i zwodzony most jął się opuszczać powoli. W tym samym momencie w górę ruszyła też ciężka metalowa krata. Ledwo trap dosięgnął drugiego brzegu, na deskach zastukały końskie kopyta.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał Johannes von Endorf, mijając przyglądających mu się z bramy i najbliższego wykuszu zamkowych strażników.

Dzwony na Anioł Pański rozdzwoniły się na całego, płosząc całe stada ptaków, nie tylko tych z Wysokiego i Średniego Zamku, ale i tych zamieszkujących leżące u ich stóp Przedzamacze i miasto. Trochę ciszej, choć równie natarczywie podzwaniały w dłoniach sióstr służebnych stalowe chochle w zamkowej kuchni – znak zbliżającego się obiadu.

Jednak na żaden z tych dźwięków wielki mistrz Werner von Orseln nawet nie drgnął. Siedział sztywno na wysokim krześle, ustawionym na środku sali rycerskiej, palce jego rąk zaciskały się na rzeźbionych oparciach. Już nie próbował nawet opanować ich drżenia. Co cisnęło mu się na usta, jeden ze stojących obok niego komturów zamienił w słowa:

– Łżesz jak pies! – krzyknął niemal, robiąc przy tym pół kroku i pół obrotu ku człowiekowi; dłoń rycerza musnęła przy tym głownię miecza.

Werner von Orseln oddychał z trudem, patrząc na stojącego przed nim mężczyznę, który przypominał słup soli. Nowo przybyły do stolicy brat Johannes von Endorf z Kłajpedy spoglądał dumnie to na mistrza, to na towarzyszących mu w audiencji komturów i przybyłego akurat z Elbląga wielkiego szpitalnika zakonu.

– Znam twoją sprawę dobrze, bracie Johannesie – odezwał się cicho Werner. – Nadarmoś tracił czas i konia męczył podróżą. Komtur Kłajpedy pisał do mnie w liście o powodach twego wykluczenia z naszego zakonu. Zrozumienia dla twych czynów nie znajdę, przeto nakazuję ci natychmiastowy powrót do konwentu, gdzie będziesz musiał poddać się długiej pokucie. Dopiero potem, gdy Bóg ci odpuści, o zmiłowanie możesz komtura swego prosić.

Brat Johannes poczerwieniał na twarzy, przygryzł wargi pod czarnym wąsem. Czoło przecięła mu ukośna żyła.

– Nie! Musisz mnie wysłuchać, wielki mistrzu! – krzyknął, wyrывая się do przodu.

Szybsi byli jednak knechci z zamkowej straży. Dopadli zuchwalca i pochwycili, ten jednak nie przestawał się szarpać jak raniony byk, tak że i we trzech ledwo dawali mu radę. Von Endorf, wyższy niemal o głowę od każdego z mocujących się z nim knechtów, zmiarkował dopiero, gdy jeden z nich przyłożył mu do gardła krótką, trójgranną mizerykordię.

– Dość tego! – uciął wielki szpitalnik i wydał rozkaz uczeponym rycerza strażnikom. – Do lochu z nim!

– Nie! – wstrzymał ich Werner, podnosząc rękę. – Dajcie mu ciepłej strawy i przespać się pozwólcie. Może mu wtedy rozum wróci...

– Będziesz tego żałował! – krzyknął Johannes von Endorf. – Ktoś za to życiem zapłaci, wielki mistrzu. Ktoś zapłaci. Ty nim będziesz albo ja! – wygrażał już z korytarza głosem człowieka opętanego.

Szmer przetoczył się po zgromadzonych w sali rycerskiej. Szeptali coś, do cna poruszeni zachowaniem zuchwałego zakonnika z Kłajpedy, którego imię nie schodziło z ich ust aż do pory obiadowej, a może i dłużej.

Wieść o zajściu rozniosła się po zamku. Czym rycerz ów mógł narazić się regule, że aż tak srogi spotkał go los? Miał on na sumieniu występki w mowie czy może w picciu bądź jedzeniu? Bójkę z współbraćmi jaką czy ucieczkę z konwentu na noc albo dłużej? A może spiskował przeciw zwierzchności komtura kłajpedzkiego, śluby złamał, oddalił się z pola bitwy?

Powiadano wreszcie, że za któryś z tych występków, lub wręcz kilka jednocześnie, odmówiono Johannesowi udziału w kolejnej wyprawie, na

Żmudź chyba, a gdy ten kary z należną pokorą nie przyjął, wyrzucono go z zakonu. Co chciał von Endorf jednak u samego wielkiego mistrza w malborskiej stolicy wskórać, nie wiadomo.

Werner rozbudził się z krótkiej, poobiedniej drzemki. Tym razem nic mu się nie śniło. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. To pacholek przyniósł listy z dzisiejszej poczty. Czytając je, jeden po drugim, wielki mistrz zasępiął się coraz bardziej. Z tego, co donosili przygraniczni komturowie, wynikało, że nadzieje na rychły pokój z Koroną i królem Władysławem były coraz mniejsze. Wszystko to poruszyło go do żywego.

Kazał przynieść sobie pergamin, pióro i atrament. Rychło garbus Klaus spełnił te polecenia, dodając gąsiorek z czerwonym winem i srebrny kielich. Werner spojrzął na niego srogim wzrokiem, ale nic nie powiedział. Wiatr za oknem wzmógł się, bijąc co raz w szyby zamkowych okien, wielki mistrz jednak zdawał się tego nie słyszeć. Zatopiony we własnych myślach, pochylał się nad arkuszami pergaminu, których powierzchnie miarowo drapało ostrze pióra, zostawiając ślad w postaci równych rzędów czarnych, przypominających owady liter. W miarę jak zaczerniał się pergamin, serce mistrza Wenera wzbierało nadzieją, a twarz jaśniała.

Nie zwrócił uwagi, kiedy znów skrzypnęły drzwi alkowy. Przerwał pisanie dopiero w chwili, gdy podmuch rozkołysał płomień świecy. Podniósł wzrok srogi, gotów zbesztać intruza, ale w tej samej chwili zamarł. Stał przed nim brat Johannes von Endorf...

– Jak tu wszedłeś? – zapytał przez ściśnięte gardło Werner, zezując jednocześnie za sztyletem; ten jednak był zbyt daleko, by go szybko dosięgnąć.

– Jak widzisz, mam i tu przyjaciół – odparł spokojnie rycerz z Kłajpedy.

Gdzie się podziali strażnicy? O co chodzi temu człowiekowi? Czy o niego, wielkiego mistrza, a może o to, co za ścianą komnaty schowane: złoto, monety, cały dobytek zakonu – przez głowę Wenera przelatowały myśli niczym strzały przez naprężone cienkie sukno...

– Czego chcesz? – zapytał po chwili.

– Tego, czego i wcześniej. Posłuchania.

– Dostałeś je.

– Nie – pokręcił głową Johannes. – Tylko rozmowa w cztery oczy z tobą przyniesie spokój mej duszy.

– Powtarzam ci: miałeś już posłuchanie, Johannesie!

– O tak, miałem... – von Endorf opuścił głowę, zacisnął obie dłonie w pięści, unosząc je przed siebie, na wysokość brzucha. – Na rany Chrystusa, wielki mistrzu!

Werner milczał, w napięciu przyglądając się intruzowi. Może istotnie za bardzo był srogi, nakazując bratu Johannesowi powrót do Kłajpedy. Przecież i w malborskiej stolicy pokutę można było odbyć: służyły temu maleńkie cele, z których okienka wychodziły na kościół zamkowy, dzięki czemu pokutujący bracia mogli uczestniczyć we mszy świętej.

Wiatr za oknem jakby osłabł, świeca na stole wypalała się długim, pionowym płomieniem. Brat Johannes postąpił krok do przodu. Z oczu patrzyła mu hardość i męstwo niezwykle.

– Nie rób nic, czego byśmy potem obaj żałować mieli – rzekł drżącym głosem von Orseln, wciąż nie zmieniając pozycji, w jakiej zastał go niespodziewany gość.

Ten jednak, słysząc te słowa, tylko się uśmiechnął. Powolnym ruchem uniósł prawą dłoń i wskazującym palcem dotknął końca srebrnego krzyża, który nosił, jak niemal wszyscy bracia, na piersi na długim łańcuchu. Wciąż milcząc, zaczął wieść palcem powoli ku górze – ku nogom ukrzyżowanego, ku jego piersi i głowie, by nagle zmienić kierunek, wzdłuż prawego, rozciągniętego na ukośnej belce ramienia. Dotarłszy do końca srebrnego krucyfiksu, opuścił dłoń.

Przez twarz Wenera przebiegł cień, źrenice oczu rozszerzyły się.

– Mów – szepnął.

– Pismo przemówi.

Johannes von Endorf postąpił krok do przodu i sięgnął w zanadrze, skąd wydobyl zwinięty w rulon pergamin, który położył przed mistrzem, po czym wycofał się na wcześniejsze miejsce.

Werner rozwinął dokument, zbliżył się do kręgu światła i począł czytać. Nie minęło pół pacierza, jak dłonie zaczęły drżeć mu jak w febrze. Zmarszczył groźnie brwi. Zwinął na powrót list i gwałtownym ruchem, jakby dobywał broni, oddał go zakonnikowi.

– To niczego nie zmienia – rzekł, oddychając coraz szybciej i głośniej.

– Co mam powtórzyć swoim braciom? – zapytał rycerz, niespiesznie chowając pergamin.

– Powiedz im, że prawda i tak zwycięży...

Werner wbił nieruchome spojrzenie w krucyfiks wiszący na ścianie. Na pergaminie, u ostrego końca pióra utworzyła się czarna, doskonale okrągła plama z inkaustu. Wtem zafurkotał płaszcz gościa, a strumień powietrza położył znów płomień świecy, omal go nie dusząc.

– Dostałeś szansę, wielki mistrzu. Teraz Boga błagaj o zmiłowanie – wyszeptał twardo Johannes von Endorf, po czym zniknął za drzwiami niczym zjawa.

Słońce tego dnia jednak się pokazało, choć na krótką chwilę jeno, przed zachodem, jako kula płonąca żywym ogniem. Werner von Orseln stał oparty o balustradę na jednym z zamkowych krużganków i spoglądał ku zachodowi, w stronę rodzinnych stron.

Z Przedzamcza dochodziły odgłosy końca dnia: nawoływania ludzi, dzwonięcie metalu z kuźni bądź ludwisarni, szcęk zbroi, a może tylko łańcuchów na nogach i rękach więzionych, wreszcie rżenie koni z zamkowych stajni; Wernerowi zdawało się nawet, że i plusk wody w młynówce słyszy, choć może to tylko w głowie, od myśli bolącej, tak szumiało...

Naraz ruszył krużgankiem, z poszumem niezmiennym, bo i nie parę miał wielki mistrz nóg, a pięć par; pomny rozmowy, która równie dobrze i majakiem sennym być mogła, wyszedł ze swej alkowy, ale w otoczeniu przybocznej straży. Odwiedził wielkiego szpitalnika w jego gościnnej komnacie, z wielkim komturem Malborka o jutrzejszych łowach chwilę

porozmawiał. Zszedł nawet do stajni, zobaczyć swego ulubionego konia – za każdym razem jednak chyba tylko ciałem będąc obecnym.

Jakoż zbliżał się czas wieczornej mszy, orszak skierował się ku kościołowi Najświętszej Marii Panny. Werner von Orseln przyklęknął przed ołtarzem, po czym zasiadł w stallach. Zadrżał na dźwięk dzwonek; wydało mu się, jakby tuż nad jego uszami potrzęsał ktoś tymi dzwonekami z całej siły.

– *Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam tuam...* – zaśpiewał chór kościelny.

Werner splótł przed sobą palce rąk, ale nie opuścił głowy, jak zdarzało mu się coraz częściej. I nie uleciał wraz z kościoła, by poszybować daleko ponad lasy i mokradła Żuław, gdzie wszystko się zaczęło. Gdzie prawda leżała od z górą trzech setek lat...

– Od kłamstwa ustrzeż, Panie! – rzekł na głos, zwracając tym uwagę siedzących obok dostojników zakonu.

Kiedy po skończonej mszy wielki mistrz Werner von Orseln wychodził z kościoła, twarz miał jasną i spokojną, a głowę niósł wysoko. Zbliżając się do Złotej Bramy, ujrzał przed sobą dziwny blask, jakby padający ukośnie, słoneczny promień. Nim zdał sobie sprawę, że słońce dawno już zaszło, szeroki cień złamał ów promień, zdusił go niczym podmuch płonącej świecy.

Twarz stojącego naprzeciw brata Johannesesa von Endorfa wykrzywił grymas bólu i szaleństwa. W dłoni trzymał nóż.

– Dopełniło się – wyszeptał Werner von Orseln.

Johannes pchnął z całej siły. Poziomo ustawione ostrze zagłębiło się w ciało, precyzyjnie pomiędzy żebrami ofiary. Drugi cios padł wyżej, niemal dosięgając gardła, ale skierowany był ku dołowi. Na ustach Wenera zakwitł krwawy kwiat.

Mistrz padł w ramiona oprawcy, by po chwili osunąć się po nim na ziemię. Rozrzucone szeroko ręce i nogi zatrzepotały jeszcze i zadrżały, ciało wyprężyło się, jakby wyrwane nagle ze snu, a teraz w sen wieczny ostatecznie zapadając...

VI

Kwidzyn, dzień pierwszy

Jak to się właściwie zaczęło?

Kiedy Tomasz Horn był małym chłopcem, może czwarto-, a może piątoklasistą, z całą klasą pojechali na szkolną wycieczkę do zamku krzyżackiego w Malborku. Dzień był deszczowy, jeden z pierwszych takich w październiku, ale mimo aury w autokarze panował tradycyjny harmider; nauczycielkom nawet nie chciało się wstawać z miejsc. Oszczędzały siły i gardła na później.

Kiedy wreszcie zaparkowali pod zamkiem, nie było dzieciaka, który nie wstałby z fotela i nie przecisnął się do okna, by zobaczyć przeogromną budowlę. Gdy dano hasło do wysiadania, wszyscy uczniowie jednocześnie rzucili się do drzwi. Nawoływania nauczycielek na nic się zdały.

W pewnym momencie mały Tomek, niesiony przez rozwrzeszczaną falę, nie zauważył schodów prowadzących na zewnątrz. Zawirowało mu w głowie, wyciągnięte ręce pochwyciły pustkę. Uderzył głową o chodnik, z zadrapanego czoła zaczęła lecieć krew.

Najgorsze jednak było to, że skreślił przy tym nogę. Szybko przemyli mu ranę i okleili głowę jakimiś plastrami z samochodowej apteczki pierwszej pomocy; gorzej było z nogą – nie mógł zrobić ani jednego kroku. Musiał zostać w autobusie, podczas gdy cała jego klasa ruszyła na zwiedzanie krzyżackiej warowni.

Długo nie mógł się z tym pogodzić. Przez kilka następnych nocy śniły mu się zamkowe lochy i korytarze, takie, jakimi je sobie wyobrażał i o jakich opowiadały sobie dzieci. Opowiadały zresztą dużo więcej: o spiskach, zamachach, tajemnych paktach i ich mrozących krew w żyłach szczegółach – o wszystkim, o czym usłyszeli z ust zamkowego przewodnika.

Z tego nagłego braku, bolesnego niespełnienia, zrodziło się zainteresowanie historią. Po maturze i kilku miesiącach spędzonych na chybionym kierunku Horn wybrał studia dziennikarskie, jednak wciąż pozostał w nim sentyment do dawnych wieków i nierozwiązanych do dziś zagadek.

– Istnieje kilka teorii dotyczących przyczyn, dla których dokonano zamachu na wielkiego mistrza – rzekła półgłosem Ewa Rimmel.

Wciąż siedzieli w jednej z ław kwidzyńskiej katedry, ale już nie sami. Krasiński właśnie pokazywał efekty pracy swojego zespołu ekipie telewizyjnej.

– Pierwsza z nich, najbardziej powszechna, mówi o chorobie psychicznej, na którą cierpiał rycerz zakonny Johannes von Endorf. Zabójca, owszem, został pojmany chwilę po swoim czynie, po czym wtrącony do lochu, ale zwołana równie szybko rada starszyny zakonnej i duchowieństwa oświadczyła, że zakonnik był po prostu niespełna rozumu, a to od razu kończyło sprawę.

– Dobry sposób i dziś – wtrącił półgłosem Horn, a w duchu przywołał od razu kilka nazwisk.

– Szybko wybrano też następcę Wenera – ciągnęła Rimmel – którym został Luther von Braunschweig. On ani myślał o jakimkolwiek układaniu się z Polską i Władysławem Łokietkiem albo z Litwą. Morderstwo von Orselna mogło być zatem wynikiem politycznego spisku, za którym stał mający chrapkę na urząd von Braunschweig i jego stronnicy.

– Ale dlaczego posłużono się von Endorfem? – zapytał Tomasz. – Jego też chcieli się pozbyć?

– Mówiło się o sądzie kapturowym, który wydał wyrok na mistrza Wenera – wyjaśniła Ewa. – Rycerze zakonni spotykali się nocami, by wydać wyrok na współbrata, który odważył się sprzeniewierzyć interesom zakonu. A takim uczynkiem, w ocenie wielu Krzyżaków, była właśnie chęć dogadania się z Polakami. Każdy z uczestników takiego sądu miał na twarzy kaptur i maskę, stąd nazwa. Dzięki temu było znane tylko imię podsądnego, no i wyrok. A wykonawcę poznawało się dopiero wtedy, kiedy ten zabił.

– Jak wyznaczano zabójcę?

– Starym sposobem. Losowało się kulki: białe i jedną czarną. Kto wyciągnął czarną, musiał wykonać wyrok. Potem mógł liczyć na wyrozumiałość starszyny i tak też się stało z von Endorfem, u którego

stwierdzono obłąkanie. Mówiło się też o powodach osobistych, bo to ponoć sam Werner von Orseln odmówił bratu Johannesowi udziału w wyprawie wojennej, a każda z takich wypraw była, jakby nie patrzeć, jakimś urozmaiceniem klasztornego życia. Oczywiście powody zabójstwa mogą być jeszcze inne. Niestety najprawdopodobniej nigdy ich nie poznamy. – To powiedziawszy, Ewa wstała z ławy i wyciągnęła rękę. – Mam nadzieję, że trochę panu pomogłam i napisze pan ciekawy artykuł – rzekła. – A jeśli będzie pan chciał jeszcze jakichś informacji, uprzedzę profesora.

– Dziękuję – rzekł Tomasz, ściskając ponownie dłoń archeolożki. – Coś sensownego powinienem z tego sklecić...

– Zastanawia mnie tylko, jak to wszystko pan spamięta. – Ewa zmarszczyła czoło.

– Jakoś sobie poradzę – odparł pewnym głosem, w duchu zaś uśmiechnął się do siebie.

Od kilkunastu minut w kieszeni jego spodni działał bowiem dyktafon, z którym nigdy się nie rozstawał. W pewnej chwili zrobiło mu się nawet głupio, że nie uprzedził swojej rozmówczyni o rejestracji rozmowy. Z pewnością nie miałyby nic przeciw temu. Z drugiej jednak strony, a wiedział to z długoletniej praktyki, ludzie po prostu boją się tego małego urządzenia. Nagrywani, nie są nigdy naturalni, prawie zawsze udają kogoś innego.

Znów zbliżyli się do stanowiska archeologicznego. Z dziury w posadzce wystawały głowy Krasińskiego i Kozłowskiego. Tego pierwszego Horn zdążył poznać przed katedrą.

– To właśnie temu panu możemy zawdzięczać nasze poznanie – powiedziała półgłosem Ewa, wskazując ruchem głowy Kozłowskiego.

Do stanowiska zbliżył się operator kamery z lampą halogenową.

– Przepraszam, ale szkieletów na razie nie można sfilmować. – Kozłowski podniósł rękę, powstrzymując zapędy operatora ekipy telewizyjnej.

– Z tego, co wiem, szukaliście miejsca pochówku Doroty z Mątówów – cedził do mikrofonu niezrażony odmową reporter. – Skąd przekonanie, że to wielcy mistrzowie? Tylko z malowidła na ścianie?

Profesor chwilę milczał, jakby wysłuchiwał tłumaczenia z obcego języka. Po chwili odpowiedział.

– Wiemy to z kronik opublikowanych w XIX wieku przez niemieckiego historyka Ernsta Strehlkego. Do dziś służą one duchownym zakonu Najświętszej Marii Panny, który nadal istnieje, do odprawiania mszy w rocznicę ich śmierci. Zawierają imiona dostojników, ich krótkie charakterystyki, daty zgonów, lata panowania, a także miejsca pochówku.

– Kiedy będziemy wiedzieć więcej?

– Właściwie to dopiero początek badań. Teraz naszym znaleziskiem zajmą się inni specjaliści. Antropolodzy zbadają kości, co pozwoli określić wiek szkieletów, a nawet przebyte choroby czy przyczynę śmierci...

A czy będzie można odnaleźć ślady pchnięcia nożem? – zastanowił się Horn.

Dochodziła szósta po południu, kiedy Tomasz Horn, siedząc przy kawiarnianym stoliku i popijając latte, kończył pisać na swoim laptopie dziennikarską notatkę o znalezisku. Znalezisku na miarę europejską – tego był pewien.

Wcześniej dowiedział się jeszcze, dlaczego Werner von Orseln nie został pochowany w Malborku, pod posadzką kaplicy św. Anny, obok swoich znamienitych poprzedników, tylko w oddalonym nieco Kwidzynie: najprawdopodobniej do pochówku w stolicy nie dopuściła starszyzna zakonna, której zresztą śmierć von Orselna była na rękę.

Wybrano Marienwerder, który jako stolica biskupów pomezzańskich był wystarczająco prestiżowy, a jednocześnie położony nieco na uboczu. Drugi z pochowanych, zmarły osiemnaście lat później Ludolf König von Wattzau, wślawił się krwawymi najazdami na Litwę, które doprowadziły do bolesnego dla zakonu odwetu ze strony Litwinów. W efekcie mistrz Ludolf, w dodatku trawiony chorobą, zrezygnował z urzędu.

Horn połączył się z internetem i wysłał tekst e-mailem do sekretarza redakcji w swojej gazecie, Pawła Strzeleckiego, nie zastanawiając się nawet,

co ten pomyśli sobie, gdy w niedzielę rano przeczyta tekst o odkopanych po latach wielkich mistrzach zakonu krzyżackiego. Jeden z fotoreporterów obiecał podzielić się zdjęciami Krasińskiego z gazetą Horna. Kości co prawda nie było, ale news jest newsem.

Praca była wykonana, ale w jego głowie wciąż aż pulsowało od wrażeń. W uszach dźwięczały mu słowa opowieści Ewy i pytania: dlaczego zginął wielki mistrz zakonu krzyżackiego Werner von Orseln? Kim był brat von Endorf?

VII

Kwidzyn, dzień pierwszy

Był ciepły sobotni wieczór. Z katedry, którą w końcu udostępniono wiernym, podążały grupki mieszkańców miasta. Horn zaniósł swój bagaż do pokoju, który wynajął w niewielkim hoteliku, i udał się na mały spacer.

Miał odwiedzić Gdańsk, wylądował z Kwidzynie, ale nie żałował tego. W jednym z kiosków udało mu się wreszcie kupić nożyki do golenia, dokładnie te, których szukał. Miał zamiar ogolić się rano, a potem wskoczyć za kierownicę i, choćby bocznymi drogami, wrócić do Warszawy.

Stał właśnie przed jedną z okazałych neogotyckich kamienic, kiedy dostrzegł archeologów. Tylko Ewę Rimmel nie od razu rozpoznał; swój służbowy, można powiedzieć, strój zamieniła bowiem na letnią sukienkę w kwiaty, w której wyglądała nie mniej interesująco, za to na pewno bardziej kobieco.

– Dobry wieczór – przywitał się Horn, podchodząc do grupki naukowców.

– Idziemy oblewać nasz sukces – wyjaśniła Ewa. – Przyłączy się pan?

– Nie chciałbym przeszkadzać – zaczął się krygować. – Zostawiliście mistrzów samych? – zażartował, zmieniając jednocześnie temat.

– Tyle lat leżeli spokojnie, to i teraz nie powinni nigdzie iść – wtrącił Kozłowski.

– Panu redaktorowi pewnie chodzi o to, czy nikt niepożądany nie będzie interesował się naszym znaleziskiem – rzekł z powagą profesor Krasieński, na co Horn skinął głową. – Na szczęście mamy nieocenioną pomoc ze strony proboszcza katedry.

Horn pożegnał się, przekonany, że sympatycznych archeologów widzi po raz ostatni. Trochę żal było mu rozstawać się z Ewą, która zdążyła już podpisać oświadczenie o zdarzeniu drogowym i odebrać swoje dokumenty. Czuł się jednak zmęczony i wiedział, że nie byłby najlepszym towarzyszem zabawy. A tym bardziej mistrzem flirtu.

Wrócił do hotelu. Portier sięgnął po klucz z wielkim, drewnianym brelokiem i bez słowa, nie przerywając lektury jakiejś książki, położył go na kontuarze.

– Wie już pan, kto zabił? – zagadnął mimo wszystko Horn, ale mężczyzna, nie podnosząc wzroku znad kryminału, pokręcił tylko głową. – Dobranoc.

Wdrapał się po skrzypiących drewnianych schodach na pierwsze piętro hotelu. Klucz w zamku przekręcił się z łatwością, brelok zastukał o drzwi.

Pokój urządzony był skromnie, ale meble wyglądały na nowe. Horn rzucił w kąt torbę, nalał do szklanki nieco wody mineralnej, którą znalazł na nocnym stoliku. Włączył mały telewizor, ale zaraz ściszył fonię do zera. Na ekranie ujrzał to, czego się spodziewał, czyli mapkę północno-wschodniej Polski i obwodu kaliningradzkiego. Potem chwilę poskakał po kanałach i wyłączył odbiornik.

Był gotowy do snu, ale ten długo nie chciał nadejść. Leżał na łóżku z dłońmi splecionymi za głową i myślał o wszystkim, co tego dnia zobaczył i usłyszał, ale także o Ewie.

W pewnej chwili nasza go ochota, aby posłuchać jej głosu, który nagrał na dyktafon. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nawet nie użył go podczas pisania artykułu; wszystko dokładnie zapamiętał, niemal każdy szczegół.

Wstał z łóżka i bez zapalania światła sięgnął do kieszeni spodni, przewieszonych przez oparcie krzesła. Dyktafonu jednak nie znalazł. Niewielkie urządzenie mogło wysliznąć się z kieszeni, ale nie było go również na podłodze. Zapalił górne światło, zajrzał do podręcznej torby,

potem do kurtki, nigdzie jednak zguby nie było.

Zrobiło mu się gorąco. Nie lubił gubić czegokolwiek, a w tym wypadku szkoda byłaby dość znaczna – nie ze względu na wartość samego urządzenia, a na jego zawartość: było tam wiele nagrań, które Horn wykonał jeszcze przed urlopem i których nie zdążył spisać.

– Cholera – zaklął pod nosem, grzebiąc nerwowo w swoich rzeczach.

Był naprawdę niepokieszony. Miał jeszcze nadzieję, że zostawił dyktafon w kościele. Może upadł gdzieś na podłogę? Jutro z rana pójdę tam i poszukam, postanowił. Z tą myślą ponownie położył się do łóżka, usiłując zasnąć. O dziwo, tym razem sztuka ta udała mu się szybciej, niż przypuszczał.

Obudziło go pukanie do drzwi. Za oknem było ciemno. Spojrzał na zegarek i dzięki wpadającemu do pokoju światłu ulicznej latarni stwierdził, że jest trzecia na ranem. Z początku myślał, że może się tylko przesłyszał. Stukanie jednak powtórzyło się, tym razem było o wiele głośniejsze i bardziej natarczywe. Z bijącym sercem wstał z łóżka. Przez nagie plecy przebiegł mu dreszcz. Na palcach podszedł do drzwi.

– Kto tam? – zapytał, przyciskając ucho do chłodnej, pachnącej farbą powierzchni.

– Panie redaktorze, proszę otworzyć – mimo dzielącej ich dość grubej warstwy sklejki rozpoznał głos Ewy Rimmel.

Szybko wciągnął spodnie, zapalił światło i przekręcił klucz w zamku przy głośnym akompaniamencie stuku wielkiego breloka o płytę. Po drugiej stronie rzeczywiście stała Ewa. Wyglądała na roztrzęsioną, zaczerwienione oczy zdradzały niewyspanie albo niedawny płacz.

– Proszę, niech pani wejdzie – rzekł, otwierając szerzej drzwi.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale nie mam komu tego powiedzieć.

Usiadła na brzegu krzesła. Nalał jej do szklanki wody, którą wypił duszkiem.

– Nie wiem, co się dzieje – powiedziała szeptem. – Pół godziny temu przyszedł do mnie kustosz muzeum, którego z kolei obudziła gospodyni proboszcza. Nie widziała księdza od wczorajszej kolacji. Wyszedł wieczorem i nie wrócił. Kozłowski i Reich też zniknęli. W dodatku drzwi pokoju profesora są zamknięte na głucho.

– Prosta sprawa: zaszyli się gdzieś we czwórkę i dalej świętują wasz sukces – stwierdził Horn, z trudem powstrzymując się przed ziewnięciem.

– Nie sądzę. – Ewa pokręciła energicznie głową. – Gospodyni proboszcza z początku też tak myślała, dlatego przyszła do nas. Musi się naprawdę martwić, bo z zamku poszli z kustoszem od razu na policję. Cholera! Coś od samego początku wisiało nad tym projektem. A jeszcze ten stary ksiądz rezydent...

Przerwał jej dzwonek komórki. Dziewczyna szybko wysupłała telefon z kieszeni, odebrała połączenie, chciwie, oburącz przykładając aparat do ucha.

– Tak, słucham! Halo! Halo... – Jej twarz wykrzywił grymas. – Co się dzieje, do cholery?! – rzuciła ze złością.

– Może pani koledzy robią sobie jakieś żarty? – Horn wzruszył ramionami. – Ten Kozłowski... Dobrze mówię? Kozłowski? Przecież nawet pięciu minut spokojnie nie wysiedzi.

Dziewczyna znów pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Wróciliśmy z profesorem do zamku, Kozłowski i Reich poszli jeszcze coś kupić do jakiegoś sklepu monopolowego, bo oczywiście było im mało. Szybko zasnęłam. Obudziły mnie jakieś hałasy na korytarzu, a może w którymś z sąsiednich pokoi, nie wiem. Pomyślałam wtedy, że pewnie panowie szlachta wrócili na popas i nie za bardzo potrafią odróżnić łóżka od stołu.

– Bywa i tak.

– Żeby pan wiedział, co oni wyprawiali na wykopaliskach w Libanie. Wypuścić tylko chłopca z domu. Myślałam, że nas wszystkich miejscowi na nożach stamtąd wyniosą...

– Która była godzina? – zapytał rzeczowo Horn.

– Nie wiem, nie sprawdziłam. Dwunasta, może pierwsza. Chwilę potem

słyszałam, jak ktoś uruchamia samochód. Ale równie dobrze mogło mi się wydawać. Mieszkam na Zaspie, to takie wielkie osiedle-sypialnia, i jak ktoś rano zapuszcza silnik, a nawet tylko trzaśnie drzwiami, budzi pół osiedla...

Znów zadzwonił telefon.

– Proszę nie odbierać – powiedział, nie wiedzieć czemu, szeptem Tomasz.

– Dlaczego?

– Niech zobaczą, że nie mogą tak pogrywać.

Dziewczyna utkwiała zdziwione spojrzenie w twarzy Horna, przygryzając wargi. Tymczasem melodyjka dzwonnka fałszowała coraz głośniejsze i coraz bardziej irytujące. Minęło może piętnaście sekund, zanim Horn przyzwalająco kiwnął głową.

– Halo! Kto...? – nagle przerwała, a jej źrenice wyraźnie się rozszerzyły. Dłuższą chwilę słuchała czyjś głos. – Tak. Zaraz będę.

– Odnaleźli się? – zapytał dziennikarz.

Rimmel zmarszczyła brwi, przyłożyła do ust telefon.

– Muszę iść do kościoła.

– Jakby nie patrzeć, mamy już niedzielę! – Hornowi wrócił dobry humor. Ale dziewczyna była bardzo poważna.

– Coś musiało się stać. Dzwonili z policji – powiedziała, wstając z krzesła.

– Iść z panią?

– Jeśli nie byłby to wielki problem...

– Muszę się ubrać.

– Poczekam na dole – rzekła, po czym zniknęła za drzwiami pokoju.

Niebo po wschodniej stronie zaczęło już różowieć, kiedy dotarli do katedry. Na podjeździe, tam gdzie pewnie zawsze zatrzymywały się samochody nowożeńców, zaparkował policyjny radiowóz. Przed zamkniętymi drzwiami kościoła czekała korpulentna kobiecina i kilku mężczyzn. Żaden z nich jednak nie był archeologiem z grupy profesora Krasińskiego.

– Dzień dobry – przywitała się dziewczyna, podchodząc do owej grupki.

– Ewa Rimmel...

– Komisarz Matejuk, komenda powiatowa policji w Kwidzynie – odpowiedział jeden z mężczyzn. – To pani ma zapasowy klucz od katedry?

– Zgadza się. Ale co się stało?

– Gospodyni księdza proboszcza zgłosiła nam jego zaginięcie. Godzinę temu mieliśmy telefon, że w katedrze widać jakieś dziwne światła. Państwo prowadzicie tu wykopaliska, prawda?

– Tak, ale nikt z nas nie był tej nocy w katedrze...

– A gdzie są pani koledzy?

Ewa nic nie odpowiedziała. Spojrzała na Horna, a w tym spojrzeniu była jakaś błagalna prośba.

– Musimy wejść do środka – powiedział policjant. – Może pani otworzyć drzwi?

Dziewczyna bez słowa wyciągnęła z kieszeni duży klucz. Po chwili ciężkie, drewniane drzwi z okuciami skrzypnęły, ukazując chłodne wnętrze świątyni.

Pierwsza do środka wbiegła gospodyni księdza. Stukot jej chodaków rozniósł się echem po całej katedrze. Kobieta i trzech funkcjonariuszy z zapalonymi latarkami ruszyli od razu w stronę zakrystii. Ewa skierowała swe kroki w kierunku głównego ołtarza. Horn ruszył za nią.

Przechodząc obok ławy, gdzie kilka godzin wcześniej poznał historię Wenera von Orselna, zatrzymał się. Wszedł między ławki i przyświecając sobie telefonem komórkowym, zaczął się rozglądać za zgubionym dyktafonem. Kątem oka dostrzegł, że za ołtarzem rozbłysło światło halogenowej lampy.

Wtem rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. Horn rozpoznał głos Ewy. W kilku susach dopadł miejsca, gdzie dokonano odkrycia.

Dziewczyna stała nieruchomo nad dziurą w ziemi i spoglądała w dół. Otwarte usta, wielkie przerażone oczy. Za plecami dziennikarza zadudniło na posadzce kilka par butów. Jako pierwszy zbliżył się do grobowca komisarz Matejuk.

– Zabierzcie stąd gospodynię – powiedział cicho.

Zasapana kobieta właśnie zbliżała się do prezbiterium, ale drogę zastąpiło

jej dwóch funkcjonariuszy.

– Co się stało, chłopcy? Dlaczego nie mogę tam podejść? Czemu ta pani krzyczała? – dopytywała się niczym małe dziecko, coraz bardziej płaczącym głosem.

Horn powoli zbliżył się do krawędzi grobowca. W tej samej chwili dostrzegł, jak źrenice Ewy uciekają w głąb czaszki, a jej ciało traci równowagę. Zdołał pochwycić dziewczynę, jej ciało bezwładnie osunęło mu się w ramiona. Dopiero trzymając ją, spojrział w dół i zamarł.

W miejscu gdzie jeszcze kilka godzin temu w dwóch wąskich, drewnianych trumnach żółciła się sterta rozrzuconych bezładnie ludzkich kości, leżało teraz martwe ciało księdza. Horn domyślił się, że to poszukiwany proboszcz konkatedry św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie.

VIII

Kwidzyn, dzień drugi

Komisarz Artur Matejuk nigdy nie lubił niedziel.

Wychował się w laickiej rodzinie, jego ojciec był sierżantem milicji. Drogówki co prawda, ale zawsze milicji. Dlatego zawsze tłumy idące na niedzielną mszę albo wracające z niej wzbudzały w małym chłopcu strach.

Na początku, a było to w tym samym czasie, kiedy ksiądz na lekcjach religii kazał dzieciom rysować Artura smażącego się w piekle, bał się iść pod prąd. Wszyscy do kościółka, ubrani odświętnie, jak spod sztancy – a on do lasu albo nad jezioro, w portkach bynajmniej nie na kancik. Miał nieodparte wrażenie, że wszyscy patrzą tylko na niego, czasami nawet wołał przeczekać, na skwerze czy w bramie, aż ta fala się przetoczy.

Podobnie bywało, gdy jego klasa wybierała się na szkolną wycieczkę, której program przewidywał zwiedzanie jakiegoś kościoła. Matejuk wołał wymówić się jakimiś ważnymi domowymi obowiązkami albo wręcz udąć chorobę, niż pozwolić na siebie patrzeć w kościele i wysłuchiwać złośliwości w rodzaju: bezbożnik jeden, Belzebub. Ciekawe, czy będzie wiedział, w którą

stronę się przegnać.

Jednak z biegiem lat zaczął uważać to za formę buntu i głowę trzymał coraz wyżej. Potem komuna się skończyła, wroga nie było, więc i w kościołach zaczęło być luźniej. Niedziela jednak pozostała niedzielą – weekend już nie cieszył, a poniedziałek i kolejny tydzień czaił się za drzwiami. Było tak, dopóki Matejuk nie rozpoczął pracy w policji, gdzie przecież świątek, piątek czy niedziela. A ślub kościelny i tak wziął, bo się dziewczyna uparła. Zresztą nie było czasu na dyskusje...

Mimo to do dzisiaj niezbyt pewnie czuł się w kościele. Jak stanąć, w którym kierunku patrzeć, kiedy siedzieć, a kiedy wstać, żeby kogoś czy czegoś nie urazić...

Także i teraz komisarz Artur Matejuk, mimo że akurat w tej chwili był najważniejszą osobą w tym miejscu – miejscu zbrodni, czuł się nieswojo.

Pierwszą rzeczą, jaką kazał zrobić, prócz wezwania na miejsce właściwych ekip i wywiezienia z kościoła gospodyni denata, było postawienie przy wejściu cerbera. Zbliżała się godzina pierwszej niedzielnej mszy, więc przed katedrą zaczynały już krążyć dyżurne dewotki. W żadnym wypadku nie można było dopuścić do paniki, a takową z pewnością wywołałaby wiadomość o tragicznej śmierci miejscowego proboszcza.

– Powiedz, że są kłopoty techniczne czy coś w tym stylu – poinstruował młodego chłopaka, który na szczęście do pracy w kwidzyńskiej komendzie dojeżdżał z niedalekich Prabut i nie był jeszcze tutaj znany.

– Coś się wymyśli, komisarzu – odparł z uśmiechem posterunkowy w cywilu i zaraz dodał z nieskrywaną dumą: – Byłem kiedyś ministrantem.

Matejuk skrzywił się.

– I samochody niech zabiorą z podjazdu – rzucił jeszcze za odchodzącym. – Wszystkich naszych kieruj od tyłu, to znaczy od tej... yyy...

– Zakrystii.

– No przecież mówię.

– Tak jest!

Komisarz odetchnął z ulgą, choć tak naprawdę robota dopiero się zaczynała.

Rozejrzał się po wnętrzu katedry. Przez szybki witraży wpadało do

środka coraz więcej światła, on jednak miał w głowie kompletny zamęt. Może z niewyspania, choć do nocnych dyżurów jakoś zdążył się już przyzwyczaić.

W jednej z ław siedziała kobieta-archeolog z jakimś facetem. Dopiero co udało się ją ocucić, ale do szpitala razem z gospodynią księdza jechać nie chciała. Tak, to chyba z nią powinien najpierw porozmawiać.

Od strony zakrystii dobiegły jakieś dźwięki. Po chwili do katedry weszło kilku mężczyzn z czarnymi walizkami.

– Cześć, Artur! – zawołał jeden z nich do Matejuka, a ten podniósł rękę w pozdrowieniu, po czym ruszył w stronę rzędu ław.

– Lepiej się już pani czuje? – zapytał.

Ewa skinęła głową.

– Możemy porozmawiać? – zadał kolejne pytanie, na co dziewczyna znów przytaknęła bez słowa. – A pan to... – Przeniósł spojrzenie do Horna.

– Kolega – uprzedziła odpowiedź Rimmel.

– Archeolog? – naciskał policjant.

– Píše o naszym odkryciu. Razem znaleźliśmy zwłoki...

– Artur! – dobiegło zza ołtarza. – Możemy zaczynać!

– Już idę.

– Czy możemy iść z panem, komisarzu? – zapytał spokojnie, zgodnie z nabytą praktyczną wiedzą, Horn, po czym wstał, co też było elementem dziennikarskiej zagrywki.

Matejuk z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

– Ktoś musi pilnować wykopalisk – rzuciła twardo Ewa, również podnosząc się z miejsca.

– Jest pani pewna? – zapytał policjant nieco ironicznie, strzelając przy tym gumowymi rękawiczkami.

W odpowiedzi archeolożka, nadal trochę blada, ale z zaciśniętymi w wąską siną kreskę wargami, ruszyła dziarskim krokiem w stronę grobowca, gdzie uwijali się już policyjni specjaliści: trzaskała migawka i mrugał flesz aparatu fotograficznego. Jak jeszcze wczoraj archeolodzy, tak teraz w dole działał policyjny patolog. Któryś z kryminologów zaczął nawet pogwizdywać, ale szybko przestał.

– Z wielkości plam opadowych wynika, że śmierć nastąpiła około drugiej, trzeciej w nocy – powiedział lekarz. – Wstępnie możemy też powiedzieć, że w wyniku uderzenia tępym, twardym narzędziem w tył głowy. Jak widzimy, ciało w grobowcu zostało ułożone bardzo starannie i równo. Nogi wyprostowane, splecione dłonie, na piersiach krzyż...

– Raczej coś, co z niego zostało – zauważył komisarz Matejuk, pochylając się niżej nad dziurą.

W istocie, krucyfiks był zniszczony: ktoś odłamał jego górne ramię, na którym czasami umieszcza się tabliczkę z literami INRI, a także połowę ukośnej belki, tę spod lewego ramienia Jezusa, przy czym jego ręka i głowa pozostały nietknięte. Wyglądało to tak, jakby ciało rozpięto na odwróconej literze L.

– Upiłowane – stwierdził Matejuk, unosząc powoli krzyż do światła, by po chwili, równie ostrożnie włożyć go do foliowego woreczka. – Jacyś sataniści?

– Oni je zawsze łamią albo wbijają w ziemię do góry nogami – odparł patolog, gramoląc się na powierzchnię. – Dobra, to na razie wszystko. Dajcie znać, że mogą zabierać.

Lekarz trzymał w ręku niewielkie szczypczyki, na których końcu coś jaśniało.

– Znalazłeś coś? – zainteresował się Matejuk.

– To miał w ustach – powiedział patolog, unosząc szczypczyki do oczu.

– Co to?

– Coś jakby zwinięty papier.

– Daj do analizy.

Także i niewielka kulka trafiła do foliowego woreczka.

Po kilku chwilach stanowiska archeologów wyglądały tak, jakby zupełnie nic się nie stało.

– Czy czegoś brakuje? – Matejuk zwrócił się do Ewy.

– Kości strzałkowej Ludolfa Königa von Wattzau – odparła ze spokojem Rimmel.

Komisarz uniósł brwi.

– Co takiego?!

Ewa tylko wzruszyła ramionami.

– Na pierwszy rzut oka wszystko jest tak, jak było. Wszystkie metalowe elementy zabezpieczyliśmy dużo wcześniej. Zwłoki położono na kościach, więc pewnie zmieniło to znacznie ich układ. Może nawet kilka z nich się połamało. Musiałabym to skonsultować z kolegami i profesorem, a oni...

Jakby w odpowiedzi skrzypnęły drzwi katedry.

– Co jest, do cholery? – zaklął cicho Matejuk, ale szybko się zmitygował.
– Mówiłem, żeby nikogo nie wpuszczać.

Ewa zwróciła oczy ku niebu, jednocześnie z ulgą wypuszczając powietrze.

– O wilku mowa – powiedziała. – To są właśnie moi koledzy.

Ku głównemu ołtarzowi zmierzali lekkim skosem doktorzy Reich i Kozłowski. Obaj naukowcy, trzymani najwyraźniej przez kleszcze kaca, miny mieli nietęgę. Pierwszy z nich niósł w rękach dużą butelkę wody mineralnej, zaś twarz wiecznego filuta i żartownisia Kozłowskiego była poszarzała i dziwnie wydłużona, a oczy miał zapadnięte i podkrążone.

– Wszystko wiemy – odezwał się Reich porannym szeptem pijaczków.

– A gdzie Zbigniew? – spytała dziewczyna.

Kozłowski i Reich popatrzyli na siebie.

– Myśleliśmy, że jest z tobą w katedrze – odpowiedział Kozłowski.

– Jak widać, nie ma go tutaj – warknęła dziewczyna.

– Zostawił pokój otwarty na oścież... – wyjaśnił Reich.

Ewa zmarszczyła czoło.

– Chyba będziemy musieli poprosić pana o pomoc także i w naszej sprawie – powiedziała drżącym głosem, patrząc na komisarza.

– Jest! – rozległ się krzyk Horna, który odłączył się od pozostałych i w kilku susach dopadł drewnianej balustradki stali.

W tym samym momencie przy komisarzu bezszelestnie zjawił się jeden z funkcjonariuszy po cywilnemu, chłopak wyglądający na studenta albo nawet na licealistę.

– Co jest? – warknął przełożony, nawet na niego nie spojrzawszy.

– Ten stary ksiądz... – zaczął cicho chłopak.

– Kolejny trup?! – wypalił Matejuk.

– Nie – posterunkowy z zakłopotaniem rozejrzał się dokoła. – Chodzi o to, że on nie chce... Nie pozwala wynieść zwłok z kościoła.

– Co takiego?!

– Mówi, że trzeba najpierw nad księdzem proboszczem odmówić...

– ...kadysz! – zgadł komisarz.

Trójka archeologów, mimo powagi całej sytuacji i kaca, który bez litości trzymał w swym uścisku naukowców, omal nie parsknęła śmiechem.

– Różaniec – sprostował niemal niedosłyszalnie młodzieńki policjant.

Do grupki wolnym krokiem wrócił Horn.

– Znalazłem swój dyktafon – rzekł z zadowoleniem dziecka.

Ale chyba nie z tego powodu wszyscy go zignorowali.

IX

54°17'N, 19°26'E, dzień drugi

Koła terenowego land rovera z łatwością radziły sobie z wybojami bocznej, polnej drogi, która po kilku kilometrach przeszła w leśny dukt, wypełniony po ostatniej burzy kałużami, a następnie drogę szutrową.

Niejeden radiowóz ugrzązł już pewnie w tych wertepach, nie docierając do celu – pomyślał kierowca z zadowoleniem, mocniej naciskając na pedał gazu.

Land rover uporał się z tym zadaniem w kilkanaście minut. Zatrzymał się przed bramą z siatki w szerokich kątownikach, z drutem kolczastym u góry i tabliczką „TEREN PRYWATNY. WSTĘP WZBRONIONY”. Brama była zamknięta, choć nie było widać kłódki.

Kierowca nie wysiadał z auta. Wiedział, że mimo bardzo wczesnej pory za chwilę pomalowane zieloną farbą skrzydła otworzą się bezszelestnie i będzie mógł wjechać do środka.

Tak też się stało. Człowiek za kierownicą terenówki wrzucił pierwszy bieg i lekko nacisnął na gaz. Mijając bramę, uniósł prawą rękę w pozdrowieniu. Nie spojrzał w bok. Wiedział, że w tej samej sekundzie

unoszą się też inne ręce, a para czujnych oczu przypatruje mu się z napiętą uwagą.

– Pierdol się, śmieciu – rzucił niegłośnie pod adresem właściciela ręki i oczu.

Wiedział bowiem dobrze, gdzie znajduje się w tym momencie druga ręka niewidzialnego odzwierciedlenia i jaki ruch może wykonać w ułamku sekundy, szybciej od myśli.

Kilkanaście sekund później auto zatrzymało się; kierowca zgasił silnik.

– Chwała na wieki – rzekł ktoś półgłosem.

– Chwała na wieki – odpowiedział na pozdrowienie.

– Jaki miałeś dzień, bracie?

– Pan sprawił, że dobry.

– Pan jest wielki.

To powiedziawszy, człowiek, który jak duch pojawił się przy samochodzie, pochylił się nisko, jakby bił pokłon. Jego twarz skrywał duży kaptur, mimo to mężczyzna z land rovera poczuł nieprzyjemną woń zepsutych zębów.

– Odstawić auto do garażu? – zapytał zakapturzony.

Potwierdził ruchem głowy. Nie chciał wdawać się w rozmowę, choć wiedział, że tamten tego oczekuje.

Przylepa, kaleka życiowa bez fartu i ikry – pomyślał z pogardą. Pewnie zawsze popychali go na przerwach w szkole lub obsikiwali w toaletach. Choć i w dorosłym życiu nie było lepiej: wódka, dworzec, noclegownia dla bezdomnych. Całe zasrane *curriculum vitae*, choć z życiem prawdziwym mające chyba niewiele wspólnego. Dopiero tutaj znalazł spokój, dach nad głową i jakieś normalne zajęcie.

– Pasterz czeka na ciebie – rzekł znów tamten drżącym, słabym głosem, jakby toczyła go jakaś choroba.

Człowiek z land rovera uśmiechnął się do siebie w duchu. Wprawdzie nie do końca wykonał swoje zadanie, ale za to miał asa w rękawie. A ściślej mówiąc: w bagażniku.

X

Kwidzyn, dzień drugi

Pokoik Ewy Rimmel, udostępniony jej na czas wykopalisk, był mały i skromnie urządzony. Niewiele odbiegał swym wyglądem od hotelowej kwatery Horna, jednak to właśnie tę zamkową izbę oboje wybrali na miejsce pracy.

Zanim Horn do niej zasiadł, omiótł wzrokiem wnętrze. W innych okolicznościach pewnie próbowałby – po przedmiotach, które się tu znajdowały, po porządku albo też jego braku – dowiedzieć się czegoś o osobie, która tu mieszkała. Robił tak często, gdy był u kogoś w gościnie, tak prywatnie, jak i służbowo, przychodząc na wywiad.

Teraz jednak co innego było ważniejsze. Domagało się stuprocentowej uwagi, kusilo.

– I co? – spytała Ewa, wchodząc do izby; przynajmniej to Horn wyczytał z ruchu jej warg.

– Wciąż nic – prychnął w odpowiedzi.

Dwie godziny wcześniej, gdy zostali sami, Horn opowiedział Ewie o tym, jak zostawił dyktafon w ławie, ale jakiś uczciwy parafianin, który go znalazł, co pewnie stało się po wieczornej mszy, położył go przy ołtarzu. Oczywiście przy okazji wyszło na jaw, w jakich okolicznościach dziennikarz go włączył, ale Ewa na to nie zareagowała. Bardziej interesowało ją to, że dyktafon, w momencie gdy został znaleziony przez właściciela, nagrywał.

Nagrywał przez całą noc!

Horn zdjął z uszu duże, dźwiękoszczelne słuchawki, odłożył je obok laptopa; małżowiny miał mokre od potu.

– Nagranie ma dwanaście godzin i łatwo jest coś przegapić – dodał, jakby usprawiedliwiając swój wcześniejszy szorstki ton.

– Znam ten ból – powiedziała dziewczyna. – Czasem cały boży dzień człowiek macha pędzelkiem, a efekty żadne.

Horn westchnął. Od kilku godzin bił się z myślami. Powinien przecież oddać dyktafon policji jako dowód. Z drugiej jednak strony miał tam swoje

nagrania, wśród nich zeznania świadków w innej, nie mniej ważnej sprawie. Oprócz tego miał się wreszcie ogolić, a potem wsiąść do samochodu i wracać do Warszawy, by jutro rano zameldować się w redakcji...

Z drugiej strony – przecież właśnie, choć wciąż nieogolony i niewyspany, a do tego głodny, wykonywał swoją pracę!

Musiał to przyznać sam przed sobą: był w swoim żywiole. Zagadkowa zbrodnia, w dodatku ze średniowiecznym tropem. Co łączyło wykopaliska archeologów i ich odkrycie z zabójstwem proboszcza konkatedry św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie? Czy ciało księdza znalazło się w krypcie wielkich mistrzów przypadkiem? A może ksiądz, o którym gospodyni mówiła, że często zaglądał nocą do katedry, natknął się na złodzieja?

Tomasz Horn zawsze był tytanem pracy. Szczególnie w ostatnim czasie nie spieszył się z powrotem do pustego domu. Siedział w redakcji dłużej, niż trzeba było, często brał dyżury za kolegów. Któregoś dnia usłyszał nawet na swój temat żart, całkiem zresztą przyjemny.

– Jak powiedzieć po angielsku: urodziłem się po to, by zostać dziennikarzem? – pytał ktoś.

– *I was born to be a... Horn!* – brzmiała odpowiedź.

Miał też Horn nosa do spraw, które później okazywały się materiałami „na jedynek”, dziennikarskimi hitami. Coś w rodzaju szóstego zmysłu. I jak nigdy nie cierpiał spisywać materiałów z dyktafonu, szczególnie wywiadów, tak teraz z zapartym tchem przesłuchiwał przypadkowo zarejestrowane nagranie.

Co z tego, że prócz rozmowy z Ewą nagranie składało się, póki co, głównie z szumów i trzasków, wśród których co prawda łatwo było rozpoznać trzaskanie drzwi, gorzej z ludzkimi głosami. Takie odgłosy słychać było przez jakąś godzinę – potem rozpoczęła się msza: parafianie śpiewali głośno, ci stojący najbliżej urządzenia – wyjątkowo fałszywie.

Jakaś kobieta, którą głos w wyobraźni Horna stawiał w rzędzie starych panien o dość dużych gabarytach, nie opuszczała żadnego zwyczajowego zawołania tłumu wiernych i żadnej pieśni. A przy Baranku bożym we wrzaskliwym zawodzeniu przeszła samą siebie.

– Naprawdę martwię się zniknięciem naszego profesora – powiedziała

Rimmel. – Jego pokój, jak mówili wcześniej Kazik i Andrzej, był otwarty. I przynajmniej na pierwszy rzut oka nic z niego nie zginęło. Ten policjant mówi, że całą procedurę można wszcząć dopiero po dwóch dobach od zaginięcia.

– A wy co o tym wszystkim myślicie?

Dziewczyna rozłożyła ręce.

– Nigdy wcześniej coś takiego się nam nie przytrafiło – odparła. – A już na pewno nie w Polsce. Takie zniknięcia są bardziej podobne do wyczynów naszych młodszych kolegów. Na wykopaliskach w Libanie....

– Wiem, wiem: miejscowi chcieli was na nożach stamtąd wynieść – zaśmiał się Horn.

– Już to mówiłam – zawstydzila się Ewa, zakrywając dłonią oczy. – Przepraszam, ale mało spałam tej nocy.

– Skądś to znam.

– I jeszcze jedno. Jestem Ewa. – Wyciągnęła rękę.

– Tomasz – dziennikarz podniósł się z krzesła i lekko uściśnął dłoń dziewczyny po raz drugi. – Na pewno bardzo ułatwi nam to sprawę.

– Myślisz, że jest sprawa? – Ewa zmarszczyła brwi. – To znaczy, czy oprócz sprawy, którą zajmuje się policja, my też mamy jakąś sprawę?

– Wygląda na to, że chcąc nie chcąc, stałem się członkiem waszej ekipy.

– Przepraszam, właściwie nie wiem, jak to się stało, że cię w to wszystko wplątałam... – Ewa zaczęła zapamiętale szukać czegoś w jednej ze swoich przepastnych, turystycznych toreb.

– Nie ma problemu. Mam dużo czasu – skłamał dziennikarz.

Dziewczyna wciąż bez słowa grzebała głęboko w swoich bagażach. Horn z powrotem nałożył na uszy słuchawki i włączył odtwarzanie pliku.

Msza dobiegła końca. Kilka stuknięć mogło oznaczać, że dyktafon właśnie był przenoszony przez uczciwego znalazcę i umieszczany tam, gdzie dziennikarz znalazł go następnego dnia rano. Po dwóch minutach odezwały się chłopięce głosy i śmiechy – najpewniej należały one do ministrantów robiących sobie figle po mszy.

A może to wśród nich był morderca? Przypomniał sobie głośne w ostatnim czasie sprawy zabójstw duchownych; w jednej motywem była

zemsta za molestowanie seksualne, w drugiej pospolity rabunek.

Zaraz po ministrantach odezwał się mocny, męski głos, nakazujący chłopcom powrót do domów. Proboszcz albo kościelny. Potęgowany przez echo huk zamykanych głównych drzwi katedry.

Która to mogła być godzina? – pomyślał.

Poczuł się bez mała tak, jakby ktoś zamknął go w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu. Zrobiło mu się gorąco i duszno na samą myśl, że będzie musiał spędzić tu wiele godzin, przesłuchując plik, który obok szelestów powietrza, stłumionych odgłosów dochodzących z ulicy, gruchania siedzących na dachu i wieży gołębi być może zawierał zapis ostatnich chwil życia księdza proboszcza.

XI

Kwidzyn, dzień drugi

Ewa Rimmel wyszła ze swojego pokoju. Chyba nawet nie zauważyła jej zniknięcia. Szukający sensacji maniak – oceniła go w myślach niezbyt przyjaźnie. Nie wiedziała za bardzo, co ma ze sobą zrobić. Jej koledzy, jakby nigdy nic, pozamykali się w swoich pokojach i odsypiali kaca. Po raz kolejny tego dnia wybrała w komórce numer profesora. I po raz kolejny tej niedzieli odezwała się poczta głosowa.

Z zamyślenia wyrwał ją hałas. Coś jak spadający na twardą podłogę garnek, a raczej kilka garnków. Zaraz po nim rozległ się głośny płacz kobiety.

– Jezus Maria! Taki dobry człowiek, taki dobry! – zawodziła z plebanii gospodyni proboszcza. – Żeby tak wziąć i jak psa zabić?! Jezusie przenajświętszy...

Ewa wychyliła się z zamkowego krużganka i zobaczyła przygarbioną postać księdza Emiliana, rezydenta katedry. Stał na schodkach, u wejścia do plebanii. Jego sutanna stopiła się w jedno z ciemnym tłem, przez co dokładnie było widać tylko siwe włosy księdza, jego pobladłą, pokrytą

zmarszczkami twarzy, a także splecione dłonie.

Kapłan spojrział w górę. Dziewczyna z początku chciała się cofnąć, jednak w ostatniej chwili zrezygnowała. Radosne pomachanie rezydentowi ręką czy uśmiech byłoby z pewnością najmniej stosownym zachowaniem w obecnej chwili. Ale znali się, więc należało zrobić cokolwiek.

– Szczęść Boże – szepnęła.

Kapłan wymamrotał coś w odpowiedzi, a może tylko poruszał ustami, jak to często robili starzy ludzie. Ewa miała nadzieję, że starzec za chwilę zniknie we wnętrzu plebanii, ale on uniósł do góry dłoń i uczynił nią gest, jakby chciał przywołać dziewczynę. Wydało się jej nawet, że zrobił to z uśmiechem, choć wcale nie poczuła się od tego pewniej.

Przypomniały się jej lekcje religii z zamierzchłej przeszłości, kiedy jeszcze nie odbywały się w szkole, a chodziło się na nie do kościoła. Jedną z najbardziej srogich przestróg, używanych przez katechetkę, by zapanować nad hałastrą dzieciaków, było: „Bo wyślę cię do księdza-dziekana”. Był taki jak rezydent – stary, siwy, surowy. Nigdy nie stanęła przed jego obliczem za karę, strach jednak pozostał.

Na miękkich nogach zeszła na dół. Ksiądz- -rezydent czekał na nią w tym samym miejscu, gdzie go zobaczyła. Chciała zachować dystans, wręcz chłód, kiedy jednak spostrzegła łzy w oczach staruszka, z miejsca zrobiło jej się go żal.

– Szczęść Boże. Przepraszam, że odpowiadam dopiero teraz – powiedział kapłan. – Smutny mamy dzień.

Tylko skinęła głową. Współczucie pomieszane z atawistycznym strachem ze szkolnych lat ścisnęła ją za gardło. Ksiądz-rezydent stał na schodkach do plebanii, nieco wyżej, dlatego miała wrażenie, że przed nim klęczy.

W pewnym momencie staruszek uniósł rękę i kciukiem dotknął jej czoła. Zadrżała, ale poddała się temu bez słowa. Kapłan wyrysował jej na czole krzyżyk. A raczej dwa, choć Ewa miała wrażenie, że ciepły palec nie dokończył drugiego znaku.

– Jesteś dobra, inna... – rzekł starzec, by za chwilę, jak wiele razy wcześniej, srogo zmarszczyć brwi. – Nie powinniście byli ruszać tego miejsca! – powiedział ze wzbudzającym respekt, księżowskim zaśpiewem, by

za chwilę dodać, już o wiele ciszej: – To znów się zaczęło...

– Co takiego? – zapytała nie swoim głosem Ewa.

– Byłaś na pustyni – stwierdził bardziej, niż zapytał.

– Tak.

– Wielu przyjdzie w imieniu moim, mówiąc: jam jest, i wielu zwiódą. Powstanie bowiem naród przeciwko narodowi i królestwo przeciwko królestwu i będą miejscami trzęsienia ziemi, będzie głód.

Ewa, słuchająca dotąd słów kapłana z napiętą uwagą, pokręciła głową.

– Nie rozumiem – szepnęła.

– Ale w owe dni, które nastaną po tej udreće, zaćmi się słońce i księżyc nie zajaśnieje swoim blaskiem – mówił dalej ksiądz. – I gwiazdy spadać będą z nieba, i moce niebieskie będą poruszone. A wtedy ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego na obłokach z wielką mocą i chwałą...

Kapłan oparł się o futrynę drzwi, dyszał ciężko.

– Źle się ksiądz czuje? – przestraszyła się Ewa, on jednak zdecydowanie pokręcił głową, by za chwilę powiedzieć powoli, niemal dostojnie:

– Jest nas coraz mniej, ale oni... – zawiesił głos; palce starca zacisnęły się na drewnianej futrynie drzwi plebanii. – Oni nigdy nie znajdą tego, czego szukają...

Tomasz Horn wzdrygnął się. Otworzył szeroko oczy. Musiał przysnąć.

Przetarł oczy, spojrzął na wykres pliku. Amplituda praktycznie się nie zmieniała. Do końca nagrania pozostało już niewiele czasu. W słuchawkach było słycać tylko szum.

Ogarnęło go zniechęcenie. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną. Tracił ją średnio po trzecim telefonie w tej samej sprawie, choć bywali i lepsi. To znaczy gorsi. Choćby redakcyjny kolega Paweł Strzelecki, sekretarz redakcji.

Wtem coś huknęło. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Ktoś odtworzył i zamknął drzwi, ale nie były to główne drzwi katedry, ich odgłos zdążył już poznać, tak w rzeczywistości, jak i na nagraniu. Musiały więc to

być inne drzwi. Może te prowadzące do zakrystii?

Następnie Horn wyraźnie usłyszał stukot kroków na posadzce. Ile par nóg go wywołało? Na pewno nie była to jedna osoba...

– To tutaj. Wczoraj dokonano odkrycia – odezwał się pierwszy z głosów.

– Gdzie to jest? – zawtórował mu głos drugi, o wiele mocniejszy, bardziej pewny, a nawet grubiański; aż dziw, że na końcu nie pojawiło się przekleństwo. – Nie chcesz mi chyba wmówić, że znaleźli tylko kilka kostek!

– Naprawdę znaleźli tylko te szkielety, nic więcej.

– Kłamiesz!

– Bóg mi świadkiem... – zdanie przerwał jęk; Horn aż wstrzymał oddech, zupełnie jakby siedział w kinie, oglądając jakąś wyjątkowo drastyczną scenę.

– To się da załatwić – wycharczał prześladowca.

– Powtarzam ci: ja nic nie wiem...

Po tych słowach rozległ się odgłos szarpaniny, o posadzkę zadzwonił jakiś metalowy przedmiot. Kilka stęknień i sapnięć, świadczących o wielkim wysiłku. Zaraz po tym głucho uderzenie, jakby upadek ciężkiego ciała...

Hornowi ciężko było oddychać. Jego wyobraźnia działała na najwyższych obrotach, podsuwając mu makabryczne wizje. Przypomniał sobie wstępną ekspertyzę policyjnych patologów: zabójstwa dokonano tępym, twardym narzędziem.

Czyżby właśnie usłyszał śmierć proboszcza kwidzyńskiej katedry?

– Coś ty zrobił?! – odezwał się nagle trzeci głos.

– Ciebie czeka to samo, jeśli nie zaczniesz mówić. Ciebie i tę twoją małą – wycharczał zabójca, dysząc ciężko z charakterystycznym świstem. – No, już!

– Pojedziemy tam – odpowiedział po chwili trzeci głos i dodał: – Nie musiałeś tego robić...

Kilka sekund później znów trzasnęły drzwi zakrystii.

Horn nie miał żadnych wątpliwości: trzeci głos należał do profesora Krasieńskiego!

W tej samej chwili do pokoju wbiegła Ewa. Horn gwałtownie wstał z krzesła, zrywając z głowy słuchawki.

– Wiem! – krzyknęli równocześnie.

W innej sytuacji każde z nich zareagowałoby na coś takiego śmiechem. Ale nie teraz.

Szybsza była dziewczyna.

– Coś mnie tknęło... – mówiła, połykając niemal głoski. – Najpierw natknęłam się na tego starego księdza, który zaczął prawić mi kazania. Wtedy uzmysłowiłam sobie, że przecież nie sprawdziliśmy jeszcze naszego samochodu.

– Co to ma do rzeczy?

– Szef trzymał tam praktycznie tyle samo rzeczy co w swoim pokoju. Mówił, że nie chce mu się dźwigać wszystkiego na górę. Słuchaj, idę tam, patrzę, a za wycieraczką tkwi kartka...

Dopiero teraz zauważył, że Ewa trzyma w ręku złożoną na pół kartkę formatu A4.

– Zostawił list?

Dziewczyna skinęła głową, marszcząc jednocześnie czoło.

– Mało z tego rozumiem. – Podała mu kartkę.

– „Jadę do Miasta. Ukłony dla naszych Pań. Krasiński” – przeczytał na głos dziennikarz. – To wszystko?

– Wszystko – odpowiedziała Ewa. – Niby nic niezwykłego: nagły wyjazd, może w ważnej sprawie rodzinnej. Dostał telefon w środku nocy i nie chciał nas budzić. Tylko że w naszym zespole prócz mnie nie ma przecież żadnych kobiet.

– Pewnie chodziło mu o kogoś jeszcze. Gospodynię proboszcza na przykład. Wielka litera to oznaka szacunku. Także dla miasta. Chodziło mu o Gdańsk?

– Nie cierpiał go! To warszawiak z dziada pradziada. Nie rozumiem. – Usiadła z rezygnacją na swoim zasłanym przykładowie jak pod okiem kaprala łóżku. – A ty, znalazłeś coś ciekawego? Coś się nagrało?

– Wszystko – odpowiedział cicho. – Trzeba iść z tym na policję. Ale zanim pójdziemy, musisz się czegoś dowiedzieć.

– Czego?

Horn potarł dłonią czoło.

– Tego, że przy zabójstwie był obecny twój szef.

Ewa wzdrygnęła się i zastygła bez ruchu. Po chwili, wolnym krokiem, tak jak najbliższy członek rodziny zbliża się do okrytego białym prześcieradłem nieboszczyka, aby potwierdzić jego tożsamość, podeszła do swojego laptopa.

Nałożyła słuchawki. Po kilku chwilach oczy archeolożki zaszkliły się.

– On nie mógł mieć z tym nic wspólnego, prawda? – spojrzała na dziennikarza błagalnym wzrokiem. – Słyszałeś przecież. To było porwanie! Ktoś zmusił go do napisania tego listu, aby odwrócić naszą uwagę.

– Spokojnie, taśma mówi sama za siebie – powiedział Horn możliwie łagodnym głosem. – Nie zareagował, bo być może był skuty albo związany. Albo trzymał go na muszce ktoś czwarty.

– Tylko gdzie on może teraz być? – jęknęła Ewa.

Horn myślał dłuższą chwilę. Nagle jego twarz rozjaśniła się.

– Co byś zrobiła, gdybyś znalazła się w takiej sytuacji? Gdyby jedyną szansą zostawienia śladu był list, który porywacz na pewno wcześniej przeczyta.

– Nie wiem. Chyba zaszyfrowałabym wiadomość.

– Bingo!

– Ja chyba śnię... – jęknęła dziewczyna, znów ciężko siadając na łóżku.

– Spokojnie. – Horn, w przeciwieństwie do niej, był coraz bardziej podekscytowany. – Co wzbudziło nasze podejrzenie w tym liście?

– Miasto i panie.

– Miasto kobiet!

– Był taki film Felliniego.

Dziennikarz głośno odetchnął.

– Chyba wiem, dokąd powinnaś jechać.

Dziewczyna utkwiała w nim nieruchome spojrzenie.

– Ja? Sama? – szepnęła. – Nie mam auta, a poza tym...

– Dobra, podwiozę cię – rzekł niemal uroczystym głosem.

XII

53°58'N, 19°24'E, dzień drugi

Mokry asfalt z sykiem zniknął pod podwoziem samochodu. Wiatr rzucał na szosę połamane gałązki drzew, przywiany z pól świeży zbożowy pył, a nawet pierwsze żółknące liście. Przed niespełną godziną nad pograniczem doliny Wisły i krainy tysiąca jezior, a może nad całą północno-wschodnią Polską przetoczyła się kolejna burza.

Mimo że grzmoty zamilkły i nie było już widać błyskawic, deszcz padał coraz mocniej. Wycieraczki pracowicie zgarniały wodę z przedniej szyby samochodu Horna. Siedząca obok niego Ewa nieruchomym, zmęczonym wzrokiem wpatrywała się w przecinającą szpaler drzew szosę.

Horn machinalnie włączył radio.

– Przepraszam, nie zapytałem. – Przestraszył się. – Może chcesz spać...

– Nie, w porządku. Niech gra – odparła, próbując się uśmiechnąć. – Chociaż dawno się tak nie czułam.

Popatrzył na dziewczynę z ukosa. Rzeczywiście, wydawało się, że powieki ciążą jej coraz bardziej. Ale i z tym było jej do twarzy. Wciąż wiązała włosy w koński ogon, wydawało mu się jednak, jakby teraz miała ich więcej.

Muzyka w głośnikach przycichła, rozległ się sygnał czasu. Była druga po południu.

– Podajemy wiadomości – miękkiem, spokojnym, może nawet zbyt miękkiem i zbyt spokojnym głosem odezwała się radiowa lektorka. – Stanowisko Rosji w sprawie obwodu kaliningradzkiego nie zmieniło się. Wznowienie negocjacji zaplanowano na poniedziałek...

– Brutalny powrót do rzeczywistości, co? – zaśmiał się Horn. – Żegnajcie szlachetni rycerze i nadobne białogłowy.

– Jeśli już mówimy o białogłowach – ożywiła się Ewa. – Chyba wiem, jak wpadłeś na to, żeby szukać Krasińskiego we Fromborku.

– Naprawdę?

– To proste: kiedyś Frombork nazywał się Frauen- burg, czyli, najprościej tłumacząc, miasto pani. Z tego, co pamiętam, kanonicy warmińscy zaś w swoich dokumentach pisali *Castrum Dominae Nostrae*, czyli Gród Naszej Pani. Chodziło o Najświętszą Marię Pannę, pod której wezwaniem jest tamtejsza katedra.

– No, z tego, co wiem, również tam macie swoje stanowiska archeologiczne. A profesor miał zabrać mordercę do jakiegoś miejsca, gdzie ten ostatni miał nadzieję coś znaleźć.

– Tylko co?

– Coś, czego szukał i co najprawdopodobniej stało się przyczyną śmierci proboszcza. Może jakiś skarb?

– Baję, baję.

Horn pokręcił głową.

– Czy naprawdę nie znaleźliście niczego więcej prócz spróchniałych kości, fragmentów pasów i zapinek od płaszczy? – zapytał.

Nie od razu odpowiedziała.

– Tak naprawdę to niczego już nie jestem pewna – szepnęła. – Niczego i nikogo. Wiele razy słyszałam o archeologach sprzedających znaleziska kolekcjonerom, ale nigdy nie zetknęłam się z nikim takim osobiście.

– A może wręcz przeciwnie: bardzo dobrze kogoś takiego znałaś. Myślisz, że każdy będzie trąbił na prawo i lewo o swoich pokątnych interesach?

Ledwo to powiedział, zza zakrętu wyskoczyła ciężarówka z rozchybotaną przyczepą. Horn nacisnął na hamulec, samochodem lekko zarzuciło, koła złapały pobocze.

– Idiota! – krzyknął.

Zbliżało się południe. Mijali kolejne wsie i miasteczka. Horn ominął Malbork, kierując się przez Prabuty, Mikołajki Pomorskie i Dzierzgoń w stronę Elbląga. Trasę tę wcześniej podał do wiadomości Ewy, dziewczyna jednak tylko szeroko rozłożyła ręce.

– Mógłbyś mnie nawet wieźć za granicę. I tak nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

– Tak bardzo mi ufasz? Przecież właściwie się nie znamy.

– W tym problem.

Zamilkli na kilka dłuższych chwil. Pierwszy odezwał się Horn.

– Jak było na przesłuchaniu?

– Normalnie – bąknęła dziewczyna.

– Mówisz, jakbyś co tydzień chodziła z pielgrzymką na komendę –

zaśmiał się, ale szybko spoważniał. – A jak zareagowali na to wszystko twoi koledzy?

– Reich i Kozłowski? W ogólnie nie zareagowali, bo nic im nie powiedziałam. To znaczy nie powiedziałam, że jadę... że jedziemy do Fromborka. Według nich profesor po prostu wrócił do Gdańska, tak jak napisał na kartce zostawionej za wycieraczką samochodu. A skoro starego nie ma, to mamy przerwę i oni mają zamiar ją wykorzystać.

– Zabrali ze sobą wędkę? – zgadł Horn.

– Żebyś wiedział – potwierdziła Ewa bez uśmiechu. – W dodatku ten komisarz powiedział, że sprawę przejmuje wydział dochodzeniowo-śledczy z komendy wojewódzkiej.

– Nieźle!

– Podobno to nie pierwsze morderstwo księdza, a wszystko jednoznacznie wskazuje na motyw rabunkowy. Ostatnio z kościołów w okolicy zaczęły ginąć zabytkowe, cenne przedmioty...

– To prawda. Słyszałem o paru zabójstwach w ostatnim czasie. No dobra, a nagranie z mojego dyktafonu, które im przyniosłaś? – naciskał Horn. – Przecież to ważny dowód.

– Dla nich to żaden dowód – odpowiedziała po chwili.

– Jak to? Przecież wszystko słyszeliśmy. Groźba, morderstwo, zmowa. Wszystko było słychać wyraźnie!

– Chcesz wiedzieć, co powiedział ten komisarz?

– Pewnie.

– To ci powiem. Że... jasełkami to on się zajmował nie będzie.

Horn przygryzł wargi. Czuł się jak na ważnym kolegium redakcyjnym, na którym za chwilę ma wyciągnąć asa z rękawa: właśnie zdobył newsa tygodnia, ba, miesiąca – ale oto z tym samym wcześniej wyskakuje ktoś inny, jakiś młokos lub odwieczny konkurent.

– Czyli bawimy się w to sami – podsumował cicho po dłuższej chwili i zaraz dodał głośniejszym głosem: – Chyba że też chcesz, żeby cię podrzucić do Gdańska?

Nie doczekał się odpowiedzi.

W pewnej chwili spojrzął w lusterko wsteczne i zmarszczył brwi.

– Mam wrażenie, że ktoś za nami jedzie.

Ewa obejrzała się za siebie.

– Masz na myśli to srebrne volvo na niemieckich blachach?

– Tak. Ciągnie się za nami chyba od Prabut.

Zerknęła do bocznego lusterka.

– Właśnie skręca w boczną drogę. – Spojrzała na Horna z politowaniem.

– Zaraz zwariuję – mruknął pod nosem. – A mogłem być jeszcze na urlopie... – dodał, po czym mocniej nacisnął na gaz.

– O czym piszesz na co dzień? – zapytała po chwili dziewczyna.

– O wszystkim, co dzieje się w wielkim mieście. Że na nowy most przez Wisłę będziemy musieli poczekać jeszcze trzy lata... Tak, ten temat najbardziej mi leży – skrzywił się, przypomniawszy sobie wszystkie swoje przygody związane z przeprawą przez Wisłę, które przeżył w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin.

W bocznej szybie mignął jakiś drogowskaz. Horn nawet nie zadał sobie trudu przeczytania, jaki kierunek wskazywała strzałka.

Za to Rimmel zareagowała niczym małe dziecko na wycieczce.

– Święty Gaj! – zawołała, patrząc przez ramię w tylną szybę, w której powoli znikало skrzyżowanie i boczna droga. – Byłam tam na wykopaliskach, jeszcze podczas studiów.

– Czy to nie miejsce domniemanej męczeńskiej śmierci świętego Wojciecha?

– Zgadza się. Rozpoczęliśmy wtedy pracę nad projektem, który miał pokazać drogę, jaką przebył biskup – wyjaśniła dziewczyna z zapałem i tonem, który Horn zdążył już poznać.

– Ale przecież nie wiadomo do końca, gdzie Wojciech został zamordowany...

– Owszem, są dwie teorie. Jedna mówi, że dotarł aż na Półwysep Sambijski, gdzie zabili go poganie, druga zaś, że stało się to na terenie Pomezanii, na południe od portu Truso i dzisiejszego Elbląga. Nasze badania rozpoczęliśmy właśnie tutaj.

– I co?

– Udało się nam odkryć dwie drogi-groble, które mogły stanowić

fragmenty szlaku handlowego prowadzącego znad Bałtyku na południe Europy, aż do Rzymu. Wówczas tereny te wyglądały zupełnie inaczej niż teraz...

Wiedział o tym. Obszar dzisiejszych Żuław był płytką, ale sięgającą głęboko w łąd zatoką. Zresztą nawet po łądzie, gdzie pełno było mokradeł, bagien i szerokich rozlewisk rzek, z trudnością dawało się przejść suchą nogą. To dlatego budowano ziemno- -drewniane wały, układając od trzech do dziewięciu poziomów obrobionych bali dębowych.

– Podczas wykopalisk odkryliśmy drogę – ciągnęła ze swadą Ewa – która miała tysiąc trzysta metrów długości, blisko pięć metrów szerokości i, co najciekawsze, zachowały się na niej ślady kół kupieckich wozów. A że był to ważny szlak, świadczyły znalezione drobiny bursztynu...

– Tylko czy właśnie po tej grobli święty Wojciech z dwoma innymi zakonnikami szedł do Prusów ze swoją ostatnią misją...?

XIII

okolice grodu Cholin, 22 kwietnia 997

Kwietniowe słońce pięło się coraz wyżej nad linię horyzontu, pogrubioną przez niewidzialnego malarza ciemną kreską lasu. Promienie dopiero osuszały biegnącą groblą drogę, którą ręka tego samego twórcy pociągnęła błyszczącym werniksem, jakby malarz ów swoją pracę uznał za skończoną – choć dzień dopiero się rozpoczynał.

Jakiś spłoszony ptak wodny zafurkotał skrzydłami nisko, w gęstym sitowiu, gdzieś dalej o pomarszczoną nieco membranę wody klasnęła rybia płetwa. Lekki podmuch wiatru niósł zgniły zapach ziemi, wezbranej świeżymi sokami, tu i ówdzie pokrytej warstwami nienoszącego śladów ludzkich stóp śniegu. W górze, niezbyt wysoko, upatrując drobnej zdobyczy, krążyły wygłodniałe rybitwy. Szare zrazu od mgieł porannych niebo błękitniało coraz śmieiej.

Idący groblą trzech wędrowcy przystanęli. Ich zakapturzone postacie

rzucały na drogę i wodę długie cienie.

– Pomódlmy się – rzekł naraz jeden z nich.

Uklękli wszyscy, niemal jednocześnie, na mokrej jeszcze ziemi. Ale znak krzyża, ten obcy znak, z którym tu przyszli, każdy z nich uczynił już w innym tempie i na nieco inny sposób.

Opuścili głowy. Ich krępe cienie przypominały teraz kamienne bałwany, którym cześć oddawali mieszkańcy tych stron.

– *Pater noster...* – zaszepłali wszyscy trzej, znów prawie równocześnie.

Wojciech zacisnął zęby. Ból pleców po wczorajszym uderzeniu drewnianym wiosłem wciąż nie ustawał, a w takiej klęczącej, niewygodnej przecież pozycji jeszcze się nasilał. Ten, który go uderzył, pruski rybak, do ułomnych z pewnością nie należał.

Ponadczterdziestoletni kapłan, w którym, za sprawą podróżno-pokutnego stroju, nikt nie dopatrzyłby się godności biskupa, dyskretnie zerknął spod kaptura na swoich współbraci.

Radzim i Bogusza-Benedykt modlili się żarliwie, z półprzymkniętymi oczami. On nie. Pierwsze myśli, co prawda, ułożyły się w łacińskie słowa modlitwy, szybko jednak poszybowały, wolne, gdzieś daleko, bardzo daleko stąd...

Oto oczami wyobraźni ujrzał zatopioną w soczysto zielonej kipieli winnicę, położoną na łagodnych wzgórzach. Krętą drogą, w pełnym słońcu pięło się ku górze stadko pobekujących wesoło kózek, prowadzone przez bosonogiego pastuszka. Rozległ się dźwięk dzwonka. Dochodził z za wspinającego się też ku górze muru, wykonanego z polnego kamienia.

Oczy wyobraźni Wojciecha jak na skrzydłach wzbiły się wyżej, by po kilku chwilach ujrzeć na szczycie wzgórza jasną budowlę. Nagłe ciepło i rzewność ogarnęły serce duchownego. Pamiętał księgi klasztorne, czytane pod słońcem Italii, no i kuchnię, jakże inną od tej, z którą miał styczność od lat najmłodszych, wreszcie wino – tym ziemskim rozkoszom ulegał jeszcze lat temu kilka, jak i teraz, choć tylko w wyobraźni i wspomnieniach.

Wzdrygnął się. To wilgoć przedarła się przez sukno habitu i polizała nagie kolana klęczącego. Otworzył oczy, by zaraz je zmrużyć. Wiosenne słońce pogańskiej Pomezanii przygrzewało wcale nie słabiej niż to, które

Wojciech Sławnikowic pamiętał z pobytu na wzgórzu Monte Cassino, w benedyktyńskim klasztorze świętych Bonifacego i Aleksego na rzymskim Awentynie, jak i na zakurzonych drogach Francji, gdzie w Tours, Fleury i Saint-Denis pielgrzymował do grobów świętych mężów: Marcina, Benedykta oraz Dionizego.

Z letargu wyrwał go głos Radzima.

– Czas ruszać, bracie – rzekł zakonnik, który bratem jego przyrodnim był w istocie. – Chyba żeś zmienił zdanie... – dodał jeszcze, a w głosie jego wyraźną nutką ozwała się nadzieja na rychły powrót do swoich.

– Tak, pójdźmy już – powiedział Sławnikowic, dźwigając się z klęczek.

Subdiakon Bogusza-Benedykt chciał mu podać ramię, Wojciech jednak nie skorzystał z tej pomocy. Wyprostował się, sapnął, po czym rzekł, patrząc gdzieś w dal, ponad niezmierzone wody żuławskiej zatoki.

– A przechodząc nad Morzem Galilejskim... – Wojciech zaczął cytować z pamięci fragment Ewangelii świętego Marka – ujrzał Szymona i Andrzeja, brata Szymona, którzy zarzucali sieci w morze; byli bowiem rybakami. I rzekł do nich Jezus: Pójdźcie za mną, a sprawię, że staniecie się rybakami ludzi...

Jakże szczególnie i boleśnie słowa te brzmiały w tym miejscu i po tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni...

Minęły niespełna dwa tygodnie, jak łodzią przypłynęli Wisłą do samego Gdańska, gdzie słowo pańskie jako pierwsi usłyszeć mieli Pomorzanie. Misjonarzom towarzyszyła drużyna wojów księcia Bolesława Chrobrego, którą polski kniaź, przyjaciel cesarza Niemiec Ottona, dał im jako osłonę – trzydziestu najprzedniejszych zbrojnych gotowych walczyć w imię swojego księcia, cesarza i Jezusa Chrystusa.

Początkowo nieufni, Pomorzanie zaczęli słuchać słów Ewangelii. Po kilku dniach krzewienia nowej wiary przeprowadził Wojciech zbiorowy chrzest bałtyckiego ludu, na czele z tutejszym księciem, i rozkazał wycięcie świętego dębu. I temu się nie sprzeciwili, choć więcej ich było niżli tych,

którzy nawracać na nową wiarę ich chcieli.

Ale książe polski wpływy miał tu wielkie, tak polityczne, jak i handlowe, więc dla ich wzmocnienia i nową wiarę chciał zaszcześcić. Stało się to na dzień przed świętem Wielkiej Nocy.

Po kilku dniach Wojciech postanowił opuścić Gdańsk i ruszyć dalej, na południowy wschód, ku ziemiom Prusów, którzy szczególnie zagrażali młodemu państwu Polan.

Odbili od przyjaznego brzegu. Aby jednak misyjnej wyprawie nie nadawać charakteru wojennego, mimo grożącego misjonarzom niebezpieczeństwa, Sławnikowic miał zamiar odprawić drużynę wojów Bolesława. Tak też się stało: po kilku dniach żeglugi z łodzi wyszli tylko we trzech, za oręż mając tylko brewiarz i krucyfiks.

Nazajutrz po raz pierwszy spotkali Prusów. Stało się to na jednej z przybrzeżnych wysp, gdzie wędrowcy natrafili na rybaków. Nie potrafili się jednak porozumieć; Wojciech znał wiele języków, w tym język Wioletów, ale i z jego pomocą niewiele wskórał. Czym rozjuszył jednego z rybaków, że ten podniósł na niego rękę zbrojną w ciężkie wiosło, tego misjonarz nie wiedział. Ale od razu, jeszcze schylając się po brewiarz, który wypadł mu z rąk, tak silny bowiem był to cios, odpuścił grzech swemu prześladowcy.

Rychło natknęli się na kolejnych tubylców, wśród których jednak znajdował się jeden z miejscowych wodzów. To z jego pomocą dotarli do dużej osady, gdzie chronił ich status gości.

Było to wielkie emporium. Gwarne port z cumującymi weń łodziami i większymi statkami, na których uwijali się żeglarze o ciemnej skórze, obwałowanie i urządzenie osady, brzęk monet, przewalający się uliczkami wielojęzyczny tłum kupców i niewolników, pędzone na handel czy ubój stada krów, owiec i świń, wreszcie szczególna gościnność Prusów – wszystko to zrobiło na przybyszach ogromne wrażenie.

Gościny udzielił im ten, za którego radą i z pomocą tu przybyli – Racco. Mąż był to potężnie zbudowany, ale o jasnych, łagodnych oczach.

Spotkali się wszyscy na wieczery. Uwagę domowników nie zwróciły tak stroje gości czy ich język, jak połyskujące w świetle ognia niewielkie krzyżyki, które każdy z braci nosił na piersiach. Na pytanie, cóż to za

szczególna ozdoba, Sławnikowic uśmiechnął się szeroko.

– To znak naszej wiary – odrzekł, a słowa od razu zaczęły być tłumaczone na mniej szeleszczący, a bardziej gardłowy, jakby łykowaty język tubylców. – Jedni wielkość widzą w słońcu, inni w księżycu. My mamy krzyż, na którym do nowego życia przeszedł nasz pan. Szczególny to też amulet, co chroni od złego. Zwłaszcza dla wędrowców.

– Dalekoście już byli? – zapytał gospodarz.

– Daleko – przyznał Sławnikowic. – W Italii i Galii, i u Hunów. Wszędzie tam, gdzie znak ten przyświeca narodom jako słońce i jako księżyc, nawet jeśli nie odbija światła obcego, choćby ognia, bo światło i siłę ogromną ma w sobie.

Do końca biesiady, jak i całego wieczoru nie powrócono już do tego tematu. Służebne niewiasty donosiły potrawy i nalewały wino. Można Racco śmiał się i dowcipkował, wkrótce na jego wielkich kolanach znalazły się dwie niezwyklej urody białogłowy, które z każdą chwilą miały na sobie mniej odzienia.

Widok ten sprawił, że bracia zakonni podziękowali za posiłek i pożegnawszy się ze wszystkimi, udali się na spoczynek.

Na następny dzień zwołany był wielki wiec plemienny, na którym Wojciech, z pomocą tłumacza, miał mówić o nowej wierze w jedyne Boga.

– Pochodzę ze słowiańskiego rodu Sławnikowiców, a imię moje Wojciech – zaczął misjonarz. – Mówią też na mnie Adalbert. Przed laty wyświęcony zostałem na biskupa, dziś jednak powołanie kazało mi wdziąć pokutne szaty zakonnika i przyjść na ziemię tę z misją, której na imię: wasze zbawienie. Bo Bóg jest jeden i nie ma innego, więc w jego imię porzućcie nieme bałwany, którym cześć oddajecie, a czeka was życie wieczne!

Ledwo tłumacz przełożył ostatnie słowa, złowrogi szum przetoczył się po zgromadzonych na wiecu tłumach. Głos zabrał kapłan Prusów, siwy, chudy człowiek odziany w skóry, na którego głowie dumnie prezentował się łeb jelenia z imponującym porożem.

– Odejdź, człowieku, skądżeś przyszedł! – wykrzyknął srogim głosem, gestykując przy tym zawzięcie. – Nie trzeba nam nowych bogów ani tych, którzy im służą. Niosą bowiem słowo, ale za nim idzie ogień i krew, śmierć

i zniszczenie.

Wojciech z niedowierzaniem potoczył wzrokiem po falującym tłumie. Czy byli to wciąż ci sami ludzie, którzy wczoraj go gościli?

– Odejdź przeto człowieku – ciągnął kapłan Prusów – skądżeś przyszedł, dla naszego, ale i swojego dobra. Po trzykroć mówię ci: odejdź do swoich, jeśli ci życie miłe...

Wytykali Wojciecha palcami, celowali weń pięściami i patrzyli nienawistnie, złorzecząc w nieznanym mu języku. Czyżby zanadto zawierzył swoim słowom? A może to łatwość poprzedniej misji na gdańskim Pomorzu uspiła w nim czujność. Oddychał z trudem, oczy poczęły mu łzawić.

Spojrzał w bok, tam gdzie zasiadał ten, który przyjął pod swój dach trójkę misjonarzy z obcego kraju. Ale twarz Racca nie zdradzała żadnych uczuć: usta zniknęły w gęstym zaroście, tylko oczy, te jego oczy, jasne i łagodne, zdradzały go, jakby chciały powiedzieć: wybaczcie.

– I rzekł im: Pójdźmy gdzie indziej, do pobliskich osiedli, abym i tam kazał, bom na to przyszedł – rzekł Sławnikowic do Radzima i Boguszy-Benedykta, po czym wszyscy trzej, kryjąc głowy pod kapturami habitów, choć żadna to była ochrona, czym prędzej opuścili pruski wiec i nadbrzeżny gród.

Żaden z misjonarzy nie zauważył, że przez cały ten czas przypatrywała im się, ale z uwagą, a nie nienawiścią, jeszcze jedna para oczu.

Słońce zbliżało się już ku zenitowi, gdy trzej misjonarze ujrzeli przed sobą niewielki gródek, nad którym unosiły się liczne dymy. Zbliżała się pora głównego posiłku.

– Tu będziemy bezpieczni – rzekł Wojciech.

– To przecież osada pogan, panie! – zawołał Bogusza-Benedykt.

– Nie pamiętasz, że nam grozili? – przyszedł mu w sukurs Radzim.

Były biskup Pragi jednak podniósł z godnością głowę.

– Czyż nie po to tutaj jesteśmy, bracia? – zapytał, po czym rzekł uroczyście: – A przywoławszy lud wraz z uczniami swoimi, rzekł im: Jeśli

kto chce pójść za mną, niech zaprze się samego siebie i weźmie krzyż swój i naśladuje mnie – dokończył Wojciech, by za chwilę dodać, już tylko w duchu: „Jeszcze ten jeden raz...”.

XIV

Frombork, dzień drugi

Profesor Serafin Buczyński niezbyt przepadał za wakacyjnym sezonem. Denerwował go tłum od rana do nocy przewalający się po uliczkach, wysypujący się ze statków wycieczkowych z Krynicy, okupujący bary i restauracje w pobliżu portu.

Nie był co prawda mieszkańcem miasteczka, ale nie był też zwyczajnym turystą. Po prostu pracował tu, a dokładnie prowadził wykopaliska archeologiczne, przed dwoma laty zaś dokonał tego, co nie udało się jeszcze nikomu – odnalazł grobowiec Mikołaja Kopernika!

Słońce wisiało wysoko nad Wzgórzem Katedralnym. Buczyński minął obelisk przypominający o masowej ucieczce mieszkańców dawnych Prus Wschodnich przez zamarznięty Zalew Wiślany zimą 1945 roku, a potem Wieżę Wodną. Przeszedł przez jezdnię i stanął twarzą w twarz z wielką, wyrzeźbioną w kamieniu i ustawioną na postumencie postacią.

– I co, stary safandulo? – rzekł do niemego kamienia Serafin.

Twarz posągu dalece różniła się od tej na zdjęciu, które swego czasu obiegało wszystkie gazety w Polsce. Czy kolorowa fotografia siwego, łysiejącego faceta o zdeformowanym nosie i wychudłej twarzy, zrekonstruowanej na podstawie odnalezionej czaszki (ale bez żuchwy), rzeczywiście przedstawiała tego, który wstrzymał Słońce, a ruszył Ziemię?

Wiele wskazywało na to, że tak. Wcześniej, jeszcze przed wojną, odnaleźć miejsce pochówku astronoma próbowała inna polska ekipa, potem Niemcy i, po zakończeniu działań wojennych, Rosjanie. Nikt jednak nie natrafił nawet na kostkę z jego małego palca!

Teraz profesor znów prowadził wykopaliska we Fromborku. Tym razem

w byłym kościele św. Mikołaja, który przed wojną służył mieszkańcom jako fara, jednak zimą 1945 roku, kiedy wojska hitlerowskie stawiały w tych okolicach zacięty opór, został zniszczony. Po wojnie odbudowany, nie wrócił do pierwotnego przeznaczenia – uruchomiono w nim miejską kotłownię. Był to ewenement w skali światowej, powód do wstydu, bo przecież nawet Sowieci, którzy po II wojnie światowej zajęli północną część Prus Wschodnich, w byłych świątyniach urządzali domy kultury, w ostateczności *uniwiermagi*. Ale nigdy kotłownie!

Dziś kościół znów stał się własnością parafii; mówiło się o zorganizowaniu weń muzeum diecezjalnego... Wciąż jednak stał pusty, bez wielu właściwych świątyni detali, z nadpalonym dachem. Obiekt jak najbardziej nadawał się zatem do tego, by zorganizować w nim stanowiska archeologiczne.

Profesor minął neogotycki, poewangelicki kościół, obecnie pełniący rolę przedpogrzebowej kaplicy, i skierował się w stronę Wzgórza Katedralnego oraz jednej ze znajdujących się tam kanonii, gdzie zakwaterowano archeologów na czas ich prac.

Naraz usłyszał za plecami pisk hamulców. Nie obejrzał się jednak. Widać nie wszyscy idioci wyjechali, by siać postrach w swoich miastach – pomyślał.

– Witaj, Serafinie – usłyszał znajomy głos.

Profesor Zbigniew Krasieński opuścił do końca szybę w samochodzie.

– Zbyszek! – ucieszył się Buczyński. – Co cię tu sprowadza? Słyszałem, słyszałem. I serdecznie ci gratuluję.

– Idziesz do kanonii? – zapytał Krasieński, a gdy znajomy skinął potakująco głową, wrzucił jedynekę i zawołał: – Wpadnę za jakąś godzinę. Mam do ciebie sprawę.

– Spożywczy prosto i w lewo – zaśmiał się Serafin, podczas gdy auto Krasieńskiego wyjątkowo hałaśliwie, jakby kierowca bez czucia naciskał pedał gazu, ruszało z miejsca.

W kanonii, gdzie kwaterowali archeolodzy, Buczyński nie zastał nikogo z trzyosobowej ekipy. Niezbyt zmartwił się tym faktem. Wręcz przeciwnie: był zadowolony, że jego pracownicy (dla większości była to pierwsza

ekspedycja) z takim zapalem uczestniczą w wykopaliskach.

Zabrał aparat fotograficzny i niezbyt jeszcze grubą teczkę z dokumentacją, po czym skierował swe kroki w dół, ku kościołowi św. Mikołaja.

– *Guten Tag!* – wyrwało go z zamyślenia rzucone przez kogoś pozdrowienie.

Właśnie mijała go grupka starszych pań.

– *Guten Tag* – odpowiedział, ukazując równy rząd białych zębów.

Nie pierwszy raz ktoś się mylił. Szpakowaty, wysoki, lekko pochylony, w okularach w srebrnej oprawie, w jasnym swetrze i popielatych spodniach, w dodatku z niconem przewieszonym przez ramię wyglądał na niemieckiego turystę, emeryta korzystającego z uroków jesieni życia.

Po kilku chwilach Buczyński nacisnął przerdzewiałą klamkę drzwi nieczynnego kościoła. Jeszcze nie wszedł do środka, a już skrzywił się, jak zwykle gdy jego nozdrza atakowała ostra woń spalenizny, której w tym miejscu jak dotąd nie udało się pozbyć – i pewnie jeszcze długo nie będzie to możliwe.

Tymczasem furta nie ustąpiła pod naciskiem. Spróbował jeszcze raz. Znów to samo. Zrobił krok do tyłu i dopiero wtedy dostrzegł niewielką, złożoną we czworo kartkę, wetkniętą w szparę między futryną a skrzydłem drzwi. Wiele razy tak się porozumiewali z zespołem.

Wyjął i rozłożył list.

– Jesteśmy w katedrze – przeczytał na głos, nie próbując nawet odgadnąć charakteru pisma, wzruszył ramionami, po czym na powrót złożył kartkę i umieścił na miejscu, na wypadek gdyby ktoś tak jak on pocałował klamkę.

Westchnął głośno. Nie chciało mu się czekać.

Co takiego może dzieć się w katedrze? – zastanawiał się Buczyński. Ostatnio proboszcz alarmował o ruszających się kafelkach posadzki, co mogło być pozostałością po ich pracy; chodziło o piasek na podsypkę – ten średniowieczny nie zawierał soli, dziś takiego piasku praktycznie już nie ma. Szybko to załatwili przy pomocy zaprzyjaźnionych fachowców z Elbląga, którzy na szczęście nie wyjechali układać glazury w łazienkach i ubikacjach całej Wielkiej Brytanii i Irlandii.

A o co chodziło teraz? Miał nadzieję, że nie o tych cholernych dziennikarzy...

Z sapką wspiał się z powrotem na wzgórze. W progu katedry niemal zderzył się z jej proboszczem, księdzem Stanisławem. Na pytanie o pomagierów archeologa duchowny rozłożył szeroko ręce, zupełnie jak podczas mszy, przy podniesieniu.

– Ale jak się odnajdą, zapraszam wszystkich państwa do siebie – powiedział duchowny, zacierając przy tym ręce, co mogło oznaczać, że jeśli archeolodzy to zrobią, wieczór szybko się nie zakończy; to również był jeden z efektów dokopania się do resztek truchła Kopernika.

Duchowny coś jeszcze mówił, jednak jego słowa skutecznie zagłuszył dźwięk organów; w sklepieniu katedry z gwałtownością podmuchu huraganu uderzyły pierwsze charakterystyczne takty *Fugi* Jana Sebastiana Bacha.

Buczyński wyszedł przed katedrę i rozejrzał się dookoła. Ruch na wzgórzu, mimo kończących się wakacji, nie malał. Jakaś większa grupka robiła sobie zdjęcia, kilku znudzonych nastolatków próbowało wspinać się po wewnętrznej stronie murów. Na parkingu dostrzegł kilka autokarów, nie tylko na niemieckich tablicach, a także wiele aut prywatnych. Taka była specyfika niedzieli.

Naraz przypomniał sobie, że w nomenklaturze jego młodych współpracowników słowo „katedra” mogło oznaczać zarówno świątynię, jak i ogólnie cały kompleks zabytkowych budynków położonych na wzgórzu.

Zaczynała mu się coraz mniej podobać ta zgadywanka i zabawa w chowanego. Mimo to wolnym krokiem, jakby nie miał nic lepszego do roboty, skierował się ku wejściu do dawnego pałacu biskupiego, gdzie mieściło się muzeum. W drzwiach minął się z większą grupką turystów, co nie zmieniło faktu, że i w środku roiło się od zwiedzających.

Jak w takim tłumie ma odszukać swoich? I właściwie po co miałby to robić? Nie, tak być nie może! Wystarczy tej zabawy – myślał z coraz większą złością.

Zdjął na chwilę okulary, mimo że tłum wokół niego wezbrał mocno i istniało ryzyko wytrącenia ich z rąk. Opuścił głowę i potarł palcami zmęczone oczy. Ponownie nałożył szkła. Świat odzyskał ostre kontury.

Już miał się odwrócić na pięcie i wyjść, gdy nagle w tłumie dostrzegł znajomą twarz. W tym samym ułamku sekundy gardło ścisnął mu strach. – Najpierw Zbyszek, teraz on. Nie, to niemożliwe...

XV

54°21'N, 19°41'E, dzień drugi

Tomasz Horn nacisnął na hamulec i wrzucił czwarty bieg. Po kilkunastu sekundach samochód minął tabliczkę z nazwą Frombork.

Ewa popatrzyła na niego pytająco, rozciągając przed sobą splecione palcami dłonie; mogło to oznaczać rozluźnienie po podróży, ale gest taki wykonują też ludzie zdenerwowani.

– I co teraz? – zapytał.

– No właśnie.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Grające cicho radio podało sygnał czasu. Była czwarta po południu. Pokonali ostry zakręt i nagle tuż przed nimi wyrosło, przypominające ogromnego zielonego smoka o czerwonych kolcach, Wzgórze Katedralne.

– Z tamtej strony zatoki wygląda mniej okazale – ocenił Horn, przypomniawszy sobie niedawną słodką beztroskę, by po chwili zapytać: – Wiesz, gdzie są dokładnie te stanowiska?

– W jakimś nieczynnym kościele – odparła niepewnie Ewa.

– Chyba wiem, o który chodzi.

Po niespełna minucie zatrzymali się przed niewielką drewnianą wieżą, przycupniętą z boku krępej budowli. W chwili kiedy wychodzili z samochodu, do drzwi byłej świątyni podchodziło kilkoro młodych ludzi.

– Hej, Magda! – zawołała Ewa, machając ręką w ich stronę. Jakaś długowłosa blondynka także podniosła rękę.

Podeszli bliżej.

– Cześć! – przywitała się Rimmel.

– Ewa? Co cię tu sprowadza? – zdziwiła się dziewczyna nazwana Magdą.

– Długo by mówić...

– Słyszeliśmy o waszym odkryciu – rzekł młody mężczyzna z brodą. – My od miesiąca grzebiemy się w miale węglowym. Na szczęście są wakacje i mamy motorówkę na przystani.

Uwagę Horna zwrócił drugi z archeologów, rudy chudzielec, który majstrował coś przy zamku drzwi kościoła.

– Cholera! – zaklął. – Coś jest nie tak.

Dopiero teraz zwrócili na niego uwagę pozostali członkowie zespołu.

– Co się dzieje? – zainteresował się brodac.

– Coś nie tak z zamkiem – stęknął tamten. – A raczej z drzwiami, bo klucz przekręciłem.

Brodacz naparł na drzwi ramieniem, po chwili zrobili to obaj jednocześnie.

– Wygląda, jakby ktoś je zastawił od wewnątrz – skonstatował rudy. – Może Serafin robi sobie z nas żarty.

Magda podniosła złożoną na cztery kartkę papieru, rozłożyła ją, przeczytała i dała kolegom.

– Nic z tego nie rozumiem. – Brodac wzruszył ramionami. – Poza tym jacy „my”.

– Może Serafin i Krasiński – powiedziała Ewa.

– To i profesor jest tutaj? – zdziwiła się trójka pracujących we Fromborku archeologów.

Ewa Rimmel nie zdążyła jeszcze nic wytłumaczyć, gdy rozległ się głośny trzask łamanych desek.

– Złodziej! – krzyknął rudy.

– Okno! – zawtórował mu brodac.

Rzucili się w bok, w stronę wejścia do byłej zakrystii.

Horn jakby nigdy nic odszedł kilka kroków od kościoła, rozglądając się z uwagą.

– Zostańcie tu – powiedział do kobiet, po czym ruszył biegiem w przeciwnym niż archeolodzy kierunku.

Zbliżał się do rogu budowli, gdy nagle coś uderzyło go z impetem. Upadł, dłonie zaryły w żwir. Uciekinierem też zarzuciło, zwolnił nieco i obejrzał się.

To wystarczyło, by Horn przyjrzał się intruzowi: był to średniego wzrostu mężczyzna o wysportowanej sylwetce. Dżinsy, jasna koszulka. W jego osmolonej węglowym pyłem twarzy dziko błyskały białka oczu. Wyglądał jak diabeł lub złapany w biedaszybie nastoletni węglokrad.

W przeciągu kilku sekund złodziej znalazł się po drugiej stronie ulicy i zniknął w zaroślach.

– Uciekł na wzgórze! – Horn usłyszał krzyk rudego.

Podbiegła do niego Ewa.

– Nic ci nie jest?

– Do samochodu! – zawołał, zrywając się z ziemi.

Jazda na górę zajęła im niespełna minutę. Zbliżając się do parkingu, Horn dostrzegł kogoś, kto z ubioru i postury przypominał człowieka, który włamał się do kościoła. Mężczyzna zniknął właśnie w Bramie Południowej kompleksu katedralnego. Tylko czemu pakuje się na zamknięty teren? – pomyślał Horn.

Wraz z Ewą przebiegli po drewnianym moście nad fosą, przeszli pod bramą i znaleźli się na obszernym, skąpanym w popołudniowym słońcu i gwarnym dziedzińcu.

– Dokąd teraz? – zapytała dziewczyna.

– Może wmieszał się w tłum. Spróbujemy tam, gdzie najtłoczniej.

Najwięcej ludzi znajdowało się w tym momencie przy wyjściu z wieży. Horn i jego towarzyszka pobiegli w tamtym kierunku, przez cały czas rozglądając się z uwagą. Wkrótce przekroczyli próg dzwonnicy, która i w środku pełna była zwiedzających.

– Proszę państwa, przed nami słynne wahadło Foucaulta – przez gwar przedarł się głos muzealnej przewodniczki. – Przyrząd ten służy do ilustrowania ruchu obrotowego Ziemi, a jego nazwa pochodzi od nazwiska fizyka, który jako pierwszy wykonał takie doświadczenie.

Gwar jakby nieco przycichł. Horn uważnie przypatrywał się turystom.

– Wahadło Foucaulta udowadnia istnienie ruchu obrotowego Ziemi – ciągnęła przewodniczka. – Francuski badacz wyszedł z założenia, że gdyby Ziemia była nieruchoma, wahadło dokonywałoby wahań tylko w jednej płaszczyźnie. Tymczasem okazało się, że płaszczyzna wahań dokonuje wolnego obrotu ze wschodu na zachód, z czego wynika, że planeta musi się

obracać.

Kobieta przerwała. Teraz było słycać cichy, wysoki głos. Prawdopodobnie jakieś dziecko zadawało przewodniczcze pytanie.

– Zgadza się – powiedziała po chwili. – Gdyby w tej chwili na kuli umieścić flamaster, powstałaby kreska. Ale już po godzinie zauważylibyśmy, że kreska przesunęła się jak wskazówka zegara. Identyczna linia powstałaby dopiero po upływie około dwudziestu dziewięciu godzin.

Znów ktoś jej przerwał. Był to jakiś mężczyzna, ale stojący nieco dalej. Horn i Ewa usłyszeli tylko strzępki słów.

– Długość linki stalowej wahadła wynosi dwadzieścia osiem metrów, zaś kula waży czterdzieści sześć i pół kilograma – odpowiedziała przewodniczka, by za chwilę zakomenderować: – Przejdźmy dalej.

Pomieszczenie wypełnił szum podeszew przesuwających się po podłodze. I tylko szepty zamiast zwykłych rozmów, co było chyba najlepszą nagrodą dla muzealnego przewodnika.

Zostali sami. Podeszli bliżej miejsca, gdzie znajdowała się zawieszona na stalowej linie kula. Horn spojrział w górę, ku szczytowi wieży.

I wtedy go dostrzegł.

– Stój! – krzyknął, wskakując na pierwszy stopień schodów.

Kilku maruderów z grupy wycieczkowej z zaciekawieniem spojrzęło za mężczyzną, który w długich susach pokonywał kolejne stopnie schodów biegnących pod ścianami wieży Radziejowskiego w stronę punktu widokowego.

Wtem coś trzasnęło, rozległ się świst i seria metalicznych dźwięków. Horn zatrzymał się w pół kroku. To zerwana metalowa lina wahadła, uwolniona z napięcia, niczym pęknięta struna gitary lub przewód kolejowej trakcji, spadała w dół, chłoszcząc z ogromną siłą metalowe poręcze schodów i wewnętrzne ściany wieży.

Odkoczył do tyłu, przywarł plecami do ściany, schylił się. W tej samej sekundzie powietrze rozdarł krzyk. Horn, nie bacząc na niebezpieczeństwo utraty którejś z kończyn lub nawet głowy, dopadł balustrady i wychylił się. Na dole leżał jakiś człowiek...

Spojrzęł ponownie w górę. Tym razem nie dostrzegł intruza, ale i tak

wznowił wspinaczkę. Z każdą chwilą miał coraz mniej siły, a nogi coraz cięższe. Było jednak coraz jaśniej, co świadczyło o tym, że do tarasu widokowego jest już blisko.

Tuż przed drzwiami prowadzącymi na taras zatrzymał się i przyłgnął do ściany.

– Nie uciekniesz! – zawołał.

A jeśli ma broń, nóż, cokolwiek? – przebiegło mu przez myśl. W tej samej chwili jego organizm uwolnił jednak kolejną dawkę adrenaliny. Zrobił krok do przodu i wyrzwał na taras.

– Stój! – krzyknął.

Złodziej z kościoła wchodził właśnie na poręcz balustrady. Horn odruchowo rzucił się w jego stronę z wyciągniętymi rękami, ale tamten był szybszy: odbił się od poręczy i w mgnieniu oka zniknął z pola widzenia.

Tomasz Horn dopadł balustrady, wychylił się i spojrzał w dół. Niewielkich rozmiarów spadochron z uwieszonym pod nim człowiekiem oddalał się w stronę skweru pod katedrą.

Kiedy po kilku minutach wolnym krokiem zszedł z wieży, na miejscu wypadku było już pogotowie. Dwaj sanitariusze pakowali na nosze człowieka poharatanego przez stalową linę wahadła. Dobrze, że Ewa zdążyła w porę się odsunąć. Była za to blada jak ściana.

Horn nie pierwszy raz złapał się na tym, że martwi się o piękną archeolog.

– Co z tym złodziejem? – zapytała dziewczyna.

– Skoczył za potrzebą – odparł półgębkiem Horn. – A że potrzeby ma wielkie, to i przygotował się do wszystkiego.

– Nie rozumiem.

– Ja też. Ale gość miał tam schowany spadochron.

– Co?! Przecież tu jest za nisko, żeby móc skoczyć ze spadochronem.

– Nie wiem, może za nisko. – Horn był coraz bardziej zirytowany. – Może to była jakaś paralotnia, parasol. Cholera wie...

Do dzwonnicy weszła trójka archeologów pracujących w kościele św. Mikołaja.

– Na pierwszy rzut oka nic nie zginęło, ale wszystko jest splądrowane –

rzekł brodacz.

– W niektórych miejscach trzeba będzie zacząć kopać od nowa – dorzucił ze złością rudy.

Tylko Magda się nie odezwała. Widać było jednak, że coś ją trapi.

– Nie możemy nigdzie znaleźć naszego profesora – powiedziała wreszcie.

– Tak jak my naszego – westchnęła Ewa.

Nikt nie zdążył nic powiedzieć, gdyż do wieży Radziejowskiego znów ktoś wszedł. Tym razem było to dwóch policjantów w towarzystwie jakiegoś cywila. Skierowali swoje kroki od razu w stronę archeologów.

– Dzień dobry, sierżancie – pierwszy odezwał się rudy; widać znali się. – Właśnie chcieliśmy się do was zgłosić. Mieliśmy znów włamanie do kościoła i...

– Bardzo mi przykro – powiedział mężczyzna w mundurze z dystynkcjami sierżanta policji, po czym zdjął z głowy czapkę, ukazując czoło całe w kropelkach potu.

– Na szczęście nic nie zginęło – powiedział z zadowoleniem brodacz, na co policjant pokiwał głową bez uśmiechu.

– Bardzo mi przykro – powtórzył. – Chodzi o waszego szefa. Znaleźliśmy go przed chwilą na dole, w planetarium. Nie żyje. Najprawdopodobniej został zamordowany...

XVI

54°17'N, 19°26'E, dzień drugi

Są ludzie, którzy nie znoszą swojego wyglądu. Innym nie podoba się ich głos. Gdy ktoś go nagra, a potem odtwarza, zatykają sobie uszy.

On lubił patrzeć na siebie w lustrze czy choćby wstecznym lusterku samochodu. Podobał mu się też jego głos, szczególnie podczas podniosłej liturgii: głęboki baryton, ponoć piękny, choć nigdy niewykorzystany, by zrobić tak zwaną karierę.

Ale denerwował go jego własny oddech. To niedorzeczne, a jednak tak

było! Irytujący świst. Sapanie niedźwiedzia. Albo starego parowozu, którego miejsce jest w muzeum kolejnictwa czy na złomowisku. Lekarz powiedział, że przyczyną może być krzywa przegroda nosowa. To znaczy nie jemu powiedział, tylko komu innemu...

Bo on nie wierzył lekarzom. Za cholerę! Niedouczone konowały. To absurdalne, że tak im zaufali na tym Zachodzie. Albo po prostu nie zaufali, tylko chcieli zaoszczędzić na wynagrodzeniach. Tak, to chyba prawdziwy powód, choć prawdy i tak nie dowiesz się nigdy.

A wracając do tego złomowiska – wielu ludzi chciałoby go tam widzieć. Ilekroć o tym myślał, z trudem udawało mu się zapanować nad gniewem. Najchętniej rozniósłby wtedy cały świat, obrócił w perzynę wszystko i wszystkich...

– Niedoczekanie wasze – powiedział na głos, silnie zaciskając palce na kierownicy.

Spokój wrócił jednak, gdy zatrzymał wzrok na niewielkim kolorowym zdjęciu umieszczonym tuż obok wstecznego lusterka.

– Wybacz mi gniew, Pasterzu.

Włączył samochodowe radio. Nadawali muzykę symfoniczną. Zawsze wpływała na niego kojąco, szczególnie wtedy, gdy wracał z jakiejś kilkudniowej misji. Albo krótkiej, tak jak teraz, ale bardzo trudnej.

Bo zabić człowieka nie jest wcale łatwo.

Po paru chwilach muzykę przerwano niemal tak gwałtownie, jak to zrobiła strzała Tatarów, godząca w pierś hejnalisty na wieży kościoła Mariackiego w Krakowie. Rozległ się irytujący sygnał czasu i spiker, tonem osoby, która wie wszystko najlepiej, zaczął czytać wiadomości.

– Premier, przebywający z roboczą wizytą w Londynie, spotka się dziś z przedstawicielami Banku Światowego...

Same kłamstwa, od początku do końca, pomyślał znów ze złością. Wiadomości, publicystyka, komentarze polityków, ustawione teleturnieje – wszystko to blaga. Blaga! Posłowie przypominają sobie o narodzie raz na cztery lata, kiedy trzeba nakłonić ludzi do głosowania na swoje partie, a przede wszystkim na siebie, by znów można było być przy żłobie, nie robiąc nic. Prezydent i jego banda – jeszcze rzadziej!

Nawet lekarz udzielający porad w radiu mówi swoim kompetentnym i pełnym trwogi o pacjenta głosem tylko to, co każą mu mówić koncerty farmaceutyczne. A prognoza pogody? Oczywiście, że też! Chcą zastraszyć ten naród i nie odpuszczają nawet w tak błahej sprawie, jak to, czy będzie jutro padać, czy nie. Widać Pan tak chce. Jeśli na kogoś spuszcza ulewę albo trąbę powietrzną, to pewnie ci, na których je spuszcza, zasłużyli sobie na taki los.

Terenowy land rover skręcił z głównej drogi. Po kilku minutach zatrzymał się przed bramą.

Wierzeje rozchyliły się bezszelestnie. Auto pokonało kilkadziesiąt metrów zwirowej drogi i zatrzymało się na podjeździe przed świeżo odnowionym pawilonem. Kierowca otworzył drzwi i wysiadł, ale nie wyłączał silnika. Wyciągnął lewą rękę w bok. Chwilę potem poczuł na niej dotyk innej dłoni – nieprzyzwoicie ciepłej i bardzo szorstkiej.

– Chwała na wieki – rzekł ktoś półgłosem.

– Chwała na wieki – odpowiedział na pozdrowienie, krzywiąc się przy tym z niesmakiem.

– Pomóc ci, bracie?

– Odstaw tylko samochód.

– Umyć?

– Tak.

Znów jesteś na głodzie, co? – zapytał w myślach przybysz, patrząc na człowieka, który nieco niezdarnie sadowił się za kierownicą.

Zanim land rover ruszył z miejsca, mężczyzna, który nim przyjechał, wyjął z bagażnika jakieś pakunki. Wyciągnął też coś, co po rozwinięciu okazało się luźną, długą, grubo tkaną szatą. Miała ona podobny jak u tamtego człowieka szpiczasty kaptur i ciemnoszary kolor.

Kierowca land rovera włożył ją na koszulę w kratę i dzinsy, w które był ubrany, przewiązał się w pasie sznurem, poprawił kaptur, wziął pakunki do rąk, po czym zatrzaskał pokrywę bagażnika.

Nim auto zniknęło za rogiem, podróżny z pochyloną głową zniknął w otwartych drzwiach budynku. Zanim zamknęła je za nim niewidzialna ręka, spod habitu zdążyły jeszcze błysnąć białe sportowe buty.

XVII

Frombork, dzień drugi

Fale Zalewu Wiślanego mlaskały cicho na piaszczystym brzegu. Pomarańczowa kula słońca coraz szybciej opadała ku sinoszarej, nierównej linii mierzei, gdzie tu i ówdzie błyskały już pierwsze światła, których stawkę otwierała od zachodu latarnia Krynicy Morskiej. Lekki wiatr niósł zapach wodorostów. Zaczynał się ciepły wieczór – jeden z ostatnich wieczorów wakacji.

Tomasz Horn stał z rękami w kieszeniach na betonowym falochronie basenu portowego i usiłował zebrać myśli. Uszeregować jakkolwiek wszystko, co spotkało go od chwili wyjazdu z Krynicy, której portowe światełka spokojnie pełgały w oddali.

Spojrzał w stronę końca ostrogi falochronu, gdzie paliła się zielona latarnia, oznaczająca wraz z czerwoną po drugiej stronie wejście do portu. Wolnym krokiem, z opuszczoną głową i, podobnie jak on, z rękami ukrytymi w kieszeniach, nadchodziła stamtąd Ewa.

Z boku musieli wyglądać jak para kochanków, którzy przed chwilą się pokłócili. Albo takich, którym właśnie skończyły się urlopy i muszą wracać do swoich stałych partnerów.

– Już ci lepiej? – zapytał.

Przytaknęła bez słowa, wciąż jednak nie podnosząc wyżej głowy. Domyślił się, że płakała. Śmierć profesora Buczyńskiego wstrząsnęła nią szczególnie mocno. Był jej dobrym znajomym, wyjeżdżali razem na wykopaliska do Libanu i Syrii.

– Kto to mógł zrobić, dlaczego? – jęknęła.

Chciał ją objąć ramieniem, ale powstrzymał się. Nie wiadomo, jak by zareagowała na taki gest. Na szczęście po chwili sama się uspokoiła. Wierzchem dłoni wytarła łzy, pociągnęła nosem.

– Dobra. Co dalej, redaktorze? – zapytała twardo.

Oto było pytanie! Tylko czy skierowane do właściwej osoby?

Jak na razie robotę miała policja i prokuratura. Buczyńskiego znaleziono

w niewielkim planetarium, które znajdowało się w przyziemiu dzwonnicy. Po skończonym seansie nie wstał jak inni i nie opuścił sali. Początkowo obsługa myślała, że starszy pan po prostu zasnął, co, z racji ciemności, wygodnego fotela i relaksacyjnej muzyki, zdarzało się bardzo często. Ale nie potrafili go dobudzić. Ktoś stwierdził brak pulsu, wezwano pogotowie, potem policję. Na wyniki autopsji trzeba było w tym wypadku poczekać, ale lekarz mówił coś o śladzie po zastrzyku.

Pozostawało pytanie: dlaczego profesor w ogóle tam się znalazł, skoro zajmował się zupełnie czym innym? Czy ma to jakiś związek z włamaniem do kościoła? Jeżeli tak, to czy złodziej, którego gonili, w ogóle zdążyłby przyczynić się do śmierci Buczyńskiego?

– Napijesz się czegoś? – zapytał Horn. – Widziałem tu niedaleko jakąś kawiarnię...

Pokręciła energicznie głową.

– Usiądźmy i spróbujmy coś wymyślić – powiedziała po krótkiej chwili.

Zajęli jedną z kilku ławeczek stojących na betonowej przystani.

– Po pierwsze: gdzie jest Krasieński? – zaczęła Ewa, trochę tonem oficera śledczego. – Po drugie: czy te dwa zabójstwa mają ze sobą coś wspólnego. Czego szukają ci ludzie? Nie mówiłam ci, ale ten stary ksiądz z Kwidzyna powiedział mi dzisiaj dziwną rzecz.

– Co takiego?

– „Oni nigdy nie znajdą tego, czego szukają”. Tylko czego nie znajdą? I jacy oni? A nagranie z twojego dyktafonu? „Ciebie czeka to samo, jeśli nie zaczniesz mówić”. Tak powiedział zabójca. Czego oni mogą szukać? Skarbów? Ale jakich skarbów jest warte ludzkie życie?!

– Życie ludzkie warte jest coraz mniej.

W pewnym momencie ponad ramieniem dziewczyny Horn dostrzegł, że do portu zbliża się łódź. Właściwie był to spory jacht motorowy o wysokiej burcie i nowoczesnych, aerodynamicznych kształtach. Zauważył też, że na końcu przystani stoi jakiś mężczyzna, którego wcześniej tam nie widział. I nie wiadomo, jak się tam znalazł, bo musiałby przejść obok siedzących na ławce.

Potarł zmęczone oczy. Zaczynam głupieć, pomyślał. Pewnie gość czeka

na kogoś, kto za chwilę opuści łódź. Albo sam wejdzie na pokład. Wielkie mecyje! Niektórym po prostu się powodzi...

Już miał zamiar wrócić do rozmowy, kiedy jego uwagę przykuł inny szczegół.

– Ewa, ilu archeologów jest... to znaczy było na wykopaliskach z Serafinem? – zapytał.

– Troje, a czemu pytasz?

– To jest, zdaje się, ich łódź.

Obejrzała się przez ramię i spojrzała w tę samą stronę co dziennikarz.

– Zgadza się.

– Przed chwilą ktoś na nią wszedł! – powiedział, wstając gwałtownie z ławki.

Nie mylił się: ktoś krzątał się na pokładzie. I nie był to nikt z archeologów. Horn wsunął dłonie do kieszeni spodni i z bijącym mocno sercem zbliżył się do krawędzi kei.

– Przepraszam! – zawołał z głupia frant.

Intruz, majstrujący przy zamku kabiny, zamarł bez ruchu. Wiatr wiał w stronę lądu i pewnie dlatego nie usłyszał, że ktoś się zbliża. Łódź była zacumowana w pewnym oddaleniu od najbliższej latarni, więc Horn nie widział jego twarzy.

– Halo, słyszy mnie pan? – zagadnęła nieco głośniejszym głosem.

W odpowiedzi szczerknął zamek drzwiczek kabiny i zgarbiony cień zniknął w środku, nic sobie nie robiąc z gościa stojącego na brzegu.

Za plecami Horna pojawiła się Ewa.

– I co? – zapytała.

Nie zdążył nic powiedzieć, bo właśnie zagrał silnik motorówki. A raczej dwa: elegancki jacht, który wcześniej zwrócił uwagę dziennikarza, także szykował się do odpłynięcia. Człowiek stojący wcześniej na końcu falochronu wchodził po trapie na pokład jednostki.

– Przecież to Zbyszek Krasiński! – krzyknęła nagle Ewa, po czym zaczęła biec z stronę zielonej główki portu.

Łódź należąca do archeologów, za sterami której najprawdopodobniej siedział w tej chwili złodziej, również odbijała od kei...

Niewiele myśląc, Horn odbił się od betonowej krawędzi i skoczył na pokład. Udało mu się zachować równowagę, choć krypą zakolebało. Nie wiadomo, czy złodziej zauważył, że ma dodatkowy balast – fale na zalewie były coraz większe.

Horn chwycił za klamkę drzwiczek, ale te nie ustąpiły. Kątem oka dostrzegł Ewę stojącą na główce portu. W zapadającej ciemności było widać tylko jej podnoszone i opuszczane ramiona, jakby dziewczyna nadawała jakąś wiadomość marynarskim kodem semaforowym.

Skradziona motorówka przyspieszyła. Zimne krople wody coraz mocniej smagały twarz pasażera na gapę. Przyłgął mocniej do kabiny, chwycił się mocno za reling, gdyż łodzią coraz bardziej kołysało. Wychyłając się co i rusz z ukrycia, widział czerwone tylne światła większej łodzi, być może z profesorem Krasieńskim na pokładzie; jednocześnie oświetlone reflektorami Wzgórze Katedralne oddalało się.

Cholera! Dokąd oni płyną?! – zastanawiał się.

Płynęli już teraz niemal w zupełnej ciemności. Wynikało z tego, że nie do Krynicy, a w głąb Zalewu Wiślanego. W stronę granicy państwa...

Uświadomiwszy to sobie, Horn przywołał w pamięci happening, który kilkanaście lat temu zrobił jeden z ówczesnych posłów. Jako że Rosjanie zapewniali solennie o możliwości swobodnej żeglugi przez Cieśninę Pilawską, polityk wybrał się w rejs jachtem pod biało-czerwoną banderą. Chciał dostać się na pełne morze. Ledwo minął granicę, od razu miał na karku rosyjską straż graniczną w sile dwóch kutrów patrolowych. Ot, co znaczyło słowo czekisty...

Także i z tego powodu od lat rozważano budowę przekopu przez mierzeję, by uniezależnić się od Rosjan i ich humorów, jednak póki co nie wbito w tej intencji nawet szpadla w ziemię.

Było coraz zimniej. Horn drżał cały. Drobne kropelki wody pryskały mu w twarz.

Nagle silnik zgasł. Motorówka zaczęła zwalniać, jej dziób wyraźnie obniżył się.

Horn wychylił głowę zza kokpitu. Zbliżali się do większej łodzi; wyraźnie widział kilku mężczyzn stojących na deku. Przyjaciele to czy

wrogowie? Ale czyi przyjaciele?! – przeszło mu przez myśl.

Wtem zazgrzytał zamek w drzwiczkach. Jak jeszcze przed chwilą dygotał, tak w jednej chwili zrobiło mu się gorąco. Spostrzegł na rufie coś przykryte dużym kawałkiem brezentu. Idąc na czworakach, znalazł się tam w kilka sekund. Wpełził pod mokrą materię. Rękami namacał jakieś skłębione liny i koło ratunkowe. Archeolodzy nie byli zbyt wytrawnymi wodniakami.

Usłyszał krzyki. Łodzią znów zakolebało, rozległ się huk, jak po uderzeniu burty o burzę.

– Masz coś? – krzyknął ktoś z oddali.

– Nic. Tu też pusto – padła odpowiedź, o wiele lepiej słyszalna.

– Wskakuj! – zawołano po chwili.

Zadudniły ciężkie kroki, po chwili kadłub znów się zakołysał.

– Trzeba zatopić to gówno! – zawołał inny głos na jachcie.

Horn zdrętwiał. Dłonie instynktownie zacisnęły się na kole ratunkowym.

– Daj spokój. Po co robić cyrk... – odparł ten pierwszy głos. – Jeszcze ściągniesz nam na głowę Straż Graniczną.

Znów zagrał silnik większej łodzi, zabulgotała woda. Z każdą chwilą dźwięki te były cichsze, wreszcie ukryty wciąż pod brezentem Horn słyszał już tylko jednostajne mlaskanie wody. Minęło jednak jeszcze trochę czasu, zanim odważył się poruszyć i wychynąć z kryjówki.

– Cholera – zaklął cicho, mimo że dookoła, choć oko wykol, tylko woda i powietrze.

Namacał wejście do kabiny. Wszedł do środka. Kokpit śmierdział starą skórą i dymem tytoniowym.

Przez chwilę wodził dłońmi po ścianach w poszukiwaniu włącznika światła, jednak bezskutecznie. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i przyświecając sobie nim, odnalazł deskę rozdzielczą motorówki wraz z niewielkim kołem sterowym. W stacyjce tkwił kluczyk. Odetchnął głęboko, choć nie zdołał tym powstrzymać kolejnego potoku myśli.

Kim byli ci ludzie? Czego szukali, skoro pogardzili łodzią?

Przypomniał sobie o pozostawionej w porcie Ewie i tym, co krzyczała na chwilę przed odpłynięciem obu jednostek. Co tam robił profesor, jeżeli to był rzeczywiście on? Żaden z głosów, które Horn usłyszał przed chwilą, nie

należał do Krasińskiego.

Wstrzymał oddech i przekręcił kluczyk. Silnik motorówki zakaszał i zaskoczył, wprawiając kadłub z laminatu w miarowe drżenie. Następnie lekko napał na dźwigienkę znajdującą się po prawej stronie steru. Silnik zmienił nieco ton, łódź chyba ruszyła do przodu. Minęło kilka chwil, zanim udało mu się znaleźć włącznik świateł. Spojrzał w przednią szybę. Niewiele to dało. Przed dziobem rozciągała się sina, jednostajna, nieprzenikniona otchłań.

– Prędzej czy później dopłynę do jakiegoś brzegu – pocieszył się na głos.

Nagle, dokładnie przed dziobem motorówki, rozbłysło ostre światło. Było tak nieznośne, że aż musiał zakryć oczy ręką. Jednocześnie rozległ się dźwięk syreny, zaraz po nim odezwał się czyjś głos potęgowany przez krzykaczkę.

– *Stoj!*

Ciarki przeszły mu po plecach. Jak się zatrzymuje tę maszynę? – myślał gorączkowo. Światło zbliżało się, a raczej to on zbliżał się do światła, więc aby uniknąć zderzenia, gwałtownie skręcił sterem w lewo. Ale to chyba jeszcze bardziej rozsierdziło niewidocznego człowieka z „krzykaczką”.

– *Stoj! Job twoju mat’!*

Horn puścił ster, jakby ten nagle zaczął parzyć, i wyszedł z kokpitu. Łódź jednak płynęła dalej. Teraz dopiero zobaczył, że druga jednostka z tak samo silnym reflektorem znajduje się za nim.

Odruchowo podniósł ręce do góry. Wiedział już też, z kim ma do czynienia. Dlatego jeszcze wyżej podniósł ręce.

– Spokojnie. Nie mam złych zamiarów – zawołał.

W odpowiedzi kilka par nóg zatarabaniło na pokładzie niewielkiej motorówki. Tomasz Horn starał się nie wykonywać najmniejszego ruchu.

Naraz poczuł silny uścisk na lewym ramieniu i ukłucie. Każdy z dwóch jupiterów podzielił się na trzy mniejsze. Potem wszystkie poczerwieniały i zgasły.

XVIII

Kwidzyn, dzień trzeci

Komisarz Artur Matejuk nie lubił niedziel. Ale jeszcze bardziej nie znosił poniedziałków. Mimo swojego trybu pracy, który na własny użytek nazywał szarpanym, obecność poniedziałku i nowego tygodnia czuł wyraźnie już w niedzielę po południu. Nawet gdy nic się nie działo, nie miał żadnego wezwania ani służby przez całe dwa dni weekendu, w niedzielę około szesnastej tracił dobry humor.

Także i w tę niedzielę, kiedy to około trzeciej po południu przekazał sprawę morderstwa księdza proboszcza ludziom z komendy wojewódzkiej w Gdańsku i wrócił do domu, gdzie czekała na niego żona i córka – obie do bólu wyrozumiałe, i kiedy zjadł późny obiad, pobawił się z dzieckiem, syndrom poniedziałku znów powrócił.

Ile to raz miał ochotę właśnie w niedzielę późnym popołudniem, kiedy wszyscy grzecznie wracają do swych domów, wyruszyć dokładnie w przeciwną stronę, na przekór wszystkim i wszystkiemu – z logiką i szefem komendy powiatowej na czele. Ale zwykle na odgrazaniu się całemu światu – i to tylko w myślach – się kończyło. Następnego dnia rano Matejuk, szczupły, dość wysoki, trzydziestoletni szatyn, wstawał, golił się, jadł śniadanie i jechał do roboty.

– Cześć! – rzucił, mijając niewielkie okienko, za którym widać było fragment głowy, do sierżanta pełniącego służbę.

Po chwili minął pierwszych petentów, kręcących się nerwowo na krzeselkach pod ścianą. Bo życie nie zwalniało ani na chwilę: zawsze ktoś komuś coś ukradł, zniszczył, ktoś kogoś pobił, zwymyślał. Ktoś, kto miał wszystkiego dosyć, zacisnął sobie pasek na szyi, po czym kopnął w stołek czy skoczył do pobliskiej Wisły.

Albo, tak jak ten profesor archeolog, poszedł w długą.

Powiatowa komenda policji w Kwidzynie powoli budziła się do życia. Nic nie wskazywało na to, że poprzedniego dnia na podległym pracującym tu policjantom terenie zdarzyło się coś gorszego niż awantura domowa, jazda po pijaku, kradzież roweru czy drewna z lasu albo nawet pobicie. Morderstwa zdarzały się tu bardzo rzadko, nie mówiąc już o takich, które popełniono na

osobie znanej i powszechnie szanowanej, a taką był niewątpliwie proboszcz katedry.

Na stole w pokoju odpraw stały jeszcze brudne szklanki po kawie, którą wczoraj piła ekipa śledcza. Nie miał najmniejszego zamiaru sprzątać.

Szybko odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku swojego pokoju.

– Cześć! – przywitał się w biegu z kolegą z drogówki.

W ostatnim czasie odnowiono elewację komendy i wymieniono okna na plastikowe. W środku też odświeżono ściany i podłogi, przynajmniej w części, którą najczęściej odwiedzali interesanci – aż miło było iść pachnącym jeszcze farbą korytarzem. Ale już na drugim piętrze wciąż straszło strzępiące się gumoleum z wydeptanymi śladami najczęstszych pielgrzymek, skrzypiały pamiętające chyba jeszcze czasy Gestapo i NKWD biurka i szafy na akta, chybotwały się krzesła, nie wspominając już o toaletach. Ale doniczkę z paprotką dostał każdy pokój, bez względu na położenie.

Artur nie spotkał nikogo więcej aż do drzwi swojego pokoju. Nikt, kto nie znałby sprawy, nie zauważyłby też, że przez kwidzyńską komendę powiatową przeszedł ostatnio niezły tajfun – nie tylko w sensie remontów. Odwołany został zastępca komendanta, kilka wizyt złożyli uzbrojeni w teczki smutni panowie z wydziału kontroli wewnętrznej komendy pomorskiej...

A wszystko przez kilku popaprzanych koleżków z posterunku z sąsiedniego miasteczka. Sprawa wywożenia pijaczków do lasu, gdzie robiono im ścieżki zdrowia, a potem kazano rozbierać się do majtek i tak wracać do domu, obiegła szerokim echem całą Polskę. Nazjeżdżało się dziennikarzy, miejscowa żulia zaczęła prezentować przed kamerami swoje sińce i zadrapania – i afera gotowa! Stąd kontrole, częstsze niż zazwyczaj odprawy – także i tutaj, w komendzie powiatowej.

Zaterkotał telefon na biurku. Artur podniósł słuchawkę, jak to miał w zwyczaju, dopiero po trzecim sygnale.

– Komisarz Matejuk, słucham.

– Słuchasz? – w słuchawce odezwał się głos szefa.

Temperatura krzesła, na którym siedział policjant, w jednej chwili podniosła się o kilkadziesiąt stopni.

– Słucham – powtórzył jak automat.

– A myślisz?

Na to Matejuk nic nie odpowiedział.

– To dawaj tu do mnie – rzekł przełożony i bezceremonialnie odłożył słuchawkę.

W niespełna minutę później Matejuk stał przed gabinetem szefa. Drzwi były uchylone, więc było dobrze słyhać, jak podinspektor Kruś rozmawia z kimś przez telefon. Komisarz, niewidziany przez sekretarkę, postął chwilę przed drzwiami, przysłuchując się rozmowie.

– Załatwię to, oczywiście. Tak. Cześć! – Huk odkładanej ciężką ręką słuchawki.

Matejuk wziął głęboki oddech, lekko pchnął drzwi i wszedł do środka. W tej samej chwili komendant też wstał z miejsca i obaj omal nie zderzyli się w drzwiach gabinetu.

– Siadaj – rzucił Kruś do podwładnego, a na biurko sekretarki plik jakichś papierów.

Matejuk zajął jedno z krzeseł ustawionych wokół stołu u podnóża szefowskiego biurka; było cholernie gorące, pewnie jak wszystkie pozostałe.

Podinspektor zamknął drzwi i usiadł ciężko w swoim fotelu ze spękaną skórą na podłokietnikach. Dłuższą chwilę milczał, patrząc przez okno, jakby uciekał dokądś myślami. Poniedziałek zapowiadał się pogodny i słoneczny, co jednak nie przekładało się na pogodę panującą tak w gabinecie szefa komendy, jak i w całym budynku.

– Szlag by to trafił! – zaklął Kruś. – Już miałem nadzieję, że wyczerpaliśmy limit afer na ten rok. A tu najpierw ci debile z wioski, co nie potrafią nawet użyć pałki, a teraz sztywny wielebny... – Zamilkł na chwilę i odchrząknął. – Przepraszam, to był naprawdę dobry człowiek. Dziecko mi ochrzcił jeszcze za ciężkiej komuny.

Znalazł się kolejny weteran – pomyślał Matejuk nie bez złości i poczuł się jakby odrobinę pewniej; nie może być do końca źle, kiedy stary wyjeżdża z czymś takim.

Odetchnął głębiej, siedzenie krzesła też już nie paliło w tyłek, jak przed chwilą, więc usiadł wygodniej, wyciągnął nogi pod stołem i upuścił plecy na miękkie tapicerowane oparcie. Rozejrzył się po ścianach gabinetu

komendanta. Raz czy dwa razy był tutaj jako gówniarz; pamiętał, że tu, gdzie teraz wisiał jakiś dyplom, było kiedyś duże oprawione zdjęcie generała Franciszka Józwiaka, partyzanta i pierwszego komendanta Milicji Obywatelskiej.

– Miałem telefon z kurii biskupiej, która jest bardzo poruszona tym, co się stało – ciągnął podinspektor Kruś. – Sprawa proboszcza jest dla nas bardzo ważna...

– Ale przecież przejęła ją wojewódzka – przerwał mu komisarz Matejuk.

– Dlatego pojedziesz dzisiaj do Gdańska, gdzie zostaniesz włączony w śledztwo z ramienia naszej komendy. Już to załatwiłem.

– Tak jest.

– Sprawa ma na pewno coś wspólnego z zabójstwem księdza pod Malborkiem, które miało miejsce dwa tygodnie temu.

– Ja też od razu skojarzyłem te dwa zdarzenia i...

– I kojarz tak dalej, a będziemy mieli gości szybko na dołku. Jesteśmy to winni naszemu proboszczowi.

XIX

54°38'N, 19°53'E, dzień trzeci

Powietrza!

To była pierwsza myśl po przebudzeniu, ale jakże inna od tych, gdy budzisz się we własnym łóżku na kacu i tak jak świeżego powietrza, pragniesz też poczuć w ustach zimny płyn.

Teraz Tomasz Horn czuł, że się dusi.

W pierwszym odruchu chciał złapać rękami za szyję, by zrzucić uciskające je jarzmo, jednak nie mógł ich unieść wyżej niż na kilka centymetrów – na jego nadgarstkach zaciskał się sznur. Szorstki, gruby sznur. Próbował się poruszyć, ale miał skrępowane także nogi. Próbował cokolwiek dostrzec, lecz pomieszczenie, w którym się znajdował, nie dawało na to szans.

Trwał więc w niewygodnej pozycji siedzącej, oparty plecami o zimną ścianę. Wkrótce też zaczął czuć, że i podłóżę, na którym siedzi, jest zimne i wilgotne.

Ten ostatni, ukryty do końca atrybut sprzedanego po okazyjnej cenie lokum, dał szybko o sobie znać znajomym zapachem stęchlizny: piwnica po deszczu, na półkach weki, które strach nawet otworzyć, pod nogami jakieś stare manele, co to ich zawsze żal wyrzucić, pomarszczone bulwy ziemniaków w płataninie pędów, kocia sierść i mysie odchody.

Usiłował przypomnieć sobie, co się stało. Pomógł mu w tym ból lewego ramienia. Musiałem dostać szprycę, po której straciłem przytomność, skonstatowałem. A wcześniej? Wcześniej był rejs motorówką na gapę. A później? Już nic. Czarna plama, jak to dziwne miejsce. Ile czasu już tu siedzi? Co z nim robili? I kto?!

Nagle zaczęło mu się kręcić w głowie, wstrząsnęły nim dreszcze, które szybko wyparło nieznośne gorąco. W przyływie rozpaczy napiął mięśnie, próbując wyswobodzić się z więzów, te jednak nawet nie drgnęły.

– Hej, słyszysz mnie? – dobiegło nagle z ciemności.

Czyjś głos? Może tylko omam, pozostałość po działaniu narkotyku?

Horn zastygł w bezruchu, wstrzymał oddech. Jakby chciał udać, że go tu nie ma.

– Nie bój się – rozległ się znów ten głos. – Zaraz włączą światło. Teraz cała para idzie do portu. Wyłączają nam światło nawet kilka razy dziennie.

– Kim jesteś? – zapytał Horn mimo wszystko przez ściśnięte wciąż strachem gardło.

– Przyjacielem.

Nie wierzył mu. Milczał. To chyba było najlepsze wyjście.

– Nie wierzysz mi, wiem – rzekł niewidoczny sąsiad. – Nikt, kto tu siedział, nie wierzył.

Głos dochodził z niedaleka, potęgowało go echo. Wydawał się łagodny i przyjemny. Najczystsza polszczyzna. Na pewno uspokoiłby małe dziecko. Gorzej z dorosłym.

– Jak długo tu jestem? – zapytał Horn po dłuższej chwili.

– Około siedmiu godzin.

Na szczęście nie miał zegarka, bo nie zakładał go na urlopie. Pewnie by zabrali. Tak jak... buty. Zwykle idącym na dołek zabiera się sznurówki, pasek i krawat. Ale widać nie chciało się nikomu bawić ze sznurówkami.

Nie, to jakiś koszmarny sen! – pomyślał ze zgrozą. Naraz zapragnął ze wszystkich sił z kimś porozmawiać. Kimkolwiek jest tamten człowiek, niech z nim gada! O pogodzie, polityce. O czymkolwiek, byle przerwać tę miażdżącą ciszę.

– Gdzie ja jestem? – zapytał Horn, by zaraz się poprawić: – Gdzie jesteśmy?

– Niedaleko Bałtyjska, przy Cieśninie Pilawskiej.

Odpowiedź była szybka. Zbyt szybka. Zupełnie jakby tamten wiedział, jakie będzie pytanie. To jednak nie wydało się Hornowi podejrzanym, przeciwnie: ucieszył się, że wcześniejsza rozmowa nie była tylko sennym majakiem. Wiele razy zdarzało mu się, że w środku nocy słyszy dzwonek telefonu. Jeden tylko. Unosi głowę z poduszki, czeka na drugi. Nasłuchuje z nadzieją, że ten nie wybrzmi. I tak rzeczywiście jest.

Znajome nazwy geograficzne nie pozostawiały wątpliwości, kto związał Horna, a następnie zamknął drzwi (chyba jakieś tu są?!), przekręcając klucz w zamku. I kto teraz najspokojniej w świecie pije sobie gorzałkę lub choćby tylko zwykły czaj.

Bałtyjsk, Cieśnina Pilawska – powtórzył w myślach. Dopiero teraz usłyszał miarowy szum i plusk. Musiały to być morskie fale! Przypomniał mu się hrabia Monte Christo i więzień, który po kilkunastu latach kopania, zamiast na zewnątrz, przebił się do sąsiedniej celi. Przywołując w pamięci tę scenę, zawsze miał ciarki na plecach. Teraz także, ale nie tylko z powodu niedoli staruszka imieniem Faria, któremu popieprzyły się kierunki.

– Kim jesteś? – powtórzył pytanie.

– Przyjacielem – nie zmienił zdania jego niewidoczny rozmówca.

Horn chciał jeszcze o coś zapytać, ale nagle rozległ się rumor odsuwanej zasuw. Szczęknięt zamek w drzwiach, zapiszczały zawiasy i na pokrytą kałużami podłogę spadł snop ostrego światła.

Wykorzystując tę niespodziewaną okazję, Horn próbował dostrzec swojego towarzysza. Odwrócił szybko głowę, jednak jasną szczelinę

wypełniły już dwa cienie.

W sekundę byli przy więźniu. Horn skulił się, oczekując ciosu. Zamiast lewego prostego poczuł, że narzucają mu na głowę worek śmierdzący stęchlizną i myszami. Normalnie poczułby obrzydzenie, teraz jednak nad wszystkim panował niepodzielnie strach.

Podnieśli go z podłogi, jakby nic nie ważył, wzięli pod ramiona. Przeraził go ten brak kontaktu z podłożem. Może nigdy już go nie odzyska, bo zawiśnie na sznurze, który zaciśnie się na szyi, odcinając na zawsze dopływ powietrza, spalając mózg, wyciskając z otworów w czaszce te dwie kulki o konsystencji ugotowanego na twardo jajka, które były kiedyś gałkami ocznymi...

XX

Gdańsk, dzień trzeci

W ciągu półtorej godziny komisarz Matejuk dotarł do komendy wojewódzkiej w Gdańsku i zameldował się w odpowiedniej sekcji. Jak się okazało, trafił dobrze, ponieważ za chwilę miała zacząć się odprawa. W korytarzu wyminął go jakiś zaaferowany posterunkowy z tacą pączków. W dużej sali, przy okrągłym stole, zebrała się spora grupa śledczych, w mundurach i po cywilnemu.

Po minucie wszedł niewysoki, krępy mężczyzna w randze młodszego inspektora. Matejuk jakoś nigdy nie mógł zrozumieć, dlatego na byłego podpułkownika mówi się teraz młodszy inspektor, skoro każdy, kto nosił na granatowym pagonie dwie białe belki i dwie gwiazdki, był zazwyczaj dobrze po czterdziestce, choć bywały wyjątki...

Szef pomorskiej dochodzeniówki zdjął górę od munduru i powiesił ją na oparciu krzesła, po czym zajął miejsce za stołem.

– Panowie, zaczynamy – rzekł, szeleszcząc rozrzuconymi przed sobą kartkami papieru. – Myślę, że najważniejszą sprawą jest zabójstwo proboszcza katedry w Kwidzynie...

Matejuk pokręcił głową z politowaniem. Chyba do końca świata ludzie się nie nauczą, że nie mówi się „w Kwidzyniu”, tylko „w Kwidzynie”. Tym, którzy nie potrafią tego zapamiętać, mieszkańcy miasta podają łatwy przykład: mówi się „w dupie”, a nie „w dupiu”!

– Kuria metropolitalna w Gdańsku oczekuje od nas szybkich i stanowczych działań – ciągnął oficer.

– Dadzą nam pistolety na wodę święconą? – zaśmiał się pod nosem siedzący obok podkomisarz Marek Ber, jeden z dwóch oficerów, których Matejuk poznał wczoraj.

– Drugi tego typu przypadek w ciągu krótkiego czasu może wskazywać na tego samego sprawcę – tym razem leżącymi dokumentami szeleścił już inny oficer, nadkomisarz Zawisza, w którym Artur rozpoznał drugiego ze śledczych. – Obaj duchowni zostali zamordowani w swoich kościołach. Każdemu z nich wepchnięto do ust zmiętą, wyrwaną z Biblii kartkę.

– Taką samą? – chciał wiedzieć szef.

– Nie. W obu przypadkach jest to *O końcu świata*, ale raz według Ewangelii świętego Łukasza, a raz świętego Mateusza.

– Co tam jest napisane?

Zawisza odchrząknął i zaczął czytać:

– I będą znaki na słońcu, księżycu i na gwiazdach, a na ziemi lęk bezradnych narodów, gdy zahuczy morze i fale. Ludzie omdlewać będą z trwogi w oczekiwaniu tych rzeczy, które przyjdą na świat, bo moce niebios poruszą się. I wówczas ujrzą syna człowieczego, przychodzącego w obłoku z mocą i wielką chwałą. A gdy się zacznie dziać, wyprostujcie się i podnieście głowy swoje, gdyż zbliża się odkupienie wasze.

– To był Mateusz? – zgadywał szef, ale Zawisza pokręcił głową.

– To był Łukasz. Mateusz leci trochę inaczej.

Gdzie ja jestem? – zapytał się w duchu Matejuk.

– A zaraz po udręce owych dni słońce się zaćmi i księżyc nie zajaśnieje swoim blaskiem, i gwiazdy spadać będą z nieba, i moce niebieskie będą poruszone. I wtedy ukaże się na niebie znak Syna Człowieczego, i wtedy biadać będą wszystkie plemiona ziemi, i ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego na obłokach nieba z wielką mocą i chwałą. I pośle aniołów

swoich z wielką trąbą, i zgromadzą wybranych jego z czterech stron świata z jednego krańca nieba aż po drugi.

Matejuk przełknął boleśnie ślinę. Kto mógł wiedzieć, że edukację przyszłego gliniarza zaczynać trzeba było na lekcjach religii, na które on nie chodził?!

– Narzędzia zbrodni w tych dwóch przypadkach także są inne – referował dalej Zawisza. – W Królewie pod Malborkiem był to nóż, w Kwidzynie natomiast uderzenie tępym narzędziem w tył głowy.

– Jak to wygląda na tle innych zabójstw z ostatniego czasu w całej Polsce? – przerwał mu znów inspektor, luzując krawat, gdyż przez okna zaczęło coraz śmielej zaglądać słońce.

– Dobrze. To znaczy źle. – Nadkomisarz odchrząknął. – W Królewie i Kwidzynie nic nie zginęło, choć w katedrze prowadzono akurat wykopaliska archeologiczne, a pierwszy z zamordowanych miał na plebanii sporą ilość pieniędzy, którą zebrał z zamiarem pomocy kilku rodzinom w parafii, poszkodowanym w wyniku klęski żywiołowej.

– No to kto? Sataniści? – rzucił inspektor. – Obu morderstw dokonano nocą, a przy zwłokach znaleziono połamane krzyże. Jasiu, co o tym sądzisz? – zwrócił się do jednego z młodzieńskich policjantów.

– Nie sądzę, żeby to byli oni. – Młodszy aspirant nazwany Jasiem, który, zdaje się, był tu specjalistą od subkultur młodzieżowych, pokręcił zdecydowanie głową.

– Dlaczego?

– Sataniści w Polsce już tylko słuchają muzyki, a czarne msze to zamierzcha przeszłość.

Matejuk miał też swoje wspomnienia związane z tą subkulturą. Jeszcze jako nastolatek pojechał raz z grupą długowłosych na koncert Vadera. Jak na ironię, prym w hałaśliwej ekipie wodzili ci, którzy kilka lat wcześniej najbardziej gorliwie zwalczali niedowiarka, planując nawet zaciągnięcie go siłą na katechezę. A na koncercie machali długimi włosami i w ekstazie wykrzykiwali dziwne słowa.

Po raz drugi Matejuk zetknął się z satanizmem, pracując już w policji. Jakiś zaniepokojony rodzic złożył doniesienie, że syn czy córka, nieważne,

może czcić rogatego. Dowiedzieli się o czarnej mszy, którą miejscowi sataniści chcieli odprawić na miejskim cmentarzu. Komisarz na czele dwóch patroli podjechał cichutko pod główną bramę nekropolii, gdzie niemal zderzył się z grupą długowłosych, ubranych na czarno nastolatków, którzy... w popłochu uciekali z cmentarza. Jak się okazało, buńczuczni twórcy nowego porządku i niedoszli mordercy czarnego kota przestraszyli się pijanego murarza cmentarnego, który zasnął z flaszką między grobami.

– Zauważcie też, że te dwa krzyże zostały zniszczone w ten sam sposób.
– Młodszy aspirant podniósł zdjęcie przedstawiające krucyfiks. – Za każdym razem odłamano, a raczej starannie upiłowano dwa, te same ramiona.

– A może to jakaś ruska prowokacja? – rzucił któryś z oficerów. – W obecnej sytuacji politycznej...

– Ale czemu mieliby się przypinać akurat do naszych księży?! – uciął szef. – To nie komuna i departament czwarty, który załatwił w PRL-u wielu księży, z Popiełuszką na czele. A jeśli chodzi o Ruskich, to nie wiem, czy wiecie, ale w ostatnim roku w obwodzie kaliningradzkim zbudowano kilkadziesiąt cerkwi, a głowy obu Kościołów są, zdaje się, coraz bliższe porozumienia. W przeciwieństwie do naszych rządów...

Otworzyły się drzwi i do sali wśliznął się młody policjant, który przekazał jakąś kartkę prowadzącemu odprawę. Inspektor zmarszczył brwi.

– Panowie, właśnie otrzymałem wiadomość z komendy wojewódzkiej w Olsztynie – rzekł lekko drżącym głosem. – Wczoraj we Fromborku został zamordowany znany gdański archeolog, profesor Serafin Buczyński. Do zabójstwa doszło na terenie podległym kurii warmińskiej...

– Czy ma to jakiś związek z naszą sprawą? – zapytał nadkomisarz Zawisza.

– Wy mi powiedzcie.

– Co prawda to nie ksiądz, ale... – Podkomisarz Ber podrapał się po głowie. – Może chodzi o wykopaliska archeologiczne?

– A czy z kościołów coś zginęło?

– Nic.

– Może niczego nie znaleźli.

– Albo nie zdążyli.

– Bo ksiądz ich wypłoszył.

Komisarz Matejuk miał w głowie mętlik. Czuł się trochę jak trzecioroczny uczeń, siedzący w zbyt małej ławce na popołudniowych zajęciach wyrównawczych. Co mógł dodać od siebie, jak zaznaczyć obecność macierzystej komendy w tej, jak się okazuje, zataczającej coraz szersze kręgi sprawie? Żeby miał choć jakikolwiek ślad, szczegół, cokolwiek. Coś swojego.

Niewiele tego było: zeznania gospodyni denata, rezydenta z katedry, dwóch skacowanych archeologów i ich wystraszonej koleżanki. Żeby mieć choć jakieś nagranie! Ta dziewczyna, Ewa zdaje się, mówiła o jakimś nagraniu na dyktafonie tego dziennikarza. Ale Matejuk nie zainteresował się, bo przecież nie nagrało się tam nic prócz wieczornej mszy...

XXI

54°38'N, 19°53'E, dzień trzeci

Ocuciło go wiadro lodowatej wody, wylane na głowę. Minęła chwila, nim złapał oddech. Usłyszał metaliczny szcęk odstawianego na podłogę naczynia.

– Budzimy się – powiedział ktoś po polsku, ale z wyraźnym śpiewnym akcentem i jakoś tak pogodnie, jak anestezjolog do pacjenta po udanej operacji.

Horn powoli uniósł powieki. Raziło go światło, w dodatku z włosów spływały jeszcze strugi wody, więc co chwila mrużył oczy.

Siedział na jakimś taborecie bez oparcia i wciąż był spętany. Pomieszczenie było niewielkie, całe w czerwonej cegle. Nie widział nigdzie lustra weneckiego, choć spodziewał się go tutaj. Przed nim siedział za stołem jakiś czarniawy mężczyzna w skórzanej kurtce. Innych mebli nie było.

– Zapalisz? – zapytał mężczyzna.

Miał złote zęby. Nie wszystkie, tylko kilka na przedzie. Typ handlarza ze starego Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie. Sprzedaje taki tandetę, ale jak potrzebujesz kałacha, dogadasz się.

– Nie palę – odparł Horn. – Chyba nawet nie umiem.

Czarniawy gość bez słowa zapalił papierosa, który musiał być bardzo tani, bo w kilka chwil pomieszczenie wypełnił smród palących się szmat.

– Nie chciałbym być na twoim miejscu, Poliak – powiedział Rosjanin. – Nielegalne przekroczenie granicy Federacji Rosyjskiej, pobicie funkcjonariuszy, szpiegostwo...

Horn omal się nie zakrztusił. Złotozęby najwyraźniej nie miał zamiaru się patyczkować – wytoczył od razu wszystkie działa. Tylko gwałtu na funkcjonariuszach brakowało.

Początkowo chciało mu się śmiać, potem jednak zrobiło mu się gorąco. Nie, z nimi się nie żartuje. A pertraktuje?

– Chyba wciąż obowiązuje międzypaństwowa umowa o swobodnej żegludze po wodach Zalewu Wiślanego... – powiedział.

– Powiedzmy, że obowiązuje – przerwał mu Rosjanin. – Ale pozostaje jeszcze pobicie, a przede wszystkim szpiegostwo.

– Co pan powiesz?! – zdziwił się Horn, dziwiąc się jednocześnie samemu sobie; nawet do policjantów z drogówki, choć zawsze w myślach ich lżył, najpiękniej jak umiał, nie miał odwagi odezwać się niegrzecznie. – Na pewno dysponujecie panowie zeznaniami świadków, a może nawet zdjęciami albo nagraniem wideo...

Rosjanin mocno zaciągnął się dymem.

– A sędzia czeka za ścianą – prowokował dalej Horn. – Ile mi za to grozi?

– Na oko z dziesięć lat. – Tamten błysnął złotymi zębami.

– Na Syberii?

– *Mołczaj, szpion!* – Rosjanin zmarszczył grube, czarne brwi.

To samo zrobił Horn.

– Wystarczy tej zabawy – rzekł twardo. – Żądam natychmiastowego kontaktu z konsulem Rzeczypospolitej Polskiej w Kaliningradzie.

Czy tak to powinno brzmieć? Chyba tak.

Ale złotozęby tylko się roześmiał.

– Konsul ma ważniejsze sprawy – odparł, by za chwilę dodać: – Wystarczy jak przyjedzie na identyfikację zwłok.

– Jakich zwłok?

– Tych, które za kilka dni zostaną wyłowione z zalewu.

No to pograł, pomyślał Horn, poruszając się niespokojnie na twardym taborecie. Oby nie bili – myśl ta, podobnie jak dziesięć kolejnych, równie czarnych, wyświetliła w mózgu więźnia całą panoramę możliwości. Z obciążeniem palca, który zostaje wysłany rodzinie, włącznie.

Widząc swoje skrzyżowane między nogami taboretu, bose stopy, poczuł się upokorzony i bezbronny.

Co teraz robić: prosić, błagać, paść na kolana, płakać? – rozważał w duchu. A może dalej grać takiego, co to nie piśnie słowa, nawet leżąc na podłodze na sekundę przed kopniakiem wojskowym butem w krocze.

Wojskowym butem? Cholera! Ten czarniawy gość miał na nogach jego

buty!

- Nazwisko! – huknął naraz Rosjanin.
- Horn – odpowiedział przesłuchiwany.
- Imię.
- Tomasz.
- Wiek.
- Trzydzieści osiem lat.

I pomyśleć, jacy oni kiedyś byli mili.

W połowie lat osiemdziesiątych, już po stanie wojennym, popularne były tak zwane wymiany: radzieccy pionierzy przyjeżdżali do Polski, gdzie zwykle uczestniczyli w uroczystym odsłonięciu kilku pomników – zazwyczaj były to czołgi; polscy harcerze zaś jechali do nich.

Najbardziej popularnym obozem pionierskim był wtedy Artek na Krymie, jednak młodzież z ościennego województwa olsztyńskiego jeździła właśnie w okolice Kaliningradu, na Mierzeję Kurońską (niektórzy śmiali się, że nazwa pochodzi od Jacka Kuronia, choć przy tym nazwisku zawsze ściszało się głoś).

Nastoletniego Tomka też kopnął wtedy ten zaszczyt. Z trzytygodniowego pobytu pamiętał wycieczki autokarowe, w asyście milicyjnych żiguli, w których jechali funkcjonariusze w wielkich jak lotniska czapkach nakazujący zatrzymywanie się na poboczu wszystkim autom jadącym z naprzeciwka. Jakby w autokarach jechała co najmniej świta szacha Iranu.

Poza tym było koszmarnie jedzenie, brak słodczy, z powodu czego wpieprzało się kupiony w sklepie, sprasowany kisiel lub patrzyło na ładne Rosjanki. Były też defilady z pionierami, zabawy w rozkładanie kałacha, a nawet wieczorne ognisko z... podkładów kolejowych oblanych benzyną, które nim zapłonęło przy pieśni *Płonie ognisko i szumią knieje*, wyleciało po prostu w powietrze.

– Nazwisko! – zapytał znów mężczyzna, wyrywając więźnia z zamyślenia.

- Horn.
- Imię.
- Tomasz.

- Wiek.
- Żądam kontaktu z konsulem Rzeczypospolitej Polskiej w Kaliningradzie.
- Znasz nasze piękne miasto? – zapytał naraz czarniawy, puszczając wysoko smugę dymu.
- Co to ma za znaczenie?
- A inne ładne miejsca też znasz?
- Jakie?
- Choćby Krynicę Morską. – Czarniawy rzucił na blat stołu plik kolorowych zdjęć, na których zarośnięty jak dziki agrest mężczyzna stoi na tle plażowego namiotu w pomarańczowo-niebieskie pasy. – A może Kahlberg?
- Co to już, kurwa, wyjechać na wakacje nie można? – prychnął Horn, zastanawiając się jednocześnie, czemu Rusek użył starej, niemieckiej nazwy.
- Gdyby stał, z pewnością stwierdziłby, że drżą mu kolana. Poczł nieznośny skurcz w żołądku. Jego myśli galopowały dokądś z niedozwoloną prędkością, wzrok skakał z miejsca na miejsce, mimo że brakowało szczegółów, na których można było zatrzymać spojrzenie. Zaczęło go boleć serce, którego bicie wypełniało mu uszy nieznośnym, miarowym łomotem.
- Na dziś wystarczy – rzekł złotozęby, po czym opadł plecami na oparcie krzesła i zaczął, jakby od niechcienia, segregować rozrzucone na blacie papiery, jak prezenter na koniec telewizyjnych wiadomości.
- Horn nie zdążył odetchnąć. Szybsze okazały się czyjeś ręce, które narzuciły mu na głowę worek, tak jak wcześniej złapały go pod ramiona i wyniosły z piwnicznego pomieszczenia. Worek śmierdział tak samo – stęchlizną i myszami. Musiał też być nasączony jakąś substancją, gdyż więzień znów stracił przytomność.

XXII

Kwidzyn, dzień trzeci

Komisarz Matejuk nie lubił niedziel ani poniedziałków. Nie lubił też powtarzać czegokolwiek jeszcze raz. Słowa, owszem, nawet musiał, bo jego jedyna córka rosła i było z nią coraz więcej kłopotów. Zanim posprzątała swój pokój, trzeba było stać i gadać, i powtarzać.

Podobnie z młodymi i bardzo młodymi policjantami, wśród których zdarzało się wielu półgłówków. Jakim cudem jeden z drugim przeszli przez testy – nie wiadomo. Ale i to było do przełknięcia, tym bardziej w pozycji przełożonego.

Jednak Matejuk przeżywał istne katusze, kiedy przychodziło mu po raz kolejny otwierać teczkę z aktami, której miał nadzieję już nie otwierać. Pamiętał z dzieciństwa, jak ojciec czepiał się go, że brzydsko pisze. I kazał mu przepisywać całą pracę domową z języka polskiego, choć przecież odcyfrowanie hieroglifów należało już do nauczycielki. Ale co ojciec nakazywał, syn, ze łzami w oczach, bo za oknem czekali już koledzy z gałą, robił.

Podobnie poczuł się i teraz, kiedy śledczy z Gdańska kazali mu wracać do Kwidzyna i jeszcze raz przyjrzeć się sprawie. Miał dodatkowo ustalić, czy dwóch zamordowanych w niedługim czasie księży mogło coś łączyć, prócz zwiniętej w kulkę kartki z Biblii w ustach. Może znali się osobiście? Kryminalne puzzle przerażały Matejuka jak maturalny egzamin pisemny z matematyki. Nie był nowicjuszem w fachu, wiele razy składał do kupy beznadziejne sprawy.

Choć dzień miał się już ku końcowi, komisarzowi wydawało się, że dopiero się zaczyna.

– Cześć! – rzucił, mijając okienko dyżurnego.

Tak jak rano znów minął petentów, niezmiennie kręcących się na krzeselkach pod ścianą. Ciekawe, czy odnalazł się ten archeolog? – pomyślał, pokonując kolejne stopnie schodów. Na stole w pokoju odpraw nadal stały brudne szklanki po kawie. Mijała doba, a jakoś nikt nie poczuwał się, aby posprzątać. Tylko resztki ciasta z talerzyków zostały już uprzątnięte. Prawdopodobnie przez muchy.

Ledwo przekroczył próg swojego pokoju, na biurku zadzwonił telefon. Wiedział dokładnie, czyj głos usłyszy, kiedy podniesie słuchawkę. Jakież

jednak było jego zdziwienie, gdy zamiast znajomego sapnięcia szefa, rozległo się ciche:

– Szczęść Boże.

– Dzień dob... – urwał, chrząknął z zakłopotaniem, a jego twarz pokryła się rumieńcem. – Kłaniam się. Tak, słucham.

– Ksiądz Emilian – zaszemrało znów w słuchawce. – Chciałem tylko zapytać, czy może czegoś się panowie dowiedzieliście.

Matejuk przewrócił oczami. Czymże są przy tym naciski kurii, oczekującej wyjaśnienia sprawy, złapania winnych i postawienia ich przed wszystkimi sądami, z bożym na czele?!

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, proszę pa... – Policjant zazgrzytał zębami. – Proszę księdza. Właśnie wróciłem z odprawy w komendzie wojewódzkiej w Gdańsku.

– Rozumiem – odparł ze smutkiem ksiądz, jak ten pokorny petent, odchodzący z kwitkiem od urzędniczego okienka.

Komisarzowi zrobiło się żal staruszka. Nagle wpadł na pewien pomysł.

– A czy mógłbym wpaść jeszcze raz do księdza na plebanię? – zapytał nie swoim głosem. – Może jeszcze coś by się księdzu przypomniało...

XXIII

54°38'N, 19°53'E, dzień trzeci

Kiedy znów się ocknął, było jasno. Siedział, jak wcześniej, oparty o ścianę. Teraz jednak widział wszystko. Cela miała powierzchnię może z dwudziestu metrów kwadratowych. Największy pokój w mieszkaniu. Ściany z czerwonej cegły, tak jak pokój przesłuchań. Pusto. Dwa okna o łukowatym, gotyckim kształcie. Może to jakiś zamek albo baszta? – przeszło mu przez myśl. Ktoś odsłonił okna albo otworzył okiennice, bo wlewało się przez nie blade światło dnia. Niewiele, ale zawsze.

– Hej, słyszysz mnie? – odezwał się znajomy głos.

Hornowi żywiej zabiło serce. Czekał na to. Próbował się obrócić, ale

zdołał jedynie przekręcić nieco głowę. Nikogo nie dostrzegł. Może tamten siedział w jakiejś wnęce?

- Słyszę – odpowiedział.
- Przesłuchiwali cię?
- Tak.
- Oskarżali o szpiegostwo?
- Tak.
- Bili?
- Nie.

Wydawało mu się, że jego niewidoczny rozmówca głęboko odetchnął.

- Kim jesteś? – zapytał po chwili Horn.
- Już ci mówiłem, jestem przyjacielem.

Przez wąskie okienko wpadło nieco więcej światła. Może słońce wyszło zza chmury. Która mogła być godzina? I jaki dzień?

- Poniedziałek – odpowiedział jego towarzysz niedoli.

Skąd wiedział, o czym myślę? – przestraszył się Horn. Kurwa, zaczyna fiksować. Może to pozostałość po działaniu eteru, którym nasączony był worek. Zmyślne urządzenie. Najgenialniejsze wynalazki są jednocześnie najprostszymi.

- Jak długo tu siedzisz? – zapytał znów Horn.

Zamiast odpowiedzi, a te przecież następowały dotąd podejrzanie szybko, jego uszu dobiegło głośne, bolesne wręcz westchnienie.

- Wierzysz w Boga? – spytał po chwili niewidoczny współwięzień.

Tak. To było do przewidzenia. Zupełnie jak z tymi ludźmi, którzy podchodzą do ciebie z uśmiechem na ulicy. Dobrze ubrani i zadbani, kobiety z delikatnym makijażem, mężczyźni pod krawatem. Zaczynasz się wtedy zastanawiać, skąd możesz znać ten uśmiech i tę twarz. Ano znikąd, bo za chwilę widzisz wyciągnięte z zanadru kolorowe pisemko i już wiadomo, o co im chodzi. Wymawiasz się pośpiechem, spoglądasz na zegarek, uśmiechasz się przepaszająco i przyspieszasz kroku, tracąc szansę na zbliżenie do Pana.

– Nie – odparł, ale szybko się poprawił: – To znaczy tak... – W końcu jednak poddał się, mówiąc: – Nie wiem.

– Kolejność prawidłowa – zaśmiał się nieznajomy podający się za przyjaciela.

– Nie rozumiem.

– Opowiem ci o człowieku, który miał w swoim życiu podobny problem.

Horn nie miał ochoty na wysłuchiwanie żadnych ckliwych bajek. Szczególnie w obecnej, mało przyjemnej sytuacji. Ale i tym razem tamten człowiek w jakiś sposób poznał jego myśli.

– Mogę? – spytał.

– Tak, oczywiście.

– Mamy trochę czasu – rzekł nieznajomy jakby do siebie. – Otóż było to jakiś czas temu. Dawniej niż dawno. Ale za to niedaleko stąd...

XXIV

Gyddanyzc, 18 kwietnia 997 roku

– No i gdzie ten twój pan i mędrzec? – zapytał Wyszak, a zęby mu dzwoniły, niczym kolorowe błyskotki z metalu u handlarza na pobliskim targu.

– Będzie, będzie – uspokajał go druh jego najbliższy, imieniem Niedamir, jak i on usiłujący zapanować nad podobną muzyką, którą wykonywały jego mocne siekacze i trzonowce.

– Na Jarowita! – westchnął Wyszak. – A mogłem siedzieć w chacie, przy ciepłym piecu, z moimi kobietami.

Obaj stali po szyję w zimnej wodzie Raduni, a obok nich dziesiątki, a może i setki ich sąsiadów, znajomych i nieznajomych mieszkańców grodu. I wszyscy jednakowo wpatrywali się w brzeg, na którym lada chwila miał ukazać się orszak ich księcia, a także ten, dla którego tu przyszli, mimo ledwo kwietnia weszli do rzeki i czekali na nowe słowo.

Miało to potrwać, jak im mówili, chwilę. Ale księżę i jego gość nie nadchodzili. Ktoś usiłował skrócić sobie czas oczekiwania, robiąc psikusy: a to próbował schwycić pod wodą za nogę jakąś białogłową, a to zaczynał

podtapiać druha. Jakiś młokos nawet chciał ryby łapać, ale co którą chwycił, srebrzysty kształt wymykał mu się i znikał w wodzie z głośnym pluskiem.

Szybko jednak młodzi pofolgowali, bo na brzegu rzeki, jak i bliżej, w kilku łodziach, stały uzbrojone w włócznie straże z księżęcej drużyny. Chwila ta miała być bowiem szczególna.

– Na Świętowita! Zaraz zamarznę – jęknął znów Wyszak. Był nieco niższy od Niedamira, do tego pewnie stał w jakimś zagłębieniu dna rzeki, bo brodę miał całą moką, do tego zmierzwioną i poskręcaną w strąki.

Ledwo jednak wyrzekł te słowa skargi, ozwały się podniesione głosy. Kilkadziesiąt, a może i kilkaset wystających z Raduni głów zwróciło się ku brzegowi. Już słychać było wyraźnie tętent kopyt i rzenie koni.

Po chwili Pomorzanie ujrzeli swojego księcia, który zsiadłszy z wierzchowca, zbliżył się do rzeki. Obok niego szedł człowiek w brązowej, długiej szacie, związanej konopnym sznurem. Miał na głowie kaptur, w rękach zaś dziwny przedmiot: spojone ze sobą dwie wąskie deszczułki z ciemnego drewna, na których rozpięte było, ulane z metalu, ciało człowieka.

– Oto i on sam, mój Wyszaku – powiedział Niedamir z dumą i jeszcze wyżej podniósł głowę. – Wojciech, zwany Adalbertem. Kapłan z południa.

Orszak otoczył swego pana i rzeczzonego Wojciecha, za którego plecami ukazali się dwaj inni, podobnie ubrani mężczyźni. Gdy jednak księżę po chwili uklęknął przed człowiekiem w zgrzebnej szacie, wywołało to nowe poruszenie. Bo przecie pan ich, wojownik wielki i gospodarz rozumny, nigdy przed nikim nie bił pokłonów!

– Nie może to być. Na Trzygłowa! – zawołał Wyszak.

Zawtórował mu plusk wody Raduni, ale już nie były to psikusy: któryś z mężczyzn szarpał się z wojami; jeden zatkał mu usta dłonią, więc nie wiadomo było, przeciw czemu złorzeczy.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen* – rzekł kapłan w obcej mowie, przypominającej nieco tę, którą porozumiewali się wywożący stąd bursztyn kupcy z Rzymu.

W trakcie wypowiedzania tych niezrozumiałych słów dotknął prawą ręką czoła, potem sznura konopnego na brzuchu, by za chwilę unieść rękę

ponownie do lewego ramienia, a później, jakby chcąc odgonić natrętą muchę, do prawego.

Zapatrzony w obcokrajowca Niedamir próbował wykonać ów gest razem z nim, jednak w chwili, gdy chciał dotknąć brzucha, stwierdził, że nasiąknięte wodą spodnie zbyt nisko mu opadły. Podciągnął je szybko i rozejrzał się dookoła, czy nikt nie zauważył jego kłopotu.

Tymczasem księżę opuścił głowę, obcy zaś uniósł nad nim ręce. W drugiej dzierzył teraz coś, co przypominało wiązkę krótkich wiklinowych gałązek, które zamoczył w podanym mu cebrzyku z wodą i potrząsnął nad księciem.

– *Ego te baptiso in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti* – powiedział donośnym, uroczystym głosem.

Następnie kapłan sięgnął do podanego mu przez podobnie ubranego mężczyznę naczynia, nabrał zeń czegoś, czym dotknął ramion księcia. Po chwili narysował na jego czole taki sam znak, jaki czyniły dwie drewniane deszczułki. Na koniec zaś położył obie dłonie na wilgotnych włosach ksyżeca, nie przestając przy tym poruszać ustami.

Wreszcie kapłan zwrócił się ku stojącym w rzece tłumom. Zrobił krok do przodu, po czym przystanął, jakby się zawahał, by po chwili ruszyć w dół, po łagodnym brzegu Raduni. Za nim to samo uczynili jego pobratymcy. Cała trójka weszła do wody aż po kolana. Kapłan dwojga imion zanurzył wiecheć w rzece i pokropił wodą po i tak mokrych głowach zdziwionych wciąż tubylców.

– *Ego te baptiso in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti* – powtórzył słowa zaklęcia, głośniejsze, ale i tak wciąż pozostawało to nieznaną mową.

– Na Jarowita... – westchnął głośno Wyszak. – Co on do nas mówi?

Ale nikt mu nie odpowiedział na to pytanie; nawet Niedamir, co to utkwił spojrzenie w brzegu Raduni, po którym wspinali się z powrotem trzej przybysze z dalekich stron.

W tej samej chwili łodzie ze zbrojnymi księcia ruszyły w dół rzeki. Także i orszak jego odstąpił od brzegu, na który powoli zaczęli wychodzić ociekający wodą ludzie. Zza chmury wychynęło słońce, jednak nie było w stanie przynieść ulgi przemarzniętym do szpiku kości ciałom.

Ledwo Wyszak z Niedamirem stanęli na brzegu Raduni, posłyszeli jakiś rwetes. Dobiegł on z miejsca, gdzie rósł czczony od wieków, święty dąb Pomorzan.

– Ludzie, wycinają nasz święty dąb. Wycinają święty dąb! – krzyczał jakiś mężczyzna, biegnąc w stronę rzeki i wymachując rękami.

– Nie może to być – obruszył się Wyszak.

– Tak się stanie – rzekł spokojnie Niedamir, marszcząc srogo brwi.

W kilka chwil rozkrzyczany tłum dotarł na polanę, na której rósł ich święty dąb. Prawdą było, co krzyczał tamten człowiek: przy grubym pniu drzewa, którego nie objąłby chyba i z tuzin dorosłych mężczyzn, uwijali się trzej drwale. Otaczał ich najeżony ostrzami kordon wojów księcia; ci, którzy nie mieli w rękach włóczni i tarcz, dzierżyli krótkie miecze i płonące pochodnie.

Między rąbiącymi a kordonem stała trójka obcych kapłanów, a najstarszy z nich unosił wysoko w górę rękę ze znakiem ich religii.

I wtedy w stronę bezczeszczących świętość poleciał pierwszy kamień, za nim drugi i następny. Po chwili rzucali, czym się dało: wyrwanymi kępami trawy, połamanymi konarami drzew i szyszkami, a kto się nie brzydził, to i krowim łajnem. Inny cisnął nawet wciąż ociekającymi wodą butami.

Drużyna księcia stała jednak nieporuszona.

Wtem drzewo zatrzeszczało rozpaczliwie, jakby mieszkające w nim duchy wołały ratunku. Poharatane ostrzami toporów włókna stęknęły bolesnym, choć do końca zgodnym chórem. Tłum wstrzymał oddech.

– Na Jarowita! – krzyknął Wyszak.

Otoczający święte drzewo kordon rozsypał się w jednej chwili, a ciemny kadłub pnia przechylił się ku ziemi. Jeszcze jedno uderzenie toporem, jakby ten, który go trzymał w dłoniach, chciał zadać cios miłosierdzia. Rozległ się przeciągły jęk, po nim szept tysiąca łamanych drobnych, bezlistnych jeszcze gałązek. I huk, jakby tur padał na bok, rażony w bok dziesiątkami strzał.

Święty dąb Pomorzan, jeszcze przed paroma chwilami pogan, teraz już chrześcijan, leżał bez życia na zielonej polanie.

Słońce nad grodem Gyddanyzc i zatoką zaszło już, choć na niebie wciąż pozostawała krwawa łuna, kiedy Niedamir wrócił do swojej chaty. Piec chlebowy był jeszcze ciepły, więc mężczyzna usiadł i przywarł doń plecami.

Rodzina Niedamira szykowała się już do snu; jedna z jego żon kołysała uplecioną z łyka kołyskę z najmłodszym synkiem. Inna porządkowała rozrzucone podczas zabaw pozostałych dzieci dzieże i stępy. Trzecia z kobiet, najmłodsza, właśnie podała mężowi miszkę z gorącą strawą.

– Ludzie mówią, że teraz jedną tylko kobietę będzie mógł mieć mężczyzna – rzekła markotnie, usiadłszy przy swym mężu. – Że nowa wiara tak każe. Prawdę to jest?

Nie chciało mu się mówić. Jeść też. Wziąłby więcierz i poszedłby na ryby, ale i ta wizja zaraz wydała mu się nudną, niewartą upuszczenia ciepłej gawry. To już lepiej napchać żołądek i zalec pod skórą. Dotknąć jednej z sześciu piersi, do których miał prawo. Jeszcze je miał.

– Tak ma być – odpowiedział, starając się nie patrzeć na żonę.

Ogień zaczął przygasać, w izbie robiło się coraz ciemniej.

– Śnieg biolą deką cały świat zdoł, a jo bizonkę szpiwom ci. Oczu, oczu zmrz. Moj nodrogszi skorb... – śpiewała dzieciom najmłodsza z żon Niedamira.

On jednak, choć często zdarzało się, że zasypiał wcześniej niż jego gromadka, nie mógł zmrzyć oka. Myślał, aż głowa bolała, choć może to i choroba po zbyt wczesnej kąpieli zaczynała się do niego dobierać. Pytania, które sobie stawiał, były jednak jasne: co teraz będzie? Jaka jest ta nowa religia, jakim bóstwom przyjdzie teraz służyć, do kogo się zwrócić z prośbą o dobry połów, a do kogo o bogate zbiory?

Nie przejmował się tym chyba zbyt dluh jego Wyszak, bo twierdził, że się niewiele zmieni. Mimo że święty dąb padł pod ciosami toporów i z książęcego rozkazu. Skoro stare duchy i bogów ogniem, i mieczem się będzie przepędzać, kto uchroni podczas sztormu i walki śmiertelnej? Jakie bóstwa zastąpią Jarowita, Świętowita i Trzygłowa? Kim jest czy był człowiek z rozpiętymi na poziomej belce ramionami? Królem czy bogiem?

Nim zupełna ciemność wypełniła dom Niedamira, on już wiedział.

Port tętnił życiem od rana. Kwietniowe słońce przygrzewało mocno, a wiatr od zatoki niósł głośny krzyk stad mew i nawoływania ludzi. Łodzie przybijały do brzegu i odchodziły w morze, łatano żagle, zbijano burty i maszty. Przeładowywano towary, przeganiano bydło, które miało być sprzedane na targu.

Uwagę załóg statków i kupców skupiała tego dnia księżęca łódź, na której widać było wielkie ożywienie. Czyżby szykowała się nowa zbrojna wyprawa – ale przeciw komu tym razem: Prusom, Polanom, a może jeszcze dalej – na klasztor duński, skąd zwykle przywodziło się trofeum w postaci tłustego opata, którego los był zawsze taki sam: mieszkanie w ciasnym chlewiku, póki zakon lub bliscy nie zapłacą okupu? Bo Pomorzanie był to ludek bitny i krzepki, umiejący się nie tylko bronić, ale i napadać.

Niedamir stał na brzegu i z zaciekawieniem przypatrywał się księżęcej jednostce. W ręku trzymał więcierz, ale jakoś nie chciało mu się ruszyć z miejsca, mimo że swej rodzinie obiecał na obiad ryby.

– Hej! Niedamirze! – zawołał ktoś.

Głos dochodził z księżęcej łodzi, wokół której zaczęli gromadzić się zbrojni z drużyny władcy. Z początku przestraszył się, myśląc, że może rozpoznano w nim jednego z tych, którzy wczoraj siłą bronić chcieli świętego dębu przed wycięciem.

Zmrużył oczy od słońca. To wołał Domasław, znajomy od czasów dzieciństwa, który dziś był skutnikiem w porcie.

– Witaj! – krzyknął Niedamir, zbliżywszy się.

– Pomożesz mi? – zapytał skutnik.

W kilka chwil poradzili sobie z wręgą. W międzyczasie wojowie zaczęli sadowić się na łodzi. Niedamir nie pytał, dokąd płyną, choć język go świerzbił. Wszystko stało się jasne, gdy na brzegu pojawił się orszak księżęcy.

Serce żywiej mu zabiło, bo pośród dworzan i wojów dostrzegł brązowe szaty i kaptury trzech obcych kapłanów. Chwilę rozmawiali z księciem, wymieniając uściski. Jeszcze tylko znajomy gest ręką, prowadzoną od czoła

ku ramionom, i trójka obcokrajowców, nieco niezdarnie drobiąc kroki, zaczęła wchodzić do księżęcej łodzi.

Stojący na rufie Niedamir nie ruszał się z miejsca. Nim spostrzegł, że obok niego nie ma już Domasława, kapłani byli na pokładzie, pośród kilkunastu zbrojnych. Bolesna żalność chwyciła za jego serce, gdy spojrzął na rysujące się w oddali zabudowania miasta, w którym spędziła całe życie. Jednak i to nie mogło tchnąć życia w zmartwiałe członki. Dopiero gdy dostrzegł, że w kierunku steru idzie jeden z wojów, niewiele myśląc, wśliznął się pod leżące obok żagle.

W tej samej chwili łódź odbiła od brzegu...

XXV

Kwidzyn, dzień trzeci

Komisarz Artur Matejuk stał przed drzwiami katedralnej plebanii. Stał i nie poznawał sam siebie. On tutaj? Z własnej woli?!

Owszem, wydeptał kiedyś ścieżkę, na krótko przed ślubem, by zdobyć dokument z biskupią pieczęcią, noszący nazwę dyspensy. Udzielono jej jego żonie. Na ślub z niewierzącym. Ale żeby tak z własnej woli spotykać się z księdzem, w dodatku starym i pewnie srogim – komisarz jakoś nie potrafił się przemóc. Tylko że nie przychodziło mu do głowy żadne inne rozwiązanie.

– Kto tam? – zza drzwi dobiegł kobiecy głos.

– Swój – odpowiedział.

Za drzwiami coś zachrobotало, po chwili szczęknął zamek. Matejuk odetchnął z ulgą.

W szczelinie między drzwiami a futryną ukazała się twarz kobiety. Poczzerwieniałe wciąż oczy gospodyni zamordowanego proboszcza świadczyły o niedawnych przeżyciach.

Kobieta otaksowała przybysza od stóp do głowy.

– Jaki swój? – zapytała nieufnie.

– Artur Matejuk z policji. Rozmawialiśmy wczoraj.

Nagle przypomnienie bolesnej sytuacji sprawiło, że źrenice kobiety rozszerzyły się, a po sekundzie wezbrały w nich łzy. Ale i to do końca nie uśpiło w niej czujności. Szpara, przez którą rozmawiali, nie powiększyła się ani o centymetr.

– Ma pan jakąś legitymację czy coś takiego? – zapytała starsza pani.

Komisarz bez słowa, za to z wymuszonym uśmiechem wyciągnął i pokazał odznakę. Dopiero ta czynność spowodowała, że drzwi otworzyły się szeroko.

– Proszę, niech wejdzie – rzekła kobieta.

– Dziękuję.

Ledwo wszedł do środka, na schodach pojawiła się upiorna postać.

– Pan do mnie – ksiądz Emilian ni to zapytał, ni to stwierdził.

Kobieta zafurkotała obszerną spódnicą i zniknęła za drzwiami, prawdopodobnie kuchni. Staruszek rezydent pokonał ostatni stopień schodów. Jego pobladła, pokryta zmarszczkami twarz ukazała się w dużo lepszym świetle. Nieco lumenów dodał jej także uśmiech.

– Szczęść Boże – przywitał się.

– Kłaniam się – odpowiedział Matejuk przez ściśnięte gardło i zaraz dodał: – Postaram się nie zająć księdzu dużo czasu.

– Zapraszam – rzekł rezydent, poruszywszy kilka razy krzaczastymi brwiami, co pewnie było skutkiem tiku bądź jakiejś przypadłości wynikającej z podeszłego wieku.

Pokój zajmowany przez staruszka był urządzony niezwykle skromnie: wąskie drewniane łóżko, szafka nocna, stół z dwoma krzeselkami, regał z książkami, wąska szafa na ubrania. Żadnych zbędnych szczegółów, ozdóbek, bibelotów. Pachniało starym drewnem. Na stole leżało jabłko. Okno pokoju wychodziło na zamek, zaś na jednej z pobielonych ścian wisiał potężnych rozmiarów krzyż, na którym Jezus wyglądał, jeżeli można tak powiedzieć, jak żywy.

– Nie odmówi pan herbaty? – zapytał ksiądz Emilian.

Matejuk skinął głową. Wciąż czuł się nieswojo. Wizyta na zarzyganej melinie nie stresowała go tak, jak to. Dobra, stary, weź się w garść – rozkazał sam sobie w duchu, po czym wziął głęboki wdech i sięgnął w zanadrze po

notatnik i długopis.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Kapłan wskazał krzesło wąską, pokrytą brązowymi plamkami ręką.

Matejuk skorzystał z zaproszenia. Szybko zaczął rozkładać na blacie stołu swój majdan, maskując w ten sposób skrupowanie.

Otworzyły się drzwi i do izby weszła gospodyni. Niosła dużą tacę, na której stały dwie filiżanki z herbatą, a także dwa małe talerzyki i trzeci, duży, z ciastem drożdżowym. Zrobiło się miło, wręcz rodzinie.

– Tak jak powiedziałem, chciałbym zadać jeszcze kilka pytań – zaczął komisarz.

Pstryknął długopisem, popatrzył na siedzącego naprzeciw rezydenta i już miał zadać pierwsze pytanie, kiedy wydało mu się, że staruszek... drzemie. Trwał bez ruchu, jego oczy zasłaniały brwi, więc Matejuk nie mógł przekonać się o prawdziwości swoich podejrzeń. I nie musiał, bo starzec odezwał się, nie zmieniając pozycji:

– Tak. Słucham pana. Jest herbata, proszę się częstować. Pan wybaczy, ale od wojny piję gorące napoje nawet podczas upałów.

– Rozumiem.

– A może kazać przynieść coś zimnego? – Starzec naraz uniósł brwi i komisarz ujrzał jego jasne, spokojne oczy.

– Nie, herbata w zupełności wystarczy. Doskonale pasuje do ciasta. Czy moglibyśmy...

– Tak. Słucham pana.

Matejuk ponownie pstryknął długopisem, wciągnął w płuca powietrze.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy ksiądz proboszcz miał wrogów?

– Nie wiem, chyba nie. – Rezydent wzruszył ramionami. – Choć tylko Pan Bóg raczy to wiedzieć. Doczekaliśmy czasów, kiedy człowiek człowiekowi potrafi wbić nóż w plecy za parę złotych. Nie jestem z tych, co narzekają i wszędzie widzą tylko zło. Wręcz przeciwnie: chcę widzieć dobre strony życia. Może dlatego, że tyle zła już w nim widziałem.

– Rozumiem. Czy na plebanii byli ostatnio jacyś goście?

– Ciągle kogoś gościmy. – Staruszek uśmiechnął się, ale po chwili srogo zmarszczył brwi. – Niestety, odwiedziny archeologów od początku

wydawały mi się niezbyt fortunne. Nie powinno się przerywać snu zmarłych, szczególnie po tylu latach. Mówiłem to od początku, ale oni nie chcieli mnie słuchać... – Głos starego księdza przeszedł w szeleszczący szept.

– Tak. – Matejuk odchrząknął, wyłączył i włączył długopis, którego zresztą nie użył jeszcze ani razu. – Jak ksiądz zapewne wie, to już drugie takie morderstwo w ciągu ostatnich tygodni. Że za oboma tymi czynami stoi ta sama osoba lub ludzie, świadczą dwie rzeczy: zabici zostali księża i każdemu z nich włożono w usta kartkę wyrwaną z Biblii. Chciałbym się dowiedzieć, czy ksiądz proboszcz znał się z proboszczem z Królewa...

Staruszek wstał gwałtownie od stołu i wyszedł z pokoju. Czyżbym go czymś uraził? – przestraszył się Matejuk. Przecież specjalnie pilnował się, aby czegoś nie palnąć, jakiejś głupoty, obiegowej opinii. Albo żeby nie pomylić jakiegoś religijnego terminu, co zdarzało się wcześniej. Czy ma teraz siedzieć i czekać, aż wyrzucą go z plebanii oficjalnie, czy lepiej może wyjść samemu?

Przełknął ślinę, nie wiedząc za bardzo, co robić dalej. Pociągnął z filiżanki łyk herbaty. Nim jednak odstawił filiżankę z powrotem na spodeczek, ksiądz rezydent wrócił do pokoju. W ręku trzymał jakiś obrazek.

Pierwsze, co przyszło na myśl Matejukowi, to, że ksiądz odprawi nad nim jakiś dziwny rytuał: postraszy świętym obrazem, jak w podstawówce robiły inne dzieci.

– Wisiał u niego w pokoju – wyjaśnił starzec. – To grupa przyjaciół.

Obrócił obrazek, który okazał się oprawioną w grubą ramę, czarno-białą fotografią. Matejuk wziął do rąk zdjęcie i odwrócił tak, żeby słoneczny poblask na szkle nie zniekształcał obrazu.

Stara fotografia w istocie przedstawiała grupę roześmianych, młodych mężczyzn. Wszyscy ubrani byli w sutanny. W jednym z nich, mimo upływu lat, komisarz bez trudu rozpoznał proboszcza konkatedry św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie.

– Ten zażywny jegomość obok to jest właśnie ksiądz Henryk z Królewa pod Malborkiem – rzekł cicho rezydent.

– Ilu ich jest?

– Trzynastu. Jak dwunastu apostołów i Jezus. Grupa najwierniejszych

przyjaciół z jednego rocznika seminarium duchownego w Pelplinie. Rzadko się zdarza, żeby tak szczególnie mocne więzy połączyły aż tylu ludzi. Ale się zdarzyło. Wielu już nie żyje, niestety – westchnął staruszek.

– Jak to się stało?

– Jeden z nich został zamordowany przez bezpiekę, na długo przed Popiełuszką. Inny utopił się w morzu, niedługo potem. Kazik, ten szczupły blondyn, zmarł na malarię podczas misji w Afryce. No i teraz dwaj następni. Dwóch czy trzech zdążyło też zrzucić sutanny...

– Jak znaleźć pozostałych?

– Niestety, nie znam ich adresów. – Starzec rozłożył ręce. – Ale myślę, że w kurii w Elblągu albo w seminarium w Pelplinie, gdzie wszyscy studiowali, powinni panu pomóc.

XXVI

54°25'N, 19°46'E, dzień trzeci

Kapitan Marcin Wójcik zapalił papierosa, oparł ręce o zimną, metalową rurkę balustrady i zapatrzył się w dal.

Widok z wieżyczki posterunku Straży Granicznej niedaleko ujścia Pasłęki był naprawdę imponujący: Zalew Wiślany poprzecinany tu i ówdzie białą kreską wyższej fali, na końcu którego rysowała się mierzeja, krążące nad wodą mewy, po drugiej stronie zaś lasy, łąki i pola, a także wieże i kominy pobliskiego Braniewa.

Wszystko widać było doskonale, choć gdy na wieżę patrzyło się z dołu, nie wyglądała zbyt imponująco. O tym, że jest wysoka, nawet bardzo, człowiek wspinający się po metalowej drabince przekonywał się zwykle już w połowie dystansu. Wtedy strach było już iść dalej, a jednocześnie wstyd się cofnąć.

Coś zaszczekało w krótkofalówce. Wójcik drgnął, ale nie zmienił pozycji. Pozycji właściwej turyście czy letnikowi, któremu nic i nikt nie jest w stanie zakłócić słodkiej kontemplacji krajobrazu.

Zachować zimną krew i spokój niemal do końca, podczas gdy inni odpalają jednego papierosa od drugiego, usiedzieć na miejscu nie mogą albo po wielokroć sprawdzają, czy „klamka” jest na miejscu, czyli w kaburze. Nie, tego nie muszą sprawdzać. Tam, gdzie służył kapitan Marcin Wójcik, pistolet jest zawsze w kaburze. Od tego zależy życie.

– Jedenaście zero trzy, zgłoś się! – zaskrzeczała znów krótkofalówka.

Wójcik zdjął z głowy wiśniowy beret i przeciągnął palcami po krótkich włosach. Zaciągnął się dymem, po czym spojrział krytycznie na trzymanego w palcach papierosa: do filtra pozostało niewiele, a ręka mu drżała – tyle stwierdził.

W tej samej chwili usłyszał dochodzące z dołu sapanie, połączone z miarowymi uderzeniami o metalowe szczeble, co wprawiało całą konstrukcję w wibrację.

– Panie kapitanie – usłyszał po chwili głos kaprała Niewiadomskiego, ale nie odezwał się. – Panie kapitanie – powtórzył żołnierz.

– Tak?

– Jesteśmy gotowi.

– Zaraz schodzę. Nie rozłączcie się już nigdzie, chłopaki.

– Rozkaz!

Szczeble rozdzwoniły się znowu, niczym szkolny instrument zwany metalofonem.

Kapitan jeszcze raz zaciągnął się dymem. Żar dosięgnął celu – ciemnożółtego filtra. Oficer zdusił niedopałek na rurze balustrady, gdzie ktoś wydrapał kilka liter i cyfr: 134 DDC.

Marcin Wójcik tylko się uśmiechnął. Ile jemu zostało dni do cywila, bo to właśnie to oznaczał enigmatyczny już dla większości napis? Wielu jego kolegów, z którymi zaczynał studia w szkole oficerskiej, albo szykowało się właśnie do emerytury, szukając jednocześnie jakiegoś zajęcia w cywilu i hodując drugi podbródek, albo już korzystało z jej uroków.

Kapitan Wójcik nie myślał o emeryturze: wciąż bawił się w wojnę jak chłopiec w krótkich spodenkach.

Powoli kończył się dzień. Oficer włożył beret na głowę, dwoma wprawnymi ruchami poprawił jego ułożenie, trzecim dotknął zimnej blachy

orzełka na pelcie. Lubił bardzo swoje nakrycie głowy. Jak dotąd ten niewielki kawałek wiśniowego filcu przynosił mu bowiem szczęście: w Iraku i Afganistanie, wcześniej na Haiti.

Popatrzył jeszcze raz na Zalew Wiślany, po czym zniknął w otworze, gdzie zaczynała się prowadząca w dół drabinka o odartych do cna z farby, wyślizganych szczebelkach.

XXVII

Pelplin, dzień trzeci

Komisarz Matejuk nigdy nie był w Pelplinie. Mimo to szybko udało mu się znaleźć siedzibę uczelni przy placu Mariackim. Neogotyckie budynki z czerwonej cegły robiły wyjątkowe wrażenie – tak na nim, jak i pewnie na wystraszonych maturzystach, którzy, przekonani o swoim powołaniu, przyjeżdżali tutaj po raz pierwszy, dzierżąc w spoconych rękach świadectwo dojrzałości, a także świadectwo moralności, wystawione przez swojego proboszcza i katechetę, oraz metrykę ślubu kościelnego rodziców. Reszta egzaminów mogła być tylko łatwiejsza...

Matejuk czuł, jak wraca w nim ochota do życia. Nic tak dobrze nie wpływało na jego samopoczucie, jak logicznie wiążące się ze sobą fakty albo ludzie, łatwe do odgadnięcia pobudki, kierujące tymi ostatnimi – słowem: gładko toczące się dochodzenie.

Było już dobrze po południu, kiedy wyjechał z Kwidzyna. Od Pelplina, znanego głównie z seminarium duchownego, dzieliło go zaledwie kilkanaście kilometrów. I Wisła. A tę, póki co, pokonywało się promem na wysokości Gniewu. Nie odczuwał nawet stresu związanego z koniecznością kolejnej rozmowy z człowiekiem w sutannie.

Zaparkował samochód przed jednym z budynków, który wyglądał najdosjniej i w którym Matejuk miał nadzieję znaleźć administrację czy coś podobnego. Już w przedsionku czuć było przyjemny chłód, tak charakterystyczny dla starych budowli.

– Szczęść Boże – przywitał się Artur, nie poznając swojego głosu.

– Szczęść Boże – odpowiedziała mu starsza pani, siedząca za ogromnym biurkiem.

Nim zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, kobieta zerwała się z krzesła, jakby ktoś wbił jej od spodu szpilkę.

– Proszę, zapraszam – zatrajkotała, wskazując ręką drzwi po lewej stronie. – Ksiądz prefekt już na pana czeka, proszę.

Nim zdążył pomyśleć, zamknęły się za nim drzwi. Stał teraz w obszernym, ciemnym od mebli gabinecie, a ku niemu szedł, szumiąc sutanną, sześćdziesięcioletni może, okrągły człowieczek o pomarszczonym czole i w wielkich okularach w czarnej oprawie.

– Wiemy, wiemy. Czekaliśmy na pana – rzekł ksiądz prefekt, wyciągając rękę na powitanie. – Proszę usiąść. – Wskazał miejsce za stołem, jakże podobne go tego, które zwykle wskazywał Matejukowi jego szef, Kruś.

– Dziękuję – bąknął policjant.

– Od razu chciałem powiedzieć, że znamy ten bolesny dla całego Kościoła problem – rzekł z troską prefekt, splatając dłonie na blacie stołu. – Według wytycznych watykańskiej kongregacji do spraw wychowania, także i u nas zostanie zatrudniony psycholog, mający pomóc w wykluczeniu tych kandydatów, którzy nie są pewni swej męskiej tożsamości psychoseksualnej.

Matejuk uniósł w górę brwi, ale nie śmiał przerywać księdzu prefektowi.

– Niezdolność do zachowania celibatu, a w szczególności do zapanowania nad żądzami od razu skreśli takiego człowieka z listy przyszłych alumnów, a w rezultacie i kapłanów – skończył z lekką sapką duchowny, po czym zapytał: – Czy to wystarczy panu do jego artykułu?

Matejuk wciąż siedział osłupiały. Dopiero uderzenie zegara, wiszącego na ścianie, wyrwało go z tego stanu odrętwienia.

– Obawiam się, że zaszło jakieś nieporozumienie, proszę księdza – rzekł, próbując się uśmiechnąć.

– Nieporozumienie? – Szkła okularów księdza prefekta błysnęły groźnie.

– Przecież umawialiśmy się na przedstawienie stanowiska seminarium w tej sprawie i właśnie je panu przedstawiłem...

Policjant sięgnął w zanadrze i wyciągnął odznakę.

– Przepraszam, myślałem, że rozmawiam z dziennikarzem... – bąknął ksiądz.

– To ja przepraszam. Powinienem się pierwszy przedstawić.

Prefekt spojrział na zegarek.

– Za chwilę nasi alumni kończą studium ścisłe. W czym mogę panu w takim razie pomóc?

– Szukam adresów kilku absolwentów tego seminarium – powiedział Matejuk, prezentując zdjęcie, które, wyjęte uprzednio z ram, udostępnił mu rezydent. – Mamy powody sądzić, że grozi im niebezpieczeństwo – dodał.

Prefekt poprawił okulary na nosie i wziął do rąk fotografię.

– Rocznik siedemdziesiąty czwarty. Dobry rocznik – rzekł z uznaniem, jakim obdarza się wina, i zaraz dodał: – Tak, znam tych chłopców.

– Świetnie. To dla nas bardzo ważne – ucieszył się policjant.

Ksiądz jeszcze raz pochylił się nad fotografią, przymrużył oczy. Przez jego twarz przebiegł cień uśmiechu.

– To jest stare zdjęcie, z początków studiów – uściślił. – Był wtedy jeszcze, no, ten... – kapłan pstryknął palcami. – Widzi pan, nazwisko wyleciało mi z głowy. To już tyle lat. Pamiętam, że zrezygnował w połowie nauki i z tego, co wiem, poszedł na archeologię do Warszawy.

Matejuk uśmiechnął się do siebie w duchu. W tym samym momencie ksiądz zbladł.

– A o jakim niebezpieczeństwie pan komisarz mówił? – zapytał drżącym głosem.

XXVIII

54°25'N, 19°46'E, dzień trzeci

Odprawa zaczęła się punktualnie o ósmej wieczorem.

Stojąca w rogu niewielkiej świetlicy szkolna tablica szybko pokrywała się kolorowymi rysunkami, strzałkami i cyframi. Wszystkie te tajemnicze znaki otaczały ciasnym kręgiem narysowane na samym środku koło. To był cel

grupy uderzeniowej kapitana Wójcika.

Z jednej strony napięta jak chyba nigdy dotąd sytuacja na pograniczu, której nie sprzyjałaby z pewnością żadna awantura, z drugiej wyraźny sygnał – i to z samej góry, że miejsce oznaczone kółkiem na tablicy należy niezwłocznie zbadać.

– Po prostu wrzód na dupie – tak nazwał to miejsce współprowadzący odprawę major Michalski ze Straży Granicznej.

– Doszły nas sygnały, że to, czego szukamy, może znajdować się właśnie tam – wtrącił swoje Wójcik, by dorzucić zwyczajową, choć mało przyjemną formułkę: – Jak zwykle w takich przypadkach rząd i najjaśniejsza Rzeczpospolita wszystkiego się wyprą i w razie wpadki nie przyznają się do żadnego z nas.

– Ja, żołnierz Wojska Polskiego, przysięgam... – odezwał się któryś z siedzących z tyłu, chyba był to kapral Niewiadomski.

– Że osobiście łeb urwę przy samej dupie każdemu, kto da się złapać – dokończył kapitan z uśmiechem. – Czy to jasne?

– Tak jest! – huknęło z kilku gardeł jednocześnie.

– Powtórzmy zatem jeszcze raz cały plan akcji. Grupa A zbliża się do obiektu od strony zachodniej, grupa B...

Na dworze była już noc, kiedy oddział kapitana Wójcika ponownie znalazł się przed strażnicą. Światła wyłączono specjalnie, ale to nikomu nie przeszkadzało. W ciemności rozjarzyło się kilka czerwonych punkcików.

– Pamiętam, kiedyś na poligonie w Wicku też dwóch sobie zapaliło po ciemku – powiedział ktoś tubalnym głosem. – Niestety, akurat obsługa „Dany” czekała na taki sam znak, żeby pizdnąć w to miejsce.

– I co? – zapytał ktoś inny głosem nieco chłopięcym.

– Nic – westchnął ten pierwszy. – Po butach ich poznali.

– Dobra, panowie – usłyszeli kroki i ściszone, ale wyraźny głos swojego dowódcy. – Wskakujcie w cywilne łachy.

– Sukienki też? – zapiszczał któryś, na co reszta gruchnęła śmiechem.

– Dla ciebie, Jacusiu, zawsze – zaśmiał się Wójcik i zaraz dodał z powagą: – Przypominam jeszcze raz: żadnych dokumentów ani elementów umundurowania. Cała robota ma wyglądać na bandycki napad. Najlepiej Czeczeńców. Albo lepiej Gruzinów.

– Rozkaz! – odkrzyknęli jednym głosem i niemal w tej samej chwili na ziemię spadło kilka bordowych meteorytów.

Niecały kwadrans później na polskim brzegu Zalewu Wiślanego pojawił się zastęp duchów. Lekki powiew bryzy niósł zgniły zapach wodorostów. Rozległo się kilka głuchych uderzeń twardych podeszew butów o laminat. Zmielone w ustach przekleństwo.

Zawarczały silniki. Po kilku chwilach dwie nieoświetlone łodzie odbiły się od brzegu. Daleko nad linią horyzontu pełgało pojedyncze światełko latarni morskiej w Krynicy, przekazując w dal odwieczny znak nadziei dla wszystkich błądzących i może nie do końca jeszcze straconych.

– I nie muszę wam chyba przypominać, że nie bierzemy jeńców – rzucił jeszcze dowódca.

Bezpieczny brzeg oddalał się coraz szybciej. Prawa dłoń Wójcika, który przycupnął przy samej burcie ślizgacza, zagłębiła się w obszernej kieszeni starych spodni w poszukiwaniu ciepła. Nagle znieruchomiała. Palce oficera namacały zimną, chropowatą twardość blaszki.

Był to blaszany orzełek wraz z wiśniowym, kapitańskim beretem...

XXIX

54°38'N, 19°53'E, dzień czwarty

Tomasz Horn obudził się z płytkiego snu. W ustach czuł metaliczny posmak krwi, a jednocześnie nieznośną suchość. Ręce, nogi i kark miały zdrętwiałe, choć mimo to udało mu się zapaść w krótki letarg. W celi znów panowała ciemność.

Czy on wciąż tu jest? Odczekał chwilę, wstrzymując oddech, by uzyskać odpowiedź na swoje pytanie, ba!, chyba największe, poza uwolnieniem

z więzów i z tego miejsca, pragnienie...

– Hej, przyjacielu! – rzucił w ciemność przed sobą i nastawił uszu.

Już miał znów zawołać, kiedy usłyszał pojedyncze sapnięcie i kilka cmoknięć.

– Jestem, jestem. Tylko się trochę zdrzemnąłem – odpowiedział niewidzialny towarzysz i stęknął. – Co się dzieje?

Właściwie nic się nie działo. Zupełnie nic. Chodziło tylko o głos drugiego człowieka: znajomy głos, rozbrzmiewający w słuchawce telefonu, gdy oczekujemy na znak życia po długiej podróży samolotem czy autem.

Horn zaczął rozumieć, co przeżywają ludzie zamknięci w więzieniu lub areszcie czy odosobnieni w jakikolwiek inny sposób. Zawsze marzył o tym, żeby w redakcji mieć osobny gabinet lub choćby jego namiastkę w postaci boksu z trzech plastikowych ścianek, wyklejonych fotografiami i zagryzmołonymi karteczkami.

– Chyba coś słyszałem – rzekł po chwili Horn.

– Co?

– Nie wiem, co to mogło być. Warkot silnika?

– Załoga zmienia się raz na dobę – wyjaśnił tamten. – Raz w tygodniu jest zawsze większa inspekcja, a co miesiąc...

Horn zadygotał, jakby ktoś znów wylał na niego kubek zimnej wody, a drugą ręką przystawił do twarzy gorące żelazko. Miał wrażenie, jakby do ucha wtłoczono mu nagle potężny strumień powietrza. Zebrało mu się na wymioty.

Kurwa, jaki tydzień? Jaki miesiąc? Czy nikt się o niego nie upomni?! Myśli przelatywały mu przez głowę we wszystkich kierunkach.

W ułamku sekundy zachciało mu się jeść i pić, a jednocześnie coś boleśnie ścisnęło pęcherz. Zadrżał z zimna.

– Nie trzeba – powiedział cicho tamten człowiek. – Pomódl się.

Tomasz nic nie odpowiedział. Tym bardziej nie zamierzał się modlić. Tak naprawdę przecież nie potrafił.

– Słyszysz? – odezwał się naraz nieznajomy.

– To warkot silnika. Załoga zmienia się raz na dobę – wyrecytował Horn.

– Nie, to nie to...

Wtem rozległ się huk. Horn skulił się, odruchowo opuścił głowę w obawie przed obrywającym się sufitem. Nic jednak nie spadło z góry. Nie był to też grzmot burzy, choć i te bywały ostatnio coraz gwałtowniejsze.

Uszu uwięzionego dobiegły za to jakieś stłumione przez grube mury wrzaski. Krótka seria z karabinu lub coś, co ją przypominało. Po niej druga, dłuższa. Nim zdążył pomyśleć, rozpoczęła się istna kanonada. Po chwili poczuł w nozdrzach zapach dymu.

– Co się dzieje?! – zawołał.

Powietrze rozdarł kolejny wybuch, aż zatrzęsło się wszystko dookoła. Horn nie miał już wątpliwości, że oto nastał dzień gniewu, wstrzymywanego przez długie dziesięciolecia gniewu na najbliższego sąsiada. Kto zaczął? Kto wyjdzie z tego zwycięsko? Nie zdążył odpowiedzieć sobie na te pytania, bo oto zwyczajnie, po ludzku, a więc śmiertelnie, śmiertelnie, bo po ludzku – zaczął się bać...

Korytarz wypełniał szczelnie szary dym. U jego wylotu kilka ludzkich cieni przywarło do ściany. Ręka jednego z nich wysunęła się z za framugi drzwi i zbliżyła do nich. Krótkie, metaliczne szczęknięcie niczym pocałunek śmierci. Cienie jeszcze bardziej rozpląszczyły się na ścianach korytarza, niemal się z nimi stapiając.

Na ułamek sekundy błysk wybuchu oświetlił napastników: ich słoniowe głowy i wielkie, okrągłe oczy ze szkła. Oksydowane elementy broni krótkiej i długiej odbiły światło. Powietrze przeciął potężny, choć krótki huk, po nim łomot upadających na ziemię, ciężkich drzwi.

– Czysto! – rozległ się głos zduszony przez gumę maski przeciwgazowej.

– Cholera! Musieli się pozbyć tego świństwa – odpowiedział mu drugi.

W kącie niewielkiej izby zamajaczył jakiś podłużny kształt.

– Czekaście! Coś tu jest.

Gęstą jak mleko mgłę przeciął strumień ostrego światła. Podłużny kształt okazał się spętanym więziami człowiekiem. Ledwo odziana w rękawicę ręka jednego z niespodziewanych gości dotknęła go, człowiek ów zaczął kasłać.

– Żyje.

– Uwolnijcie go.

W mgnieniu oka, jakby żaden z tych ludzi nie robił w życiu nic innego, poprzecinali nożami sznury krępujące członki. Potem podnieśli z ziemi bezwładne ciało.

– Kapitanie, on coś mówi – dobiegło spod maski jednego z żołnierzy.

Marcin Wójcik opuścił rękę z glockiem i jednym ruchem ściągnął z twarzy maskę. Szybko podszedł do podtrzymywanego przez dwóch komandosów człowieka i nachylił się nad nim.

– Tutaj... w celi... jest jeszcze ktoś – wymamrotał Horn.

– Mówi, że tu jeszcze ktoś jest! – krzyknął dowódca. – Sprawdźcie dokładnie.

Kilka strumieni światła przez dłuższą chwilę kroilo na kawałki wciąż gęste od dymu powietrze. Mrużąc oczy, Horn dostrzegł w otwartym oknie celi sierp księżyca. I chyba nawet kilka gwiazd. Nim na powrót popadł w nieświadomość, zdążył się uśmiechnąć.

– Nikogo więcej tutaj nie ma, kapitanie – zameldował kapral Niewiadomski.

XXX

Kwidzyn, dzień czwarty

Była ósma rano, wtorek. Komisarz Artur Matejuk szykował się do drogi.

– Uważaj, bo jeszcze świętym zostaniesz! – zaśmiał się kumpel z drogówki, wsiadający do swojego radiowozu.

– Alleluja – dorzucił drugi, gruby sierżant, rozsiadając się wygodnie na fotelu skody.

Matejuk nic nie odpowiedział. Tylko spiekł raka jak sztubak.

Poprzedniego dnia w seminarium duchownym w Pelplinie otrzymał wszystkie adresy księży, a także... kolację, którą spożył w towarzystwie alumnów i wykładowców. Przez całą wieczność musiał jednak uspokajać

księdza prefekta, że policja jest już na tropie zabójców. Mimo to duchowny nie mógł się uspokoić i prawie nic nie przełknął.

W okolicy pracował tylko jeden z księży ze starej fotografii i to od niego należałoby chyba zacząć. Mieszkał całkiem niedaleko, bo w Tolkmicku, nad Zalewem Wiślanym.

Droga była prawie pusta, a pogoda w sam raz na podróż. Wkrótce komisarz minął Malbork i po chwili miał przed sobą szosę jak ze snu.

W momencie, gdy nacisnął na gaz, po prawej stronie zamajaczyła jakaś postać.

– A niech ci będzie – powiedział pod nosem, naciskając na pedał hamulca.

W bocznej szybie mignęła uśmiechnięta twarz starszego mężczyzny. W tej samej chwili z lewej strony przetoczyła się z hukiem wyprzedzona wcześniej ciężarówka. Auto Matejuka zatrzymało się kilkanaście metrów za stojącym. Po kilku sekundach autostopowicz nachylił się nad opuszczoną do połowy szybą.

– Dzień dobry – przywitał się. – Podrzuci mnie pan do Elbląga?

– Dzień dobry. Proszę – odparł Matejuk.

Mężczyzna zajął miejsce pasażera. Nie miał bagażu, co jednak nie zaniepokoiło kierowcy.

Ruszyli. Matejuk czuł się trochę skrępowany przedłużającym się milczeniem, postanowił więc sam zagaić rozmowę.

– Do pracy? – zapytał, zezując na gościa.

– Można tak powiedzieć – odparł tamten.

Znów pauza. Autostopowicz patrzył nieruchomo przed siebie, po uśmiechu nie było śladu. Widać skończyła się promocja. Uwagę zwracały za to zmęczone oczy tego człowieka.

Komisarz wyprzedził znów tego samego TIR-a.

– Pan uważa. Tu często mendy stoją – ostrzegł pasażer.

– Naprawdę? – Matejuk z trudem zapanował nad wybuchem śmiechu.

A zaraz dodał: – Nie wiedziałem, że jeszcze się tak mówi na policjantów.

– Nie wiem, jak się mówi. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Dawno nie byłem w Polsce. Ale wiem, co o nich wszystkich myśleć.

– O kim?

– O rządzie, proszę pana. O prezydencie, telewizjach, korporacjach! – wymienił jednym tchem. – Tylko patrzą, jak oskubać zwyczajnego człowieka. Nie jest tak? Niech pan powie.

Matejuk nie wiedział, co sądzić o tak radykalnych poglądach. Z drugiej strony cieszył się, że przypadkowo zabrany pasażer w końcu się rozkręcił. Badanie nastrojów społecznych najlepiej przeprowadza się właśnie w podróży: w pociągu, wśród ludzi, których najprawdopodobniej nigdy więcej już się nie spotka. Politycy powinni przejechać się kilka razy podmiejskim pociągiem albo autobusem PKS po wiejskich wertepach, zamiast mądrzyć się w mediach.

– To prawda – bąknął kierowca i dodał: – Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

– Na pewno, proszę pana. Na pewno! Sprawiedliwy jest tylko Bóg – powiedział cicho pasażer.

Cholera, kolejny ksiądz? – zdziwił się komisarz. Dopiero teraz zorientował się, że jest uważnie i zapewne od dłuższej chwili obserwowany. Siedzący obok starszy mężczyzna uśmiechał się dobrotliwie.

– Ludzie są zmęczeni – powiedział. – Ich dusze potrzebują spokoju i wyciszenia, a przede wszystkim dobrego, mądrego przewodnika. A tego nie da im rzymski Kościół i księża, dla których ważniejsze są zbytki niż dobro parafian, zwykłych ludzi. A w Piśmie wszystko jest napisane...

Świadek Jehowy – skatalogował szybko Matejuk.

– Nie wyście mnie wybrali, alem ja was wybrał – rzekł uroczyście starszy pan i zapytał: – Jest pan wierzący?

Matejuk nic nie odpowiedział.

– Nie trzeba się wstydzić swojej wiary.

– A niewiary? – Policjant odbił niewidzialną piłeczkę.

– Niewiary też nie – odpowiedział ze spokojem pasażer. – To jak?

– Mógłby pan powtórzyć ten cytat?

– Spodobał się panu? – uśmiechnął się tamten. – Nie wyście mnie wybrali, alem ja was wybrał.

– Czy to z którejś Ewangelii?

– A którą pan najbardziej lubi?

No to się wkopałem, pomyślał. Przecież cokolwiek teraz nie powie, skaże się na kazanie. Postanowił, że zignoruje rozmówcę. To jednak okazało się także rodzajem odpowiedzi.

– Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w odzieniu owczym, wewnątrz zaś są wilkami drapieżnymi! – wyrecytował jednym tchem pasażer. – Po owocach poznacie ich. Czyż zbierają winogrona z cierni albo z ostu figi? Tak ci każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, ale złe drzewo wydaje złe owoce...

Na szczęście zbliżali się już do Elbląga. Pośród drzew było już widać charakterystyczną wieżę katedry św. Mikołaja. Przejechali tunelem pod trasą E77 i wjechali do miasta.

– Gdzie pan chce wysiąść? – zapytał komisarz.

– Na Starym Mieście – odpowiedział kaznodzieja.

Po dwóch minutach byli na miejscu.

– Tutaj, dziękuję – powiedział autostopowicz, wskazując na jakiś budynek i jednocześnie uwalniając się z pasów bezpieczeństwa. – Gdyby kiedyś chciał pan pogadać, to zapraszam. – Wyciągnął rękę z wizytówką.

– Dziękuję.

– W naszej wspólnocie znajdzie się miejsce dla każdego – dodał z uśmiechem nieznajomy.

– Do widzenia – rzekł policjant.

– Niech cię Bóg prowadzi. – Autostopowicz uniósł rękę w pożegnalnym geście, który jednak łudząco podobny był do gestu błogosławieństwa.

Matejuk odjechał.

Nie byłby jednak sobą, gdyby nie zatrzymał się za rogiem ulicy, nie wyszedł z auta i nie wrócił szybkim krokiem kilkunastu metrów. Miał czapkę baseballową naciśniętą mocno na czoło i ręce w kieszeniach. Trzymał się blisko witryn sklepowych.

Po chwili zobaczył kaznodzieję, którego podwiózł. Starszy mężczyzna zbliżył się właśnie do zaparkowanego przy ulicy samochodu, następnie wyłączył alarm, otworzył drzwi i zasiadł za kierownicą... najnowszego modelu mercedesa.

W anioły Matejuk chyba nigdy nie uwierzy. Ale w istnienie diabła, czemu nie?

XXXI

Tolkmicko, dzień czwarty

Ksiądz Józef Nehring, proboszcz parafii św. Jakuba Apostoła w Tolkmicku, obudził się z mocnym zamiarem naprawy dachu. Mimo że wokół gęstniała atmosfera niepewności, on, jakby nigdy nic, chciał zająć się właśnie tym, na co nigdy nie starczało mu czasu.

– Gdzież będzie teraz ksiądz po dachach skakał?! – załamała ręce gospodyni, kiedy po porannej mszy i śniadaniu poinformował ją o swoich ambitnych planach.

– Mam już dość czekania na specjalistów – wyjaśnił rzeczowo kapłan. – Poza tym dekarstwo ma wiele wspólnego z profesją mojego znamienitego patrona, czyli ciesielkę.

– Z ciesielką – kobiecina nie zdawała się przekonana takim porównaniem. – I to jeszcze w tym wieku.

– No, moja droga Klementyno. – Nehring uniósł w górę palec, udając zagniewanie. – Wiek nie ma tu nic do rzeczy, a ja, jak wiesz, do ułomków nie należę.

– Tak, tak. Komandosów nam teraz trzeba – prychnęła gospodyni, wycierając świeżo umyte talerze.

– Jak się ludziom na głowy poleje podczas sumy, to dopiero będzie problem. Albo, nie daj Boże, spadną dachówki!

Niespełna kwadrans później Józef, ubrany w znoszony podkoszulek i stare dżinsy, piął się po wysokiej drabinie na dach kościółka. Mimo pięćdziesiątki na karku, tempa tej wspinaczki i istnej zwierzęcości ruchów mógłby mu pozazdrościć niejeden polski dwudziestoletni murarz-tylnik pracujący na wysokościach.

– Zwariował na stare lata – podsumowała stojąca na dole gospodyni.

– Wszystko słyszałem! – fuknął z góry duchowny. – Idź lepiej robić obiad, kobieto.

Zadanie z początku wydawało się niezbyt trudne. Dopiero przyjrząwszy się dziurze w dachu z bliska, ksiądz Nehring zrozumiał, że jednak go przerasta. Z drugiej strony nie zwykł poddawać się bez walki. Usiadł najwygodniej, jak tylko było to możliwe, i zapatrzył się w dal. A widok był stąd wyjątkowo piękny: na zalew i mierzeję po jednej oraz na wzgórza po drugiej stronie.

A przecież mógł zrobić tyle innych rzeczy. Właściwie to musiał. Nowego kościelnego przysposobić do posługi, bo ten ciężko sobie radził. Do ksiąg parafialnych zajrzeć, a i kazanie przygotować. Roboty zawsze było wiele.

Tak naprawdę jednak ksiądz Józef Nehring nie wspinał się na dach kościoła, który nie tak dawno przejął po salezjanach, by podziwiać widoki. I również nie po to, żeby łątać dach świątyni, bo ten był jeszcze w niezłym stanie. W każdym razie nikomu na głowę deszcz nie padał.

Prawda była taka, że w tym miejscu duchowny najlepiej wypoczywał. No i od zawsze, czyli od chwili, gdy zaczął chodzić, lubił się wspinać: na wysokie drzewa, na szczyty gór, wieże obserwacyjne, jak było gdzie, to i na ostatnie piętra wieżowców albo specjalne galerie widokowe, choć w tym ostatnim przypadku był zawsze kłopot – trudno bowiem było być w takim miejscu w pojedynkę, bez towarzystwa hałaśliwych turystów.

Nie, nie załata dziś dachu. I nikt nie dowie się, co krzyczy ksiądz, gdy uderzy się młotkiem w palec, jak w tym starym, głupim dowcipie. Posiedzi sobie tutaj trochę...

– Proszę księdza! – dobiegł z dołu krzyk gospodyni. – Proszę księdza proboszcza.

– Co się dzieje? – zapytał, wznosząc oczy ku niebu. – Mówiłem, żeby nie przeszkadzać.

– Ma ksiądz gościa. Jakaś bardzo ważna sprawa.

– Nagły ślub czy oczekiwany pogrzeb? – bąknął pod nosem Nehring.

– Słyszysz ksiądz?!

– Słyszę, słyszę! – odkrzyknął niechętnie. – Już schodzę.

Komisarz Artur Matejuk, mimo że było to już kolejne jego spotkanie z katolickim duchownym, nadal nie czuł się pewnie. Jeszcze brzmiało mu w uszach to „Szczęść Boże”, z którym wkroczył do dziekanatu pelplińskiego seminarium. Jak tak dalej pójdzie, to może świętym nie zostanie, jak spekulowali koledzy, ale na pewno przytyje, zważywszy na ciasta, którymi częstowano go na kolejnych plebaniach.

Rychło okazało się, że obawy te nie są bezzasadne.

– Jest kawusia i świeże ciasto – powiedziała z dumą pani Klementyna, wnosząc tacę do kancelarii, gdzie Matejuk oczekiwał księdza proboszcza.

– Dziękuję, nie trzeba było – zaczął się krygować, choć wiedział doskonale, że wszelki opór na nic się tu zda.

Po kilku chwilach w drzwiach stanął dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Artur spodziewał się ujrzeć opasłego magnata w sutannie; tymczasem proboszcz wciąż miał na sobie strój, którego nie zmienił po zejściu z dachu.

– Szczęść Boże – przywitał się i od razu, na tym samym oddechu, przeszedł do rzeczy: – Pan do mnie, jak rozumiem?

Ta szybkość w pewien sposób uwolniła Matejuka od tradycyjnego powitania. Odetchnął głęboko, choć bijące mocno serce nie pozwoliło odczuć ulgi. Był przecież heroldem złych wieści i mimo że nie był już nowicjuszem, nie czuł się z tym dobrze.

– Komisarz Artur Matejuk, komenda powiatowa policji w Kwidzynie – wyrecytował, pokazując swoją odznakę.

– W Kwidzynie?! – ucieszył się ksiądz Józef Nehring, siadając za biurkiem. – A co u mojego kochanego kolegi proboszcza?

Gardło w jednej chwili wyszło Matejukowi na wiór. Popatrzył na filiżankę z herbatą. Nie, nie przyniesie sobie ulgi. Nie napije się jej teraz, kładąc jednocześnie czekać temu człowiekowi na odpowiedź. Jakakolwiek by była, nie wypada. Pytanie zostało zadane.

– Ja właśnie w tej sprawie. – Odchrząknął z bólem. – Ksiądz proboszcz został zamordowany.

Nagle gładką powierzchnię, którą tworzyła herbata w filiżance, zniwelowały koła. Jakby ktoś rzucił tam kostkę cukru. Albo jakby podłoże, na którym stała filiżanka, wprowadzono w drżenie. I to było to drugie – ręce proboszcza, obejmujące brzegi biurka, trzęsły się. Jednocześnie twarz kapłana pozostawała nieruchoma, jakby wykuto ją w kamieniu.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

– W nocy z soboty na niedzielę.

Minęła dłuższa chwila, zanim proboszcz znów się odezwał.

– Jak mogę panu pomóc? – zapytał.

Matejuk właśnie na to czekał. W kilku słowach nakreślił problem omawiany podczas odprawy w komendzie wojewódzkiej w Gdańsku. Nie mógł nie wspomnieć o wcześniejszym zabójstwie w Królewie.

Mimo że hiobowych wieści przybywało, proboszcz parafii św. Jakuba Apostoła w Tolkmicku słuchał z napiętą uwagą. Jego ręce już się nie trzęsły, ale nie zmieniły też położenia.

Na koniec Matejuk pokazał mu stare zdjęcie, o którym nie wiedzieli policjanci z Gdańska (a więc nie wiedzieli, że i zamordowany we Fromborku profesor Serafin Buczyński ma coś wspólnego ze sprawą!) i które kazało przyjechać komisarzowi tutaj. I domniemywać, że również Józefowi Nehringowi może grozić niebezpieczeństwo.

Ledwo duchowny wziął fotografię do rąk, wstrząsnął nim spazm.

– Jezu, tyle lat...

Komisarz już wiedział, że za chwilę poprosi gospodynię o herbatę, a proboszcza o zdjęcie, żeby spojrzeć na nie normalnie. I utwierdzić się w przekonaniu, że prócz martwych i żywych, których nazwiska tu padły, zna jeszcze jedną osobę z tej fotografii...

XXXII

54°40, 19°55'E, dzień czwarty

Tomasz Horn oddychał z trudem. Mdlilo go jak po całonocnym picciu.

Miał na sobie swoje, świeżo wyprane, choć niewyprasowane, ciuchy. I puste kieszenie, co powodowało, że czuł się dość niepewnie. Mieć puste kieszenie to dziś trochę tak, jak nie istnieć.

Uniósł wzrok. Pod splekanym sufitem paliła się lampa; wewnątrz jej kulistego klosza wypełniały jakieś czarne drobiny: śmieci, a może martwe muchy. Na pomalowanych na żółto ścianach pomieszczenia, w którym siedział na dość wygodnym krzeselku, wisiały, obok polskiego godła, jakieś reprodukcje obrazów. Na parapecie okna, za którym jednak nie było widać świata, stała doniczka z palemką.

Za biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku w letnim mundurze majora polskiej Straży Granicznej.

– A zatem utrzymuje pan, że nazywa się Tomasz Horn, jest pan dziennikarzem i został pan aresztowany przez rosyjskich pograniczników. – Major coś zanotował lub tylko udawał, że notuje. – Jakież dokumenty mogą to potwierdzić?

– Zostały w samochodzie.

– A kluczyki?

– Zostały na brzegu.

Major pokiwał głową.

– Mówił pan, że stało się to nocą – zmienił nieco temat.

– Zgadza się.

– Kiedy dokładnie?

– To był niedzielny wieczór. Wypłynąłem z Fromborka jako pasażer na gapę... – przerwał, bo nagle zabrakło mu powietrza. – Już mówiłem. Tam jest wszystko napisane – pokazał brodą na dokumenty leżące przed oficerem.

– Naprawdę? – zdziwił się major, nie spuszczając wzroku z przesłuchiwanego, by po chwili popatrzeć w dół i teatralnie zaszeleścić leżącymi papierami. – Ale ja nic takiego tu nie mam...

Horn zacisnął mocno zęby, aby z ust nie wyrwało mu się jakieś grube przekleństwo.

– Owszem, w komisariacie we Fromborku została zgłoszona kradzież łodzi, ale wczoraj zguba się znalazła. Okazało się, że to miejscowe dzieciaki przecumowały motorówkę dla kawału.

– Jakie dzieciaki, do cholery?! – Horn nie wytrzymał.

– Spokojnie – rzekł półgębkiem funkcjonariusz. – Zapali pan?

To ostatnie pytanie jeszcze bardziej rozszerdziło dziennikarza.

– Ktoś włamał się do kościoła, gdzie są prowadzone badania archeologiczne, i czegoś tam szukał – wyrzucił z siebie. – Prawdopodobnie próbował to również znaleźć na tej łodzi. Pamiętam dokładnie, o czym mówili nocą, na środku zalewu. Ma to związek z morderstwem jednego z archeologów i porwaniem drugiego, który zapewne znajdował się na innej łodzi. Zapytajcie dziewczynę...

Major przypatrywał mu się obojętnie. Horn objął głowę dłońmi.

– Problem w tym, panie Horn, że nikt nie jest w stanie potwierdzić pańskich rewelacji.

Nagle otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł inny oficer w połowym mundurze.

Horn, w redakcji swojej gazety uchodzący za specjalistę od wszelakich służb, a także stopni, nie miał problemu z rozpoznaniem w przybyłym kapitana Wojska Polskiego. Może wymienią się i ten nowy okaże się rozsądniejszy – pomyślał z nadzieją, przypominając sobie jednocześnie znaną z filmów zabawę w złego i dobrego gliniarza.

– Coś nowego, panie majorze? – zapytał kapitan.

– Bez zmian – odparł major tonem, który równie dobrze mógł towarzyszyć czynności wycierania pejcza z nadmiaru nagromadzonej podczas rozmowy krwi.

– Dziękuję, majorze – rzekł nowo przybyły z uśmiechem. – Dokończę rozmowę z podejrzanym.

Jakim podejrzanym, do kurwy nędzy? Horn zacisnął dłonie w pięści.

Trzasnęła papierowa teczka rzucona na biurko.

– To jak będzie, panie Tomku? – padło pytanie, które znał każdy kierowca w tym kraju zatrzymany choć raz przez drogówkę.

Horn siedział niemal nieruchomo, zeszywniały może nie ze strachu, ale z obojętności. Nie wspominając już o działaniu środków przeciwbólowych, a także uspokajających, które mu zaaplikowano.

– Mnie możesz nie pamiętać, bo byłem w innym plutonie...

Horn powoli podniósł głowę, zmarszczył brwi. Oficer stał nad nim i uśmiechał się.

– W innym plutonie? – powtórzył. – Gdzie?

– Na Starym Bemowie.

Horn poczuł, że coś szczypie go w oczy. Szybko potarł je krawędzią dłoni. Nie, nie można okazać słabości. A może to kolejny ruski podstęp... Nie, nie pamięta tego człowieka.

– Zgadza się... byłem tam, ale... – wyjąkał.

– Wiem, miałem wtedy trochę więcej włosów. Nazywam się Marcin Wójcik.

– Przepraszam, ale nie pamiętam.

Kapitan usiadł wreszcie za biurkiem.

– Co ty, do cholery, robiłeś w tej ruskiej latarni? – zapytał szeptem, pochyliwszy się nisko nad blatem.

– Wszystko powiedziałem – rzekł równie cicho Horn, ale zachowując wyprostowaną sylwetkę. – Nie wiem tylko, co mogli chcieć ode mnie ci Rosjanie. Zabłąkanego na zalewie powinni spisać, ewentualnie przesłuchać w jakiś cywilizowany sposób i w cywilizowanym miejscu. A oni traktowali mnie... Nie, to niedorzeczne!

– Jak szpiega? – dokończył za niego Wójcik.

Horn tylko skinął głową, a po chwili zapytał:

– Jak to w ogóle możliwe, co? Pokazywali mi moje zdjęcie zrobione na plaży zaledwie kilka dni temu...

– Jesteś dziennikarzem krajowego dziennika, w dodatku takim, który nie pisze recenzji teatralnych ani nie zajmuje się cenami pietruszki na bazarku. No i byłeś w szkole oficerskiej, krótko, ale byłeś. I to w czasie, gdy oni byli jeszcze naszymi sojusznikami, jest więc bardzo prawdopodobne, że mają cię, że tak powiem, w swojej bazie danych.

– Ciebie też mają?

– Z pewnością.

Horn podrapał się po głowie.

– A jakim sposobem wiedzieli, że tu jestem?

– Tu, czyli w strefie nadgranicznej – sprecyzował kapitan. – Zapewne

mają swoje sposoby. Meldowałeś się w hotelu, prawda?

– Pewnie.

– No to masz odpowiedź.

Horn zaklął pod nosem, pokręcił głową. Popatrzył na siedzącego przed nim oficera.

– To powiedz mi jeszcze, jak mnie tam znaleźliście?

– To zupełny przypadek. Dostaliśmy cynk, że w starej, opuszczonej latarni morskiej może znajdować się coś, czego od dawna szukamy...

– Co?

– Niestety, tego już ci powiedzieć nie mogę – odrzekł kapitan, wstając zza biurka.

– Jasne. Jeszcze, nie daj Boże, wpadłbym znowu na herbatkę z samowara. Oficer zaśmiał się krótko.

– W celi był ze mną jeszcze jeden człowiek – powiedział z powagą Horn.

– Niestety, w starej latarni morskiej znaleźliśmy tylko ciebie – padła szybka odpowiedź. – A jeśli chodzi o twoje sprawy, to obawiam się, że nie możemy ci pomóc. To sprawa dla policji.

– Rozumiem. Powiedz mi w takim razie, jak długo jeszcze zamierzacie mnie trzymać.

– Ale przecież nikt pana nie zatrzymuje, redaktorze! – zaśmiał się jowialnie kapitan Wójcik, rozkładając szeroko ręce. – Drzwi są otwarte.

Horn z radością dźwignął się z krzesła, jak po udanej rozmowie o pracę.

– No to dzięki – powiedział, wyciągając dłoń na pożegnanie.

– Miło było cię znów widzieć – oficer wyszczerzył zęby w przesadnym uśmiechu.

Horn nacisnął klamkę i otworzył drzwi pokoju. Znalazł się w wąskim korytarzu, z prawej strony ślepy, z lewej zaś zakończonym drzwiami. Zrobiwszy trzy duże kroki, śmiało nacisnął na klamkę. Kolejne drzwi dały się otworzyć z łatwością. Z tak dużą łatwością, że dopiero w ostatniej chwili spostrzegł, iż pod jedną stopą nie ma podłogi tylko... wodę.

Kurczowo zacisnął palce na zimnej klamce drzwi. Uniósł wzrok i wtedy ujrzał przed sobą niezmierną, falującą przestrzeń. Przekleństwo, które z siebie wyrzucił, wiatr wepchnął mu z powrotem do gardła. Zrozumiał żart

kapitana.

Tomasz Horn znajdował się na samym środku morza.

XXXIII

Frombork, dzień czwarty

Obudziła się dość późno. Między niedosuniętymi storami jaśniała szara, wąska kreska. Nie ma dziś słońca, pomyślała. Dobrze, że już dzień. Zawsze bała się poranków, które następowały po ciężkich poprzednich dniach. Noc znieczulała, a sen pozwalał zapomnieć o tym, co gnębiło duszę, a czasem i ciało. Przynajmniej na kilka godzin.

Ewa Rimmel długo leżała na plecach z rękoma splecionymi na poduszce za głową i patrzyła w sufit. Na łóżku pod ścianą poruszył się gość znany wśród znajomych jako Rudy. Chwilę potem zachrapał smacznie i, na szczęście, krótko. Tego by nie zniosła.

Zza ściany dobiegło podzwanianie kuchennych naczyń. To pewnie Magda i jej brodaty przyjaciel już wstali. Obiecali, że przygotują coś pysznego na śniadanie, i najwyraźniej mieli zamiar dotrzymać danego słowa. To się zresztą im wszystkim należało. Szczególnie po tych niezwykłych przeżyciach, które ktoś zafundował im w ostatnich dniach.

Choć była niejadkiem, podbudowana perspektywą pożywnego śniadania, Ewa wstała z łóżka, narzuciła na siebie pożyczony od Magdy szlafrok, wzięła martensy wprost na bosc stopy i wyszła z pokoju.

Kanonia piąta otaczała wraz z innymi zewnętrznymi kanoniami Wzgórze Katedralne we Fromborku. W przypominających wille i otoczonych ogrodami budynkach mieszkali kiedyś kanonicy fromborscy. Dzisiaj kanonie, nazywane też kuriami, pełniły dalej funkcje mieszkalne. Ta, w której zakwaterowano archeologów profesora Buczyńskiego na czas wykopalisk w kościele św. Mikołaja, powoli budziła się do życia. W obliczu tego, co się stało, wszyscy razem i każde z osobna rozumiało mocniej i lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, czym jest życie.

– Cześć, Magda – przywitała się Ewa, wchodząc do niewielkiej kuchenki, w której, zgodnie z przewidywaniami, rządziła już wyżej wymieniona wraz z kolegą nazywanym przez wszystkich Brodaczem.

– Hej! – Koleżanka się uśmiechnęła. – Jak ci się spało?

– Lepiej niż wczoraj. Gorzej niż jutro i przed tygodniem – stęknęła Rimmel.

– Poczekaj, aż spróbujesz mojej jajecznicy! – zawołał archeolog z brodą, roztlukując kolejne jajko. – Mam nadzieję, że jadasz takie rzeczy?

– Spokojnie. Jestem tylko wegetarianką, a nie weganką – odparła Ewa.

– To znaczy? – Brodacz zastygł z nożem uniesionym nad jajkiem niczym kat wąpiący nagle w winę ofiary.

– Nieważne – zaśmiała się Magda. – Rób tę jajecznicę i nie gadaj tyle.

– Przecież robię, nie?

Dobry humor najwyraźniej wracał wszystkim archeologom. Także i Ewie.

Kiedy w niedzielne popołudnie ktoś włamał się na teren wykopalisk, a potem znaleziono martwego profesora i wreszcie poznany przez nią dzień wcześniej dziennikarz zaginął po wypłynięciu z portu, dziewczynie wydawało się, że oto spadła na samo dno ludzkich doświadczeń. Nigdy wcześniej nie była tak blisko śmierci, tak blisko czystego zła.

Co się stało z Hornem? Kto i dlaczego zabił profesora? Gdzie się podział Krasiński?

Jak na razie były same pytania. Wciąż te same. I nadal żadnych odpowiedzi. No, może prócz wersji archeologów z Fromborka, Rudego i Brodacza, według których dziennikarz po prostu podprowadził ich łódź, ażeby ją sprzedać na targu w jakimś małym miasteczku w pobliskiej Rosji. I że pewnie wcale nie jest dziennikarzem i nie nazywa się tak, jak mówił.

Ewa nie zaprzeczała. Nie miała siły. Przesłuchana po raz drugi przez innych policjantów, na pytania odpowiadała jak maszyna. Tak. Nie. Nie wiem. To ostatnie najczęściej. Włącznie z kwestią, czy jest pewna, że poznany w Kwidzynie dziennikarz w istocie był tym, za kogo się podawał.

Co z tego, że miała w kieszeni kluczyki do jego samochodu, który wciąż stał przed zrujnowanym kościołem. Nie śmiała zajrzeć do bagażu

dziennikarza, co przecież pomogłoby jej rozwiązać wątpliwości. Pragnęła tylko, żeby wszystko nagle okazało się koszmarnym snem.

Mimo to Ewa miała zamiar dziś zrobić to samo co wczoraj.

– Uwaga, Penelopa wstaje od stołu – zachichotał Rudy chwilę po tym, jak Ewa skończyła jeść śniadanie.

– Dałbyś już spokój. – Magda wzięła w obronę koleżankę, jednak na jej twarzy też błąkał się ironiczny uśmieszek.

– Dziękuję, było pyszne – powiedziała Ewa, po czym dopiwszy jeszcze herbatę z kubka z logo Uniwersytetu Gdańskiego, w istocie wstała z miejsca. – Idę do miasta. Coś wam przynieść?

Pokręcili głowami. Ciszę wypełniło podzwanianie sztucców o talerze. Niestety, jajecznica należała już do przeszłości i naukowcom za chwilę znów zajrzy w oczy widmo bezczynności, wywołanej tak brakiem szefa, jak i pewnie innych zainteresowań, no i kiepską pogodą. Kościół św. Mikołaja, jako miejsce, gdzie dokonano włamania, a dodatkowo być może powiązane także z morderstwem, był bowiem zamknięty na cztery spusty i opieczętowany.

Rimmel pomyślała o Reichu i Kozłowskim. Dzwoniła do nich wczoraj wieczorem; nic się zmieniło – Krasiński nie wrócił, więc oficjalnie zgłosił jego zaginięcie policji. I mogli dalej spokojnie wędkować. A ci tutaj?

Tak. Wiedzieli, że Ewa idzie do portu, żeby tam wypatrywać łodzi z mężczyzną na pokładzie. Konkretniej łodzi, z konkretnym mężczyzną. Jak Penelopa swojego męża Odyseusza, który zaginął na dobrych dwadzieścia lat – porównanie to nasunęło się nie wiadomo już komu. Nie pytali, czemu nie wraca do Kwidzyna, gdzie miała swoich kolegów i wykopaliska. Zaoferowali jej za to wolne miejsce w pokoju w kanonii.

Ewa opuściła kanonię, minęła kompleks katedralny i skierowała kroki w stronę centrum miasta. Niebo zasnuwane było jesiennymi już chmurami, lecz temperatura powietrza była znośna. Nie za gorąco, nie za zimno. Po kilku minutach zatrzymała się przed kioskiem z gazetami, kupiła mydło, paczkę miętówek i miejscowy dziennik, po czym skierowała kroki w stronę rzędu niewysokich budynków. Po chwili weszła do popularnej w miasteczku restauracji.

Nie miała pojęcia, że jej każdemu ruchowi bacznie przypatruje się z ukrycia para oczu.

Kelnerka przyniosła dwie kawy oraz dzbanuszek ze śmietanką i postawiła to wszystko na stoliku.

– Dziękuję – powiedziała Rimmel, sięgając po cukiernicę.

Ledwo odłożyła łyżeczkę na spodek, na czerwony obrus wjechała biała koperta.

– Co to? – zapytała.

– Rozliczenie za sierpień.

– Przecież jeszcze się nie skończył.

– To nic. Przelicz.

– Pewnie, że to zrobię – odparła chłodno.

Oprócz nich w lokalu nie było nikogo. Miejscowi zbierali się w takich miejscach zwykle wieczorem, szczególnie po sezonie. Z głośników umieszczonych w rogu sali leniwie sączyła się przyjemna, niegłośna melodia, a kelnerce chciało się uśmiechać.

Coraz mniej jest knajp, gdzie można porozmawiać, nie próbując przekrzyczeć muzyki, pomyślała Rimmel z rozrzewnieniem. Sięgnęła do koperty. Zaczęła liczyć banknoty, nie wyjmując ich, co było odrobinę trudne. Po chwili skinęła głową.

– Zgadza się? – zapytał siedzący naprzeciwko mężczyzna.

– Zgadza.

Zdecydowanym ruchem zgięła kopertę na pół i schowała ją do tylnej kieszeni szortów.

– Wciąż masz wyrzuty sumienia? – zapytał po chwili jej towarzysz.

– Nie. Już nie – odpowiedziała twardo, starając się jednak uniknąć wzroku rozmówcy. – Z czasem człowiek się uodparnia. Skóra grubieje.

– Pięknie powiedziane. Ja powinienem mieć w takim razie skórę grubszą od słonia.

– Łatwo sprawdzić.

Siedzący naprzeciwko niej człowiek zaśmiał się sztucznie. Po chwili zapytał:

– To jak? Dalej pracujemy razem?

– Jeżeli wcześniej nie zejść na zawał serca, to tak – odparła Ewa z kamienną twarzą.

– Taka praca.

– Yhm, rozumiem.

Ewa sięgnęła po filiżankę, pociągnęła z niej łyk kawy. Chyba do końca się jeszcze nie obudziła, a kofeina wciąż nie zdążyła zadziałać.

Gdy odstawiała filiżankę na spodeczek, mężczyzny nie było już przy stoliku. Ani trochę się tym nie zdziwiła. Wiedziała, że pożegnania są zbyt uczynne, że wszystko sobie powiedzieli, a rachunek został uregulowany. Dopięła kawę i również wstała od stolika.

Od wody wiał chłodny wiatr. Zalew Wiślany, który przybrał kolor brudnej wody z domowego akwarium, gęsto cięły białe grzywy fal. Lato było najwyraźniej w odwrocie.

Ewa od kilku lat obiecywała sobie, że spędzi przynajmniej tydzień lub dwa na plaży, nie robiąc zupełnie nic. Zawsze jednak zwyciężał zew odkrywcy. A teraz, kiedy otrzymała od losu nieoczekiwane wakacje, skończyła się ładna pogoda. Zresztą i tak chyba nie potrafiłaby spokojnie usiedzieć...

Stała samotnie na końcu falochronu, patrzyła w dal i rozmyślała. Swoją drogą, nawet jej się podobało to porównanie do Penelopy, żony mitycznego Odysa i matki jego syna Telemacha, która będąc wierną, przez tyle lat zwodziła ubiegających się o jej rękę zalotników. Niestety, Ewa miała do czynienia tylko z archeologami – a ci, wszystko jedno, młodszy czy starsi, byli jednakowo nie do zniesienia.

Nagle owładnęło ją uczucie pustki. Miała wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu.

– Cześć, Ewka.

Drgnęła. Nie od razu poznała głos, który dobiegł zza jej pleców. Nie od razu też odwróciła się, by sprawdzić, kto miał czelność zajść ją od tyłu i przestraszyć. W innych okolicznościach zrobiłaby to natychmiast, teraz jednak...

– Hej, Ewa!

Odwróciła się powoli. Stał z rękami w kieszeniach, pochylony i najwyraźniej zmarznięty. Potrafiła to rozpoznać. Jeszcze...

Włosy miał w nieładzie, oczy podkrążone, a w prawym kącie ust tkwił zatknięty po szelmowsku zapalony papieros. Skórzana kurtka dopełniała całości wizerunku iście filmowego: on i ona spotykają się nad brzegiem morza i pewnie mają sobie wiele do powiedzenia.

Tylko że Ewa nie miała zupełnie nic do powiedzenia... byłemu facetowi.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała mimo wszystko.

Tylko się uśmiechnął krzywo. Dłonie jeszcze głębiej wsunął w kieszenie dzinsów. Z nosa wydostały się dwie smużki dymu i natychmiast zostały rozwiane przez wiatr. Ten sam wiatr, na który kiedyś rzucał słowa. Za dużo słów. Za dużo straconego czasu.

– Kim był ten facet, z którym siedziałaś w kawiarni? – zapytał.

– Jaki facet? – Ewa udała głupią.

– Nie ściemniaj! Widziałem was.

Popatrzyła w bok, ponad jego ramieniem. W porcie nikogo nie było. Do brzegu nie zbliżała się też żadna łódź.

– Swoją drogą to nieźle, nieźle. – Natręt cmoknął znacząco. – Najnowsze audi A8...

– Tylko pracujemy razem – Rimmel próbowała ostrym tonem pokryć zmieszanie, które wywołał fakt, że ktoś ją widział na spotkaniu w pizzerii. – Zresztą co cię to obchodzi?!

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna usiłował złapać ją za ramię, ale mu umknęła.

– Ewa, porozmawiajmy – jęknął.

Nic nie odpowiedziała.

– Ewka... – Wyrzucił papierosa do wody.

– Chyba wszystko już sobie wyjaśniliśmy – warknęła. – Nie masz prawa

mnie nachodzić, śledzić ani jeździć za mną. Między nami wszystko skończone!

– Nie mów tak.

– A jak mam ci to powiedzieć? Ja mam swoje życie, ty masz swoje. Kiedyś mieliśmy wspólne, ale nie zrobiłeś nic, zupełnie nic, żeby nadal tak było. Teraz przychodzisz i jęczysz, ale jest już za późno. Oddałam ci pierścionek, oddałam klucze do mieszkania. To wszystko. Zrozumiesz to w końcu, kurwa, czy nie?!

Zanim zdążył jakkolwiek zareagować, Ewa szła już zdecydowanym krokiem po betonowym nabrzeżu, nie oglądając się za siebie. Nie słyszała, czy jej były za nią idzie, czy nie.

Odgłos kroków dotarł do jej uszu ułamek sekundy przed tym, nim na jej szyi niczym metalowa obręcz zacisnęły się jego dłonie. Do oczu napłynęły jej łzy. Stopy straciły kontakt z podłożem...

XXXIV

54°21'N, 19°41'E, dzień czwarty

Tomasz przez cały urlop marzył o takim rejsie. Ale dni mijały i jakoś nic z tego nie wychodziło. Godziny leżenia plackiem na plaży, gdzie jedyną rozrywką, prócz kąpieli i książki, miało być zdjęcie z wężem...

Zresztą trochę przerażała go perspektywa telepania się statkiem z Krynicy Morskiej do Fromborka. Co robić przez ten czas, gdy wokół tylko woda i woda? Żeglarze, a w marinie spotykało się jachty pod różnymi banderami, mieli przynajmniej coś do roboty – chociażby dbać, żeby łódź się nie wywróciła.

Horn stał z dłońmi obejmującymi reling patrolowej łodzi i kontemlował widok. Słońce schowało się za zasłoną chmur. Pogoda w sam raz na taką albo rowerową wycieczkę.

– Za kwadrans będziemy na miejscu – zawołał do niego sternik, choć Horn o nic nie pytał ani w żaden inny sposób nie wyraził zniecierpliwienia.

– Dzięki – powiedział, bardziej do siebie, bo warkot silnika i wiatr pogarszały słyszalność; dla pewności podniósł rękę z uniesionym kciukiem.

Czy naprawdę było dobrze, jak to wyrażał ten stary gest? OK, jest dobrze, mamy to! – mówił, pokazywany z uśmiechem w redakcji, co częstokroć oznaczało wielodniową harówkę nad jakimś trudnym tematem. Albo dopchanie się z dyktafonem i zestawem niewygodnych pytań do ważnej osoby. Podwyżka, awans, pochwała szefa albo nawet i jego szefa.

Jak mało nam dziś trzeba, pomyślał z goryczą Horn. Nikt już dzisiaj nie wypuszcza się na wyprawy krzyżowe, nie wypływa na dalekie morza, aby odkryć nieznaną ląd, nie wychodzi do puszczy na polowanie na grubego zwierza, bo od tego zależy życie jego rodziny. Rzadko można dziś powiedzieć czy pomyśleć: wygrałem, bo... żyję.

Żyję!

Zza kępy drzew wyłoniło się Wzgórze Katedralne. Z tej perspektywy wyglądało niezwykle dostojnie. Powiał chłodniejszy wiatr. Przez plecy Horna przebiegł zimny dreszcz. Jeszcze mocniej zacisnął palce na zimnym relingu.

– Komitet powitalny?! – krzyknął znów sternik, wskazując głową na keję.

Horn spojrział w tamtą stronę. Byli już całkiem blisko, więc bez trudu dostrzegł stojący na falochronie policyjny radiowóz. Koło furgonetki uwijało się dwóch mundurowych. Najwyraźniej dźwigali coś z ziemi.

– Szybciej! – krzyknął do sternika.

– Spokojnie. Zdaży pan na finał.

Nie zdążyli jeszcze dobić do betonowego nabrzeża, kiedy Horn wyskoczył z łodzi. Pożegnał się ze sternikiem machnięciem ręki i po kilku sekundach był już przy radiowozie. Właśnie jeden z funkcjonariuszy, którego twarz pamiętał, zatrzasnął za kimś drzwi furgonetki.

– A jednak Penelopa się doczekała...

Zza radiowozu wyszła Ewa. Horn od razu dostrzegł na jej szyi szerokie czerwone pręgi.

– Co się stało?!

– Nic takiego. Mój były odnalazł mnie aż tutaj, a że był zbyt nachalny, musiałam mu ręcznie wytłumaczyć to i owo. Choć nie było łatwo – rzekła

zbyt niskim jak na dziewczynę głosem.

Po chwili, jakby dopiero doszło do niej to, co się stało, zakryła usta dłonią, a jej oczy powiększyły się, jak gdyby zobaczyła ducha. Przez ostatnie kilkadziesiąt godzin zadawała sobie setki pytań. Teraz jednak w jej głowie narodziło się zupełnie inne i zupełnie nowe.

– No co? – Horn był szybszy.

Tak, z tych dwojga chyba jednak on wyglądał gorzej: potargane włosy, podkrążone i przekrwione oczy, jakby całą noc spędził z kieliszkiem w ręku.

Ewa jeszcze raz omiotła go wzrokiem, po czym jej spojrzenie powędrowało w dół.

– Gdzie ty masz buty? – wykrztusiła wreszcie.

XXXV

Tolkmicko, dzień czwarty

Komisarz Artur Matejuk chyba jeszcze nigdy nie spędził tyle czasu w kościelnych pomieszczeniach. Za każdym razem zastanawiał się, czym tłumaczyć panujący tu zapach. Wiekowe meble, zbutwiałe ze starości sztandary, kadzidło?

Dawno minęło południe, a on nie wiedział wiele więcej niż wtedy, kiedy przyjechał do Tolkmicka. Jego wnętrzości zaczęły się poruszać w rytm *Marsza konfederatów*.

Z kontemplacji wyrwał komisarza głos gospodyni.

– Obiad zje – powiedziała niespodziewanie, aż podskoczył.

– Nie, dziękuję – zaczął się krygować, ale na widok groźnej miny kobiety zamilkł.

– Ja się go nie pytam, tylko informuję.

– Tak jest.

– Mięso jada czy z tych pokręconych?

– Jada – odparł z ulgą.

– To dobrze – oceniła kobieta, po czym zmierzyła policjanta od stóp do

głów, jakby chciała znaleźć w jego ciele potwierdzenie deklarowanej diety, by wreszcie udać się w stronę pomieszczeń gospodarczych plebanii.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu księdza Józefa i wyszła z niego wystraszona parka smarkaczy. Matejuk, dla potwierdzenia swoich przypuszczeń, usiłował dostrzec powiększony brzuch pod sukienką dziewczyny, ale spłoszył go głos proboszcza.

– Zapraszam, zapraszam.

Komisarz obejrzał się za siebie, aby sprawdzić, czy na pewno do niego adresowane jest tak serdeczne zaproszenie; nikogo więcej jednak w poczekalni nie było. Kątem oka zauważył, że proboszcz tak samo uważnie lustruje pomieszczenie.

Gdy usłyszeli trzask zamykanych drzwi plebanii, uśmiech zniknął z twarzy kapłana.

– Niech pan wejdzie, komisarzu – rzekł niemal szeptem.

Przez okna gabinetu wpadł wąski promień słońca, które pewnie tylko na chwilę przebiło się przez grubą warstwę chmur, wiszących nisko nad zalewem i Wysoczyzną Elbląską.

– Chyba muszę panu o czymś opowiedzieć – sapnął ksiądz Józef Nehring.

Matejuk odruchowo sięgnął po przybory do pisania – gruby notes w czarnej oprawie i długopis – dzięki którym w każdym stójkowym na ulicy ludzie widzą wielkiego pisarza, śmiejąc się przy tym w kułak. Następne zdanie księdza powstrzymało jednak policjanta.

– Zapamięta pan. To krótka opowieść.

Słońce zniknęło, znów zrobiło się szaro i smutno.

– To było ponad trzydzieści lat temu – zaczął ksiądz. – Pewnego upalnego czerwcowego przedpołudnia kilkudziesięciu młodych, naiwnych chłopaków przyjechało na egzaminy wstępne do seminarium duchownego w Pelplinie...

Przed oczy wyobraźni Matejuk przywołał neogotycki gmach, który po raz pierwszy ujrzał poprzedniego dnia i który naprawdę robił wrażenie. W podobnych budynkach na terenie byłych Prus dzisiaj mieściły się szpitale, stacje sanepidu albo komendy policji, co czyniło stojącego przed nimi małego

człowieczka jeszcze mniejszym.

Tymczasem ksiądz Józef ciągnął dalej swoją opowieść:

– Nieopierzeni wszyscy byliśmy, bezradni, dziś to wiem. Kto tak naprawdę wiedział wtedy, w co wchodzi i, to chyba najważniejsze, co przy tym jest w stanie poświęcić? Bo tak naprawdę, jaką wiedzę o życiu ma maturzysta? No, może prócz umiejętności działań na różniczkach, czy jak to się tam nazywało, wymienienia najważniejszych wojen Piastów i Jagiellonów albo wreszcie rozróżnienia pozytywizmu od romantyzmu. Do dziś zastanawiam się, do czego potrzebna mi była wyższa matematyka, której tajniki usilnie wkładano mi do głowy w liceum.

– Mam to samo – wtrącił Matejuk.

– No widzi pan. Na giełdzie nie gram, nie jestem rentierem, a z tego, co nasz miejscowy ludek położy na tacy... – westchnął głęboko i popatrzył w bok, za okno.

Matejuk zmierzył krytycznym wzrokiem siedzącego przed nim człowieka.

Nie, ksiądz Józef Nehring nie przypominał wcale magnata, jakich wielu nosiła polska ziemia – i to nie tylko z racji ubioru (nawet przyszłych nowożeńców przyjął tak, jak stał: w podkoszulku i wytartych dżinsach). W ocenie komisarza, wyglądał raczej na byłego sportowca, który wciąż dba o tężyznę fizyczną. Jednocześnie twarz, a szczególnie oczy i pomarszczone czoło mogły świadczyć o wielkiej mądrości tego człowieka.

– Tak naprawdę mało któremu z nas, którzy dostali się na pierwszy rok w seminarium, do końca wywietrzały z głowy panny – zachichotał cicho kapłan. – Komu jednak nie przemówiły do rozsądku słowa prefekta i poranne wstawanie, musiał ustąpić, gdy tylko okazało się, ile wiedzy będzie musiał pochłonąć, aby pozostać w tych murach. Owszem, byli tacy, którzy zrezygnowali po kilku tygodniach.

– Choćby profesor Buczyński.

– Choćby i on – zgodził się ksiądz. – Jednak już po pierwszym semestrze wiedziałem, kto będzie moim bratem na dobre i złe. Może dziś brzmi to górnolotnie, ale tak wtedy czułem. Jestem pewien, że wszyscy to czuliśmy...

Nastała cisza. Przerwał ją dopiero sygnał komórki policjanta.

– Słucham – rzekł ściszym głosem, unosząc się nieco z krzesła. – Nie. Jestem w terenie. Rozmawiam ze świadkiem... – powiedział do aparatu, po czym rozłączył się. – Przepraszam.

– Nie ma problemu, taka praca – mruknął proboszcz. – Czy dobrze słyszałem, że jestem świadkiem?

– Niezupełnie...

– Raczej potencjalną ofiarą.

Matejuk pokręcił głową.

– Czy ksiądz ma jakieś podejrzenia, kto mógłby za tym stać? – zapytał po krótkiej chwili. – Podobny swoisty rytuał zbrodni, powiązane ze sobą ofiary...

– Miałem nadzieję, że nigdy to tego nie dojdzie – rzekł ksiądz Józef. – Mieliliśmy po dwadzieścia lat, powołanie i serce. Wydawało się, że to wystarczy. Ale pewnego dnia wszystko to zachwiało się w posadach, choć gmach przecież zbudowano na skale. Naszym zadaniem było dbać, aby ta skała była jeszcze twardsza: wstając za piętnaście szósta, idąc na poranną mszę, ucząc się łaciny, prawa kanonicznego, rytu liturgicznego, sakramentologii, katechetyki, homiletyki...

Policjant przełknął ślinę. Podziękował w duchu temu człowiekowi, że powstrzymał go od użycia notatnika i długopisu.

– ...i kilkunastu innych, mniej lub bardziej trudnych przedmiotów, o mniej lub bardziej skomplikowanych nazwach – dokończył Nehring. – W porównaniu z tym siedzenie w bibliotece było relaksem!

– Skądś to znam – przyznał komisarz, który kilka lat spędził w nieodległym Szczytnie.

– Fascynowały nas stare księgi, oprawione w skórę ze złoceniami – ciągnął ksiądz. – Drukowane były gotykiem, choć częstokroć litery szwabachy układały się w polskie słowa i zdania. Dziś bogaci ludzie chętnie kupują takie księgi w antykwariatach...

– ...na metry – wyrwało się Matejukowi.

Ksiądz skinął głową.

– By upiększyć swoje salony, udowadniając jednocześnie, że mama umiała czytać! – dodał półgębkiem. – Ale pewnego dnia w jednej z takich

ksiąg któryś z nas natknął się na pewien dokument. Ten pozółkły i postrzępiony kawałek starego pergaminu był wyrwaną stroną innej księgi i niewątpliwie stanowił cenny zabytek piśmiennictwa. Jednak jego treść, którą odczytaliśmy z łatwością, mimo że była napisana w języku łacińskim, wciąż nowym dla większości z nas, i którą szybko podzieliliśmy się między sobą, poruszyła do głębi całą naszą grupę. Początkowo nie chcieliśmy w to wierzyć. Przecież podważało to całą historię chrześcijaństwa w tym kraju! Chrześcijaństwa, którego my mieliśmy być strażnikami na następne lata. Jednak z czasem wszystko zaczęło układać się w logiczną całość...

XXXVI

Frombork, dzień czwarty

Wiadomość o powrocie „Odyseusza” wprowadziła ekipę archeologów w osłupienie. Opowieści Horna wysłuchali z zapartym tchem. Brodacz i Rudy szybko zapomnieli też o swojej wersji wydarzeń, choć łódka, wbrew temu, co Horn usłyszał podczas rozmowy na platformie, wcale się nie znalazła.

– Rzeczywiście, wszystko jak ze szpiegowskiego filmu – stwierdziła Ewa chwilę po tym, jak skończył swoją opowieść. – I naprawdę byłeś w szkole wojskowej?

– Owszem. Potem jednak zachciało mi się być poetą, a potem... To długa historia. Kiedy indziej ci opowiem...

Około południa oboje złożyli wizytę w miejscowym posterunku policji, gdzie Horn wyjaśnił sprawę zaginięcia łodzi należącej do archeologów. Rozmawiający z nim funkcjonariusz dość sceptycznie, sądząc z miny, przyjął te rewelacje, ale zanotował wszystko bardzo skrupulatnie.

On z kolei próbował wypytać policjanta o postępy śledztwa w sprawie zamordowanego profesora, jednak mundurowy nic nie chciał powiedzieć, tłumacząc się tajemnicą śledztwa.

Wszystko zajęło nieco ponad kwadrans. Przed posterunkiem czekała

Ewa.

– Coś nowego? – zapytała.

– Nic. Moje rewelacje wzięli, ale w zamian nic nie dali.

Podczas powrotu na Wzgórze Katedralne rozmawiali mało, choć do powiedzenia było aż za wiele. Wciąż też przeważałyby pytania, na które żadne z nich nie znało odpowiedzi.

Nagle Horn wpadł na pewien pomysł.

– Chodź, rozerwiemy się trochę – powiedział, chwytając Ewę za rękę.

Po kilku minutach siedzieli w niewielkiej salce fromborskiego planetarium. Z początku dziewczyna zdziwiła się, słysząc, że jej towarzysz chce pójść właśnie tam, szybko jednak przystała na propozycję.

W okrągłym pomieszczeniu projekcyjnym było jeszcze jasno, widzowie dopiero się zbierali. Chyba każdy, kto był w podobnym przybytku nauki w Chorzowie czy Olsztynie, planetarium na Wzgórzu Katedralnym we Fromborku witał z uśmiechem politowania: małe to, niepozorne, szyję pewnie będzie sobie można skręcić. Zawsze była to jednak ambitna, można by rzec, odskocznia od intelektualnej jałowości wakacyjnego czasu. Specjalistyczna aparatura robiła wrażenie nie tylko na dzieciach.

Ewa była jednak pochłonięta przez zupełnie inne myśli.

– Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Umierał tutaj, na którymś z tych foteli, sam...

– Albo z siedzącym obok mordercą – uściślił Horn. – Nie wiemy dokładnie, na którym?

– Policja nas nie wpuściła. Nie widziałam nawet ciała profesora, zresztą chyba nawet nie chciałabym zobaczyć. – Pociągnęła nosem, by za chwilę zapytać, już zupełnie innym tonem: – Powiesz mi wreszcie, po co właściwie tutaj przyszliśmy? Na „Opowieści babuni komety”?

– To bardzo ciekawy program – ocenił z poważną miną.

– A serio? Chcesz się czegoś dowiedzieć o tamtym zdarzeniu? Myślę, że policja już przepytала wszystkich pracowników planetarium.

– I to pewnie parokrotnie, bo takie hece tu się nie zdarzają.

– Tylko jaki to ma związek z włamaniem do kościoła Świętego Mikołaja, nie mówiąc już o morderstwie proboszcza z Kwidzyna i zniknięciu Zbyszka?

Mam nadzieję, że już go szukają...

– Myślisz, że wtedy, w porcie, to był on?

– Nie wiem. Tak naprawdę już niczego nie jestem pewna.

Mimo że salka nie była zapełniona nawet w połowie, światła zaczęły przygasać, a rozmowy cichnąć.

– Swoją drogą, to niezłe miejsce na randkę – zachichotał Horn, wygodnie wyciągając się na miękkim fotelu.

– A to jest randka? – zdziwiła się Ewa.

– Skąd! – prychnął. – Patrząc na to, jak traktujesz byłych, strach zostać aktualnym...

Błogosławiła otaczające ich ciemności. Takiego spiekła raka.

Rozpoczęła się projekcja. Podczas gdy lektor mówił o odkryciu Kopernika (w tym miejscu nie wypadało chyba zacząć inaczej), kopuła nad głowami siedzących pociemniała zupełnie, a po kilku chwilach pojawiły się na niej gwiazdy. Rozległa się sugestywna muzyka elektroniczna.

To wystarczyło, by Hornowi urwał się film.

Gdy się ocknął, było już jasno. Ludzie wstawali z miejsc.

Zamrugnął powiekami. Wyprostował się na fotelu. Dłoń Ewy spoczywała na jego ramieniu.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Próbowałam cię dobudzić – wyjaśniła.

– Myślałaś, że kolejny trup? – zaśmiał się. – Nie, to chyba jeszcze działanie leków...

Ludzie wychodzili już z planetarium. Do Horna i Ewy zbliżył się operator maszynarii.

– Pan powiedział: kolejny trup? – zapytał, znizywszy głos do szeptu.

– Takie żarty.

– A wie pan, że mieliśmy takie nieszczęście, kilka dni temu. – Mężczyzna podrapał się po klatce piersiowej. – Nawet siedział w tym samym fotelu co pan.

Ewa, trzymająca dłoń na obitym grubą tkaniną oparciu, gwałtownie ją oderwała, jakby materiał parzył. Odsunęła się dwa kroki.

– Na tym fotelu? – spytała przez ściśnięte gardło, wskazując palcem na uda siedzącego wciąż Horna.

– Dokładnie na tym.

Tomasz, którego ręce wciąż spoczywały na drewnianych podłokietnikach, zaczął delikatnie przesuwać palcami po gładkiej powierzchni. Nagle zamarł.

– Niestety, już zamykamy. – Pracownik planetarium chrząknął znacząco.

– Oczywiście – zgodził się Horn. – Pan pozwoli, że jeszcze chwilę posiedzę. Miałem wypadek i jeszcze trochę kręci mi się w głowie.

Kiedy pracownik planetarium oddalił się, gwałtownie wstał z miejsca i schylił się nad jednym z drewnianych podłokietników.

– Daj mi komórkę – rzekł do Ewy.

– Co ty znów kombinujesz?

Zbliżył wyświetlacz do drewnianej powierzchni.

– Widzisz? Świeży ślad – powiedział, zdmuchując sproszkowane resztki politory. – Ktoś wyrył tu jakieś litery. Może to Buczyński?

– Równie dobrze mógł to zrobić jakiś gówniarz.

– To świeży ślad – upierał się Horn. – Planetarium zostało zamknięte po śmierci profesora. Byliśmy na pierwszym seansie po przerwie!

– Skąd wiesz?

– Słyszałem rozmowę jakichś ludzi za nami. Spójrz dokładnie!

Ewa nachyliła się nad znaleziskiem. Było to kilka kresek, które układały się w trzy litery, a raczej kulfony, za które każdy nauczyciel klas 1-3 dałby ich wykonawcy solidną burę.

– C... Y... G... – przeczytała. – Chyba nie myślisz, że zabili go Cyganie?! – prychnęła.

Horn przybrał poważną minę (lata ćwiczeń podczas ciągnących się w nieskończoność kolegów redakcyjnych) i potarł dłonią czoło.

– Podobno w chwili śmierci przebiega nam przed oczami całe życie – rzekł po chwili. – Inni ludzie twierdzą, że w oczach denata zostaje na zawsze obraz jego zabójcy.

- Nie wierzę ani w jedno, ani w drugie – skwitowała Ewa.
- Ale tego, że na chwilę przed śmiercią profesor widział gwiazdy, choćby sztuczne, możemy być pewni.
- Gwiazdy – powtórzyła jak echo Ewa. – Opowiadał mi o nich, gdy byliśmy na wykopaliskach na pustyni. Znał się na nich i potrafił mówić na ten temat bez przerwy. Tak, pamiętam dokładnie. Tam niebo wyglądało inaczej niż w Polsce, więc Serafin mógł realizować swoje dwie pasje: w dzień archeologia, nocą astronomia.
- Wielu ludzi o tym wiedziało?
- Myślę, że tak. Na pewno uczestnicy jego wcześniejszej ekspedycji we Fromborku, na którą cieszył się podwójnie. Wykopać Kopernika, a przy okazji móc oglądać to samo niebo co on.
- Może chciał przekazać coś swoim ludziom – głos Horna był coraz niższy i cichszy. – Tylko co?
- Chyba wiem, kto nam może pomóc – szepnęła Ewa.

XXXVII

Tolkmicko, dzień czwarty

Zegar na wieży kościoła św. Jakuba Apostoła wskazywał pięć minut po dziewiątej, kiedy do portu wpłynął spory motorowy jacht. Po chwili na jego pokładzie pojawił się dobrze zbudowany mężczyzna. Zeskoczył na nabrzeże, po czym skierował się w stronę miasteczka. Słońce już zaszło i z każdą chwilą robiło się coraz chłodniej.

Nagle jak spod ziemi wyrosła przed idącym drobna, kobieca postać.

– Noclegu szuka? – zagadnęła piskliwym głosem, by zaraz dodać: – Sliping? Sliping?

Usiłował ją wyminąć bez słowa, ale kobiecina zagroziła mu drogę rozłożonymi szeroko ramionami, próbując jednocześnie zajrzeć przechodniowi w twarz.

– Nie, dziękuję – odpowiedział spokojnym, cichym głosem.

To jednak nie poskutkowało.

– Tanio, naprawdę tanio! – nadawała kobieta, wymachując rękami. – Pokój z telewizorem...

– Won!

Naganiaczka struchlała. Ustąpiła z drogi, a nawet zeszła z chodnika wprost w kałużę.

– Żeby cię popierdoliło, popaprańcu, pedale! – rzuciła za nim.

On jednak, mimo że na pewno usłyszał wiązanekę, nawet się nie obejrzał. Kiedy indziej być może zawróciłby i jednym ruchem złamał plugawemu babsku rękę. Teraz nie.

Po kilku chwilach zobaczył wieżę kościoła, rysującą się mgliście na tle ciemniejącego nieba. Przystanął obok kiosku, udając, że ogląda rozświetloną witrynę z prasą.

Wyeksponowane krzyczące tytuły dzienników i tygodników sprawiły, że zmełł w ustach przekleństwo. Kątem oka obserwował pojedynczych przechodniów, a także starą kioskarke robiącą na drutach. Prawa ręka mężczyzny wsunęła się do kieszeni kurtki i zacisnęła na twardym, zimnym przedmiocie. Jego oddech był teraz o wiele wolniejszy.

W tym samym czasie komisarz Artur Matejuk jechał przez las wąską, asfaltową szosą. Światła samochodu ślizgały się po pniach gęsto rosnących drzew. Tu i ówdzie krawędź jezdni pokryta była piachem i kamykami, a przy ziemi czaiła się już mgła.

Ani na chwilę nie przestawały dźwięczeć mu w uszach słowa opowieści księdza. Tajemnica, spisek – te słowa brzmiały szczególnie, nawet teraz, gdy przywoływał je w pamięci.

Odezwała się komórka, ale nie od razu odebrał połączenie, gdyż właśnie wchodził w ostry zakręt. Dopiero uspokoiwszy jazdę, nacisnął przycisk zestawu słuchawkowego.

– Matejuk, słucham.

– Cześć – w słuchawce coś zaszemrało, ale komisarz nie mógł nie

rozpoznać głosu swojego szefa. – Właśnie gadałem z wojewódzką w Olsztynie. Jest już decyzja w sprawie ochrony dla twojego wielebnego. Jutro przyślą mu na plebanię kilku kowbojów.

– Czemu dopiero jutro?! – zdenerwował się komisarz. – Przecież w każdej chwili...

– Nie mnie się pytaj. Załatwiłem, co mogłem.

– Rozumiem.

Na tle miarowego pomruku silnika sygnał przerywanego połączenia wybrzmiał wyjątkowo złowroźnie.

Matejuk wyrwał słuchawkę z ucha. Upadła pod deskę rozdzielczą. Niewiele myśląc, schylił się po zgubę. Na krótką chwilę stracił kontakt wzrokowy z szosą. Kiedy ponownie spojrzał przed siebie, oślepiło go ostre światło. Oblał go zimny pot. Z całej siły nacisnął na pedał hamulca...

XXXVIII

Frombork, dzień czwarty

Ewa Rimmel i Tomasz Horn siedzieli w pracowni astronomicznej, która, obok kilku innych, mieściła się w zabudowaniach Wzgórza Katedralnego. Mimo że dochodziła już dziesiąta wieczorem, szefowa pracowni, doktor Donata Arendt, ugościła ich herbatą.

– Nawet nie wiedziałem, że pracują tu astronomowie – powiedział Horn.

– Zdziwiłabym się, gdyby ich tu nie było – odparła Ewa.

Przed kilkoma minutami gospodyni zostawiła ich, udając się po atlas nieba. Pijąc herbatę z cytryną, Horn czuł się, jakby był z wizytą u dawno niewidzianej babci.

Donata ledwo przekroczyła pięćdziesiątkę i trzymała się nieźle. Nie można było tego już powiedzieć o scenografii, która ich otaczała: pod ścianami stały stare, przepelnione dokumentami i książkami szafy i regały. Cenna makulatura zalegała także na meblach, sięgając niemal sufitu. Tu i ówdzie wzrok przykuwał jakiś astronomiczny przyrząd, którego wieku

i przydatności nie był już jednak w stanie określić każdy. O tym, że na zewnątrz jest już wiek XXI, świadczył laptop.

Na jednej ze ścian wisiała reprodukcja słynnego obrazu Jana Matejki, przedstawiającego Mikołaja Kopernika na swojej wieży, pod rozgwieżdżonym niebem.

– Do dziś nie wiadomo, gdzie to mogło być – rzekła Donata Arendt, wchodząc do pokoju z pokaźnych rozmiarów księgą pod pachą.

– Jak to? – zdziwił się Horn. – Przecież w tle dokładnie widać wieżyczki katedry.

– To tylko malarska fantazja Matejki – wyjaśniła ze spokojem gospodyni, opierając wolumin o blat stołu. – Według tego obrazu, platformy, na które stanęłyby wszystkie instrumenty, należałoby szukać gdzieś przy murach albo na dziedzińcu. Problem w tym, że nigdy nie znaleziono nawet fundamentów takiej budowli.

– Ciekawe – mruknął dziennikarz.

– Według badaczy musiała znajdować się gdzieś dalej, może nawet w większej odległości od Wzgórza Katedralnego, co, ze względu na małą ilość światła, ułatwiałoby Kopernikowi jego obserwacje... Jak herbatka?

– Wyborna – oceniła Ewa.

– Cieszę się – astronomka klasnęła z uciechą w dłonie jak dyplomowana przedszkolanka. – A jeśli chodzi o nasz problem...

– Nie wiem właściwie, czy w ogóle warto... – Rimmel zaśmiała się sztucznie.

Horn popatrzył na nią ciężkim wzrokiem. Takiej nie przekona nic, czego nie można zmieścić na archeologiczną szufelkę – pomyślał nie bez złości.

– Wydaje nam się – Horn celowo podkreślił liczbę mnogą – że trzy litery, które prawdopodobnie zapisał profesor Serafin Buczyński, mogą oznaczać jakiś gwiazdozbiór – ostatnie słowo wypowiedział nieco już ciszej i mniej pewnie.

– Tak, to straszne – westchnęła Donata Arendt. – Nigdy wcześniej coś takiego się tutaj nie zdarzyło. – Zamilkła na chwilę, utkwivszy wzrok w jakimś punkcie, którym mógł być grzbiet którejś z setek książek. – Co to za litery? – zapytała, sięgając po przyniesiony przed paroma chwilami atlas

nieba.

– CYG – przeliterował dziennikarz.

– *Cygnus, Cygni*, czyli po prostu Łabędź – odparła bez mrugnięcia pomalowaną na niebiesko powieką, po czym na ślepo otworzyła atlas.

– Łabędź – powtórzył jak echo Horn.

– Gwiazdozbiór przypomina łabędzia lecącego Mleczną Drogą w stronę południową. Łabędzia, którego można oglądać wieczorem od czerwca do stycznia, tworzy kilka gwiazd, z czego najjaśniejsze są Deneb, Sadir, wypromieniowujące dziesięć tysięcy razy więcej energii niż Słońce, a także Cygni, która była pierwszą gwiazdą, dla której wyznaczono odległość, co stało się w roku 1837. Gwiazdozbiór Łabędzia bywa czasem zwany Krzyżem Północy.

– Słyszałem tylko o Krzyżu Południa – wtrącił nieśmiało Horn.

– Mikołaj Kopernik w swoim dziele *De revolutionibus* użył dwóch nazw: *Łabędź i Ptak* – zakończyła kobieta.

– Jak wygląda ów Łabędź, Krzyż Północy? – chciała wiedzieć Ewa.

Doktor Arendt położyła na granatowym niebie wypielegnowany palec wskazujący, którego paznokcie były pokryte różowym lakierem.

– O, tutaj. Prawda, że piękny?

Pochylili się nad atlasem.

– Według mitologii Zeus, zalecający się do spartańskiej królowej Ledy, przybył do niej pod postacią łabędzia – dodała Arendt.

– I rzeczywiście przypomina krzyż – oceniła Ewa.

– Ale jakiś dziwny, nie? – zauważył Horn.

– I co to może oznaczać w kontekście śmierci człowieka? Wiadomo, że każdemu po śmierci stawiają na grobie krzyż. No, może prócz zdeklarowanych ateistów, którzy wolą kołek z tabliczką.

– Co chciał przekazać profesor, jeżeli to w ogóle ma być jakiś przekaz... – Horn z zakłopotaniem potarł się po wciąż nieogolonym policzku.

– Czemu ten krzyż wydaje ci się dziwny? – Ewa wróciła do poprzedniego pytania Horna.

– Jedno ramię Krzyża Północy jest dłuższe – odparł.

– Od strony gwiazdozbiorów Lutni i Smoka – pospieszyła

z podpowiedzią Donata, a jej paznokieć trafił bezbłędnie w odpowiedni fragment rysunku.

Spojrzenia Horna i Ewy spotkały się. Czy myśleli o tym samym? O tym samym krzyżu, który przestał nim być, stając się jednocześnie podpisem mordercy?

XXXIX

Tolkmicko, dzień czwarty

Ksiądz Józef Nehring od godziny ślęczał w swojej kancelarii nad księgami parafialnymi. Nie cierpiał tej roboty. Uważał ją za niegodną mężczyzny. Co innego łatanie dachu kościoła.

Tak, jutro na pewno robota pójdzie do przodu. Może nawet uda się wykorzystać do pomocy „ludzi szeryfa”, których obiecał mu ten komisarz – jak sam to określił, do ochrony. A i tak, co ma być, to będzie...

Naraz coś stuknęło za ścianą. Gospodyni już dawno sobie poszła, więc przylegająca do gabinetu proboszcza kuchnia była pusta. Jeszcze wczoraj być może nie zwróciłby na to uwagi. Teraz jednak wstał zza biurka i sięgnął w kąt, skąd wydobył solidnych rozmiarów kij do gry w palanta, po czym zgasił lampkę na biurku i wyszedł z gabinetu.

– No chodź tu – mruknął, również dla dodania sobie odwagi.

Nie zapalając światła, szedł przy samej ścianie korytarzyka, krok za krokiem, dobrze znaną trasą. Z każdą chwilą coraz wyraźniej czuł obecność intruza i coraz mocniej zaciskał palce na drewnianym uchwycie pałki.

– Mamy dwa wyjścia – rzucił w mrok, z zaskakującą jego samego pewnością, ale i z lekką chrypką. – Wychodzisz sam, ja zapalam światło i przedstawiasz się. Albo po ciemku oddalasz się tą samą drogą i o wszystkim zapominamy.

Cisza. Wyraźnie czuł już na twarzy idący od niedomkniętych drzwi, chłodny powiew nocy.

– No to jak będzie?

Odpowiedzią było mocne i precyzyjne uderzenie w klatkę piersiową. Ksiądz Józef cofnął się jednak tylko pół kroku. Nie zdołał utrzymać swojej broni, kiedy kolejny cios, tym razem z góry, wytrącił mu ją z rąk. Kij do gry w palanta zatarabanił o płytki posadzki, a kopnięty, poturlał się daleko, w stronę drzwi wejściowych.

Nic już nie było w stanie powstrzymać przeciwnika. Ksiądz był wysoki i dość dobrze zbudowany, mimo to tamten przewyższał go o głowę.

– Czego chcesz? – zawołał Nehring.

Tym razem w odpowiedzi usłyszał znajomy dźwięk, coś jak szelest zgniatanego papieru.

– A gdy się zacznie dziać, wyprostujcie się i podnieście głowy swoje, gdyż zbliża się odkupienie wasze! – powiedział napastnik, przedzielając cytaty głośnymi sapnięciami, po czym zacisnął swoje wielkie dłonie na szyi ofiary.

Nehring powoli tracił świadomość. Jego ciało, co do którego był przekonany, że będzie mu jeszcze służyło długo, więdło. Lata, które miały cieszyć, zamieniały się w ułamki sekund.

Wzdrygnął się, usłyszawszy głuchy huk. Czy tak pękają kręgi? – zapytał sam siebie w duchu, którego w ciele tym było mniej i mniej.

Ujrzał światło oślepiające niemal jak słońce. Teraz był już pewny, że zaraz nastąpi ciemność, a potem już nie będzie niczego.

Zamiast tego ujrzał nad sobą znajomą twarz.

– Nic księdzu nie jest? – zapytał komisarz Artur Matejuk, pochylając się nad leżącym.

Ksiądz Józef Nehring wzdrygnął się i zamrugał oczami. Leżał na podłodze korytarzyka plebanii, a jedynym źródłem światła był plafon na ścianie.

– Co... co z nim? – wyjąkał, usiłując unieść głowę z podłogi.

– Uciekł – odpowiedział policjant. – Ale chyba go trafiłem.

Dopiero teraz duchowny dostrzegł w ręku Matejuka pistolet.

Proboszcz podparł się na łokciu, sapnął dla dodania sobie otuchy, po czym, jakby nic się nie stało, wstał na równe nogi. Zakręciło mu się w głowie; wyciągnął rękę, aby przytrzymać się ściany, jednak szybko ją cofnął.

– Musimy jechać – powiedział.

XL

Frombork, dzień czwarty

Kiedy wyszli z pracowni doktor Arendt, była już noc.

W pewnym momencie oboje jak na komendę unieśli głowy ku górze. Niestety, niebo nad Fromborkiem, a pewnie i nad całą północno-wschodnią Polską wciąż było zasnuwane grubą warstwą chmur.

– Szkoda – szepnął Horn.

– Chciałeś odszukać Łabędzia? – zgadywała Ewa.

– A ty nie?

– Może chciałam dostrzec spadającą gwiazdę. Przecież w sierpniu spadają najczęściej.

Spojrzał na nią z ukosa. Ilekroć w ten sposób na nią patrzył, dostrzegał w jej twarzy coś nowego. Nie potrafiłby co prawda uściślić, co to jest, ale odkrycie za każdym razem powodowało, że ta dziewczyna podobała mu się coraz bardziej.

– Prawdę mówiąc, zawsze miałam problemy ze znalezieniem Wielkiego Wozu. O Małym nie wspominając – przyznała się po chwili.

– A jeśli już mówimy o wozach... – rzekł Horn.

– To co?

– To chyba powinienem poszukać sobie jakiegoś noclegu. Widziałem w mieście jakiś hotel.

– Możesz spać u nas – powiedziała Ewa. – W kanonii jest dużo miejsca.

To wiele upraszcza, pomyślał z zadowoleniem. Już chciał jej podziękować, kiedy nagle rozległ się tupot kilku par nóg. Ewa kurczowo zacisnęła palce na jego ramieniu. Z ciemności wyłoniły się znajome twarze Magdy i Brodacza.

– Jesteście – sapnęła dziewczyna.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Horn.

- Ktoś jest w kościele – wyjaśnił Brodacz.
- Leszek został na czatach – dorzuciła Magda.

Ruszyli biegiem w dół. Horn sadził wielkie kroki, ale i Ewa nie zamierzała marudzić. W ciągu dwóch minut znaleźli się przed kościołem św. Mikołaja. Aby nie spłoszyć rabusiów, schowali się za stojącym w bezpośrednim sąsiedztwie byłej świątyni drewnianym płotem.

Zza muru kościoła wychynęła jakaś postać. Bez trudu rozpoznali w niej jednego z młodych archeologów, rudego Leszka.

- I co? – zapytała szeptem Magda, kiedy zbliżył się do grupki.
- Nic się nie zmieniło. Dwóch mężczyzn.
- Ciekawe, czy to ci sami co wtedy... – zastanawiał się głośno Horn.
- Czekamy na policję czy wchodzimy? – Brodacz był podekscytowany.
- Jak? Z pustymi rękami? – zdenerwował się Leszek. – Przecież mamy tylko latarki.

Z niedalekiej pizzerii hałaśliwie wytaczało się jakieś towarzystwo, które nadmiar drożdży, pieczarek, a może i sera przyginał mocno ku ziemi i nieco na boki.

- Jest nas trzech, a ich dwóch – szepnął Horn.
- Raczej pięcioro – sprostowała z lekkim przekąsem Ewa.
- Magda zostaje – uciął Rudy.
- Nie! – zaprotestowała dziewczyna.
- Zaraz przy drzwiach, po lewej stronie zostawiliśmy łopaty i kilof – przypomniał sobie Brodacz.

Po chwili rozciągniętą grupką zbliżyli się do kościoła. Brodacz lekko pchnął drzwi, które ustąpiły bez jednego pisku.

Przez szparę było widać słabe światło; prawdopodobnie jego źródłem było kilka świec. Ręka rudego Leszka z łatwością namacała trzonek szpadla. Chwycił narzędzie i podał za siebie. Następny był kilof, który trafił się... Ewie. Wymiana spojrzeń między nią a Hornem nie przyniosła jednak żadnego skutku.

Rozdzielili się. Idąc na palcach, zbliżali się do miejsca, w którym działali złodzieje, a które było miejscem głównych wykopalisk archeologów.

- Co tu robicie?! – ryknął Brodacz.

Kilka wiązek światła z elektrycznych latarek skrzyżowało się na dwóch kucających nad jakąś dziurą w ziemi mężczyznach.

Zaskoczeni rabusie wstali, osłaniając rękami oczy przed ostrym światłem.

– Spokojnie – powiedział niższy z nich, sięgając ręką w zanadrze.

Tego się nie spodziewali.

– Rzuć to! – wrzasnął Horn, zaciskając palce na trzonku łopaty.

Aż sam zdziwił się swojemu wybuchowi. Emocjonalna huśtawka ostatnich dni i nocy najwyraźniej zbierała swoje żniwo.

Tymczasem złoczyńca już miał w dłoni to, czego szukał, a co odbiło błysk światła latarki.

– Pan komisarz? – zawołała Ewa.

– Znacie się? – zdziwił się Rudy i opuścił trzonek.

Artur Matejuk opuścił wolno dłoń z odznaką. W tej samej chwili drugi z mężczyzn przestał się zasłaniać przed światłem z latarek.

– Co wy tu robicie, ludzie?! – krzyknął ze złością Brodacz.

– Szukamy – odpowiedział Matejuk.

– To widzimy – przyszedł koledze w sukurs Rudy. – Problem w tym, że to są nasze stanowiska archeologiczne.

Dwaj nieproszeni goście wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenie. Komisarz ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Bardzo przepraszamy, ale nie mieliśmy innego wyjścia – rzekł cicho milczący dotąd ksiądz Józef Nehring, ale widząc, że stojący blisko młody człowiek z brodą jakoś nie ma zamiaru upuścić trzymanego w rękach szpadla, dodał: – W tym kościele ukryto coś bardzo cennego...

– To też wiemy – prychnęła lekceważąco milcząca dotąd Magda.

Ksiądz Józef znów spojrzał na komisarza Matejuka.

– Szukamy księgi Kopernika – rzekł cicho policjant.

– Księgi Mikołaja Kopernika?! – zapytali chórem archeolodzy.

Proboszcz z Tolkmicka uśmiechnął się i powoli pokręcił głową.

– Nie. Księgi Andrzeja, jego brata...

MYSTERIUM FIDEI

Frauenburg, 20 września 1513 roku

Samotny wędrowiec zatrzymał się u podnóża pagórka. Wzniesienie było niewielkie, jednak człowiek ów, najwyraźniej mający za sobą wiele dni podróży, miał chyba zamiar zebrać więcej sił, aby je pokonać. Dziwiło jeszcze jedno: mimo że miał konia, szedł piechotą. Zwierzę, objuczone wcale nie tak wielkim bagażem i skromnym, pozbawionym ozdób siodłem, ledwo powłóczyło nogami, a łeb niosło bardzo nisko, niemalże przy ziemi.

– Już niedaleko, mój przyjacielu – rzekł ów człowiek, gładząc konia po szyi pokrytej potem pomieszanym z kurzem z wielu dróg.

W tym samym momencie zza chmury wyjrzało wrześnie słońce. Mężczyzna z lubością wystawił ku jego promieniom twarz, dotąd skrywaną pod obszernym kapturem podróżnego płaszcza. Gdyby tylko mogło, pewnie przestraszyłoby się śmiertelnie, widząc fizjonomię tego człowieka...

Twarz jego była bowiem wychudła i blada jak u trupa. Pokrywały ją rany i guzowate krosty. Zniekształcony nos, niegdyś zapewne o orlim kształcie, zdawał się zapadać pomiędzy osadzone głęboko, podkrążone, zmęczone z niewyspania oczy, zaś odstające uszy przypominały bardziej słuchy jakiegoś dziwnego zwierzęcia niż fragmenty ciała człowieka – tak zdeformowała je nie natura, a okrutna choroba. Czarne włosy przetykały gęsto srebrne nitki. Wreszcie palce rąk, którymi dotykał końskiej sierści, wyglądały, jakby ktoś je okrutnie połamał i tak zostawił...

Każdy, kto człowieka tego spotkał na swojej drodze, z pewnością schodził z niej czym prędzej, czyniąc szybki znak krzyża i szepcząc z cicha: nieczysty.

Słońce skryło się z powrotem za chmurę. Wędrowiec ruszył przed siebie.

Mimo choroby, o której świadczyły znaki na ciele, i długiej drogi, jaką człowiek ten miał za sobą, pokonanie pagórka nie zajęło mu wiele czasu. Tak

jak pokonanie kolejnych wzniesień, ciemnych wąwozów, w których walczyć musiał także ze strachem – były to bowiem miejsca doskonałe, by przygotować w nich rozbójniczy napad, a samotny jeździec w owym czasie był rzadkością.

Im dalej brnął na północ, tym lżej mu się jechało i coraz większa radość rozpierała piersi, w których łomotało wypełniające się radością i nadzieją serce.

– Już niedaleko – mówił do siebie, a może pocieszał tymi słowy konia.

Po wielu miesiącach poza domem człowiek ów wracał tam, gdzie jego miejsce. Czasem tylko, jak słońce zakrywała ciężka chmura, tak w głębi duszy, której oczami widział już znajome twarze i miejsca, odczuwał obawę. Czy mimo tak straszego wyglądu, który w uczonej mowie określano jako *contagioso*, przyjmą go jak swego? Przecież wciąż nim był: jednym z szesnastu fromborskich kanoników, mianowanych z woli biskupa Warmii!

Myśl ta nie dawała spokoju i nie można było jej się pozbyć ot tak, jak kamyczka, który gniótł stopę, wytrząsnąć z buta...

Dochodziło południe, gdy z gęstwiny drzew wyrosły znajome, strzeliste wieże katedry pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i św. Andrzeja Apostoła. Wiatr niósł zapach wodorostów i ryb.

Nagła rzewność rozlała się ciepło po piersiach przybysza. Rychło wsiadł na konia, zakrzyknął dla ochoty i ruszył w dół, ku najbliższej bramie.

Miasteczko Frauenburg, po polsku Frombork, tętniło życiem. Mimo że było niewielkie, liczyło sobie niespełna dwa tysiące dusz, sprawiało wrażenie o wiele ludniejszego. Na uliczkach, w bramach i na placach, w zaułkach i na portowym nabrzeżu słyszało się zarówno twardą mowę niemiecką, jak i szeleszczące słowa polskie, najczęściej jednak łączący w sobie te dwa języki, niezwykły dialekt.

Na łagodnych falach Frisches Haff kołysały się rybackie kutry; z cumujących już w porcie łodzi wynoszono w wiklinowych koszach węgorze, śledzie, trocie, ale i leszcze, okonie, sandacze i bolenie. Im dalej

w łąd, tym zapach darów morza ustępował dymom z wędzarni, piekarni i browarów.

Wszystkie te zapachy, jak również dźwięki dochodzące z domostw i miejskich gospód, sprawiły, że wędrowiec poczuł głód. Szybko skierował konia w stronę wzgórza, na którym wznosiły się dostojne mury katedry. Wjechawszy na szczyt, odbił w prawo, by po kilku chwilach zatrzymać się przed niewielkim domostwem.

– Pana nie ma – przywitał go głos służącego, który przez uchylone drzwi wystawił swoją głowę osadzoną na długiej szyi, ledwie wędrowiec zdążył zatrzymać konia na podwórku. – Idź stąd, człowieku! – rzucił nieprzyjaźnie.

– Witaj, Hieronimie! – zawołał z pogodą przybysz, zsiadając z wierzchowca.

– My się znamy? – zapytał rzeczony Hieronim, a szyja wydłużyła mu się jeszcze bardziej.

– Ano znamy się, znamy.

Oczy służącego powiększyły się, jakby ten ujrział przed sobą ducha. Dopiero po dłuższej chwili Hieronim zdołał wydobyć z siebie głos.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Kanonik Andrzej.

Hieronim wyszedł zza drzwi, ukazując się w pełnej krasie: jego kształt tułowia, rąk i nóg jak najbardziej przystawał do szyi – mężczyzna ten przypominał tykę, którą w okolicy używano do uprawy chmielu.

Radość ze spotkania minęła jednak równie szybko, jak nadeszła. Służący przygryzł wargi, jego twarz pokraśniała, a oczy zwęziły się. Starał się uciec wzrokiem gdzieś w bok – tak podziałał na niego odpychający wygląd Andrzeja.

– Pana nie ma – powtórzył niemal takim samym tonem jak przed chwilą.

– Gdzie go znajdzie? Pewnie w szpitalu? – zgadywał kanonik.

– Tak. Doktor przyjmuje chorych.

Szpital Świętego Ducha znajdował się o kilka minut marszu na wschód. Jak każdego dnia, tak i dzisiaj przed drzwiami budynku tłoczyli się ludzie.

Chromi, pół ślepi, pokryci wrzodami, ranni w jakiejś potyczce, awanturze czy przy pracy, owinięci w szmaty za sprawą bolących zębów, niedomagający w inny sposób – wszyscy szukali pomocy u tego, co wiedzę medyczną posiadał aż w dalekiej Italii, w mieście Padwie.

Lekarz kapitulny wkładał w swoją pracę wiele serca i wiele mądrości, w dodatku wciąż posiłkując się radami zawartymi w kilku opasłych księgach. Nie zawsze jednak potrafił ulżyć w cierpieniach, co jednak nie powstrzymywało okolicznej ludności przed poszukiwaniem pomocy właśnie na fromborskim Katedralnym Wzgórzu.

Andrzej jeszcze nie doszedł do drzwi, a już zauważył poruszenie, jakie wywołał wśród pacjentów oczekujących na spotkanie z medykiem. Szepty, trącanie się łokciami, spojrzenia, w których obawa mieszała się z odrazą. Już stojący najbliżej, bardziej ze strachu niż życzliwości, jęli się rozstępować, by przepuścić oszpeconego okrutnie przybysza.

– Nieczysty – rozległ się czyjś głos, co zabrzmiało jak ostrzegawczy dzwonek, ponaglający nieruchawych, przekonujący wątpiących.

– Ludzie, ja tylko... – jęknął pod nosem mężczyzna i tchu mu zabrakło.

Nie próbując nawet prostować nieporozumienia, szpital nie był wszak leprozorium, Andrzej narzucił na głowę kaptur, mimo że dzień zrobił się dość ciepły, i ruszył szerokim szpalerem. Starał się unikać wzroku stojących po bokach, co było rzeczą łatwą – mało kto bowiem odważył się spojrzeć w oczy chorego, jakby w obawie, że i w ten sposób zarazi się nieuleczalną chorobą.

Ktoś jęknął na straszny widok, ktoś przeżegnał się dyskretnie, inny ręką zakrył oczy zaciekawionemu dziecku. Współczuli mu, nienawidząc. Nienawidzili, obawiając się. Wielu z trwogą albo wręcz przeciwnie – z ulgą popatrywało na własne blizny, rany, znamiona.

Po kilku chwilach przybysz stał samotnie przed drzwiami izby, w której przyjmował doktor. Oto wychodziła z niej jakaś kobieta z maleńkim dzieckiem na ręku; tak poruszona, że nie zwróciła uwagi na stojącego przed nią mężczyznę w kapturze.

– Wejście, wejście śmiało – dobiegł z głębi izby głos, na którego dźwięk serce Andrzeja zabiło żywiej.

– Niech będzie pochwalony – rzekł, wchodząc do pomieszczenia.

– Na wieki wieków – odpowiedział siedzący za dużym, dębowym stołem doktor, by od razu przystąpić do rzeczy: – Co dolega?

Przybysz powoli zdjął z głowy kaptur podróżnego płaszcza. Nie doczekawszy się odpowiedzi, medyk podniósł wzrok.

– Andrzej?

– Mikołaj!

Żadne słowa nie padły więcej. Doktor Mikołaj zerwał się z za stołu i już chciał ruszyć w kierunku brata, ten jednak powstrzymał go stanowczym gestem ręki.

– Nie – rzucił. – Nie pozbyłem się tego, Niko.

– Widzę – rzekł medyk przez ściśnięte gardło.

Przez kilka kolejnych chwil patrzyli na siebie w milczeniu. W oczach młodszego z braci, Mikołaja, zaszklily się łzy. Od lat pomagał ludziom, od dwóch lat jako oficjalny medyk kapituły. Nie składał kości, nie zaglądał do wnętrza ludzkiego ciała, rzadko puszczał też krew. Komponował za to wszelakie remedia z blaszkowych grzybów, kardamonu, mięty, lewkonii i aloesu, co zazwyczaj pomagało na dolegliwości – od podagry przez katar po bezsenność i kłopoty ze wzrokiem. Teraz jednak on, u którego nadziei i ratunku szukało tylu, na tę chorobę – okrutną chorobę, która trawiła najbliższą osobę na ziemi – nic pomóc nie mógł.

– Na długo przyjechałeś? – zapytał brata, na co ten szeroko rozłożył ręce o powyginanych szpetnie palcach.

– Jeszcze nie wiem. To zależy nie tylko ode mnie.

Mikołaj pomarkotniał. Wiedział dobrze, że nikt we Fromborku prócz niego nie czekał na Andrzeja z otwartymi ramionami, ba!, nawet dobrym słowem. Starszy brat też musiał to wiedzieć.

Czy było mu wiadomym także to, że sprawa, która była jedną z przyczyn wyjazdu starszego Kopernika z Fromborka w grudniu ubiegłego roku, jeszcze się nie zakończyła?

Andrzej jakby czytał w myślach Mikołaja.

– Mam nadzieję, że zdążyłem na zebranie kapituły? – rzekł z wysiloną obojętnością.

– Odbędzie się za dwa dni – odparł Mikołaj. – Zostało mi jeszcze trochę pacjentów, idź więc do domu i niech Hieronim przyjmie cię jak należy...

– Będzie lepiej, jak pójde do swojej kurii – powiedział Andrzej, a kiedy brat chciał zaprotestować, uśmiechnął się tajemniczo i dodał: – Mam jeszcze kilka spraw w okolicy. Spotkamy się po obiedzie.

Wieść o powrocie Andrzeja Kopernika szybko się rozniosła. I bynajmniej, pomijając brata jego, Mikołaja, nie wzbudziła wśród fromborskich kanoników szczególnej radości.

– Wrócił syn marnotrawny! – Herbert Kunze, kantor fromborski, nie posiadał się z oburzenia; pod pokaźnych rozmiarów mężczyzną aż niepokojąco zaskrzypiało drewniane krzesło.

Towarzyszący mu w obiedzie inny pan na wzgórzu, arcydiakon Jan Sculteti, mężczyzna drobnej postury, potwierdził zdanie kompana głośnym siorbnięciem. Dziś na pierwsze danie podano krupnik. Po nim miały być żeberka wieprzowe. Dwaj biesiadnicy zdążyli osuszyć już gąsiorek czerwonego wina.

Bo kanonicy, zwani też Zakonem Warmii, nie grzeszyli zbyt dużą pobożnością. Służenie do mszy – porannej i wieczornej – należało do ich obowiązków, jednak nie zawsze się z nich wywiązywali w należyty sposób. Bywało, że ten czy ów, miast zrywać się bladym świtem, wdziewać liturgiczną szatę i chwalić Pana, na późne śniadanie ledwo schodził. Poranne dzwony katedry i ptasie śpiewy szans nie miały wielkich obudzić pana fromborskiego.

Brzęk monet za to – i owszem!

Kanonicy ściągali od okolicznych chłopów i rzemieślników dziesięcinę, renty, nakładali podatki. Żyli też z beneficjów i synekur, więc głód nigdy nie pukał do ich drzwi. I choć wszyscy nosili zdobyte na zagranicznych uniwersytetach tytuły bakalarzy czy doktorów, większość z nich rzadko korzystała z nabytej wiedzy. Nie musieli. Kwestia rangi i poziomu przyszłego życia była jasna już przy urodzeniu, wszyscy bowiem pochodzili

ze stanów szlacheckich, najznamienitszych rodzin Gdańska i Torunia.

Bogatszym i bardziej wpływowym człowiekiem w promieniu stu kilometrów był tylko biskup Warmii, ale gdy i z nim podzielili się już dochodami fromborscy panowie, to i tak wystarczało im na wojny, interesy, służbę, konie, trunki i wiktuały, a niektórym nawet, co nie było wcale pilnie strzeżoną tajemnicą – na kobiety. Byli też i tacy, co kupowali księgi.

Skończywszy posiłek, Herbert Kunze i Jan Sculteti wcale jednak nie mieli zamiaru odstąpić od stołu; tym bardziej że wino jeszcze się nie skończyło.

– Wiesz już, drogi przyjacielu, kto będzie nowym burmistrzem miasta Melzak? – zapytał Sculteti.

Kompan kanonika Jana uśmiechnął się tajemniczo, przez co okrągłe policzki wyduły się jeszcze bardziej. Przymknął powieki, arcydiakonowi wydało się nawet, że w pewnej chwili Kunze zachrapał. Wino najwyraźniej zaczynało działać – i to o wiele bardziej, niż tylko pobudzając apetyt.

Po chwili Kunze wzdrygnął się, tocząc dookoła błędnym wzrokiem

– O co pytałeś, bracie?

– O przyszłego burmistrza Melzaku.

– Tak, tak – zabełkotał wciąż jeszcze nie do końca przytomnie kantor. – Oczywiście, że będzie to von Moldke.

– Von Moldke?

– Jako rzekłem.

– Twój kuzyn?

Kunze wydobył z siebie dźwięk podobny do chrząknięcia dorosłego dzika.

– Niezwykle zacny człowiek – rzekł, po czym zamachał rękami, jakby odpędzał roje nachalnych much czy komarów. – Dziś wysyłam listy w tej sprawie. Dziś, już. Za chwilę...

Wcześniej musiał jednak biedny Kunze przyjąć ponad pół tuzina interesantów, mniej lub bardziej wymytych, z których więcej jak połowa przyszła starać się u kanonika o pozwolenie na warzenie piwa. Rozsądzić też miał spór między dwoma kmieciami, dotyczący terenu łowieckiego w pobliżu miasta Braniewa. Gdybyż go jednak zapytać ledwie chwilę po

wyjściu petentów o ich nazwiska, miałyby kłopot z udzieleniem prawidłowej odpowiedzi. Co więcej, nie pamiętał już nawet ich twarzy!

Co było powodem tej gorączki? Niespodziewany powrót lata? Wypity trunek?

A może jednak powrót nad Frisches Haff Andrzeja Kopernika?

Bracia spotkali się wczesnym popołudniem w wieży Mikołaja, który niedawno stał się jej posiadaczem. Wiele środków i zachodu kosztowało go urządzenie trzech poziomów tej gotyckiej budowli, przylegającej do fortyfikacji wzgórza. Kuria *intra muros* była mieszkaniem Kopernika, używanym w wypadku niebezpieczeństwa. Była też dobrym punktem obserwacyjnym – tak ziemi, jak i nieba.

Od lat bowiem Mikołaj obserwował niebo i gwiazdy. Co więcej, w swoich badaniach doszedł do wniosków, które mało kto odważyłby się wypowiedzieć głośno. Nocne obserwacje, na których oparł swą nieogłoszoną wciąż drukiem i nadal sprawdzaną teorię, prowadził jednak nie na owej wieży, a w ogrodzie, w pobliżu swojej zewnętrznej kurii.

Rychło weszli po schodach na samą górę. Tu mogli wreszcie swobodnie porozmawiać, a czynili to po polsku.

– Naprawdę nic nie mogli ci pomóc? Nawet włoscy lekarze?! – kanonik-astronom załamał ręce, przyglądając się po raz wtóry swemu bratu i temu, co zrobiła z jego ciałem choroba.

– Jak widzisz – sapnął Andrzej; droga na szczyt wieży kosztowała go sporo wysiłku.

– Same nieszczęścia...

Nie minęło bowiem jeszcze pół roku, jak zasnął w Panu wuj ich, mentor i możny protektor, Lukas Watzenrode, biskup warmiński i doradca polskich królów. On to od początku dbał o wykształcenie braci, najpierw w Krakowie, potem w Italii, wreszcie uczynił z obu kanoników fromborskich, co miało zapewnić im dostatnie życie.

– I tak by nic nie poradzili. Nawet oni – westchnął Andrzej. – Prawdę

mówiąc, pogodziłem się już z tym, że cało z tego nie wyjdę. Wiem też, co knuje przeciwko mnie kapituła.

– Na to i ja nie znajduję rady.

– To nieważne, bracie. Ważne jest, żebym doprowadził do końca jedną sprawę. Między innymi właśnie po to przyjechałem do Fromborka.

Mikołaj popatrzył na brata. W oczach zabłyśły mu łzy.

Starszego Kopernika również żal wielki chwycił za gardło, mocniejszy od wszystkich chorób ciała. Drogi braci znów się rozchodziły, tym razem być może już na zawsze.

I nagle stanął mu przed oczami ich rodzinny dom w Toruniu. Ujrzał dwóch małych chłopców, wymykających się, gdy tylko iść nie trzeba było do szkoły przy pobliskim kościele św. Jana, na nadwiślańskie łęgi. Z narożnego domu przy ulicy Świętej Anny nad rzekę nie było daleko. Wystarczyło przejść dwie ulice, minąć jatkę, potem czmychnąć pod bramą Mostową.

Nikt za nimi nie wołał; ojciec ich, Mikołaj, zmarł, gdy Andrzej miał ledwo dwanaście lat, a jego brat dwa lata mniej. Matka więcej uwagi poświęcała swym córkom: Barbarze i Katarzynie.

A Wisła to był wtedy świat. Wielki świat! Szeroka, porośnięta od zachodu gęstymi chaszczami, pełna wirów. Nie to co ta, nad którą chadzali po latach w Krakowie, że ledwie splunąć. Rzeka niosła od południa flisackie tratwy, wyładowane wszelakim towarem, ale i pozostałości po gwałtownych burzach: gałęzie, czasem i całe drzewa, martwe zwierzęta i ludzi. Do pobliskiej przystani dobijały zaś hanzeatyckie statki z Gdańska, Brugii czy Lubeki.

Chłopcy lubili obserwować pracę marynarzy, przeskakiwać po kamieniach leżących na brzegu, strzelać z łuków, które Andrzej wystrugał kozikiem z gałęzi leszczyny. Wieczorem palili ogniska. Snopy iskier z mokrego, drobnego drewna strzelały w pogodne niebo, mieszając się z gwiazdami, które po wielu latach miały stać się istotą życia młodszego z braci.

Mikołaj był zawsze ambitny, choć czemuś smutny. Dlaczego on taki? – pytały krakowskie dziewczki, kupieckie córki, kiedy obaj przyjechali studiować na Akademii, i pytały włoskie dziewczyny, gdy pobierali nauki w odległej

Bolonii i Padwie. Andrzej nie znał odpowiedzi...

Obaj byli piękni: mieli długie włosy, szlachetne twarze. Podobali się kobietom, a starszy z braci zwykle nie potrafił oprzeć się ich wdziękom, szczególnie w Italii. Paola, Chiara, Sophia – kruczowłose, śniade, czarnookie. I jak żadne inne na świecie znające sztukę miłości.

Ach, studenckie lata! Nic i nikt ich już zwróci. Sztuczne ognie na placu Świętego Dominika, huczne festyny, rozbijane co raz beczki wina. Kłótnie, spory, ale i waśnie poważne, rozwiązywane tak na drodze dysputy, jak i równie często przy pomocy szpady. Muzyka i niekończąca się, wszechobecna wesołość, która nie rozróżniała narodowości, nie patrzyła do sakiewki ani na to, czy któryś nosił suknię duchowną, ponurą togę z kapturem czy barwny przyodziewek świecki.

Pogoda ducha nie opuszczała braci, nawet gdy groszem nie śmierdzieli i o pomoc przyszło prosić możnych protektorów.

– Czy wiesz, co u naszych sióstr? – zapytał naraz Mikołaj.

– Kasia ma już z Bartłomiejem trójkę dzieci – odparł Andrzej, jakby czekał na to pytanie.

– Już trójkę? – ucieszył się astronom. – Gdy pisaliśmy do siebie ostatnio, mieli dwie dziewczynki. Bene! Nadrabia za wszystkich pozostałych Koperników.

Andrzej czuł, że się czerwieni. Miał jednak nadzieję, że rany na twarzy skutecznie ukryją rumieniec; przynajmniej jeden z nich pożytek.

– A Basia? – Mikołaj zapytał o drugą siostrę.

– Również odwiedziłem ją po drodze. Gdy przejeżdżałem przez Chełmno, zajrzałem też do cysterek. Basia serdecznie cię pozdrawia.

Kolejne kłamstwo tego dnia gładko przeszło mu przez usta. Prawda była bowiem taka, że siostrę z Krakowa i jej rodzinę widział tylko z daleka, ukryty za załomem muru, niedaleko barbakanu. Z Barbarą zaś chciał porozmawiać, choćby przez gęstą kratkę w furcie, która mogła oszczędzić siostrze przykrych widoków. Jednak i w tym przypadku nie odważył się nawet podejść do bramy chełmińskiego klasztoru.

Wieczorem tego samego dnia Andrzej Kopernik siedział samotnie nad brzegiem Frisches Haff. Łagodny wiatr czesał szeroki na kilkadziesiąt metrów pas trzcinowisk, oddzielający ląd od wód zalewu. Tu i ówdzie jaśniał w szuwarach niczym latarnia grązel i grzybień. W stronę brzegu niósł się wrzask żerujących mew, który temu człowiekowi nie mógł przywieść na myśl nic innego, jak tylko krzyk przekupek na targu w Mediolanie.

Lecz kanonik Andrzej nie przyszedł tu po to, aby podziwiać piękno przyrody. Ani tym bardziej wspominać dawne dzieje, dzięki którym, owszem, na krótką chwilę zagościł na jego twarzy uśmiech. Spod narzuconego na głowę kaptura spoglądała niecierpliwie para oczu. To w nich jeszcze tliło się życie.

Od strony miasta wąską ścieżką nadchodził powoli jakiś człowiek. Ubrany był w habit, na głowę także narzucony miał kaptur. Zatrzymał się kilka kroków przed Andrzejem, który wstał z ziemi. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, choć przecież żaden z nich nie mógł widzieć oczu drugiego.

Naraz przybysz podniósł w górę prawą rękę i dotknął wskazującym palcem podstawy wiszącego na szyi, prostego krzyża. Wciąż milcząc, przesunął nim powoli ku górze, gdzie krzyżowały się deszczułki, by nieoczekiwanie skrócić w prawo.

Ledwo palec przybysza dotarł do końca ukośnej belki, Andrzej zsunął z głowy kaptur; to samo po chwili uczynił przybysz.

– Brat Andreas? – zapytał.

– Tak, to ja – potwierdził Kopernik. – Witaj!

– Pokój tobie – przywitał się mężczyzna w habicie; na jego gładko ogolonej, wychudłej i bladej twarzy nie drgnął jednak żaden mięsień. – Jak się masz? – zapytał.

– Przecież widzisz.

– Nie da się nie zauważyć.

– To prawda.

– Ale można powściągnąć emocje.

– Zdążyłem się już przyzwyczaić do tego, że wzbudzam strach, przerażenie i odrazę, gdziekolwiek się pojawię. Dziękuję ci jednak za to.

– Nasz patron zrobiłby tak samo.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ponad ramieniem przybysza Andrzej dostrzegł ostatnią łódź wracającą z połowu.

– Chodźmy – rzekł naraz mężczyzna w habicie. – Wszyscy już czekają.

Ruszyli krętą ścieżką, biegnącą wzdłuż linii brzegowej, ale oddalającą się od miasteczka. Wkrótce za drzewami schowało się też górujące nad okolicą Wzgórze Katedralne. Mimo że władza kanoników sięgała daleko, wraz ze zniknięciem wież katedry odczuwało się ją jakby mniej. Nie mówiąc już o tym, że dwaj idący brzegiem ludzie zmierzali do miejsca, gdzie prawa ustanowione przez kapitułę nie obowiązywały wcale.

Po kilku chwilach oczom wędrowców ukazał się niewielki kościół, stojący na samym brzegu zalewu. Krępa wieżyczka ciemniała na tle łuny zachodu. Świątynia wyglądała na opuszczoną, mimo to idący jako pierwszy mnich nacisnął na klamkę i weszli do środka.

Odchodzący dzień tlił się jeszcze w kolorowych witrażach. Mężczyźni zbliżyli się do ołtarza. Uklękli przed nim. Przewodnik opuścił długie ręce na podłogę, jakby chciał sięgnąć po coś, co przed chwilą upuścił.

Po chwili w długich palcach mnicha Andrzej zauważył niewielkie mosiężne kółko. Nim zdążył pomyśleć, wyrwany ku górze uchwyt pociągnął za sobą niewidoczną dotąd klapę, która ukazała kwadratową dziurę w podłodze.

– Jesteśmy u celu – szepnął z zadowoleniem towarzysz Kopernika.

Rychło obaj zniknęli w wąskim tunelu, prowadzącym ukośnie w dół. Po kilku chwilach marszu w niewygodnej, pochylonej pozycji, dodarli do jakichś drzwi.

Za nimi znajdowała się obszerna, sklepiona łukowato komnata, wypełniona jasnym światłem z kilkunastu kandelabrow. Na jednej ze ścian wisiał krucyfiks. Z pozoru nie różnił się on od innych, spotykanych w tysiącach kościołów tego kraju i całej Europy. Uważne oko obserwatora mogło jednak dostrzec, iż dolna część pionowej belki i połowa belki ukośnej, tej pod prawym ramieniem ukrzyżowanego, podbite były od tyłu dodatkowymi, szerszymi belkami, przez co cały kształt, do którego przytwierdzona była rzeźba Jezusa, tracił swoją symetrię.

Przy stojącym na środku, okrągłym stole siedziało kilkunastu mężczyzn,

przeważnie w średnim wieku. Każdy z nich przywitał nowo przybyłych skinieniem głowy. Andrzej Kopernik i jego przewodnik zajęli dwa ostatnie wolne miejsca przy stole.

– Zatem jesteście już wszyscy – odezwał się mężczyzna wyglądający na najstarszego w tajemniczym kręgu, a słów jego nie powieliło najśłabsze nawet echo. – Witamy w naszym gronie Ericha von Plessau, komtura zakonu krzyżackiego z Tylży, oraz kanonika kapituły fromborskiej, Andreea Copernicusa.

Kilkanaście uważnych spojrzeń spoczęło na pokrytej ranami twarzy Andrzeja. Przenikliwe były, może nawet podejrzliwe nieco, ale wszystkie jednakowo spokojne mądrością. Przedstawiony kanonik zniósł tę chwilę ze spokojem, po raz drugi dziękując chorobie, która pomogła mu ukryć emocje.

Tymczasem prowadzący sekretne spotkanie starzec ciągnął dalej:

– To właśnie w naszym nowym bracie, Andrzeju, upatrujemy szansy na odmianę losu naszej konfraterni, która w ostatnich latach popadła w tarapaty. Nasi wrogowie znów wyszli z ukrycia. Obecny tu kanonik fromborski przybył właśnie z Rzymu, gdzie przez długie lata studiował i przebywał w bliskim otoczeniu papieża Leona Dziesiątego i jego poprzedników Juliusza Drugiego oraz Piusa Trzeciego. Za kilka dni brat Andrzej ponownie wyrusza w drogę. Liczymy, że tym razem ze specjalną misją.

Przez towarzystwo przetoczył się szept. Wszyscy z jeszcze większą uwagą skierowali swe spojrzenia na człowieka o oszpeconej twarzy.

Andrzej wstał, wyjął z zanadrza zwinięty w rulon kawałek pergaminu i zaczął czytać:

– Do Jego Świątobliwości Papieża Leona Dziesiątego – Głos Kopernika był donośny i wyraźny, a ton podniosły. – Umiłowany Ojciec Święty. Ja, Andreas Copernicus, kanonik fromborski, zwracam się do Waszej Świątobliwości w sprawie wagi najwyższej. Ośmielam się prosić o łaskę uwagi, gdyż przyjaciele moi, bracia najmilsi znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Od kilkuset lat służą Kościołowi powszechnemu na Warmii jako konfraternia, której założycielem był nieodżałowany Adalbert Sławnikowic, były biskup Pragi, misjonarz przybyły w roku dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym na tereny dzisiejszych Prus, by tu krzewić

wiarę w Jedyne Boga. Dzieło, które zapoczątkował, trwa do dziś dzięki najlepszym synom tej ziemi, bez względu na to, jaka jest ich narodowość i majętność. Przy jednym stole zasiadają przeto polski szlachcic i krzyżacki komtur.

Na te słowa Erich von Plessau pokiwał głową.

– Są jednak tacy – ciągnął Kopernik – którym nie w smak działalność konfraterni spod znaku złamanej włóczni. To oni przed wielu laty skrytobójczo zamordowali brata naszego, wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, Wenera von Orselna. Także i ostatnie zabójstwa członków naszej społeczności, która przecież nigdy nie wystąpiła przeciwko Kościołowi powszechnemu, nakazują mi prosić Waszą Świątobliwość o interwencję...

Podczas nieobecności Andrzeja Kopernika we Fromborku jego kuria dalece podupadła. Kiedy wszedł do środka, z miejsca uderzyła go woń stęchlizny. Na podłodze wały się rozrzucone przedmioty, śmieci, przede wszystkim zaś tysięczne ślady zostawione przez myszy. Nie miał jednak nikogo, kto mógłby posprzątać mieszkanie, ani siły, by samemu wziąć się za to – ani wtedy, chwilę po przyjeździe, ani tym bardziej teraz, w środku nocy.

Nie próbując krzesać ognia, by rozświetlił wnętrze izby, Andrzej po omacku dotarł do wąskiego, twardego łoża i legł na nim jak długi.

Nie usnął jednak od razu. Z początku wsłuchiwał się w szum wiatru od zalewu, który podzwaniał szybami w oknach, z których niektóre były popękane.

Kanonik był nieładnie zmęczony, jednak to, co widział i słyszał tego wieczora, spędzało mu sen z powiek. Czy zdoła uprosić Ojca Świętego o zainteresowanie losami konfraterni, której istnieniu znów zaczęli zagrażać odwieczni wrogowie? Czy starczy mu sił, by dokończyć dzieło?

Nie znał odpowiedzi na te pytania. Niczego już nie był pewny. I nikogo. Jedyńm, któremu niezmiennie ufał, był jego brat, Mikołaj.

– Trzeba spróbować usnąć – rzekł cicho sam do siebie.

Jutro czekał go przecież ciężki dzień. Zebranie kapituły, które z pewnością nie będzie dla niego przyjemnym spotkaniem.

Frauenburg, 21 września 1513 roku

Kantor kapitulny, Herbert Kunze, spał tej nocy krótko i źle. Dlatego nie wstał na poranną mszę, choć obiecywał sobie, że akurat dziś to uczyni: przywdzieje piękną, liturgiczną szatę, która kosztowała go ongiś marek dziesięć, a którą wczoraj kazał odkurzyć służącemu, wzuje buty i z dumnie podniesioną, ogoloną twarzą będzie służył do mszy, jak na przykładnego kanonika fromborskiego przystało. Ale wstał z łoża zboląły i połamany, jakby po nieludzkich torturach.

Całą noc śniło mu się, że ucieka przed ścigającym go upiorem. Odrażający nieludzko stwór broczył krwią i ropą sączącą się w wrzodów, które pokrywały niemal całe jego ciało, spadały mu po kolei wszystkie członki, nawet gałki oczne zwisały z oczodołów na cienkich, czerwonych żyłkach. Jakimś cudem wciąż jednak widział swoją ofiarę, jakimś cudem też trzymał się na nogach i ani na chwilę nie zaprzestawał pościgu.

W tym śnie, jak to zwykle bywa w koszmarach, Herbert miał nogi ciężkie, jakby odlane z ołowiu, i choć chciał biec, nie mógł. Gdy nagle wyrastała przed nim ściana albo głęboka przepaść, a zjawa dopadała go, ściskając lepkimi od krwi i ropy dłońmi za gardło – wtedy budził się: zlany potem, z głośno bijącym sercem.

Najgorsze jednak było to, że upiór ów miał znajomą twarz.

– Wołaj arcydiakona. Ale to w podskokach! – krzyknął do służącego, ciężko dźwigając się z za stołu, przy którym spożył późne śniadanie. – Przecież musi być na to jakiś sposób...

Ledwo jednak wstał z krzesła, musiał usiąść z powrotem. Zakręciło mu się w głowie. Najpewniej z niewyspania, a może też i ze zdenerwowania tym wszystkim, co miało dziś nastąpić.

Po niespełna dwóch godzinach kroczył wraz z pozostałymi kanonikami w stronę głównego refektarza pałacu biskupiego. Czuł się już o wiele pewniej. Po koszmarach nie było śladu, a i zadanie, które czekało Kunzego, nie wydawało się już tak ciężkie i przykre, jak jeszcze rano.

Z pierwszym uderzeniem katedralnych dzwonów na Anioł Pański z dachu świątyni zerwało się stado gołębi. Dzień był ciepły i słoneczny.

Kanonicy zajęli miejsca za szerokim stołem. Nie byli w komplecie, gdyż kilku z nich przebywało wówczas w Rzymie, inny kanonik nie dalej jak przed tygodniem wyruszył był z misją do Olsztyna, celem inwentaryzacji tamtejszych dóbr kapitulnych.

Jako ostatni swoje miejsce zajął doktor Mikołaj. Jego zjawienie się, jako wiadomej strony w sporze, kantor Kunze przyjął zresztą z najmniejszym entuzjazmem.

– *In nomine Patris et filii et Spiritus Sancti* – wypowiedział podniosłym głosem arcydiakon Jan Sculteti, kreśląc jednocześnie powolny znak krzyża, co reszta uczyniła razem z nim. – Witam dostojnych braci na zebraniu kapituły.

Wtem skrzypnęły drzwi refektarza. Wszyscy jednocześnie zwrócili spojrzenia w stronę wejścia, wszyscy też jak na komendę odwrócili wzrok z trwogą, a może obrzydzeniem. Wszyscy prócz dwóch z nich: Mikołaja Kopernika i Herberta Kunzego. Pierwszy ujrzał bowiem w przybyszu brata swego Andrzeja. Drugi – upiora z koszmarnego snu.

– Pokój wam, bracia kanonicy – przywitał się Andrzej, postępując śmiało do przodu.

Odpowiedział mu szmer, który potoczył się po zgromadzonych.

– Witaj, bracie Andrzeju – rzekł przez ściśnięte gardło Jan. – Zechciej zająć swoje miejsce.

– Dziękuję, ale jeśli pozwolicie, zostanę tu, gdzie jestem. Wiem, że kapituła ma do mnie ważną sprawę, więc może przystąpmy od razu do rzeczy. Niestety, nie czuję się dziś najlepiej.

Mimo że stał przez cały czas dumnie, żeby nie powiedzieć hardo wyprostowany, jak równy wśród równych, patrzący z boku obserwator nie mógłby nie przyrównać widoku tego do sali sądowej: ławnicy, oskarżyciele,

obrońcy, świadkowie, no i oskarżony – osoba najważniejsza. Gdyby ów obserwator mógł jeszcze słyszeć, nie miałby wątpliwości, że spotkanie, które się tu odbywało, nie było niczym innym, jak taką właśnie rozprawą.

Niespełna dwa pacierze później w refektarzu rozpętała się bowiem prawdziwa burza.

– Chcecie mi zmniejszyć dochody? Na jakiej podstawie? – zapytał Andrzej Kopernik wciąż jeszcze spokojnym głosem.

– Ponieważ nie przebywasz we Fromborku, jako i nasi płacący dziesięcinę poddani, a w dalekim Rzymie – odparł kantor kapitulny Herbert Kunze.

– Bo samiście mnie tam wysłali w grudniu ubiegłego roku! Spotkałem tam też kilku kanoników fromborskich, którzy kazali was serdecznie uściskać.

Kolejny szmer przetoczył się po refektarzu.

– Nie bójcie się, nie zrobię tego – rzekł Kopernik niegłośnie. – Nadmienię jeno, że wszyscy są w dobrym zdrowiu. W przeciwieństwie do mnie.

Kunze skrzywił się, jakby rozgryzł ziarenko gorczycy. Sprawa wydawała się nie tak prosta, jak myślał; zjawa coraz śmielej wyciągała ku niemu swoje pokryte ropiejącymi wrzodami ręce. Jej ciało umierało, ale umysł wciąż działał.

Kantor postanowił sięgnąć po oręż cięższy.

– Decyzję naszą opieramy na fakcie, iż masz, bracie Andrzeju, poważny bardzo dług wobec naszej kapituły.

– Dług? O jakim długu mówisz, bracie Herbercie?

Kunze, nim odpowiedział na pytanie, najpierw z triumfem potoczył wzrokiem po pozostałych kanonikach.

– Tysiąc dwieście węgierskich dukatów. Tę właśnie sumę, jak wiemy, wuj twój, świętej pamięci biskup Warmii Lukas Watzenrode, przekazał ci na budowę nowego kościoła.

Po raz trzeci Andrzej podziękował chorobie za to, że pomagała ukryć emocje, które najlepiej zdradzała twarz.

– Nie wiem nic o żadnym długu, czcigodna kapituło – rzekł po chwili. – Owszem, mój nieodżałowany wuj miał mi przekazać podobną kwotę,

przeznaczoną na budowę kościoła. Jednak z niewiadomych mi przyczyn do tego nie doszło.

– Do czego? – zainteresował się Jan Sculteti. – Do przekazania pieniędzy czy budowy?

Któryś z kanoników zaśmiał się, ale szybko, zawstydzony, zamienił śmiech w kaszel.

– Widzę, bracia, że i ze zdrowiem niektórych z was nie jest najlepiej – powiedział Andrzej.

Słowa te spowodowały, że Mikołaj po raz pierwszy podniósł głowę; w jego oczach widać było smutek wielki, żal i to, co bolało chyba najbardziej: bezsilność. On, kanclerz kapitulny nie był w stanie pomóc jednemu, rodzonemu bratu...

– Bracia! – huknął naraz Herbert Kunze. – To, co tu się odbywa, to jakaś błazenada. Żaden z nas nie jest Stasiem Gąską, co zabawia krotochwilnymi pieśniami króla polskiego Zygmunta, któremuśmy przysięgę wierności składali. Jesteśmy kanonikami!

Groźne pohukiwania przetoczyły się po refektarzu.

– O czym my właściwie rozprawiamy? – zachnął się mówca. – Przy całym naszym zrozumieniu ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazł się nasz brat Andrzej, nie ulega wątpliwości, iż nie jest on w stanie dłużej pełnić należycie posługi. I to nie tylko moje zdanie, ale i wola biskupa Fabiana. Kapituła zdejmie sekwestr z dochodów kanonika Andrzeja Kopernika, w chwili gdy decyzję w tej sprawie podejmie Ojciec Święty.

I wtedy nastąpiło najgorsze.

– Jednocześnie składam wniosek – grzmiał Kunze – o przegłosowanie sprawy wydalenia kanonika z naszego grona. Głosujmy, bracia. Kto jest za tym, by kanonik Andrzej Kopernik opuścił Zakon Warmii?...

– Niewiele tego zostało – westchnął Andrzej, upychając w podróжных sakwach ostatnie drobiazgi, które zebrał w swojej kurii. – Tyle lat życia. Niby człek obrasta w zbytki, a jak przychodzi co do czego, wszystko

zmieścisz w jednym kufrze. Albo ciebie zmieszczą...

– Szkoda, że cię nie było, kiedy Kunze wprowadzał się na wzgórze – zachichotał Mikołaj. – Wozy zjeżdżały z Gdańska przez trzy niedziele!

Andrzej puścił dykteryjkę mimo uszu. Był zamyślony i skupiony. Wyglądał jak chłopiec pochylony nad znalezionymi skarbami wczesnego dzieciństwa: kolorowymi kamykami, okazami wodnych skorupiaków czy nawet wyłowionymi z Wisły, pokrytymi szlamem śmieciami, które rzeka przyniosła z położonych wyżej miast lub które wrzucono do niej w Toruniu.

Słońce opadało już powoli ku zachodowi, kiedy bracia siedzieli na podwórku Andrzejawej kanonii, którą za czas jakiś, może już za tydzień, zająć miał jego następca. Najczęściej mówiło się o Janie Dantyszku, poecie i dyplomacie, który pracował jako sekretarz króla Zygmunta, a wcześniej jako poseł w Hiszpanii, ale i tak decyzja w sprawie obsadzenia wakatu należała do papieża.

– Wybacz – rzekł cicho Mikołaj, patrząc ponad ramieniem brata w stronę rysującej się na horyzoncie mierzei, a w oczach znów zaszklily mu się łzy. – Nie mogłem nic zrobić.

– Nie mam do ciebie żalu. Nie było sensu się upierać.

– Najbardziej zdziwiło mnie zaciętrzewienie Kunzego.

– To był zwykły ludzki strach przed chorobą. Tylko strach.

– Chorobę można próbować leczyć...

– Ale duszę uleczyć jest ciężiej.

Starszy brat pokiwał ze smutkiem głową.

– Co teraz zrobisz? – zapytał po chwili Mikołaj.

– Wyjadę. Może poszukam jakiegoś leprozorium, gdzie będą mogli mi pomóc.

– Może w Niemczech?

– Może. Pierwej muszę jednak dotrzeć do Rzymu.

– Udało ci dokończyć tę ważną sprawę, o której mi wczoraj mówiłeś?

Andrzej nie zdążył odpowiedzieć, gdyż na podwórko kanonii wpadł mały umorusany chłopak. Kopernikowie znali go z widzenia – był to syn kominiarza, noszącego, jak na ironię, nazwisko Weiss.

Chłopak sapał, usiłując wydobyć z siebie głos; drogę na wzgórze

z miasteczka, a może i skądinąd, musiał pokonać biegiem.

– Co się dzieje? – zapytał Andrzej.

– Kościół, panie... – wycharczał z trudem dzieciak.

– Jaki kościół? – nacisnął z drugiej strony Mikołaj, zrywając się z miejsca. – Coś się stało w farze?

– Nie, panie. Chodzi o kościół... nad wodą...

Na te słowa Andrzej dopadł konia i z zadziwiającą zwinnością wskoczył na siodło.

– Dokąd?! – krzyknął astronom do brata.

– Zostań! – rozkazał Andrzej, jak kiedyś, w dzieciństwie czy w młodości, przed bójką, po czym spojrzął na swoje podrózne sakwy. – Gdybym nie wrócił, zatrzymaj moje rzeczy. Księgę, którą znajdziesz, ukryj głęboko. Nikt nie może poznać jej treści. Pamiętaj: nikt...

Były kanonik ściągnął cugle, spiął konia i ruszył w dół.

Doktor Mikołaj zupełnie dezorientowany stał na środku podwórca w tumanach kurzu, które wzbiły końskie kopyta; mały kominiarczyk też gdzieś zniknął.

Kościół wyglądał, jakby płonął. Było to jednak tylko złudzenie: zachodzące słońce umiejscowiło się między dachem a wieżyczką, wypełniając pięknie ognistym światłem także strzeliste okna świątyni. To jednak nie uspokoiło Kopernika. Przeciwnie: im bliżej był celu, tym bardziej wypełniały go złe przeczucia.

Zatrzymał konia przed głównym wejściem. Podniecone szaleńczą jazdą zwierzę nie potrafiło się uspokoić, kręcąc się w kółko i bijąc z ziemię kopytami, co utrudniało jeźdźcowi obserwację. Zobaczył tylko, że drzwi świątyni są otwarte. Niczego więcej, co mogłoby niepokoić, i nikogo nie dostrzegł.

Po dłuższej chwili zdecydował się zsiąść z konia. W momencie, gdy dotknął stopą ziemi, jego dłoń zacisnęła się na klindze miecza, którego pochwy przezornie nie odpiął od siodła.

Silniejszy podmuch od zalewu poruszył drzwiami kościoła. Zaskrzypiały niepokojąco.

Przez ciało Andrzeja przeszedł dreszcz. Podniósł wyżej ostrze miecza i szybkim krokiem ruszył w stronę otwartej świątyni. Wtedy zauważył wystające zza ściany nogi leżącego na ziemi człowieka. Obutymi w sandały stopami wstrząsały miarowe podrygi, jakby ciało, którego były częścią, dogorywało właśnie na sznurze.

– Ratunku... – dobiegło naraz zza muru.

Na te słowa Kopernik przyspieszył kroku, zaciskając palce na rękojeści miecza na tyle, na ile pozwalał mu na to stan zniekształconych przez chorobę członków.

Na podłodze w kałuży krwi leżał poznany wczorajszego wieczora mężczyzna w habicie o gładko ogolonej, wychudłej i bladej twarzy, którą teraz wykrzywił grymas bólu.

– Co się tu stało?! – wykrztusił z siebie Andrzej, pochyliwszy się nisko nad leżącym.

Zamiast odpowiedzi usłyszał już jednak tylko żałosny bulgot. Tego, czego nie mogły już powiedzieć usta, pokazywały oczy rannego, które człowiek ów utkwiał w jednym punkcie. Gdy Andrzej spojrzał w tym samym kierunku, stwierdził, że kłapa w podłodze, która wczoraj odsłoniła tajemne przejście, jest uniesiona.

W kilku susach dopadł tunelu i zagłębił się w mroku, by po paru chwilach stanąć przed uchylonymi drzwiami komnaty, w której poprzedniego wieczora odbyło się tajemne spotkanie. Wciąż było czuć zapach dymu ze świec, jednak inna woń z każdym krokiem wciskała się w nozdrza Andrzeja Kopernika. Znał ten mdlący zapach, zdążył poznać go aż za dobrze. W wąskiej szparze między skrzydłem drzwi a ścianą pełgało słabe światło.

Mieczem pchnął drzwi. Postąpił do przodu i omal nie krzyknął. W komnacie, wczoraj zapełnionej zastępem znamienitych mężów, przebywali ci sami ludzie.

Byli, a przecież ich nie było...

Wszyscy leżeli we krwi. Na podłodze, na krzesłach, ale i na stole, z głowami ułożonymi na splecionych ramionach, jakby ten czy ów uciął

sobie tylko krótką drzemkę.

Ale sen to był wieczny. Z ran na piersiach, poderżniętych gardeł i rozplątanych głów sączyła się krew. Starzec przewodzący wczorajszemu tajemnemu spotkaniu członków konfraterni patrzył na niego nieruchomym spojrzeniem szklanych oczu. W jego sercu tkwił sztylet wbity aż po rękojęść. Tylko knoty świec w ciężkich lichtarzach, które nie zdążyły stać się orężem, zdolnym jeżeli nie obronić napadniętych, to przynajmniej pozwolić im umrzeć z honorem, paliły się pionowym płomieniem.

Andrzej oparł się o ścianę. Jego oddech wypełniał komnatę niczym podmuchy huraganu. Kto to zrobił? Dlaczego?! – pytał sam siebie w myślach. Podniósł wzrok wyżej, ale wnet zdał sobie sprawę, że pytać o to nie należy siebie, małego człowieka.

Dopiero teraz zauważył, że na ścianie brakuje potężnego krucyfiksu, na który zwrócił uwagę wczorajszego wieczora. Ktoś go zdjął, oderwał siłą, zabrał, zostawiając tylko dwie szerokie listwy tworzące odwróconą literę L...

Mikołaj Kopernik wysłuchał relacji brata w zupełnym milczeniu. Potem, wciąż nic nie mówiąc, sięgnął do kilku stojących w rzędzie na półkach, pękatych słoików, z których wziął po szczypcie jakichś ziół. Kiedy Hieronim przyniósł wrzątek, doktor zalał parującą wodą miksturę i po kilku chwilach podał napój bratu.

– Wypij.

– Co to jest?

– Nieważne, pij. Na pewno ci nie zaszkodzi.

Kiedy Andrzej zaczął sączyć gorzki napój, Mikołaj zasiadł w wysokim fotelu i pogрузzył się w rozmyślaniach. Siedzieli w wieży pełniącej rolę azylu, którego używało się w czas zagrożenia. I takie zagrożenie, choć nikt nie znał jego imienia, a strażę na murach fromborskiej warowni drzemały w najlepsze, zajrzało właśnie w oczy toruńczykom.

– Coś ty tam w ogóle robił? – zapytał Mikołaj.

Starszy Kopernik nie odezwał się słowem, udając, że całą jego uwagę

zajmuje w tej chwili należyte aplikowanie podanego mu przez brata antidotum.

– Kim są ci ludzie? Po co tam poszedłeś? Wspominałeś o krzyżackim komturze, a przecież wciąż jesteśmy w stanie wojny z zakonem!

– Jestem związany tajemnicą – odrzekł Andrzej.

– I tak wszystko wiem!

Na to starszy brat groźnie zmarszczył brwi.

– Znów grzebałeś w moich rzeczach?

– Sam mi je zostawiłeś.

– Ale wróciłem.

– I kłopoty z tobą.

– Wybacz, już sobie idę. – Andrzej uniósł się z miejsca, na co Mikołaj tylko machnął ręką.

Przez dłuższą chwilę słychać było trzaskanie ognia w kominku i pohukiwanie zamieszkujących zakamarki murów sów, które właśnie wyruszały na żer.

– Muszę o wszystkim powiadomić kapitułę – powiedział Mikołaj. – Mordu dokonano na naszym terenie, więc pewnie któryś z kanoników będzie się musiał tym zająć. Mam nadzieję, że nikt cię tam nie widział. Mówiłeś, że jeden z tych ludzi żył jeszcze...

– Wyzionął ducha chwilę przed tym, jak opuściłem kościół. Niczego nie zdołałem się od niego dowiedzieć.

Wtem uszu braci doszedł głośny łomot. Spojrzeli po sobie. Błyskawicznie zerwali się z foteli, Andrzej chwycił za swój miecz, Mikołaj wydobył z kąta okazałych rozmiarów topór. Jak najciszej się dało, zeszli po schodach ku wejściu do wieży.

To, co ujrzeli, zdumiało ich bardzo. Przy drzwiach stał, plecami do wnętrza budowli, służący Mikołaja, Hieronim. Twarz trzymał przy niewielkim otworze w drzwiach, przez który zwykle sprawdzało się, kogo lichy niesie.

– Jezus Maria – jęknął Mikołaj.

Dopiero teraz i Andrzej dostrzegł makabryczny szczegół: z tyłu głowy służącego wyrastało zakrwawione, cienkie ostrze. To dzięki niemu martwe

ciało mężczyzny trzymało się drzwi.

Bracia odrzucili broń i wyciągnęli ręce, aby zdjąć nieszczęśnika, kiedy drzwi otworzyło kopnięcie od zewnątrz. Ogromna siła wbiła ciało Hieronima w prostopadłą ścianę, a Koperników odrzuciła na schody wieży.

W otwartych drzwiach stanął potężnych rozmiarów mężczyzna. Miał na sobie świecki, podróżny strój, w rękach zaś dzierżył obosieczny miecz krzyżacki gotowy do zadania ciosu.

– Na górę – rzekł napastnik z obcym akcentem, którego bracia nie potrafili umiejscowić albo nie mieli do tego głowy, bo w każdej chwili każdy z nich mógł być swojej pozbawiony.

Szukając oparcia wyciągniętymi ku tułowi rękami, Andrzej i Mikołaj wstali z ziemi i skierowali kroki w wyznaczonym przez zabójcę kierunku.

– Pod ścianę – rozkazał, kiedy już znaleźli się w izbie.

– Czego od nas chcesz? – wydobył z siebie Mikołaj. – Jesteśmy kanonikami fromborskimi!

Nie zrobiło to jednak na olbrzymie najmniejszego wrażenia. Spokojnie opuścił miecz, celując nim tym razem w wąską przestrzeń pomiędzy braćmi.

– Księga – rzucił w tę przestrzeń niczyją, głos jego był jednak słyszalny aż za dobrze.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekł hardo Mikołaj.

– Za to twój brat wie dobrze – odparł ze spokojem olbrzym, celując ostrze tym razem prosto w krtani Andrzeja.

– Nie mam jej – wykrztusił były kanonik.

– Czekam.

Kropelki potu rozświetliły czoło Mikołaja. Astronom przymknął oczy, po czym westchnął.

– Dobrze. Dostaniesz ją.

– Nie! – krzyknął starszy brat; w tej samej chwili ostrze znów zbliżyło się do jego gardła.

Mikołaj, unosząc wysoko obie ręce na znak, że nie ma złych zamiarów, zbliżył się do dębowego sekretarzyka, skąd wydobył niewielki tom, oprawny w skórę i owinięty sznurkiem. Podał go napastnikowi.

– Czy teraz odstępisz? – zapytał.

– Odwróćcie się – syknął człowiek z mieczem.

Bracia posłusznie wykonali polecenie. Przez okna wieży było widać nikłe światła miasta. Wyżej, nad ciemnymi wodami Frisches Haff, pełgały ledwo widoczne, przypominające odległe gwiazdy ogniki na mierzei.

O czym myśleli dwaj chłopcy z Torunia, których los postawił znów obok siebie, może w godzinie ostatniej, za co nie wiadomo, czy dziękować, czy wręcz przeciwnie? Co widział przed oczami duszy każdy z nich, czyje imię przywoływał nadaremno?

Ile czasu minęło, nim Andrzej i Mikołaj uświadomili sobie, że są w izbie sami? Za ich plecami nie słychać było ciężkiego oddechu intruza, ale żaden z nich nie posłyszał też skrzypienia schodów, po których musiał zejść olbrzym z mieczem.

Pierwszy odważył się odwrócić Mikołaj. Po nim to samo uczynił Andrzej Kopernik.

Byli sami. Byli żywi!

Ale nie mieli księgi.

– Wszystko na nic! – jęknął starszy z braci. – Cała historia konfraterni w niwecz obrócona.

Mikołaj Kopernik uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie wiem, co było w księdze, ale może pozwolisz mi kiedyś do niej zajrzeć – powiedział.

– O czym ty mówisz? – Andrzej zamrugnął powiekami.

– O tym, że twoja księga jest wciąż tam, gdzie była.

Były kanonik zaniemówił. Upłynęła spora chwila, może na niebie zgasło w tym czasie kilka starych gwiazd i narodziło się kilka nowych, nim zdołał znów się odezwać.

– Co mu dałeś?

– Czy to ważne?

– Tak.

– Ocaliliśmy twoje dzieło...

– Mów!

– *De revolutionibus...*

Gdańsk, 22 września 1513 roku

Dochodziło południe, gdy przed klasztorem cystersów w Oliwie zatrzymał się samotny jeździec. Kilka przepłoszonych kur czmychnęło spod wzbijających kurz kopyt z głośnym gdakaniem. Wylegujące się na daszku przedsionka stajni dwa koty leniwie podniosły głowy.

Ledwo mężczyzna w długim podróżnym płaszczu dotknął stopą ziemi, z bramy wybiegło dwóch braci, z których jeden zajął się koniem, drugi zaś przyjął na siebie rolę cicerone.

– Szczęść Boże – rzekł do przybysza.

Fałdy obszernego płaszczu kryły potężny tułów tego człowieka. Kroczył z godnością, co przy drobiazłym kroki i niewysokim braciszku wyglądało niezwykle zabawnie. Obaj jednak mieli oblicza bardzo poważne, wręcz dostojne; widać było, że posłaniec ów przybył do Oliwy z jakąś niezwykle ważną misją.

– Jego Dostojność już czeka, panie – zdążył jeszcze powiedzieć braciszek, nim obaj zniknęli w bramie klasztornej.

Po kilku chwilach dotarli do głównego refektarza, minęli go jednak, wybierając następne z brzegu drzwi, za którymi znajdował się krótki, wąski korytarzyk. Mężczyzna w podróżnym płaszczu z trudem przecisnął się przez zwężenie.

Po chwili wszedł, już sam, do niewielkiej celi. Pod oknem, przez które wpadały ostatnie promienie letniego jeszcze słońca, stała szczupła, wysoka postać.

– Witajcie, Wasza Dostojność – rzekł cicho przybysz.

– Co przynosisz? – zapytał od razu mężczyzna, nie odwracając się.

– Mam to, o co prosiliście.

Chwila ciszy. Zza okna dobiegł krzyk mew.

– Co z członkami konfraterni? – zapytał dostojnik.

– Wszyscy, zgodnie z wolą Waszej Dostojności, nie oglądają już świata – odpowiedział po krótkim wahaniu olbrzym.

– To dobrze.

Dopiero po tej wymianie zdań mężczyzna nazwany „Waszą Dostojnością” odwrócił się powoli. Jego łyśca czaszka lśniła w słońcu, niestara, ogolona starannie twarz pokryta była dziobami po ospie lub innej szpecącej chorobie, oczy były głęboko osadzone, a spojrzenie władcze. Całości dopełniał gruby łańcuch, który dostojnik ów nosił na szyi. Na końcu łańcucha znajdował się orzeł w koronie. Był to orzeł piastowski, którego oplatała stylizowana litera S.

Mężczyzna bez słowa wyciągnął przed siebie rękę. Posłaniec wydobył z zanadru oprawną księgę i wręczył ją pryncypałowi z lekkim ukłonem.

– Dziękuję, możesz odejść.

Olbrzym pokłonił się nisko, po czym zniknął w wąskim korytarzyku.

Dwa pacierze później w tej samej celi znajdowało się znów dwóch ludzi. Prócz wysokiego mężczyzny był tam również człowiek mogący uchodzić za jego istne przeciwieństwo: gruby, niski, o zaczerwienionej cerze i śmiejących się oczach.

Człowiekiem tym był przeor klasztoru cystersów. Obaj pochylali się nad księgą leżącą na oświetlanym przez promienie słoneczne blacie klęcznika.

– Nedorzeczności! – prychnął dostojnik, czyniąc przy tym ruch tak gwałtowny, że aż orzeł zadzwonił niepokojąco o złoty łańcuch. – Ten pies ma czelność twierdzić, że Ziemia jest okrągła, a Słońce jest nieruchome. Słyszałeś kiedykolwiek podobne brednie?

– Nigdy.

– Czy mam przez to rozumieć, że jeśli jadę konno albo płynę statkiem, to tak naprawdę nie jadę ani nie płynę, a miast konia czy łodzi porusza się wszystko inne? Pola, zamki, drzewa?!

Przeor oliwskiego klasztoru westchnął boleśnie.

– W Europie za takowe sądy stara dobra Święta Inkwizycja karała stosem – rzekł cicho i jakby z lubością.

– Szkoda, że nie u nas – zachnął się dostojnik. – Przydałoby się trochę

porządku w tym kraju. Na szczęście jesteście jeszcze my...

Przez parę następnych chwil dwaj mężczyźni w skupieniu przewracali kolejne strony tajemniczego manuskryptu.

– Nic z tego nie pojmuję – rzekł jakby do siebie przeor. – Wszędzie jakieś wykresy, rysunki, liczby. Czy tym się zajmuje ta Konfraternia Złamanej Włóczni? – zapytał swego towarzysza, na co ten szybkim gestem zatrzaskał drewniane okładki.

– Zajmowała się, czcigodny ojczy Zygfrydzie – sprostował, chciwie ściskając księgę pod pachą. – I takie właśnie, a nie inne słowa usłyszeliśmy miłośniczynie nam panujący król Zygmunt.

Tymczasem w oddalonym o pół dnia konnej jazdy Fromborku dwaj mężczyźni siedzieli w ogrodzie jednej z kanonii. Mimo że jednego z nich trawiła bezlitosna choroba, trudno było nie dostrzec fizycznego podobieństwa między nimi, tak w rysach twarzy, jak i gestach czy głosie.

– Stąd lepiej widać niebo? – zapytał Andrzej Kopernik, patrząc to nad siebie, to pod nogi.

– Tu będzie moje pavimentum – odparł z dumą Mikołaj. – Pewnie zastanawiasz się, czemu wybrałem właśnie tę, a nie inną kurię spośród tylu otaczających wzgórze. W dodatku nie najtańszą. Ale to jest jedyne miejsce, które pozwala mi na niezakłóconą obserwację południowego horyzontu na tym końcu świata, jakim jest ten przeklęty Frombork. Planuję postawić tu ganek.

– To po to ci to wapno – zauważył brat, skinąwszy głową ku beczce stojącej pod ścianą budynku. – Ale na cegły stracisz fortunę.

– Z moich obliczeń wynika, że powinno wystarczyć około tysiąca sztuk. Może mniej. Już zamówiłem pierwszą partię w naszej cegielni.

Andrzej tylko pokręcił głową. Kto by go nie znał, odczytałby w tym geście li tylko wyraz głębokiej dezaprobaty dla wyczynów i planów młodszego brata. Było jednak dokładnie odwrotnie: Andrzej Kopernik był dumny ze swojego brata i głęboko wierzył, że jego badania, jeśli nie

przyniosą pożytku ludziom, to przynajmniej uspokoją serce i umysł astronoma.

– A co to jest? – zapytał po chwili, wskazując na przedmiot będący połączeniem dziwnych, pozornie niemających ze sobą nic wspólnego elementów wykonanych z drewna; miecz pasuje bowiem do pochwy, siodło dostosowane jest do kształtu grzbietu konia, tu zaś nic nie pasowało do siebie. – Do czego ci to potrzebne? – spytał raz jeszcze starszy brat.

– Do znakowania planet i gwiazd, mierzenia kątów – odparł ze spokojem kanonik. – Nazywa się to przyrządem paralaktycznym.

Andrzej dotknął delikatnie instrumentu, chwilę spoglądał przez kolejne przezierniki znajdujące się na jednej z jego części.

– Niesamowite – ocenił, jednocześnie szukając wzrokiem innego przyrządu; wybór padł na dwa połączone ze sobą koła, z których jedno można było obracać. – A to?

– Astrolabium. Używane w nawigacji oraz do wyznaczania położenia ciał niebieskich nad horyzontem – wyrecytował Mikołaj, jak na egzaminie w bolońskiej *alma mater*.

– Jesteś niesamowity – westchnął starszy Kopernik. – Gdybyś tylko z takim samym zapalem zechciał przyjąć wyższe święcenia...

Uśmiech momentalnie zniknął z ust Mikołaja.

– Słyszałeś.

– Owszem.

– Nie spieszno mi do księżej sukienki – odparł hardo astronom, wstając z miejsca. – Są ważniejsze rzeczy na tym świecie. Sam zresztą o tym wiesz. Inaczej nie byłbyś członkiem konfraterni.

– Pytanie, czy nie ostatnim. Jedyne nadzieje w tej księdze i mądrości papieża. Żałuję tylko jednego: że przeze mnie straciłeś dorobek wielu lat pracy, swoją księgę.

Kanonik fromborski, Mikołaj Kopernik, uśmiechnął się i spojrzał na brata.

– Nie straciłem ani jednego słowa czy cyfry – rzekł cicho, po czym powoli uniósł wskazujący palec, niczym srogi kapłan podczas kazania, i dotknął nim swego czoła. – Wszystko mam tu. A to, bracie mój, obok serca,

najlepszy schowek...

Frauenburg, 22 grudnia 1513 roku

Zima tego roku przyszła do Polski o wiele wcześniej, niż się spodziewano. Była też dalece sroższa niż poprzednie. Mało kto z mieszkańców tak Fromborka, jak i górującego nad nim Katedralnego Wzgórza pamiętał o wydarzeniach, które rozegrały się w kilka wrześniowych dni i nocy: nawiedzeniu okolicy przez trędowatego kanonika czy zagadkowym zbiorowym morderstwie popełnionym w kościółku nad zalewem.

Ludzie mieli o wiele poważniejsze problemy: Frisches Haff skuła tak gruba warstwa lodu, że do Krynicy czy Królewca można było udać się w podróż zaprzężonymi w czwórkę koni saniami. Przemyśliwano co prawda, czyby w połowie drogi na mierzeję nie postawić karczmy, jednak nie znalazł się nikt na tyle odważny czy przedsiębiorczy, by tego dokonać. W dodatku śnieg zasypał wszystkie drogi, więc spożycie nie tylko ryb, ale i innych wiktuałów, w które nie można się było zaopatrzyć na miejscu, trzeba było dalece ograniczyć.

Kanonicy fromborscy chcieli wyprawić się na łowy w pobliskie lasy, lecz mróz ścisnął tak potężny, że żadnemu nie chciało się nosa wystawić poza ogrzewane mury kurii. W tym czasie też wiele razy proszono doktora Mikołaja o pomoc lekarską, nawet z samego Lidzbarka, siedziby nowego biskupa Warmii, Fabiana Luzjańskiego, który objął tę godność po zmarłym wuju Kopernika, Lukasiu Watzenrode.

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem na Wzgórze Katedralne dotarła dawno wyczekiwana poczta, a wśród niej przesyłka nadana aż w dalekiej Italii, której adresatem był kanonik-astronom.

Mikołaj nie rozpoznał charakteru pisma brata na zewnętrznej stronie listu. Pełen najgorszych przeczuć, długo trzymał złożony papier w trzęsących się dłoniach, nim zdecydował się go rozłożyć.

Ukochany bracie Mikołaju – pisał Andrzej. – Wiele tygodni musiało upłynąć, nim uznałem, że jest we mnie wystarczająco dużo sił, by napisać tych kilka zdań. Czuję się nieco lepiej, choć medycy, a o pomoc zwróciłem się znów do włoskich doktorów, wciąż tylko głowami kręcą i szepcą coś między sobą. Pewnie tak naprawdę nie wiedzą, co ze mną począć. Ale choć wygląd mój wciąż jest odrażający, czuję się, jak już mówiłem, całkiem nieźle. To chyba sprawa ducha, a on jest mocny jak nigdy dotąd. Nie wątpię, że stało się tak za sprawą tych zaledwie kilku dni wrześniowych, może ostatnich w życiu, które dane nam było spędzić razem na Katedralnym Wzgórzu.

Jak pamiętasz, w drogę ruszyłem tuż po jesiennym przesileniu, a zamiarem moim było udać się do Rzymu i uzyskać posłuchanie u papieża, by przedłożyć mu jednocześnie ową rzecz, która stała się przyczyną wielu pamiętnych wypadków – między innymi zejścia z tego świata nieodżałowanego sługi twego, Hieronima.

Od początku jednak czułem, że nie jestem w tej podróży samotny. Krok w krok podążał za mną ktoś – i choć twarz jego zmieniała się co raz, imię wciąż nosił to samo. Był jak cień – cichy i nieodłączny. I zapewne nic nie robił sobie z tego, że wiedziałem, kim jest i co zamysła. Z tej to przyczyny, ujechawszy zaledwie do Pogrodzia, zdecydowałem się powrócić do Fromborka. Przez kilkanaście pacierzy krążyłem po uliczkach miasta, wstępując po kolei do karczmy, fary i portu, jednak nie zdołałem tym zniechęcić mojego cienia, by się ode mnie odłączył.

Około południa ruszyłem w dalszą drogę, tym razem starając się trzymać linii brzegu, przez Tolkmicko i Elbląg, gdzie stanąłem na noc, aż do Gdańska. Śledzący mnie ludzie, choć wiedzieli, dokąd zmierzam, i zapewne dziwili się tej marszrucie, i wtedy nie odstępili od swych zamiarów. Wydaje mi się jednak, że w gwarnych uliczkach hanzeatyckiego grodu nad Motławą udało mi się choć na chwilę ich zgubić.

Mimo choroby udało mi się zaokrętować na jednym ze statków handlowych zmierzających w stronę Lubeki. I choć od razu pomyślałem, że coś zbyt łatwo kapitan zgodził się przyjąć mnie do siebie, na pokład wchodziłem lżejszy o wiele, jeśli wiesz, co mam na myśli. Głowa bowiem i serce, jak sam powiedziałeś, to najlepszy pergamin, na którym można pisać.

*Ściskam cię serdecznie.
Twój na zawsze,
Andreas*

**KSIĘGA DRUGA
SANCTUS**

XLI

Frombork, dzień piąty

– To jest georadar. – Ewa Rimmel położyła dłoń na niepozornym urządzeniu. – Bardzo czuła, precyzyjna aparatura pomiarowa wykorzystująca zjawisko fal elektromagnetycznych.

Tomasz Horn słuchał tego najeżonego fachową terminologią wywodu dziewczyny bez najmniejszego zniecierpliwienia.

– Chodzi o kontrast między szybkością rozchodzenia się fal w obiekcie i otaczającym ośrodkiem – ciągnęła z zapalem Ewa. – Im jest większy, tym wyraźniejszy odczyt otrzymamy. Dzięki temu można znaleźć w ziemi przedmioty z drewna, kamienia, a także gliny czy metalu.

– My szukamy papieru – zauważył przytomnie Horn.

– Raczej pergaminu – sprostowała dziewczyna. – Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że okładki księgi wykonano z drewna.

Wykopaliska w opuszczonym kościele, przerwane przez tragiczną śmierć szefa ekipy archeologów, ruszyły z miejsca. Jak zapewniali naukowcy, nie było żadnych formalnych przeciwwskazań (na zdjęcie policyjnych plomb otrzymali oficjalne pozwolenie). Nie bez znaczenia był też fakt, że wiedzieli, czego szukać.

Komisarz Artur Matejuk w kilku prostych zdaniach przedstawił im dotychczasowe wyniki dochodzenia, także (a może przede wszystkim) tego półprywatnego.

– Złodzieje potrafią dać w głowę człowiekowi za parę złotych, to dlaczego nie mieliby mordować dla kilkusetletniej księgi – skomentował Horn, kiedy siedzieli we czwórce w ogródku portowej smażalni ryb, nad samą wodą. – Kościoły to przecież prawie muzea, pełne zabytków, na które tylko czekają kolekcjonerzy z zachodniej Europy.

Zbliżała się dziesiąta rano. Kilka minut wcześniej Horn odbył rozmowę telefoniczną ze swoją redakcją w Warszawie i otrzymał od zwierzchników

zielone światło. Nie był to wielki problem. Wiedział, że po redakcji kręcili się i będą kręcić studenci na stażu czy zredukowani dziennikarze pracujący za wierszówkę. Poza tym wciąż trwał sezon ogórkowy.

Komisarz Matejuk z kolei napisał raport, w którym przedstawił wczorajsze zdarzenie na plebanii w Tolkmicku i uzasadnił konieczność użycia broni służbowej.

Przypadkowy, patrzący z boku obserwator nie znalazłby w tej grupce chyba żadnego szczegółu, nad którym można by się było zastanawiać. Jedyna kobieta w towarzystwie miała na sobie ten sam stój, w jakim po raz pierwszy widział ją Horn. Włosy Ewy upięte były znów w koński ogon, a na twarz powrócił cień uśmiechu, co najprawdopodobniej należało przypisać powrotowi do ulubionego zajęcia, czyli kopania w ziemi.

Ksiądz Józef Nehring ubrany był, można by rzec, po cywilnemu – w jasne płócienne spodnie i kraciastą koszulę z krótkim rękawem. Księża występujący prywatnie często zostawiają sobie jakąś część służbowej garderoby – najczęściej koszulę, ale bez tego białego kawałka plastiku, zwanego koloratką. Proboszcz z Tolkmicka w niczym nie przypominał jednak katolickiego duchownego.

Artur Matejuk też nie zdradzał wyglądem swojej profesji. Właściwie za bardzo nie pamiętał, kiedy miał na sobie mundur. Chyba podczas ostatniego święta policji. Wprawne oko obserwatora mogłoby jednak dostrzec pewien szczegół – zgrubienie pod lnianą marynarką, po prawej stronie. Wydarzenia ostatnich dni, a właściwie godzin, sprawiły bowiem, że komisarz nie rozstawał się ze swoją służbową beretką.

Tomasz Horn na szczęście znalazł w swoim bagażu jakieś czyste ubrania i, co najważniejsze, zapasowe buty. Ale wciąż był nieogolony.

– Z tego, co pan mówi, ta sama osoba, która dokonała zabójstwa w Kwidzynie, odpowiada również za śmierć profesora Serafina Buczyńskiego – Ewa próbowała sobie wszystko poukładać.

– I śmierć księdza Henryka w Królewie – dorzucił Matejuk.

– Wszyscy byliśmy na jednym roku w seminarium w Pelplinie – westchnął ksiądz Józef.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że Buczyński chciał zostać księdzem. –

Rimmel pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Zrezygnował, ale zdążył poznać pewną tajemnicę, która wszystkich nas połączyła i wiąże do dzisiaj – powiedział Nehring, ale zaraz dodał: – Właściwie wiązała do wczoraj...

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Horn.

– Jeszcze wczoraj być może nie rozmawialibyśmy o tym – ksiądz zawiesił głos, jakby wciąż zastanawiał się, czy może zaufać siedzącym z nim młodym ludziom. – Kilkadziesiąt lat temu wszyscy staliśmy się członkami pewnego stowarzyszenia, którego początków należy upatrywać właśnie na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia, a którego działalność, paradoksalnie, nie wyszła poza granice dawnych Prus Wschodnich.

– Co to za stowarzyszenie?

– Przez setki lat należeli do niego różni ludzie, zarówno duchowni, jak i osoby świeckie, jednak ścisły trzon konfraterni tworzyło zawsze pięć osób. Teraz, niestety, zostało nas tylko dwóch: ja i ksiądz Emilian.

– Rezydent z Kwidzyna! – wtrąciła Ewa. – Oni nigdy nie znajdą tego, czego szukają. Tak. Dokładnie tak powiedział!

– Kto? – zapytał Matejuk.

– Właśnie ksiądz rezydent. Zaledwie kilka godzin po śmierci proboszcza katedry powiedział do mnie to jedno zdanie. Czy chodziło właśnie o tę księgę? – Ewa zwróciła się do księdza Józefa.

– O księgę – odparł cicho kapłan i zaraz dodał: – Też...

– A o co jeszcze?! – Horn nie powstrzymał na wodzy dziennikarskiego wścibstwa, nie zdołał jednak wyprowadzić tym z równowagi rozmówcy (choć zdarzało się to często).

– Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić – odparł ze spokojem proboszcz z Tolkmicka.

Ale Horn nie odpuszczał.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego akurat my... – Potoczył wzrokiem po pozostałych. – Czemu akurat my okazaliśmy się...

– Godni? – wszedł mu w słowo Nehring. – To pan chciał powiedzieć?

– Kolega chciał powiedzieć, że właściwie jesteśmy ludźmi sobie obcymi – wyjaśniła Ewa. – To, że tutaj siedzimy w takim, a nie innym składzie, to

dzieło przypadku.

Samochodowej stłuczki, sprecyzował w duchu Horn.

Kapłan tajemniczo pokręcił głową.

– Wie ksiądz, kim jest zabójca?! – odezwał się milczący dotąd Matejuk.

– Domyślam się – westchnął Nehring. – Od zawsze każda akcja powodowała reakcję, a każdy ruch antyruch. Najlepszym przykładem była reformacja, na której pojawienie się Kościół zareagował kontrreformacją i świętą inkwizycją, której dzieło znamy wszyscy. Gdy powstała nasza konfraternia, od razu pojawili się tacy, którym nie w smak była jej działalność. Dlatego szybko musiała zejść do podziemia, co jednak nie uchroniło jej członków przed prześladowaniami. Nadzieją była księga, którą napisał Andrzej Kopernik. Często bywał w Rzymie, więc pojawiła się możliwość zdobycia przychylności panującego akurat papieża.

– Starodruki osiągają na aukcjach zawrotne ceny – powiedział jakby do siebie Horn.

– Tak naprawdę trudno było nazwać to księgą. – Nehring uśmiechnął się.

– Nie wszyscy mogli wtedy drukować. Wynalazek Gutenberga ujrzał światło dzienne w połowie XV wieku w Moguncji i od razu został uznany za dzieło genialne. I na tyle rozpowszechnione, że ćwierć wieku od tamtej chwili w całej Europie działało ponad sto drukarni!

– W Polsce też? – zdziwił się Matejuk.

– Owszem. Drukowano kalendarze astrologiczne, modlitewniki, rozprawy naukowe i pierwsze dzieła Reja, Kochanowskiego i Frycza-Modrzewskiego. Księga Kopernika to jednak zaledwie kilka pergaminowych kartek, umieszczonych między dwiema deseczkami związanymi sznurkiem. Była niepozorna, ale jej siła ogromna. Mogła dokonać niewyobrażalnego zniszczenia. O wiele większego niż znaleziony przez nas w bibliotece łaciński dokument...

– Jaki dokument? – zainteresowała się Ewa.

– To dzięki niemu, a ktoś sporządził go w latach czterdziestych dwudziestego wieku, poznaliśmy ideę stowarzyszenia; wkrótce też z ukrycia wyszli jego członkowie, wśród nich ksiądz Emilian. Nie zabrakło jednak pośród nas niedowiarków. Tych mogła przekonać właśnie księga, o której

wspominał dokument. Co do autorstwa nie było wątpliwości: napisał ją kanonik fromborski Andreas Copernicus, zmarły w Rzymie, prawdopodobnie w 1518 roku, czyli ćwierć wieku przed swoim młodszym bratem. Tylko gdzie mogła być? Czy jeszcze istniała? Tego nie wiedzieliśmy, choć dokument podawał pewną wskazówkę. Był nią fragment Objawienia świętego Jana z Nowego Testamentu, dokładnie wizji nieba.

– Przydałaby się Biblia. – Horn podrapał się z zakłopotaniem po nieogolonym policzku.

Ksiądz Nehring westchnął.

– A oto tron stał w niebie, na tronie zaś siedział ktoś – recytował, jakby czytał. – A ten, kto na nim siedział, podobny był z wyglądu do kamienia jaspisowego i karneolowego, a wokoło tronu tęcza, podobna z wyglądu do szmaragdu. A wokoło tronu dwadzieścia cztery trony, a na tych tronach siedzących dwudziestu czterech starców, odzianych w szaty białe, a na głowach ich złote korony. Przed tronem także jakby morze szkliste, podobne do kryształu...

Cała trójka młodych ludzi jak na komendę spojrzała w jednym kierunku: na Zalew Wiślany. Nie, jego wody stanowczo nie przypominały kryształu!

Ciszę przerwał Horn.

– Dlaczego żaden z kleryków nigdy nie szukał księgi? – zapytał.

– Owszem, na początku chcieliśmy to zrobić – odparł kapłan. – Mijał jednak czas, skończyliśmy seminarium, nadszedł moment święceń kapłańskich. Wkrótce każdy z nas dostał przydział do swojej parafii, pochłoneły nas codzienne obowiązki duszpasterzy. Zresztą nie musieliśmy widzieć księgi, dotknąć jej i przeczytać, żeby uwierzyć. Żeby kierować się w swojej codziennej posłudze kapłańskiej naukami konfraterni. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

– Myśli ksiądz, że kolejne morderstwa należy tłumaczyć tylko i wyłącznie chęcią znalezienia księgi? – zapytał Matejuk, zastanawiając się jednocześnie, co na te rewelacje powiedziałyby podinspektor Kruś i zajmujący się tą sprawą policjanci z komendy wojewódzkiej w Gdańsku.

– A tym samym skończenia z konfraternią! – podjął ksiądz Nehring. – Ja nie widzę innego wytłumaczenia, skoro kilku naszych straciło życie, a mnie

próbowano go pozbawić. Gdyby nie pan, komisarzu...

– Nie mówmy już o tym. – Matejuk spuścił wzrok.

– Czy dobrze myślę, że ksiądz zamierza znaleźć księgę pierwszy? – odezwał się Horn.

– Z tego, co wiem – wtrąciła Ewa – większość ksiąg z tamtego czasu zostało zrabowanych podczas potopu szwedzkiego i znajduje się dzisiaj w bibliotece uniwersyteckiej w Uppsali. Tak na marginesie, ciekawe czemu jeszcze Polska ich nie odzyskała?

– Być może – rzekł ksiądz i uśmiechnął się tajemniczo. – Ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że księga znajduje się właśnie tutaj, we fromborskiej farze. I chcę ją znaleźć.

– Ale czemu akurat tutaj? – naciskał Horn.

– Fara była przez setki lat normalnym kościołem – tłumaczył ksiądz Nehring. – Przez to, co z nią zrobiono po wojnie, stała się nam, klerykom z Pelplina, o wiele bliższa niż kościoły, w których na co dzień odbywały się msze i do których przychodzili ludzie. Może dlatego, że choć to tylko zimne mury z cegieł, kościół ten był w pewien sposób uszkodzony. Pochodzę z Baranówki, małej wsi niedaleko stąd. Kiedy byłem małym chłopcem, wiele razy zaglądałem wraz z kolegami do środka, ale za każdym razem przeganiał nas jednak palacz, przypominający diabła...

– Zupełnie jak tamten złodziej – przypomniał sobie Horn.

– Andrzej Kopernik – ciągnął ksiądz – jadący do Rzymu, skąd, jak się miało okazać, już nie wrócił, prawdopodobnie musiał ukryć księgę jeszcze w Polsce. Tyle wiadomo z oficjalnych zapisów i legendy. Skoro jechał z Fromborka, a na statek wsiadł w Gdańsku, musiał ją zostawić gdzieś po drodze. Spodziewał się napaści, więc nie sądzę, by ryzykował utratę skarbu, wyjeżdżając z nim z miasta. Najbezpieczniejsze do jego ukrycia były kościoły.

– Mógł ukryć ją w katedrze – wtrąciła Ewa, ale ksiądz zdecydowanie pokręcił głową.

– Do katedry nie miał już wstępu. Zatem pozostaje tylko jedno miejsce: fara.

– Tylko gdzie? Przecież to duży kościół. W kryptach?

– ...które prawdopodobnie zachowały się jako jedyne w niezmienionym stanie – zgodził się ksiądz Józef. – Po wojnie cała podłoga kościoła została dodatkowo pokryta grubą warstwą betonu i dopiero na nim ustawiono piec i składowano koks...

– Wiem. Chłopaki nieźle psioczyli, zanim wykopali małą dziurkę przed ołtarzem...

– Jako proboszcz w sąsiedniej miejscowości, miałem oko na to miejsce. Kiedy zamknięto kotłownię, wystąpiłem o pozwolenie na rozpoczęcie poszukiwań.

– Po co? – Horn wzruszył ramionami. – Przecież sam ksiądz powiedział, że nie musieliście widzieć księgi Kopernika, żeby uwierzyć.

– Człowiek się zmienia – odrzekł Nehring. – Z biegiem lat gnuśniej, popada w rutynę, zapomina, co było kiedyś dla niego ważne. Jednocześnie chciałby poznać odpowiedzi na kilka ważnych pytań. Porozumiałem się z braćmi z konfraterni. Czuję się, jakbym znów miał dwadzieścia lat. Ale wtedy zaczęły się te morderstwa. Dlatego kopaliśmy z komisarzem w miejscu, gdzie już rozpoczęto prace. Nie wiedziałem nawet, że to dzieło Serafina. I że on już nie żyje... To wszystko.

W porcie rozległ się warkot silnika małego rybackiego kutra, nad którym krążyło stado rozkrzyczanych mew. Bliżej jakaś rodzina głośno zastanawiała się, co wybrać z bogatego rybnego menu. Ze smaźalni wyszła uśmiechnięta właścicielka niosąca tacę z filetem z sandacza, surówką i frytkami. Pod stołami mały ptaszek szukał okruszków, a za murkiem kręcił się krótko ostrzyżony piesek. Na brzegu zapomnianego plastikowego kubeczka z resztką soku przysiadła osa. Było ciepło, wiatr zmiatał po nabrzeżu żółtym już listkiem klonu.

– Nic nie zapowiada końca świata, prawda? – rzekł ksiądz Józef, patrząc po znieruchomiałych w zamyśleniu twarzach trojga młodych ludzi, twarzach, w których dostrzegł to, czego być może nie dostrzegł wcześniej nikt. – Pół tysiąca lat temu Mikołaj Kopernik stwierdził, że pewne znaki na niebie mogą wpływać na to, co dzieje się na ziemi.

– Był nie tylko astronomem, ale też astrologiem – wtrącił Horn.

– Owszem. I bliski był pewnej teorii, którą przedstawił potem w jednym

ze swoich dzieł jego jedyny uczeń, Jerzy Joachim Retyk. Wiadomo, że wszystkie planety krążą wokół Słońca, ale kształt figur, które rysują, jest różny. Miara odstępstwa orbity od kształtu koła to mimośród. Ziemia krąży wokół Słońca, ale na przestrzeni wieków ów mimośród się zmienia. Gdy był on największy, powstało Cesarstwo Rzymskie. Kiedy zmniejszał się, malały też wpływy Rzymu. Podobnie rzecz się miała z Imperium Osmańskim. Prorok Eliasz przepowiadał, że świat będzie trwał tylko sześć tysięcy lat, a to daje akurat dwa obiegi mimośrodowe Ziemi wokół Słońca.

– Niech ksiądz nas nie straszy. – Horn wzdrygnął się.

– Mówiąc o końcu świata, ksiądz ma na myśli to, co na miejscu zbrodni zostawiał zabójca – wyjaśnił rzeczowo Matejuk. – Przecież w usta zamordowanych księży włożono zwinięte kartki z Biblii, opowiadające właśnie o końcu świata.

– I będą znaki na słońcu, księżycu i na gwiazdach, a na ziemi lęk bezradnych narodów, gdy zahuczy morze i fale – wyrecytował jednym tchem kapłan.

– Ale nie znaleziono nic takiego przy profesorze Buczyńskim – zauważyła przytomnie Ewa.

– Za to znaleziono przy nim Łabędzia – dorzucił z satysfakcją Horn.

– Jakiego łabędzia? – zdziwił się Matejuk.

– Prawdopodobnie profesor zdążył wydrapać przed śmiercią na oparciu fotela trzy litery: CYG – powiedziała Ewa.

Przez twarz księdza przebiegł cień.

– Chodzi prawdopodobnie o gwiazdozbiór Łabędzia, zwany także Krzyżem Północy – wyjaśnił Horn.

W jednej chwili wszyscy spojrzeli na księdza Józefa. Ten wydawał się jakby nieobecny duchem. Po chwili rzekł:

– Żeby podnieść ten krzyż, potrzebne jest znów pięć osób.

Na te słowa Artur Matejuk zaczerwienił się jak uczeń złapany przez srogiego belfra na oczywistej niewiedzy, Ewa Rimmel opuściła głowę, a Tomasz Horn rzekł półgębkiem:

– Ale ja nawet ministrantem nie byłem...

Ksiądz Józef Nehring wiedział, że czeka go jeszcze sporo pracy.

XLII

54°17'N, 19°26'E, dzień piąty

– A to co? Pewnie krzywa przegroda nosowa? – Lekarz zmarszczył brwi, nachylając się niżej nad leżącym na prowizorycznej kozetce.

– Nie wiem. Chyba tak – mruknął niechętnie pacjent i odwrócił twarz do ściany, jakby chciał w ten sposób ukryć swoją przypadłość.

– Powinien pan zgłosić się z tym do laryngologa.

– Oczywiście.

Człowiek w białym, narzuconym tylko na ramiona fartuchu usiadł przy niewielkim biurczku, stojącym pod oknem, i zaczął pisać.

– Miał pan bardzo dużo szczęścia – powiedział po chwili. – Kula właściwie tylko musnęła przedramię. Centymetr w bok i z kości nie byłoby co zbierać.

Zaraz z ciebie nie będzie co zbierać, felczerze pierdolony – pomyślał leżący, uśmiechając się bezzębnie.

– A swoją drogą, żeby tak w biały dzień człowieka napadali?! – biadolił lekarz. – Do czego to doszło w tym kraju. Gdzie policja wtedy była, niech mi pan powie. No gdzie?!

Leżący przełknął ślinę. Jego twarz pokryła się rumieńcem. Chwilę potem rozległ się charakterystyczny dźwięk odrywanej z pliku recepty, dźwięk kojący nerwy wszystkich chorych na świecie, dźwięk oznaczający, że będzie dobrze, skoro wystarczy iść do apteki, wykupić odpowiednie medykamenty i zażywać je zgodnie z treścią ulotki lub zaleceniami lekarza.

– Jutro zapraszam do ośrodka na zmianę opatrunku.

– Tak – sapnął ranny, dźwignąwszy się nieco na łokciu zdrowej ręki. – Bardzo dziękuję.

Lekarz splótł palce rąk na zamku swojej torby.

– Rozumiem, że po honorarium mam jak zwykle zgłosić się do kancelarii ośrodka?

– Tak.

– Dziękuję. Czy lepiej, jak to mówią: Bóg zapłać! – rzekł

z zadowoleniem doktor, wstał wreszcie zza biurka, chwycił za swój kuferek i zniknął za drzwiami.

Głowa rannego ciężko opadła na poduszkę. Skrzywił się z bólu, a może niechęci dla profesji człowieka, który przed chwilą upuścił pokój.

Patrzcie, jaki mądrała z tego konowała – pomyślał ze złością. Powinien pan zgłosić się z tym do laryngologa. Chyba nigdy nie uwierzy lekarzom...

Był jeszcze jeden powód, dla którego chory mężczyzna przygryzł wargi do bólu i zacisnął dłonie w pięści – obie pięści, zdrowej ręki i tej, której ramię, poharatane przez policyjną kulę, obwiązane było teraz grubo bandażami, dodatkowo spowijającymi temblak łączący rękę z szyją.

Nie ma co mówić. Skrewił sprawę jak dyletant, najgorszy amator, dziecko. Ten gliniarz, którego zauważył już w Kwidzynie... Jak się tam znalazł, dlaczego wrócił do Tolkmicka, przeszkadzając w wykonaniu zadania? I czemu od razu użył broni? Przecież oni zawsze najpierw myślą, a dopiero potem dają się zastrzelić.

Ledwo dowłókł się wtedy do przystani, gdzie czekała łódź. Nie pamiętał, jak znalazł się w ośrodku. Obudził się dopiero w łóżku, opatrywany przez sprowadzonego z miasta lekarza.

Najgorsze było jednak to, że czekała go jeszcze rozmowa z Pasterzem.

XLIII

Gdańsk, dzień piąty

Około południa ksiądz Józef wraz z komisarzem Arturem Matejukiem dotarli do komendy wojewódzkiej policji. Zeznanie duchownego, który o mały włos padłby ofiarą szaleńca, miało rzucić więcej światła na prowadzoną sprawę.

Śledczy, czego Matejuk się nie spodziewał, byli naprawdę pod wrażeniem jego akcji, sam komisarz zaś trzymał głowę wysoko, od czasu do czasu potakując tylko czy wtrącając jakąś uwagę.

– Czy ksiądz się domyśla, jaki mógł być motyw zabójców? – zapytał szef

pomorskiej dochodzeniówki.

Tym razem występował bez munduru. Dwóch towarzyszących mu oficerów, także po cywilnemu, zamarło z długopisami w dłoniach nad służbowymi notatkami. Widząc to, ksiądz Józef Nehring spojrzał przelotnie na siedzącego obok Matejuka. Ten nie mógł nie dostrzec iscie diabelskiego ognika w oczach kapłana. I kpiny.

Nehring zrobił zatroskaną minę i nabrał w płuca powietrza, jakby miał wygłosić długi monolog.

– Nie, nie domyślam się – powiedział.

Dwaj młodszy oficerowie jak na komendę podnieśli głowy znad swoich notatników.

– W przypadku proboszcza spod Malborka mogło chodzić o rabunek – rzekł inspektor tonem życzliwego egzaminatora. – Wiemy, że tamtejszy ksiądz zbierał wśród parafian pieniądze dla poszkodowanych podczas wichur, które przeszły nad krajem. Zabójca mógł nie znaleźć pieniędzy albo został wystraszony. Odwrotnie mogło być w przypadku kradzieży płaskorzeźb sprzed kilku tygodni; nikt nie stanął na drodze rabusiom, dzięki czemu być może uratował skórę.

– A Kwidzyn, panie inspektorze? – przypomniał nieśmiało policjant z tego miasta.

– Mogło chodzić również o rabunek skarbów pochodzących z wykopalisk – odpowiedział w zastępstwie swojego przełożonego podkomisarz Ber.

– Czy ksiądz wie, co mogło przyciągnąć złodziei do Tolkmicka?

– Nie – odparł Nehring bez mrugnięcia okiem.

Matejuk rozpiął guzik kołnierzyka. Zrobiło mu się duszno i gorąco.

O co chodzi temu klesze? Czemu nie mówi im tego, co powiedział jemu? – zastanawiał się, zapadając się z każdą chwilą coraz głębiej w krzesło, na którym siedział. Przecież nie podniesie dwóch palców do góry jak w szkole, nie wstanie i nie poskarży!

– Proszę tu podpisać – podkomisarz Ber podsunął księdzu jakiś dokument.

– Co to jest? – spytał Józef odrobinę kpiącym tonem. – Już kiedyś mi podsuwaliście podobny cyrograf...

Policjanci spojrzeli po sobie, ale żaden nie powiedział ani słowa.

– To są księdza zeznania w sprawie zabójstw – wyjaśnił ze spokojem szef pionu śledczego. – Proszę, oczywiście, najpierw przeczytać.

– Pewnie, że to zrobię.

A już wszystko wydawało się takie proste i oczywiste. Matejuk nie migał się od pracy, w żadnym razie. Myślał jednak, ba!, był przekonany, że teraz śledztwo rzeczywiście przejmie komenda wojewódzka w Gdańsku, a on wróci do siebie i do swoich pijaczków.

Tymczasem swoim milczeniem ksiądz z Tolkmicka pozostawiał na jego głowie całą sprawę – a przynajmniej jej lwią część. Matejuk mógł zaprotestować; nieraz ustawiał do pionu koleżków, którym nagle zaczęła szwankować pamięć. Wystarczyło podnieść głos, nacisnąć gdzie trzeba. Co jednak należało zrobić z księdzem Nehringiem – tego nie wiedział. Nie pozostawało nic innego, jak rozmówić się z nim po wyjściu z komendy.

Gdy jednak po niespełna pół godzinie szli długim korytarzem, nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Spojrzał z ukosa na towarzyszącego mu duchownego i zrobiło mu się go żal. Szedł zgarbiony, jakby złamany przez życie i to, co mu przyniosło w ciągu ostatnich kilku dni.

Nie wiadomo czemu Matejuk właśnie w tym momencie sięgnął pamięcią do wcale nie tak odległych lat.

To było na początku jego studiów w szkole oficerskiej w Szczytnie. Był na jednym z pierwszych roczników, któremu pozwolono zdawać egzaminy zaraz po maturze. Wcześniej trzeba było być krawężnikiem, zbierać zaszczanych pijaków po ulicach przez kilka, a czasem nawet kilkanaście lat – i w dodatku wyróżniać się w tej pracy, by zostać dostrzeżonym i dostąpić zaszczytu wysłania na studia. W przypadku Matejuka i jego rówieśników wystarczyło zdać egzamin dojrzałości w liceum czy technikum, by starać się o indeks. Ojciec bardzo dopingował syna, cała rodzina też. No i dziadek, któremu, niestety, zmarło się jakoś późną jesienią.

Urządzić pogrzeb świecki w czasach, gdy nie tyle można było już wieszać krzyże w szkołach, co należało to robić – nie było rzeczą łatwą. A już na pewno nie było sprawą przyjemną. Producent trumien spojrzął jak na zbrodniarzy, gdy z ojcem poprosili o usunięcie z wieka przyklejonego doń

krzyża. Podobnie gość w administracji, który zapytał, gdzie będzie msza żałobna, bo ma kilka rodzajów klepsydr – każda z nazwą innego kościoła...

Gdyby wtedy znał kogoś takiego, jak ten ksiądz – ludzki, życzliwy, choć z drugiej strony, co wyszło na skończonym przed paroma chwilami przesłuchaniu, nie do końca dający się rozgryźć.

– Przepraszam, nie mogłem inaczej – powiedział cicho Nehring, gdy bez słowa doszli do samochodu.

W Matejuku nagle się zagotowało.

– I co ja mam teraz z księdzem zrobić?! – warknął ze złością.

– Już mówiłem. Zostaliście wybrani.

– To jakaś bajka! – krzyknął policjant, zaciskając palce na kierownicy. – Jaka tajemnica, jakie tajne stowarzyszenie? Jaki krzyż? Ja nawet wierzący nie jestem! Żona musiała starać się o specjalne pozwolenie na ślub ze mną. Mam rodzinę na utrzymaniu, małe dziecko. W liceum czytałem antyklerykalne gazetki i wołałem: księży na Księżyc!

Ksiądz Nehring słuchał tych niespodziewanych wyznań z obojętnością. Gdy Matejuk skończył, choć długo jeszcze dyszał, nie mogąc się uspokoić, twarz duchownego rozjaśnił uśmiech.

– Zanim wybierzemy się na Księżyc, może najpierw pomóżmy naszym znajomym we Fromborku – powiedział proboszcz. – Mam przecucie, że przeciwnik znów zaatakuje.

– Teraz sobie ksiądz przypomniał, że jest jakiś przeciwnik?! – jęknął komisarz.

XLIV

54°17'N, 19°26'E, dzień piąty

Obudziło go pukanie do drzwi. Gwałtownie zerwał się z pośłania i syknął z bólu, bo nadwyrężył przy tym ranione przedramię. Już chciał stanąć boso przed łóżkiem, ale powstrzymała go przed tym wyciągnięta w uspokajającym geście ręka gościa.

– Leż, leż – powiedział łagodnym głosem przybysz, po czym dokładnie zamknął za sobą drzwi izby.

Nagle gorąco oblało twarz i nagą pierś rannego. Odczuwał zawsze to samo, kiedy stawał oko w oko z Pasterzem. Zawsze też przyjmował wtedy postawę zbliżoną do zasadniczej, starając się stłumić nawet oddech. Dlatego pozycja leżąca, wymuszona przez okoliczności, sprawiła, że czuł się jeszcze gorzej niż zwykle.

– Jak się czujesz? – zapytał przybysz, stając bardzo blisko łóżka.

Ranny skinął głową. Jednocześnie przesunął się nieco do ściany, robiąc gościowi miejsce do siedzenia. Dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że przecież to nie szpital powiatowy i nie niedzielne odwiedziny u chorej cioci.

– Przepraszam, Pasterzu. Zawiodłem... – zaczął ranny, ale przybysz znów jednym gestem powstrzymał go, po czym rzekł:

– Chciałbym, abyś mi wszystko opowiedział. Od początku do końca.

Twarz zabójcy zalała znów nagła fala gorąca. Zaczął szybciej oddychać, serce również nie miało zamiaru pozostać w tyle za płucami. Palce zdrowej ręki kurczowo chwyciły poszwę kołdry. Czy tak chwyta się życia tracący po raz ostatni świadomość człowiek, który otrzymał dar (a może przeciwnie – to przekleństwo?) umierania we własnym, czystym łóżku? We własnym? A jak wyglądało jego łóżko, o którym mógłby powiedzieć: moje? Nie pamiętał tego. Musiało to być bardzo dawno temu. Od lat nie leżał w łóżku, które mógłby nazwać swoją własnością. Dom dziecka, potem poprawczak, Orzysz, więzienie. Wreszcie ten ośrodek.

– Ja... Wydawało mi się... – zająknął się, przygryzł spękane, sine wargi, po czym wbił tępy wzrok w jakiś punkt za oknem.

– Spokojnie, bracie Adamie – szepnął Pasterz, choć z łagodnością, z jaką wypowiedział te trzy słowa, nie szło w parze jego srogo zmarszczone czoło. – I wyda na śmierć brata, a ojciec syna, i powstaną dzieci przeciwko rodzicom, i będą ich zabijali. I będziecie w nienawiści u wszystkich dla imienia; ale kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony.

Adam przymknął oczy. Naga, pokryta tu i ówdzie kępkami rudawych włosów oraz kropelkami potu klatka piersiowa poruszała się miarowo. Czuł ukojenie.

Kiedy ponownie otworzył oczy, Pasterza nie było w izbie. O brudną szybę w zakratowanym oknie obijała się mucha zmęczona południowym słońcem, które po kilku dniach wróciło nad okolicę.

XLV

Frombork, dzień piąty

Prace w kościele św. Mikołaja we Fromborku, mimo początkowej euforii archeologów, jakoś nie przynosiły rezultatu. Owszem, teren został powtórnie zbadany georadarem, nie natrafiono jednak na nic, co mogłoby okazać się interesujące.

Wielodniowa bezczynność sprawiła, że Rudy, Brodacz i Magda z początku zabrali się do dzieła z zapałem, ale równie szybko zapał ten ostygł. Z niechęcią popatrywali nawet w stronę, gdzie kiedyś znajdował się główny ołtarz i gdzie zaczęli kopać jeszcze za życia profesora w nadziei znalezienia średniowiecznych krypt.

– Jednym słowem: wielka kupa – stwierdził dosadnie Rudy, zapalając papierosa.

– A propos kupy... – wtrąciła się Ewa, grzebiąca wciąż przy aparaturze georadaru. – Nie wiem, czy pamiętacie, ale kilka lat temu ekipa z Uniwersytetu Jagiellońskiego wykopała w Krakowie całe średniowieczne szambo, pochodzące prawdopodobnie z szesnastego wieku.

– Bardzo ciekawe – rzucił z nieskrywaną ironią Horn. – Rozumiem, że z całą zawartością?

– Żebyś wiedział – odrzekła z powagą Ewa. – Szambo działało prawdopodobnie aż do początku dziewiętnastego wieku, bo dopiero wówczas zbudowano w Krakowie tak zwane kanały blokowe, czyli ówczesną kanalizację. A jeśli chodzi o zawartość, to życzę każdemu z nas takich znalezisk. Wydobyto fragmenty szkła i ceramiki, a także kilka skórzanych butów, grzebień i kamień szlifierski!

– I pomyśleć, że wszystko to nasi pradziadkowie wrzucili po prostu do

klopa – zarechotał Rudy.

– U mojego jednego znajomego, który właśnie wprowadził się do bliźniaka pod Warszawą, szambo wylewa co tydzień – wtrącił półgębkiem Brodacz.

– Smacznego. – Magda skrzywiła się i zaczęła zawijać z powrotem w papier bułkę z serem i sałatą, którą miała zamiar zjeść na wczesny podwieczorek.

– Ale nie jest źle – powiedział Rudy, rozsiadając się wygodnie na jakimś starym fotelu, prawdopodobnie będącym niegdyś własnością pracujących tu palaczy. – Mogliśmy trafić o wiele gorzej. Na przykład na plac budowy autostrady, jak Jurek i Wanda. Gdzie oni teraz są?

– Między Toruniem a Łodzią – odparła dziewczyna.

– I kop, człowieku: upał nie upał, deszcz nie deszcz. – Rudy pokręcił głową, splatając dłonie na brzuchu; najwyraźniej planował właśnie uciąć sobie poobiednią drzemkę.

– A ty co o tym wszystkim myślisz? – zapytał Horn Ewę.

– Chyba nie będziemy mieli dużego pożytku z moich znamienitych kolegów – odparła z goryczą. – Ta ekipa została pozbawiona głowy i nic na to nie poradzę.

– Miałem raczej na myśli to, o czym mówił ten ksiądz – sprostował, ścisząc głos.

Rimmel przygryzła wargi, co upodobiło ją na chwilę do małej dziewczynki.

– Uważasz, że to brednie? – zgadywał dziennikarz.

– Sama nie wiem. Pewne jest tylko jedno: od kilku dni z moim życiem dzieje się coś dziwnego. Zabójstwa, porwania, jakieś pościgi. Jak w amerykańskim thrillerze. Brakuje tylko jakiejś mumii, która powinna wstać z grobu i zacząć nas gonić...

W tej samej sekundzie rozległ się przeraźliwy wrzask Magdy. Stał nad nią Brodacz, który był owinięty jakąś starą folią i mimo że natychmiast rozpoznany, świadomy efektu, jaki wywołał, wciąż groźnie pohukiwał i śmiał się na zmianę.

– Georadar wskazał kilka ciekawych miejsc – powiedziała Ewa,

odwróciwszy wzrok od zenującej scenki. – „A oto tron stał w niebie, na tronie zaś siedział ktoś” – powtórzyła słowa księdza.

– Chyba nie myślisz o tym tronie. – Horn kiwnął głową w stronę rozwalonego na fotelu rudzielca.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Wnętrze byłej świątyni przypominało kościół, owszem, ale po pożarze. O ile patrząc z zewnątrz na królującą w miasteczku bryłę fary, widziało się tylko okopcony dach, o tyle wewnątrz przedstawiało widok naprawdę opłakany – niemal wszystko było tu osmolone.

Dzieła wieloletniej degradacji dopełniła dewastacja ostatnich lat. Po piecach i instalacji nie było już śladu, czego nie rozmontowano i nie przeniesiono do nowej ciepłowni, rozkradli zbieracze złomu. Na podłodze wały się stare deski, cegły, szkło, najczęściej z rozbitych butelek, śmieci.

Nie, młodzi archeolodzy wcale nie mieli przyjemnej pracy. Z dwojga złego akurat Horn wybrałby autostradę.

– Gdzie ty ukryłbyś księgę? – zapytała Ewa.

– Albo bardzo nisko, w kryptach, albo wręcz przeciwnie.

Jednocześnie unieśli wzrok. Pod trójkątne sklepieniem dachem latała kilka zabłąkanych ptaków; równie dobrze jednak mogły mieć tutaj gniazda. Tu i ówdzie przez szczeliny przedostawały się do środka promienie słońca. Ten, kto miałby przejąć kościół, podjąłby się ogromnej, ciężkiej, wieloletniej pracy.

Wtem skrzypnęły otwierane drzwi wejściowe. Ewa i Horn odwrócili głowy w stronę, skąd dobiegł dźwięk. Spodziewali się Matejuka i księdza Józefa, tymczasem na jasnym tle pojawiła się postać ubrana w coś, co na pierwszy rzut oka przypominało bardzo długi płaszcz, w dodatku z czubatym, wysokim kapturem, naciągniętym na głowę mimo panującej na zewnątrz ładnej pogody.

– Co jest?! Nie widział tabliczki przed wejściem? Czytać nie potrafi?! – zaatakował przybysza Brodacz.

Ale człowiek w dziwnej, powłóczystej szacie już wszedł do środka. Za nim pojawiło się kilku, może nawet z dziesięciu identycznie ubranych osobników.

– Kto tu jest kierownikiem? – dobiegło spod kaptura.
– A o co chodzi? – pierwsza odezwała się Magda, buńczucznie, swoim zwyczajem, ująwszy się pod boki. – Kolega chyba powiedział wyraźnie, że tu nie wolno wchodzić.
– Od dzisiaj obiekt przechodzi na własność Wspólnoty Odnowy – rzekł człowiek w habicie, po czym wyciągnął z zanadrza jakiś zadrukowany arkusz papieru. – Tu jest decyzja władz gminy.
– Jaka wspólnota, jaka odnowa?! – zaśmiał się sztucznie rudy. – Przecież my prowadzimy tu badania archeologiczne i...
– Trzymam w ręku prawomocną decyzję władz gminy – powtórzył tajemniczy człowiek, potrząsając papierem.
– Jakież żarty sobie robicie? – Brodacz zmarszczył brwi.
– Wychodzicie czy mam wezwać policję? – zapytał równie groźnie tamten.
Przez dłuższą chwilę czwórka archeologów wraz z Hornem mierzyła się wzrokiem z o wiele liczniejszą grupką osobników w dziwacznych strojach. Było jasne, że ci drudzy poradziliby sobie łatwo, i to bez pomocy policji.
– Idziemy – wydał dyspozycję Brodacz. – Zabierzcie sprzęt.
W ciągu kilku chwil pozbierali narzędzia i aparaty.
– Zaraz pójdziemy do gminy i wyjaśnimy sprawę – rzucił na odchodne rudy, mijając przywódcę dziwnych mnichów.
Ledwo wyszli, drzwi byłej fary zostały zatrzaśnięte od wewnątrz.

XLVI

54°17'N, 19°26'E, dzień piąty

Wstał dopiero na obiad. Ręka nie bolała już tak bardzo. Przez cały czas czuł jednak na sobie spojrzenia.

Nikt nie wiedział, jak nabawił się kontuzji. Oficjalna wersja, ta sama, którą sprzedano lekarzowi, mówiła o napadzie i próbie kradzieży samochodu. Nie trzeba było zresztą nikogo specjalnie przekonywać, że coś takiego mogło

się stać. Że świat jest zły, wiedzieli bardzo dobrze. Dlatego znaleźli się tutaj, w prowadzonej przez Pasterza Wspólnocie Odnowy, która znalazła siedzibę w opuszczonym ośrodku wypoczynkowym...

Na pierwszy rzut oka w okolicy nic się nie zmieniło, od kiedy wyjechał stąd ostatni wypoczywający górnik, a obsługa ośrodka, należącego do jednej z upadłych kopalń, zamknęła wszystko na cztery spusty. Przez kilka lat miejsce to było zupełnie opustoszałe. Farba łuszczyła się ze ścian parterowych pawilonów, mieszczących pokoje wczasowe, świetlicę, kuchnię, stołówkę i pomieszczenia gospodarczo-administracyjne. Trawa zaczęła coraz śmieiej zaglądać do okien, wdarła się pomiędzy spojenia w płytkach chodnika, zaś klomby, alejki, a nawet boisko do siatkówki wziął w niepodzielne posiadanie perz. Niszczyły urządzenia kiedyś służące letnikom.

Aż pewnego dnia przepiłowano łańcuchy, otwarto bramy i w byłym ośrodku wypoczynkowym kopalni Pokój, którą to nazwę na bramie zdołaloby odszyfrować tylko wprawne oko, na powrót tchnięto życie. Przez długi czas zza płotu dochodziły odgłosy pracy: warczenie koparki i pił tarczowych, uderzenia młotków, choć jakoś nikt z miejscowych, który wówczas „przypadkiem” zabłądził w okolicy, nie słyszał żadnych głosów. Nawet tak charakterystycznych dla polskich budów zawołań, jak „góra!”, często mylone z „kurwa!”, czy „fajrant!”. Zauważono też kilka wywrotek z gruzem, które wyjeżdżały z ośrodka.

Z początku ludzie w okolicy sądzili, że ktoś otworzy tu jeden z tak modnych ostatnimi czasy ośrodków z basenami, sauną i gabinetami masażu i odnowy biologicznej, gdzie kobiety obkładają się błotem i kamieniami. Zaczęto wypatrywać drogich aut z elegantkami, które będą chciały dbać tutaj o swoją urodę, a przy okazji może i we wsi zostawią parę złotych. Ale niczego ani nikogo nie wypatrzone.

Jednocześnie poszła plotka, że mają tu zamieszkać chorzy na AIDS, narkomani, były prostytutki. Ludzie pamiętali dobrze, jak kończyły się próby zorganizowania podobnych ośrodków w innych miejscowościach. Mieszkańcy okolicznych wsi skrzyknęli się wtedy i poszli do wójta, by dowiedzieć się, co i jak. Ten jednak zapewniał, że nie ma w tym krzty

prawdy: ośrodek na swoją statutową działalność otrzymała organizacja pozarządowa i nie będzie tu żadnych chorych ani uzależnionych.

Wtedy ktoś znów zmaćił wodę, podając w obieg informację, iż ośrodek we władanie wzięli ekolodzy. Zaczęto się obawiać, że wtrącać się będą do gospodarstwa, podwórzowego Burka z łańcucha uwalniać czy przeciwdziałać kłusownictwu, w okolicy już tak rozpowszechnionemu, że i straż leśna zrezygnowała chyba z jego tępienia. Ale i te pogłoski wójt gminy zdecydowanie zdementował, mówiąc, choć nieco enigmatycznie, o jakimś poważnym stowarzyszeniu religijnym.

To już całkowicie uspokoiło okoliczną ludność. Spokój ów jednak nie chciał iść w parze z brakiem ciekawości. Wkrótce okoliczni zaczęli tu zaglądać coraz śmielej, a i z nadzieją na zarobek – marzyła im się choćby sprzedaż płodów rolnych do ośrodkowej kuchni, która, co osądzono po dymie z komina, znów działała na pełnych obrotach. Duch duchem, a jeść przecież trzeba! Szczególnie gdy mowa o odnowie ducha.

Szybko jednak okazało się, że nic z tego nie będzie. Łańcuchy i kłódki wróciły na swoje miejsce, nad płotem pojawiło się kilka rzędów błyszczącego nowością drutu kolczastego, zaś za bramą ośrodka cerber – człowiek obcy i mało przyjemny, co można było stwierdzić mimo niewielkiego okienka w furcie, przez które patrzył i przeganiał intruzów. Z początku jeśli ktoś przyjeżdżał do ośrodka, zazwyczaj miało to miejsce późną nocą albo wcześniej rano.

No i pojawił się on. Pasterz.

Tu wszystko było jasne, proste, sprawiedliwe. Każdy robił tu, co potrafił najlepiej: murarz murował, dekarz naprawiał dachy, hydraulik dbał, by woda w kranach była, a Adam...

– Módlmy się – dobiegło od szczytu długiego stołu, gdzie miejsce zajmował Pasterz.

Głowy siedzących, ubranych w jednakowe habity mężczyzn i kilku kobiet, pochyliły się ku splecionym na piersiach dłoniom. Jedyne wyjątkiem stanowił Adam, którego prawą rękę wciąż podtrzymywał temblak. Nad pustymi jeszcze talerzami przeleciał szmer krótkiej modlitwy.

Wreszcie zabrzączały sztućce, zapluskała zupa wlewana do talerzy przez

braci dyżurnych. Było także słycać pierwsze przytłumione rozmowy.

– Co ci się tak ręce trzęsą, Arek? – zapytał chudzielec w splewiałym habitie siedzącego po drugiej stronie młodego chłopaka o wystraszonych oczach. – Jesteś potrzebny, co?

Odpowiedzi udzielił w jego zastępstwie długowłose olbrzym, którego rękawy habitu zakrywały ledwo do połowy nagie, owłosione ręce.

– Nie słyszałeś? Kopia doły niedaleko zachodniej bramy – powiedział półgłosem, rozglądając się, czy nie wzbudza tym zbyt wielkiego zainteresowania. – Już trzeci dzień.

– A po co komu te doły? – drażył temat chudzielec.

– Nie wiem. Ale Pasterz zabronił o tym rozmawiać – mruknął jeszcze ciszej olbrzym, po czym, profilaktycznie, wpakował sobie do ust kawał ziemniaka.

Adam, przysłuchujący się rozmowie, zastygł z nadzianym na widelec kawałkiem mielonego kotleta. Był to kotlet z... kapusty.

A jednak stanie się, tak jak mówił Pasterz – pomyślał z trwogą. Nie uda się uniknąć najgorszego. Ale przecież pismo mówi wyraźnie: „A gdy przyjdzie syn człowieczy w chwale swojej i wszyscy aniołowie z nim, wtedy zasiądzie na tronie swej chwały. I będą zgromadzone przed nim wszystkie narody, i odłączy jedne od drugich, jak pasterz odłącza owce od kozłów...”.

Naraz w jadalni rozległ się głośny kobiecy śmiech. Nie pasował do tego miejsca ani chwili. Drażnił uszy. A jednak sprawił, że serce Adama przez chwilę zabiło żywiej. Dopiero po dłuższej chwili odważył się spojrzeć w kierunku, skąd dobiegł ów śmiech.

Siedziały we dwie pośród innych kobiet, ale mimo jednakowych, zgrzebnych strojów, które zobowiązani byli nosić wszyscy, wyróżniały się spośród nich. Wyróżniały się urodą. Która z trzech młodych dziewczyn zaśmiała się, wprowadzając zamęt?

Odpowiedzi na niezadane głośno pytanie znów udzielił olbrzym.

– Są u nas od wczoraj.

– Po co? – zdziwił się chudzielec. – Nie wyglądają na takie, które uciekły z domu przed mężem alkoholikiem.

– Przejechały z Warszawy, aby znaleźć u nas ciszę i spokój – rzekł

uczenie wszystko wiedzący informator, wydłubując sobie spomiędzy zębów resztki jedzenia. – Czytałem gdzieś, że to podobno teraz bardzo modne.

– Kolejne gazetowe kłamstwo – skwitował ktoś.

– Ale kobitki prawdziwe, nie z papieru – dorzucił inny.

– Nie dla ciebie kobitki, nie dla ciebie – powiedział olbrzym.

Dyskusję przerwał łoskot odsuwanych jednocześnie krzesel, co zawsze oznaczało jedno – Pasterz spożył posiłek.

W tym momencie kilkanaście dłoni chwyciło w pośpiechu pozostawione na stole kromki chleba, czasem i całe połówki bochenków, i ukrywało je w czeluściach obszernych habitów.

– Módlmy się – zaintonował znów Pasterz.

Zaraz po kolacji Adam otrzymał polecenie przyjscia do pokoju Pasterza. Szedł z duszą na ramieniu. Dokładnie czuł ją po prawej stronie, tam gdzie temblak dotykał barku.

Pasterz siedział za biurkiem i coś pisał. Ujrawszy gościa odłożył pióro i sprężyście wstał z obrotowego krzesła.

– Jak twoja ręka? – zapytał, podchodząc bliżej. – Boli jeszcze?

– Już nie – przybysz skłamał bez mrugnięcia okiem.

– To dobrze. To bardzo dobrze – rzekł, po czym wrócił za biurko, ale nie siadał.

– Zawiodłem. – Adam pochylił głowę. – Przepraszam.

Pasterz przypatrywał mu się z napiętą uwagą.

– Jak chcesz naprawić swój błąd? – zapytał po krótkiej chwili, która mężczyźnie z ręką na temblaku wydawała się wiecznością.

– Pojadę tam jeszcze raz.

– Dobrze – ocenił Pasterz.

– Zaraz – uściślił Adam.

– Co dalej?

– Znajdę księgę i unieszkodliwię tego, który jest jej niegodny – wyrecytował jakby wcześniej przegotowany tekst, patrząc przez cały czas nieruchomym wzrokiem ponad ramieniem Pasterza.

Ten lekko, niemal niezauważenie skinął głową, po czym otworzył szufladę w biurku i wyjął zeń czarny przedmiot, który w wyciągniętej ręce,

we władczy, a jednocześnie łaskawy sposób, podał Adamowi.

– Tym razem nie daj plamy, Migasiński – rzekł niezbyt głośno.

Słowa te jeszcze długo huczały w uszach mordercy; nie tylko dlatego, że Pasterz użył jego nazwiska.

XLVII

Elbląg, dzień piąty

Biskup Tadeusz Braun, nowy ordynariusz diecezji elbląskiej, od rana miał pełne ręce roboty. Poranna msza, codzienne modlitwy, śniadanie, przegląd prasy i korespondencji – wszystko niby jak zawsze, to znaczy jak od niespełna roku, bo tyle już minęło od uroczystego ingresu w elbląskiej katedrze pod wezwaniem św. Mikołaja.

Tak, niemal jedenaście miesięcy, co jednak nie przeszkadzało nadal nazywać księdza Brauna „nowym biskupem”. Gorzej, że od kilku dni miał coraz więcej gości. Trudno nazwać ich interesantami, choć wielu nie po co innego, jak właśnie w interesach przychodziło, niemniej bronił się przed tym określeniem, jak tylko mógł.

Obiad biskup Braun spożył w towarzystwie swojego wikariusza generalnego, biskupa Tomasza, a potem nastąpiła dalsza część rozmów z gośćmi. Po wizycie ekipy lokalnej telewizji, która jak co tydzień nagrała słowo boże na niedzielę, kapłan poczuł się zmęczony.

Przez uchylone okno wpadł zabłąkany fragment jakiejś melodii. Na niedalekim placu Słowiańskim zazgrzytał na rozjeździe tramwaj. Od rzeki noszącej taką samą nazwę jak miasto dobiegł charakterystyczny dźwięk syreny wycieczkowego statku, wyruszającego na rejs po jeziorze Drużno. Ktoś zawołał psa, zatrafił samochód.

Już miał udać się do swoich pokoi, aby odpocząć, zaczął nawet żmudną czynność rozpinania sutanny, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Nie spodziewał się już nikogo.

– Proszę – powiedział, zapinając na powrót guziki.

Drzwi uchyliły się lekko, ale przez dłuższą chwilę nikt przez nie nie wchodził. Biskup Braun postąpił dwa kroki do przodu. W tym samym momencie w szparze między drzwiami a futryną zajaśniała siwa głowa. Biskup od razu rozpoznał księdza Emiliana, rezydenta z Kwidzyna.

– Szczęść Boże – przywitał się staruszek; usiłował klęknąć przed zwierzchnikiem, aby pocałować go w biskupi pierścień, ordynariusz jednak szybko pochwycił przyjaciela, zanim ten dosięgnął kolanami podłogi.

– Szczęść Boże, co księdza sprowadza? Jak zdrowie? – pytał zaaferowany, ale szybko pożałował tych naiwnych pytań; dokładnie wiedział, co się stało kilka dni temu w Kwidzynie.

Rezydent kwidzyńskiej katedry oddychał z trudem, ręce staruszka drżały jak w febrze.

– Nie przypuszczałem, że ktoś kiedykolwiek odkryje naszą tajemnicę – rzekł łamiącym się głosem.

– Domyślasz się, kto to może być?

– Nie mam pojęcia. – Staruszek wzruszył ramionami. – Pewnie nie wiesz, że zabili też Serafina Buczyńskiego, który prowadził wykopaliska archeologiczne we Fromborku, a kilka dni temu Józek Nehring cudem uniknął śmierci...

Twarz biskupa przybrała kolor świątecznego opłatka.

Opadł ciężko na oparcie krzesła. Piuska na jego głowie przekrzywiła się nieznacznie, jednak dostojnik nie poprawiał jej. Obie jego ręce leżały sztywno na drewnianych, rzeźbionych podłokietnikach antycznego krzesła, zaciśnięte na nich palce pobieleły od wysiłku. Wzrok kapłana utkwiony był w wiszącej na przeciwległej ścianie, oprawnej w szeroką ramę, starej mapie Prus.

– Co możemy zrobić? – zapytał po chwili.

– Nie wiem – szepnął rezydent. – Zaczynam żałować, że podrzuciłem wtedy ten dokument tym dzieciakom z seminarium...

– Dzieciaki i bez tego wplątałyby się w kłopoty.

– Być może.

Zapadło milczenie. Stary zegar z kukułką wybił trzecią po południu.

– A co zrobiliby On? – zapytał po chwili biskup.

XLVIII

Cholin, 22 kwietnia 997 roku

Gdyby teraz mieli umrzeć, każdy z nich przyjąłby to z tępą obojętnością. To, co ich męczyło od dłuższego czasu, było już przeszłe, niebyłe, jakby nigdy nie istniało.

Jeszcze pacierz albo dwa pacierze temu ludzie, którzy zabili z głodu, zyskaliby w ich oczach zrozumienie i zostaliby całkowicie rozgrzeszeni. Teraz jednak spokój i ciepła błogość wyparły czczy niepokój, połączony z nieludzkimi torturami, jakim poddano ich wnętrzości... Czy za miskę stawy oddaliby ubrania, wyrzekliby się wiary w Boga jedyne go i niepokalane poczęcie Maryi Panny?

Na szczęście żaden z nich nie musiał się już tak poświęcać.

– *Bene* – mruknął z lubością Adalbert.

Pozostali dwaj bracia, Radzim i Bogusza-Benedykt, wyrażali swój zachwyt za pomocą sapania, które przerywane było od czasu do czasu wodnistym siąknięciem. Bo wino dopełniło dzieła. Dzieła najprostszego z możliwych, a może najtrudniejszego – dzieła nasycenia.

Odkąd na swojej drodze przez obcy kraj, z którego wcześniej nakazano im się oddalić pod groźbą śmierci, ujrzeni niewielki gródek, nad którym unosiły się dymy i skąd dolatywał zapach pieczonego mięsa, zbliżała się już bowiem pora posiłku, nie potrafili myśleć o niczym innym. Obute biednie stopy same zaniósł byłego biskupa Pragi oraz towarzyszących mu misjonarzy do osady Prusów. Nie wiedzieli jeszcze, że nazwa jej brzmi: Cholin.

Wbrew obawom tubylcy przyjęli ich serdecznie, od razu zapraszając wędrowców na posiłek. Podano mięso z dzika i jelenia, deski pasztetów rozmaitych i wędlin, zwanych *laitian*, jakich nigdy bracia w ustach chyba nie mieli. Zachwyt szczególny wzbudziła *iuse* – gorąca zupa mięsna. Nie zabrakło też świeżych ryb, miodu i mleka, tak krowiego, jak i koziego. Skórka świeżo upieczonego chleba trzeszczała cicho, gdy rozrywało się ją palcami. Przez cały czas w kominku wesoło strzelały szczapy drewna.

Biesiada odbywała się w domu człowieka, który, sądząc z tego, jak zwracali się do niego pozostali mieszkańcy, rządził gródkiem. Był to mężczyzna w kwiecie wieku, posturę miał słuszną, wzrok bystry i co najważniejsze, znał język Pomorzan, więc misjonarze bez trudu mogli się z nim dogadać. Na imię ów kunigas miał Sicco.

– Kim jesteście, wędrowcy? Co was do nas sprowadza? Komu służycie?
– zapytał, gdy siedzieli jeszcze przy biesiadnym stole.

Miał udzielić odpowiedzi, misjonarze spojrzeli wpierw z bojaźnią na Wojciecha.

Co należało odpowiedzieć na takie pytanie komuś, kto był jednym z tych, którzy za krzewienie nowej wiary zagrozili im pozbawieniem życia? Czy Adalbert zdoła zaspokoić ciekawość gospodarza, który rządzi przygranicznym lauksem i zapewne podejrzliwym dalece jest człowiekiem? Skala biskup język swój kłamstwem czy przeciwnie – odpowie zgodnie z prawdą, tym samym narażając siebie i pozostałych na gniew tubylca, a może i na śmierć...

– Przyszliśmy do was z dobrą nowiną – rzekł powoli Wojciech, odstawiając kielich z winem na stół.

Radzim i Bogusza-Benedykt struchleli. Przeżuwać kęsy mięsa przestali dużo wcześniej, zanim goszczący ich możnowładca zechciał wiedzieć, z kim przyszło mu współbiesiadować.

– Opowiedz nam o niej? – zapytał znów łagodnym głosem Sicco.

Misjonarz ogarnął spojrzeniem wszystkich siedzących: prócz gości i gospodarza byli tu również inni, głównie rodzina Sicca, żony, dzieci, zapewne też i bracia, a także rodzice. Wszyscy od początku z zainteresowaniem przypatrywali się przybyszom, wymieniając od czasu do czasu między sobą uwagi, a nawet chichocząc, co głównie czyniły kobiety.

I wtedy przypomniał sobie Wojciech dom swój w rodzinnych Libicach, gródek piękny, zbudowany przez Sławnika-ojca w miejscu, gdzie rzeka Cedlina wpływa do Łaby. Na równinie, otoczony przez pola, lasy i łąki. Pięknie tam było, szczególnie latem; śmiech głośny i radosny, nawoływania kobiet i dzieci, szczekanie psów i rżenie koni unosiły się nad gródkiem od rana aż po wieczór, kiedy książę Sławnik rozpoczynał długie biesiady, na

które miał zwyczaj spraszać wszystkich możliwych z okolicy.

– Opowiem – rzekł Wojciech.

Zamilkły dzieci baraszkuje dotąd pod stołem, a nawet drewno w kominku przestało skwierczeć.

Były biskup Pragi wyprostował się na ławie, wciągnął w płuca powietrze, po czym rzekł:

– Ukazać wam pragnę prawdziwego, jedyne Boga, sprawcę wszechrzeczy, którego syn, Jezus Chrystus, mesjasz od dawna oczekiwany, za nas ukrzyżowan został. Stało się to niemal tysiąc lat temu, daleko stąd, na pustyni, skąd pochodzi wielu kupców, z którymi zapewne handlujecie. Odległość nie była jednak przeszkodą dla nowej nauki, bo dziś w jedyne Boga wierzy już cała niemal Europa: Germanie i Sasi, Polanie i Czesi, z których ja pochodzę.

Wojciech przerwał, znów spojrzał na twarze otaczających go Prusów.

Czy słuchali go? Tak.

Czy rozumieli jego słowa? Być może.

Co myśleli? Tego nie wiedział.

– Brat mój zginął niedawno w walce z Polanami – odezwał się naraz *nobiles* imieniem Sicco. – Mieszkał niedaleko, w Mokajmach...

Na te słowa Radzim i Bogusza-Benedykt poruszyli się niespokojnie. Ktoś w głębi izby zaszlochał; inny, kobiecy głos odezwał się śpiewnie i płaczliwie, ale też krótko, jakby zdławiony niewidzialną ręką.

– Mów dalej, wędrowcze – rzekł gospodarz.

Dzień miał się już ku końcowi, kiedy Wojciech i Sicco usiedli ramię w ramię na brzegu jeziora. Słońce podbiegało krwią jak ślad po uderzeniu tępym narzędziem, choćby właśnie wiosłem w plecy misjonarza, które znów dały o sobie znać.

Widząc, że gość krzywi się z bólu, poganin zapytał, co mu dolega. Czy to aby jedzenie nie zaszkodziło gościowi na żołądek? Adalbert, zrazu migając się od odpowiedzi, w końcu opowiedział, jaka przygoda spotkała ich już

pierwszego dnia pobytu na pruskiej ziemi. Kunigas nijak tego nie skomentował; zamyślił się tylko głęboko, po czym zawołał znachora, żeby ten obejrzał rany. Misjonarz zgodził się na to i już po kilku chwilach, posmarowany przez czarownika jakimiś tajemniczymi maściami, poczuł wyraźną ulgę.

– Mówisz, że Bóg wasz jeden jest – rzekł Sicco, patrząc gdzieś w dal, na wody jeziora pomarszczone pierwszymi powiewami wieczornej bryzy.

– Jeden – potwierdził Wojciech.

– I nikomu poza nim czci nie oddajecie?

Misjonarz zmarszczył czoło. Ot, pytanie – pomyślał. Nie są ci Prusowie tak źli czy tylko krwi rządni, o czym już trzej wędrowcy zdążyli się przekonać. Nie są też tak głupi i zacofani, a tylko takie sądy o nich słyszał na dworze księcia polskiego Bolesława, kiedy z misją na północ się wybierał.

Wielobóstwo to podstawa religii pogan, ale czy tak naprawdę i chrześcijaństwo nie jest religią, w której po co innego człek modli się do różnych świętych? Przecie dziecko wie, że od gradobicia uchroni cię święty Jana Chrzciciel, a przed dżumą, syfilisem czy trędem święty Jerzy. Świętego Macieja Apostoła wzywają niepłodne małżeństwa, a i sam Wojciech modlił się do niego, gdy rozpoczynał nauki. Przecież dziecko wie, że święty Piotr to orędownik najlepszy, gdy człeka złamie febra czy gorączka.

– Wielu jest synów naszego Kościoła, którzy przez kilkaset lat życie oddawali za wiarę i których mamy obowiązek wspominać po dziś dzień – rzekł po dłuższej chwili Wojciech.

Sicco uniósł w górę lewą brew. Wojciech postanowił uprzedzić pytanie Prusa.

– A do kogo wy się modlicie? – zapytał. – Powiadają w świecie, że nie tylko na niebie będące słońce, księżyc i gwiazdy, i błyskawice, ale też węże i żaby czcicie...

Gospodarz uśmiechnął się.

– Czcimy boga Perkuna – rzekł z dumą. – To pan wojny i błyskawic, i ognia, który na jego cześć znajdziesz w niektórych lauksach płonący tak nocą, jak i za dnia. Spotkasz też Potrimposa, który opiekuje się wodą, i Patolla, i wiele innych bóstw, których więcej niż palców u rąk. Żemina to

bogini ziemi. Rychłą wiosnę sprowadza do nas bóg Pergrubi. Pomaga mu w tym Ajtwar, przychodząc do nas z ciepłym wiatrem.

Wojciech czuł się dziwnie. Gdzieś zniknął ów wewnętrzny głos, który odkąd pamiętał, kazał mu iść i głosić prawdy zapisane w Ewangeli. Choć próbował nie słyszeć odgłosów otaczającego go świata, nie był w stanie złowić choćby i słowa, bo i ono, nawet najkrótsze i najcichsze, zwykle wystarczało, by nie ustawał w drodze, na którą wszedł przed laty.

Przypomnieli mu się za to rodzice. Ojciec Wojciecha, księżę libicki Sławnik, był człowiekiem wielkiego serca i uczciwości. Wspomagał ubogich, samotne matki i sieroty, choć znaleźli się i tacy, którzy za złe mu mieli, że w kościele bywa rzadko, mimo iż nową wiarę przyjął i z żoną żył jedną, Strzeżysławą.

Kiedy na świat przyszło dziecko, któremu na chrzcie dano imię Wojciech, z początku rodzice mieli przeznaczyć go do stanu duchownego. Szybko jednak zmienili zdanie, chłopczyk był bowiem niezwykle urodziwy. Zbyt śliczny, by zostać księdzem!

Śmiał się młody Sławnikowic, gdy o tym usłyszał po latach. I dziękował Bogu, że stało się inaczej. A stało się tak, gdy dnia pewnego dziecko zachorowało. To nie była zwykła przypadłość noworodków. Tym razem bowiem nikt zaradzić nic nie mógł. Pozostała modlitwa żarliwa.

Sławnik i Strzeżysława zanieśli rozpalonego przez gorączkę, ale żywego jeszcze Wojciecha do kościoła, gdzie przyrzekli, że dar ozdrowienia odkupią, przeznaczając chłopca do stanu duchownego. Ich błagalne prośby zostały wysłuchane: młody Sławnikowic został sługą Kościoła, choć jego późniejsza droga krętą była i co raz pod górę wiodła...

– Chciałbym zobaczyć wasz święty gaj – rzekł naraz Wojciech i nie poznał swego głosu.

Sicco spojrzał na misjonarza badawczym wzrokiem, lecz ten nie dostrzegł w nich gniewu.

– Dlaczego? – zapytał kunigas.

Wojciech nie znał odpowiedzi, której mógłby udzielić gospodarzowi i o której wiedziałby, że nie wzbudzi ona jego gniewu. Sicco był tęgim wojownikiem, świadczyła o tym jego postura, blizny i posłuch, jaki wzbudzał

wśród swego ludu. Zapewne nieraz zabił człowieka, Polanina, bo to z nimi, najbliższymi sąsiadami, najczęściej toczyły się krwawe boje. Rozpłatanie głowy misjonarza jednym uderzeniem maczugi czy sękatego kija to pewnie dla niego tyle, co splunąć.

A jednak coś kazało Wojciechowi wypowiedzieć zdanie, które wypowiedział: tylko prośbę, która jednak równie dobrze mogłaby być odczytana jako próba wtargnięcia na święty teren, zbezczeszczenia miejsca kultu. Wciąż też nie wspomniał Wojciech o decyzji wiecu, który kilka dni temu nakazał misjonarzom oddalenie się z kraju pod groźbą śmierci.

Czy Sicco nie wiedział, kim są? A może wiedział, a mimo to udzielił im gościny, jednocześnie planując coś niecnego?

Myśli Wojciecha przerwał odgłos dochodzący z jeziora: to para dorosłych łabędzi wzbijała się właśnie w powietrze, trzepot skrzydeł niósł się po okolicy jak wezwanie. Miały pióra koloru dopiero co opadłego śniegu, ich długie, giętkie szyje przez moment falowały tuż nad lustrem wody, nim ptaki wzniosły się ku niebu.

– To bardzo piękne, ale i mądre stworzenia – ocenił Sicco. – Czy wiesz, że mogą wzbić się w powietrze jedynie pod wiatr?

– Nie wiedziałem o tym – przyznał się Wojciech.

– Coś, co innych zatrzymuje, uniemożliwia dalszą drogę, im pozwala dopiero ją rozpocząć. Z ludźmi bywa podobnie, choć nie zawsze są w stanie pojąć, że to, co mają za koniec, to początek...

– Mówisz o życiu po śmierci? – chciał upewnić się Wojciech. – Słyszałem, że wierzyacie, iż dusza ludzka może odrodzić się w ciele innego człowieka, ale też w ciele zwierzęcia, a nawet gada.

– To prawda – potwierdził Sicco. – Ja jednak nie miałem na myśli śmierci, a dalsze życie. Wiele razy byłem ranny w walce, leżałem sam na polu bitwy, żegnając się z tym światem. Jednak kres nie nastąpił.

Wojciech-Adalbert na powrót zatopił się w rozmyślaniach.

Nie był nigdy porzucony samotnie na polu walki, nie odchodził od zmysłów, czekając na pomoc, a krew jego nie wsiąkała w ziemię. Ale wiele razy przyszło mu zawracać z obranej drogi.

Słońce zgasło dlań po raz pierwszy, gdy ze świata tego odszedł jego

ojciec, księżę Sławnik, a krótko potem biskup Dytmar. Pogodne dotąd oblicze młodego mężczyzny zmieniło się nie do poznania, a troska codzienna poorwała jasne czoło. Będąc już biskupem, żył w ascezie. Jadł mało, spał krótko. Gościł u siebie biednych i potrzebujących, których nigdy nie brakowało. Więźniów i chorych nawiedzał, modląc się przy tym bez ustanku.

Pięknie jednak odwdzięczyli się prażanie swemu biskupowi za miłość, jaką ich obdarzył. Wciąż bowiem w pogańskich związkach z wieloma kobietami trwali, a jeżeli już z jedną, to była ona bita i hańbiona, niewolnikami handlowali i swego pasterza słuchać nie chcieli. Gdy ich opuścił, prosili, by wrócił, obiecywali poprawę.

To jednak tylko czcze słowa były. Znów słuchać go nie chcieli, a i czuł wyraźnie, że łaska księcia czeskiego Bolesława nie jest już tak wielka, jak kiedyś. Gdy to pojął Wojciech, znów gród nad Wełtawą opuścił, oddając się wpierw zakonnemu życiu we włoskich klasztorach, gdzie godność biskupa wspomnieniem mglistym tylko była, a potem zostając misjonarzem. Ta ostatnia droga zaprowadziła go właśnie tutaj, do Prus, kraju pogan.

Rzekł Sicco:

– Czy wiesz, jak smakuje potem każdy nowy dzień, jaki smak ma życie, któregoś o mały włos nie postradał?

Tego Wojciech nie wiedział. Nie wiedział też, że już wkrótce prawda ta będzie mu dana.

Wieczera, którą ugoszczono misjonarzy w przygranicznym grodzie Cholin, niewiele ustępowała posiłkowi, który spożyli oni w południe. Może tylko mniejsza liczba biesiadników zasiadła przy stole; przybysze nie wzbudzali już tak żywego zainteresowania jak w momencie, kiedy przybyli do osady.

Skruszały też lody dzielące przybyszów i tubylców. Łatwiej przebiegała rozmowa, a i Radzim z Boguszą-Benedyktem nie popatrywali już, jak wcześniej, z bojaźnią na Adalberta, tylko wdali się z miejscowymi w dysputę, co nie przeszkadzało im delectować się miejscowymi

przysmakami.

Kiedy wyszli przed chatę, w której biesiadowali, niebo było ciemne. Tylko po zachodniej stronie widoczna była różowa łuna. Gdzieś tam pozostał świat, z którego przyszli. Czy pamiętał jeszcze o nich? Czy w razie czego upomni się o swoje dzieci?

– I co powiesz na to wszystko, bracie? – zapytał półgłosem Radzim Wojciecha, kiedy stali we trzech pod wysokim ostrokołem otaczającym grodzisko.

– Jagnięcina była przednia – ocenił Bogusza.

– Tak, nie była najgorsza – zgodził się były biskup Pragi. – Nie pamiętam, kiedym kosztował naraz tyle mięsiwa. Myślę, że będzie się należała za to długa modlitwa. Na klęczkach!

Radzim, choć przez jego żyły przeciskało się teraz pruskie wino i miód, nie był jednak w nastroju do żartów.

– Chcę wiedzieć, co zamierzasz? – naciskał. – Książę polski Bolesław oczekuje od nas zdecydowanych działań.

Spojrzał na brata. Nigdy nie widział go takiego – Sławnikowic był rozgorączkowany, niespokojny, trzęsły mu się ręce, a na czole, widać to było w świetle ognisk, perlił się pot.

– Nie wiem – odparł wreszcie. – Na razie Sicco proponuje nam nocleg. Może rano Bóg ześle nam jakieś rozwiązanie.

Śniło mu się, że biegnie. Lekko, na palcach, jakby ciało nic nie ważyło.

Jako mały chłopiec tak biegał. Stopami ledwo muskał trawę libickich łąk, by potem moczyć je w chłodnej wodzie Cedliny. Uszy wypełniał mu szum wiatru, niedopuszczający głosów dorosłych, przywołujących niesfornego malca.

W tym śnie jednak biegło mu się coraz trudniej. Spojrzał tedy w dół i zamiast trawy ujrzał brudne kamienie ulicy jakiegoś miasta. Praga to była? A może Rzym? Nie mógł tego stwierdzić. Nie mógł się też zatrzymać.

Naraz, jak spod ziemi, wyrosła przed nim niewiasta. W oczach miała łzy,

drżała. Mówiła coś do niego, jednak nie był w stanie usłyszeć ani jednego słowa. Kobieta wpiła się palcami w jego sutannę, szarpała zgrzebny materiał, nie chciała puścić. Co chwila odwracała głowę, jakby w obawie, że ktoś może ich zobaczyć.

– Co czynisz? – zapytał, ale głos jego wydał mu się dziwnie ciężki, jakby należał do wielkiego, a jednocześnie niezwykle powolnego człowieka albo ranionego śmiertelnie zwierzęcia.

Nieznajoma kobieta usiłowała coś tłumaczyć, jej spierzchnięte wargi układały się w słowa, których jednak nie był w stanie odczytać.

Nagle z bocznej uliczki wybiegli jacyś ludzie. Dostrzegł najpierw ich oczy, oczy szaleńców. Coś krzyczeli, ale i tego nie słyszał. Kilku mężczyzn wymachiwało toporami i mieczami. Palce wszystkich, mężczyzn i kobiet, wycelowane były w niewiastę. To ona była celem ataku, to w nią miały godzić topory i miecze.

– Ratuj mnie! – usłyszał naraz jej głos, gardłowy, nieludzki, zniekształcony przez strach.

Tłum był coraz bliżej. Wojciech dostrzegł znajome drzwi klasztoru św. Jerzego.

Chwycił mocno za ramię kobiety, nie czując go wcale, i pociągnął ją za sobą. Okute żelazem wrota otworzyły się same. Ledwie znaleźli się w środku, biskup puścił kobietę, chwycił oburącz za skrzydła furty i zatrzasnął je tuż przed napastnikami.

Kiedy jednak obejrzał się za siebie, nie dostrzegł uratowanej. Dopadł drzwi, uchylił przesłone judasza i aż jęknął z przerażenia: niewiasta, którą sam wydarł był z rąk oprawców, ciągnięta była za włosy po bruku. Chciał krzyknąć, ale z gardła jego nie wydobył się ani jeden dźwięk. Chciał bić pięściami w drzwi, lecz nie był w mocy podnieść rąk.

W pewnej chwili jeden z napastników uniósł topór i zamachnął się.

Głowa kobiety potoczyła się po bruku jak główka kapusty...

– Nie!!!

Obudził się zlany potem.

Ten koszmarny sen kiedyś wydarzył się naprawdę: tak zginęła żona jednego z patrycjuszy, oskarżona o cudzołóstwo. Nawet biskup Pragi,

znajdując kobiecie kryjówkę w świętych murach klasztoru, nie był w stanie jej obronić.

Rozejrzał się dookoła. Nie od razu rozpoznał miejsce, w którym się znajdował. Oczy bardzo powoli przyzwyczajały się do ciemności, w końcu jednak dostrzegł śpiących obok towarzyszy. Leżeli w habitach, w jednej z chat, na kopie siana, tak jak sobie tego zażyczyli. Wojciech słyszał tylko ich miarowy oddech, a także oszalałe bicie własnego serca. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki.

Usiłował zebrać myśli. Noc, a z nią spokój i cisza, sprzyjały kontemplacji. Kiedy mieszkał w klasztorach na Monte Cassino i na Awentynie, zgodnie z regułą wstawał około północy, odmawiał z braćmi modlitwy, po czym kładł się z powrotem. Działo się tak w porze jesienno-zimowej, bo już wiosną i latem niemalże od razu po nocnych modłach następowała jutrznia.

Radzim miał rację. Nie po to tu przybyli, by napychać sobie brzuchy. Książę Bolesław, który przyjął Adalberta pod swój dach gnieźnieński, gdy ten znalazł się w potrzebie, oczekiwał od nich czynów. Prusowie zagrażali młodemu państwu Polan, zaś chrystianizacja tych plemion mogła położyć kres nadgranicznej gorączce.

Wtem z zewnątrz dobiegły jakieś głosy. Wojciech nastawił uszu.

Ktoś rozmawiał w języku tubylców. Dwóch mężczyzn. Misjonarzowi wydawało się, że rozpoznał głos Sicca.

Skrzypnęły drzwi. Wojciech wstrzymał oddech. Zabiją nas we śnie – ta jedna myśl zmroziła mu serce. Nie był jednak w stanie choćby ruszyć ręką; gdyby nawet mógł i tak nie miałby czego nią sięgnąć. Chyba tylko krucyfiks i brewiarz...

– Zbudźcie się, wędrowcy – powiedział ktoś.

Mrok rozproszyło światło płonącej pochodni. W drzwiach chaty stał sam Sicco.

– Co się stało? – Wojciech wstał z siana; pozostali misjonarze spali wciąż jak zabici.

– Nasi strażnicy zatrzymali intruza – wyjaśnił półgłosem kunigas. – Mówi, że was zna.

Po kilku chwilach obaj mężczyźni szli wąską ścieżką w stronę głównej bramy Cholina. W poświęcie ognia ujrzał Wojciech kilku strażników, a wśród nich spętanego powrósłami mężczyznę.

Kiedy ten ujrzał misjonarza, padł na kolana i odezwał się w języku Pomorzan.

– Zlituj się nade mną, panie! – zajęczał pojmany mężczyzna.

– Kim jesteś? – zapytał Wojciech.

– Nie jestem szpiegiem! Od kilku dni podążam za wami, od samego Gdańska.

– Jak się nazywasz?

– Imię moje Niedamir. Ochrciłeś mnie przed kilkoma dniami...

XLIX

Frombork, dzień piąty

– Przed użyciem zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania – sylabizował z trudem Brodacz – bądź skonsultuj się z lekarzem...

– ...albo grabarzem – dokończył Rudy. – Gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża twojemu życiu.

– ...lub współżyciu.

Zarechotali, jak tylko można śmiać się z własnego dowcipu. W palcach Brodacza zaszeleściła niewielka foliowa torebka. Trzask zapalanej zapalki. Po chwili po pokoju rozniósł się charakterystyczny, słodki zapach.

Było wczesne popołudnie. Ewa Rimmel, Tomasz Horn, a także gdańscy archeolodzy, osieroceni przez profesora Buczyńskiego, a teraz znów, za sprawą tajemniczych ludzi w habitach, bezrobotni, spędzali wolny czas w wynajmowanej na czas wykopalisk fromborskiej kanonii.

– Trzymaliśmy ten *staff* na szczególną okazję – rzekł Rudy, podając osmoloną lufkę Magdzie, która jednak pokręciła głową.

– Czyli? – zainteresowała się Ewa.

– Gdy coś znajdziemy. Ale jak sami wiecie...

Ewa skrzywiła się. Wymienili z Hornem porozumiewawcze spojrzenia. Nie, nie tak wyobrażali sobie dalszy ciąg tej historii.

Pierwsze kroki z kościoła św. Mikołaja, zajętego przez dziwnych ludzi w mniszych habitach, skierowali do urzędu gminy celem sprawdzenia, czy świątynia została zamknięta zgodnie z przepisami.

Horn trzymał rękę w kieszeni, by w razie potrzeby pomachać legitymacją dziennikarską. Jednak okazało się to zbyteczne. Urzędniczka była bardzo miła i wcale nie zamierzała robić tajemnicy. Z posiadanych przez nią dokumentów wynikało, że były gmach fary przeszedł właśnie w użytkowanie związku religijnego o niezbyt oryginalnej nazwie Wspólnota Odnowy.

Zarówno Hornowi, jak i Ewie nazwa ta kojarzyła się z chrześcijańskimi ruchami, których przedstawiciele, a przede wszystkim przedstawicielki w kolorowych chustkach na głowach, długich spódnicach i rozciągniętych swetrach spotykało się drepczących z plecakami i fałszujących przy gitarze na pielgrzymkach do Częstochowy.

Postanowili pod nieobecność księdza Nehringa zasięgnąć jeszcze informacji u proboszcza fromborskiej katedry. Ten jednak, usłyszawszy nazwę związku, zrobił wielkie oczy. Potem posmutniał, a potem jeszcze zdenerwował się, gdy opowiedzieli mu o okolicznościach przedpołudniowej awantury w kościele św. Mikołaja.

– W naszej kurii jest specjalny ośrodek informacji o sektach – rzekł proboszcz podekscytowany.

– Której kurii? To niedaleko? – Ewa była nie mniej zaaferowana.

Proboszcz ni to sapnął, ni to parsknął.

– Nie chodzi o kurie fromborskie, ale o kurię biskupią – rzekł. – Tam z pewnością udzielą wam jakichś informacji. Sam zresztą zamierzam interweniować w tej sprawie u biskupa. Przecież to katolicki kościół!

– Trudno się dziwić księżulkowi – skomentował Horn, kiedy wraz z Ewą opuścili plebanię na Wzgórzu Katedralnym. – Przecież nikt nie lubi obcych na swoim terenie.

– Mnie bardziej martwi los naszych stanowisk – warknęła ze złością dziewczyna. – Pewnie je zniszczą, zakopią albo... – zawiesiła głos.

– Albo coś znajdą.

Spojrzała na niego ciężkim wzrokiem, przygryzła wargi jak dziewczynka, której przed chwilą zabrano ukochaną lalkę.

– Albo coś znajdą – powtórzyła jak leniwe echo.

Niestety, reszta ekipy archeologicznej nie podzielała tych obaw. Raczej cieszyli się z kolejnych wolnych dni, za które w dodatku im płacono.

– Chcecie bucha? – Rudy wyciągnął w ich stronę lufkę, na której końcu tlił się już niewielki ogienek.

Ewa spojrzała na nią z obrzydzeniem.

– Nie, dzięki – odparł Horn z uśmiechem godnym zakłamanego polityka.

– Chyba skoczmy z Ewką do miasta na jakieś piwo.

– Tak, to dobry pomysł – zapaliła się dziewczyna, wstając szybko z krzesła.

W powietrzu czuć było już coraz bardziej wyraźny oddech zbliżającej się jesieni. Mimo to Ewa wciąż paradowała w stroju, w którym Horn ujrzał ją po raz pierwszy.

– Jeszcze kilka dni, a będę chodzić tędy z zamkniętymi oczami – zaśmiał się cicho, kiedy stromą uliczką, na którą sypały się już z drzew pierwsze liście, zmierzali ku Zalewowi Wiślanemu.

Dziewczyna nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż nagle usłyszeli za plecami tupot kilku par nóg. Tomasz odwrócił się i przewrócił oczami.

Nici ze spaceru we dwoje. Gonili ich Magda i Brodacz. Dopiero po chwili z min obojga wyczytał, że coś się musiało stać.

– Dzwonili z policji... – Magda usiłowała złapać oddech, ale wyręczył ją Brodacz:

– Profesor Krasiński – rzekł, ale i on się zaciął.

– Co?! – krzyknęli równocześnie Ewa i Horn.

– Właśnie wyłowili go z zalewu – dokończył szeptem archeolog.

Przed posterunkiem policji we Fromborku panował spokój i błoga cisza. Błogosławieństwo małych miasteczek, gdzie w przeciwieństwie do metropolii, w których do okienka z dyżurnym mundurowym ustawiały się

kolejki pobitych, okradzionych, pogryzionych przez psy – nie działa się nic albo prawie nic.

Gdyby popatrzeć na gmach ów przez dłuższą chwilę, można by było wręcz odnieść wrażenie, iż jest on zupełnie opustoszały: nikt nie wchodził ani nie wychodził, jakby wszelkie zło na zawsze zniknęło z tego świata, ludzie byli dobrzy, nie nastawali na siebie ani na mienie, więc i aparat przymusu nie był potrzebny. Promienie sierpniowego słońca kładły się bezgłośnie na pokrytej różowym tynkiem ścianie posterunku.

Ewa w dwóch susach pokonała schodki prowadzące do drzwi, szarpnęła klamkę. W oczach kobiety malowało się przerażenie, jeśli nie szaleństwo.

– Pospieszcie się! – krzyknął do pozostałych Horn, łapiąc za krawędź drzwi puszczonej przez archeolożkę.

W środku panował przyjemny chłód. I cisza. Złowieszcza.

Zanim wzrok Horna przywykł do półmroku, Ewa Rimmel biegła już korytarzem w kierunku schodów.

– Halo! A państwo dokąd? – z okratowanego okienka dobiegł groźnie brzmiący głos dyżurującego policjanta; zdołał on jednak zatrzymać tylko Magdę i Brodacza.

Horn zrównał się z archeolożką.

– Pokój numer pięć – wyszeptała.

Mijali właśnie drzwi z namalowaną wyjątkowo dużą i niezbyt zgrabną czwórką.

– To tam – stwierdził również szeptem Horn.

Jeszcze dwa kroki. Stukot podszew o zdeptane gumoleum brzmiał irytująco głośno, odbijając się echem od ścian, jakby maszerowali przez jakąś jaskinię.

– Ty wejdz pierwszy – powiedział, gdy już stanęli przed drzwiami poszukiwanego pokoju.

Nie oponował. Wciągnął do płuc powietrze, zapukał i nie czekając na wezwanie, nacisnął klamkę.

Drzwi uchyliły się. Świecące prosto w okna słońce poraziło go w oczy. Mimo to był w stanie dostrzec, że pokój jest pusty. W bocznej ścianie znajdowały się jednak jeszcze jedne drzwi.

– Dzień dobry – zawołał tyleż z grzeczności, co chcąc się zabezpieczyć na wypadek posądzenia o bezprawne wtargnięcie na czyjś teren czy nawet próbę kradzieży.

Rozległ się odgłos kroków. Po chwili w drzwiach stanął policjant poznany przez nich w Wieży Radziejowskiego w dniu, w którym przyjechali do miasta i w którym w planetarium znaleziono ciało profesora Serafina Buczyńskiego.

– Słucham? – Funkcjonariusz wydawał się zaskoczony wizytą.

Po chwili jednak dostrzegł Ewę, która niemal bezszelestnie weszła do pokoju numer pięć.

– Dzień dobry – bąknęła.

– A, tak. Przypominam sobie. – Mężczyzna klepnął się w czoło trzymanym w prawej ręce plikiem zadrukowanych kartek. – Dobrze, że tak szybko państwo przyszli. Proszę usiąść. – Wskazał dwa krzeselka stojące naprzeciwko biurka.

Czy tak siada się w gabinecie lekarza-onkologa, który za chwilę przekaże złe wieści? – zapytał sam siebie w myślach Horn. Jakież inne skojarzenia? Egzamin na studiach u profesora-piły. Ostatnia rozmowa z dziekanem. Pierwsza wizyta w... urzędzie stanu cywilnego?

– Dziś rano przybiegł do nas wędkarz i... – zaczął policjant.

– Skąd wiecie, że to Krasiński?! – Ewa przerwała mu bezceremonialnie.

Policjant popatrzył na nią ze zdziwieniem, ale bez złości.

– Zalew wyrzucił na brzeg... – zaczął mówić, ale tym razem przerwał sam. – Czy dobrze się pani czuje?

Pytanie nie było bezzasadne. Horn spojrzał z ukosa na Ewę. Była blada jak papier. Nie ocierała spływających po policzkach łez.

– Chciałabym zo... zobaczyć zwłoki – wyjąkała Rimmel.

Policjant zmarszczył brwi jak profesor, którego nieprzygotowany do egzaminu student usiłował wprawić w tak zwany dryf. Równie szybko jednak jego brwi uniosły się w wyrazie najwyższego zdziwienia.

– Przepraszam, ale chyba się nie zrozumieliśmy – powiedział z niewinnym uśmiechem. – Profesor Krasiński został znaleziony żywy, choć wycieńczony. Właśnie został przewieziony na OIOM szpitala w Braniewie...

Odsunięte gwałtownie krzesło Ewy huknęło o podłogę.

– Przepraszam – bąknął Horn, rozkładając ręce, po czym odwrócił się, wyszedł z pokoju i ruszył biegiem w ślad za archeolożką.

L

Braniewo, dzień piąty

Podróż zajęła im kilkanaście minut. Samochód Horna, od kilku dni nieużywany, sam rwał się do jazdy. Z drugiej strony szosa była dość wąska, gęsto oszpalerowana drzewami i pełna zakrętów. Dłuższą chwilę zajęło im też odnalezienie placówki w samym mieście. W końcu jednak udało im się natrafić na okazały gmach.

Główne wejście do szpitala powiatowego było oflagowane. Transparenty i ludzie w białych fartuchach kręcący się w pobliżu schodów i siedzący na ławkach wzdłuż prowadzącej do lecznicy alejki – wszystko to nie pozostawiało wątpliwości, że w szpitalu trwa strajk.

– Ale profesora chyba przyjęli? – zapytała Horna Ewa, co było pierwszym dłuższym zdaniem, jakie wydobyła z siebie od chwili opuszczenia posterunku we Fromborku.

– Na pewno – odparł ze spokojem.

Zamknął samochód. Ewa tym razem na niego poczekała. Szybkim krokiem ruszyli w stronę wejścia.

– Ciekawe, czy jest przytomny... – zastanawiała się głośno.

W drzwiach szpitala Horn niemal zderzył się z jakimś mężczyzną. Jego twarz wydała mu się skądś znajoma.

Kapitan Marcin Wójcik był szybszy.

– O, Tomek, znów się spotykamy! – Przywitał go z uśmiechem. – Jeszcze doba nie minęła.

Oficer był po cywilnemu i to dlatego Hornowi nie udało się od razu go rozpoznać.

– Kolejna akcja? – spytał, ściskając dłoń znajomego.

- Skąd, mam tu babcię – odparł komandos.
- Miło było znów cię zobaczyć, kapitanie.
- I wzajemnie, redaktorze.

Ewa ze wstrzymywaną z trudem irytacją przysłuchiwała się tej wymianie uprzejmości. Na szczęście nie trwała długo. Nerwowe spojrzenie na zegarek, potem gdzieś dalej, ponad ramieniem rozmówcy. Pożegnali się krótko, można powiedzieć – po żołniersku. To spotkanie sprawiło jednak, że Horn jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

– Teraz wiem na pewno, że profesor tu jest – wyjaśnił i dodał. – I chyba jest przytomny.

Jeszcze rzut oka na tablicę informacyjną, by dowiedzieć się, gdzie jest oddział intensywnej opieki medycznej. Za obronę przed spodziewanym atakiem, który mógł nastąpić mimo trwającego strajku, służyć miała pewna mina i dziarski krok.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – powiedziała Ewa, gdy szli szpitalnym korytarzem.

– Tak?

– Kilka dni temu, gdy zapytałeś, co komisarz Matejuk powiedział na twoje nagranie...

– Że jasełkami się nie będzie zajmował. – Horn pamiętał doskonale, dlatego że trochę go to wtedy ubodło. – A co?

– Ja mu wszystkiego nie powiedziałam.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Dlaczego?

– Dlatego, że wierzyłam... nadal wierzę, że profesor Krasiński nie ma z tym nic wspólnego. Że jest niewinny!

Horn westchnął ciężko.

– Mam nadzieję, że zaraz się o tym przekonamy – rzekł cicho.

Niespełna pół minuty później znaleźli się na oddziale.

– Państwo są z rodziny? – zapytała siedząca za kontuarem dyżurna pielęgniarka, gdy już dotarli na miejsce.

– Tak! – skłamali jednocześnie.

Siostra otaksowała badawczym wzrokiem najpierw Ewę, potem Horna,

który w tej samej chwili spojrział w bok; w połowie długości korytarza, pod ścianą siedział na krześle policjant.

– Muszą państwo najpierw porozmawiać z doktorem – powiedziała sucho pielęgniarka. – O, właśnie idzie.

Salę szpitalną wypełniało słoneczne światło. Na samym środku znajdowało się łóżko, nad którym świeciła i popiskiwała specjalistyczna aparatura. Podłączony do niej za pomocą różnych kabelków i rurek, leżący na łóżku profesor Zbigniew Krasiński zdawał się drzemać.

Na szczęście Ewa nie straciła głowy na widok szefa.

– W jakim jest stanie? – zapytał Horn doktora.

– Ciężkim, ale stabilnym – odparł lekarz.

Ile to razy słyszał takie określenie, o którym nie wiadomo, co myśleć: cieszyć się, dziękować opatrności czy dzwonić po księdza i zamawiać zgrabną trumienkę?

– Wypił dużo wody, a wcześniej ktoś go nieźle potraktował – dorzucił doktor.

Nagle Krasiński zaczął się ruszać. Lekarz podszedł do aparatury, zaczął coś regulować, potem zajął się samym pacjentem.

Wtedy profesor uniósł powieki. Przez kilka sekund rozglądał się po suficie i ścianach.

– Zbyszek, poznajesz mnie?! – Ewa dopadła łóżka, chwyciła swojego profesora za rękę, mało nie wrywając mu z żyły wenflonu.

Krasiński przypatrywał się kobiecie. Czy ją rozpoznał? Z jego twarzy ciężko było cokolwiek wyczytać.

– Wystarczy – powiedział lekarz, odsuwając na bok Rimmel.

Wtedy stało się coś dziwnego: wargi chorego zaczęły miarowo się poruszać, jednak wydobywał się z nich tylko niewyraźny świst. Ewa pochyliła się nad leżącym, zbliżyła ucho do jego spierzchniętych ust.

– Nic nie rozumiem – jęknęła. – Postaraj się!

– Tak nie można! – Lekarz był coraz bardziej poirytowany.

- Co?! – krzyknęła Ewa, której małżowina niemal dotykała ust profesora. Nikt z obecnych w sali nie mógł nie usłyszeć, co powiedział Krasiński.
- Wspól... nota... Od... nowy.

LI

Elbląg, dzień piąty

Około piątej po południu samochód Tomasza Horna zatrzymał się przed siedzibą kurii biskupiej na ulicy Świętego Ducha. Mieścił się tutaj również punkt informacyjny, w którym można było się dowiedzieć czegoś na temat działających w Polsce sekt.

Przed kamieniczką, stojącą w niedalekiej odległości od katedry, trwał gorączkowy ruch. Jacyś ludzie z telewizyjnymi kamerami i mikrofonami w rękach dyskutowali o czymś zawzięcie, przez cały czas spoglądając jednak czujnie ku drzwiom kurii.

– Co się dzieje? – Horn zagadnął jakąś dziewczynę w okularach, dzierżącą w dłoni mikrofon z sześcianem, na którym widniało logo jednej z komercyjnych rozgłośni radiowych.

– Czekamy na oświadczenie biskupa – odpowiedziała reporterka.

– A o co chodzi?

– Jak to? Nie wiesz? – Dziewczynę wyręczył stojący obok łysy facet, który trzymał na ramieniu kamerę z symbolem regionalnej telewizji. – Ktoś przysłał do gazety zdjęcia, na których biskup zabawia się z panienkami z agencji towarzyskiej.

– Co takiego?

– Kuria oczywiście twierdzi, że to ohydna potwarz i fotomontaż.

– A nie jest tak? – rzucił ktoś z tłumu.

– Poczekamy, zobaczymy – powiedział kamerzysta tonem hydraulika stojącego przed kranem, z którego na potęgę leje się woda.

– Właśnie czekamy na kolejne oświadczenie – zakończyła radiowa reporterka.

– Choć już, Tomasz. Mamy inne problemy. – Ewa pociągnęła Horna za rękaw.

Drzwi kamienicy były otwarte, jednak zaraz za nimi czuwał strażnik, zwalisty mężczyzna w czarnym swetrze, który z miejsca obsobaczył nowo przybyłą parę.

– Mówiłem, żebyście czekali na zewnątrz! – fuknął gniewnie.

– My do centrum przeciwdziałania psychomanipulacji – wyrecytowała bez zająknięcia Rimmel, obdarzając mężczyznę uśmiechem. – To tutaj, prawda?

– Drugie piętro. Do końca korytarzem, ostatnie drzwi po lewej stronie – wyjaśnił cerber.

Niespiesznym krokiem weszli na schody, czując wyraźnie na plecach wzrok strażnika. W kilka chwil po wyłożonych miękką, bordową wykładziną stopniach wspięli się na drugie piętro i dotarli do właściwego pokoju.

Przyjęła ich młoda, zaczesana gładko dziewczyna w okularach w szarej oprawie i szarej sukience. Jej skromny, niemalże ascetyczny wygląd sprawił, że Horn przez chwilę wahał się, czy zwracać się do niej per pani, czy może... siostrze.

Ewa szybko wybawiła go z tego kłopotu.

– Chcielibyśmy uzyskać od ciebie pewne informacje – zaczęła bezceremonialnie, zajmując jedyne wolne krzeselko, stojące przed biurkiem.

– Słucham – odpowiedziała słabym głosem specjalistka od sekt.

I ktoś taki miałby pomóc wyrwać dzieciaka ze szpon sekty? – pomyślał Horn, patrząc z politowaniem na kruchą osóbkę, a potem na ściany pokoju, zajęte przez regały ze skoroszytami, kalendarz ze świątyniami oraz okazałych rozmiarów krucyfiks.

Kiedyś, wiele lat temu, jeszcze w czasach licealnych, sam miał w życiu podobny moment. Nie, nie ratował nikogo z sekty. Sam otarł się o nią. Działał wtedy w organizacji ekologicznej. Jeszcze nie byli to Zieloni, tym bardziej Greenpeace. Raczej grupka zapaleńców połączonych ideą czystej Warmii i czystych Mazur.

Spotykali się, organizowali odczyty, spotkania z naukowcami, wreszcie wzięli się za akcje w rodzaju wyławiania śmieci z rzek oraz protesty

przeciwko organizowaniu samochodowego rajdu w okresie lęgowym ptaków. Wkrótce jednak wszystko to zaczęło się nudzić, a że nie było jeszcze internetu, należało jakoś rozszerzać horyzonty.

W któryś weekend pierwsza grupa ekologów, w tym i Tomasz Horn, wybrała się z wizytą do nieodległego ośrodka. Już z pierwszego wykładu, którego tam wysłuchali, dowiedzieli się, że początków człowieczeństwa na Ziemi upatrywać należy w lądowaniu kosmitów. Dzięki zabiegom mutacyjno-genetycznym stworzony został człowiek. Około 2000 roku miała jednak nadejść seria katastrof, które zniszczą Ziemię. Cała ludzkość zginie, z wyjątkiem garstki osób, które zostaną przetransportowane na odległe planety, by tam tworzyć nowe życie.

Jednak prawdziwy problem pojawił się późnym wieczorem, kiedy przywódca sekty, starszy pan, bardzo chciał zbliżyć się do jednej z licealistek, jak to mówił, żeby „nawiązać kontakt energetyczny”. Skończyło się na tym, że Horn wraz z grupką znajomych zabarykadowali się na noc w pokoju, a wczesnym rankiem szybko pobiegli na PKS.

Otrząsnął się z zamyślenia, w czym pomógł mu dźwięk upadającego segregatora.

– Owszem, mamy Wspólnotę Odnowy w naszym rejestrze. – Dziewczyna w szarościach z wprawą wertowała jakieś wydobyte z segregatora dokumenty, na które już niedyskretnie popatrywała Ewa. – Co państwa interesuje?

– Czy są niebezpieczni – odpowiedziała zdecydowanie archeolożka.

Chwilę trwało, zanim dziewczyna dokopała się do odpowiednich danych, co trochę dziwiło, gdyż jedną z pierwszych rzeczy, jaka rzuciła się w oczy Hornowi, był stojący na biurku komputer z płaskim monitorem i umieszczoną na nim kamerą internetową. Ten ostatni element, plus stojący nieco z boku mikrofon najlepiej zdradzały przeznaczenie tego sprzętu.

– Związek wyznaniowy, o który państwo pytacie, został zarejestrowany pod nazwą Wspólnota Odnowy dnia drugiego października ubiegłego roku, więc działa od niedawna – rzekła dziewczyna. – Jest wpisany do rejestru kościołów i innych związków wyznaniowych, prowadzonego przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, pod numerem dwieście trzysta...

– Aż tyle mamy w Polsce kościołów? – zdziwił się Horn.

– Jest ich znacznie więcej, choć nie tyle co na przykład w Stanach Zjednoczonych – odparła informatorka. – O ile Kościół katolicki obrządku łacińskiego ma w naszym kraju ponad trzydzieści trzy miliony wiernych, a drugi pod względem liczebności Autokefaliczny Kościół Prawosławny pół miliona, to istnieją też zarejestrowane kościoły czy związki wyznaniowe, które mają nawet zaledwie po kilkuset członków.

– Jak się w tym rankingu ma Wspólnota Odnowy? – zapytała Ewa nie bez złośliwości.

– Należy do tych ostatnich, choć dane na temat liczby wyznawców nie są nigdy zbyt dokładne. To tak samo jak z katolikami. Niby ponad trzydzieści milionów ludzi w Polsce deklaruje się jako katolicy, jednak gdyby policzyć wiernych w kościołach, ta liczba byłaby z pewnością o wiele mniejsza. Oczywiście, jeśli chodzi o zwyczajne msze święte. Gdybyśmy bowiem spojrzeli, ile osób podczas Bożego Narodzenia dzieli się opłatkiem, obraz ten znów byłby inny. Podobnie jeśli chodzi o sprawy z gatunku ostatecznych, czyli pogrzeby...

– Tak samo jak chrzciny, śluby, komunie – w głosie Ewy zagrała wyraźnie nutka zniecierpliwienia. – Proszę się nie obrazić, ale coraz częściej skłaniam się ku temu, że Kościół katolicki to jedna wielka instytucja... ubezpieczeniowa!

– Daj spokój – syknął Horn, zupełnie jak mąż uspokajający żonę, która wszczyna awanturę w sklepie. Ewę jednak najwyraźniej bardzo zafrapował ten temat.

– A nie jest tak? Życie duchowe przeciętnego katolika w naszym kraju niewiele różni się od wykupywania polis czy opłacania kolejnych rat – stwierdziła z przekonaniem zabarwionym nutką pretensji.

– Co pani ma na myśli? – chciała wiedzieć dziewczyna w okularach.

– A to, że jak damy księdzu, który przychodzi po kolędzie, kopertę z ofiarą, to zapewni nam to bezpieczeństwo na przyszłość. Od czasu do czasu wypada iść do kościoła jak na przegląd rejestracyjny pojazdu. Dziecko wyprawić do komunii, by i ono było bezpieczne i nie czuło się poszkodowane, bo inni dostali prezenty. Wypowiadać się, żeby nie było

ukrytych usterek.

Tomasz, pełen obaw, spojrział na dziewczynę ze skoroszytem. Jak zareaguje na śmiałość, a może nawet bezczelne sądy archeolożki?

Informatorka rozejrzała się na boki, jakby w obawie, że ktoś może ją usłyszeć, i nachyliła się w stronę Ewy.

– Myślę tak samo jak pani – powiedziała ściszone głosem, po czym odchrząknąwszy, jęła przewracać dokumenty w segregatorze. – Tak jak powiedziałam, Wspólnota Odnowy działa od niedawna, deklaruje się jako Kościół chrześcijański, natomiast na jej czele stoi Wiktor Ratz.

– Ksiądz Ratz? – próbował uściślić Horn.

Informatorka pokręciła głową.

– Z posiadanych przez nas dokumentów wynika, że nikt nigdzie i nigdy nie wyświęcił Wiktora Ratta na duchownego. Wniosek z tego taki, że jest on samozwańczym duchownym. Z relacji kilku osób, które miały do czynienia z sektą, wiemy dodatkowo, że człowiek ten każe nazywać się po prostu Pasterzem.

– Po prostu – powtórzyła jak echo Ewa. – Jakie to proste: Pasterzu. A czemu nie od razu: Boże?!

– Co jeszcze mówili uciekinierzy z sekty? – naciskał Horn.

– Przede wszystkim w relacjach tych powtarzały się słowa o surowej dyscyplinie, która panuje w ośrodku. Drogą do odnowy duchowej ma być właśnie bezwzględne podporządkowanie się Pasterzowi. Członkowie sekty to ludzie w różnym wieku. Dużo jest, jak zawsze, poszukującej swojego miejsca na ziemi młodzieży, a także wiele osób, które w ostatnim czasie straciły pracę, co na naszych terenach jest dość częste. Mamy też dane o byłych więźniach, którzy swoje pierwsze kroki po wyjściu z zakładów karnych skierowali właśnie tam.

– Ciekawe – mruknął Horn.

– Takich właśnie ludzi: najsłabszych, biednych, zagubionych, najłatwiej jest sobie podporządkować. Powiedzieć im, co jest dobre w ich życiu, a co złe. Wymusić wyrzeczenie się ich własnych rodzin i zastąpienie ich nową rodziną, wspólnotą.

– Co jeszcze? – Ewa bezceremonialnie spojrzała na zegarek.

– Członkowie Wspólnoty Odnowy zobowiązani są nosić czarne habitę i wyzbyć się wszelkich bogactw. Rzadko opuszczają też ośrodek, który zamieszkują. Jeżeli już, to celem dokonania niezbędnych zakupów.

– Skąd macie takie informacje, jeśli wolno spytać? – zdziwił się Horn.

– Tym się właśnie zajmujemy. Poza tym relacje osób, które opuściły zgromadzenie, też okazały się niezwykle cenne.

– Skoro są osoby, które opuściły zgromadzenie, to widać można to zrobić, nie ponosząc żadnych konsekwencji – zauważyła przytomnie Ewa.

– Niezupełnie.

– To znaczy?

– Za każdym razem takiemu odejściu towarzyszyła policja, jak również ktoś od nas, psycholog, nie mówiąc już o zapłakanej rodzinie. Szarpanina, spazmy, a nawet zbiorowe modlitwy tych, którzy zostawali w sekcie. Wszystko to było na porządku dziennym. Wiktor Ratz rzucał klątwę, ale i to nie było w stanie złamać tych, którzy postanowili odejść, a już na pewno nie ich ojców i matek. Od pół roku jednak nikt stamtąd nie wyszedł.

– Są może dane, czy prócz wspomnianego ośrodka sekta ma jeszcze jakieś pasywa? – zapytała Ewa, spojrzawszy znacząco na Horna.

– Nie mam takich danych – oznajmiła krótko informatorka. – Ostatnia aktualizacja miała miejsce wczesną wiosną.

Zapanowała cisza. O szybę w oknie pokoiku huknął nagły powiew wiatru. Stojący na biurku komputer wydał z siebie charakterystyczny dźwięk komunikatora Gadu-Gadu. Dziewczyna jednak nawet nie mrugnęła powieką.

– Tak, to chyba nam wystarczy – Horn podniósł się z krzesła. – Czy dostalibyśmy od pani adres Wspólnoty Odnowy?

Informatorka bez słowa zapisała coś na żółtej karteczce.

– A czy mogę wiedzieć, do czego potrzebna jest państwu ta wiedza? – zapytała nagle, by równie szybko zacząć się usprawiedliwiać: – Oczywiście, takich informacji udzielamy każdemu, kto się do nas zwróci. Chodzi mi o to, że może i państwo okazaliby się pomocni dla nas.

– W jaki sposób? – zapytała Ewa, dopiero teraz podnosząc się z miejsca.

– Czy we Wspólnocie Odnowy jest w tej chwili jakaś wasza bliska osoba. Dziecko, partner, znajomy?

Ewa Rimmel i Tomasz Horn zgodnie pokręcili głowami.
Żadne z nich nie wiedziało jeszcze, jak bardzo zasadne było to pytanie...

LII

54°17'N, 19°26'E, dzień piąty

Ręka już prawie nie bolała. Przynajmniej nie tak mocno, jak jeszcze wczoraj i rano.

Tak, powinien trzymać ją na temblaku, jak nakazał ten konował. Ale przecież on nie wierzy lekarzom. No i uniemożliwiłoby to prowadzenie samochodu. A inaczej nie dostałby się tam, dokąd miał się dostać.

Musiał się dostać!

Spieprzył sprawę, więc teraz powinien się zrehabilitować. Pozostawała jeszcze kwestia tego, co zrobi, kiedy już będzie na miejscu, jednak na razie nie zaprzętał sobie tym głowy. Część odpowiedzi na to pytanie znajdowała się w bagażniku samochodu.

Adam Migasiński lubił wyjeżdżać z ośrodka. Owszem, czuł się tam bezpiecznie, był wśród swoich, a przede wszystkim pod opieką Pasterza. Jednak prędzej czy później zaczynała mu doskwierać nuda. To ta natura wiecznego włóczęgi, którego zawsze ciągnie do świata, choćby na poniewierkę i niepewny chleb...

Uwielbiał te pierwsze chwile po wyjeździe za bramę. Siedział za kierownicą, był bez habitu, tylko w jasnej koszuli, świeżo wykąpany i ogolony. Za chwilę sięgnie do schowka po przeciwsłoneczne okulary, których przecież nie mógł nosić na terenie ośrodka. Wierzeje zamykały się bezszelestnie, psując widok braciom pełniącym tutaj służbę. Wrzucał wtedy drugi bieg i naciskał na gaz. Czuł się wówczas wolny, naprawdę wolny!

Pierwsze, co zawsze robił, kiedy już wiedział, że brama jest zamknięta, było dociśnięcie do oporu pedału gazu. Land rover był posłuszny, a silnik grał niczym najpiękniejsza muzyka i reagował natychmiast, czego efektem, gdy było sucho, stawał się tuman gęstego kurzu, znaczący drogę od ośrodka

ku ścianie lasu. Koła terenowego samochodu z łatwością pokonywały wyboje polnej drogi. To wystarczyło, że Adam prawie zapomniał o kontuzji.

Po kilku minutach wjechał na asfaltową szosę. W samochodzie nagle ucichło. Nie mogąc znieść tej ciszy, chcąc nie chcąc, włączył samochodowe radio. Właśnie podawano najnowsze wiadomości.

– Jak stwierdził rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, polsko-rosyjskie negocjacje w sprawie obwodu kaliningradzkiego mają szansę na kontynuację – czytał spiker.

– Już... Niedoczekanie wasze! – syknął kierowca ze złością, szarpiąc dźwignię skrzyni biegów.

– Organizacja Narodów Zjednoczonych, chcąc nie dopuścić do dalszej eskalacji konfliktu, deklaruje, że podejmie się roli niezależnego obserwatora – ciągnął radiowy lektor. – Rozmowy, o których mówi się, że na ich miejsce tym razem wybrany zostanie sam Kaliningrad, mogłyby się rozpocząć w przyszłym tygodniu...

LIII

54°21'N, 19°41'E, dzień piąty

Służbowy polonez, w którym siedzieli komisarz Artur Matejuk i ksiądz Józef Nehring, zbliżał się do Fromborka od strony Tolkmicka. Tam zjedli późny obiad.

– I co, przemyślał pan moją propozycję, komisarzu? – zapytał ksiądz.

Matejuk kiwnął lekko głową.

– Owszem, zastanawiałem się nad tym trochę – odparł półgębkiem, nie odrywając wzroku od szosy, mimo że w tym momencie była ona zupełnie pusta, a do tego prosta i sucha.

Prawda była taka, że myślał od wielu godzin, choć niekoniecznie akurat o tym, co przed południem powiedział ksiądz. Wróg mający już na sumieniu trzech towarzyszy księdza Józefa, mimo że najprawdopodobniej ranny od postrzału, nadal cieszył się wolnością. A jeżeli jest ich więcej? Kto za tym

wszystkim stoi? – zadawał sobie w kółko te same pytania.

– Póki co ograniczyłbym się do znalezienia sprawcy napadu na księdza – powiedział po chwili Matejuk.

– Rozumiem. Polowanie – rzekł cicho ksiądz Nehring.

– Słucham?

– Mówię, że odzywa się w panu pierwotny instynkt. I jest to zupełnie zrozumiałe. Miał pan go na muszce, całkiem blisko, a jednak chybił. Zawiódł pan i teraz koniecznie chce się poprawić. Jak w grze komputerowej.

Matejuk czuł, że się czerwieni. Co sobie, do cholery, myśli ten klecha? – pomyślał ze złością. Za kogo mnie ma? Za jakiegoś Brudnego Harry’ego?! Poza tym wcale nie chybił. Inaczej ksiądz nie siedziałby tu teraz...

– To niezupełnie tak – rzekł po chwili komisarz.

– Mam nadzieję, że pan się nie gniewa za to porównanie. Proszę wybaczyć staremu człowiekowi.

– Chodzi o polowanie?

– Nie. O grę.

– Mam założone filtry – odpowiedział instynktownie Matejuk i znów spiekł raka.

Na szczęście wjechali już w uliczki Fromborka, by po kilku chwilach zatrzymać się przed kościołem św. Mikołaja.

LIV

Frombork, dzień piąty

– Jeden normalny. – Adam rzucił na blat kilka monet.

Kobieta w kasie wcale się nie spieszyła. Ile można sprzedawać głupi bilet do muzeum? – denerwował się. Szybko jednak powściągnął gniew. Nie może się denerwować. Nie teraz, gdy ma do wykonania ważne zadanie. Przecież nie może znów zawieść Pasterza!

– Proszę – jego uszu dobiegł metaliczny głos kasjerki i na blacie pojawił się zadrukowany kawałek papieru, uprawniający do wejścia na teren muzeum

na Wzgórzu Katedralnym.

Bez słowa wziął bilet i oddalił się od kasy. W kilka chwil pokonał dziedziniec i zatrzymał się przed wejściem do Wieży Radziejowskiego. Akurat do środka wchodziła jakaś zorganizowana grupa młodzieży.

Zdjął z ramienia długi pakunek, przełożył go do zdrowej ręki i trzymając blisko ciała, wmieszał się w tłum.

– Proszę państwa, pierwszy punkt na naszej trasie to słynne wahadło Foucaulta – rozległ się głos muzealnej przewodniczki. – Wahadło, które służy do oznaczania ruchu obrotowego Ziemi, składa się z linki stalowej o długości dwudziestu ośmiu metrów oraz kuli ważącej czterdzieści sześć i pół kilograma... Kilka dni temu linka została zerwana, raniąc dotkliwie kilka osób – dorzuciła jako ciekawostkę, jednak chyba bez większego efektu. – Przejdźmy dalej...

Wycieczka zaczęła się powoli przesuwać w akompaniamencie rozmów, śmiechów, bzyczenia słuchawek z muzyką i popiskiwań telefonów komórkowych.

Adam przylgnął do ściany, po czym zaczął przemieszczać się w stronę niszy, którą upatrzył sobie na kryjówkę.

Po kilku chwilach, upewniwszy się, że jest sam, niemal bezszelestnie podbiegł w kierunku schodów i starając się trzymać tuż przy ścianie, zaczął pięć się ku górze. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami prowadzącymi na taras. Na szczęście były otwarte. Odetchnął z ulgą, po czym wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą dokładnie drzwi.

Wiatr wiał dość mocny, ale on się tym nie przejmował. Da sobie radę. Położył futerał na ziemi, otworzył zamki i uniósł wieko.

Po chwili trzymał w ręku długi karabin z lunetą, po której pieśczośliwie przesunął palcami. Podobnie stało się z zamkiem i cynglem. Zabójca położył się na posadzce, przyłożył policzek do zimnej kolby i wdychając zapach oliwy używanej do konserwacji broni, zaczął ustawiać przyrządy celownicze. Po chwili w okrągłym okularze, podzielonym przez krzyż z podziałką, ukazało się wejście do kościoła św. Mikołaja.

Strzelec wstrzymał oddech, kiedy tłum dla krzyża stali się dwaj mężczyźni. Palec wskazujący miękko zawinął się na cynglu.

Nagle stało się coś, czego się nie spodziewał.

– Co się dzieje?

Oderwał oko od lunety, starając się zetrzeć z niego mgiełkę, po czym znów je przyłożył.

Nie, nie mylił się...

– Jaka wspólnota, do cholery? Gdzie są archeolodzy?! – denerwował się Matejuk, gdy wraz z księdzem Nehringiem stali przed drzwiami kościoła.

Rozmawiający z nimi mężczyzna w habicie zmierzył ich pogardliwym spojrzeniem.

– Tak jak powiedziałem – burknął. – Kościół przeszedł na własność naszej wspólnoty. Nie ma tutaj żadnych archeologów. Proszę się oddalić, bo wezwę policję.

Matejuk omal nie prychnął śmiechem, jego ręka już nurkowała do kieszeni, gdzie trzymał swoją odznakę. Ale ksiądz powstrzymał go.

– Nie, nie trzeba. Załatwimy to inaczej – powiedział półgłosem, a i do niesympatycznego furtiana zwrócił się bez cienia złości. – Przepraszamy za najście. Z Bogiem.

Odpowiedział mu huk zatraskiwanych drzwi, które wypchnęło z wnętrza świątyni powietrze przesycone zapachem spalenizny.

– I co teraz? – zapytał policjant, kiedy już szli w kierunku samochodu.

Józef Nehring nic nie odpowiedział. Krocząc powoli, niemal dostojnie jak w procesji Bożego Ciała, którą lubił szczególnie, starał się uporządkować myśli kotłujące się w jego głowie.

Wszystko, co dotychczas zaszło, układało się w jedną, przerażającą całość. Usiłował wyobrazić sobie cierpienia, jakie zadano jego trzem przyjaciółom, z którymi łączyła go tajemnica. Dlaczego tak okrutnie zostali ukarani? Jak powstrzymać to szaleństwo?! – zastanawiał się. Modlił się ze wszystkich sił za ich dusze, a jednocześnie myślał, co robić dalej. Przede wszystkim zaś starał się wyrzucić z serca gniew na tego, który to zrobił.

Ale tego ostatniego, mimo najszczerzych chęci, nie potrafił. Tym

bardziej teraz, gdy ta sama siła odpowiadała najprawdopodobniej również za bezpardonową napaść na biskupa Tadeusza, o której chwilę temu usłyszał w radiu.

A teraz jeszcze ta sekta. Czy ma ona coś wspólnego z tą sprawą?

– Musimy koniecznie porozumieć się z Ewą i tym dziennikarzem – powiedział Matejuk.

– Z Hornem – dokończył ksiądz.

– Tak, z nim. – Komisarz skinął głową. – Gdzie oni mogą być?

– Nie wiem.

– I czy w ogóle wiedzą, co się stało w kościele?

Stali oparci plecami o poloneza jak turyści, którzy zastanawiają się, czy spędzić w tym miejscu czas, czy może jednak poszukać atrakcyjniejszych widoków albo tańszej oferty hotelowej.

– Nie można do nich zadzwonić? – zapytał naraz ksiądz Nehring.

Matejuk wzruszył ramionami.

– Jasne, że można. Ale trzeba znać numer.

Takiego żartu nie powstydziliby się nawet mistrz-mechanik samochodowy w znajomym zakładzie pod Kwidzynem! Przez twarz Matejuka przebiegł cień uśmiechu, który mógł pociągnąć za sobą nieuchronny wybuch wesołości, ale udało mu się powstrzymać.

Uratował temu księdzu życie, w ciągu kilkunastu godzin zdążyli się poznać lepiej niż niektórzy ludzie przez całe lata, w dodatku łączyła ich tajemnica – choć z pozoru niedorzeczna, nad wyraz wydumana teoria, ale zawsze to tajemnica. Coś, co było ważne dla tego człowieka.

Poza tym Artur zawsze denerwował się, kiedy w filmach bądź czytanych przez niego książkach ludzi, którzy widzieli UFO, nikt nigdy nie traktował poważnie. Dlatego postanowił, że on, gdy tylko usłyszy coś takiego, będzie się starał uwierzyć.

– Chyba wiem, gdzie można ich znaleźć – powiedział po chwili, po czym otworzył drzwiczki swojego poloneza.

– Może lepiej przejdźmy się – zaproponował łagodnie Józef.

Jakieś dziecko jeździło na rowerku po pobliskim ryneczku. Matejuk pomyślał w tym momencie o swojej żonie i córeczce.

– Jasne – komisarz przystał na propozycję księdza.

Zamknął samochód, po czym obaj nie za szybkim, ale też niezbyt wolnym krokiem ruszyli w kierunku katedry.

Adam Migasiński zbiegał z Wieży Radziejowskiego. Kilka razy pośliznął się i omal nie spadł ze schodów. Futerał z karabinkiem snajperskim, na którego złożenie miał zaledwie kilka chwil, ciążył mu, ale on tulił go do siebie jak najcenniejszy skarb; w futerale coś wciąż irytująco postukiwało, jednak nie było czasu, aby to naprawić.

Znów nie wykonał zadania. Nie nacisnął tego cholernego spustu!

– A pan co tu robi?! – krzyknęło jakieś babsko uzbrojone w mokrą ściereę do podłogi, zastępując mu przejście, kiedy był już na dole.

– Z drogi! – ryknął.

Przestraszona sprzątaczką, mimo swych korpulentnych kształtów, aż podskoczyła. Usunęła się z drogi, jednak i tak została potrącona ramieniem, a może pakunkiem, który niósł biegnący mężczyzna. Chwilę później widać odzyskała jednak wrodzony wigor, bo wrzasnęła na całe gardło:

– Złodziej! Ludzie, łapać złodzieja!

Adam był już jednak na dziedzińcu katedralnym i przez nikogo niezatrzymywany, pędził co tchu w kierunku głównej bramy kompleksu.

Przez cały czas kotłowały mu się w głowie pytania, na które nie znał lub bał się poznać odpowiedzi. A jednak należało je zadać.

Co tu robili jego współpracownicy? Czy Pasterz wiedział, że tu są? Czy ma to coś wspólnego z jego misją, którą otrzymał kilka tygodni temu i którą miał skończyć dzisiaj? No właśnie, skończyć. Nie zawieść znów zaufania. To ostatnie wciąż było wykonalne.

Tylko musi się pospieszyć.

54°17'N, 19°26'E, dzień piąty

Pasterz ponad wszystko cenił sobie porządek.

Widać to było najlepiej po jego gabinecie, sąsiadującym z pokojami prywatnymi, gdzie mieściła się między innymi sypialnia i biblioteka. We wszystkich tych pomieszczeniach panował ład i czystość. Równo stojące meble bez śladu kurzu, żadnego zapomnianego talerzyka, łyżeczki, kartki papieru. Przyzwyczajenie, jeszcze z dawnych lat.

To upodobanie do porządku przenosił Pasterz także na czas. Niemal każda chwila jego życia była wcześniej dokładnie zaplanowana, zapisana, zapamiętana, co więcej, człowiek ów trzymał się swego rozkładu dnia, jak tylko potrafił.

Nic więc dziwnego, że tego samego wymagał od swoich uczniów – mieszkańców ośrodka, członków powołanej przez niego do życia Wspólnoty Odnowy. Wszystkich obowiązywały jednakowe żelazne zasady, kojarzące się, zresztą bardzo słusznie, z surową klasztorną regułą.

Dlatego z wielkim zdziwieniem, które szybko zamieniło się w złość, Pasterz przyjął nagły wybuch głośnego śmiechu. Siedział właśnie przy biurku i przygotowywał homilię, którą miał wygłosić następnego dnia. Było późne popołudnie, jego uczniowie powinni być gdzie indziej i zajmować się czymś zgoła innym.

Nie, nie powinien był tego usłyszeć.

Szybko wstał zza biurka i sprężystym krokiem, który – tak samo jak umiłowanie porządku – pozostał mu z dawnych lat, podszedł do drzwi gabinetu. Już układał sobie w myślach całą litanię, przy pomocy której obruga siostry. Jak mogły zapomnieć, że jedną z podstawowych powinności członka ich wspólnoty jest, obok posłuszeństwa i wyzbycia się wszelkich dóbr materialnych, nieustająca kontemplacja?!

– Gdzież jest wiara wasza?! – krzyknął, otwierając gwałtownie drzwi.

Nie, nie spodziewał się takiego widoku.

Owszem, były we wspólnocie kobiety. Maria, była narkomanka, której uroda zapłaciła największą cenę za lata zgubnego nałogu. Była też Jadwiga, kobieta posunięta w latach, którą mąż alkoholik wyrzucił z domu przed

paroma miesiącami. Było wreszcie kilka innych kobiet, starszych, młodszych, jednak za żadną z nich żaden zdrowy mężczyzna nawet nie obejrzałby się na ulicy. Ale te trzy, które w najlepsze chichotały – i to gdzie: pod drzwiami samotni Pasterza! – za nic mając obowiązujące w ośrodku nakazy i zakazy, były... po prostu inne.

– Przepraszamy. – Jedna z nich, na pewno nie miała jeszcze trzydziestu lat, spojrzała na niego tak, że aż zaniemówił; nie tylko słowo boże, ale żadne inne słowo nie przeszłoby mu teraz przez gardło.

Opanuj się – przywołał się w myślach do porządku.

– Gdzież jest wiara wasza? – powtórzył swoje pytanie, tym razem już nieco spokojniej i ciszej, ale z zamiarem bezwzględnej wyegzekwowania odpowiedzi.

I pomyśleć, że kiedyś wystarczyło tylko zapytać o nazwisko, by postawić delikwenta do pionu – pomyślał z pewnym rozrzewnieniem. Niepotrzebne krzyki, pohukiwania czy inne metody, od których nie stronili jego koledzy. Wyrazny głos, odpowiednio władczy i lekceważący ton – to najlepsza broń. Nie zapominając, rzecz jasna, o długopisie i notatniku.

– Gośka, co ja mam teraz odpowiedzieć? – kobieta, która wywarła na Pasterzu tak wielkie wrażenie, zwróciła się scenicznym szeptem do stojącej obok koleżanki, trącając ją łokciem.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – syknęła w odpowiedzi jej rudowłosa towarzyszka.

Dopiero teraz doszło do niego, czego one tu szukają i jak tłumaczyć ich niezgodne z regułami wspólnoty zachowanie. Bo czyż nie on sam wpadł na pomysł, by wyjść naprzeciw modzie, która jakiś czas temu zagościła wśród młodych Polek i Polaków? Duchowe SPA. Tak nazywała się nowa moda, polegająca na weekendowym, a czasem i dłuższym pobycie w klasztorach. Tu, odcięci od telefonu komórkowego i przenośnego komputera, stosów dokumentów i kolumn liczb, ludzie ci mogli odpocząć w ciszy, a może nawet w modlitwie.

Czy odpoczną, czy w ogóle jeszcze to potrafią, to już inna sprawa. Grunt, że wiele polskich klasztorów przeżywało w ostatnim czasie najazd spragnionych ciszy i kontemplacji, mniszej kuchni, ziółek, śpiewów o jutrzni,

a może tylko osób podążających za modą i wiedzionych namową znajomych z pracy.

Z początku Pasterz miał poważne wątpliwości, czy i jego Wspólnota Odnowy mogłaby się stać modnym azylem dla zapracowanych, szukających ciszy i spokoju bogatych ludzi. Była nim dla wszystkich błędzących, dla których miejsca nie stało w ich wcześniejszym świecie. Ale czy spodoba się tu, w skromnych progach, beneficjentom tego świata? – zastanawiał się wiele razy.

Szybko jednak doszedł do wniosku, że bardziej niż gdziekolwiek indziej! Przecież już sama nazwa zgromadzenia obiecywała zmiany. Nie, nie można było zwlekać. Tym bardziej że w osławionym klasztorze tynieckim pod Krakowem na owe SPA trzeba było zapisywać się już na rok następny.

Dał ogłoszenie w krajowej gazecie, odczekał dwa tygodnie, może miesiąc i... stało się. Do ośrodka przyjechali pierwsi spragnieni ciszy i kontemplacji.

Oto miał przed sobą swoich gości.

– Nic nie szkodzi – rzekł dobrotliwie, po czym dodał: – Proszę się czuć jak u siebie.

Sam nie poznał swojego głosu.

– Jesteście zmęczone – rzekł po chwili. – Wasze dusze potrzebują spokoju i wyciszenia, a przede wszystkim dobrego, mądrego przewodnika.

Przez kilka sekund obie kobiety patrzyły na niego jak na jakąś niezmierną zjawę.

– Chciałyśmy się tylko zapytać, o której będzie kolacja – wykszusiła wreszcie jedna z kobiet, ta o rudych włosach, którą koleżanka nazwała Goską.

– Na wieczery wszyscy spotykamy się o zachodzie słońca – odparł Pasterz z dostojeństwem.

– No właśnie, na wieczery – kobieta poprawiła się niczym rasowa szóstoklasistka. – No to, tego... Bóg zapłać!

Kobiety ruszyły w stronę zabudowań ośrodka, gdzie mieściły się pokoje gościnne, wciąż szepcząc coś między sobą i trącając się łokciami.

Pasterz tylko pokręcił głową. Bóg nie zapłaci, to jasne. Ale wy, owszem. Jeszcze nie wiecie, jak słono – pomyślał, zamykając starannie drzwi swojej

samotni.

LVI

54°21'N, 19°41'E, dzień piąty

Ewa Rimmel i Tomasz Horn wracali z Elbląga. Zatopieni w rozmyślaniach, od kilkunastu minut nie wypowiedzieli ani jednego słowa. Kiedyś taka cisza byłaby dla Horna bardzo krępująca, teraz jednak niewiele sobie z tego robił.

– Otworzę okno – powiedziała w pewnym momencie archeolożka.

Na jak długo miało wystarczyć tak krótkie zdanie? Prawdę mówiąc, było mu to obojętne. Wrócił myślami do sytuacji, której świadkami byli przed siedzibą kurii.

Od kilku dni obserwował dziwne wydarzenia, w których udział brali mniej lub bardziej ważni hierarchowie Kościoła. Czy ktoś w tym kraju jeszcze ich słuchał? Czy może w istocie było tak, jak mówiła Ewa?

A polscy święci?

Święta Jadwiga, która wieki temu osobiste klejnoty przeznaczyła na ratowanie podupadającej Akademii Krakowskiej, dziś zakłada prywatną uczelnię. Ciągnie od naiwniaków grube pieniądze na czesne, choć w przeciwieństwie do swoich studentów zdaje sobie doskonale sprawę, że produkuje przyszłych bezrobotnych.

Święta Kinga wydobywa sól na potęgę, zalegając z wypłatą pensji dla górników.

Święty Albert Chmielowski kupuje najnowszy model porsche. Stać go. Bryluje na salonach w blasku modnego malarza, którego dzieła osiągają zawrotne ceny, tak w kraju, jak i za granicą. Czasami rzuci kilka groszy biedakowi w zamian za popilnowanie auta.

Święta Faustyna Kowalska sprzedaje telewizory plazmowe. Objawienia, wizje, siła wyobraźni wspomagana przez żarliwą wiarę – to już przeszłość! Teraz wystarczy nacisnąć odpowiedni przycisk na telewizyjnym pilocie.

Święty Stanisław ze Szczepanowa nie postawi się już królowi Bolesławowi Szczodremu. Będzie spiskował za jego plecami, nagrywał rozmowy (po pijaku i na trzeźwo), gromadził kwity, przekupywał świadków, w najlepszym razie stworzy stronnictwo, które będzie dążyć do obalenia władcy i przejęcia rządów.

Święty Jan z Kęt, właściciel wydawnictwa książkowego, drukuje tanie romanse.

Święty Maksymilian Kolbe nie wystąpi już z szeregu na placu apelowym obozu w Auschwitz. Wie, że się nie opłaca.

Czy Kościół katolicki potrafił jeszcze przekonać Polaków, by żyli zgodnie z Dekalogiem?

W przedniej szybie samochodu pojawiła się fromborska katedra. Zupełnie tak jak kilka dni temu, gdy oboje przyjechali tu z Kwidzyna w poszukiwaniu profesora. Dziś los Krasińskiego był już znany, on sam względnie bezpieczny.

Pytań i wątpliwości jednak nie było, wręcz przeciwnie.

– Do kościoła czy do kurii? – zapytał Horn; zabrzmiało to trochę jak na niedzielnych zakupach: dokąd szanowna małżonka sobie życzy, na dział mięsny czy warzywny?

– Na górę – odpowiedziała Ewa, jakby obudzona z letargu.

Po kilku chwilach Horn zatrzymał samochód przed kanonią. Wysiedli.

– Zobacz, ksiądz i Artur! – zawołała dziewczyna.

Rzeczywiście, znajoma para stała w pobliżu kurii. Coś jednak było dziwnego w ich zachowaniu; zarówno proboszcz Nehring, jak i komisarz z Kwidzyna wyglądali, jakby ich nie poznawali. Żadnego uśmiechu ani wesołego machania ręką. Obaj stali sztywno, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, a nawet nieco od niego odstającymi.

– Jesteśmy! – krzyknęła wesoło niczego nieświadoma Ewa, idąc w stronę znajomych.

Naraz rozległ się trzask, jakby ktoś blisko złamał suchą gałązkę. W tym samym momencie zza muru kanonii wystrzeliła dotąd niewidoczna, skulona postać i w ułamku sekundy pierzchnęła w gęste zarośla otaczające budynek. Horn rzucił się przed siebie. To, co ujrzał, sprawiło, że przerażenie zmroziło

mu krew w żyłach. Na ziemi leżał komisarz Matejuk. Na jego piersi powiększała się krwawa plama.

– Zasłonił mnie w ostatniej chwili... – wyszeptał pochylony nad nim ksiądz Józef.

Nitki babiego lata oblepiły mu twarz. Zdarł je z obrzydzeniem, jednak nie przestawał biec. Wąska ścieżka wiła się między gęstymi drzewami. Plecy zabójcy co chwila znikały w pola widzenia. Horn sapał. Jego nogi, coraz boleśniej wyginane w kostkach za sprawą wystających z ziemi korzeni, stawały się coraz cięższe. Jednak za każdym razem, gdy uciekinier pojawiał się w zasięgu jego wzroku, dostawał jakby nowy zastrzyk adrenaliny. Zaraz cię dopadnę! – powtarzał sobie w myślach i przyspieszał.

Nagle, mimo łzawiących od podmuchu powietrza i wysiłku oczu, dostrzegł przed sobą szeroki rów. Zatrzymał się w ostatniej chwili, drobiaż stopami. Pochylony nad przepaścią, machając jeszcze rękami dla odzyskania równowagi, patrzył na ziemię usypującą się spod nóg.

Nagły ból dziąseł, zapomniany od lat młodszych. Potarł oczy i spojrzał przed siebie: gałązki drzew jeszcze kołysały się, poruszone przez uchodzącego zabójcę.

– Stój, kurwa! – ryknął na całe gardło, aż zapiekło go żywym płomieniem.

Jednym susem przesadził rów i zaczął biec dalej, uniesionymi rękami chroniąc twarz przed uderzeniami gałęzi. Ledwo jednak poczuł w sobie kolejny przypływ sił i nadziei, kiedy jego uszu dobiegł szum zapuszczanego silnika. Drzewa i zarośla skończyły się gwałtownie.

Horn wybiegł na dukt dokładnie w chwili, gdy terenowy samochód z zabójcą w środku ruszał z miejsca, strzelając spod kół piachem i resztkami zmiażdżonej ściółki pomieszanych z chmurą spalin.

Stał na środku piaszczystej drogi, stanowiąc idealny cel dla strzelca, jednak w tym momencie nie myślał o tym. Zlany potem, oddychał ciężko. Dłonie zaciśnięte w pięści, opuszczone wzdłuż ciała, dygotały w bezsilnej

złości. Po raz kolejny w ciągu kilku dni przegrał wyścig i znów wróci z niczym – do tych samych ludzi! W momencie gdy zdał sobie sprawę z tego, że z auta w każdej chwili może paść strzał, land rover przyspieszył, by po sekundzie zniknąć mu z pola widzenia.

Jedynie, co mógł teraz zrobić, to powtórzyć w myślach numery rejestracyjne pojazdu.

Kiedy wrócił, pod kanonią zatrzymywała się karetka pogotowia. Z ambulansu wyskoczyło dwóch sanitariuszy i lekarka, wszyscy w czerwonych kombinezonach. Zrobiło się zamieszanie: prócz leżącego wciąż na ziemi policjanta i pochylających się nad nim Ewy i księdza Józefa na miejscu byli też archeolodzy: Brodacz, Rudy i Magda, których zapewne z kanonii wyciągnęły strzały, a także jacyś ludzie, których Horn nie widział wcześniej.

– Proszę się odsunąć, proszę zrobić przejście! – wołała lekarka, torując drogę dla sanitariuszy z noszami.

– Zastąpił nam drogę, wyszedł dosłownie spod ziemi – mamrotał ksiądz Nehring, spoglądając po twarzach gapiów, jakby szukał wśród nich zrozumienia.

Lekarka i jeden z sanitariuszu pochylili się nad Matejukiem. Policjant miał zamknięte oczy i bladą twarz, był nieprzytomny.

Ewa zbliżyła się do Horna. Brwi dziewczyny były zmarszczone, czoło orały poprzeczne zmarszczki, w oczach nie było jednak śladu łez.

– Czemu to zrobiłeś? – zapytała przez ściśnięte gardło. – Czemu za nim biegłeś?

– Co? – Sprawiał wrażenie, jakby nie dosłyszał pytania.

– Przecież mógł też ciebie zabić!

Zaciśnięte w pięści dłonie dosięgły piersi dziennikarza. Seria głuchych uderzeń, początkowo szybkich, potem coraz wolniejszych. Mężczyzna stał nieporuszony, patrząc ponad ramieniem archeolożki.

– Zabieramy go – zarządziła lekarka.

Sygnal syreny było słychać jeszcze długo po tym, jak karetka zjechała ze wzgórza. Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Wkrótce przed kanonią stała już tylko czwórka archeologów i Horn; ksiądz Nehring pojechał razem z postrzelonym Matejukiem.

– Po prostu jakiś Sajgon – przeżywał Brodacz, gestykulując zawzięcie, jakby opowiadał jakiś obejrzany właśnie film. – Siedzimy sobie spokojnie, oglądamy telewizję, a tu nagle trach! Myślałem, że to może ekipa znajomków do nas przyjechała, bo mają takiego gruchota, co strzela. A tu naraz wpada ten księżulo i mówi, żeby dzwonić po pogotowie.

– Przez cały czas do niego mówiłam, bo zaczął tracić świadomość... – wyszeptała Ewa.

– Wszystko będzie dobrze. – Magda objęła ją ramieniem. – Na pewno się wylize – dodała, choć już bez przekonania.

Zaległa cisza. Naraz od strony katedry dobiegł złowróżbny dźwięk dzwonów. Spojrzeli po sobie. Tylko Brodacz zachował zimną krew.

– Wpół do szóstej – bąknął, spojrzawszy dla pewności na zegarek. – Kto dziś robi kolację?

Wszyscy spojrzeli na niego, jakby to on był człowiekiem, który pociągnął za spust.

LVII

okolice Elbląga, dzień piąty

Biskup Tadeusz Braun nacisnął sprzęgło i wrzucił piąty bieg. Silnik volkswagena jetty pracował miarowo, a jego dźwięk niósł ukojenie zmysłom kierowcy.

Dopiero siedząc za kierownicą, jadąc szeroką, pustą niemal szosą, biskup Braun czuł, że naprawdę odpoczywa. Zwykle całości dopełniało jeszcze grające radio, ale akurat teraz duchowny nie chciał go włączać. Wiedział dobrze, co w nim usłyszy.

Nie uciekał od prawdy. Ta przecież była jedna: padł ofiarą ohydnej

provokacji, co od razu zostało oficjalnie ogłoszone przez kurię. Kto za tym stał – nie wiadomo. Mówiło się o służbach obcego wywiadu. Ktoś inny spekulował, że jest to zemsta na biskupie za jego nieprzejednaną postawę w wielu trudnych i spornych sprawach, a tych nigdy nie brakowało. Tylko sam zainteresowany milczał.

Po naradzie z najbliższymi współpracownikami biskup postanowił, że na kilka dni opuści miasto. Chcieli, żeby jechał z kierowcą, ale on zdecydowanie odmówił. Wywołało to konsternację. Dobrze wiedział, że wciąż pokutuje w tym miejscu historia jednego z jego poprzedników, który prowadząc na podwójnym gazie, spowodował wypadek samochodowy. Wielu ludzi pamiętało też innego biskupa z południowej Polski, który również samemu prowadząc auto, zginął w tragicznym wypadku drogowym.

Nie rozpoznany przez nikogo (przed siedzibą kurii, mimo zapadającego już zmroku, wciąż czatowało kilku dziennikarzy, ale dało się ich z łatwością zmylić cywilnym strojem i czapczką z daszkiem), dostał się do swojego samochodu i spokojnie ruszył w stronę zachodnich przedmieść.

Ledwo w bocznych szybach samochodu przestały migać światła miasta, a kierowca zmienił światła na drogowe, powróciły wspomnienia.

Późną jesienią 1984 roku był młodym wikarym, który pracował w jednym z kościołów na gdańskim Przymorzu. Miał bezpośredni kontakt zarówno ze stoczniovcami, jak i wspierającymi ich mieszkańcami dzielnicy i całego miasta. Organizował zbiórki darów dla działaczy internowanych tamtej grudniowej nocy, która miała zmieść z powierzchni ziemi nie tylko cały pierwszy wolny związek zawodowy, który powstał rok wcześniej, ale także marzenia o nim.

Ksiądz Braun wspierał zatem więźniów, odwiedzał ich, podtrzymywał na duchu także ich rodziny, organizował msze za ojczyznę. Nikt do końca nie wiedział, co władza jest w stanie jeszcze zrobić, aby powstrzymać walący się system. Czy będą strzelać do ludzi jak w grudniu 1970 roku, czy może poprzestaną tylko na zamknięciu działaczy i zastraszaniu ich rodzin?

Dziewiętnastego października 1984 roku jechał, tak jak dziś, sam, fiatem 125p. Trasa wiodła z Gdańska do Warszawy, gdzie wikary miał spotkać się z przedstawicielami komitetu prymasowskiego.

Od początku miał wrażenie, że ktoś za nim jedzie, dlatego nie pojechał trasą E81 (tak wówczas nazywała się dzisiejsza „siódemka”), a kluczył. Z Gdańska jechał „jedyneką”, potem odbił na Bydgoszcz, następnie ruszył w stronę Torunia. „Ogon” jednak wciąż się za nim ciągnął.

Dopiero przed Toruniem wydało mu się, że jadący za nim samochód skręcił w boczną drogę. Tak się tym faktem ucieszył, że z całych sił nacisnął pedał gazu. Silnik fiata zarzęził rozpaczliwie, ale ksiądz Tadek nie myślał wtedy nawet o tym, ile drogocennej benzyny w tej chwili spala. Kłopot, któremu na imię było „ogon”, nie istniał, więc kierowcę znów cieszyła samotna jazda przez układającą się już do snu Polskę.

Kiedy z satysfakcją stwierdził, że strzałka szybkościomierza dobiła do setki, a potem ponownie podniósł wzrok, dostrzegł wyłaniającą się z ciemności postać. Światelko czerwonej lampki wyrysowało na czarnym tle nieregularną figurę.

– No to narobiłem – jęknął ksiądz.

W jednej sekundzie oblał się zimnym potem, a serce załomotało mu w piersiach. Nigdy wcześniej nie był zatrzymywany przez drogówkę. Czyżby przekroczył dozwoloną prędkość? Nie zauważył żadnego ograniczenia. A jeśli było?

Nacisnął na hamulec, zredukował bieg, włączył prawy kierunkowskaz. W bocznej szybie błysnęła para świateł pozycyjnych stojącego w krzakach pojazdu, prawdopodobnie radiowozu.

Koła załapały pobocze. Chrzęst żwiru. Cisza. Odgłos kroków zbliżającego się funkcjonariusza. Niespieszny, jakby ociężały. Albo tylko ostrożny.

Ksiądz chwycił za korbkę i upuścił szybę. Zapachniało jesienią: mokrymi liśćmi i grzybami. Niedaleko są Bory Tucholskie, skojarzył.

- Dobry wieczór. Kontrola drogowa – z góry dobiegł niski głos.
- Dobry wieczór – odpowiedział przez ściśnięte gardło Tadeusz.
- Proszę przygotować prawo jazdy i dokumenty wozu. Dokąd jedziemy?
- Do Torunia – skłamał duchowny.
- A czemu do ograniczeń prędkości się nie stosujemy?

Nie odpowiedział. Podał dokumenty, nie patrząc w ogóle w twarz

milicjanta. Coś stuknęło o przeciwległą szybę. Ktoś, pewnie drugi milicjant, oświetlał trzymaną w ręku latarką wewnątrz fiata.

Dopiero wtedy Braun uświadomił sobie, że na tylnej półce zostawił swój księżowski biret. Często słyszał od zaprzyjaźnionych marynarzy, że ci wożą tam swoje białe czapki. Że niby wzbudza to sympatię milicjantów z drogówki, może nawet na tyle, by darowali winę i nie wlepiali mandatu. Tylko w czym może pomoc zostawiony przez przypadek biret?

– Proszę wyjść z samochodu.

Ksiądz Tadeusz miał wrażenie, że serce mu się zatrzymuje. Ale otworzył drzwi i podniósł się z fotela.

Gdy stanął obok auta, grzbiet smagnął mu chłodny powiew wiatru. Starannie zamknął drzwiczki fiata. I dopiero potem spojrzał na stojącego przed nim milicjanta. Jego twarz (co widać było w nikłym świetle samochodowych reflektorów, mimo że mężczyzna miał na głowie służbową czapkę z białym otokiem, której daszek opuszczony był nisko) wydała się Tadeuszowi na swój sposób szlachetna. A czapka nie miała orzełka...

Funkcjonariusz drogówki w skupieniu studiował dokumenty, przyświecając sobie latarką, której światło kilka razy skierował na zatrzymanego kierowcę. Nie świecił prosto w twarz, jak to często bywało, ale nieco niżej.

– Dokąd jedziemy? – zapytał jeszcze raz.

– Do Torunia.

Kątem oka ksiądz Tadeusz obserwował poczynania drugiego z milicjantów. W radiowozie siedziało chyba jeszcze dwóch.

Czy nie za wielu na zwykłą kontrolę drogową? – przeszło mu przez myśl. Drugi z gliniarzy przecząco pokręcił głową, patrząc na kompana. Nie, nie za dużo.

– W porządku. Można jechać – rzekł milicjant w czapce bez orzełka, oddając dokumenty.

Braun odebrał je bez słowa i wsiadł do fiata. Chwilę potem był już na szosie. Światła liznęły tablicę z nazwą miejscowości.

– Górsk – przeczytał nie wiadomo czemu na głos.

Kilka tygodni później cała ta sytuacja stanęła księdzu Braunowi znów

przed oczami, a to za sprawą radia i telewizji. Wszystko było tak samo. Tylko kto inny grał główną rolę. Inny ksiądz, który w momencie gdy Tadek jechał spokojnie do Warszawy, wyruszał z Bydgoszczy z zamiarem dostania się w to samo miejsce. Jednak nigdy tam nie dotarł.

Tadeusz Braun nie mógł uwierzyć w to wszystko, co wtedy widział i słyszał.

Pochłonięty przez wspomnienia, pokonywał kolejne kilometry Berlinki. Czuł się coraz bardziej bezpieczny. Na tyle, że nie zwrócił uwagi na samochód, który jechał za nim od samego Elbląga...

LVIII

Frombork, dzień piąty

Mimo że ksiądz Józef Nehring wrócił ze szpitala z dobrymi wieściami, daleko mu było do śmiechu.

Był już wczesny wieczór. Siedzieli we trójkę w kurii; archeolodzy, którzy rzeczywiście oczekiwali znajomych i wreszcie doczekali się starego tarpana, zakupili skrzynkę piwa i ruszyli nad zalew, noc zapowiadała się bowiem pogodna i ciepła.

Ksiądz Józef jeszcze bardziej zmarkotniał, kiedy dowiedział się, co zaszło przed południem w kościele św. Mikołaja. Chodził po izbie w tę i z powrotem, domagając się kolejnych szczegółów, im więcej jednak ich otrzymywał, tym bardziej kręcił głową z niedowierzaniem, pocierał palcami czoło, jakby chciał zetrzeć zeń jakieś niewidzialne piętno.

– Wie ksiądz coś o Wspólnocie Odnowy? – zapytał Horn.

– Raz o nich słyszałem, kilka miesięcy temu – odparł Nehring. – Matka jednego z dzieci z mojej parafii martwiła się o swoją córkę, która nawiązała dziwne znajomości. Zdaje się wtedy padła nazwa tej sekty.

– Prawdopodobnie ludzie ci odpowiadają też za porwanie profesora Krasińskiego – dorzuciła milcząca dotąd Ewa, by w kilku zdaniach streścić proboszczowi wypadki ostatnich godzin. – A resztę już ksiądz widział sam –

zakończyła.

– To był ten sam człowiek, który zaatakował mnie na mojej plebanii i pewnie ma na sumieniu także życie innych osób – odpowiedział drżącym głosem duchowny. – Czekał tu na nas, jakbyśmy się umówili. Wtedy komisarz uratował mi skórę, teraz... niestety, teraz też.

– Wszystko łączy się w jedną całość – dedukował tymczasem Horn. – Sekta zajęła kościół, sekta z jakichś powodów przetrzymywała profesora, więc ma coś wspólnego także z wykopaliskami w Kwidzynie, gdzie po raz pierwszy pojawił się zabójca, co udało mi się nagrać.

– Skoro jest on członkiem sekty Wspólnota Odnowy – podjęła Ewa – czemu nie wpuścili księdza Józefa i komisarza do fary, gdzie mieliby ich na widelcu i sprawę można było załatwić bez świadków, nawet nie używając broni palnej?

– Nie zdążyłem zapytać – sapnął Józef, bezradnie rozkładając ręce. – A swoją drogą, to dziwne, ale nasz kiler wyposażony był w nowoczesny karabinek snajperski. Bardzo dobry.

– Zna się ksiądz na broni? – zapytał Horn z nutką lekceważącego niedowierzania.

– Byłem w wojsku, synu – odparł kapłan. – Podejrzewam, że w przeciwieństwie do ciebie.

– Pozory mylą.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak bokserzy przed walką; ten pojedynek na miny przerwała jednak przysłuchująca się dotąd dialogowi w milczeniu Ewa.

– Wystarczy! – dziewczyna klasnęła w dłonie, po czym zwróciła się do Nehringa: – Myślę, że teraz ksiądz powinien nam coś wyjaśnić.

– Słucham cię, dziecko.

– Wygląda na to, że znamy twarz i imię wroga. Tylko czyj to wróg? Księdza? Profesora Krasińskiego czy może... – Ewie z trudem udało się zapanować nad tym, żeby dalsze słowa nie wypadły zbyt lekceważąco, a to mógłby sprawić nawet niewinny uśmiech.

– No wykrztuś to wreszcie z siebie! – ponaglił ją Nehring.

– Chodzi mi o tajne stowarzyszenie, o którym ksiądz wspominał.

O Krzyż Północy i Gwiazdozbiór Łabędzia...

Proboszcz z Tolkmicka ogarnął Ewę ciepłym spojrzeniem, a Horn to zauważył. Opowiedz mi, dziadku, baję, baję! – pomyślał ze złością i politowaniem, patrząc to na duchownego, to na archeolożkę, którzy może nie wyglądali jak dziadek i wnuczka, niemniej widać było, że między nimi zawiązuje się coraz mocniejsza nić zrozumienia i sympatii.

Nagle zadzwoniła komórka Ewy.

– Tak? Cześć.

W miarę jak dziewczyna słuchała, jej oczy robiły się coraz większe.

– To niemożliwe...

Po chwili rozłączyła się. Ksiądz Nehring i Horn utkwili w niej pytające spojrzenia.

– Dzwonił Reich – powiedziała wreszcie. – Policja aresztowała przed godziną księdza rezydenta. Na okaleczonym krzyżu, który znaleziono przy martwym proboszczu katedry w Kwidzynie, były jego odciski palców...

Ksiądz wstał gwałtownie z miejsca i zaczął nerwowo chodzić po izbie tam i z powrotem.

– To niemożliwe! – powtórzył słowa Ewy. – Przecież on był jednym z nas...

– Jest ksiądz pewien? – Horn popatrzył na niego ciężkim wzrokiem.

LIX

54°17'N, 19°26'E, dzień piąty

Było już ciemno, kiedy rozległo się stukanie do drzwi.

Pasterz spojrział na zegarek. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Było jeszcze wcześniej, ale czuł się źle. Coś uciskało mu za to klatkę piersiową. Może to serce, pomyślał. Będzie musiał koniecznie pojechać do jakiegoś dobrego specjalisty.

Znów pukanie. Może to tylko omam, pomyślał z nadzieją. Ale stukanie powtórzyło się jeszcze raz, i to o wiele silniejsze. Pełen niechęci, ale bez

jednego jęku wstał i z trudem łapiąc równowagę, podszedł do drzwi. Nie otworzył ich jednak.

– Kto tam? – zapytał, przyłożywszy ucho do deski; w tym samym momencie ręka mężczyzny wyciągnięta była w bok, palce spoczywały na krawędzi niewielkiej półeczki i tylko milimetry dzieliły je od zimnego, metalowego przedmiotu.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uchylił lekko drzwi.

– Przepraszam, Pasterzu – z wąskiej ciemnej szczeliny dobiegł znajomy męski głos, któremu towarzyszył smrodliwy oddech.

– Co się dzieje? – fuknął.

– Pasterz prosił, żeby dać mu znać, kiedy wróci brat Adam.

Zimny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. A więc dzieło będzie kontynuowane! Ani przez chwilę nie przestał w to wierzyć.

– Kiedy przyjechał? – zapytał drżącym głosem.

– Dosłownie przed chwilą. Od razu pobiegłem po Pasterza.

– Mówił coś?

– Nic.

– Jest ranny?

– Chyba nie. Nie zauważyłem.

– Poczekaj na mnie – rzucił w ciemność przed sobą, po czym zamknął drzwi.

Pasterz lubił szelest swojego habitu, jaki ten wydawał podczas chodzenia. Była w tym jakaś dostojność. I chodziło tu nie tylko o tak oczywistą rzecz, że w przyodziewku takim po prostu nie można było iść zbyt szybko, nie mówiąc już o bieganiu; a więc powolny chód, krok za krokiem, by nie pozwolić umknąć myślom.

Długo zastanawiał się, jakiego koloru pas wybrać do szaty, by się wyróżniać. Bo to, że powinien wyglądać inaczej niż pozostali, nie podlegało kwestii. Jako Pasterz, założyciel Wspólnoty Odnowy, musiał zaznaczyć jakoś swoje starszeństwo. To też przyzwyczajenie z dawnych lat. Po wielu próbach

wybór padł na kolor czerwony. Dobrze komponował się z czernią habitu, a niektórzy przyrównywali go do kardynalskiej purpury.

Teraz jednak konieczność rychłej rozmowy w bratem Adamem stawała się ważniejsza niż dostojność. Nawet za cenę zaplątania się w poły materiału i upadku.

W kilku oknach pawilonów mieszkalnych paliły się światła. To nie spodobało się Pasterzowi. Przesunął rękaw habitu i spojrzął na zegarek. Było po dziesiątej, więc według reguły w izbach zamieszkiwanych przez wyznawców nie powinno się już palić światła.

– Idź tam! – rzucił gniewnie do towarzyszącego mu brata, wskazując ruchem głowy oświetlone pawilony. Tamten skinął głową i posłusznie wykonał polecenie. Pasterz odczekał, aż zniknie w drzwiach oświetlonego niezgodnie z zasadami pawilonu, po czym sięgnął pod szkaplerz. Gdy dłoń namacała znajomy kształt, ucho zaś pochwyciło znajomy dźwięk, podążył znów w stronę refektarza, gdzie oczekiwał nań Migasiński.

LX

Frombork, dzień piąty

– Niestety, chyba nic już nie możemy zrobić – rzekł z rezygnacją ksiądz Józef Nehring. – Kościół został zajęty przez sektę i...

– A czy ktoś w ogóle sprawdzał, czy oni tam jeszcze są? – przerwała mu Ewa.

– Byliśmy w farze z komisarzem zaraz po powrocie do Fromborka, na chwilę przed spotkaniem z zabójcą – wytłumaczył duchowny. – A czemu pani pyta? Chyba nie...

– A dlaczego nie?! – zawołała buńczucznie dziewczyna. – Zresztą ksiądz – Ewa spojrzała z nieco kpiącym uśmieszkiem na Nehringa – ma w tym względzie pewną praktykę.

– Co masz na myśli? – Horn najwyraźniej nie nadązał za tokiem myślowym pozostałych dwojga.

– Jak to co? Przecież ci mnisi, czy jak ich tam zwał, nie będą tam spać! Widziałeś, jak to wszystko wygląda. Usiąść nawet nie ma gdzie.

– To prawda.

– Jestem pewna, że zamknęli kościół na cztery spusty i wyjechali na noc do domu, klasztoru, dokądkolwiek.

– Pewnie do tego ośrodka... – Horn zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu kartki, na której pracująca w kurii specjalistka od sekt napisała im adres Wspólnoty Odnowy.

– Ale nie dowiemy się tego, jak będziemy tu siedzieć i gdybać.

To rzekłszy, Ewa wstała z miejsca i zaczęła się ubierać. Horn i ksiądz Józef przez dłuższą chwilę w milczeniu przypatrywali się jej poczynaniom.

– Mam iść sama? – zapytała wreszcie z lekką irytacją.

To sprawiło, że obaj podnieśli się jak na komendę.

– Latarki też się przydadzą. Są w przedpokoju, na półce – komenderowała w najlepsze dziewczyna.

Na dworze była już ciemna noc. Niebo było jednak zasnuwane szczelnie chmurami, więc nie było widać żadnej gwiazdy, nie tylko Gwiazdozbioru Łabędzia. Mury i budowle wchodzące w skład Wzgórza Katedralnego iluminowały umieszczone pod nimi reflektory, jak przystało na zabytki tej klasy. Wszędzie panowała jednak niemal zupełna cisza; jedynie z katedry niosły się, porozrywane przez wiatr, dźwięki zabytkowych organów.

– Swoją drogą, ktoś ma zdrowie, żeby tyle godzin ćwiczyć – mruknął Horn.

Szli w dół, w stronę fary. Od zalewu wiała chłodna bryza.

W pewnym momencie Horn uświadomił sobie, że za każdym razem, gdy znajdował się w tym miejscu z Ewą, coś się działo: ktoś ich zatrzymywał, przekazując jakąś hiobową wieść. Teraz byli we trójkę, z księdzem. Trudno o lepszą przyzwoitkę, pomyślał z rozbawieniem.

– Przecież nas nie pozabijają, nie? – dziewczyna zaśmiała się nerwowo.

Było około dziesiątej wieczorem, gdy zatrzymali się przed zdewastowanym kościołem. Z zewnątrz nie było jednak widać jakichkolwiek oznak czyjejś obecności w środku. Nie było też słychać żadnych dźwięków.

– A nie mówiłam! – ucieszyła się Ewa. Jednak jej towarzysze nie

podzielili tego entuzjazmu.

Powoli podeszli do kościoła. Horn przyłożył ucho do drzwi. Chwilę nasłuchiwał, po czym pokręcił głową. I znów Ewa okazała się bardziej zdecydowana. Bezceremonialnie nacisnęła na klamkę i napała na drzwi. Te zaś ustąpiły bez trudu, ukazując czarną czeluść pustej świątyni. Znów miała okazję, by móc popatrzeć na towarzyszących jej mężczyzn z politowaniem i wyższością.

– Jeszcze jakieś pytania?

Ostrożnie weszli do środka.

Wciąż czuć było ten sam znajomy zapach spalenizny. W smugach silnych światła latarek widzieli znane już dobrze załomy murów, otwory drzwiowe i usianą tonami śmieci podłogę. W ciągu kilkunastu godzin, przez które dawna fara znajdowała się we władaniu Wspólnoty Odnowy, nie zmieniło się w tym miejscu zupełnie nic.

– A jeśli coś znaleźli?

Pytanie, które wyszło z ust Horna, nie należało do najbardziej fortunnych, jednocześnie było pytaniem zasadniczym. Ksiądz, sapiąc ze zdenerwowania, szybkim krokiem podążył w stronę tej części świątyni, gdzie kiedyś znajdował się główny ołtarz i gdzie archeolodzy profesora Serafina Buczyńskiego zaczęli kopać.

– Nie – jęknęła dziewczyna.

A jednak! Czekają na nich odkopane i odgruzowane wejście do katakumb. Było dość szerokie, spokojnie mieścił się w nim dorosły człowiek.

Spojrzeli po sobie. Lekko dostrzegalnie skinęli wszyscy głowami.

Pierwszy szedł Horn, zaraz za nim Ewa, stawkę zaś zamykał ksiądz Józef.

Korytarz lekko opadał w dół, był dość niski, ale szeroki, sklepiony łukowato i nieźle zachowany. Czuć było stęchlizną. Ewa wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie o mieszkających zwykle w takich miejscach szczurach, których brzydziła się jak chyba niczego na świecie, no, może poza zakłamanymi narzeczonymi. Czy tutaj również chowano zmarłych? – zastanawiał się z kolei Horn. Dokąd prowadzi ten korytarz?

Nie uszli nawet trzydziestu metrów, gdy refleksy światła latarek, liżące dotąd ściany w bliskiej odległości, rozmyły się. Doszli do jakiegoś większego

pomieszczenia. Krypty?

Nagle Horn potknął się o coś, omal nie upadając. Latarka zatańczyła mu w dłoniach. To wystarczyło, żeby wyprzedziła go Ewa.

– Nic panu nie jest? – zainteresował się ksiądz.

– W porządku.

Wtem powietrze rozdarł przerażający krzyk dziewczyny.

Mężczyźni runęli ku przodowi. Światła ich latarek spotkały się na plecach Ewy. Stała nieruchomo na środku okrągłego, jak się okazało, pomieszczenia. Jej plecy drżały.

– Co się dzieje? – zapytał Horn, podchodząc bliżej. – Zobaczyłaś mysz?

Stanęli z dwóch stron archeolożki, światła ich latarek zbiegły się teraz w jeden gruby snop ze światłem latarki trzymanej przez Ewę. Z jej ust wydobywał się długi, stłumiony jęk. Wystarczyło jedno spojrzenie, by przekonać się, co jest przyczyną jej dziwnego zachowania.

– O kurwa! – zaklął Horn, cofając się gwałtownie.

Mniej niż metr od ich stóp w płytkim dole leżeli pokodem trzej mężczyźni w czarnych mniszych habitach. W jednym z nich Horn rozpoznał opryskliwego furtiana. Wszyscy mieli zamknięte oczy, z początku więc można było odnieść wrażenie, że śpią. Nikt jednak nie układa się do snu przysypany częściowo ziemią i gruzem...

– Wieczny odpoczynek racz im dać panie, a światłość wiekuista... – zaszeptał ksiądz Józef, czyniąc znak krzyża.

– Co... co tu się stało? – Ewa w końcu odzyskała głos.

– Nie wiem.

Nagle jedna ze smug światła odłączyła się od pozostałych. Chwilę błądziła po podłożu, wreszcie zatrzymała się.

– Spójrzcie na to – rzekł Horn, bo to on trzymał w rękę tę latarkę.

Jasnożółta aureola obejmowała niewielką, metalową, pociemniałą ze starości skrzynkę. Jej wieko było uchylone.

Horn minął dół grzebalny, powoli zbliżył się do znaleziska i skierował światło latarki do wnętrza. Na dnie spoczywała księga o drewnianych okładkach ze złoceniami.

– Boże...

Pochylił się, po czym z istic saperską delikatnością prawą ręką złapał za róg i uniół okładkę. W tej samej chwili poczuł za sobą obecność Ewy i księdza Józefa.

– To nie jest księga – powiedziała Ewa. – To... kolejna skrzynka.

– Pusta – stwierdził Horn, unosząc wieko.

LXI

okolice Czarlina, dzień piąty

Lampka kontroli poziomu paliwa zamrugała niepokojąco. Biskup Tadeusz Braun nie przejął się tym zbytnio. Znał tę okolicę i wiedział, że za chwilę będzie stacja benzynowa.

Kiedy kilka chwil później podjechał pod dystrybutor, było już zupełnie ciemno. Nim zdążył otworzyć drzwi w samochodzie, przy aucie jak duch pojawił się pracownik stacji w zielonych ogrodniczkach.

– Do pełna? – zapytał znudzonym głosem, zdejmując pistolet z dystrybutora.

Hierarcha skinął głową, po czym mocniej nacisnął czapczkę na oczy.

– Lato się kończy – rzucił od niechcienia pracownik stacji, patrząc gdzieś przed siebie.

Biskup tym razem nie potrafił przemilczeć, choć i nad tą próbą zagajenia rozmowy można było przejść do porządku dziennego; zawsze uważał za niegrzeczne takie milczenie. I już miał na końcu języka jakąś neutralną formułkę, kiedy jego uwagę przykuło inne auto, stojące w pewnym oddaleniu od stacji, a raczej osoby stojące obok niego.

Było to dwóch zakonników, jednak określenie ich przynależności po habitach nie było łatwe. Może franciszkanie, a może bernardyni? Paulini na pewno nie, bo ich szaty są przecież białe.

Nieważne. Ważne, że najprawdopodobniej ludzie potrzebowali pomocy, gdyż co chwilę któryś z nich zniknął pod uniesioną maską auta.

– Płatność w kasie, prawda? – zapytał biskup człowieka nalewającego

paliwo i nie czekając odpowiedzi, podążył w kierunku kasy.

W ostatniej chwili jednak zmienił kierunek i skręcił w stronę majstrujących przy silniku braciszków. Znał się trochę na samochodach, lata podróży w pojedynkę nauczyły go tej sztuki. Zbliżając się do celu, jeszcze raz poprawił czapkę.

– Szczęść Boże – przywitał się.

Popatrzyli na niego, a on na nich. Nie, nie znam żadnego zakonu, który ubierałby się w takie habity – pomyślał.

– Szczęść Boże – odpowiedział z uśmiechem jeden z braci, wyższy, z brodą.

– Coś się stało? Może pomóc? – zapytał biskup Braun.

– Nie chce ruszyć – odpowiedział drugi z mężczyzn.

Biskup pochylił się nad silnikiem. Nim uświadomił sobie, że w tego typu autach montuje się je z tyłu, było już za późno. Poczul tępe uderzenie w głowę. Zdążył jeszcze posłyszeć furkot i ciche skrzypnięcie. Potem wszystko zniknęło.

LXII

54°17'N, 19°26'E, dzień piąty

Gdy Pasterz wszedł do pokoju, Adam żarliwie się modlił. Klęczał na środku pomieszczenia, miał półprzymknięte oczy, jego spierzchnięte wargi poruszały się bezgłośnie. Powietrze wypełniały tylko miarowe świsty, której to przypadłości laryngologicznej, ponoć bardzo dokuczliwej dla niego samego, człowiek ten nie mógł się pozbyć.

Pasterz zapalił świecę, postawił lichtarz na stole, stanął kilka metrów przed klęczącym. Dopiero teraz dostrzegł stojący na stole talerzyk z paroma kromkami chleba, w tym jedną nadgryzioną, i kubek, z którego parowała jeszcze herbata. Złożył dłonie jak do modlitwy i opuścił głowę, jednocześnie nastawiając czujnie uszu. Zdążył już poznać Adama i wiedział, że spowiedź może zacząć się w każdym momencie.

I tym razem się nie pomylił. Zabójca poruszył się niespokojnie.

– Wybacz mi, Pasterzu, bo bardzo zgrzeszyłem – rzekł, nie podnosząc głowy ani nawet nie otwierając oczu.

– Mów.

– Zabiłem człowieka.

– To jeden z siedmiu grzechów głównych. Grzech bardzo poważny, nie wiem, czy nie najcięższy, bo skierowany przeciw bliźniemu – zasepił się twórca Wspólnoty Odnowy.

– Wiem...

Świst dobiegający z krzywej przegrody nosowej Adama ustał nagle.

– Ale może być tak, że dokonałeś srogiej zemsty na bezbożniku – rzekł Pasterz po chwili. – Wtedy twój gniew był słuszny, a kara jedyna z możliwych. Czy tak było, synu?

Kłęczący otworzył oczy i spojrział z nadzieją na swojego spowiednika.

– Tak było. Dokładnie tak!

– W takim razie Pan odpuści tobie grzechy. Idź w pokoju – szepnął z uśmiechem Pasterz, wyciągając rękę ku wiernemu.

Adam chwycił jego dłoń, niezdarnie dźwignął się z klęczek.

– Jak ręka? – zapytał Pasterz.

– W porządku – skłamał Adam.

– Usiądźmy. – Pasterz wskazał krzesło. – Dokończ w spokoju wieczerzę. Musisz nabrać sił przed tym, co nas czeka.

Zabójca chciwie chwycił napoczętą kromkę i zaczął jeść. Apetyt minął mu jednak, gdyż przypomniał sobie, co, a raczej kogo zobaczył we Fromborku.

Ale Pasterz znów jakby czytał w jego myślach.

– Wczoraj wysłałem kilku naszych braci z poufną misją – wyjaśnił, po czym przybrał ton niemal uroczysty. – Mają przygotować grunt na przyjście nowego porządku. Już niedługo bowiem nastanie królestwo niebieskie, na które tak długo czekają ludzie, szczególnie my, tutaj, w naszej Wspólnocie Odnowy. A kiedy wreszcie nastanie, już nie będzie biednych ani chorych, ani bitych, ani poniżonych. Wszyscy będą równi, będą żyć nowym, szczęśliwym życiem. Najważniejsze jest jednak to, że nikt nie będzie żył kosztem drugiego

człowieka, tak jak dotąd żyli ci, którzy nazywali siebie pasterzami ludu bożego. Teraz, gdy dzięki tobie nie żyje jeszcze jeden z nich, wszystko się zmieni. Trzeba w to wierzyć.

Adam nagle poczerwieniał. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł otworzyć ust.

– Trzeba wierzyć – Pasterz poklepał go lekko po ramieniu. – Po prostu trzeba uwierzyć.

Pokrzepiony słowem zabójca zaczął ponownie przeżuwać spóźnioną, choć niewątpliwie zasłużoną kolację. Popił herbatą i wytarł usta krawędzią dłoni.

Pasterz wstał z krzesła, rozprostował poły habitu, poprawił pas, po czym wsunął obie ręce do szkaplerza.

– Jeszcze raz dziękuję ci, mój drogi bracie Adamie, za dobrą robotę – rzekł. – Naprawiłeś swój błąd i przyczyniłeś się do zwycięstwa prawdy. Chciałbym jednak jeszcze wiedzieć, czy zrobiłeś to w sposób godny, tak jak cię uczyłem. A także, czy człowiek ten umierając, wyraził skruchę za swoje nieczne uczynki.

Adam patrzył na Pasterza, jakby nie rozumiał języka, w którym ten do niego mówił.

– Tak – wyartykułował wreszcie z największym trudem.

– Co: tak?

– Wyraził skruchę. Błagał o litość, padł nawet na kolana, ale ja... Ale Pan nie ma litości nad grzesznikami. Bez wahania pociągnąłem za spust!

– Sprawdziłeś, czy nie żyje?

Cisza.

– Zadałem ci pytanie!

Wciąż cisza. Adam ponownie uklęknął. Gdy po chwili podniósł wzrok, aż otworzył usta ze zdziwienia: jego Pasterz celował mu w głowę z pistoletu.

Można się było tego spodziewać; przejrzał go, od razu wiedział, że znów spieprzył sprawę, a on dał się pociągnąć jak na pasku. Szedł w zaparte, z każdym krokiem coraz głębiej brnął w to śmierdzące bagno. Po cholere tu w ogóle siedział? Nie było innych miejsc, noclegowni, melin? Ale to wszystko już teraz nieważne.

Przymknął oczy, zacisnął zęby, żeby opanować drzenie.

– Nie sprawdziłem – jęknął.

Wtem otworzyły się drzwi i na progu refektarza zatupało kilka par butów.

– Czego? – warknął Pasterz, nie przestając celować w skroń klęczącego.

– Pasterzu, mamy złe wieści! – zawołał brat, który dziś miał nieszczęście służyć mu jako herold; kiedyś komuś takiemu obcinano głowę.

– Mogą być jeszcze gorsze? – zapytał rozsierdzony już Pasterz, po czym szybkim ruchem schował pistolet do szkaplerza, złapał klęczącego przed nim zabójcę za włosy i szarpnął.

– Do dołu z nim – wydał wyrok, a do brata-herolda rzucił: – A ty do mojego gabinetu.

LXIII

Frombork, dzień piąty

Ewa wciąż nie potrafiła się uspokoić. Dostała proszki uspokajające, ale i to na niewiele się zdało. Cała trójka siedziała na powrót w kanonii. Zbliżała się północ.

– Skąd pewność, że to było morderstwo? – zastanawiał się głośno Horn.

– A co? – Ksiądz Józef wydawał się nieobecny duchem, siedział przy ścianie, pod dużym, zabytkowym kinkietem, w którym paliły się trzy żarówki.

– Równie dobrze mogło to być rytualne samobójstwo. Istnieje wiele sekt, które dążą właśnie do tego. Mam rację?

– Zgadza się.

– O czym wy mówicie?! – Ewa, mimo podanych leków, nie przestawała histeryzować. – Poza tym, gdyby zrobili to sobie sami, znaleźlibyśmy broń...

– Zgadza się – bąknął znów ksiądz.

– Może była? – Horn nie przestawał spekulować. – Przecież nie szukaliśmy, bo wtedy zatarlibyśmy ślady. Może jutro policja coś znajdzie i wtedy będzie wiadomo.

– Jutro może być za późno na cokolwiek – rzekł naraz Nehring.

Horn i Ewa spojrzeli na niego pytająco.

– Kimkolwiek byli ci ludzie, nie zasłużyli sobie na taki los – westchnął kapłan. – Ale pan Tomasz ma rację: to już sprawa policji. My mamy co innego do roboty. Obawiam się jednak, że możemy nie zdążyć...

Przez cały czas nie wypuszczał z rąk skrzyneczki, którą znaleźli w kościele. Obracał ją w palcach, jakby czegoś szukał.

– Kto mógł zabrał księgę? – zapytała Ewa.

Nehring podniósł wreszcie wzrok. Z jego oczy biło jakieś dziwne światło, zaś usta wygięły się w uśmiechu.

– Nigdy nie była pełna – powiedział.

– Co?! – prychnął Horn.

– Myślę, że odpowiedź zawiera samo pudełko, tylko jeszcze nie wiem gdzie – rzekł Nehring jakby do siebie, po czym wstał z miejsca i zaczął chodzić po izbie, nie wypuszczając z rąk znaleziska. – Wydaje mi się, że to płaskorzeźby i napisy mogą naprowadzić poszukiwacza na trop, dać kolejną wskazówkę, a jednocześnie zmylić tego, kto jest niegodny poznania tajemnicy.

Ewa i Horn nie spuszczała oka z księdza, który teraz przebiegał palcami po drewnianym wieku niczym niewidomy.

Skrzyneczka podobna była do pudełek, które można kupić w sklepach Cepelii w całym kraju. Ślady po ryłcu układały się w pozornie prosty rysunek, a właściwie trzy małe rysunki. Pierwszy, umiejscowiony na środku wieka, przedstawiał krzyż. Po lewej stronie widniało coś, co przypominało dzwon z cyfrą 7 i nieco mniejszą od niej drugą cyfrą 2. Po prawej stronie krzyża ryłec bezimiennego rzeźbiarza wykonał królewską koronę. To wszystko. Więcej rysunków, zarówno na wieku, na spodzie skrzyneczki, jak i na wszystkich pozostałych jej ścianach, nie było.

– Co to może oznaczać? – zastanawiała się głośno Ewa, po czym zwróciła się do księdza Józefa: – Jak brzmiała ta wskazówka z Nowego Testamentu? Ta o tronie nad kryształową wodą...

– Też zwróciła pani na to uwagę. – Nehring się uśmiechnął. – A oto tron stał w niebie, na tronie zaś siedział ktoś. A wokoło tronu tęcza, podobna

z wyglądu do szmaragdu. A wokoło tronu dwadzieścia cztery trony, a na tych tronach siedzących dwudziestu czterech starców, odzianych w szaty białe, a na głowach ich złote korony.

– Dwadzieścia cztery a siedemdziesiąt dwa... – Horn mamrotał coś pod nosem. – Trzy razy dwadzieścia cztery to siedemdziesiąt dwa.

– A dwa razy dwadzieścia cztery to czterdzieści osiem – przedrzeźniała go Ewa. – Ulubiona liczba policjantów.

– Nie mówimy dzisiaj źle o policjantach, dobrze? – wtrącił Nehring, na co dziewczyna zmitygowała się.

Chwilę milczeli, bo przecież mową nie można było nazwać świszczących dźwięków, które nie przestawały wydostawać się z ust Horna. W pewnym momencie jednak jego słowa znów stały się wyraźniejsze.

– Siedem. Siedem i dwa. Siedem do kwadratu to czterdzieści dziewięć... – Horn najwyraźniej zaczął się poddawać.

– Czterdzieści dziewięć krzyży, czterdzieści dziewięć dzwonów... – podchwyciła archeolożka, patrząc na wieko pudełka.

– Czterdzieści dziewięć dzwonów? – powtórzył jak echo ksiądz Józef Nehring i coś znów błysnęło w jego oczach.

– Kościół, który ma czterdzieści dziewięć dzwonów? – parsknął Horn. – A kto by to wytrzymał, proszę księdza?

– A jednak ktoś to wytrzyma! – Nehring klasnął w dłonie. – I to już od setek lat.

– Wie ksiądz, gdzie szukać? – zapytała Ewa.

Ksiądz Józef potarł kostkami palców zmęczone oczy.

– Mam taką nadzieję – rzekł cicho, po czym usiadł za stołem. – Mam też nadzieję, że ludzie, którzy dziś znaleźli skrzynkę i pogardzili tym pustym pudełkiem, nie będą tam prędeż. Wydaje mi się też, że nie do końca wiedzą, czego szukają. Być może są tylko narzędziem w czyichś rękach...

– Jak się przekonaliśmy, śmiernym narzędziem – mruknął Horn, ale ksiądz puścił tę uwagę mimo uszu.

– Podobna historia wydarzyła się całkiem niedawno... – powiedział po chwili, patrząc w ciemność za oknem.

LXIV

Gdańsk, 10 kwietnia 1986 roku

Najpierw zaczęły drżeć ściany. Huk – na początku zaledwie leniwy pomruk, niczym warczenie podwórzowego psa, któremu nie chce się wyjść z ciepłej budy, by obszczekać intruza – z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy, jakby za chwilę jakaś ogromna maszyna piekielna miała obrócić w drobny pył mury garażu, a także wszystko wokół.

Nagle łoskot urwał się, przechodząc w miarowy stukot żelaznych kół na spojeniach szyn. Krótki gwizd lokomotywy.

– Pośpieszny na Hel – mruknął pod nosem Karol, po czym leniwym ruchem sięgnął w bok; jego dłoń nie natrafiła jednak na to, czego się spodziewał. – Co jest, do cholery?! – zaklął głośno.

– Tak? – prychnął nieprzytomnie drugi z mężczyzn.

– Kimasz?

– Skąd...

– Nie pierdol, brat! – zdenerwował się Karol. – Wiem, że kimałeś.

– Dobra, przez chwilę – jęknął mężczyzna, po czym ziewnął, ostentacyjnie nie zasłoniwszy ust. – Co jest?

– To ja się pytam, co jest! – ton Karola nie przestawał być groźny. – Gdzie posiałeś palnik?

– Ja?

– Nie. Generał Jaruzelski.

Zbyszek, młodszy (ale tylko o dwie minuty!) brat Karola, rozejrzał się po garażu. Wzdłuż nieotynkowanych ścian z czerwonej cegły, połatanych tu i ówdzie cementem, ciągnęły się prowizoryczne, drewniane półki z jakimiś słoikami i puszkami, niżej walało się żelastwo, wśród którego wprawne oko i zapobiegliwa natura mogła wybrać elementy wyposażenia niejednego auta.

Na ścianie naprzeciwko wjazdu do garażu wisiał przyklejony krzywo kalendarz na 1985 rok z rozebraną kobietą, pod nim w równym rzędzie stało

kilka kanistrów na benzynę, w których pozostał tylko słaby zapach gazołiny. Pod sufitem, w którym za dnia, niczym gwiazdy na niebie, wyraźnie widać było dziury, wisiało kilka starych bambusowych wędek.

Brakowało tylko jednego – samochodu. Zamiast niego, niemal na samym środku wąskiego pomieszczenia, królował solidny drewniany stół.

– Sam żeś gdzieś wtrynił, a teraz robisz aferę – marudził Zbyszek, nie przestając się rozglądać i drapać po głowie; wreszcie cierpliwość została nagrodzona: – Jest. Na wierzchu leży, a ty gardłujesz.

– Dawaj, nie pierdol, brat.

Po chwili półmrok, który panował w garażu, rozświetlił płomień acetylenowego palnika. Bracia, których podobne jak dwie krople wody twarze skryte były za specjalnymi prostokątnymi maskami, pochylali się nad stołem niczym operujący pacjenta chirurdzy. Obiekt ich badań, a w końcu i inwazji, nie był jednak człowiekiem. Chyba nie...

Niespełna dwa tygodnie wcześniej trzy cienie przylegały płasko do muru Bazyliki Archikatedralnej w Gnieźnie.

Była ostatnia noc zimy. Mimo że niebo nad miastem zasnuę było grubą warstwą chmur i brakowało księżycy, leżący jeszcze wciąż tu i ówdzie śnieg rozświetlał mrok wokół świątyni, wyręczając w tym nieliczne sodowe latarnie.

– Czysto – rozległ się stłumiony szept jednego z przyczajonych mężczyzn. – To jak? Idziemy?

– Nie. Czekamy do pasterki – odburknął mu drugi.

Niemal jednocześnie oderwali się od ściany kościoła. Dopiero teraz można było dostrzec ułomności, jakimi ludzi tych pokarał los: wszyscy nosili garby, głowy ich były nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała; wszyscy też kroczyli niezgrabnie na wykrzywionych przez jakąś okrutną chorobę odnóżach. Czego mogli tu szukać w środku nocy?

– Ciszej, kurwa – warknął naraz trzeci z garbusów, dotąd milczący, na co odpowiedziały mu jakieś niezrozumiałe szepty.

Makabryczny pochód zatrzymał się wreszcie przy załomie muru, w okolicach katedralnego prezbiterium.

- Miała być drabina.
- Nie ma.
- Szukaj.
- Po ciemku?
- Spróbuj zabzdzić, to ci nie wiem co zrobić.
- Zamknijcie mordy – odezwał się znów trzeci głos. – Jest drabina.

Miękkie stuknięcie drewna o mur. Wkrótce trzy postacie z zastanawiającą, kocią wręcz zręcznością zaczęły po kolei piąć się po szczeblach. W kilka chwil wszyscy znaleźli się na spadzistym dachu, kryjącym boczne nawy katedry.

Przypadkowy obserwator owej sceny przecierałby teraz oczy ze zdumienia. Gdyby był wierzący, przeżegnałby się, gdyby nie był – pewnie od razy by uwierzył i z miejsca wybrał się na pielgrzymkę do gnieźnieńskiej świątyni. W jednej chwili bowiem szpecące mężczyzn garby zniknęły, nogi wyprostowały się, tylko głowy wciąż pozostawały dziwnie duże.

Pochylili się nad jednym punktem. Po chwili rozległa się seria przytłumionych, lecz wyraźnych szeptów.

- Łom.
- Mocniej.
- Spoko.
- Jest.

Cuda tej nocy najwyraźniej się nie skończyły. Oto bowiem trzy cienie po kolei zaczęły znikać z dachu niczym czarny dym z komina na cofającej się filmowej taśmie. Po chwili tak wokół, jak i na (widok ludzi na dachu – ale za dnia – nie wzbudzał sensacji, w katedrze przeprowadzany był bowiem generalny remont) najważniejszej i najstarszej świątyni Gniezna nie było żywego ducha. Może nie było go i wcześniej, może to tylko mary piekielne, obrazy urojone przez zakończony właśnie film w telewizji, sen wariata.

Był środek nocy. Gdzieś w oddali zaszczekał czujny pies. Trzasnęły drzwi wejściowe jednego z sąsiadujących z kościołem budynków; zapewne ktoś, może kolejarz, wrócił z nocki lub przeciwnie – wyszedł do pracy.

Nic, absolutnie nic nie zapowiadało nieszczęścia.

W pograżonym w ciemnościach wnętrzu katedry coś nagle zafurkotało, by po chwili plasnąć na posadzkę. Jakby spadło z nieba! Gdyby stało się to za dnia, gdy kościół wypełniony jest starowinkami, z pewnością skończyłoby się zawałem serca u którejś z nich.

Cisza trwała tylko kilka chwil, gdyż przerwał ją tajemniczy dźwięk, chrobot, który to odgłos ciężko by było przyporządkować jakiejś zwykłej, codziennej czynności.

O, starowinki bogobojne! Jakie to szczęście, że spałyście wtedy w domach kamiennym snem.

Spod dachu kościoła na alpinistycznej linii zjeżdżała oto w dół pierwsza z postaci, po niej druga. Wreszcie posadzki dotknęły ciężkie buty ostatniego z mężczyzn. Przez dłuższy moment ciemność i ciszę wypełniały tylko trzy głośne, przyspieszone wysiłkiem, przesiąknięte zapachem podłej machorki oddechy.

– Możesz bzdzić. Tylko tak jak mówiłem – rzekł wreszcie Karol.

– Się wie.

Zbyszek skrupulatnie wykonał polecenie. Gotyckie okna, za sprawą remontu, zakryte były przez ogromne arkusze folii, musiały więc także zatrzymywać światło, które ktoś, tak jak teraz, włączył w środku.

Trzecim z mężczyzn, który jak na razie odezwał się tylko dwukrotnie, był starszy nieco od braci Roman – z natury małomówny właśnie, ale i z zachowania odludek. Znali się jeszcze z zawodówki na Przymorzu, którą bracia skończyli nie tak dawno.

– Mamy mało czasu – rzekł Roman, spojrzawszy na zegarek; miał japońskiego elektronika z siedmioma melodyjkami i podświetlanym monitorkiem, szczyt mody i najwyższego szyku.

Latarki używane były oszczędnie i dyskretnie. Mimo to przypadkowy świadek mógłby dowiedzieć się, że coś, co wyglądało jak garby, było w istocie turystycznymi plecakami, głowy zaś zniekształcały narciarskie czapeczki.

Światło nie było za to w stanie w wystarczający sposób oświetlić wnętrza dużej świątyni. Wszyscy trzej zdążyli jednak poznać je dość dobrze

wcześniej, kiedy – po kilka razy i osobno, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń – bywali tu za dnia, wmieszawszy się w jakąś grupę zwiedzających albo udając żarliwą modlitwę na klęczkach w jednej z dębowych ław. Dzięki temu teraz nie potrzebowali wiele światła, by szybko i bezbłędnie dotrzeć na miejsce – do głównej nawy. Znajdujący się tam przedmiot ich zainteresowania był teraz w całości okryty wielkimi płachtami folii, nie robił więc żadnego wrażenia.

Karol, Zbyszek i Roman wiedzieli jednak dobrze, co kryje się w centralnym punkcie nawy.

Na środku prezbiterium wznosiła się niezwykła konstrukcja: na czterech wysokich pozłacanych, jakby wijących się ku górze kolumnach spoczywał ażurowy, również złocony i zdobny w motywy roślinne baldachim. Budowała ta, jak wspominali przewodnicy wycieczek, nosiła nazwę konfesji i służyła za tło mszy świętych i wszystkich innych liturgicznych wydarzeń.

Pod baldachimem znajdował się srebrny wczesnobarokowy relikwiarz – niewielka trumienka spoczywająca na sześciu orłach, którą dodatkowo dźwigały cztery postacie symbolizujące cztery średniowieczne stany: duchowieństwo, chłopstwo, mieszczaństwo i rycerstwo.

Na trumience umieszczono rzeźbę przedstawiającą pólężącą postać świętego Wojciecha z pastorałem w ręku i tiarą na głowie. Podstawę tej całej niezwykłej konstrukcji stanowił ciemny, drewniany cokół, zaś przed konfesją znajdowało się coś w rodzaju sarkofagu z leżącą postacią świętego wykonaną z czerwonego marmuru. Całości dopełniały kosze i donice z kwiatami, jednak nie było ich teraz z racji remontu.

– Żeby tylko hałasu nie narobić przy ściąganiu tego całego gówna – zmartwił się Karol.

Miał zapewne na myśli płachty folii; zarówno bowiem on, jak i żaden z pozostałych mężczyzn nie uważał się za jakiegoś nieokrzesanego barbarzyńcę czy, nie daj Boże, satanistę. Ojciec i matka wychowali, jak trzeba, do kościoła wszyscy chodzili, do komunii i bierzmowania wysłali, a że życie się potem potoczyło, jak się potoczyło...

– Sama nie zejdzie, co nie? – mruknął Roman, ruszając szybkim krokiem w stronę ołtarza.

– Bździj, brat – rzekł Karol do Zbyszka, po czym podążył śladem kompana, którego z każdą chwilą zaczynał lubić coraz mniej.

W świetle latarki błysnęło ostrze sprężynowego noża. Po chwili okrywająca rzeźbę folia zaczęła dzielić się na części za sprawą długich, bezszelestnych posunięć rąk Romka i Karola.

Szło im to szybko i sprawnie, jakby nic innego w życiu nie robili. Wkrótce barokowa konfesja świętego Wojciecha, miejsce spoczynku jego doczesnych szczątków, ukazała się w pełnej krasie. Przecięta folia opadła, ale nie do końca, przez co cały zabytek wyglądał teraz, jakby wynurzał się z ogromnej góry lodowej.

Mimo że nie była oświetlona jak zwykle, każdym swoim szczegółem konfesja wzbudzała niezmienny zachwyty, ale i osobliwy respekt, a może nawet strach – w nikłym świetle obie postacie świętego, mała i duża, wyglądały, jakby ten za chwilę miał obudzić się, wstać i dokonać srogiej i krwawej zemsty na tych, którzy śmieli zakłócać mu trwający od niemal tysiąca lat spokój.

– Jest – szepnął z zadowoleniem Karol.

– Jest – powtórzył Zbyszek, choć z nieco mniejszą radością.

Z uniesionymi głowami, niewielcy przy potężne kolumn podtrzymujących złoty baldachim, wyglądali jak para dzieci, które przyszły podziwiać cudo, o którym tyle słyszały od dorosłych. Pastuszkowie bosy, którym za chwilę Panienska Przenajświętsza wyjawia trzy najgłębiej skrywane tajemnice. Albo ten zomowiec, który kilka lat wcześniej odłączył się od oddziału pacyfikującego demonstrantów na gdańskiej starówce i tak jak stał – w mundurze, w hełmie z przyłbicą, z tarczą i z metrowej niemal długości pałą za pasem, budząc popłoch wiernych, wbiegł do kościoła Najświętszej Marii Panny, by tam na klęczkach błagać o wybaczenie.

– Może jeszcze klękajcie albo walnijcie się tu krzyżem – syknął ze złością Roman.

A życie się potoczyło, jak się potoczyło... Bracia popatrzyli na siebie, ale żaden nie powiedział ani słowa.

– Brat, drabina! – zakomenderował przez ściśnięte gardło Karol.

Tym razem udało się ją znaleźć bez kłopotu. Roman spojrzał wymownie

na swój szykowny czasomierz.

– Nie zawali się? – spytał Zbyszek, gdy we trzech przystawiali ochlapaną białą farbą drabinę do konfesji, opierając jej koniec na krawędzi cokołu.

Jednak nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Cała konstrukcja była stabilna i naprawdę potężna, szczególnie gdy patrzyło się na nią z dołu, z pozycji wiernych siedzących w ławach. Dominowała w nawie, jak na ołtarz główny przystało.

Kiedy jednak po drabinie zaczął piąć się Roman, coś niepokojąco zatrzeszczało. Drabina? A może cokół? Mężczyzna usłyszał, co się dzieje, spojrział w dół, jednak nie przerwał wspinaczki. Dźwięk nie powtórzył się już, nawet gdy kolejne szczeble zaczął pokonywać cięższy i potężniejszy od Romana Karol.

Oto stali na cokole, obok czterech postaci, które z mozołem podtrzymywały relikwiarz. Nie zamierzali jednak pomagać przedstawicielom czterech stanów w ich niekończącej się pracy. Choć w pewnym sensie właśnie tak było. Za chwilę ów chłop, mieszczanin, ksiądz i rycerz mieli mieć dużo mniej do dźwigania.

Karol zdjął plecak, wydobył zeń dwa solidne łomy, z których jeden podał kompanowi. Roman od razu zaczął majstrować narzędziem przy jednej z nówek trumienki. Karol patrzył ze zdziwieniem na te poczynania.

– Weźmiesz się za robotę? – warknął Romek, nie patrząc na towarzysza.

– Nie lepiej wziąć któregoś z tych? – Karol pieszczotliwie pogładził po główce jedną z postaci.

– Tych? – prychnął z pogardą Roman.

– W końcu i tak wszystko jest ze srebra...

– Mówiłem już: bierzemy górę.

Starszy z braci oddychał z trudem. Jego palce coraz silniej zaciskały się na metalowym pręcie o zakrzywionym i rozdwojonym niczym język węża końcu. Już nabierał powietrza, żeby coś powiedzieć, kiedy rozległ się zgrzyt. Oto jeden z sześciu ptaków podtrzymujących trumienki oderwał się od podstawy.

W tym samym momencie z dołu dobiegł szept Zbyszka.

– Co robicie?

Jednak i tym razem nikt mu nie odpowiedział.

Było coraz zimniej. Marzec marcem, ale kościół nie był ogrzewany – tym bardziej teraz. Młodszy z braci zaczął przestępować z nogi na nogę, para ulatująca z ust przy każdym oddechu wirowała w świetle latarki wycelowanej wciąż precyzyjnie w górną część konfesji.

Drapieżne ptaki okazały się nie tak silne i dumne, jak wyobrażano je w herbach państwa Polan od setek lat. Kilka minut wystarczyło, by relikwiarz świętego Wojciecha zakołysał się w rękach złodziei. Zakołysał się i, cenny metal miał wszak swoją wagę, przydusił mężczyzn do ziemi, mimo że w rzeczywistości znajdowała się ona kilka dobrych metrów niżej.

Sapiąc i stękając, zdołali jednak uchronić skarb przed niechybnym upadkiem i roztrzaskaniem się o posadzkę kościoła. Aby jednak zdobycz mogła znaleźć się na dole w nienaruszonym stanie, potrzebna była pomoc.

– Dawaj tu, brat!

Przypomnieli sobie, kurwa – pomyślał ze złością Zbyszek, w tej samej chwili jednak zgarbił się i struchlał, jakby bał się spadającego na kark ciosu. Bóg przecież słyszy wszystko, nawet myśli.

Kiedy srebrna trumienka z postacią pólężącego świętego na wieku znalazła się na podłodze, wszyscy trzej mężczyźni ciężko sapali ze zmęczenia. Czekala ich jeszcze droga powrotna. Na szczęście planowali pokonać ją już nie małpim sposobem, jak to nazwał Roman, ale zwyczajnie, przez drzwi. Niewielkie i mało widoczne, umiejscowione były w bok od głównej nawy, zamknięte tylko na zasuwę, od środka.

– Ciężkie cholerstwo – stęknął Zbyszek, usiłując dźwignąć okryte na powrót w folię trofeum.

– Co się dziwisz – prychnął Romek. – Nieboszczyk swoje waży.

Bracia nie przeżegnali się tylko dlatego, że ręce urywał im właśnie ciężki srebrny relikwiarz...

Rozległ się łoskot, a wraz z nim metaliczny wizg, trwający siedem, może dziesięć sekund. Ucichł równie szybko, jak nadszedł, to jednak wystarczyło,

by Zbyszek zerwał się na równe nogi.

– Co jest?! – krzyknął, machając w powietrzu rękami, jakby chciał odgonić złą marę.

– Kolejka z Tczewa – mruknął w odpowiedzi Karol. – Daj trochę pokimać, co?

– Która godzina?

– Będzie już piąta.

Karol przewrócił się na drugi bok. Zatrzeszczały sprężyny starego polowego łóżka. Młodszy z braci ciągle jeszcze trzymał się oburącz za klatkę piersiową. Przez jedno wąskie okienko garażu wpadało już światło dzienne.

Wzrok Zbyszka padł na stół. W miejscu, gdzie jeszcze kilka godzin temu leżał, podpierając się na łokciu i rozglądając dookoła, po nowym dla siebie miejscu, święty Wojciech – teraz znajdowała się bezkształtna masa. Zbita niczym plastelina po dniu zabawy dziecka, połyskująca w pierwszym świetle dnia, bo tylko to zostało z jej dawnej świetności – w niczym już nie przypominała ludzkiej postaci ani okrywających ją szat liturgicznych, biskupiej tiary, brewiarza. Wszystko strawił ogień. I ludzka chciwość.

Choć po całonocnej pracy bracia postanowili odpocząć, Zbigniew nie potrafił zasnąć. Bał się kary.

Wtedy, w Gnieźnie, wszystko poszło zbyt gładko. Gacie miał mokre ze strachu, coś jednak kazało mu robić wszystko, co kazał starszy (ale tylko o dwie minuty) brat i ich kompan, Roman.

Choć Zbyszek zawsze miał lęk wysokości, jakaś siła sprawiła, że piął się po drabinie, a potem zjechał na linie do kościoła, jakby robił to codziennie. Potem dźwigał ciężką jak cholera zdobycz, choć w każdej chwili mógł się napatoczyć patrol milicji albo jakiś przechodzień. A jednak udało im się dojść do zaparkowanej w bocznej uliczce nyski, zapakować trefny towar, bezpiecznie wyjechać z miasta i dotrzeć bez kłopotów do Gdańska.

Mówi się, że zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni. Zbyszek zawsze zastanawiał się, dlaczego to robi. Żeby sprawdzić, czy niczego nie zostawił? Albo popatrzeć, jak sobie radzą śledczy? Teraz wiedział, bowiem od kiedy wrócili do domu, on myślał tylko o jednym: wsiąść w pociąg i jechać z powrotem do Gniezna. Po co? Cholera... Nie wiedział tego.

Na miejscu zdarzenia zostawili linę i plecak, ale przecież było już za późno, żeby martwić się o tę zgubę. W końcu nie pojechał, ale nie przestawał o tym myśleć – szczególnie teraz, gdy zaczęli przetapiać relikwiarz. Coś wisiało w powietrzu, czuł to wyraźnie.

Z zewnątrz dobiegł odgłos samochodowego silnika. Zawsze lubili bawić się z bratem w zgadywanie marek samochodów po warkocie, jaki wydają. Najłatwiej było, rzecz jasna, rozpoznać syrenkę. Ale coraz mniej jeździło ich po polskich drogach. Drugim charakterystycznym autem był maluch, czyli „kaszlak”. Nigdy nie zdarzyło się, żeby któryś z braci nie rozpoznał nadjeżdżającego „kaszlaka”.

Może teraz kupią sobie takiego, z drugiej ręki? Wyszykują go pięknie, będzie lśnił jak nówka. W końcu ryzykowali wiele, a robota się udała. Swoją drogą ciekawe, ile warta jest taka górka srebra?

Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu. Pewnie sąsiad wrócił z nocki i chowa swojego grata, pomyślał Zbyszek.

Naraz rozległo się pukanie. Nie, nie było wątpliwości: ktoś stukał do drzwi ich garażu. Ktoś wiedział, że tu są. Kurwa mać! Może to ten sąsiad? Kilka razy wracał, kiedy u nich paliło się światło. Czego chce?

Mężczyzna wstał z polowego łóżka, podszedł do stołu i przykrył srebrną grudę dziurawym kocem. Karol spał dalej. Pukanie powtórzyło się.

– Moment, nie pali się, nie? – zawołał Zbyszek, przekręcając klucz w zamku.

Skrzypnięcie drzwi. Nagły, oślepiający blask samochodowych reflektorów.

– Stój! Łapy do góry! Milicja!

Kara.

Nie zdążył nawet pomyśleć, jak rzucili go na ziemię; na szczęście nie w kałużę, której nigdy nie można było pozbyć się sprzed drzwi garażu. Ręce skuli na plecach kajdankami. Po chwili obok Zbyszka w takiej samej pozycji leżał jego brat.

Oszołomiony niczym noworodek, za bardzo nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Wokół głów braci nie ustawał tupot ciężkich buciorów. Przemagając strach przed kopniakiem, Zbigniew uniósł głowę i spojrzał

w głąb garażu. Jakichś dwóch facetów po cywilnemu pochylało się nad tym, co było kiedyś częścią srebrnego relikwiarza. Ktoś robił zdjęcia za pomocą lampy błyskowej.

Po chwili na stole, obok grudy srebra, milicjanci postawili trumienkę. Za nią Karol i Zbyszek mieli się zabrać następnego wieczora. Ale już się nie zabiorą.

Zbigniew spojrział w bok, napotkał wzrok brata. Karol był dziwnie spokojny, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Kiedy Zbyszek po raz kolejny spojrział w stronę garaży, nie dostrzegł już tych samych mężczyzn co poprzednio. Był tam za to ktoś inny, którego twarzy nie można było dostrzec. Ktoś, kto nagle... uniósł wieko trumienki i wyjął coś z jej wnętrza!

Zbyszek omal nie krzyknął. Chciał powiedzieć bratu o tym, co zobaczył, jednak w tej samej chwili ręce milicjantów pochwyciły ciała obu braci i szarpnęły ku górze. Nim się spostrzegli, siedzieli obaj w zimnej suce.

W tym samym momencie dłonie w gumowych rękawiczkach delikatnie zamknęły wieko relikwiarza. Obok, na stole, leżało niewielkie zawiniątko.

– Witaj w domu.

Przed główną nawą Bazyliki Archikatedralnej w Gnieźnie tłoczyła się szkolna wycieczka. Mimo że miejsca nie było za wiele, nikt spośród kilkudziesięciu nastolatków nie przepychał się ani kłócił. Żadnego szczypania dziewcząt ani nawet szeptów.

Wszyscy słuchali z uwagą. W końcu nie zawsze zwykły muzealny czy kościelny przewodnik, nudziarz największy, jakiego może sobie wyobrazić nastolatek, który na szkolne wycieczki jeździ bardzo często, opowiadał takie rzeczy!

– Pół roku temu ze świątyni zniknął srebrny relikwiarz świętego Wojciecha wykonany w roku

1662 przez holenderskiego złotnika Petera von der Rennena – opowiadał starszy mężczyzna z odznaką przewodnika w kłapie marynarki. – Było to dzieło o wyjątkowych walorach artystycznych, otaczane szczególną czcią

przez katolików. Ślady, które na miejscu kradzieży zostawili złodzieje, wskazywały na szczególny brak jakichkolwiek cech cywilizowanego człowieka czy uczuć. Nie było wątpliwości, że chodziło im tylko o zdobycie srebra, które następnie stopili. Bezcenny zabytek przestał istnieć. Na szczęście milicja szybko wpadła na trop złoczyńców.

Mówił prawdę. Karol S., jego brat Zbigniew oraz Roman P. zostali aresztowani i postawieni przed sądem. Ekspertyzy kryminalistyczne nie budziły wątpliwości, tym bardziej że wszyscy trzej pozostawili na miejscu przestępstwa liczne ślady. Podejrzani przyznali się do zarzucanych im czynów. Sąd wymierzył każdemu z nich karę piętnastu lat więzienia.

– Na szczęście złodzieje nie zdążyli zniszczyć trumienki. – Przewodnik wycelował palcem w górną część konfesji – która wróciła na swoje miejsce. To w niej przechowane są relikwie świętego Wojciecha. Niestety, do dziś nie odnaleziono relikwiarza z głową świętego, który został skradziony z katedry w 1923 roku...

LXV

54°17'N, 19°26'E, dzień szósty

Dobrze wiedział, że ten kiedyś nastąpi. Jedni czekają z utęsknieniem na Boże Narodzenie, inni na urodziny albo pierwszy dzień wakacji. Panienki, wiadomo, na ślub. Są też jednak tacy, którzy wierzą w przepowiednie – w tym te o końcu świata.

Pasterz wierzył w jego początek. Czuł, że dni, w których to się stanie, właśnie nadchodzą.

Długo się do tego przygotowywał. Zaczęło się od zakupów u Ruskich. Ci, z początku nieufni, widząc, jak nadchodzi, sięgali po butelkę wódki. Początkowo się wzbraniał, potem stało się to elementem swoistego rytuału. To właśnie u nich w krótkim czasie zaopatrzył się w pierwsze elementy wyposażenia, bez którego nie można liczyć na zmiany.

A takich zmian domagała się Wspólnota Odnowy. Wstrząsnąć ziemią,

wstrząsnąć sumieniami milionów niedowiarków – ten cel wyznaczył sobie Pasterz na początku i do niego dążył. Przychodzili doń zewsząd, kobiety i mężczyźni. Niektórych poznawał, jeżdżąc specjalnie w tym celu autostopem. Wyzbywali się majątku na rzecz Wspólnoty, dzięki czemu można było dalej gromadzić argumenty, które w przyszłości miały przekonać świat do słuszności ich idei.

Wkrótce członkowie Wspólnoty Odnowy, zerwawszy dotychczasowe więzi rodzinne, towarzyskie czy służbowe, zaczęli tworzyć społeczność z prawdziwego zdarzenia – zgraną, mocną, skłoną do poświęceń, nawet największych.

Wtedy Pasterz zaczął uczyć pierwszą grupę mężczyzn. Zaczął ich uczyć strzelać.

– Mów – rzucił do jednego z nich, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi gabinetu.

Było już po północy, ale nie czuł się zmęczony.

– Wszystko szło zgodnie z planem – zaczął tamten drżącym nieco głosem. – Bracia zajęli farę bez żadnych problemów. Archeolodzy nie zadawali wielu pytań, szybko opuścili kościół. Potem od razu rozpoczęły się poszukiwania. Twoje wskazówki, Pasterzu, okazały się bardzo pomocne. Bez trudu natrafili na wejście do podziemi, a potem na miejsce, gdzie spodziewali się znaleźć skrzynię. Wtedy jednak ktoś wszedł do kościoła i...

Twarz herolda nagle stężała, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Mów!

– Ktoś ich zabił – wykrztusił mężczyzna.

Stojący nad biurkiem Pasterz znieruchomiał niczym wódz pokonywanej armii nad mapą pola bitwy.

– Jak to zabił? – szepnął. – Kto to zrobił?

– Tego nie wiemy. Zastaliśmy tylko...

– Jak? – Pasterz przymknął oczy.

– Broń palna. Po dwie kule w mostek... – Braciszek nagle zachwiał się, jakby miał stracić przytomność, chwycił za kołnierz przy gardle, pociągnął w dół, ukazując liczne tatuaże na szyi. – To musiało wyglądać jak egzekucja.

Pasterz usiadł ciężko na fotelu, objął rękami głowę.

– A więc zaczął się Armagedon – rzekł cicho, utkwivszy nieruchome spojrzenie w jakimś punkcie na przeciwległej ścianie. – Wspólnota ma wielu wrogów. Zawsze wam to powtarzałem.

– Tak, Pasterzu.

– A teraz wrogowie postanowili nas zaatakować.

Chwilę milczał.

– Zbierz wszystkich, którzy zostali przeszkoleni – rozkazał zmienionym nieco głosem bratu, który wciąż oddychał z trudem. – Nie mamy ani chwili do stracenia. Mam nadzieję, że inni nie zawiodą.

W odpowiedzi rozległ się warkot silnika. W szybach pokoju Pasterza odbiły się światła zbliżającego się samochodu.

LXVI

Gdańsk, dzień szósty

Zaczynało świtać, gdy w przedniej szybie samochodu Horna ukazały się kominy rafinerii. Co nie udało się przed kilkoma dniami (sam zainteresowany miał wrażenie, że upłynął cały rok!), udało się teraz. Droga E77 była o tej porze niemal pusta. Na szczycie kominów różowiły się już pierwsze promienie wschodzącego słońca. Dzień zapowiadał się pogodny.

Ksiądz Józef drzemał na tylnym siedzeniu, Ewa zaś obok kierowcy. Wstali o czwartej nad ranem, po niespełna czterech godzinach snu. Horn, mimo wczesnej pory, czuł się dobrze i pewnie trzymał kierownicę. Marzył tylko o jednym – o kubku gorącej kawy.

Włączył radio.

– Na uroczystościach z okazji kolejnej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej, które odbędą się tradycyjnie na Westerplatte, mimo wcześniejszych deklaracji, nie pojawi się premier ani prezydent RP – czytał lektor w radiowym dzienniku. – Jak twierdzi rzecznik rządu, a także szef kancelarii prezydenta nieobecność władz nie ma nic wspólnego z sytuacją w regionie.

– Nikt nigdy nie miał zamiaru umierać za Gdańsk – mruknął z tylnego fotela ksiądz Nehring.

– Dzień dobry – przywitał się Horn. – Prawie jesteśmy na miejscu.

Również i Ewa otworzyła nieco oczy i zaczęła się leniwie przeciągać, na ile tylko pozwalała jej wielkość samochodu.

– Witaj na starych śmieciach – rzucił wesoło Horn.

– Tak. W końcu udało ci się odwieźć mnie do domu – mruknęła dziewczyna, by za chwilę dorzucić przytomnie: – Za mostem skręć w prawo.

Zgodnie z poleceniem włączył prawy kierunkowskaz. Po kilku minutach (poranny szczyt komunikacyjny na ulicach Gdańska jeszcze się nie zaczął) dojechali do centrum miasta i zatrzymali się na Podwalu Staromiejskim.

Ksiądz Józef popatrzył na zegarek.

– Dobra, mamy jeszcze kilka minut – stwierdził, otwierając drzwi auta.

Jeszcze w nocy, poruszony do głębi wiadomością o aresztowaniu rezydenta z Kwidzyna, był gotów tam jechać i ratować go z opresji. Na szczęście Hornowi i Ewie udało się go przekonać, że co innego jest teraz ważniejsze.

– Powie nam ksiądz wreszcie, o co chodzi i dokąd idziemy? – zapytał Horn, gramoląc się z siedzenia.

– Jeszcze chwila.

Było cicho. Z daleka dobiegł zgrzyt tramwaju skręcającego z Huciska w Wały Jagiellońskie albo odwrotnie. Z baszty o nazwie Jacek zerwało się stado spłoszonych gołębi, gdzieś bliżej zaszczekał pies, z otwartego okna dobiegł gwizd czajnika, na który to dźwięk Horn tylko przełknął ślinę.

– Wczoraj w godzinach wieczornych – mówił głos w samochodowym radiu – w okolicach Czarlina znaleziono porzucony samochód biskupa elbląskiego, Tadeusza Brauna. Trwają czynności wyjaśniające. Na razie nie wiadomo, czy fakt ten może mieć związek z oskarżeniem rzuconym na hierarchę przez jedną z gazet...

Nikt nie zdążył jednak nic powiedzieć, złapać się za głowę, zakląć czy wezwać imienia Pana Boga nadaremno. Właśnie bowiem stało się to, na co czekał ksiądz Nehring: odezwały się dzwony – nie jeden, nie dwa ani pięć. Kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt dzwonów zabrzmiało, tworząc regularną

melodię.

– Święta Katarzyna! – krzyknęła Ewa, uderzając się w dłoń w czoło. – Karylion! Czterdzieści dziewięć zaprogramowanych dzwonów.

– Zgadza się – rzekł cicho kapłan.

– Że też od razu na to nie wpadłam. Chodźmy tam, szybko!

Po kilku chwilach zatrzymali się w wejściu do świątyni. Właśnie rozpoczynała się poranna msza.

– Co teraz? – zapytała Ewa księdza, ten zaś z pewną miną, na jaką tylko może być stać osobą duchowną (spokojnie, zdążymy z ostatnim namaszczeniem, nie ma powodu do obaw, jeszcze się nie zdarzyło, żebyśmy nie zdążyli...), odparł:

– Podczas mszy nie można zwiedzać, ale mam inny pomysł.

To rzekłszy, wyszedł z kościoła i pomaszerował wzdłuż bocznej ściany świątyni, już w całości oświetlonej przez słońce. To samo uczyniła towarzysząca mu para.

W niespełna minutę znaleźli się przed wejściem, które prowadziło najpewniej do zakrystii. Nehring położył dłoń na klamce pokrytej cienką warstewką rdzy, chwilę trwał bez ruchu, jakby ważył w sobie jeszcze, czy warto. Albo co powie, gdy stanie oko w oko z gospodarzem przybytku lub, co gorsza, jego gospodynią.

Wreszcie nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły niemal bezszelestnie. Ze środka powiało chłodem i stęchlizną charakterystyczną dla starych murów. Słysząc było stłumione odgłosy mszy: dźwięk organów i chór wiernych. Wąski, ciemny korytarzyk prowadził nieco na lewo, po czym nagle rozwidłał się.

Ksiądz bez namysłu wybrał prawą odnogę. Kilka metrów później zaczynały się schody. Już postawił stopę na pierwszym stopniu, kiedy nagle zamarł. Odwrócił się do Ewy i Horna, położył palec na ustach. Przez kilka sekund trwali w ciszy, którą po chwili zakłóciło coś, co przypominało płacz lub jęki.

Odgłos dochodził zza drzwi, które znajdowały się ledwo metr za rozwidleniem.

– Co to może być? – zapytała szeptem Ewa. Obaj towarzyszący jej mężczyźni prawie równoczesnym gestem nakazali jej milczenie.

Ksiądz nacisnął na klamkę. Również i ona nie stawiała oporu.

Oczom całej trójki ukazała się leżąca na ziemi, wśród kubłów, wiader i mioteł, kobieta w średnim wieku. Miała zakneblowane usta, ręce związane z tyłu i przerażenie w oczach.

Horn szybko wyjął leżącej szmatę z ust.

– Nie róbcie mi krzywdy... – wyszeptała kobieta.

Ksiądz Józef przyklęknął nad leżącą.

– Jestem ksiądz Nehring, przyjaciel proboszcza – powiedział łagodnie. – Proszę się nie bać.

Uwięziona cały czas trzęsa się, jakby wyciągnięto ją z zimnej wody.

– Podeszli mnie od tyłu, gdy sprzątałam – powiedziała po chwili, już nieco spokojniejszym głosem.

– Kto? – zapytała Ewa,

– Nie wiem. Dwóch ich było. Chyba złodzieje...

Kobieta rozplakała się. Zanim jeszcze wstrząsnęły nią spazmy, zdążyła wskazać kierunek, w którym najprawdopodobniej udali się złoczyńcy; był on zgodny z kierunkiem, w którym miał zamiar się udać ksiądz Józef Nehring.

LXVII

54°20'N, 19°01'E, dzień szósty

Silnik łodzi pracował równo i cicho. Właściciel wprawnego ucha, muzyk, a może mechanik, wychwyciłby jednak z łatwością zmieniające się tony, w jakie wpadała maszyna.

Za sterami stał sam Pasterz. Bardzo lubił prowadzić tę jednostkę. Lubiał, jak potężny silnik wprawiał w drżenie cały kadłub, który z kolei reagował na każdy, nawet najmniejszy ruch kołem sterowym. W kokpicie pachniało nowością, a barek był zawsze dobrze zaopatrzony – słowem: idealne cacko na wakacje!

Teraz jednak łódź płynęła w ważnej misji, chyba najważniejszej w całej dotychczasowej historii Wspólnoty Odnowy.

– I powiedział uczniom swoim, aby mieli przygotowaną dla niego łódkę – mówił sam do siebie na głos – ze względu na lud, który na niego napierał. Albowiem wielu uzdrowił, tak, iż ci wszyscy, którzy byli dotknięci chorobą, cisnęli się do niego, aby się go dotknąć. A duchy nieczyste, gdy go ujrzały, padły mu do nóg i wołały: Tyś jest Syn Boży. A On przykazał im surowo, aby go nie ujawniały...

Kiedy odbijali od kei ośrodka, było jeszcze ciemno. Pasterz nie chciał, żeby bracia, siedzący pod pokładem, zasnęli, nakazał im więc jeszcze jeden przegląd broni. Kiedy to zrobili, polecił im modlitwę. Potem zaczęło dzień.

– Pan nasz stawia nas dziś przed kolejną próbą – rzekł do swoich uczniów, zebranych w forpiku. – Nasi wrogowie zadali nam wczoraj bardzo bolesny cios. Polegli za sprawę bracia swoim dotychczasowym życiem na łonie Wspólnoty zasłużyli jednak na zbawienie. Ich dusze są teraz szczęśliwe. My, którzy zostaliśmy, jesteśmy im winni pamięć, a wrogom naszym – zapłatę. Bowiem wielu pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi.

To rzekłszy, pobłogosławił swoich współbraci, a także ich broń, którą trzymali w rękach.

W niczym nie przypominali oni zakonników, którzy chodzili w czarnych habitach po ścieżkach ośrodka, pracowali w ogrodzie czy modlili się w kaplicy. Ubrani byli teraz w cywilne stroje, dżinsy, podkoszulki, każdy miał w zanadrzu plecak lub torbę turystyczną, w których obok lin alpinistycznych, łomów i składanych łopatek saperskich zniknęły automaty Kałasznikowa i pistolety maszynowe PM-63 Rak.

– Czekajcie. – Jeden z braci, który spoglądał na zewnątrz przez okienko zwane fachowo bulajem, uniósł rękę.

Pasterz stojący wciąż na szczycie schodków prowadzących do forpiku zmarszczył czoło.

– Co się dzieje?

– Kuter Straży Granicznej – wyjaśnił obserwator. Nastąpiła cisza. Słychać było wyraźnie plusk wody. – Dobra, popłynęli – rzekł po chwili z ulgą.

– Podobno szukają ruskich szpiegów – dorzucił ktoś nieśmiało, co spowodowało lawinę szeptów i pomruków wśród braci.

Pasterz uniósł obie ręce w górę.

– Uspokójcie się, bracia! – rzekł, wzbudzając natychmiastowy posłuch. – Pismo mówi: Królestwo moje nie jest z tego świata; gdyby z tego świata było Królestwo moje, słudzy moi walczyliby, abym nie był wydany Żydom! Wierzcie mi, dzień walki jest blisko. Dzień zwycięstwa jest blisko...

LXVIII

Gdańsk, dzień szósty

Było coraz ciemniej i coraz bardziej duszno. Horn, Ewa i ksiądz Józef pięli się po spiralnych schodach, usiłując nie powodować niepotrzebnego hałasu. Strach był w tym przypadku dobrym doradcą. Każde z nich miało wrażenie, że za chwilę zdradzi go jego własne, bijące zbyt głośno serce.

Schody skończyły się niespodziewanie drewnianymi drzwiami. Z boku, przez wąską szczelinę okratowanego okienka, sączyło się blade światło.

Idący jako pierwszy ksiądz Nehring tradycyjnie położył dłoń na klamce i, tak jak poprzednio, przed chwilę nie robił nic. Tym razem jednak spojrzał na swoich towarzyszy. Iść dalej czy nie iść? Ryzykować czy nie? – zdało się pytać jego spojrzenie.

– Mają broń... – rzekł przez ściśnięte gardło Horn i ciężko było ocenić, czy było to pytanie, czy stwierdzenie.

– My też – odparł szeptem kapłan, unosząc na chwilę poję koszuli i ukazując wystającą zza paska kolbę.

– Każdy ksiądz ma na wyposażeniu tetetkę?

Zamiast odpowiedzieć, Nehring wyjął pistolet i przywarł płasko do ściany. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, jednak kapłan tylko je lekko uchylił. Przez wąską szparę przedostał się ostry słoneczny blask. Dźwięk, który wcześniej zwrócił ich uwagę, nie powtórzył się.

Znaleźli się w wieży mieszczącej mechanizm karylionu. Wszędzie na masywnych rusztowaniach wisiały różnej wielkości dzieła mistrzów ludwisarskiego fachu – dzwony, dzwonki, dzwoneczki. Od ogromnych, o średnicy metra, po całkiem małe, choć nieco większe od tych, którymi

w dawnych czasach woźni szkolni obwieszczali przerwę w nauce albo jej koniec. Wszystkie połączono skomplikowaną siecią sznurków, metalowych linek, dźwigni, haków i zaczepów.

Cała trójka niemal jednocześnie spojrzała na swoje zegarki; na szczęście do pełnej godziny, kiedy to maszyneria wprawiona zostaje w ruch, było jeszcze sporo czasu.

– Nie ma tu nikogo – stwierdził Horn, nie przestając się rozglądać.

Ksiądz Nehring spojrzał w górę. Nad głowami, dość wysoko, mieli sufit z desek.

– Słyszycie? – Podniósł do góry rękę, ale i bez tego gestu Horn i Ewa wstrzymali oddech.

Ktoś był piętro wyżej. A w rogu wieży dostrzegli kolejne schody.

– Zostańcie tutaj – rozkazał Nehring.

– Żartuje ksiądz? – zachnęła się Ewa. Horn nie powiedział nic.

Po chwili już pięli się po drewnianych schodach, które zakręcając kilka razy w prawo, prowadziły na następne piętro wieży kościoła św. Katarzyny.

Na końcu nie było drzwi. Tym samym nie było czasu na refleksję...

Ujrzeni czworokątną, dużą salę o ścianach z czerwonej cegły. W jednej z nich znajdowała się szeroka, łukowato sklepiona wnęka. To pomieszczenie wypełnione było z kolei różnej wielkości metalowo-drewnianymi maszynieriami, składającymi się z kół zębatach, lin, linek, dźwigni, dźwigienek i tysiąca innych tajemniczych elementów. Tu i ówdzie na grubych linach zwiisały z umieszczonych pod sufitem bloków ogromne kamienie.

Do czego mogły służyć? Pierwsze skojarzenie, z narzędziami okrutnych tortur, było niezbyt przyjemne. Na szczęście było też nietrafne.

– Jesteśmy w Muzeum Zegarów Wieżowych – poinformowała szeptem Ewa, po czym dodała: – Mieszkam w Gdańsku niemal całe życie, a jeszcze tu nie byłam...

Muzeum zegarów wieżowych. Dopiero teraz uszu zwiedzających je na gapę doszedł miarowy stukot, jakże jednak inny od tykania zwykłego zegarka na rękę czy nawet wiszącego wciąż w wielu domach zegara z kukułką.

Której z maszyn, pozornie martwych, można było go przypisać?

– A wokoło tronu dwadzieścia cztery trony, a na tych tronach siedzących dwudziestu czterech starców, odzianych w szaty białe, a na głowach ich złote korony – wyrecytował z liturgicznym dostojenstwem ksiądz Józef Nehring.

Ewa i Horn spojrzeli w tym samym kierunku co kapłan. I ujrzeli owych dwudziestu czterech starców – na tarczy ogromnego złotego zegara, który wisiał naprzeciw ściany sklepionej łukiem. Posiwiali i łysi, gładko ogoleni i brodaci, przypominający świętych z obrazów, po dwóch przy każdej godzinie.

– Dwunastu patriarchów Izraela i dwunastu apostołów – wyjaśnił z sapką ksiądz Nehring.

Na środku tarczy, jak w każdym zegarze, znajdowały się dwie wskazówki – duża wskazywała szóstkę, mała zbliżała się do dziewiątki.

– Już tak późno? – zdziwił się Horn, podwijając machinalnie lewy mankiet koszuli.

– Ten zegar nie wskazuje czasu – rzekł cicho Józef.

– Nie?

– On wskazuje prawdę.

– Krzyż Północy – szepnęła Ewa.

– Tak – potwierdził ksiądz. – Trafiliśmy dobrze...

Z miejsca zapomnieli o niebezpieczeństwie. O tym, że najprawdopodobniej nie byli tutaj sami.

Zegar miał kształt spłaszczzonego pudła, mogącego być skrzydłem drzwi, broniących dostępu do wnęki w murze, wewnętrznego okna bądź wręcz niewielkiego pomieszczenia, i zawieszony był dość wysoko nad ziemią. Nie można jednak było majstrować przy nim, ba!, nawet dotknąć go, stojąc na podłodze.

Horn zaczął rozglądać się za czymś, na co można by było wejść. Stołek, krzesło, drabina? W ostateczności można użyć starych metod z dzieciństwa: splecionych rąk i mocnych ramion, dzięki którym żaden płot ani mur nie stanowił przeszkody nie do pokonania.

Zaczęli miotać się po sali niczym uwięzieni w zaczynającym płonąć budynku w poszukiwaniu wiadra na wodę.

– Spokojnie – sapnął ksiądz Józef. – Musi być jakiś inny sposób.

Rozejrzeli się dookoła. Czy któraś z tych maszyn mogła otworzyć zegar?

– A ten, kto na nim siedział, podobny był z wyglądu do kamienia jaspisowego i karneolowego, a wokoło tronu tęcza, podobna z wyglądu do szmaragdu – wyrecytowała bez zająknięcia Ewa.

Jednocześnie spojrzeli na jedynego rodzaju obciążniki, które nieruchomo zwisały z sufitu.

– Trzy kamienie – potwierdził Horn. – Ale żaden z tych nie jest kolorowy, a o takich mówią słowa objawienia.

– To nie to – zafrasował się Nehring. – To zewnętrzna ściana.

– Może coś jest za nią? – podchwycił Horn, ale ksiądz szybko pokręcił głową.

– Nie, nic za nią nie ma. Żadnego wykuszu.

– A wskazówki zegara? – zauważyła trzeźwo Ewa. – Układają się w symbol, to wiemy. Ale być może pokazują też właściwe miejsce...

– W bok i w dół – głośno myślał Nehring.

Tymczasem Horn, znalazłszy się bezpośrednio pod zegarem, zaczął z uwagą przypatrywać się podłodze. Była wykonana z drewna i niewiele różniła się od reszty. Pozostała wskazówka duża, której ostre zakończenie wycelowane było w...

– Drzwi! – krzyknęli jednocześnie.

W tej samej chwili jednak strach wepchnął im powietrze z powrotem do płuc. Niepozorne drzwiczki, znajdujące się na prostopadłej ścianie, właśnie się... otwierały. Powoli, wręcz dostojnie, jakby poruszane ręką ducha. Do tego bez najcichszego nawet zgrzytu. Paralizujące przerażenie nie pozwoliło nikomu ruszyć się z miejsca ani podnieść broni i wycelować ją we wrogów.

Pistolet Nehringa leżał sobie bowiem spokojnie na maszynie jednego z muzealnych eksponatów. Kilkanaście kroków od właściciela, zupełnie bezużyteczny.

Rozległ się rumor i po chwili na progu drzwi ukazała się metalowa skrzynka. Niemal identyczna ja ta, którą znaleźli we fromborskiej farze.

Ta jednak musiała być pełna...

Ksiądz Nehring złapał się za głowę.

– Jest – jęknął.

Problem w tym, że pchały ją dwie pary rąk. Dwa ludzkie cienie, które pozostawały nimi nawet w jasnym świetle dnia: obdarci, brudni, nieogoleni.

– Dawaj, jeszcze kawałek – wołał jeden do drugiego schrypniętym, przepitym głosem.

– Ciekawe, Marian, ile to może ważyć – głośno zastanawiał się jego kompan.

Zajęci zdobyczą, nie zauważyli, że mają towarzystwo.

Nie było też wátpliwości: zbieracze złomu, kradnący już nie tylko druty z linii wysokiego napięcia, szyny kolejowe, pokrywy studzienek kanalizacyjnych, w które później wpadali przechodnie, postanowili zaatakować gdańskie Muzeum Zegarów Wieżowych. Na drodze stanęła im co prawda gospodyni proboszcza kościoła św. Katarzyny, ale udało się ją szybko i skutecznie unieszkodliwić.

Metalowa skrzynka stanęła w pełnym świetle. Złodzieje rozprostowali się nad zdobyczą. Dopiero teraz zauważyli, że nią są tu sami.

– Co jest, kurwa?! – bluzgnął ten nazwany Marianem.

Drugi z obdartusów zaś jednym susem dopadł ściany i podniósł coś z podłogi; był to łom.

W tym samym momencie skrzypnęły drzwi wejściowe do sali. Powietrze rozdarła seria wystrzałów.

LXIX

Gdańsk, dzień szósty

Niespełna trzy kwadransy później łódź dobiła do pomostu mariny. Obok cumowały głównie łodzie żaglowe, pełnomorskie, rzadziej zatokowe, pod różnymi banderami. Przeważały jachty niemieckie.

Z łodzi wychodzili dwójkami, co najwyżej we trzech, żeby nie wzbudzać niepotrzebnie zainteresowania. Jeden z nich zajął się uregulowaniem spraw finansowych z bosmanem portu, reszta zaś, w tym i Pasterz, w ciągu kilku minut znalazła się na lądzie.

Kolorowo ubrani, objuczeni pakunkami, wyglądali na zwykłych turystów, których niewiele obchodzi cokolwiek poza panoramą Gdańska, z wysokości Ołowianki prezentującej się wyjątkowo pięknie. Do brzegu wyspy dobijał właśnie niewielki prom pasażerski, kursujący przez Motławę. Po chwili wysiadło z niego kilka osób.

W pewnym momencie ktoś z wysiadających niechcący potrącił ramieniem jednego z braci, Andrzeja.

– *Sorry* – rzucił winowajca z niewinnym uśmiechem, by szybko powrócić do rozmowy, która toczyła się w jego gronie.

– Hej, ty! – zawołał za nim Andrzej.

Młokos jakby tego nie usłyszał.

– Mówiłem coś do ciebie!

Brat stanął w szerokim rozkroku, rzucił na ziemię torbę. Coś w niej zadzwoniło, ale mało kto chyba zwrócił na to uwagę. Wokół nagle ucichło.

– Nie rozumiem. O co chodzi? – Chłopak wzruszył ramionami.

Brat Andrzej zbliżył się do winowajcy. Przewyższał go niemal o pół głowy.

– O to, że same „resory” nie wystarczą – syknął.

– Nie?

– Nie.

Przez chwilę stali w milczeniu. Wokół nich stężał milczący tłumek, złożony tak z kompanów chłopaka, jak i mężczyzn, którzy przed chwilą opuścili dużą łódź. Zwaśnione grupy kibiców piłkarskich odznaczają się przynajmniej szalikami w barwach klubowych, ci ludzie nie różnili się od siebie niczym. Mimo to zapachniało awanturą. I pewnie by do niej doszło, gdyby nie radiowóz, który nadjeżdżał od strony mostu łączącego wysepkę ze stałym lądem.

– Na drugi raz uważaj, jak chodzisz – warknął brat Andrzej, po czym schylił się po torbę i, odprowadzany przez szepty i pohukiwania grupy nastolatków, dołączył do swoich kompanów zmierzających w stronę miasta.

Pasterz, który obserwował sytuację z boku, również odetchnął z ulgą. Z jednej strony był zadowolony, bo wychował wojownika; z drugiej zaś wojownik ów dał się sprowokować młokosowi z pryszczami na czole. Bracia

byli szkoleni i przeznaczeni do innych, wyższych celów.

Spojrzał na zegarek, potem na słońce, które coraz wyżej i śmielej pięło się nad Gdańskiem.

LXX

Gdańsk, dzień szósty

Ostatnia, piąta kula wystrzelona z pistoletu precyzyjnie trafiła w zamek tetetki i zmiotła ją z zegara, na którym leżała. Czarniawy mężczyzna w skórzanej kurtce, który pociągał za spust, wycelował trzymaną oburącz broń w przestrzeń między Hornem a księdzem Nehringiem.

– No, znów się spotykamy, *szpion*. – Rosjanin błysnął złotymi zębami.

Horn nic nie odpowiedział. Powoli podniósł ręce do góry. W tej samej chwili rozległ się dźwięk torsji, które dopadły Ewę.

Tylko z ust księdza Nehringa wydobyły się dźwięki, które można było zrozumieć:

– ...a światłość wiekuista niechaj im świeci...

Po czym duchowny zakreślił w powietrzu krzyżyk nad leżącymi na ziemi ciałami zbieraczy złomu, z których każde zostało chwilę wcześniej oznaczone w okolicy serca przez dwa czerwone punkty; z jednego z nich ulatywała jeszcze wąska smużka dymu.

Za plecami mordercy ukazała się jeszcze jedna postać.

– Rudy?! – krzyknął Horn.

– Ciebie też miło widzieć, redaktorze. – Młody archeolog z grupy profesora Buczyńskiego skinął mu głową, po czym niespiesznym krokiem podszedł do metalowej trumienki stojącej pomiędzy stygnącymi trupami i zatarł ręce z zadowoleniem. – Oto i nasza zguba!

Ewa powoli podniosła głowę. Z kącików jej ust ciągnęły się nitki śliny, oczy były pełne łez.

– Kim ty jesteś?! – Dziewczyna chciała się rzucić w stronę Rudego, ale Hornowi udało się chwycić ją za rękę; złotozęby wciąż w nich celował.

Młody archeolog tylko się zaśmiał i wzruszył ramionami.

– Przecież mnie znasz. Sama kombinowałaś na wykopaliskach, odkąd pamiętam.

– Ale nikogo nie zabijałam – płaczliwy głos Ewy zmienił się w spazm. – Co ty robisz? Co to wszystko ma znaczyć? Jezu... Oni nie żyją! Zastrzeliliście niewinnych ludzi!

Rudy uniósł w górę ręce, jakby chciał pokazać, że są czyste.

– To nie ja, to Sasza – powiedział. – Poza tym to śmieci, a nie ludzie. – Znow nachylił się nad zdobyczą i rzucił półgębkiem: – Sasza jeszcze ma trochę nabożów w magazynku, więc mordy w kubeł!

– A ci ludzie, tam, w kościele? – ksiądz Józef z trudem mógł wydobyć z siebie głos.

Rudy spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

– To też śmieci – prychnął z pogardą. – Złodzieje, bezrobotni, z których ktoś chciał zrobić bogobożnych mnichów. Na szczęście wykonali za nas czarną robotę. Tak jak ci tutaj.

– A profesor Buczyński? Jego też zabiliście? – wykrztusiła z siebie Ewa.

– Jego nie. Choć czasami mu się należało.

Rosjanin w skórzanej kurtce przez cały czas nie odzywał się ani słowem, ale uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Horn starał się unikać jego wzroku. Kto właściwie rządził w tym zbrodniczym teamie? Kto komu płacił? – zastanawiał się.

– Dobra, zmywamy się – zaordynował w pewnym momencie Rudy.

Ewa i Horn popatrzyli na siebie; w ich oczach strach mieszał się z nadzieją, gniew, spowodowany utratą poszukiwanego skarbu, ustępował miejsca przemożnemu pragnieniu dalszego oglądania świata, jakikolwiek by nie był.

Sasza pochylił się nad swoimi ofiarami i z obojętną twarzą, jakby zbierał grzyby, wyciągnął im ze spodni paski, którymi następnie zaczął krępować żyjących więźniów.

– Czemu zasłużyliśmy na ten honor? – zapytał Rudego ksiądz Józef.

– Nie wiem – odparł archeolog, drapiąc się z zakłopotaniem po rudej szczecinie na potylicy. – Może dlatego, że za kilka chwil już mnie tu nie

będzie. A może po prostu was lubię. Ciebie, Ewa, szczególnie...

– Spierdalaj! – warknęła na niego Rimmel, którą silne ręce Saszy związywały akurat z Hornem.

– Nawet nie wiecie, co tam jest – Nehring próbował ostatnich pertraktacji. – Ta skrzynka zawiera coś, co może dokonać niewyobrażalnych zniszczeń!

– Wiemy – zaśmiał się Rudy. – Przecież właśnie po to ją zabieramy.

Po chwili ksiądz Nehring, Ewa i Horn siedzieli związani na środku sali wystawienniczej muzeum i z bezsilną złością przypatrywali się działaniom pary zabójców i złodziei, którzy z trudem dźwignawszy skrzynię, przesunęli ją ku drzwiom wyjściowym. Rosjanin otworzył je, po czym sięgnął po coś, czego z początku siedzący nie mogli dostrzec i nazwać.

– Jezu... – jęknęła Ewa.

Zabójca trzymał w rękach kanister z benzyną. Błysnął złotymi zębami w uśmiechu, po czym odkorkował pojemnik, zbliżył się do ciała zbieraczy złomu i zaczął je polewać. Rozeszła się woń gazoliny. Nie było wątpliwości, że morderca chce się pozbyć w ten sposób śladów, a i świadków przy okazji.

Rudy z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni przypatrywał się działaniom kamrata. Chyba dopiero teraz stało się jasne, kto wykonuje czyje polecenia.

Horn z całych sił naprężył mięśnie, jednak węzeł Saszy był wyjątkowo solidny. Ksiądz Nehring modlił się szeptem.

– Co robicie?! – krzyknęła ze złością Ewa, jakby to cokolwiek miało pomóc.

– *Mołczaj!* – nakazał jej Sasza, nie przerywając czynności.

Opróżniwszy kanister, wy dobył z kieszeni skórzanej kurtki niewielki przedmiot. Coś przy nim przekręcił, ustawił. Na czarnym tle zapełgały czerwone cyferki.

Pięć minut.

Cztery minuty, pięćdziesiąt dziewięć sekund.

Bomba nie musiała być wcale wielka, żeby wywołać zamierzony efekt.

Cztery minuty, pięćdziesiąt trzy sekundy...

– *Paka!* – pożegnał się Rosjanin.

– Przykro mi – dorzucił Rudy.

Po chwili ani ich, ani metalowej skrzyni nie było w sali.

– Musimy się stąd wydostać – syknął Horn.

Zapał się nogami, usiłując wstać. Jeszcze gdy zabójca kończył ich krępować, Horn zauważył, że gdyby unieść nieco w górę całą maszynę, do której byli przywiązani, można by było zsunąć więzy z nóg ustrojstwa.

– Może ktoś mi pomoże?!

Ewa i ksiądz Józef jakby ocknęli się z letargu. Popatrzyli na jego poczynania i po chwili cała trójka rwała w górę niezwykłą maszynę. Więzy wpijały się boleśnie w skórę, jednak eksponat nawet nie drgnął.

– Jest przykręcony do podłogi – pozbawiła ich resztki złudzeń Ewa.

Opadli bez sił. Cyferki na wyświetlaczy ładunku wybuchowego cały czas się zmieniały.

– Czekaście – sapnął ksiądz, po czym zaczął wykonywać dziwne ruchy prawą ręką.

Ewa i Horn popatrzyli na siebie. Wtem coś stuknęło o deski podłogi. Z rękawa księdza wypadł... sprężynowy nóż.

– Co jeszcze ksiądz nosi przy sobie? Granaty?! – wykrztusił Horn, jednak Nehring nie miał zamiaru tracić czasu na czcze gadanie.

– Dasz radę? – zapytał siedzącą najbliżej Ewę, ta zaś bez trudu pochwyciła nóż, otworzyła go i sapiąc coraz głośniejszym głosem, jęła przecinać więzy krępujące siedzącego obok Horna.

– Szybciej!

Jeszcze jedna pętla w wyścigu o życie.

– Jest! – krzyknął Horn, unosząc w górę oswobodzone kończyny.

Odebrał nóż Ewie. Wstał na równe nogi, ale zaraz musiał usiąść. Ręką trzymającą nóż otarł pot z czoła.

– Bomba! – wrzasnęła Ewa.

Zerwał się na równe nogi i tak zastygł. Dwadzieścia sekund.

Spojrzał na przyjaciół, potem znów w stronę ładunku. Nie zdąży ich uwolnić, a jeśli nawet, nie dadzą rady odbiec na bezpieczną odległość...

– Szybciej! – wrzasnęli jednym głosem Ewa i ksiądz.

Horn jednym susem doskoczył do mrugającego na czerwono urządzenia,

chwilę się zawahał, nie do końca pewny, czy oderwanie ładunku od podłoża nie spowoduje eksplozji...

Dziesięć sekund.

Podniósł ładunek, który okazał się dość ciężki. Podbiegł do okna. Ale ludzie, przechodnie... – w jego głowie odezwał się nieznany głos.

Pięć sekund. Cztery.

Horn chwycił stojące obok krzesło, na którym w godzinach zwiedzania zasiadał pewnie znudzony pracownik muzeum, którego zadaniem było dopilnowanie, aby zwiedzający nie hałasowali ani nie dotykali eksponatów.

Dwie sekundy.

Trzask rozbijanej szyby. Za nią były kraty. Czy przejdzie przez nie ładunek?

Horn wspiął się na palcach. Wystająca ostra krawędź rozbitej szyby przecięła mu skórę na dłoni, poniżej nadgarstka.

Rzucił!

Rozległ się huk. Resztki wybitej szyby posypały się na podłogę. Jeden z umarłych dawno zegarów wieżowych oddzwonił pełną godzinę.

LXXI

Gdańsk, dzień szósty

Okolo pierwszej po południu ponad dziesięć zastępów straży pożarnej kończyło dogaszanie dachu kościoła św. Katarzyny. Pióropusz ognia widać było z daleka, a dym jeszcze przez godzinę unosił się nad Głównym Miastem.

Między strażakami w rozpiętej sutannie i z rozwianych włosom miotał się proboszcz kościoła, który na zmianę dziękował, przeproszał i sprawdzał, czy któremuś z nich nic się nie stało podczas akcji. Jednocześnie starał się nie patrzeć w stronę kościoła, bał się spojrzeć na ogrom zniszczeń, które wywołał pożar.

– Na szczęście udało nam się ocalić wieżę z karylionem i muzeum –

powiedział dowodzący akcją gaśniczą.

– I Bogu niech będą dzięki.

W pewnej chwili wzrok proboszcza zatrzymał się na tłumie gapiów, którzy niemal od początku przypatrywali się akcji strażaków.

– Józek?

Ksiądz Nehring nie potrafił uniknąć wzroku konfratra. Po chwili obaj kapłani przywitali się uściskiem ręki.

– Moi znajomi – Józef przedstawił Ewę i Horna.

Cała trójka miała dość niewyraźne miny, ich odzież też nie należała do najświeższych, ale miejscowy proboszcz chyba tego nie zauważył.

– Co za nieszczęście, co za strata! – biadolił, pokazując na tłące się jeszcze resztki dachu zabytkowej świątyni. – Na szczęście, jak mówią strażacy, muzeum i dzwony ocalały. Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać.

Horn dostał nagłego ataku kaszlu.

Nagle do proboszcza spalonej świątyni podbiegł młody policjant, zasalutował i zameldował jak przed przełożonym.

– Proszę księdza, komisarz prosi do siebie.

– Pewnie mam złożyć wyjaśnienia – poinformował Nehringa i jego znajomych.

Posterunkowy miał bardzo poważną minę.

– Na poddaszu znaleziono zwęglone ciała – dorzucił „na zachętę”.

Przecież ogień nie tknął sali muzealnych, gdzie zostały ciała zbieraczy – pomyślał Horn.

– Możemy iść z tobą? – zapytał nieśmiało ksiądz Józef.

Po kilku minutach wszyscy znaleźli się w zakrystii. Wkrótce przyszedł tam także policjant w nowym mundurze z dystynkcjami nadkomisarza.

– Przecież wszyscy zostali ewakuowani z kościoła, nie rozumiem – zaczął znów biadolić proboszcz, oficer jednak pokręcił głową.

– To prawda. Ewakuacja się udała – rzekł. – Niestety, na poddaszu kościoła znaleźliśmy dwóch mężczyzn. Mamy jednak powody sądzić, że nie żyli, zanim wybuchł pożar.

– Jezus Maria – jęknął ksiądz i przeżegnał się.

– Czy ksiądz jest w stanie obejrzeć zwłoki? – zapytał policjant.

– Tak, oczywiście. Przez dwadzieścia lat byłem misjonarzem w Afryce...

Na tyłach kościoła stało zaparkowanych kilka radiowozów, wśród nich furgonetka bez szyb. Widząc zbliżającego się oficera, jakiś mężczyzna z ponurą twarzą otworzył tylne drzwi auta.

Ewa, Horn i ksiądz Nehring, mimo że nie zostali zaproszeni oficjalnie, przypatrywali się całej sytuacji z odległości niespełna dwóch metrów.

Proboszcz pochylił się nad zapakowanymi już w czarne foliowe worki zwłokami. Pokręcił zdecydowanie głową.

– To straszne – wyszeptał.

W pewnym momencie odchylił się, ukazując wnętrze karawanu. To wystarczyło. Stojąca w pewnej odległości Ewa zakryła sobie usta.

– Rudy – wykrztusiła tylko. – To jest Rudy...

– Co ty mówisz?! – Horn popatrzył na nią spod ściągniętych brwi. – Przecież to niemożliwe.

Nikt jej nie zatrzymał, kiedy podbiegła do drzwi furgonetki. Z jednego z worków rzeczywiście wystawały rude, nadpalone włosy. Drugie ciało było odkryte... choć właściwie nie sposób było nazwać go już ciałem. Jeden szczegół odznaczał się tylko w kształcie podobnego do spalonego konara grubego drzewa. Tym szczegółem były złote zęby.

– Czy pani zna tego człowieka? – zapytał Ewę oficer.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Czy niczego przy nich nie znaleziono? Jakichś bagaży? – spytał policjanta ojciec Józef.

– A kim pan jest?

– Ksiądz Nehring.

– To mój przyjaciel – przyszedł mu w sukurs proboszcz św. Katarzyny.

Komisarz pokręcił głową, po czym sięgnął do trzymanej pod pachą teczki, skąd wydobył niewielką plastikową torebkę.

– Tylko to.

Był to kawałek kolorowego, nadpalonego na brzegach folderu. Zachowało się zdjęcie, które przedstawiało grupkę uśmiechniętych ludzi w czarnych habitach, stojących na tle parterowego budynku. Pod zdjęciem cztery słowa, wydrukowane wytłuszczoną czcionką: DUCHOWE SPA.

WSPÓLNOTA ODNOWY.

Pół godziny później Horn, Ewa i ksiądz Józef siedzieli w samochodzie niedaleko spalonego kościoła. Przez długi czas żadne nie powiedziało ani słowa. Rany i otarcia po skrępowaniu dopiero teraz zaczynały boleć, dochodziło do nich również to, że właśnie uszli śmierci. I że widzieli śmierć cudzą.

Ewa kilka razy zapłakała, Horn nieobecny wzrokiem patrzył przed siebie, na ruch uliczny, na przechodniów – miejscowych i rozkoszujących się widokami starego Gdańska turystów, na rozchodzący się powoli tłum gapiów, którzy oglądali akcję gaśniczą.

– I co dalej? – zapytała naraz Ewa.

Ocknęli się, jak wywołani do odpowiedzi przez srogiego nauczyciela śpiący uczniowie.

– Wiemy na pewno więcej – rzekł Horn, po swojemu trąc dłonią nieogolone policzki.

Mogli tylko przypuszczać, kto stoi za zabójstwem Rudego i Saszy, przede wszystkim – kto jest teraz w posiadaniu skrzyni. Od kilku dni nazwa Wspólnota Odnowy nie dawała im spokoju.

– O co może im chodzić? – zastanawiała się głośno Ewa. – Chcą zniszczyć Kościół w Polsce? Opublikować to w prasie?

– Już zaczęli – sprostował Horn. – Pamiętasz ten tłum przed kurią?

Dziewczyna skinęła głową.

– Ktoś wysłał do mediów kompromitujące zdjęcia biskupa Brauna z prostytutkami – wyjaśnił Horn księdzu, nie siląc się na delikatność.

– Słyszałem w radiu – powiedział Nehring. – Tadeusz, to znaczy biskup Braun, był jednym z nas. Studiował kilka lat wyżej, ale opiekował się naszym rocznikiem w seminarium...

Horn westchnął głęboko, jakby zrzucał z siebie jakiś ciężar.

– W każdym razie to jest sprawa dla policji – powiedział. – Morderstwa, szantaże, groźby, kradzieże, szpiegostwo. Tego już za wiele. I to jeszcze,

żeby chodziło o coś ważnego! A chodzi o jakąś księgę zapomnianego syfilityka-utrącjusza, która nie wiadomo, czy w ogóle istnieje. Nie, ja wysiadam.

– Nie – rzekł cicho ksiądz.

– Chyba się nie zrozumieliśmy, proszę księdza. – Głos Horna był coraz bardziej schrypnięty i nieprzyjemny. – Powiedziałem, że pasuję. Dostyć już zrobiliśmy. Kilka godzin temu omal nas nie pozabijali. Do tego spaliliśmy kościół. Jak zaczną zbierać odciski palców, to i na nas znajdzie się paragraf!

– A nasza misja? – zapytał ksiądz.

Horn huknął pięścią w kierownicę. Ewa spojrzała na niego z wyrzutem, ale dziennikarz nie miał najmniejszego zamiaru tłumaczyć się ze swojego zachowania.

– Jaka misja?! Co za bzdury ksiądz opowiada? – wykrzykiwał z narastającą złością. – Ja nie mam głowy do żadnych misji. Muszę zarabiać na chleb, bo nikt nie zrobi tego za mnie, a samym ciałem Chrystusa się nie wyżywię. Powinienem być w tej chwili w redakcji, w Warszawie, a bawię się w jakiegoś pieprzonego poszukiwacza skarbów!

Słuchali go w milczeniu. Do wnętrza auta dostała się jakaś zabłąkana mucha i odbijała się rozpaczliwie o zamkniętą, przeciwległą szybę.

– Jeszcze nie wszystko jest stracone – rzekł Józef ze spokojem.

– Chce ksiądz powiedzieć, że świat da się jeszcze uratować? – zaśmiał się Horn. – Ależ tak, wierzę w to głęboko. Świat i tym razem ktoś uratuje. Ale to nie będę ja.

Nagle Józef Nehring chwycił za wewnętrzną klamkę i otworzył drzwi samochodu.

– Rozumiem – powiedział. – To zupełnie jasne. Chciałbym panu bardzo podziękować za dotychczasową pomoc. Niech Bóg błogosławi.

To rzekłszy, wyszedł z samochodu, zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę Motławy.

– I co? Jesteś z siebie zadowolony? – zapytała milcząca dotąd Ewa.

– A ty nie powinnaś iść do domu?! – odparował. – Mąż się pewnie martwi. Albo narzeczony...

Popatrzyła na niego, ale w jej spojrzeniu nie było widać pretensji ani

wyrzutów. Raczej przykre zdziwienie.

– Kim jesteś, człowieku, żeby mnie oceniać? – zapytała drżącym głosem.

Nic na to nie odpowiedział. Jakby całą jego uwagę przykuły beznadziejne działania uwięzionej muchy. Przymknął oczy. Spodziewał się trzaśnięcia drzwiami i oddalającego się stukotu obcasów. To oznaczałoby koniec przygody. Tylko że Ewa Rimmel nie nosiła bucików na wysokim obcasie. Nie miała też najwyraźniej zamiaru opuścić auta. Ani się rozpłakać. Bo i taką możliwość brał pod uwagę. A tu nic, żadnych działań.

Spojrzał w prawo. Patrzyła na niego. Analizowała na zimno. W oczach ani śladu łez.

– Co? – rzucił prowokacyjnie.

Nie odpowiedziała.

– Mowę ci odjęło?

Pokręciła lekko głową.

– Idź za nim – rzekła.

Nie, musiał się przesłyszeć!

– Co? – prychnął, daremnie usiłując ukryć narastającą irytację.

– Nie rozumiesz? Idź za księdzem Józefem. No, już!

LXXII

>54°17'N, 19°26'E, dzień szósty

– Potem usłyszycie o wojnach i wieści wojenne. Baczcie, abyście się nie trwożyli, bo musi się to stać, ale to jeszcze nie koniec. Powstanie bowiem naród przeciwko narodowi, i królestwo przeciwko królestwu, i będzie głód, i mór, a miejscami trzęsienia ziemi...

Pasterz przerwał, podniósł wzrok znad księgi i spojrzał na słuchających go uczniów. Otarł chustką ślinę wezbraną w kącikach ust, a potem pot z czoła.

Zawsze sporo wysiłku kosztowały go te lekcje, kazania, jakkolwiek je nazwać. Mimo że głos jego wspomagały kilowaty sprzętu nagłaśniającego,

jakiego nie mogłaby się powstydić dobra dyskoteka, męczył się. To pewnie przez nerwy. Wszak najmądrzejsze słowa nie dotrą do serc i umysłów słuchaczy, gdy wypowiadająca je osoba będzie bełkotać, połykać zgłoski, seplenić albo w jakiś inny sposób kaleczyć ojczytą mowę.

– Ale to wszystko dopiero początek boleści – przeczytał, a raczej wyrecytował z pamięci kolejny, krótki ustęp Ewangelii świętego Mateusza, by znów zrobić sobie przerwę.

Kilkadziesiąt par oczu przyglądało mu się z napiętą uwagą. Tak, to najlepsza nagroda za wszelkie niedogodności, na które i on był czasem skazany. W tej chwili bowiem czuł się bardzo zmęczony. Nieprzespana noc, a po niej pełen napięć i nerwów dzień. Mimo że wszystko poszło po jego myśli, dałby teraz wiele za możliwość kilku godzin snu.

Ale nie było już na to czasu. Zbliżał się bowiem czas rozwiązania. Ostatecznego rozwiązania, bo przecież:

– Wtedy wydawać was będą na udreki i zabijać was będą i wszystkie narody pałać będą nienawiścią do was dla imienia mego. I wówczas wielu się zgorszy, i nawzajem wydawać się będą i nawzajem nienawidzić. I powstanie wielu fałszywych proroków i zwiodą wielu...

Ma to, czego chciał. Wreszcie! Po tylu latach. To nie sen, nie rojenia ani pijackie zwidy. To się dzieje naprawdę. To się wreszcie stanie naprawdę.

– A kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony – zakończył niemal szeptem.

Palcami dotknął oczu u nasady nosa, chwilę tak trwał. Drugą ręką zamknął powoli księgę. Nie będzie potrzebna. Już wszystko wie. Niewiele zostało czasu...

LXXIII

Gdańsk, dzień szósty

Ksiądz Józef Nehring był już na Długim Targu, kiedy usłyszał za plecami tupot nóg. Zatrzymał się, wyprostował z dumą. A jednak nie odpuszczając,

przeszło mu przez myśl. Chciał jednak spojrzeć napastnikowi w oczy. Wiedział, że dla zawodowca zabicie człowieka nawet w tłumie nie stanowi najmniejszego problemu. Odwrócił się powoli, spodziewając się ujrzeć oblicze egzekutora – po raz trzeci i pewnie już ostatni.

Ale przed nim stał Horn. Stał i dyszał.

– Już myślałem, że księdza zgubiłem – wyrzeźił z trudem, łapiąc się teatralnym gestem za serce.

– Trochę wysiłku i już padamy z nóg – rzucił kapłan z dezaprobatą. – Całe wasze pokolenie jest do niczego. Za dużo siedzisz za biurkiem w tej Warszawie. Trochę ruchu!

– Zdziwiłby się ksiądz. – Horn wciąż z trudem łapał powietrze.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

– Czegoś zapomniałem? – zapytał proboszcz z Tolkmicka.

– Chciałbym księdza przeprosić. – Horn zwiesił na chwilę głowę. – To wszystko chyba mnie przerasta. Co nie zmienia faktu, że nie powinienem tak mówić.

– Czego?

– O jedzeniu opłatków na śniadanie i te rzeczy, nieważne. – Machnął ręką.

– Ona ci kazała to zrobić?

– To teraz nieważne. Chodźmy. Musimy się zastanowić, co robić dalej.

– Jesteś pewien?

– Tak. Ewa czeka na Targu Rybnym, ale nie jestem pewien, czy tam się czasem nie płaci za parkowanie...

– No tak, to jest argument.

Z wieży gdańskiego ratusza dobiegły właśnie pierwsze dźwięki *Ody do radości*. Mężczyźni ruszyli w stronę Zielonej Bramy. Odprowadzała ich para czujnych oczu, skrytych za szklami przeciwsłonecznych okularów. Po chwili ich właściciel podniósł do ust niewielką krótkofalówkę, z której dobywał się cichy szum.

– Są znów razem. Bez odbioru...

Po niespełna kwadransie cała trójka piła kawę w ogródku jednej z kawiarni nad Motławą. Nabrzeżem ciągnęły tłumy turystów, co chwilę jakaś większa grupka wysypywała się ze statku wycieczkowego, który przed chwilą wrócił z Westerplatte, albo z niewielkiego promu, który kursował tylko do „Sołdka”, statku-muzeum.

– Plan jest prosty: muszę się dostać do ich siedziby i wykraść skrzynkę – wyrzucił z siebie jednym tchem ksiądz Józef, a w miarę jak to mówił, w jego oczach coś niepokojąco błyskało.

– Genialne! – Horn zaklaskał bezgłośnie w dłonie, za co Ewa zgromiła go wzrokiem. – A sądząc po tym, co jeszcze ksiądz trzyma w rękawach, marny los tych, którzy nie będą chcieli dobrowolnie wydać skrzynki.

– Niestety, nic już nie mam w rękawach – zaśmiał się niewinnie duchowny, podnosząc obie ręce do góry, ale szybko spoważniał. – Musimy się spieszyć.

– Dlaczego? – zdziwiła się Ewa. – Tyle setek lat księga przeleżała w ukryciu, więc dlaczego kilka dni czy tygodni miałoby zrobić różnicę.

– Chyba że w środku jest jakiś mechanizm zegarowy – wtrącił Horn. – Na szczęście mamy już w tym wprawę. Szkoda tylko zabytkowego kościoła.

Ksiądz Nehring milczał. Sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Słyszałem o tych duchowych SPA w klasztorze w Tyńcu, więc tym bardziej jestem ciekaw, co może zaproponować taka Wspólnota.

– Pewnie wpuści, a potem nie wypuści – spekulował Horn.

– Otóż to.

– I co dalej? – zapytała Ewa.

– Mam nadzieję, że adres, który dostaliście w kurii, jest aktualny.

– Problem w tym, że oni dobrze wiedzą, jak ksiądz wygląda – zauważył przytomnie Horn. – To musi być ktoś, kogo nie znają i...

– I nie kobieta – dokończyła dziewczyna. – To chciałeś powiedzieć?

Tylko przewrócił oczami.

– Z tego, co wiem, na takie duchowe SPA wybierają się częściej kobiety niż mężczyźni – powiedziała archeolożka. – Prawda jest taka, że to wszystko wynika z mody. Jedna pochwali się drugiej w pracy, ta powie trzeciej przy kawusi, a po kilku dniach okaże się, że nie można tam nie pojechać, bo

będzie się wykluczoną poza nawias.

– Przynajmniej do czasu, kiedy modne będzie znów surfowanie na Helu albo szaleństwa na quadach – zauważył Horn.

– W takim razie pozostaje nam ciągnięcie zapalek. – Ewa potarła rękę.

Ale nikt nie miał pudełka zapalek ani wykałaczek. Ciągnięcie kulek z kapelusza też nie wchodziło w grę. Coraz bardziej zirytowany ksiądz Józef apelował o rozwagę. Ale się uparli. Ostatecznie stanęło na zgadywaniu, w której zaciśniętej pięści znajduje się zwinięta w kulkę papierowa serwetka. Ksiądz Nehring zgodził się przyjąć rolę arbitra.

Pierwsza losowała Ewa. Horn, mimo że temperatura powietrza mocno przekraczała granicę dwudziestu stopni, poczuł na plecach zimny dreszcz.

LXXIV

54°17'N, 19°26'E, dzień szósty

Brama strzegąca wejścia do ośrodka wydawała się zamkniętą na głucho. Kilkakrotne szarpanie za klamkę nie przyniosło efektów. Do tego żadnego dzwonka ani nawet żeliwnej kołatki w formie jakiejś niewielkiej rzeźby. Na przykład aniołka.

– Cholera – Horn zaklął cicho pod nosem.

Zrobił kilka kroków do tyłu. Popatrzył na bramę, jednocześnie dając się obejrzeć w pełnej krasie. Zbliżała się czwarta po południu.

A przecież dzwonił, rezerwował pokój. Aż dziw, że tak łatwo udało mu się umówić.

Wreszcie coś zazgrzytało w drzwiach furty ośrodka.

– Nareszcie – mruknął sam do siebie.

Odsunął się o dwa kroki. Może ta odległość okaże się bezpieczna? Nigdy przecież nie wiadomo, co może zza takich drzwi wyskoczyć. Choćby potężny brytan. Taka przygoda spotkała go w dzieciństwie. Pies nie miał nawet złych zamiarów, robił tak wiele razy, ale tego rodzaju serdeczności okazały się zbyt mocne jak na dziecko.

Odgłos przesuwanego metalu. Dopiero teraz nowo przybyły zauważył, że w bramie jest niewielki wizjer. To właśnie przez niego spoglądało teraz czyjeś czujne oko. Przez chwilę, bo oto rozległ się podobny chrobot i wizjer został zamknięty.

– Długo jeszcze? – zapytał półgłosem i zaraz dodał, już głośniejszym głosem, ale też z wesołą nutą: – Przyjechałem do SPA. Moja dusza nie wytrzyma dłuższego czekania!

Jęknięta otwierana brama. W szparze między wierzejami ukazała się postać w czarnym habicie. Na pierwszy rzut oka nie wiadomo było, jakiej jest płci. Zakonny przyodziewek wskazywał bowiem na mężczyznę, ale już gabaryty przemawiały bardziej na kobietę.

I był to trop właściwy, gdyż spod kaptura wychylała się twarz o zdecydowanie kobiecych rysach. Żeby się jednak do końca przekonać, trzeba się było przywitać.

– Dzień dobry. Nazywam się Tomasz Horn, dzwoniłem dzisiaj – rzekł nieśmiało, przekładając swój bagaż z jednej ręki do drugiej.

Postać w habicie skłoniła się, szerzej otwierając bramę. Może obowiązuje ich jakaś przysięga milczenia albo coś takiego – przeszło mu przez głowę. Po chwili zamknęły się za nim drzwi. Był w paszczy lwa. Na co dzień, w swojej dziennikarskiej robocie, wystrzegał się podobnych wyświechtanych sformułowań, ale teraz nie przychodziło mu do głowy nic bardziej oryginalnego.

Pasterz powoli zszedł z podwyższenia i usiadł na swoim miejscu – też znajdującym się nieco wyżej niż miejsca uczniów i przodem do audytorium.

Kaplica mieściła się w byłej świetlicy, gdzie za czasów świetności ośrodka można było obejrzeć film lub mecz w kolorowym telewizorze, zamykanym na kłódkę, a jeśli nie było niczego ciekawego w telewizji (albo dysponujący kluczem od kłódki kaowiec był nieosiągalny) – pograć w piłkarzyki, bilard bądź warcaby.

Po przejściu terenu przez zgromadzenie, tam gdzie kiedyś znajdowała się

szafka z telewizorem, pojawił się ołtarz – krzyż niemal na całą wysokość pomieszczenia, obok wiszący na ścianie duży portret uśmiechniętego Pasterza. Tabernakulum, kilka wazonów z kwiatami. Ściany pomalowano na biało i nie wisiało na nich nic, przez co kaplica najbardziej przypominała chyba skromne w wystroju, ascetyczne wręcz, w tych okolicach zaś kiedyś powszechnie spotykane świątynie ewangelickie.

Pasterz marzył o drewnianych, solidnych ławach, w których jego uczniowie mogliby się oddawać modlitwie i kontemplacji; póki co jednak wspólnota musiała zadowolić się drewnianymi krzesłami, które, odnowione i pomalowane na jeden kolor, ustawiono w dwunastu rzędach.

Na mównicę, pozostałą również w spadku po ośrodku wypoczynkowym, ale gruntownie i pięknie odnowioną, wszedł brat Joachim. Pełnił on funkcję prawej ręki Pasterza. Zajmował się też wszelkimi sprawami organizacyjnymi, na co składał się też i swoisty proces translatorski – przekładania z języka Biblii na język codzienny. Krasomówstwo nie było jego najsilniejszą stroną, szczerłość i bezpośredniość – owszem, tak.

Tym razem jednak zaczął brat Joachim od spraw codziennych.

– Przypominam apel Pasterza do braci i sióstr, co służbę w kuchni pełnią. Żeby podawane posiłki były gorące. Szybki kowar został wczoraj naprawiony. Więc nie powinno być z tym już problemów żadnych, prawda...

Szmer, niespotykany w chwilach, gdy przemawiał Pasterz, przetoczył się po ciżbie.

– Przypominam też, szczególnie nowo przybyłym do naszej wspólnoty, o godzinach ciszy nocnej. Cisza nocna zaczyna się o godzinie dwudziestej drugiej, a kończy o szóstej rano.

Rozległ się jakiś stłumiony chichot. Pasterz zmarszczył brwi, wstał ze swojego miejsca i podszedł do mównicy. Brat Joachim chciał go wpuścić, jednak ten powstrzymał go. Stanął obok i tylko przysunął sobie do ust jeden z cienkich, zamontowanych na giętkich statywach mikrofonów.

– Wyciszenia i spokoju, po które tutaj do nas przyjechaliście, nie znajdziecie w pustym śmiechu – rzekł powoli. – Wspomnijcie, co przed chwilą powiedziało Pismo: „i zabijać was będą i wszystkie narody pałąc będą nienawiścią”. Tak też się stanie, prędzej, niż myślicie. Miliony ludzi zginą.

A tylko ten, kto wytrwa do końca, będzie zbawiony.

Skinął głową bratu Joachimowi i ponownie zajął swe miejsce.

– Przypominam o obowiązującym w naszej wspólnocie bezwzględnym zakazie posiadania telefonów komórkowych – powiedział brat, tocząc groźnym wzrokiem po zebranych. – Kto złamie ten zakaz, zostanie surowo i przykładnie ukarany.

Cisza. Najcenniejsze dobro, po które przyjechali amatorzy duchowego SPA.

– Patryku, czy chciałbyś nam coś powiedzieć? – brat Joachim zwrócił się z pytaniem do chłopaka z długimi włosami, który siedział w piątym rzędzie.

Kto nie znałby Patryka, bez trudu odnalazłby go teraz w tłumie, bowiem oczy wszystkich uczestników liturgii również zwróciły się ku niemu.

– Ja? – bąknął chłopak. – A co chodzi?

Wydawał się wytrącony ze snu lub głębokiego zamyślenia. Wyprostowany, mrugał oczami, patrząc nieprzytomnie to na Joachima, to na Pasterza. Ten ostatni jednak szybko opuścił wzrok, przymknął oczy, oddając się rozmyślaniom, od czasu do czasu kręcąc głową, jakby w ten sposób wyrażał dezaprobatę albo zaniepokojenie sprawami, które poruszano.

– Może sam nam powiesz – rzekł Joachim, miażdżąc chłopaka wzrokiem.

Wywołany do odpowiedzi poczerwieniał jak burak. Rozglądał się bezradnie po siedzących dookoła członkach wspólnoty. Ci jednak, zamiast go wspierać – jak wspierają się uczniowie od zarania dziejów, choćby podpowiadając – zaczęli się od niego odsuwać, jakby jego ciało zaczęło wydzielać jakiś nieprzyjemny zapach albo z głowy lada chwila miały przeskoczyć na nich wszy.

– Ja nie wiem, nie rozumiem – bełkotał Patryk, coraz bardziej kuląc się w sobie.

Teatr jednego aktora najwyraźniej znudził już widzów, bo oto stojący na mównicy, podpierający się szeroko rozłożonymi rękami brat Joachim przeniósł wzrok dwa rzędy dalej i nieco w bok. Tam, gdzie siedziała długowłosa brunetka, na oko rówieśnica Patryka.

– A czy ty, Anno, masz nam coś do powiedzenia? – zapytał identycznym tonem.

Chłopak odwrócił się gwałtownie. Spojrzenia obojga oskarżonych spotkały się. Znać w nich było przerażenie pomieszane ze zdziwieniem.

Jak mogli się dowiedzieć? Przecież tak uważaliśmy!

– Chciałbym przypomnieć, iż na terenie naszej wspólnoty niedozwolone są jakiegokolwiek intymne kontakty między członkami zgromadzenia! – grzmiał Joachim. – Surowo zakazane jest przybywanie kobiet w pokojach męskich po godzinie dwudziestej. Tych dwoje... – Brat wycelował zakrzywiony palec z brudnym paznokciem na końcu najpierw w Annę, potem w Patryka. – Tych dwoje ośmieliło się złamać obowiązujące od samego początku istnienia naszej wspólnoty prawo. Jedno z najważniejszych. Prawo czystości.

Tłum wiernych rozszeptał się na dobre.

– Pytam: jaką karę ma wymierzyć im wspólnota?! – Z ust brata aż trysnęła ślina.

Na te słowa jakaś gruba kobieta o zniszczonej twarzy wstała z miejsca i splunęła Annie w twarz. Po chwili to samo uczynił jakiś osiłek w stosunku do Patryka, dokładając kopniaka w piszczel.

Lawina ruszyła. Ludzie zaczęli się przeciskać między krzesłami, żeby wymierzyć winnym sprawiedliwość. Słychać było odgłosy spluwania i krzyki. Napiętnowana para broniła się, kryjąc twarze w dłoniach. Anna usiłowała założyć sobie na głowę kaptur habitu, ale czyjeś ręce go zdarły.

Tylko dwie osoby nie brały udziału w linczu, dwie młode kobiety: blondynka i rudowłosa. To one wczoraj – i przed chwilą również – rozgniewały Pasterza swoim śmiechem.

– To nie wystarczy! – krzyknął z mównicy brat Joachim.

– Do dołu z nimi! – zawołał ktoś z tłumu, gdzie już nie było nawet widać nieszczęsnych kochanków.

Pasterz ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Niech się stanie – wydał wyrok Joachim.

Na te słowa do kaplicy wpadło kilku osiłków, wyłuskali spośród tłuszczy Annę i Patryka, po czym wyprowadzili ich, osobno, z kaplicy. Członkowie wspólnoty, odprowadziwszy wzrokiem pojmanych, zaczęli, acz niechętnie, zajmować swoje miejsca. Nikt nie ogłosił przecież końca liturgii.

Po kilku chwilach nie było jakichkolwiek znaków po tragedii, która się tu rozegrała. Znów zapanowała cisza.

– Nakładam na Annę i Patryka karę finansową w wysokości tysiąca złotych na osobę, którą to kwotę winni wpłacać po odbyciu kary – wyrecytował jednym tchem brat Joachim. – A teraz módlmy się – zaintonował, składając przed sobą dłonie przesadnie szerokim gestem. – Niech Pan nasz wybaczy siostrze naszej Annie i bratu naszemu Patrykowi, którzy zgrzeszyli. Niech pokuta, jaką otrzymali, pomoże im zrozumieć błędy. Bo tylko ten, kto wytrwa do końca, będzie zbawiony.

Kilkadziesiąt głów pochyliło się nisko.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe. Kilkoro zebranych obejrzało się za siebie. W drzwiach stały dwie osoby: jedna w habicie, druga, młody mężczyzna, w normalnym ubraniu. Brat Joachim skinął głową na znak, że wszystko jest w porządku.

– Przywitajmy naszego gościa, który przyjechał do nas w poszukiwaniu spokoju i prawdy. – Joachim wyciągnął obie ręce w geście papieskiego błogosławieństwa. – Tomasz w Warszawy. Przyjmijcie go gorąco.

Kilkadziesiąt par oczu zwróciło się ku stojącemu na środku kaplicy Hornowi. Patrzyli na niego z sympatią i zaciekawieniem.

Tylko jedna para oczu, skryta pod kapturem, spozierała na przybysza z przerażeniem pomieszanim ze zdziwieniem.

– Co on tu robi? – zapytała rudowłosa dziewczyna. – Jak mnie tu znalazł? Pytanie usłyszała jej jasnowłosa towarzyszka.

– Znasz go, Gośka?

– Czy go znam? Cholera. To przecież mój mąż...

LXXV

okolice Suchacza, dzień szósty

Ewa Rimmel całkiem nieźle radziła sobie za kierownicą samochodu Horna. Kiedy całą trójką zajechali w pobliże ośrodka zajmowanego przez

sektę, gdzie miał zostać dziennikarz, o mały włos cała akcja nie spaliłaby na panewce. Na szczęście właściciel auta dał się przekonać, że Ewa nie zniszczy cacka, nie wyląduje nim w najbliższym rowie, nie będzie szaleć z prędkością, ale też nie będzie zarzynać silnika na zbyt niskim biegu. Ksiądz Józef Nehring obiecał dopilnować, żeby wszystko było w porządku.

Teraz Ewa odwoziła kapłana na jego plebanię do Tolkmicka, sama zaś planowała udać się do Fromborka, aby powiadomić resztę ekipy naukowców o zdradzie Rudego. Miała nadzieję, że nie miał współników.

– Myśli ksiądz, że Tomasz sobie poradzi? – zapytała naraz.

Ksiądz Józef potarł oczy, potem podbródek; najwyraźniej ocknął się z płytkiego snu.

– Tak. Na pewno – odpowiedział po chwili.

– Ale jest nerwus.

– Trochę jest. Każdy z nas ma swoje za uszami.

– Nie rozpoznają go?

Kapłan poruszył się niespokojnie.

– Z naszych wspólnych ustaleń wyszło, że nie powinni – rzekł cicho, patrząc przed siebie na drogę. – Mówiłem wam, że to powinienem być ja...

– Sama już nie wiem.

Pokonali ostry zakręt. Nagle przed nimi, zza gęstej kępy drzew, wyszedł żołnierz w czerwonym berecie. Zdecydowanym ruchem uniósł lizak.

– Cholera! – zaklęła dziewczyna.

– Spokojnie, to nie policja – rzekł ksiądz, mrużąc oczy.

– A kto?

– Żandarmeria Wojskowa – wyjaśnił, ale zaraz zapytał, już mniej pewnie.

– Mamy dokumenty wozu?

Ewa zatrzymała się na poboczu. Dopiero teraz zauważyli terenowego honkera z kogutem na dachu. Koło niego stało dwóch innych żandarmów.

– Coś się musi dziać – mruknęła Ewa.

– Przecież dzieje się od kilku tygodni – sprostował Nehring. – Masz te papiery?

Przy otwartym okienku kierowcy stanął żołnierz z lizakiem.

– Dzień dobry państwu – zasalutował. – Chorąży Nowak, Żandarmeria

Wojskowa garnizonu Elbląg.

– Dzień dobry – odpowiedziała Ewa.

– Prawo jazdy, dokumenty wozu proszę – dokończył żandarm.

Odpowiedź na pytanie Nehringa okazała się na szczęście twierdząca. Dziewczyna bez słowa podała wszystkie stosowne dokumenty. Po chwili została poproszona o otwarcie bagażnika. Na koniec żołnierz zajrzał też do dokumentów pasażera. Ewie wydało się, że przez twarz chorążego przebiegł cień uśmiechu. Na szczęście więcej życzeń nie miał.

– Przepraszamy państwa za kłopot – rzekł, salutując.

Po chwili jechali dalej.

– Dobrze, że nie ma policji kościelnej – zaśmiał się Nehring. – Ta pewnie tak szybko by nas nie puściła.

Ewa Rimmel zmarszczyła brwi. Już szykowała w myślach jakąś ciętą ripostę, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy. Leżał na półce, wystarczyło tylko sięgnąć, ale napotkawszy srogi wzrok kapłana, zatrzymała auto i dopiero wtedy odebrała połączenie.

– Tak? Przy telefonie – powiedziała. Nagle twarz jej pokraśniała, a oczy powiększyły się. – Naprawdę? Tak, już jadę!

– Co się stało? – zaniepokoił się Nehring.

– Dzwonili ze szpitala.

Ksiądz zbladł.

– Coś nie tak z Matejukiem?

– Nie. Chodzi o profesora Krasińskiego. Jest już całkowicie przytomny. Powiedział, że musi się koniecznie ze mną widzieć – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

LXXVI

Braniewo, dzień szósty

Dochodziła szósta po południu, gdy dotarli na miejsce.

Główne wejście do budynku szpitala powiatowego w Braniewie było

oflagowane tak jak tego dnia, gdy Ewa była tu po raz pierwszy z Hornem. Zarówno wtedy, jak i teraz dziewczyna była podekscytowana wiadomościami o profesorze Zbigniewie Krasińskim, szefie jej ekspedycji. Niestety, wykopując szczątki wielkich mistrzów krzyżackich w Kwidzynie, Krasiński dokopał się także i wydobył na powierzchnię puszkę Pandory.

Czy za chwilę Ewa dowie się, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi?

Idąc po szpitalnej posadzce, nie wiadomo dlaczego, ale zapragnęła ponad wszystko umyć sobie włosy. Właściwie myła je wczoraj, a może to było przedwczoraj? Teraz jednak nie potrafiła pozbyć się tego przemożnego, skądinąd prostego pragnienia.

Profesor leżał w tej samej salce, w której widzieli go wcześniej. Wyglądał już jednak inaczej: jego twarz nabrała kolorów, głowę trzymał wyżej, właściwie prawie siedział, co jednoznacznie dyskwalifikowało go jako kandydata na nieboszczyka. No i, co najważniejsze, był przytomny. Swoją podwładną poznał od razu.

– Ewa, nareszcie! – zawołał słabym głosem, wraz z uniesionymi rękami podniosła się także rurka łącząca wenflon z kroplówką.

– Zbyszek... – głos uwiązał dziewczynie w gardle, postanowiła jednak, że się nie rozplacze. – Jak się czujesz? – zapytała po chwili.

– W porządku – stęknął i usiłował się uśmiechnąć; spojrzał w bok, potem pytająco na dziewczynę.

– To ksiądz Józef Nehring, proboszcz z Tolkmicka – przedstawiła kapłana Ewa.

– Aż tak źle ze mną, że przyprowadziłaś księdza? – zaśmiał się sztucznie Krasiński.

Dziewczyna nie odpowiedziała na to pytanie.

– Mamy wspólnych znajomych. Ja i pan – rzekł cicho ksiądz Józef.

– Naprawdę?

– Owszem. Ktoś, kto porwał pana, mnie usiłował zabić. Już dwa razy.

– O co w tym wszystkim chodzi? – jęknęła archeolożka, wbijając pytające spojrzenie w profesora.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy archeologa, a wraz z nim radość

ze spotkania. Jedyne, co pozostało, to chyba przejść do meritum sprawy.

– Zaczęło się od telefonów – zaczął mówić po chwili. – Z początku myślałem, że to jacyś handlarze dzieł sztuki. Tak się zresztą przedstawili. Najbardziej interesowały ich nasze wykopaliska w Egipcie i Syrii. Czułem, że to jakaś prowokacja, więc od razu ich zbyłem. Ale byli uparci, jakby doskonale wiedzieli, że z takich wypraw zawsze przywozi się coś cennego, co można potem sprzedać. Kiedy zaproponowali mi spotkanie, najpierw przestraszyłem się, a potem odetchnąłem z ulgą. Może komuś takiemu trzeba powiedzieć prosto w nos: nie mam nic na sprzedaż, żeby wreszcie zrozumiał!

– I co?

– Umówiliśmy się we Wrzeszczu. Przyszło ich dwóch: starszy i młodszy. Starszy nie odzywał się wcale, młodszy mówił. Szybko okazało się, że nie chodzi im o żadne skarby Egiptu czy Syrii, tylko o to, żeby mnie sobie obejrzyć. I jeszcze coś. Następnego dnia mieliśmy zacząć wykopaliska w Kwidzynie i oni... wiedzieli, że je zaczynamy. Gdy zapytałem skąd, ten młodszy tylko się zaśmiał, mówiąc coś o mojej międzynarodowej sławie. Zdziwiło mnie to, bo akurat o poszukiwaniu grobu Doroty z Mątowów nie mówiłem nikomu prócz was.

– Podejrzewasz kogoś z naszego zespołu? – przestraszyła się Ewa, ale profesor zdecydowanie pokręcił głową.

– Okazało się, że chodzi o proboszcza tamtejszej katedry, a nie o nas. Byliśmy tylko narzędziem w ich rękach. Wykopaliliśmy w ziemi dziurę, w której oni spodziewali się coś znaleźć.

– Co takiego? – zapytała Ewa.

– Tego nie wiem. Skarby, złoto? Ale nie znaleźli tego, co tylko spotęgowało ich gniew, który obrócili przeciwko proboszczowi. Byłem przy tym.

– Wiem.

Nawet nie zdziwił się temu.

– Pierwszy raz widziałem śmierć człowieka, ale nie mogłem nic zrobić. Uwierz mi. Nic! -Profesor zakrył oczy dłonią bez wenflonu, oddychał z trudem. – To był dziwny rytuał – rzekł wreszcie. – Jakby egzekucja. Potem zabójca wepchnął nieboszczykowi do ust jakąś kartkę.

Ewa patrzyła na niego ze współczuciem. Tymczasem twarz księdza Nehringa nie wyrażała żadnych uczuć. Była jak z kamienia.

– Ale dlaczego pojechałeś z zabójcą do Fromborka? – naciskała Ewa. – Czemu nie uciekłeś, nie powiadomiłeś policji?

– Nie mówiłem wam tego nigdy, bo jak wiesz, nie jestem zbyt wylewnym ani przesadnie otwartym człowiekiem – sapnął chory. – Od blisko roku miałem kłopoty z Julią, moją córką. Jak każda nastolatka zaczęła się buntować, nigdy bym jednak nie przypuszczał, że przybierze to aż takie rozmiary. Zaczęła znikać z domu na całe dni, potem nie było jej przez tydzień. Zawsze jednak wracała albo dzwoniła z jakichś dziwnych miejsc. Zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić. Lecz jakiś czas temu przepadła gdzieś na dobre. Przez koleżankę przekazała mi tylko, że została członkinią jakiejś wspólnoty wyznaniowej.

Ewa i Józef spojrzeli na siebie. Sprawa była już tak jasna, że aż bolały oczy!

– Skąd mogłem wiedzieć, że te dwie historie mają ze sobą jakiś związek? – jęknął Krasiński. – Wszystko wydawało się niegroźne, dopóki nie zginął proboszcz z Kwidzyna. Zabójca przystawił mi wtedy pistolet do głowy i powiedział, że mnie czeka to samo, jeśli nie będę współpracował. Ale najbardziej przekonał mnie, kiedy pokazał zdjęcie Julii.

To o niej mówił „twoja mała” – Ewa przypomniała sobie nagranie.

– Była właśnie u nich i powiedzieli, że w każdej chwili mogą ją zgładzić! Wsadził mnie do bagażnika i pojechaliśmy do Fromborka, żeby tam szukać. Trzymali mnie w jakiejś piwnicy, potem zaprowadzili na łódź, wstrzyknęli narkotyk. Nie wiem, co się ze mną działo ani ile minęło dni. Siedziałem znów w jakimś ciemnym, wilgotnym pomieszczeniu.

– Zobaczył pan córkę? – zapytał ksiądz Nehring.

– Nie, nie zobaczyłem jej. Któregoś dnia zapakowali mnie znów na tę ich łódź i wypłynęliśmy na zalew. Związane go wyrzucili mnie do wody. Jakoś, nie wiem dotąd jak, dopłynąłem do brzegu. To wszystko. Nie wiem nawet, co z Julią. Czy pozbyli się jej tak jak mnie? Boję się nawet o tym pomyśleć... – Krasiński zaczął płakać jak dziecko.

Kiedy kilka chwil potem Ewa i ksiądz Józef szli szpitalnym korytarzem,

nagle drogę zastąpił im wysoki, gładko ogolony mężczyzna.

– Pani Ewa Rimmel? – zapytał, a gdy dziewczyna przytaknęła, przeniósł wzrok na Józefa: – Ksiądz Józef Nehring?

– O co chodzi? – rzucił gniewnie kapłan.

– Poproszę ze mną. – Mężczyzna wskazał szerokim gestem kierunek.

– Ale o co chodzi?! – Dziewczyna również miała najwyraźniej dość wszystkiego. – Mów pan. Albo zacznę krzyczeć!

W odpowiedzi nieznajomy podniósł połę koszulki, ukazując kaburę z pistoletem, prawie tak samo, jak kilkanaście godzin temu w Gdańsku uczynił ksiądz Nehring.

– Służby specjalne – rzekł półgłosem. – Będą państwo uprzejmi udać się ze mną do samochodu. To nie potrwa długo.

W białej furgonetce, zaparkowanej nieopodal, siedział mężczyzna w średnim wieku. Był ubrany po cywilnemu. Ewie wydało się, że już gdzieś go spotkała – i to całkiem niedawno.

– Kapitan Marcin Wójcik – przedstawił się, gdy już zajęli miejsca naprzeciwko, a człowiek, który ich przyprowadził, zamknął drzwiczki samochodu i sam stanął obok.

– O co chodzi? – zapytała Ewa z wyraźną zaczepką.

– Myślę, że nadszedł czas, żeby szczerze porozmawiać.

LXXVII

okolice Suchacza, dzień szósty

Ośrodek Wspólnoty Odnowy powoli kładł się do snu. Przed dwiema godzinami odbyła się wieczorna msza, po której członkowie zgromadzenia spożyli wieczerzę. Z kuchni dochodził jeszcze szcęk mytych ręcznie sztućców i podzwanianie talerzy i kubków. Z drugiej strony płynęły dźwięki gitary, który to instrument – niemal zapomniany w ostatnich latach – był jedynym, który Pasterz pozwolił mieć swoim uczniom; co więcej, był też jedynym źródłem dźwięku, który można było uznać za nienaturalny. Nie

można było posiadać ani telefonów komórkowych, co przypomniał srogi brat Joachim podczas popołudniowego zgromadzenia, ani radia. Jedynym odbiornikiem – pomijając pokoje Pasterza, do których prawie nikt nie miał dostępu – był ten w terenowym samochodzie, którym w ostatnich dniach poruszał się Adam Migasiński.

Wszystko to były, według nauki Pasterza, narzędzia szatana. Każdy, choćby najcichszy elektroniczny pisk mógł zdradzić jego posiadacza i narazić go na srogą karę, także, o czym przekonała się nakryta para – Anna i Patryk, pieniądze.

Horn kończył spacer po ośrodku. Gdyby nie wiedział, gdzie się znajduje, zapewne nie zgadłby, że teren należy do jakiejś wspólnoty religijnej. Nic na to nie wskazywało, no, może pomijając mnisze stroje, w jakich przez cały czas poruszali się ludzie.

Gdzie mogli to chować? – zastanawiał się, przypatrując się kolejno wszystkim budynkom, budynekom, składzikom, nawet stojącej zaraz przy bramie, starej budzie dla psa – dziś już chyba niezamieszkaney, choć wołał się o tym nie przekonywać na własnej skórze.

Przez cały czas starał się zachowywać jak ktoś, kto w istocie przyjechał tu tylko i wyłącznie po to, po co przyjeżdżali amatorzy duchowego wyciszenia. Nie mógł się nie uśmiechać za każdym razem, gdy przywołał w myślach tę idiotyczną nazwę.

A zatem – kontemplacja. Trudno jednak zachować powagę, gdy nogi płaczą ci się w połach wypożyczonego habitu, a narzucony na głowę czubaty kaptur ogranicza pole widzenia. Wolał mieć go na głowie, bo to ułatwiało kamuflaż. Poza tym jakaś księga w rękach by się przydała. Nie zabrał nic ze sobą, ale i na miejscu nie dostał nic do czytania. Wątpił też, czy amatorzy duchowego SPA tak naprawdę czytają Pismo Święte – już raczej oprawiony dla niepoznaki kryminał.

Nagle zobaczył kilku braci, idących w stronę pomieszczeń gospodarczych. Jego uwagę przykuły podłużne przedmioty, które nieśli na ramionach. To były szpadle i łopaty. Kopali w ziemi. Grządki? O tej porze? Raczej coś zakopywali! Tylko co? Czyżby to, czego szukał? Myśli krążyły mu w głowie z coraz większą prędkością; starał się opanować, żeby nie

zacząć wypowiadać ich na głos.

Mężczyźni o czymś rozmawiali. Horn odchylił nieco kaptur, by złowić choćby słowo.

W tym samym momencie usłyszał za plecami znajomy głos.

– Tomek.

Zdrętwiał. Twarz ocieniona materią kaptura zapalała nagłym gorącem. Przecież to niemożliwe, żeby...

Odwrócił się gwałtownie, aż zafurkotały poły habitu.

– Małgosia? – wydusił przez ściśnięte gardło.

– Co ty tutaj robisz? – zapytali jednocześnie.

Kiedyś zareagowaliby na to śmiechem. Kiedyś, gdy byli jeszcze kochającą się parą, narzeczonymi, wreszcie małżeństwem. Od prawie roku znajdowali się jednak w separacji, ona mieszkała z jakimś facetem od siebie z firmy, Horn natomiast nie był z nikim związany na stałe. Nie utrzymywali też ze sobą kontaktów; telefon od czasu do czasu, gdy jakaś przesyłka przyszła na stary adres. Nic więcej.

– Zobaczyłam cię podczas popołudniowego zgromadzenia, ale nie chciało mi się wierzyć – mówiła z przejęciem. – Nawet gdy brat Joachim powiedział, że wita Tomka z Warszawy. Przecież zawsze śmiałeś się z nowoczesnych mód...

– To nie chodzi o modę – odpowiedział szeptem.

– Nie rozumiem.

– Nieważne. To są bardzo niebezpieczni ludzie. Powinnaś stąd jak najszybciej wyjechać.

– Nie mogę.

– Jak to nie możesz?

– Podpisałam umowę na tygodniowy pobyt. – Małgorzata Horn rozłożyła bezradnie ręce. – Tam jest klauzula, że nie można pobytu skracać. Poza tym zapłaciłam za wszystko z góry...

– Czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię? – Był coraz bardziej poirytowany. – Ci ludzie, a szczególnie Pasterz, są podejrzani o szereg poważnych przestępstw!

Popatrzyła na niego. Pamiętał to spojrzenie z dawnych czasów. Czasów,

kiedy można było jeszcze tej dziewczynie czymkolwiek zaimponować. Nawet dziełem pióra! Ale potem poszła do pracy w międzynarodowym koncernie i już jej imponowały tylko liczby, i to coraz większe. A z tym Horn zawsze miał kłopoty. Szczególnie z liczbami na comiesięcznym wydruku z bankowego konta. Tak przynajmniej myślał wtedy. Że to o to chodzi. Ale się mylił.

Okrągłe oczy Małgosi zwały się teraz w wąskie szparki. Tak, taka była, gdy się rozstawali: obca, zimna, zupełnie inna niż ta, którą poznał kilka lat po studiach – zagubioną jeszcze w wielkim mieście studentkę romanistki.

– O czym ty opowiadasz?

Nie przekonam jej, pomyślał. Nie po tym, co ostatnio między nimi zaszło. Zresztą po co innego tutaj przyjechał. Ma do wykonania zadanie.

Gosia jakby czytała mu w myślach.

– A ty co tu robisz? Kolejne dziennikarskie śledztwo? – zapytała nie bez złośliwości.

– Zapomnijmy o tym – rzekł cicho.

– Powiedziałeś „a”, to powiedz „b”.

– Jeśli cię to uspokoi, to również szukam tu wyciszenia.

– Akurat!

Jakaś większa grupka członków wspólnoty nadchodziła od strony parku. Robiło się już szaro, a jeszcze nie paliły się lampy. Horn zastanawiał się nawet, czy ktoś je w ogóle zaświeci, wszak jak ubóstwo, to ubóstwo, a do modlitwy światło elektryczne nie jest potrzebne. Ciężko było rozróżnić poszczególne postacie, nie mówiąc już o ich liczeniu. Przypominali jakieś ogromne stworzenie, może smoka. Ktoś z grupki niósł gitarę, pobrzękując od niechcienia palcem o jedną ze strun basowych. Zabrzmiało to złowroźnie.

– Chyba nie powinniśmy gadać – powiedział.

Spojrzała na zegarek.

– Jeszcze przez piętnaście minut możemy – oznajmiła. – To jak mogę pomóc panu redaktorowi? – zapytała teraz z wyraźnie już wyczuwalną drwiną.

– Daj spokój, bo jeszcze ktoś usłyszy. – Horn znów rozejrzał się dookoła; zaczynał się naprawdę obawiać o swoją skórę.

Wzruszyła ramionami – zrobiła to tak zdecydowanym ruchem, że aż o wiele za szeroki w ramionach habit podskoczył śmiesznie.

– Nie wiem, co może być złego w działalności Wspólnoty Odnowy – powiedziała. – Przez całe dni modlimy się, czytamy Biblię, a jeśli komuś przypadł akurat dyżur w kuchni, to gotuje albo zmywa. Ośrodek, z tego, co zdążyłam zauważyć, jest nadal bardzo zapuszczony. Trzeba odnawiać budynki, więc do niektórych z nich wciąż nie można wejść.

– Aha.

– Wszyscy mężczyźni pracują, nawet ciężko. Często poza ośrodkiem. Złom na przykład zbierają po okolicy, zupełnie jak u nas, w Warszawie, bezdomni puszkami po śmietnikach. O, dzisiaj przed obiadem widziałam, jak przywieźli samochodem. Pewnie będą chcieli sprzedać w punkcie skupu...

Horn wstrzymał oddech. Gdzieś z oddali dobiegło pohukiwanie sowy.

– Złom? – powtórzył słabym głosem.

– Niewielką skrzynkę musieli nieść we dwóch. Mosiądz pewnie jakiś, prawda? Albo ołów.

– Pewnie tak. – Horn ledwo dostrzegalnie skinął głową, znów wypełniająca się istnym kłębowiskiem myśli. – Gdzie widziałas tę skrzynkę? – zapytał po chwili.

– Mówiłam ci: przywieźli ją autem, tak jak codziennie przywożą żywność. Jak pewnie zauważyłeś, nie żyjemy tutaj samą modlitwą. – Poklepała się po habcie w miejscu, gdzie powinien znajdować się brzuch.

Złapał się na tym, że właściwie nie pamięta już kształtów swojej żony.

– Potem schowali ją do jednego z remontowanych pomieszczeń, do którego nie mamy wstępu. O, tam. – Pokazała palcem w mrok. – A dlaczego właściwie o to pytasz? Myślisz, że jakiegoś trupa przywieźli. Albo może bombę, co?

Rozległ się dźwięk małego dzwonka, oznaczającego zapewne początek ciszy nocnej.

– Trzeba się zbierać – powiedziała Małgosia.

– Cisza nocna?

– Za pięć minut. Idź spać i nie kombinuj.

– Czemu?

– Pasterz tego nie lubi – rzuciła przez ramię, idąc w stronę budynków mieszkalnych.

Hornowi wydało się, że jego była mówi zupełnie poważnie. Przerazająco poważnie.

LXXVIII

Braniewo, dzień szósty

Od dawna ludzie kapitana Marcina Wójcika mieli na oku całą trójkę: Tomasza Horna, Ewę Rimmel oraz księdza Józefa Nehringa.

Od kiedy Rosjanie, których mieli już dobrze rozpracowanych, zaczęli kręcić się po Fromborku, dokładnie w okolicach byłego kościoła św. Mikołaja, wywiadowcy zaczęli dokładniej przyglądać się także i archeologom.

W pewnym momencie wydawało się nawet, że Rosjanie coś znaleźli i zabrali do starej kryjówki GRU, w opuszczonej latarni morskiej niedaleko portu w Bałtiju. Jednak tam oddział szturmowy kapitana Wójcika niczego nie znalazł. Prócz Horna, byłego podchorążego Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, który jednak po roku przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, by studiować dziennikarstwo.

Cóż, każdy ma swoje odchylenia. Dlatego nie zdziwiło Wójcika, kiedy dowiedział się, że Horn dobrowolnie wszedł za bramę siedziby sekty. Chciał ratować skarb. Nawet nie wiedział, co tak naprawdę nim było. Wojskowi wiedzieli.

Proboszcz z Tolkmicka też to wiedział, i to od początku. Przyciśnięty, musiał się przyznać do kłamstwa.

– Ale dlaczego akurat nas ksiądz w to wciągnął? – Ewa wydawała się spokojna, jakby nic już nie mogło jej zdziwić.

– Byliście wymarzoną ekipą, żeby mi pomóc – odparł ksiądz Józef. – Policjant, dziennikarz, archeolożka. Młodzi, w dodatku każde specjalizujące się w określonej, pasującej mi dziedzinie.

– Przecież wystarczyło iść na policję.

– Planowałem to zrobić, ale dopiero potem, gdy odzyskalibyśmy skrzynię. Nie chciałem zdradzić przysięgi danej braciom.

– Przecież nie ma żadnych braci! – huknęła Ewa. – Nie ma żadnej konfraterni. Wszystko to ksiądz wymyślił, żeby nam się wydawało, że szukamy skarbów, wyjaśniamy historyczne zagadki.

– Konfraternia jest – odparł twardo kapłan. – Tak jak wam mówiłem, od początku wciągnęła nas sprawa pruskiej misji świętego Wojciecha i tego, co się wtedy naprawdę stało. Wierzyliśmy i nadal wierzymy, choć już prawie wszyscy nie żyją, że kanonik warmiński Andrzej Kopernik spisał prawdziwą historię biskupa Pragi i ta księga istnieje.

Ewa przewróciła oczami, za to kapitan Wójcik słuchał z prawdziwym zainteresowaniem.

– Tak, przyznaję – ciągnął ksiądz Nehring – to wszystko wyglądać mogło na zabawy głupiego studenckiego stowarzyszenia, bo dlaczego alumni nie mieliby się bawić, mieć swoich tajemnic. Ale każdy z nas głęboko w sercu wierzył w to, co w obliczu śmierci pojął Adalbert: że wiara powinna być wolna od polityki, władzy i wszystkiego, co się z nimi wiąże. Że krzewić ją trzeba miłością, a nie ogniem i mieczem. Nie rąbać świętych dębów, a urządzić w nich kaplicę. Przecież wszystkie wierzenia były i są tak do siebie podobne. Te ideały przyświecały nam przez całe życie i wieloletnią pracę duszpasterzy. Wcześniej jednak stało się coś, co na zawsze połączyło naszą grupę.

– Co takiego? – zapytała Ewa, a w jej głosie Nehring wyraźnie czuł nutkę kpiny.

– Na ostatnim roku studiów wcielono nas wszystkich do wojska.

– Co?! – dziewczyna zaśmiała się sztucznie.

– Prawie na dwa lata – westchnął Józef.

Milczący przez cały czas kapitan Wójcik skinieniem głowy potwierdził, że tak w istocie kiedyś było.

– Kleryków wcielano przymusowo do wojska od końca lat pięćdziesiątych aż do roku 1980 – wyjaśnił kapłan. – Był to jeden z elementów walki państwa z Kościołem. Władze wykorzystywały okres

służby wojskowej, żeby łamać nam charaktery. Zabraniano modlitw, szczególnie na klęczkach, kpiono głośno z religii, a nawet zdarzyło się, że jakiś oficer kazał zrywać z szyi medaliki. Nie wszyscy się znęcali, ale tych najgorszych zapamiętało się do dziś. Żeby chłopcy nie poczuli się zbyt dobrze i za często nie jeździli do domów rodzinnych, tych z seminariów na południu Polski kierowano do Szczecina albo do Bartoszyca.

– Znam, znam – mruknął pod nosem oficer.

– Nas, uczących się w Pelplinie, wysłano do jednego z garnizonów pod niemiecką granicą. Dziwne było z nas wojsko. Strzelania mało, za to wykładów z politrukiem po kilka w tygodniu. Człowiek częściej miał w rękach łopatę niż karabin. Nawet z przysięgą wyszedł cyrk, bo bojąc się najazdu rodzin i innych księży, przesunęli ją o jeden dzień, niby w obawie przed mającymi nadejść ulewami.

Ksiądz przerwał, spojrzął gdzieś w bok.

– Ale pewnego dnia zapakowali nas do jednej ciężarówki i ruszyliśmy w nieznanym kierunku – powiedział ściszym głosem. – Okazało się, że mamy rozładować jakiś wagon, który przyjechał z Czech. Podobno nikt nie chciał się tego tknąć, więc wzięli nas, mięso armatnie. Żołnierzy drugiej kategorii, z którymi nikt nie miał zamiaru się liczyć...

LXXIX

okolice Suchacza, dzień szósty

Tomasz Horn niezbyt lubił nocować w obcym miejscu, a szczególnie gdy w grę wchodziło spanie w jednym pomieszczeniu z innymi ludźmi. Kolonie letnie, obozy, zimowiska – wszędzie tam, będąc smarkaczem, mieszkał w wieloosobowych salach. I wtedy mu się to podobało! Tym bardziej że był jedyńkiem, posiadaczem własnego pokoju, więc tęsknił za towarzystwem.

Ale potem człowiek dojrzewa, nabiera przyzwyczajęń, niektórych z nich staje się wręcz niewolnikiem. Chrapiący osobnik na wspólnej sali to było coś gorszego od zagłady nuklearnej.

Dlatego bał się, z kim przyjdzie mu dzielić pokój na tych duchowych wczasach we Wspólnocie Odnowy. Jedynek wszak nie mieli.

Okazało się, że może nie będzie tak źle. Gość, który zajmował łóżko pod oknem, był członkiem wspólnoty. Na imię miał Marek, a może Darek. Przystawił się, mówiąc trochę niewyraźnie. Gdy Horn wybierał się na wieczorną przechadzkę, jego współlokator siedział na brzegu pryczy i czytał Pismo Święte. Gdy wrócił, zastał go w niezmienionej pozycji, ale już przebranego w piżamę i z przedziałkiem na wilgotnych włosach.

– Dobranoc – rzucił Horn, gasząc światło.

– ...noc – odpowiedział jego towarzysz.

Długo nie mógł zasnąć. Za to Marek czy Darek przeciwnie – już po chwili spod okna dobiegło chrapanie. W każdej innej sytuacji Horn przeraziłby się. Ale nie teraz. Odczekał jeszcze kwadrans, może dłużej, wiedząc że pierwszy sen może trwać niedługo. Tamten spał jednak i chrapał w najlepsze.

Najciszej jak tylko potrafił, wstał z pryczy i zaczął się ubierać w swoje ciuchy. Wzwał trampki, na głowę wciągnął kaptur, ale już nie habitu, a sportowej bluzy. Wyglądał, jakby wybierał się na jogging. Tak, to było bardzo dobre porównanie. I dobra wymówka, pomyślał, zamykając delikatnie drzwi pokoju.

Drzwi wejściowe do baraku, gdzie mieściły się pokoje członków wspólnoty i pokoje gościnne, nie były zamknięte na klucz. Skrzypnęły, gdy Horn je otwierał. Bojąc się „koncertu smyczkowego”, przecisnął się przez wąską szparę. Kaptur zdarł z futryny nieco łuszczącej się białej farby.

Powietrze było rześkie i przesycone wilgocią. Niedaleko znajdował się brzeg Zalewu Wiślanego i miejscowość o dość przewrotnej nazwie Suchacz. Mimo ciemności, której nie dawały rady nieliczne lampy sodowe, Horn wiedział, w którym kierunku się udać. Miejsce skojarzył od razu, gdy Małgosia wskazała mu kierunek. Zwrócił na ten budynek uwagę jeszcze za dnia, gdyż jako jedyny we wszystkich oknach miał kraty.

Z daleka dobiegło szczekanie psa. Pewnie to jeden z podwórzowych Burków, pomyślał. Prócz tego słyszał jedynie bicie własnego serca i przyspieszony oddech.

Pokonał kilkanaście metrów chodnika. Trawa była dokładnie wyskubana ze spojeń, ale płyty, częściowo popękane, dość mocno się chygotały, przy deszczowej pogodzie z pewnością obryzgując przechodniów błotem. Szedł przy ścianie budynku, by nikt go nie zobaczył, a jednocześnie starał się zachowywać jak ktoś, komu jest wszystko jedno, czy ktoś go namierzy, czy nie. W myślach układał formułkę, którą wyrecytuje, zapytany przez jakiegoś osobnika w habicie o powód tak późnej eskapady.

Nikogo jednak nie spotkał ani nie usłyszał. Czyżby wszyscy naprawdę przybrali pozycję horyzontalną, położyli ręce na kołdrze i przykładowie spali? Zamilkły nawet podwórzowe psy, tylko z wysokich traw dochodziła monotonna muzyka świerszczy.

Wyjrzał zza rogu budynku, ujrzał swój cel i zamarł. W jednym z okratowanych okien parterowego budynku paliło się światło.

– Cholera – zaklął pod nosem.

Co teraz? Strach unieruchomił go przy ścianie, jednak ciekawość (mniej poczucie odpowiedzialności za powodzenie misji) kazała wychynąć jeszcze raz zza węgła i sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu. I działać dalej.

W kilku susach pokonał żwirową drogę dzielącą oba budynki. Na szczęście znajdowała się ona w cieniu. Spod podeszew trampek strzeliło kilka kamyków.

Dopał ściany. Od okna dzieliły go dwa, może trzy metry. Teraz wystarczy się zacząć...

– Hej, święci! Jehowi! Alleluja! – dobiegł z niedaleka, prawdopodobnie zza muru otaczającego teren, bełkotliwy, pijacki krzyk.

Głósów było kilka. Zapewne należały one do miejscowych. Ktoś się zaśmiał.

Po chwili znów zapanowała grobowa cisza. Horn miał wrażenie, że ucichło nawet robactwo w trawie. Odczekał jeszcze kilka chwil i zaczął zbliżać się do okna.

Parapet był umiejscowiony idealnie, bo mniej więcej na wysokości ramion mężczyzny, więc wystarczyło wyjrzeć zza bocznej krawędzi okna. Wszystkie okoliczności zdawały się sprzyjać Hornowi. Jeszcze kilka centymetrów.

Dopiero teraz zauważył, że okno było uchylone. Uszu jego dobiegły strzępy rozmowy.

– Dobra, otwieramy ją.

– Nie pierdolnie czasem?

– Spokojna głowa.

Zawsze, począwszy od dziecięcych zabaw w chowanego, żałował, że nie można nagle stać się niewidzialnym czy zmniejszyć się do rozmiarów muchy. Albo chociaż mieć specjalny peryskop!

Widział ich wyraźnie. Na tym polegała przewaga nocy nad dniem: stojąc na zewnątrz, miało się jak na widelcu tych, którzy znajdowali się w oświetlonym pomieszczeniu.

Nieco poniżej poziomu chodnika nad znajomą metalową skrzynką pochylało się kilku mężczyzn. Żaden nie miał na sobie habitu. Czy był tam ktoś jeszcze? Pod ścianą? Chyba nie.

Właśnie jeden z nich chwycił oburącz za krawędź wieka, rozstawił szeroko nogi, zaparł się, szarpnął...

– Ożeż ty!

Nagle obraz gibnął w bok i zniknął jak po naciśnięciu guzika telewizyjnego pilota.

Coś ciężkiego spadło gwałtownie na Horna, chwyciło za ramię, ścisnęło je jak kleszcze, szarpnęło. Struchlał. Krzyk przerażenia uwiązł w gardle. Zabrakło mu tchu, a łzy, jakby od śmiertelnego oddechu pochylającego się nad nim intruza, w jednej chwili wypełniły oczy.

– Mamy tego szczura – odezwał się jakiś głos.

Horn zamrugał powiekami. Ostrość widzenia wróciła.

Naprzeciwko niego stało trzech ubranych w habitę mężczyzn, z których jeden, wyższy od niego niemal o głowę, trzymał go obiema rękami za ramię. To widać było za mało, bo drugi z mnichów w mgnieniu oka zbliżył się i uderzył go pięścią w żołądek.

Horn jęknął z bólu, pochylił się do przodu, na ile pozwalał uścisk olbrzymia.

– Do dołu z nim! – wydał polecenie znów ten sam głos.

Ktoś jednym ruchem naciągnął mu na głowę kaptur jego własnej bluzy.

Potem wykręcili mu ręce i powlekli, jak sądził, wzdłuż ściany budynku. Mimo zwiększającej się z każdą sekundą odległości, w pewnym momencie jego uszu dobiegł wyraźny, mimo że stłumiony przez ściany, okna i materiał sportowej bluzy, zbiorowy okrzyk radości...

Ocknął się w zupełnej ciemności. Leżał na zimnym i wilgotnym, choć twardym podłożu. Czuć było tutaj uryną i stęchlizną, słyszeć kapanie wody i jakieś zagadkowe szmery. Zadrżał z obrzydzenia. Zakręciło mu się w głowie, ciałem wstrząsnęła seria dreszczy. Historia lubi się powtarzać, pomyślał ze złością i niedowierzaniem.

Wstał powoli. Bolało go ramię i żołądek, które najbardziej ucierpiały podczas scysji. Mimo to wyciągnął przed siebie obie ręce, które od razu namacały ścianę z nieheblowanych desek.

– Hej – dobiegło nagle z ciemności.

Niemal podskoczył na ten głos. Nic nie odpowiedział.

– Słyszysz mnie?

Mógł przysiąc, że kiedyś już słyszał ten głos! Łagodny i przyjemny, z pewnością uspokoiłby niemowlę. Nie, to przecież niemożliwe, pomyślał.

– Nie bój się – odezwał się znów ten sam głos.

Cisza. Tylko kapanie wody jakby głośniejsze.

Nie zdziwiłbym się, gdyby ten głos był w mojej głowie, pomyślał.

– Wierzysz w Boga? – spytał naraz niewidoczny współwięzień.

Horn wiedział, że tamten o to zapyta. Nie wiedział jednak, co odpowiedzieć. Po wszystkim, co działo się z nim od kilku dni, wciąż tego nie wiedział.

– Żył kiedyś jeden taki, który też miał kłopot z odpowiedzią na to proste, przyznasz, pytanie – powiedział niewidzialny towarzysz. – Mimo że trząsał nim strach, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał, nie wzywał imienia Pana. Może dlatego, że jeszcze go niezbyt dobrze poznał...

LXXX

Cholin, 23 kwietnia 997 roku

Niedamir obudził się z krzykiem.

Śniło mu się, że jest w swoim grodzie i że wrócił do rodzinnej chaty. Gdy wszedł do środka, zobaczył, że piec chlebowy został rozbity. Wszędzie wałały się skorupy potłuczonych garnków i części połamanych narzędzi. Bał się spojrzeć za przepierzenie ze skór, gdzie znajdowało się szerokie łoże i kołyski dzieci. Wtedy jakaś ręka uchyliła zasłonę i oczom Niedamira ukazał się makabryczny widok. W wielkiej kałuży krwi leżały jego wszystkie trzy żony, a między nimi ścieliły się trupy dzieci.

Nagle najmłodsza z żon otworzyła oczy, uniosła tułów i puszczając przy tym krwawe bańki z ust, odezwała się w te słowa:

– Ludzie mówią, że teraz jedną tylko kobietę będzie mógł mieć mężczyzna. Że nowa wiara tak każe. Prawdę to jest?

Długo nie mógł się uspokoić. Nie od razu też przypomniał sobie, gdzie jest i jak się tutaj znalazł. Po chwili nie wiedział już, co było gorsze: jawa czy sen...

Otworzyły się drzwi i stanął w nich jakiś człowiek. Był to jeden z misjonarzy, którzy towarzyszyli biskupowi praskiemu Wojciechowi, co to kilka dni temu dokonał w rzece Raduni masowego chrztu Pomorzan, w tym i Niedamira, i którego śladem ruszył on na ziemię Prusów.

Jak na imię było tej sile, która pchnęła go do tego czynu? Przeznaczenie, a może tylko przypadek?

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział brat Radzim, wchodząc do izby, w której położono wędrowca w chwilę po tym, jak przybył do Cholina.

Usta Niedamira bezgłośnie powtórzyły słowa pozdrowienia. Uniósł się na łokciach, ale i ta pozycja wydała mu się niestosowna, więc wstał z posłania i ukłonił się misjonarzowi.

– Jak ci na imię? – spytał Radzim.

– Niedamir.

– Słyszałem, że jesteś z grodu Gyddanyzc.

– Tak.

– Choć za mną – rzekł misjonarz. – Słońce już weszło. Za chwilę zaczynamy mszę.

– Co takiego? – zapytał słabym głosem Niedamir, ale młodszy Sławnikowic był już na zewnątrz.

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę, jakby nie mógł się zdecydować, co dalej czynić. Był przecież u Prusów, odwiecznych wrogów. Ale był teraz ich gościem, dzięki wstawiennictwu misjonarza. Tylko czy ta łaska potrwa jeszcze długo? Może już się skończyła, a za drzwiami chaty, w której nocował, czeka zastęp zbrojnych z uniesionymi włóczniami, we władaniu którymi wojownicy z plemion z przeciwnej strony wiślanej zatoki są ponoć niezrównani?

– Nie może to być. Na Trzygłowa... – mruknął pod nosem zupełnie jak jego druh Wyszak, po czym ogarnął się, przyglądził długie włosy, przeczesał palcami brodę i wziął głęboki oddech.

Ostre promienie słońca cięły ukośnie tuż nad linią palisady otaczającej Cholin. Było zimno, jak to na przednówku, jak to wczesnym rankiem. Wilgoć z miejsca przeniknęła do kości Niedamira, aż zadrżał. Wtulił głowę w ramiona niczym ptak.

Trzej misjonarze czekali tylko na niego.

– Chodź, chrześcijanie! – zawołał wesoło drugi z braci, Bogusza-Benedykt.

Niedamir nic nie odpowiedział. Próbował odwzajemnić uśmiech, ale zęby dzwoniące jak podczas niedawnego chrztu w Raduni i drętwiejące wargi nie pozwoliły mu na to. Dali mu okrycie podobne do tych, jakie sami nosili. Drobiąc kroki, udał się w ślad za misjonarzami.

Nie zatrzymywani przez strażników, minęli bramę grodu i ruszyli w stronę słońca. Po dłuższej chwili dotarli do niewielkiej, położonej nieco wyżej nad okolicą polany. Było stąd widać zarówno osadę, siniejący jezior zatoki, jak i okoliczne lasy. Gdzieś tam, daleko, jest morze, dom mój i rodzina – pomyślał Niedamir, patrząc w stronę, którą wskazywały coraz krótsze cienie czterech postaci stojących na środku polany.

– *In nomine Patris et filii et Spiritus Sancti* – wypowiedział podniosłym głosem milczący dotąd Wojciech, a jego prawa ręka zarysowała w powietrzu kształt krzyża.

Trzej misjonarze uklękli. Wiedziony ich przykładem Niedamir uczynił to samo, choć nieco niezgrabnie, płacząc się w połach długiego płaszcza, którym ktoś z miejscowych troskliwie nakrył go nocą. Mokra trawa z miejsca zmroziła kolana.

Wojciech zaintonował jakąś pieśń, jednak jej treści Pomorzanie nie rozumiał. Usiłował włączyć się do chóru (miał do tego dryg, bo często słuchał kołysanek śpiewanych dzieciom przez żony, a potem, oczywiście w samotności, potrafił sam odtworzyć melodię), jednak z ust jego dobył się tylko żabi rechot, więc poniechał kolejnych prób.

Potem Wojciech spojrział na słońce, wziął do ręki jakąś grubą księgę, otworzył ją i rzekł:

– *Lauda*.

Następnie z ust misjonarza wypłynęły słowa szeleszczące i miękkie, miejscami śpiewne, innym razem twarde niczym bursztyn. Pozostali bracia odpowiadali mu na te słowa, czynili zagadkowe gesty, dotykali różnych części ciała. Niedamir, z początku usiłujący dotrzymać tempa, i tym razem zrezygnował.

Wkrótce podnieśli się z klęczek.

W tej samej chwili rozległ się tętent końskich kopyt.

Wszyscy czterej spojrzeli w kierunku, skąd dobiegał ów odgłos – na las. Ciemne tło przebijały srebrne błyski, jakby ktoś uwięziony między pniami dębów, trzymany przez mocne ramiona konarów grabów czy buków, dawał znaki, czekając pomocy.

Po kilku chwilach z lasu wyjechał oddział zbrojnych. W promieniach słońca już wyraźnie lśniły szyszaki, szpiczaste hełmy, tarcze i miecze. Jeszcze nie można było dostrzec barwy, a tym samym zorientować się, pod jakim kniazem służyli wojowie. Ale ich zamiary były jasne.

Jechali, ażeby zabić.

Parli prosto na polanę, gdzie wciąż stali nieporuszeni czterej mężczyźni.

– Kto to jest? – zapytał drżącym głosem Radzim. – Czego chcą?!

– Przecież jesteśmy gośćmi Sicca! – dorzucił Bogusza.

Wojciech zmrużył oczy. Nagle jego źrenice rozszerzyły się. Pokręcił głową, jakby nie dowierzał.

– Panie! Co robimy? – krzyczał brat jego, Radzim.

– Czekamy – rzekł ze spokojem Adalbert. – Poznaję ich.

– Kto to?

– Wojowie księcia polskiego Bolesława.

– Co tu robią?

– Przecież ich odprawiliśmy.

– Naruszyli granicę.

– To oznacza wojnę!

Bracia przekrzykiwali się, Wojciech i Niedamir milczeli, a konni byli coraz bliżej. Dokładnie było widać ich rozdarte bojowym okrzykiem usta, szaleństwo w oczach, kosmyki włosów wymykające się spod hełmów, drgające i tryskające śliną końskie chrapy. Jeszcze chwila, a ludzie stojący na środku polany zginą, jeżeli nie pod ciosami mieczy, to stratowani przez kopyta!

Nagle tętent wzmógł się.

– Patrzcie! – zawołał Bogusza, wskazując ręką przeciwny kierunek.

To było do przewidzenia: od strony Cholina nadjeżdżał Sicco i jego wojownicy; było ich na oko tyle sami co wojów Chrobrego. Ziemia trzęsa się. Wydawało się, że za chwilę pęknie w poprzek polany i pochłonie wszystkich znajdujących się na niej ludzi i zwierzęta, a słońce zgaśnie.

Jednak miało ono zgasnąć na zawsze tylko dla jednego z nich...

– Uciekajmy! – wrzasnął Radzim, ale nie ruszył się z miejsca.

Nagle Wojciech uniósł w górę rękę z brewiarzem.

– *Pax! Pax!* – wykrzyknął ile sił w płucach, patrząc to w jedną, to w drugą stronę.

I nagle bielmem zasły mu oczy, i zapłakał Wojciech, bo oto ujrzał przed sobą najbliższych sercu swemu ludzi. Był znów rok pamiętny 995, koniec września. Pod rodzinne Libice zbliżała się hurma zbrojnych. Wszyscy w grodzie Sławnika myśleli, że przybywają z dobrymi zamiarami, jednak tylko wpuszczeni za bramę, rozpoczęli krwawą rzeź. Zabijali wszystkich:

mężczyzn, kobiety, dzieci, starców. Nie było wyjątków dla miecza przemysłidzkiego siepacza.

Szczeńciem Wojciech, a także bracia jego Radzim i Sobiesław byli wtedy daleko. Szczeńcie? A może przekleństwo? Z rozkazu czeskiego Bolesława padła wtedy cała rodzina Sławnikowiców. Tak księżę odpłacił się biskupowi. Taki oto smak miała władza – smak krwi.

A Wojciech-Adalbert nie chciał służyć już żadnej władzy. Jedyłą była ta pochodząca od Boga. Teraz stanąć miały naprzeciw siebie obie – ziemską i boską.

– *Pax!* – krzyknął raz jeszcze, bo ostrość widzenia wróciła mu i strach z nią, i siła, by go przewyciężyć.

Napierające na siebie oddziały znajdowały się może ze sto kroków od siebie, kiedy nastąpiła rzecz dziwna: tętent urwał się, jakby kto nagle kołki w uszy wbił, a wraz z nimi mech. Spod ryjących polanę kopyt trysnęła ziemia, rosa i kępy trawy. Wojenny okrzyk w dwóch językach uwiązł w dziesiątkach gardeł. Słońce zakryła ciemna chmura niczym żagiel łodzi. Uniesione do walki miecze i włócznie zastygły w przesiąkniętym gorącymi oddechami powietrzu i nic nie wskazywało, że kiedykolwiek jeszcze będą w stanie się poruszyć.

– *Pax* – rzucił po raz trzeci były biskup Pragi, ale już cicho, jakby mówił do siebie.

Ale wtedy jedna ręka zacisnęła się mocniej na trzymanej włócznie, jedne usta odzyskały mowę, choć nie krzyknęły od razu, by nie spłoszyć zwierzyny. Śmiercionośny pocisk wyrzucony z istic zwierzęcą siłą darł powietrze, zmierzając prosto do celu.

Wojciech miał wtedy twarz spokojną i skupioną.

Prus imieniem Sicco mocno zacisnął palce na swojej włócznie.

Dowódca wojów Bolesława Chrobrego dopiero teraz wydał z siebie przerażający, zwierzęcy charkot.

Niedamir już wiedział, co ma uczynić. Pojął to po raz drugi...

okolice Suchacza, dzień siódmy

Przez wąskie szczeliny w suficie zaczęło przenikać blade światło dziennie. Tomasz Horn podniósł się z ziemi. Nie wiedział, ile czasu mógł spać. Był odrętwiały. W głowie miał mętlik. Odczuwał palący głód. Usiadł, opierając się plecami o ścianę. Próbował zebrać myśli, jednak te, jak bywało często, potoczyły się w zupełnie innym kierunku, niż zakładał.

Wszystko to, co się stało przed paroma godzinami, ale też w ciągu ostatnich dni, w połączeniu z nieoczekiwanym spotkaniem z żoną, sprawiło, że zaczął znów zastanawiać się nad swoim życiem. Jakie jest, czy ma sens? Podobne, zasadnicze pytania dopadały go zawsze w chwilach, gdy miał za dużo czasu na myślenie. I gdy życie dawało mu solidnego kopniaka.

Czymże było w porównaniu z sytuacją, w jakiej się znalazł, siedzenie dziesięciu czy więcej godzin w biurze, pośród dzwonek telefonów, szumu kopiarek i klimatyzacji, pomruku faksu, zgrzytania drukarki czy głupich śmiechów głupich ludzi – czystą rozkoszą! I nic to, że płody twego umysłu, owoce weny twórczej i najwyższego poświęcenia ludzie czytają w zaciszu domowej ubikacji...

Nagle zza ścianki, o którą się opierał, dobiegł płacz. Był to płacz kobiety, Horn nie miał co do tego wątpliwości, choć nieraz zdarzyło mu się pomylić kwilące dziecko z marcowym kotem...

W celi robiło się coraz jaśniej i nietrudno było się zorientować, że dół nie jest więzieniem tylko dla jednej osoby. Społeczność sekty najwyraźniej jeszcze do końca się nie ukształtowała, a z niepokornymi trzeba było sobie jakoś radzić. I to bez względu na płeć.

– Patryk! Gdzie jesteś? – zawołała dziewczyna i znów spazmatycznie zapłakała.

Z drugiej strony rozległo się walenie. Ktoś bił pięściami w ścianę, tupał i wrzeszczał:

– Wypuście mnie stąd, ludzie! Otwórzcie tę cholerną klapę!

I ktoś wysłuchał tych próśb, bo oto rozległ się zgrzyt przesuwanej zasuw, a potem krótkie dzwonięcie, co skojarzyć można było z rzuconym na ziemię łańcuchem. Rumor odsuwanej przesłony.

Dopiero teraz można było dostrzec, że miejsce, w którym więziono niepokornych, było podzielone na boksy za pomocą ścian działowych. Dźwięk odsuwanych pokryw wciąż trwał, ale był już nieco cichszy, co mogło świadczyć o tym, że dołów jest więcej.

Horn wstał i zadarł głowę. Musiał mrużyć oczy, bo światło było ostre.

Nagle przesłonił je szeroki cień i nim więzień zdążył się zorientować, prosto na głowę chlusnął mu strumień zimnej wody. Zaczął parskać, z trudem łapiąc powietrze. Woda była brudna, z jakimiś śmieciami, które oblepiły mu twarz. Na szczęście oczy miał wciąż zamknięte.

Ale to jeszcze nie był koniec. Wtem poczuł na głowie dziwny kształt. To coś poruszało się!

Palce Horna musnęły śliską, miękką powierzchnię. Machnął mocno głową, starając się zrzucić węża na ziemię.

Dopiero wtedy Horn otworzył oczy. Wąż nie był duży, ale mógł być jadowity. Przestraszony nie mniej od człowieka, zaczął pełznąć po ziemi, by po sekundzie gdzieś zniknąć. W tym samym momencie coś błysnęło. Więzień uniósł głowę.

– Uśmiech proszę! – zawołał męski głos, flesz błysnął po raz drugi, stuknęła migawka.

Nagle, ostre światło oślepiło go, przed oczami pojawiły się wirujące koła. Nim zdążył cokolwiek pomyśleć, kłapa na powrót zatrzęsnęła się z hukiem.

Drżący wciąż z zimna i obrzydzenia, usiadł na środku celi. Głosy, które słyszał wyraźnie jeszcze przed chwilą, umilkły. Czy ich też tak potraktowano, czy to tylko przywilej nowego gościa? Co jeszcze może spaść z góry? A może wszystkich wypuścili i został tu sam? Na to ostatnie, chyba najważniejsze pytanie otrzymał najszybszą odpowiedź.

– Jest tu kto? – zza ściany, równoległej do tej, zza której przed paroma chwilami dochodził płacz i wołanie dziewczyny, dobiegł teraz męski głos, którego Horn wcześniej nie słyszał.

– Tak. Ja – wychrypiał.

– Podejdź bliżej, do ściany. Nie mogę krzyczeć. Oni wszystko słyszą, wszystko! – głos nieznanego zza ściany drżał, człowiek ten był bardzo niespokojny. – Posłuchaj mnie uważnie...

– Tak?

– Oni są niebezpieczni, mają broń...

– Kto?

– Oni. Wspólnota. Ale to nie żadna wspólnota, tylko bandyci są. Kryminaliści, proszę pana, najgorsza swołocz, którą ta gnida zebrała w jednym miejscu. Habity, modlitwy, śpiewy. Wszystko to tylko przykrywka. Oni się uczyli strzelać, mają karabiny.

Nieznajomy przerwał. Ściana nie mogła być zbyt gruba, bo było słycać jego ciężki oddech. Horn chciwie przywarł do powierzchni ścianki działowej.

– Jest pan tam? – zapytał po chwili.

– Tak – potwierdził tamten. – Wiem, że Pasterz, ta gnida, coś szykuje. Coś większego.

– Ale co? Wie pan coś więcej?

– Nikt tu nie jest bezpieczny, trzeba ewakuować ośrodek. Kobiety...

– Co szykuje Pasterz?! – naciskał Horn.

– Boję się, że... że każe wszystkim popełnić rytualne samobójstwo.

Duszne przerażenie ścisnęło go za gardło. Od razu pomyślał o Małgorzacie. Trudno, żeby było inaczej.

– Jest pan tam? – tym razem pierwszy przerwał ciszę nieznajomy.

– Jestem.

– Wiem, że od dawna czegoś szukali. On i jego banda – ciągnął człowiek zza ściany. – I chyba znaleźli. Wiele osób zapłaciło za to życiem. Życiem! Rozumiesz?

Horn rozumiał. Coraz bardziej. I zdawał sobie sprawę, że coraz mniej mógł zrobić.

Wtem rozległ się znajomy rumor. Horn spojrzał w górę, ale to pokrywę nie jego boksu ktoś otwierał.

– Autokar! – zawołał niewidzialny rozmówca.

– Co?!

– Musisz się dostać do a... Aaaa!!!

Rozległ się krzyk. Po nim odgłos jakiejś szamotaniny i seria głuchych uderzeń. Jęki bitego. Potem cisza. Horn wtulił się w kąt celi.

Czy teraz przyjdą po niego? O jakim autokarze mówił ten człowiek?

Z zewnątrz zaczęły dobiegać jakieś krzyki, nawoływania, tupot wielu par nóg. W ośrodku Wspólnoty Odnowy coś najwyraźniej zaczęło się dziać.

Może o mnie zapomną, może nikt nie odsunie tej pieprzonej kłapy – myślał Horn, szukając wzrokiem jakiejś dodatkowej wnęki, w której mógłby się ukryć, zniknąć, stać się niewidzialnym.

Wiele razy zastanawiał się, jak zachowałby się w sytuacji ekstremalnego zagrożenia. Na przykład osaczony w ulicznej łapance podczas okupacji. Tak, ten motyw powtarzał się najczęściej w tych dziecięcych rojeniach. W grę wchodziły wtedy bramy kamienic, otwarte okna, tudzież okienka piwniczne. Ciarki przechodziły chłopięce ciało, gdy wyobrażał sobie, co myśli sobie osoba zamknięta w celi, a już szczególnie w celi śmierci. Czy szuka ratunku, usiłuje coś zrobić, mocować się z kratami, majstruje przy zamku? Czy może z pokorą czeka, aż dopełni się los?

Wtem rozległ się znajomy dzwonek. Ktoś poruszył łańcuchem przy zamknięciu celi. Rozległ się rumor przesuwanej płyty. Wydawał się krótszy niż wcześniej, a może to tylko czas przyspieszył gwałtownie...

Zamiast próbować się ukryć, Horn wychylił się i spojrzał w górę. W wąskiej szparze ukazała się czyjaś głowa. Nie mógł jej rozpoznać. Dopiero gdy się odezwała...

– Tomek, jesteś tam?

– Gosia?!

– Pospiesz się.

Wyciągnęła rękę. Chwycił ją łapczywie. Tak, tonący chwyci się nie tylko brzytwy, ale nawet ręki zdradliwej żony.

Po chwili był na powierzchni. Mrużąc oczy od światła, rozglądał się dookoła, ale nikogo prócz niego i Gośki nie było.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał.

– Na mszy – odpowiedziała. – Pomóż mi to zamknąć.

Wspólnie zasunęli pokrywę.

– Musisz uciekać! – zawołali jednocześnie.

Małgorzata uniosła w górę brwi.

– Czemu ja?

– To są niebezpieczni ludzie, mówiłem ci.

– Podejrzewam, że ty masz lepszy powód, żeby się ulotnić, skoro ciebie tu wsadzili.

Popatrzył na nią z wdzięcznością.

– Dzięki – rzekł cicho. – Zadzwoń, gdy tylko wrócę do Warszawy.

– Lepiej nie. – Małgosia uśmiechnęła się smutno.

No tak, pewnie, nie ma co do tego wracać – pomyślał, przygryzając wargi.

– Powiedz mi jeszcze jedną rzecz.

– No?

– Czy jest tu jakiś autokar?

Dziewczyna od razu wskazała ręką w stronę parterowych budynków.

– Jasne. Stoi za garażami. Za chwilę bracia wyjeżdżają na spotkanie modlitewne. I chyba chcą sprzedać też złom, bo widziałam, jak zanosili tę skrzynię, o której wczoraj rozmawialiśmy...

– Jesteś nieoceniona. – Pocałował ją w policzek.

W kilku susach pokonał żwirową aleję i zniknął za rogiem.

LXXXII

54°17'N, 19°26'E, dzień siódmy

Wojskowy honker stał na środku leśnej przecinki, ale blisko skraju lasu. Przez rzednące gałęzie drzew widać było otwartą przestrzeń – łąkę, fragment pola z nie tak dawno zżętym łanem zboża, dalej zaś jakieś zabudowania.

Kapitan Wójcik odłożył lornetkę od oczu i spojrzał na zegarek.

– Spóźniają się jak zwykle – mruknął pod nosem.

– Kto? – z tylnej kanapy terenówki dobiegł kobiecy głos.

Nie mógł się przyzwyczaić do obecności kobiet w podobnych okolicznościach. A musiał. Od kilku lat armia była dostępna i dla pań – i to nie tylko oferując im stanowiska sanitariuszek czy lekarek, ale nawet dowódcze. I do tego oficerskie gwiazdki. Na szczęście jeszcze żadna nie wykazała zainteresowania oddziałem kapitana Wójcika.

– Kto się spóźnia? – powtórzyła pytanie Ewa Rimmel.

Oficer popatrzył na nią we wstecznym lusterku.

Nawet ładna, ocenił w duchu. Ciekawe, co do niej ma Horn. Bo musi coś mieć, skoro babka na rzęsach gotowa była stanąć, by zabrano ją na akcję, której celem była siedziba Wspólnoty Odnowy. Jak mówiła, Tomek jest w środku. Żeby to jeszcze cokolwiek ułatwiło...

– Czekamy na karetkę – wyjaśnił kapitan. – Bez nich nie ma akcji, nie tylko w policji. Szczególnie po tej rzezi w Magdalence.

Dziewczyna zbladła. Widział to dokładnie.

– Myślicie, że oni mogą się bronić – jęknęła. – I strzelać?!

– Bierzemy pod uwagę wszystkie scenariusze.

Babka jak babka – zaśmiał się w duchu oficer. Ale jeszcze nigdy nie zabierał na akcję... księdza. A dziś, owszem, tak. Józef Nehring siedział z tyłu, obok archeolożki.

Kapitan popatrzył na zegarek. Usłyszeli odgłos silnika. Leśnym duktem zbliżała się karetka.

– Kwadrans obsuwy – stwierdził.

– Czy naprawdę nie da rady się z nimi jakoś dogadać? – zapytał ksiądz Józef.

– Oczywiście, że będziemy próbować – odparł oficer. – Policja obserwuje ich od dawna, dzięki czemu wiemy, że mają na terenie ośrodka broń i że byli szkoleni, przynajmniej część z nich. Zabójstwo tych dwóch facetów w Świętej Katarzynie w Gdańsku było robotą zawodowców. Precyzyjne rany, których nie zobaczyliście tylko dlatego, że ogień strawił ciała.

Ewa skrzywiła się na wspomnienie tamtego widoku.

– Wspólnota Odnowy – ciągnął kapitan Wójcik – od początku wzbudzała podejrzania. Nasiliły się one, gdy kilka miesięcy temu przywódca sekty zakupił u Rosjan dużą partię broni i amunicji. Dotychczas takie historie zdarzały się tylko w Stanach Zjednoczonych. Nawet na kursie rangersów dokładnie omawialiśmy oblężenie Ruby Ridge...

– Tak, słyszałam o tym – potwierdziła Ewa.

– Stanęły tam do walki całe rodziny, które otumaniała sekta. Przez długie miesiące wmawiano im, że państwo to ich największy wróg, który czyha na

ich własność, chce pozbawić wolności, tożsamości, swobody religii i tak dalej. Nie mogło się to skończyć inaczej jak regularną bitwą. Ale, jak mówię, będziemy najpierw pertraktować. Tak, pamiętam doskonale, że jest tam wasz człowiek.

LXXXIII

okolice Suchacza, dzień siódmy

Kaplica ośrodka Wspólnoty Odnowy była wypełniona do ostatniego miejsca. Wiele osób stało, kilka siedziało po turecku, bo i taką pozycję dopuszczał rytuał. Było duszno. Okna i drzwi dokładnie zamknięto na wyraźne polecenie Pasterza. Chodziło o to, że miał on do przekazania swoim uczniom szczególnie ważne, ale i poufne wieści.

– Kochani! Zbliży się godzina próby. Za kilka godzin okaże się, czy to, w co wierzymy, zwycięży w odwiecznej wojnie dobra ze złem. Apeluję do was: niech w tych szczególnych chwilach z waszych ust ani na moment nie znika imię Pana. Módlcie się. To oczyści wasze dusze, tym bardziej w godzinie prawdy. A tylko ten, kto wytrwa do końca, będzie zbawiony.

Przerwał. Potoczył wzrokiem po podległych mu szeregach. Ani jednego niepotrzebnego dźwięku, westchnienia, kaszlnięcia, przypadkowego potrącenia butem nogi krzesła. Patrzyli na niego jak zaczarowani. Tak jak lubił.

Dzieło było skończone.

– Poproszę teraz do mnie tych z was, którzy skarżą się jeszcze na jakies dolegliwości – rzekł, wyciągając obie ręce przed siebie, po czym dokończył szeptem: – Postaram się wam pomóc.

Pierwsza wstała gruba, zabiedzona kobiecina, szkolnym zwyczajem unosząca rękę z wyprostowanymi dwoma palcami, po czym zaczęła niezgrabnie przeciskać się między krzesłami, niektóre z nich potrącając.

Po chwili z tłumu zaczęły podnosić się kolejne osoby. Szli samodzielnie, ale i podtrzymywani przez innych. Utworzyła się kolejka, ale nikt ze

stojących w niej ludzi nie złorzeczył i nie narzekał, tylko stał w największej pokorze, co chwila posuwając się naprzód o stopę bądź pół stopy.

Na dany przez brata Joachima znak odezwała się gitara i grupa wokalna zaintonowała pieśń. Mowa w niej była o Panu i wdzięczności, jaką nie tylko każdy z tu obecnych, ale wszyscy ludzie na ziemi są mu winni po wsze czasy.

Pasterz kładł obie dłonie na części ciała, które wymagały jego interwencji, wypowiadał szeptem jakieś słowa. Widać było, ile wysiłku kosztuje go ta pomoc. Ale nie ustawał w niej: dotykał głów, kobiecych piersi, brzuchów, schylał się nad nogami i ramionami.

– Idź. Reszta w rękach Pana – mówił za każdym razem, gdy odejmował dłonie od chorych członków swoich uczniów i uczennic; a oni odstępowali z twarzami o wiele jaśniejszymi, oddychając dużo głębiej niż przed chwilą, pewniej stawiali kroki.

Mimo że sława cudownego uzdrowiacza sięgała daleko poza płot ośrodka, nie każdy mógł dostać się do Pasterza, by szukać ratunku w jego cudownych dłoniach, oddechu, ale i żarliwej modlitwie. Reguła zgromadzenia, owszem, dopuszczała pomoc jego twórcy ludziom z zewnątrz, jednak pierwszeństwo zawsze mieli członkowie Wspólnoty Odnowy.

Wielu chorych, których bez nadziei pozostawili lekarze, wdziawało więc habity i przenosiło się do ośrodka wraz z dobytkiem i oszczędnościami, które od razu stawały się własnością wspólną.

Jak leczył Pasterz? Mówiło się o ogromnym biopolu, jakie posiadał. Wystarczyło bowiem, że przyłożył je do chorego miejsca, i ból zniknął, a zmiany na skórze wyraźnie się zmniejszały.

Podobnie działał jego oddech. Wszyscy widzieli na własne oczy, jak pewien człowiek, nad którego nogami pochylił się Pasterz, niemal je całując, wstał z wózka inwalidzkiego i samodzielnie wyszedł z kaplicy. Powszechne było też noszenie przy sobie nasyconych oddechem Pasterza kłębków waty, które ich właściciele miały chronić tak przed infekcjami, jak i przed nieszczęściami, które niesie życie.

– Idź. Reszta w rękach Pana.

Gdy ostatni chory zajął swoje miejsce, Pasterz ponownie wstąpił na

mównicę. Był zmęczony. Nieraz wierni wyrzucali sobie, że za bardzo wykorzystują dobro i siły swego przewodnika. Z drugiej strony nikt nie chciał odrzucić udzielanej mu pomocy.

– Umiłowani bracia i siostry – rzekł. – Tak jak powiedziałem, nasze dzisiejsze spotkanie może być ostatnim.

Tłum zgromadzony w kaplicy nagle rozszeptał się.

– Ale nie lękajcie się! Aby jednak nie zbrukały was ręce niewiernych, otrzymacie teraz ode mnie coś, co pozwoli wam zachować czystość i godność do końca.

Skądś dobiegło łkanie, skądinąd kilka gniewnych pomruków. Pasterz utkwiał nieruchome spojrzenie gdzieś w środku tłumu. Jego twarz była całkowicie spokojna, nie poruszał się w niej żaden mięsień.

Do mównicy zbliżył się bezszelestnie brat Joachim. Niósł oburącz sporej wielkości kartonowe pudełko. Zaufany człowiek Pasterza wyglądał jak dobry braciszek, franciszkanin czy sercanin, który w latach głębokiego PRL-u przyniósł dzieciom przysłane z Zachodu w paczkach dary, głównie słodyczne, nieznanne wówczas jeszcze batony Mars i Snickers, orzechowe czekolady Nussbeissera z okienkiem i gumy do żucia w postaci kolorowych kulek. Za chwilę obdaruje rozkrzyczaną hałastą, zamykając im buzie słodkim pocałunkiem kapitalizmu.

– Brat Joachim rozda teraz członkom wspólnoty pakiety ratownicze – oznajmił Pasterz, po czym zajął swoje miejsce przed ołtarzem.

Znów utworzyła się kolejka, jednak Joachim z łatwością radził sobie z zadaniem. Jak zostało powiedziane, każdy z członków Wspólnoty Odnowy dostał wyciągniętą z kartonu niewielką foliową torebkę: każda z nich zawierała szklaną fiolkę z przezroczystym płynem, a także kolorową fotografię paszportowego formatu, przedstawiającą uśmiechniętego Pasterza.

– Wiecie, co trzeba z tym zrobić – rzekł brat Joachim, kiedy ostatnia osoba odeszła z podarunkiem.

Przed mównicą pojawiły się też dwie młode kobiety, uczestniczki duchowego SPA. Były to Małgosia Horn i jej koleżanka. Jednak Joachim odmówił im wydania pakietu.

– Tylko dla członków Wspólnoty – rzekł sucho.

Kiedy odchodziły z niczym, nachylił się nad pogrążonym w myślach Pasterzem i zapytał:

– Co z nimi?

Pasterz podniósł nieprzytomny wzrok, ale jego słowa były jasne.

– Jak się zacznie, pałą w łeb. Rozumiesz? Nikt nie może zostać.

– Ale... – zawahał się Joachim, co jednak bardzo nie spodobało się jego mentorowi.

– Masz z tym, kurwa, jakiś problem?

Brat Joachim pokręcił głową. Wrócił szybko na mównicę. Pozostało mu zakończyć mszę.

Kilkanaście minut później Pasterz stał na szeroko rozstawionych nogach przed turystycznym autokarem. Mimo habitu z pasem w jaskrawym kolorze, którego to przyodziewku człowiek ów prawie nigdy nie zdejmował, było w tej postawie coś wojowniczego i nieprzyjaznego. Ręce założone do tyłu, głowa dumnie podniesiona, zacięte usta.

– Pospieszcie się! Ostrożnie! Te większe skrzynie idą do bagażnika! – wydawał komendy blisko tuzinowi mężczyzn ubranych podobnie jak on, którzy uwijali się jak w ukropie.

Skrzydła pokryw bagażnika były uniesione, przez co pojazd przypominał nieco samolot, który za chwilę uniesie się ku górze w straceńczej, ale szlachetnej misji.

Ale on miał tylko pojechać. Dokąd? Pasterz właśnie dobył spod szkaplerza złożoną kilka razy mapę. Była to wojskowa mapa sztabowa – niegdyś druk ściśle tajny, dziś rzecz powszechnie dostępna w księgarniach całej Polski. Nie rozłożył jej jednak w całości – najwyraźniej któryś już raz z rzędu przyglądał się konkretnemu fragmentowi mapy.

Przed mężczyzną stanął wyprężony brat Andrzej.

– Wszystko gotowe – zameldował.

– Dziękuję – odpowiedział Pasterz, powoli składając plan. – Zbierz wszystkich.

– Tak jest!

Po chwili stał przed nim szereg braci. Wszyscy byli niemal jednego wzrostu, dobrze zbudowani. Gdyby nie suknie zakonne, wyglądałoby na oddział komandosów.

– Bracia! – zaczął Pasterz. – Zgodnie z zapowiedzią, udajemy się dziś na pielgrzymkę autokarową. Cel i szczegółowy plan pielgrzymki podam wam po jej rozpoczęciu – przerwał i przez chwilę patrzył w milczeniu na równy szereg, wyraźnie delektując się tym widokiem. – Pismo mówi bowiem: Nie troszczcie się o życie swoje, co będziecie jedli, ani o ciało swoje, czym je przyodziewać będziecie. Życie bowiem jest czymś więcej niż pokarm, a ciało niż odzienie...

Horn usiłował usłyszeć, co mówi Pasterz, jednak wnąka w autokarowym bagażniku, gdzie był ukryty, tłumiła dźwięki dochodzące z zewnątrz. W luku, prócz niego, znajdowała się metalowa skrzynka. Obok niej stała druga, dużo większa, z wyglądu przypominająca trumnę.

Gdyby się postarał, skrzynię z księgą miałby na wyciągnięcie ręki. Ciekawość znów jednak przegrała ze strachem; wolał się dobrze ukryć, a potem dopiero szukać sposobności, by dostać się do skarbu.

Dokąd jechali? Po co im skrzynka z księgą? – zastanawiał się. Wtem huknęły zamykane pokrywy bagażnika. Uruchomiono silnik. Przez szczeliny momentalnie zaczęły przedostawać się spaliny. Horn przestraszył się, że się udusi, jednak z drugiej strony poczuł wyraźny podmuch świeżego powietrza. Gdzieś w górze trzasnęły zamykane drzwi.

Autokar ruszył. W tej samej chwili pasażer na gapę wypełzył ze swojej niszy i zaczął przemieszczać się w stronę skrzynki.

Po raz pierwszy skarb był na wyciągnięcie ręki. Horn delikatnie chwycił za krawędź wieka. Już miał je unieść, kiedy usłyszał wyraźne stukanie.

Czyżby ktoś był w drugiej skrzyni?

LXXXIV

okolice Suchacza, dzień siódmy

Kapitan Marcin Wójcik wysiadł z honkera i wyjął z bagażnika krzykaczkę. Wokół oficera jak spod ziemi wyrosło kilkunastu żołnierzy.

– Panie kapitanie, kapral Niewiadomski melduje oddział gotowy do akcji – wyrecytował jeden z nich.

Coś zaszczekało w krótkofalówce, którą oficer trzymał w bocznej kieszeni spodni polowego munduru. Na drugim planie zamajaczyło kilka czarnych kombinezonów policyjnych antyterrorystów. Była to wszak wspólna i szeroko zakrojona akcja. Wspólnota Odnowa niejednym musiała mocno zająć za skórę.

– Umawiamy się, że zostajecie w samochodzie, tak? – rzekł Wójcik do swoich pasażerów. – Powinniście wiedzieć, że naginam przepisy. Docieńcie to. Honker ma pancerne szyby, więc w środku nic wam nie grozi. Za pobożność braci z ośrodka jednak nie ręczę...

Ewa skinęła głową, ksiądz wydawał się pochłonięty własnymi myślami.

Oddział szturmowy w jednej chwili rozpięchł się po lesie. Po kilku chwilach rozległ się głos dowódcy, zniekształcony przez krzykaczkę.

– Uwaga! Do wszystkich członków Wspólnoty Odnowy. Ośrodek jest otoczony przez policję i wojsko. Wyjdźcie wszyscy przez główną bramę, a nikomu nic się nie stanie. Powtarzam. Do wszystkich członków Wspólnoty Odnowy...

Nawet wiatr, co w polu wiał, zamarł w napiętym oczekiwaniu. Kapitan, chcąc być dobrze zrozumiany, jeszcze kilka razy powtórzył żądania, regulując potencjometr elektrycznej tuby, a był to sprzęt naprawdę dobrej jakości.

Ośrodek Wspólnoty był jednak jak wymarły. Nikt nie odtworzył bramy ani tym bardziej przez nią nie wyszedł.

– Uwaga! Do wszystkich członków Wspólnoty Odnowy. Na terenie ośrodka znajdują się materiały niebezpieczne. Wasze życie i zdrowie są narażone na ich działanie. Wyjdźcie wszyscy przez główną bramę. Czekają tu

wasze rodziny...

Ewa spojrzała pytająco na księdza. Nehring tylko wzniosł oczy ku niebu.

– Ja nie byłem na kursie rangersów – rzekł półgębkiem.

– Ale na broni ksiądz się zna – rzekł dziewczyna z przekąsem. – Już teraz wiem skąd.

– Nie wracajmy do tego. Mówiłem, że nie chciałem was okłamać.

– Nieważne – ucięła Ewa. – Oby tylko Tomkowi nic się nie stało...

Potężny huk rozdarł powietrze. Samochodem aż zatrzęsło. Ewa kurczowo chwyciła się ramienia księdza Józefa.

Po sekundzie rozpoczęła się kanonada, jednak przez szybę honkera próżno było dostrzec kogokolwiek, kto pociągałby za spust, krył się, padał czy uciekał. Nawet kapitan Wójcik gdzieś zniknął. Nehring w osłupieniu patrzył, jak jakaś niewidzialna siła odłupuje korę z niedalekich drzew; właśnie w dół runęła solidna gałąź.

Nie było wątpliwości: zza muru ośrodka także ktoś strzelał...

Po chwili rozległ się niski pomruk i znad lasu wyłoniło się cielsko śmigłowca. Leciał dość nisko nad ziemią, rzucając złowróżbny cień, łopaty śmigieł orały powietrze jakby w zwolnionym tempie, powodując falowanie zielonych połąci traw.

Maszyna skierowała się prosto na budynki ośrodka, ale osiągnąwszy cel, zatoczyła łuk i poleciała na zachód, by po chwili zniknąć z pola widzenia cywilów siedzących w honkerze.

Nagle stało się coś dziwnego. Kanonada ustała, jakby ktoś nagle wyciągnął wtyczkę łączącą gniazdko ze zbyt głośno nastawionym kinem domowym.

Ewa podniosła lornetkę do oczu.

– Jezu... – jęknęła.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Józef.

– Ludzie. Biegną do nas przez łąkę. Jakieś kobiety – relacjonowała, nie odrywając szkielec od oczu. Nagle zabrakło jej tchu. – Nie! – krzyknęła.

Nehring widział teraz dobrze i bez lornetki: kilka osób wyrzuciło w górę ramiona i upadło na ziemię.

Ktoś do nich strzelał. Strzały musiały padać zza muru...

Ksiądz Józef otworzył drzwi i wyskoczył z wojskowego pojazdu.

– Co ksiądz robi?! – Ewa podniosła krzyk, ale z uszu kapłana szybko wyparł go szum powietrza.

Biegł przed siebie. Kilka sekund później wydostał się z lasu, wprost na otwarty teren. Dostrzegł, że z dziury w murze wychodzi coraz więcej osób: w czarnych habitach i bez, mężczyźni i kobiety. Za moment znajdują się w polu rażenia kogoś, kto chwilę temu był im bratem, a teraz pociąga za spust.

Gdzie siedzi? Czemu komandosi jeszcze go nie zdjęli?

– Gdzie leziesz? Padnij! – dobiegł z boku krzyk jednego właśnie z żołnierzy Wójcika.

Ale ksiądz Józef nie odpowiedział. Ani nie wykonał rozkazu „padnij”, choć aż za dobrze wiedział, jak wykonać go przepisowo.

Biegł dalej, lecz nie jak straceniec, a starając się zachować największą ostrożność: pochylony do ziemi, klucząc zygzakiem, wybierając na kryjówki co wyższe kępy traw i niewielkie krzewy. W ten sposób dotarł do pierwszej rannej osoby.

Była to młoda kobieta. Otrzymała postrzał w nogę. Rana wydawała się niegroźna, ale mogło dojść do wykrwawienia.

– Spokojnie. – Ksiądz pogładził ją po głowie jak dziecko. – Wszystko będzie dobrze, tylko proszę się nie ruszać. Jak się nazywasz?

– Julia Krasińska – odpowiedziała cicho, nie spuszczając wzroku z Nehringa.

Jednym ruchem wyciągnął ze spodni swój skórzany pasek i... W zasadzie powinien zrobić z niego inny użytek, w zastępstwie ojca smarkuli, ale póki co zawiązał go powyżej rany na nodze.

Tymczasem kanonada znów przybrała na sile. Julia zaczęła płakać, ale uśmiech kapłana sprawił, że równie szybko się uspokoiła. Coś poczerwieniało po lewej stronie. To ratownicy medyczni czołgali się przez korytarz z wysokiej trawy. Mieli apteczkę i ciągnęli ze sobą nosze.

Ksiądz Nehring podniósł się z ziemi. Co chwila raniły mu uszy odgłosy wystrzałów. Przez te wszystkie lata zdążył się od nich odzwyczaić, choć będąc w wojsku też sobie za bardzo nie postrzelali. Nawet wartę pełnili

z pustymi magazynkami.

– Uwaga! Do wszystkich członków Wspólnoty Odnowy! Zostańcie tam, gdzie jesteście. Powtarzam... – dowodzący akcją starał się przekrzyczeć huk wystrzałów.

Kolejna grupka uciekinierów z ośrodka przebiegła przed księdzem. Ale jeden z nich jakby się zawahał.

– A jednak się spotykamy.

Ksiądz Nehring zamrugał oczami. Nie, takiej twarzy się nie zapomina.

Adam Migasiński miał na sobie jakiś złachmaniony drelich, a buty pozbawione były sznurówek. Jego twarz pokryta była zaschniętymi ranami, włosy skołtunione, ale w oczach, z których jedno było podbite, pałało dawne szaleństwo.

– Już wszystko skończone. Najważniejsze, że stamtąd wyszedłeś... – zaczął Nehring, ale zabójca przerwał mu, unosząc dłoń.

– Ja nigdy nie skrewiam, księżulku – wycedził. – Jak to mówią: do trzech razy sztuka.

Kapłan podniósł głowę.

– No to spróbuj – rzucił hardo.

Migasiński powolnym ruchem, jakby upajał się tą chwilą, sięgnął w zanadrze, skąd wy dobył kuchenny, zakończony ostro nóż. Ostrze było zakrwawione, widać zrobił już z niego użytek.

Runął na Nehringa. Ten w ostatniej chwili uniknął ciosu, ale stracił równowagę i upadł.

– Nie jesteś godny księgi! – ryknął Adam.

– Nie ma żadnej księgi, głupcze – odparował ksiądz. – Byłeś tylko bezwolnym narzędziem w rękach szaleńca. Ale masz jeszcze szansę...

– Kłamiesz, klecho!

Nehringa oślepiło ostre słońce. Sekundę potem nastąpiło zaćmienie – szerokie ciało wściekłego napastnika zasłoniło wszystko. Uniesiona ręka z nożem. Błysk na klindze...

– *Kyrie eleison* – wyszeptał kapłan.

Nagle tułów zabójcy drgnął, wyprężył się. Z gardła dobiegł zwierzęcy charkot. Palce prawej dłoni zwolniły uścisk na rękojeści noża i po chwili

broń opadła na ziemię. Potężne cielsko mordercy na usługach zbrodniczej sekty, która właśnie sama go unicestwiała, runęło w dół niczym obalany przez lud pomnik tyrana.

Nehring podniósł się. Z prawej strony dobiegł huk wystrzału. To jeden z komandosów celował w stronę zabudowań. Nagle krzyknął, karabinek zatańczył mu w rękach i upadł w trawę.

Ksiądz w dwóch susach doskoczył do rannego. Szeregowy krwawił tylko z ręki, więc i ta rana nie była zbyt poważna, choć eliminowała go z gry.

– Wali z dachu! – krzyknął. – Właśnie miałem go zdjąć...

Niewiele myśląc, ksiądz Józef chwycił karabinek. Wydał mu się niezwykle lekki, kolba przyjemnie pieściła skórę dłoni, jednak nie było teraz czasu na takie zachwyty. Błyskawicznie wstał, odsłaniając się całkowicie. Podniósł broń do oka, przyłożył policzek do kolby, objął palcem cyngiel. Muszka długo nie chciała spotkać się ze szczerbinką.

Naraz coś gwizdnęło mu koło ucha. Oczami duszy ujrzał siebie jako niemowlę, potem jako przedszkolaka na kolanach u świętego Mikołaja.

– Tylko spokojnie – szepnął sam do siebie.

Wstrzymał oddech i nacisnął spust. Odrzut szarpnął mu ramię.

W tej samej chwili z dachu jednego z budynków ośrodka zerwały się dwa duże czarne ptaki.

Mimo tego, co się wydarzyło, teren ośrodka Wspólnoty Odnowy wyglądał niemal tak samo jak rano. Tylko brama, zwykle dokładnie zaryglowana, była otwarta na oścież. No i na ścieżkach stały samochody: wojskowe, ale też policyjne radiowozy i kilka karet pogotowia. Po terenie biegali jacyś ludzie, częściowo odziani jeszcze w habity, policjanci spisywali zeznania, a sanitariusze opatrywali rannych. Ośrodek opuszczał właśnie na sygnale jeden z ambulansów.

Kapitan Wójcik siedział na masce swojego honkera. Po chwili podszedł do niego żołnierz i zasalutował.

– Jak jest? – zapytał oficer jakby od niechcienia.

– Trzech rannych.

Żołnierz odmaszerował. Oficer uśmiechnął się, po czym odwrócił i zajrzał do wnętrza auta.

– Dzięki, że mnie nie posłuchaliście – rzucił do siedzących na tylnej kanapie Ewy Rimmel i księdza Józefa Nehringa. – A księdzu gratuluję oka. Kto wie, ilu by jeszcze postrzelił ten gnojek.

Ewa spojrzała pytająco na proboszcza z Tolkmicka, ale ten się nie odezwał. Po chwili to on z kolei zadał nieme pytanie kapitanowi.

– Kilka osób chciało się bronić, ale tylko jeden strzelał. Niejaki Joachim Bidulak, notowany...

– Świeć Panie nad jego duszą – wymamrotał kapłan.

– Na razie poświęcę sobie nad nim jupitery na sali operacyjnej, bo gnida chyba z tego wyjdzie – rzekł Wójcik, na co ksiądz odetchnął z ulgą. – Wszyscy mieli przy sobie cyjanek potasu w szklanych fiolkach, ale na szczęście nikt go nie użył. Jeszcze odrobina rozsądku tkwi w tym biednym narodzie. A jeśli interesuje was...

– Co z Hornem?! – przerwała mu Ewa.

– No właśnie. Obawiam się, że to jeszcze nie koniec naszych kłopotów z sektą – zmartwił się komandos.

– Co pan ma na myśli? – chciał wiedzieć ksiądz Józef.

– Właśnie dowiedzieliśmy się, że kilka godzin temu ich przywódca wraz z kilkunastoma mężczyznami wsiedli do autokaru i udali się w nieznanym kierunku.

– A skrzynia?

– A Tomasz?!

Oba te pytania, księdza oraz Ewy, padły w tej samej chwili. Na obydwu kapitan Wójcik miał tę samą odpowiedź:

– Obawiam się, że i skrzynia, i nasz przyjaciel, są w tej chwili w autokarze. Obawiam się też, że wiem, dokąd mogą jechać i co chcą zrobić. Cyjanek się co prawda nie przydał, ale są i inne sposoby...

Ewa i ksiądz Józef zbledli, chyba też niemal jednocześnie.

– Czy Horn wie, co jest w skrzyni? – zapytał oficer.

Odpowiedziało mu milczenie.

LXXXV

54°17'N, 19°50'E, dzień siódmy

Wóz wchodził w zakręt za zakrętem. Horn usiłował przewyciężyć prawa fizyki, które bezwzględnie panowały w niemal pustym luku bagażowym autokaru. Autokaru jadącego wraz z członkami Wspólnoty Odnowy w nieznanym kierunku.

Kilka chwil wcześniej udało mu się otworzyć skrzynkę, którą po raz pierwszy ujrzał w kościele św. Katarzyny w Gdańsku. Wiedział już, że nie ma w niej żadnej księgi. Że od przewrotnej treści, która miała być wypisana na jej nielicznych kartach, nie zachwieje się tysiącletni Kościół w Polsce.

Było gorzej, bo właśnie mogła zakończyć się historia... Polski.

W swojej pracy dziennikarskiej wiele razy spotykał się z takimi niespodziankami. A to budowlańcy wykopali gdzieś bombę lotniczą z czasów II wojny światowej czy pocisk artyleryjski jeszcze z powstania warszawskiego, a to jakiś maniak został nakryty ze sporym arsenałem, tłumacząc się potem policji i prokuratorowi, że to tylko takie niewinne hobby.

Czegoś takiego jednak jak dotąd Tomasz Horn nie widział. To, czym wypełniona została skrzynia, na pierwszy rzut oka przypominało ofoliowane bryłki plasteliny w różnych kolorach. Napis, który odczytał dzięki przybrudzonej lampce w suficie, nie pozostawiał wątpliwości:

– Semtex – przeczytał na głos.

Był to jeden z najgroźniejszych na świecie materiałów wybuchowych i – obok pilzneńskiego piwa, knedli, samochodów marki skoda oraz książek Bohumila Hrabala – duma braci-Czechów. Często używany przez terrorystów i bardzo trudny do wykrycia, bo bezzapachowy. Horn przypomniał sobie jedno z niedawnych agencyjnych doniesień, które mówiło o kradzieży semteksu z jakiegoś francuskiego fortu. Wyniesiono wówczas blisko trzydzieści kilogramów materiału, co pewnie starczyłoby do zniszczenia kawałka, może nawet sporego kawałka miasta. Ponoć już kilogram semteksu wystarczy, aby dokonać skutecznego zamachu na

samolot, a dziesięć kilo może rozerwać taki samolot na drobne kawałki...

Horn patrzył na śmiercionośny towar, który był wieziony w nieznanym kierunku. Nieznanym tylko jemu, pasażerowi na gapę.

Kolejne szarpnięcie i... nagła cisza. Żadnych ruchów czy wibracji. Silnik został wyłączony. Dojechali na miejsce? Tak szybko? – przemknęło mu przez głowę.

Zaczął się cofać do swojej kryjówki, starając się nie robić hałasu, co jednak nie było łatwym zadaniem. Czuł, że spływają z niego strugi potu...

Jednak pokrywy bagażnika nie unosiły się.

Może zatrzymali się za potrzebą – pomyślał, przez co sam uświadomił sobie, że też chętnie skorzystałby z toalety, choćby była tylko metrem bieżącym rowu przy szosie.

Usiłował dostrzec cokolwiek przez wąską, poziomą szparę między skrzydłem klapy bagażnika a poszyciem pojazdu. Jakieś zarośla, dalej ściana lasu. Gdzie są bracia? Odpowiedź na to pytanie najpierw usłyszał, a dopiero potem zobaczył.

– Szybko. Nie mamy czasu! – pokrzykiwał ktoś tonem odrobinę tylko łagodniejszym od kaprańskiego dyszkantu.

Panoramiczny kadr został wypełniony przez czarną ścianę pleców członków wspólnoty. Z lewej strony Horn ujrzał Pasterza, który wyjął rękę spod szkaplerza i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Bracia! – zaczął tonem tyleż podniosłym, co nieco gniewnym. – Zapewne nie przestajecie zadawać sobie pytania, dokąd zmierzamy. Odpowiadam. Nie wiem! Nie mam pojęcia, dokąd zmierza ludzkość. Ale z pewnością nie jest to kierunek właściwy. Wiem natomiast, dokąd chcę powieść was ja. Do chwały wiecznej. Napisane jest bowiem, że po czynach ich poznać. Czyn, którego wkrótce dokonamy, na zawsze zapisze się w historii.

Przerwał, jak to często robią ludzi przekonani o tym, że nikt ich nie ponagli.

– Nieprzypadkowo zatrzymaliśmy się w tym miejscu – ciągnął po chwili. – Sto metrów stąd znajdują się silosy, w których kiedyś znajdowały się radzieckie rakiety międzykontynentalne, wycelowane w zachodnią Europę...

Czy przekroczyliśmy granicę? – przestraszył się Horn. Na odpowiedź nie czekał długo.

– Nikt nie wiedział, że na terenie Polski znajduje się jedna z takich baz, ale przecież nie były to jedyne kłamstwa, jakie przez dziesiątki lat fundowała nam władza. I funduje nadal. Gdzie amerykańska tarcza, która miała nas obronić?! Odpowiadam: nie ma i nigdy nie miało jej być!

Wariat. Po prostu wariat! – pomyślał Horn.

– My jednak nie pozwolimy, żeby nami pomiatano. Pismo mówi jasno: Nie mniemajcie, że przyszedłem, by przynieść pokój na ziemię; nie przyszedłem przynieść pokój, ale miecz...

Wydawało się, że kolejne słowa, jakie wyrzekł Pasterz, wypowiada tak naprawdę ktoś inny – zdania, które padały, były bowiem krótkie, rzucane szybko, jakby wyszczekiwane.

– Podaję cel dla grupy uderzeniowej numer jeden: siedziba mera Kaliningradu. Grupa uderzeniowa numer dwa: port lotniczy w Kaliningradzie. Numer trzy: sobór Chrystusa Zbawiciela. Cztery: podrzucenie „konserwy” w centrum handlowym. Przejazd przez granicę ułatwią nam nasi bracia...

W tym samym momencie uszu Horna znów doszło zagadkowe stukanie. Słyszał je chwilę po tym, jak ruszyli z ośrodka. Szybko jednak się skończyło, więc wytłumaczył je sobie kiepskim stanem technicznym autokaru.

Teraz jednak stali w miejscu.

Nagle gorąco uderzyło w twarz Tomka, choć znajdujący się w bliskim sąsiedztwie luku bagażowego silnik był coraz zimniejszy. Wyteżył słuch. Tak, stukanie dochodziło z drugiej, podłużnej skrzyni, której wielkość i kształt kojarzyły mu się z trumną. Tylko że zwłoki nie stukają. Chyba że to... przyszłe zwłoki.

– „Konserwa”... – powtórzył bezwiednie za Pasterzem

Błyskawicznie znalazł się przy skrzyni. Stukanie było teraz o wiele głośniejsze. Wydawało mu się też, że słyszy stłumione wołanie. Rozejrzał się w poszukiwaniu uchwytu. Były dwa, akurat na rozstaw rąk. Chwycił za nie i z łatwością odprowadził dwa jęczyczki blokujące, podobne to tych, które montuje się w nowoczesnych skrzynkach na narzędzia. Powoli uniósł wieko.

W skrzyni leżał starszy mężczyzna.

– Jezus Maria! – sapnął, ujrawszy wybawiciela, choć nie mógł wiedzieć, czy to w istocie przyjaciel, czy wróg. – Co się dzieje? Kim pan jest?

Horn nie mógł skojarzyć, skąd zna twarz tego człowieka. A był pewien, że ją widział.

– Czego ode mnie chcecie? – wyjęczał starszy pan.

– Proszę się uspokoić. Nie jestem jednym z nich – powiedział Horn.

– Gdzie jesteście?

– W bagażniku autokaru.

Człowiek, który wciąż leżał w skrzyni, przeciągnął dłońmi po twarzy.

– Kim pan jest? – zapytał Horn.

– Biskup Tadeusz Braun.

Horn aż tworzył usta. Porzucane przed tygodniem puzzle wreszcie ułożyły się w całość, ukazując obrazek o prostym, niepozostawiającym wątpliwości i złudzeń tytule: wojna.

– Do wozu! – dobiegł ich nagle głos z zewnątrz.

Horn dopadł szpary, ale nikogo już nie dostrzegł: terroryści rozpierzchli się. Rozległo się tupanie na pomoście drzwi i podłodze autokaru. Silnik zagrał pierwszy akord w dur.

Z pierwszym szarpnięciem Horn dopadł metalowej skrzynki. W tej samej chwili biskup Braun wygramolił się ze swojej pułapki.

– Co mam robić? – zapytał, patrząc twardo na swego oswobodziciela.

Horn zapalił lampkę na suficie i otworzył wieko. Wiedział już, czemu masę semteksu podzielono na trzy jednakowe części. Każda z nich miała obrócić w perzynę ważny obiekt w rosyjskim mieście. Ile mogą ważyć? Czy nie eksplodują, podniesione z dna skrzyni? – zastanawiał się gorączkowo. Ale nie było czasu, by czekać na odpowiedzi, skoro sześć par kół autokaru toczyło się coraz szybciej, zmierzając nieuchronnie ku granicy Polski i Rosji w Gronowie lub Bezledach.

– Jednak to znaleźli – rzekł cicho biskup.

Horn spojrzał ciekawie na dostojnika. Czyżby i on...?

Już otwierał usta, ale Tadeusz Braun był szybszy:

– Musimy się pospieszyć.

Horn otrząsnął się z odrętwienia. Zaczął wyciągać po kolei i kłaść na podłodze wszystkie paczki z semteksem. Żadna nie była jeszcze wyposażona w zapalnik.

– Pewnie mają je ci na górze – skonstatował głośno biskup, jakby czytał w jego myślach.

– Co dalej?

Autokar jeszcze nie nabral prędkości. Prawdopodobnie wciąż jechał po polnej lub leśnej drodze. Czy da się otworzyć pokrywę od wewnątrz?

Horn przesunął się i pchnął ją z całych sił ramieniem. Ani drgnęła. Położył się na plecach, zaparł się ramionami o jedną ze ścianek działowych, zgiął nogi w kolanach...

W tym samym czasie, dwa metry wyżej i osiem i pół metra dalej, Pasterz siedział rozparty wygodnie w pierwszym fotelu. Był spokojny, jakby zmierzał na upragnioną wycieczkę, na którą składał przez lata grosz do grosza, ciułał wolne dni, nawet mapy nauczył się na pamięć.

Bo tak było. Oto jechali zobaczyć, jak sprawiedliwości dziejowej staje się zadość. Jak Polska i prawda zwyciężają. Bez jakichkolwiek warunków, aneksów, prawnych kruczków...

Trzydzieści lat temu, na kilka miesięcy przed maturą, kiedy wszyscy jego rówieśnicy albo wkuwali, albo i bez tego widzieli już siebie jako studenta czy studentkę wymarzonego kierunku, on, dziewiętnastoletni Wiktor Ratz, wciąż nie wiedział, kim chce zostać. Nawet nie zwierzał się ze swoich wątpliwości znajomym, bo to z pewnością wywołałoby śmiech. Duży śmiech. Tak jak duża jest niewątpliwie różnica między zawodem księdza a... żołnierza.

W końcu wybrał to pierwsze. Do seminarium w Pelplinie dostał się bez najmniejszych kłopotów. Życie alumna, mimo początkowych niedogodności, przede wszystkim konieczności wczesnego wstawania, też mu się podobało.

Lata studiów minęły jak mgnienie, a potem... Potem cały rocznik wcielono do wojska.

I tu znów dopadły Wiktora wątpliwości. Huk wystrzałów i wydawane

komendy powodowały żywsze bicie serca. Po jednej z pogadanek politruk, major, wziął go na rozmowę. Nie wiadomo, czy go przejrzał, czy ktoś miał za długi język. W każdym razie oficerowie upatrzyli sobie w szeregowym wymarzonego kapusia.

Nie miał siłą, by odmówić, a może nie chciał. Grunt, że nim został.

Pewnego dnia zapakowali ich do ciężarówki. Okazało się, że mają rozładować jakiś wagon, który przyjechał z Czech. Podobno nikt nie chciał się tego tknąć, więc wzięli ich. To był semtex, z którym wtedy mało kto potrafił się właściwie obchodzić. Mieli go przenieść z wagonów do samochodu. I przenieśli. Ale potem, wieczorem, gdy kładli się spać, okazało się, że ktoś, chyba był to Heniek, a może Józek Nehring, zabrał ze sobą część ładunku. Po prostu, jakby to było pęto kiełbasy!

Przestraszyli się nie na żarty. Ktoś chciał od razy biec, oddawać i przeproszać za wybryk. Inny, pewnie żartem, planował wysadzenie gmachu KC w Warszawie.

Ale nie oddali semteksu ani nie spożytkowali go. Władze, które doliczyły się zguby, przesłuchały wszystkich po kolei. Czemu Wiktor wtedy nie pękł, nie powiedział, co wie? Zastanawiał się nad tym przez całe życie. I nigdy nie znalazł odpowiedzi.

Ukryli materiał, a po zakończeniu służby zabrali do siebie, na północ. Starym zwyczajem ciągnęli kulki. Ten, kto wylosował czarną, miał zadanie ukryć materiał, a drogę do jego odnalezienia zaszyfrować. Wszystko to z obawy przed śledztwem. Żeby, w razie przyciśnięcia do muru, nie zacząć sypać.

Nie wiadomo, kto i gdzie ukrył skrzynię. Szeptano o dwóch kościołach: św. Mikołaja we Fromborku i św. Katarzyny w Gdańsku. Może dlatego, że oba nie były w stu procentach tylko świątyniami, a ten, kto ukrył skarb, nie chciał narażać miejsca świętego. A może z zupełnie innych powodów.

Ratz nigdy nie szukał skrzyni.

Tydzień po zakończeniu służby wrócił do jednostki z zamiarem zostania żołnierzem zawodowym.

Czas mijał, system padł, Układ Warszawski przeszedł do historii, a podpułkownik Wiktor Ratz – do cywila. Nigdy nie czuł się bardziej

upokorzony. Z dnia na dzień stracił pracę, jednostkę, możliwość obcowania z ulubionymi dźwiękami: komendami i kanonadą.

Stracił też jeszcze coś – przestano go słuchać. Na ulicy, w sklepie, w autobusie – czuł się pomiatany, nieudolny, nikomu niepotrzebny, choć przecież jeszcze nie był starcem.

Przez rok mieszkał w Stanach Zjednoczonych, u siostry, ale i tam nie czuł się szczęśliwy.

Wrócił do kraju bogatszy o jedno doświadczenie, obserwację. Wiedział już, co ma zrobić, by znów go słuchano. Tak powstała Wspólnota Odnowy. Zadziwiające, jak ludzie chłonęli słowa Pisma Świętego, jak w wyrwanym z kontekstu ustępie zaczęli dostrzegać prawdę i drogę, którą chcieli iść. Znów miał Wiktor do kogo mówić, a także kogo szkolić.

Aby zrealizować wszystkie swoje plany, potrzebny był mu tamten semtex. Postanowił go odnaleźć przy pomocy przygarniętego pod dach recydywisty, Adama Migasińskiego, i choć ten ostatecznie spaprał sprawę, udało się osiągnąć cel.

Dziś miał się dowiedzieć, ile on i to, w co wszyscy wierzyli, jest warte. Nic go bowiem bardziej nie brzydziło w świecie od polskiego marazmu i niezdecydowania.

Nagle z zamyślenia wyrwał go krzyk jednego z braci, kierowcy autokaru.

– Co się dzieje?!

Ratz spojrzął w bok. Szofer nie mógł sobie poradzić z kierownicą, pojazd zaczął tańczyć.

– Pewnie złapaliśmy gumę – rzucił przytomnie ktoś z tyłu.

Zatrzymali się. Byli jeszcze w lesie. Ktoś wyjrzał przez otwarte drzwi.

– To nie koło. Otworzyła się pokrywa bagażnika i szoruje po gałęziach.

Jeden z braci wysiadł z autokaru.

– Tam ktoś ucieka! – krzyknął.

Po chwili wszystkich braci zmroził kolejny komunikat:

– Ktoś otworzył skrzynię. Obie...

okolice Jeziora Pierzchalskiego, dzień siódmy

Tomasz Horn biegł, ile sił w nogach. Co chwilę raziło go słońce przebijające się przez korony drzew, stopy zapadały się w miękką ściółkę, a gałązki smagały po twarzy. Stara kolonijna zabawa w wyścigi z nogami związanymi w kostkach albo skoki w workach – wszystko to wydawało się igraszką w porównaniu ze sprintem z ciężkimi paczkami w rękach. Nie było ich jak chwycić, więc Horn przytulał semtex do piersi. Jeśli nie rozwali mnie serce od środka, to pewnie zrobi to to świństwo – pomyślał, ani na chwilę nie zwalniając jednak tempa.

Obejrzał się za siebie, czy nikt go nie goni. Przez gęstwą drzew dostrzegł, że autokar jedzie dalej. Biskup, tak jak się umawiali, pobiegł w drugą stronę. Może nawet wcale nie będą go gonić.

Po kilku chwilach Horn dotarł na dużą polanę. Tak, to chyba tutaj stali. Rozejrzał się. Teren wyraźnie opadał ku wodzie. Po prawej stronie widać było jakieś zabudowania. Czy naprawdę w PRL stacjonowały w tym miejscu radzieckie rakiety balistyczne?

Pomruk silnika ciężkiego pojazdu pokonującego na niskim biegu leśną drogą nagle zamilkł. Odjechali. A może zatrzymali się i za chwilę stwierdzą brak cennego bagażu? Horn nie miał już sił.

Nagle droga skończyła się jak polska autostrada przed posiadłością upartego gospodarza. Horn z trudem złapał równowagę. Stał nad przepaścią – okrągłą, wybetonowaną dziurą w ziemi, o średnicy dziesięciu, może dwunastu metrów.

– Silos – odpowiedział sam sobie na pytanie, którego nie zdążył zadać.

Nachylił się nad krawędzią budowli i zajrzał do środka. Nie dostrzegł dna. Ile metrów głębokości może mieć silos rakiety zdolnej przelecieć przez całą Europę?

– Wystarczająco głęboki, by nikt cię nigdy nie znalazł – usłyszał za sobą znajomy głos.

Niemal podskoczył, aż paczki zatańczyły mu w rękach.

Stał przed nim sam Pasterz. Wyglądał dostojnie, jakby przed chwilą zakończył mszę czy inną celebry: czarny habit, ręce ukryte pod szkaplerzem,

na brzuchu purpurowy pas. Tylko sam brzeg sutanny był nieco przykurzony.

– Nigdy nie dajesz za wygraną... – rzekł Wiktor Ratz, były podpułkownik, były kleryk, teraz przywódca religijnej wspólnoty, i nie było wiadomo, czy pytanie to, czy zdanie twierdzące.

Pewnie reszta siedzi w krzakach i ma mnie na muszce, pomyślał Horn zamiast udzielić odpowiedzi.

– I tak nas nie powstrzymasz. – Ratz starał się przybrać obojętny ton. – Żeby zdetonować ładunek, trzeba mieć zapalnik. Taki jak ten. – Mężczyzna wyjął prawą rękę spod szkaplerza i pomachał, niczym dziwem wyciągniętym z kapelusza, niewielkim urządzeniem, jakie Horn widział wcześniej w rękach Saszy w kościele św. Katarzyny.

– Dlaczego chcecie to zrobić?

– Żeby oczyścić tę ziemię. – Ratz jakby tylko czekał na takie pytanie. – Wszyscy wiemy, że dotychczasowa formuła życia nie sprawdziła się. Potrzebujemy nowej. A jak wiesz, najlepiej buduje się na zgliszczach...

– Kim jesteś, żeby o tym decydować? Bogiem?!

– A kto powiedział, że nie?

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem w całkowitym milczeniu.

– Oddaj to synu. – Wiktor Ratz wyciągnął rękę. – Gra jest skończona, ale daruję ci życie. Możesz pojechać z nami i wszystko zobaczyć na własne oczy. Myślę, że byłby to materiał na miarę Pulitzera...

Nagle rozległ się huk, a po nim krótka seria z automatu. Horn drgnął, bo właśnie potwierdziły się jego obawy. Ratz tylko się uśmiechnął. Ale już po sekundzie zamienili się rolami. Z bliskiej odległości dobiegł ich uszu głos zniekształcony przez krzykaczkę.

– Uwaga! Do członków Wspólnoty Odnowy. Opuśćcie autokar, a nikomu nic się nie stanie. Wychodźcie pojedynczo z podniesionymi rękami. Do członków Wspólnoty Odnowy...

Ratz cofnął się pół kroku, wykonał ruch głową, jakby chciał się obejrzeć. Moment ten wykorzystał Horn – rzucił się szczupakiem w stronę Pasterza, celując pięściami prosto w żołądek. Obaj upadli na ziemię. Horn bez trudu wyrwał mu z rąk zapalnik.

W tej samej chwili dostrzegł czerwony błysk. Spojrzał na wyświetlacz

i zamarł.

Dwadzieścia sekund.

Któryś z nich nastawił zegar bomby!

Osiemnaście sekund. Siedemnaście...

Paczki z semteksem leżały porzucone ledwo metr od nich. Jeśli dojdzie do wybuchu...

– Albowiem zabijać was będą i wszystkie narody paść będą... – wysyczał Ratz, nieświadomy chyba niebezpieczeństwa, a jego twarz przybrała kolor pasa, który z takim upodobaniem nosił.

Zza ściany lasu dobiegło kilka pojedynczych wystrzałów.

– Opuśćcie autokar, a nikomu nic się nie stanie – odezwała się znów krzykaczka. – Powtarzam: członkowie Wspólnoty Odnowy, wychodźcie pojedynczo z podniesionymi rękami!

W chwili gdy na wyświetlaczu pojawiła się liczba dziesięć, Ratz precyzyjnym i mocnym kopnięciem wytrącił Hornowi, który właśnie próbował wstać, zapalnik z rąk.

Wtedy i on dostrzegł migające cyfry.

– Zatrzymaj to! – krzyknął Horn.

– To niemożliwe...

Wtedy Horn zerwał się z trawy, jednym susem doskoczył do zapalnika i chwycił go.

Sześć... pięć...

Odwrócił się. Przez chwilę rozglądał się, jakby czegoś szukał.

Cztery...

Wreszcie zamierzył się. Rzucony przez Horna ładunek z wyświetlaczem, na którym wciąż zmieniające się cyfry przypominały iskry strzelające z ogniska, zatoczył łuk w powietrzu i zniknął za krawędzią silosu.

Byli uratowani.

– Boże... – sapnął Ratz, przymykając na chwilę oczy.

Gdyby jednak ktoś mógł w tej chwili spojrzeć w oczy Tomasza Horna, ujrzałby w nich czyste szaleństwo. Dziennikarz doskoczył do pierwszej z leżących na trawie paczek z semteksem i niczym piłkarz na boisku kopnął ją z całej siły

Tym razem nie spudłował – paczka runęła w przepaść!

– Nie! – krzyknął Ratz, wyciągając przed siebie rękę z rozcapierzonymi palcami, a jego oczy tym razem zogniły z przerażenia.

Ale oto czubek buta Horna już trafiał precyzyjnie w środek drugiej paczki. To samo stało się z trzecią. Czy Horn kopnął za słabo, a może paczka na swojej drodze napotkała na jakąś ukrytą przeszkodę, grunt, że ostatni śmiertelny ładunek zatrzymał się na betonowej krawędzi silosu.

Horn jednym susem doskoczył do niej, trącił czubkiem buta. Ostatnia paczka runęła w ciemną przepaść.

– Nie!!! – Pasterz wydał z siebie rozpaczliwy, zwierzęcy ryk.

W tej samej chwili potężny huk, huk jak sto grzmotów burzy rozdarł powietrze, a raczej płaszcz ziemi pod nim. Ziemia zatrzęsa się.

Horn, który zdążył odskoczyć od krawędzi silosu, upadł jak długi, ryjąc nosem w trawie. Po chwili jednak podniósł głowę.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżał Wiktor Ratz, pozostała tylko wygnieciona trawa. Na ciemnej ścianie lasu zamajaczyły jakieś sylwetki w wojskowych mundurach, ale i w cywilnych ubraniach. Horn rozpoznał Ewę i księdza Nehringa.

Obejrzał się: znad krawędzi silosu unosiła się wąska, czarna smużka dymu.

LXXXVII

Cholin, 23 kwietnia 997 roku

Tętent końskich kopyt cichł z każdą chwilą, aż wreszcie umilkł zupełnie. Kto spóźniłby się na teatrum, nie uwierzyłby pewnie, że przed chwilą na rozległej polanie była konnica księcia polskiego Bolesława Chrobrego i o mały włos nie doszło do krwawej bitwy.

Nie doszło do bitwy, ale nikt ze stojących na trawiastej polaci nie cieszył się z tego. Nikt słowa nie wyrzekł ni westchnienia najcichszego nie wy dobył z piersi. Stali jeno okręgiem i patrzyli w jeden punkt, na leżące na środku,

przebite włócznią ciało. I na drugą postać, która się nad nim pochylała.

– Dlaczego? Dlaczego tak? – pytał słabym głosem Wojciech, zwany Adalbertem.

Kaptur miał ściągnięty z głowy, potarganą suknię habitu, a jego święty brewiarz leżał w trawie, otwarty.

– Tak należało – odpowiedział mu szeptem nieznajomy imieniem Niedamir. – Już to wiem.

Ręka misjonarza dotknęła czoła Pomorzanina, błogosławiąc go. Wszyscy przypatrywali się tej scenie w całkowitym milczeniu. Radzim, Bogusza-Benedykt i wódz pruski Sicco, pan Cholina, wojowie, ich żony i dzieci, cała ludność nadgranicznego grodu.

– Dzięki ci, panie – szepnął jeszcze Niedamir ledwo słyszalnym głosem. I skonał.

Były biskup Pragi, Wojciech Sławnikowic, zamknął mu oczy. Długo nie podnosił się z klęczek. Lament wielki podniósł się nad tłumem, a i gniewne okrzyki. Wygrazano bronią i gołymi pięściami, ale już nie było komu.

Tego samego dnia Wojciech i jego konfratryzy spotkali się na naradzie z Siccem i starszyzną.

– Ta włócznia przeznaczona była dla ciebie. Wiesz o tym, panie? – zaczął kunigas pruski.

Radzim i Bogusza-Benedykt spojrzeli po sobie, potem na Wojciecha, radzi usłyszeć odpowiedź nie tyle odmowną, ale całkowicie wykluczającą taką możliwość.

Bo jakże to? Polacy mieliby nastawać na życie człowieka, który w imieniu ich księcia i papieża przybył do pruskich plemion, aby ich nawrócić na ścieżkę prawdy? Niedorzeczność!

– Wiem – odparł Adalbert, a pozostali bracia struchleli; oznaczało to bowiem, że nie było już dla nich powrotu na ziemię Polan, a co za tym idzie obiecanych probostw, biskupstw, apanaży i zaszczytów.

– Nie chcieli się bić ani zdobywać grodu. Tak jakby jeden rzut włócznią

miał starczyć za całą misję... – myślał głośno Sicco.

– Widać tak było – westchnął Wojciech. – Miarkowałem sobie, że Bolesław porozumiał się ze mną przeciw hegemonii Przemyślidów, którzy przecie wymordowali mi całą rodzinę. Ale widać, myliłem się srodze. Przekroczenie granicy oznaczałoby teraz dla mnie śmierć niechybną, jednak myślę, że nie tyczy się to was, bracia. – Spojrzał na towarzyszących mu misjonarzy, którzy już głowy pospuszczali, skubiąc smętnie strzępiące się brzegi habitów.

– Jak to? – pierwszy odezwał się Radzim.

– Już rzekę. Odejdziecie jutro skoro świt, dotrzecie do pierwszej osady za granicą, której panu powiecie, kim jesteście. I że misjonarz Wojciech... zginął zabity przez Prusów.

– Jakże to, panie?! – wybuchnął z kolei Bogusza. – Mamy kłamać?

– A cóż innego robią oni, jak nie dworują sobie z prawdy. – Wojciech zmarszczył srogo brwi. – Ogniem i mieczem chcą nawracać sąsiednie ludy, a tak naprawdę podbijać je i grabić. A ja z miłością tu przyszedłem i chcę, żeby tak zostało. Sądzę zresztą, że książę Bolesław i bez was dowie się, że zginąłem. Tak jak planował. Włócznie była przeznaczona dla mnie i pewnie już bym tam leżał bez ducha, gdyby nie ten biedny człowiek. Chciał mieć Bolesław za wszelką cenę pierwszego świętego w swoim państwie, to i będzie go miał...

AMEN

okolice Fromborka, nazajutrz

– Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo – powiedział ksiądz Józef Nehring i na chwilę zamyślił się głęboko. – Mówicie, że nie nakarmi się nim głodnych, nie odzieje nagich, nie uleczy chorych. Mówicie, że słowem mamimy masy, sami żyjąc ponad stan. To często prawda. Że, nazywani klasą próżniaczą, magnaterią, dbamy tylko o swój brzuch, kupujemy coraz lepsze samochody, budujemy coraz bardziej ekskluzywne plebanie, pijemy na umór, molestujemy nieletnich, a jedynym wysiłkiem, jakiego się podejmujemy, jest podniesienie podczas mszy kielicha, hostii i monstrancji na wysokość wzroku. A ten i tak mamy słaby, bo nie widzimy biedy wokół, zła, nieprawości. Że nie odmawiamy sakramentu, jeśli nie dostaniemy zań sowitej zapłaty. Wiele w tym słuszności, wiele jest do naprawienia, bo dom nasz stareńki jest, ma już ponad tysiąc lat, sypie się i zapada, pęka tu i ówdzie. Nieraz już tak było, ale trwał przez wieki. Pozbawiany stopniowo władzy i przywilejów, wracał Kościół w Polsce do swojego pierwotnego kształtu: domu lekarzy od dusz. Przecież w naszym kraju nigdy nie płonęły stopy! Przetrwaliśmy zabory, wojny, komunizm. Ale czy oprzemy się neoliberalizmowi początków nowego wieku? Wierzę, że tak. Dziś wyburza się już nie tylko kina, ale i szkoły, by wybudować na ich miejscu apartamenty dla bogaczy czy biurowce, w których jednakowo ubrani ludzie bez twarzy przesypują z pustego w próżne. Masz jednak, człowieku, wciąż tę pewność, że twój stary kościół jest nadal tam, gdzie był, a w nim człowiek, który powinien ci pomóc, bez względu na to, czyś ochrzczony czy nie, bogaty czy biedny, zdrowy czy toczony przez chorobę. Wierzę, że nie znajdziesz w nim siedliska kołtuństwa, antysemityzmu, nietolerancji, a miłość. Tego chciałby Wojciech, zwany Adalbertem. Patron tej niezwykłej ziemi, jakkolwiek skończył się jego

ziemski żywot.

Kapłan westchnął, spojrzął gdzieś daleko, za linię horyzontu, po czym ciągnął dalej:

– Nazajutrz po domniemanej śmierci jego, bracia Radzim i Bogusza-Benedykt wyszli z Cholina i skierowali się ku granicy z Polską. Nieśli straszną wieść i żądanie, że ciało będzie wydane za złoto takiej samej wagi. Kilka dni później na ziemię Prusów przybyło poselstwo, które przekazało cenny kruszec, w zamian zabierając truchło... Niedamira. Po krótkim pobycie w Trzemesznie, relikwie zostały pochowane w Gnieźnie, a były biskup Pragi ogłoszony świętym. Dwaj misjonarze, tak jak chcieli, dostali swoje kościoły. A Wojciech? Żył nadal pośród Prusów, nawracając ich na nową wiarę słowem, czynem i miłością, czerpiąc jednocześnie z ich wierzeń. Złamana włócznia odtąd była symbolem, której cześć oddawał tak samo jak krzyżowi. Symbolem mówiącym, że nie ma racji wyższych nad miłość i dobro. Żył jeszcze długo. Przed śmiercią wyraził wolę, żeby ciała jego nie palić pogańskim zwyczajem, a pochować w ziemi. Tak się też stało, choć nie wiadomo dokładnie gdzie i kiedy. Plemiona pruskie, przez setki lat dzielnie opierające się ekspansji sąsiadów, ugięły się dopiero pod mieczem rycerzy z czarnym krzyżem na płaszczu i wkrótce zostały zniszczone niemal do końca. Jednak legenda o złamanej włóczni i losie Adalberta przeżyła i są ludzie, którzy wierzą w nią do dziś.

Samochód stał na środku polnej drogi. Drzwi były otwarte, więc pasażerowie, którzy znajdowali się na zewnątrz pojazdu, dokładnie usłyszeli głos radiowego lektora.

– Wczoraj na Warmii i Mazurach zanotowano trzęsienie ziemi. Według informacji uzyskanych z Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk miało ono siłę czterech stopni w skali Richtera. Według relacji świadków z kwietników spadały doniczki, żyrandole wirowały, a meble przesuwwały się. Informacja została potwierdzona przez Centrum Zarządzania Kryzysowego w Olsztynie. Nie wiadomo, czy było to zjawisko naturalne, czy skutek działalności człowieka. Strona rosyjska zaprzecza, jakoby na jej terenie miał miejsce wybuch...

– Mam nadzieję, że to nie był efekt działania semteksu – Horn zaśmiał się

nieszczercze, kręcąc głową. – Najgorsze jest to, że mi kumple za cholere w to nie uwierzą...

– Jak to? – zdziwiła się Ewa. – Przecież jesteś dziennikarzem, mamy relację świadków. Kapitan Wójcik wszystko potwierdzi! Powiedział, że jest pełen podziwu dla ciebie...

Tylko wzruszył ramionami. Był starannie uczesany, włożył na siebie świeże, czyste ciuchy. No i przede wszystkim wreszcie się ogolił! Zmiana była tak wielka, że Ewa i ksiądz Józef w pierwszej chwili go nie poznali.

– Zarówno strona polska – ciągnął lektor – jak i rosyjska potwierdziły, że rozmowy w sprawie przyszłości obwodu kaliningradzkiego mają szansę zakończyć się powodzeniem jeszcze w tym tygodniu. Na koniec prognoza pogody...

– Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć – westchnęła Ewa. – Domyślał się ksiądz, że Pasterz to Wiktor Ratz, kolega z seminarium?

– Nie miałem pojęcia. – Proboszcz z Tolkmicka pokręcił głową – Zawsze był nieco z boku, jakby nieobecny. Po zakończeniu służby wojskowej przepadł. Wszyscy myśleli, że zaszył się w jakiejś dalekiej parafii. Nikt nie przypuszczał, że wybierze zupełnie inną drogę.

– Ale potem wrócił do kapłaństwa – wtrącił Horn.

– Nie obrażaj stanu kapłańskiego, synu – warknął ksiądz Józef. – Przez blisko dwa lata działalności Wspólnoty Odnowy wyciągnął od ludzi masę pieniędzy, kosztowności i innych dóbr. Nakazywał swoim uczniom ascezę, a sam opływał w luksusy, jeździł po kraju mercedesem. Wszystko to zabezpieczono na terenie ośrodka, dobrze ukryte w nowo wybudowanym bunkrze. Nie ma wątpliwości, że po zamachach w Kaliningradzie miał zamiar wrócić i dalej żyć wygodnie.

Zamilkli. Wiatr niósł wyraźny zapach nadchodzącej jesieni.

– Czy Konfraternia Złamanej Włóczni naprawdę istnieje? – zapytała naraz Ewa.

– A jak myślisz? – Ksiądz popatrzył na nią z ciepłem i sympatią.

To jednak nie był jeszcze koniec pytań.

– O co chodziło w wiadomości, którą chciał przekazać umierający Buczyński? CYG. Czy to rzeczywiście chodziło o łabędzia? – zastanawiała

się młoda archeolożka.

– Nie CYG, ale... C4G – wyjaśnił ze spokojem Józef.

– Co to znaczy? – Ewa sprawiała wrażenie coraz bardziej skołowanej.

– C4 to określenie składowej substancji semteksu. A G? Pewnie Buczyńskiemu chodziło o Gdańsk, bo to tam znaleźliśmy skrzynię. Ale czy to on ją ukrył, tego nie dowiemy się nigdy.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Nic już z tego wszystkiego nie rozumiem – poddał się Horn.

– A co z księdzem rezydentem? – przypomniała sobie Ewa.

– Już go wypuścili – odparł Nehring. – To on jako pierwszy znalazł ciało i zostawił na nim nasz znak, złamaną włócznię.

Zaległa cisza. Czyżby worek z zagadkami był już próżny?

– Cieszę się, że was poznałem – rzekł ksiądz. – Bardzo mi pomogliście i... Nie chciałem...

– Niech ksiądz nie kończy – powstrzymała go Ewa, która też już otrząsnęła się z zadumy. – Najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło.

Ksiądz Nehring wyściskał dziewczynę i Horna, po czym ruszył pieszo polną drogą.

– A dokąd ksiądz się wybiera?

– Do domu.

– Piechotą? Przecież do Tolkmicka jest kawał drogi!

– Niech to będzie moja pokuta. Zresztą znam skrót. Może jeszcze odwiedzę w szpitalu naszego komisarza. Chyba się polubiliśmy – rzekł z uśmiechem kapłan, po czym odwrócił się i ruszył żwawym krokiem w stronę szarzejącej na horyzoncie ściany lasu.

Zostali sami.

– Ty chyba nie wybierasz się piechotą do Gdańska? – rzekł drwiąco Horn do Ewy.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Nie. Raczej do Kwidzyna – sprostowała. – Profesor czuje się już dobrze. Reich i Kozłowski jeszcze się nie zapili na śmierć, więc chyba musimy dokończyć prace przy naszych mistrzach. Ale ty już tego chyba nie zobaczysz... – Dziewczyna sięgnęła do kieszeni.

Dopiero teraz Horn zauważył, że jest wypchana.

Poczuł, jakby w jednej chwili ktoś obniżył temperaturę jego ciała o dwadzieścia stopni, a następnie równie szybko podwyższył o czterdzieści. Nie czuł tego wcześniej, gdy śmierć zaglądała mu w oczy, bijąc po nich złotymi zębami Saszki czy purpurowym pasem Pasterza.

Czy ksiądz Józef usłyszy huk wystrzału? – pomyślał. Tylko co z tego? Nim dobiegnie, on będzie już trupem...

Ewa Rimmel powolnym ruchem wyciągnęła z kieszeni spodenek podłużny kształt. Nim Horn zdążył mu się przyjrzeć, dziewczyna podniosła ów przedmiot do oczu.

Błysnął flesz aparatu fotograficznego. Horn zamrugał powiekami, by w końcu je zacisnąć.

Gdy otworzył je ponownie, Ewa uśmiechała się do niego w znany mu już dobrze sposób.

– Co to było?!

– Zdjęcie – wyjaśniła z niewinną miną dziewczynki.

– Zdjęcie?! – powtórzył, jakby nie dosłyszał.

– Tak. Jako archeolog nie zarabiam kokosów, więc jakiś czas temu przyjąłem propozycję jednej z brukowych gazet i sprzedaję im zdjęcia do rubryki z okropnościami...

– I ja jestem jedną z tych okropności? – próbował się zaśmiać, ale mu nie wyszło.

– Przepraszam, powinnam cię ostrzec. – Ewa spuściła wzrok, ale tylko na chwilę. – Wtedy w Kwidzynie to ja, zaraz po księdzu rezydencie, znalazłam zwłoki. Poszłam do katedry w nocy, żeby sfotografować kości. Nie wiedziałam, co robić. Dlatego pobiegłam do ciebie...

– Tylko dlaczego akurat mnie wciągnęłaś w to wszystko? – Horn pokręcił głową.

– Tak, to dziwne. Sama się nad tym wiele razy zastanawiałam. – Ewa przygryzła wargę. – Szczególnie wtedy, gdy zniknąłeś na zalewie. Bo przecież...

– Przecież właściwie się nie znamy – dokończył za nią Horn, oddając jej dowód osobisty.



ABC

Krzysztof Beśka
ORNAT Z KRWI

Oficyjnka